PISMA
IGNACEGO CHODŹKI.

III.

PISMA
IGNACEGO CHODŹKI.

TOM III.

PODANIA LITEWSKIE.

SERYA I—IV.

DWIE KONWERSACYE.

PRÓBY NOWEGO DYKCIONARZA.

WYDANIE NOWE

z portretem autora

(na stali).

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.
1881.

Дозволено Цензурою, 20 Декабря 1879 г. Вильна.

ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. **Осипа Завадзкаго.**
(Замковый переулокъ, № 149).

PODANIA
LITEWSKIE.

SERYA I.

Wyklęty.—Kamień w Olgienianach.

WSTĘP.

Każda stopa ziemi przez ludzi zajęta, ma swoją przeszłość. Przeszłość ta z ludzką podobna, i prawie zawsze zjednoczona, albo jest znamienitą i wiekopomną, oznaczoną wielkiemi wypadkami i wspaniałemi dziełami rąk ludzkich, trwającemi dotąd, lub rozsypującemi się dziś w gruzy; albo cicha, skromna, przemijającą jedną chwilą, jedném miłém uczuciem, lub częściéj jeszcze jedną łzą i westchnieniem oznaczona.... Piérwsza dla dziejopisa narodów i całéj ludzkości, druga dla dziejopisa serca ludzkiego, a zatém dla powieścio-pisarza właściwą jest treścią.

W krajach, w których dawno już odkryto te źródła najpiękniejszych natchnień dla narodowych pisarzy i najmilszych wrażeń dla czytelników, literatura nadobna zagarnęła je pod własne panowanie, owładnęła niemi zupełnie, i z podań, czy wiadomości ze dna ich, że tak powiem, wyjmowanych, odtwarza potomkom cnoty i obyczaje naddziadów. My wieczne naśladowniki obcych, ten raz za dobrym ich poszliśmy przykładem: poznaliśmy że i nasza kilko-wiekowa przeszłość, zostawiła na ziemi naszéj, i wspaniałe publiczne pomniki, i mnóstwo pamiątek powszedniego życia ojców naszych, z dziejami naszemi połączonych, z których równie interesujące, a bodaj

poczciwsze, przykładniejsze i tkliwsze zbierać możemy wzory, i zbieramy je w rzeczy saméj.

Literatura nasza nosi odtąd w ogólności piętno własne, i wydziera z rąk ziomkom książki obcym językiem, obcą treścią i obcym duchem pisane, jako matka wydziera dziecięciu swemu owoc obcy i szkodliwy, a własnéj piersi pożywczym posila je pokarmem.

I ztąd wyszły u nas na jaw, utajone dotąd w zaniedbaniu, lub porzucane w poniewierce, mnogie, razem ziemi naszéj, obyczajów i charakteru naszego, obrazy, ślady i przykłady, które dostarczając obfitych treści talentom naszym, tém je silniéj pobudzają do pracy, że się ta nagradza prawdziwém współczuciem i powszechném zadowoleniem ziomków. A lubo nader wiele i w rozmaitym względzie wyczerpano już z tego źródła materjałów, jednak bez wątpienia wiele jeszcze pozostało, dla szukających z gorącą żądzą i szczérém upragnieniem tego wszystkiego, co jest piękném, szlachetném, a własném.

Owoż takiém uczuciem i ja przejęty i natchniony, pobudzam niém i pokrzepiam słabą mą zdolność, szczęśliwie dotąd, przychylném przyjęciem przez ziomków pism moich, uwieńczoną. Tytuł ich nowy, bliżéj do celu stosuję: celem zaś tym będzie zawsze godło moje od początku przyjęte, a objawiające się na każdéj karcie, miłością wdzięcznych i nadobnych obrazów kraju naszego, zamiłowaniem pięknych przykładów, wspomnień, pomników, cnót bogobojnych i obyczajów naszych rodzimych: słowem miłością z serca autora w serca czytelników przepływającą, i jednającą wzajemnie ich dla się także miłość.

WYKLĘTY.

I.

„Dom pusty, żona wdowa, a dzieci sieroty!“ Oto definicya z dawnych praw naszych w przysłowie zamieniona, na oznaczenie kary tak nazwanéj *bannicyi*, wywołania, padającéj na tego, który pozwany do sądu nie stawał na terminie: *Contumax* na bannicyę! wykrzyknął natenczas woźny, po trzykrotném zawołaniu niestawającego, i obecni z uśmiechem powtarzali: „Dom pusty, żona wdowa a dzieci sieroty!“ z uśmiechem, bo w ostatnich czasach prawnictwa naszego, straszne te wyrazy stały się już tylko formą, kilkudziesięcią złotemi okupowaną.

Była jednakże kara inna jeszcze i w epoce téj mojéj powieści, sprawdzająca na uderzonym nią fatalne to przysłowie: karą tą była klątwa kościelna.

Minęły już wprawdzie natenczas wieki, gdy piorun z Watykanu strącał monarchów zachodniéj Europy z tronów, lub z czoła ich korony, ale niższe duchowieństwo odważało się jeszcze u nas grozić, a niekiedy i użyć nawet téj śmiertelnéj broni: już to naprzeciw nadużyciom i zapędom zuchwałego możnowładztwa, już to naprzeciw rozhukanemu domowemi swarami żołdactwu, nawykłemu oddawna w czasach rozruchów, bogate dobra duchowne uważać za łup i strawę swą zwyczajną, już to nakoniec przeciw szczególnym i pokątnym, że tak powiem hajdamakom, których żadnym innym spo-

sobem uchodzić nie można było, a których właśnie namnożyło się w kraju naszym, zewnątrz ściśnionym, wewnątrz rozprzęgłym.

Ostatnie roztargnienie węzłów, jednoczących dotąd naród w sforne i uległe prawom towarzystwo, nastąpiło u nas po dwukrotném a pięćdziesięcią tylko laty rozdzieloném, najściu Szwedów *). Za każdém, naród rozdzielał się na liczne partye i kupy i zgraje, garnące się około potężniejszych możnowładzców, któremi bojaźń, lub interes osobisty kierowały, i którzy podług takich względów, od Kazimierza do Gustawa, od Augusta do Karola koleją, a bezkarnie, przechodzili i nazad wracali. Były to jakby komety błędne, za któremi długie ogony z różnobarwnéj tłuszczy złożone, plądrowały zbrojne po kraju, pustosząc go częstokroć gorzéj od cudzoziemca: z tą różnicą między naczelnikami i stronnikami, że gdy pierwsi jedne z dwóch tylko mieli hasło: „Za Sasem!“—„Za Szwedem!“ tłuszcza za niemi idąca, tyle wykrzykiwała imion, ile ich w kraju znakomitszych było—„Za Radziwiłłem!“ „Za Sapiehą!“ „Za Ogińskim!“ „Za Pacem!“ „Za Wiszniowieckim!“ etc. najczęściéj bez względu na ich polityczne widoki, a zawsze bez względu na interes własnéj ziemi.

Nadto jeszcze, stłumione gorliwością katolicką piérwszego Wazy i Jezuitów, różnowierstwo, znalazłszy opiekę i wsparcie w Gustawie Adolfie, a potém w Karolu, podniosło głowę, dając nowy powód do wzajemnych a jątrzących zwykle głębiéj nad wszystkie inne, religijnych nienawiści i odwetów.

I ztąd to powstało w kraju naszym hajdamactwo i nazwa hajdamaków, tatarskiego brzmienia i znaczenia, wprzód ukraińskim rozbojnikom nadana, a potém służąca przydomkiem i przyswojona wszystkim zuchom, u których swoja wola była prawem, humor swarliwy i nieuległy codziennym obyczajem, a zuchwałe najazdy, bójki, pojedynki i napaście nałogiem...... A lubo po upadku europejskiego arcyhajdamaki Karola XII, (boć mu ze wszelkich względów ten tytuł przystoi) Polska nienapastowana od nikogo, pod panowaniem Sasów długiéj używała spokojności, wszakże rozpierzchnione na pojedyńcze *individua* obozowe mrówiska, zapleniły po wszystkich kątach kraju ludzi, którzy wracając na domową grzędę, junackiéj nie porzucali fantazyi, i zostawali wojewódzkimi, powiatowymi, a nawet parafialnymi hajdamakami.

---

*) Gustaw Adolf 1655.—Karol XII. 1705.

Tych ostatnich było bodaj najwięcéj, a gdy imiona i zuchwałe czyny piérwszych, weszły w dzieje narodowe, to opisów lub skarg na drugich, pełne są tamtoczasowe akta grodzkie *) każdego powiatu, i domowe pamiętniki, owe grube, rękopisowe, w skórę oprawne *in folia*, które w domach równie pańskich, jako i szlacheckich, pokolenia pokoleniom podawały, dla wpisywania w nie „Na chwałę Boską, a na pamiątkę i naukę dobrym ludziom" **) wszystkiego co się w kraju działo, działało lub doświadczało. Junakierya taka, wprawdzie coraz modyfikująca się, trwała aż do połowy prawie panowania Stanisława Augusta; lecz odtąd rozmiękczony naród, stracił swą twardość i hardość. Po starzejących się kuntuszowych hajdamakach, następowali fraczkowe niewieściuchy, ni do tańca, ni do rożańca! a tém bardziéj do korda.... i Kościół więc swojéj zaniechał broni, do użycia któréj w gnuśniejącym narodzie nie zdarzały się już powody, i która, gdy karność i cześć dla religji razem nikły, szyderstwo jużby mu tylko i poniewierkę, zamiast ulgi i zwycięztwa przyniosła ***). Epizod zatém, na rzeczywistém podaniu oparty, z życia jednego z takich hajdamaków, opisać tu postanowiłem. *Ab uno disce omnes!* ****) wszyscy oni należą do składu ruchliwych obrazów tamtoczasowego towarzystwa, owszem są jakby wydatniejsze herbowne płaskorzeźby na starych i rujnujących się zamczyskach; wszystkie zapędy i swawole mniéj więcéj podobne i jednostajne, krnąbrne i nieuległe prawu pospolitemu, korzyły się tylko przed ołtarzem, i hamowały się jedyném natenczas wędzidłem, to jest uczuciem religijném, w głębi serc najburzliwszych jeszcze wtedy panującém.

Ostatnią główną kwaterą Karola XII w Litwie było miasteczko Radoszkowicze, każdemu przejeżdżającemu z Mińska do Wilna dobrze znajome. Ztąd właśnie pobrnął on w głąb Rossyi, i doszedł fatalnego miejsca swéj klęski Półtawy *****). Liczne zatém zagony Szwedów, széroko od Radoszkowicz w kraj się zapuszczały, szukając żywności i furażów, tém trudniejszych w kraju domową wojną zniszczonym.

---

*) Grod—Było to sądownictwo, szczególniéj na rodzaj spraw uczynkowych przeznaczone.

**) Zwykły tytuł xiąg takich.

***) Patrz przypisy.

****) Z jednego poznajcie wszystkich.

*****) Ptrza przypisy.

Dla tego też w okolicach, nawet o mil kilkanaście od tego miasteczka odległych, szczególniéj zaś około nurtów Wilji, lub rzek do niéj wpadających, znajdziesz to w domowych papierach *), to w podaniach, to w nazwiskach dróg i uroczysk, ślady szwedzkich odwiedzin, niezapomnianych dotąd między ludem, jak wszelkie głęboko dojmujące klęski, z przeznaczenia Bożego utrapiające narody.

W rękopismie współczesnym, który mam przed sobą, czytam: „Anno 1708 król szwedzki tu w województwo Mińskie, za Księciem Mężykowem przyszedłszy, stanął w Radoszkowiczach, i wrzekomo obrońca nasz, a jednak kościoły, dwory, miasta i wsie rabował, i wszystko *funditus* zabierał przez niemały czas, i ledwo od nas 14 junji do Moskwy wyszedł. Po nim Löwenhaupt 5 Augusta do nas przyszedł, stał niedziel pięć, i ten rabował *słusznie* nikomu nie folgując“ **) widoczniejsze więc jeszcze, choć dziś zapomniane zostawił natenczas po sobie ślady najezdnik—to jest nędzę, ruiny, popieliska.

II.

I w tym to czasie, gdy już wieści o Szwedach, jak echa dalekich gromów po przejściu burzy, słyszeć się tylko dawały: kilkudziesięciu jezdzców, rozbijając gęstą mgłę wilgotnego sierpniowego poranku, wysunęło się nagle na brzeg Wilji, do którego żadna tu z nikąd nie przychodziła droga, i śmiało zą przewodniczącym na czele wodzem, znającym jak widać było rzekę i przystępniejsze jéj brody, rzuciło się w wodę; jakoż konie wszędzie dna dostając, ledwo się po tebenki zamaczały, i przebrnąwszy rzekę a rzeźwo się otrząsłszy, wesoło parsknęły na drugiéj stronie.

Jezdcy sami różnobarwną nader i rozmaitą składali gromadę: uzbrojeni wszyscy, a jednak nie żołnierze, bo każdy podług fantazyi widać, czy możności, miał na sobie ubior i rynsztunek. Ten w kontuszu wytartym, ten w kapocie, tamten w płaszczu jakimś osmolonym, a inny w łosim kaftanie; ten w magierce, ten w kapuzie, ten w baranim kołpaku, i tym podobnie.

*) Patrz przypisy.

**) Rękopism *„Liber manuscriptus, incipiendo ab anno 1708 per me Alexander Mackiewicz. Tribunus stabuli palatinati Minscensis.“*

Broń też była wcale nie do kalibru: u jednego długi muszkiet po myśliwsku na plecach, a noż za pasem; u innego dzida kozacka lub széroki berdysz w ręku, a pistolet na pokrowcu; u wszystkich jednak, jednostajniejszych form i wymiarów szable u boku. U każdego zresztą wąs zawiesisty, jednym aż za uszy się zakręcał, drugim strzępił się pod nosem jak kolce u jeża, innym aż na pierś spływał niedbale, srożąc raczéj niż zdobiąc twarze, wszystkie tęgie, bunczuczne i zuchwałe.

Między tą tłuszczą wyróżniał się wszakże jeden, nie tak porządniejszą powierzchownością, jako tém, że niosł tuż za wodzem chorągiew tego hufca, a raczéj chorągiew wodza, to jest szmat czerwonéj kitajki na długim drzewcu uczepiony, i złotym herbem Pruss naszyty, a ztąd wrzekomo nabierając powagi, wiertkiemi ruchami i szumną gadatliwością, robił sobie rum między towarzyszami, wymuszając gwałtem dla się konsyderacyę, któréj oni uznawać nie chcąc, śmiechem zwykle jego komendę zbywali. Bo też i w rzeczy saméj w ustach jego żartem się ona być zdawała, stosowniejszym do jego postaci, niż przybrana surowość i pycha. Nie gniewał się wszakże za tę niby poniewierkę, owszem gdy się rozdobruchał i zapomniał o swéj chorągiewnéj dostojności, wesołym i rubasznym humorem, a krotofilnemi dykteryjkami, i wodza i wojsko rozśmieszał.

Niski, krępy i nieco pękaty szlachcic, w granatowéj bekieszce, niegdyś sinym karogańskim barankiem, teraz irchą odeń pozostałą obszytéj; okrągłych i rumianych policzków, do dwóch połowin czérwonych jabłek podobnych, z wąsem podsiwiałym, i jak dwa sute pędzle na usta zwisłym, z niską a rogatą magierką na bakier na ogolonéj głowie przysiadłą, pan Jan Sebastyan Suroż, od swéj nigdy niezmienianéj szaty, szlachcic *Bekieszko* przezwany, siedział na siwym stępaku, którego do innego kroku z trudnością mógł zmusić. Długi i széroki miecz, niestosowny na pozor do jego figury, ale którym w potrzebie zręcznie i silnie władać umiał, wisiał mu u boku i był mu całym orężem, a z olster u siodła, dwie butelki, jak kukułki z cudzego gniazda, nieśmiałe wymykały szyjki.

Wódz tylko téj rzeszy przystojniejszą miał powierzchowność; owszem jego ubior i uzbrojenie, wyższego w nim i możniejszego stopnia i stanu dowodziły: bo chociaż kuntusz karmazynowy mógł być dowodem długotrwałości i mocy tamtoczasowéj angielskiéj sajety, wszakże karbunkuł gorejący w szpince u szyi, pałasz i pisto-

lety bogate w srébro oprawne, ostroga nawet srébrna, i dzielniejszy koń od innych, a drugi powodny u masztalerza, wszystko to odróżniało go wyraziście od rzeszy brnącéj za nim, a uległéj jego rotmistrzowskiéj władzy, któréj buzdygan stalowy w ręku jego, był razem dowodem i godłem.

„Dźwęk!“ krzyknął on z przyciskiem, gdy wszyscy stanęli na brzegu, a brzmienie tego przysłowia dźwęk, jakby łamiącéj się nagle stalowéj klingi wydało..... Dźwęk Mości panowie!—*Ławnego* teraz! *Ławnego!* bo mam waściom cóś powiedzieć„—a czekając szyku, stanął na boku i sutego pokręcał wąsa.

Ktoby natenczas spójrzał z uwagą na jego oblicze, do dziś dnia w domowych rodu jego pamiątkach na portrecie zachowane, poznałby od razu męża twardéj woli i silnéj prawicy, a razem popędliwego i niecierpiącego najmniejszéj przekory lub krzywdy animuszu, lecz w dumném uczuciu swéj godności, ku wspaniałym, jeżeli nie łagodnym, skłaniać się mogącego czynom. Poznałby człowieka dobrze wybranego na wodza krnąbrnych i swawolnych w domowéj wojnie tłumów, które to popularnością jednać i pociągać, to grozą i bojaźnią karcić i powściągać należało.

Uroda słuszna i tusza ku temu stosowna, oblicze męzkie, oko czarne i bystre, czoło szérokie i głębokiemi bruzdami od częstego marszczenia oznaczone, przytém odezwanie się zawsze harde, rezolutne i uparte; samo nakoniec przysłowie na ostro, że tak powiem, dobrane: wszystko to tworzyło postać w tamtych nawet szermierskich czasach niepospolitą, a wywierającą około siebie wpływ i wrażenie, z zaufania razem i trwogi złożone.

I takim był Jan Dadzibóg Goleń *) Niewiadomski, Starosta Antowilski, którego czytelnikom przedstawiam, a który, ponieważ jest bohatérem mego opowiadania, przeto obszerniejszéj wymaga biografji.

III.

Rodzina Niewiadomskich, herbu Pruss, któryśmy wyszyty na chorągwi rotmistrzowskiéj widzieli, w połowie XVI wieku z Wielko-

*) Goleń.—Przydomek.

Polski do Litwy się przeniosła. Piérwszy jéj tu przodek Krzysztof, Podstoli ziemi Wizskiéj nabył obszerne dobra w powiecie niegdyś Oszmiańskim, a dziś Swięciańskim położone *), i pojąwszy w zamężcie Kossakowskę, kasztelankę Witebską, był protoplastą poźniéjszych pokoleń téj familii, łączącéj się tu z kolei przez małżeństwa ze znakomitemi domami Ostrouchów, Oborskich, xiążąt Giedrojciów i Tyzenhauzów. Potomkiem zatém tego Krzysztofa, był Jan Dadzibóg, żyjący w czasie najścia Karola XII na tutejsze ziemie.

Krótko przedtém, Jakób Henryk Fleming, jednając sobie przyjaciół i stronników po kraju, którego obywatelem być postanowił, i przekonawszy się jeszcze na elekcyi Augusta o szérokich związkach w Litwie Niewiadomskiego, a poznawszy go osobiście i oceniwszy trafnie jego przymioty i wady, wyrobił dlań u króla, którego był najściślejszym powiernikiem, Starostwo Antowilskie, i wraz go potém rotmistrzem Oszmiańskim przypowiedział, czém go duszą i ciałem do siebie i króla przywiązał. A wkrótce gdy najście Karola dało powód do rozdzielenia się narodu na dwie partje, Starosta Antowilski gorliwie stanął za Augustem **) i podniosłszy swój rotmistrzowski buzdygan, wezwał szlachtę, przywykłą już na sejmikach iść za głosem i wolą jego, aby się doń na obronę kraju kupiła. Zebrało się jéj kilkaset i z tym pocztem opuścił dom swój Starosta, łącząc się z jednomyślącemi z sobą braćmi i ogłaszając wszędzie konfederacyę Sandomierską, przy Auguście II zawiązaną, a wszystkich coraz pomnażających się w Litwie stronników Karola i potém Stanisława Leszczyńskiego, jako zdrajców ojczyzny, napadał i gromił; sam wzajemnie przez nich, wspartych jeszcze potęgą szwedzką, nieraz rozgromiony i do tułactwa zmuszony.

Wszakże nic go w stałéj wierności zachwiać nie zdołało: tracił on i na nowo wnet gromadził hufce swoich Oszmiańczuków, którzy jak pszczoły dymem poddmuchnięte, wprawdzie rozpierzchali się w popłochu na wszystkie strony, lecz nie odlatując daleko, skupiali się też rychło około wodza, jak pszczoły około matki. Towarzysz nieodstępny starosty we wszelakiéj przygodzie, poczciwy Bekieszka, dobywał natenczas z kieszeni schowaną tam w niebezpieczeństwie chorągiew, zaczepiał ją na wysokiéj tyce, i podnosząc w górę wy-

*) Żaladzie, Stracza, Polany, Wyhonięta, Budziłki. Ostatni ten folwark i dziś jest własnością potomków tego imienia.

**) Historyczne.

krzykiwał: „Wiwat starosta Antowilski, rotmistrz Jego Królewskiéj „Mości! i *Vivat Rex Augustus!*—Wiwat!“ huczno powtarzała cała gromada, i szła hurmem a z dobrą ochotą, na imprezę za wodzem, który skinieniem swego buzdygana, jak Eol groźném berłem wichry i burze, parł szlachtę do boju lub hamował, skupiał lub rozpraszał.

Lecz te zdolności Niewiadomskiego, któregoby może wysoko wzniosły w szérszym wojennym zawodzie, wytrawiały się nędznie i tyrały dlań bez chwały, a bez widocznego publicznego pożytku, na podrzędném i mało znaczącém dowództwie ruchawki, z którą codziennie zjednoczony, uledz wzajemnie musiał wpływowi jéj obyczajów i narowów, nawyknąć do nieustannych swarów, kłótni, grabieży, przeklęstw, bojek i popojek; słowem, do wszystkich hajdamackich nałogów niezgodnych ani z urodzeniem, ani z wychowaniem jego, ale łatwo się uczepiających w sposobnych okolicznościach, do charakterów z przyrodzenia popędliwych, ku panowaniu nad sobą i hamowaniu się nie łatwych. Trwając tak upornie przy swojém, nawet gdy zwycięztwa Szweda i abdykacya Augusta wszelką jego stronnikom odbierać zdawały się nadzieję, Starosta Antowilski doczekał nareszcie pomyślnéj nowiny, która nagle się po kraju rozniosła, klęski Półtawskiéj i ucieczki Karola do Turcyi, a razem powrótu na tron Augusta: postanowił więc nawiedzić dom swój po długiéj nieobecności, odprowadzając razem i rozsadzając po zagrodowych grzędach, szlachtę napuszoną cudzym tryumfem. Resztę jéj właśnie nad brzegiem Wilji, od głównéj swéj rezydencyi Budziłek, w miejscu w którém ją przebywał, o mil parę odległéj pożegnać postanowiwszy, przebrnął rzekę i—*Ławnego!* zakomenderował.

IV.

Ławnego! powtórzył Bekieszka, Ławnego! pobudzając obu piętami stępaka swego do wyskoku naprzód, a wysuwając chorągiew horyzontalnie dla wskazania dyrekcyi i wyrównania frontu.

Ale ten manewr zupełnie przeciwny zamiarowi sprawił skutek: bo chorągwią spłoszone konie, to się wspinać, to cofać poczęły, i kilku jezdców niedbale oklepłych na siodłach szwankowało.... Śmie-

chy i przeklęstwa razem się rozległy, a zamiast szyku, niesforna stała się mięszanina.

— A won do djabła! z tą twoją komendą, krzyknęło wielu.

— Cicho! cicho! Ławnego! bo.... *dam guza*, *dam tynfę!* *). krzyknął najeżywszy wąsy Bekieszka.

— Tynfa nie masz, a guza dostaniesz, gdy konie straszyć będziesz—odezwał się któryś—czy my głusi? wszak słyszym rozkaz JW. Rotmistrza, uszykujem się i bez ciebie. Czy to piérwszy raz?

— Pan Starosta prowadzi regiment! i nam kredensuje, a ja trzymam regulamin! Znaj służbę aż do końca! odpowiedział Bekieszka, nieprzestając uwijać się między drużyną.

Nakoniec jako tako wyformowała się linja, a wtenczas wyjechał on naprzód, podniósł chorągiew, i uroczystym głosem zawołał:— Jaśnie wielmożny Rotmistrzu dobrodzieju, czekamy ordynansu pańskiego!

Starosta pokręcił wąsa, spójrzał po szeregu i zawołał:—No, mości panowie i bracia! Szweda djabli wzięli!

— Piotr zjadł go w kaszy!.... przerwał Bekieszka, nie mogąc zatrzymać konceptu.

— Milcz waszeć! krzyknął Starosta zniecierpliwiony —Djabli wzięli Karola z naszego kraju, mówił dalej i już nie wróci się....

— *Quis scit co za górą?* panie Rotmistrzu! wtrącił znowu Bekieszka, kręcąc głową.

Zmarszczył się tylko wódz na te słowa, ale na nie nie zważał, bo do nich i do kilku innych przymówisk swego chorążego, które on do okoliczności miał zawsze w pogotowiu, przywykł. Gdy się naprzykład ostróżnie zbliżano ku niebezpieczeństwu, Bekieszka nie zaniedbał, jako strategiczną przestrogę, szepnąć na ucho wodzowi swemu: „Panie Rotmistrzu, *quis scit co za górą?*“ a gdy przychodziło do okazyi, szepnął znowu jako *Consilium bellicum:* „Panie „Rotmistrzu, nie staw nas przy lesie, bo to rzecz łakoma,“ inne też w ciągu powieści naszéj nieraz z ust jego posłyszymy.

— Król pan nasz miłościwy August II-gi — mówił dalej Starosta,—powraca do nas, i *spero* że wierne i stałe nasze, a krwią pisane zasługi, hojnie wynagrodzi, w czém ja panom braciom moim, poręcznikiem jestem i będę. — *Feliciora* zatém, dzięki Bogu, następują *tempora!* a odpocząwszy po trudach marsowych....

*) Dawne junackie przysłowie.

— Oj prawda! przerwał znowu Bekieszka, trudy Marcowe dały się nam djabelnie we znaki!!! *Fallax fortuna fefellit!* *), tułaliśmy się natenczas i włóczyli jak cygany, a brnęli po wodach i błotach jak czaple.

— A odpocząwszy po trudach wojennych — kontynuował Starosta, uśmiéchnąwszy się tylko, zamawiam affekta panów braci do usług publicznych na sejmikach i *dźwęk* znowu mości panowie!!! A tym czasem kto' łaskaw odprowadzić rotmistrza swego w domowe progi, *humillime* suplikuję; bo zawsze wrota i serce moje dla was otwarte.

— Wszyscy! wszyscy! *Vivat* nasz rotmistrz! *Vivat!*

Bekieszka na ten tryumf, wykręcił kilka razy, jakby mistrz jakiego cechu chorągwią, i rzekł do Starosty: a czy nie wypadałoby panie dobrodzieju ogrzać się po téj zimnéj wannie kordyałem, bo *quis scit co za górą?*

— Dobrze; ale twoich pistoletów nie wystarczy dla wszystkich.

— Jest jeszcze hlak u Hreczyny, a w jukach pańskich, puzdro z sześcią flaszami pełnemi jak rybie oko. Wbił zatém w ziemię swą chorągiew, i dostawszy wszystkie zapasy, podał Staroście flaszę i czarę srébrzystą z puzdra razem wyjętą.

— Za zdrowie waszmościów moich wielce mościwych panów i braci: *Vivat!* zawołał Starosta — w ręce twoje panie Sebastynie! Podniósł czarę nad głowę, potém ją wychylił duszkiem.

Znowu zabrzmiało huczne *Vivat!* i kilkanaście wystrzałów rozległo się szérokiém echem po Wilji.

Gdy z rąk Starosty przyjął czarę pan Sebastyan, a ten mu ją nalewał—do... do... do... wykrzyknął on szybko. Starosta uśmiéchnął się znowu, bo znał zwyczaj Bekieszki, który przy każdém nalaniu sobie trunku zwykł powtarzać te trzy syllaby do... do... do... mając osobne do okoliczności zakończenie. Gdy na przykład zwiedziony czy skąpy nalewający, zatrzymał się w połowie kielicha na tym jego wykrzyku, on do ostatniego do... przydawał—lej! A gdy przeciwnie hojny towarzysz przelewał aż za brzegi, on przypinał—syć...

Ileż to ludzi w codziennych okolicznościach życia, mają podobnie jak Bekieszka na pogotowiu słowo takiego przeciętego składu, dla dokończenia stosownie do potrzeby.

---

*) Fałszywa fortuna zdradziła.

Gdy kolej uweselona wykrzykami i wystrzałami z muszkietów obeszła, Bekieszka wyrwał swój sztandar z ziemi i podniosłszy go zawołał: „Teraz mości panowie marsz.“

Przebywszy kilka pól i dyrwanów, stanął hufiec na drodze prowadzącéj jóż wprost do dóbr Starosty. Na prawo ukazały się Żodziszki i obszerne tam jezuickie mury.—Oj! Oj! na ich widok zawołał Suroż: *Infima! Syntaxima!* Oj! Oj! wolałbym z zawziętym Szwedem mieć do czynienia, aniżeli z księdzem Hinczą profesorem Syntaxymy:—*Disce! disce!* a bił jak po desce, może on jeszcze i żyje, bo przed naszą wyprawą żył i czerstwo się trzymał. Mądra to pałka! bywało, kto oracyę najlepszą napisze? Ks. Hincza, kto palnie kazanie na jakie uroczyste święto? Ks. Hincza, kto djalog ułoży na Sw. Ignacy? Ks. Hincza.—Raz przyjechał do nas *insperate* ks. prowincyał: respektem jego, uwolniono nas od lekcyi i wielki w klasztorze wyprawiono festyn, a nazywał się on *Pater Baver*.

Cóż robi Ks. Hincza? Nakleja wielkie ramy papierem woskowym, zrobiło się to przezroczyste jak szkło, zawiesza je na wysokich drągach, ostawia jedlinką i odarnuje to wszystko misternie w ogrodzie klasztornym, jakby ołtarz jaki.... Więc wyprowadzają tam wieczorem z wielką assystencyą i apparencyą ks. prowincyała..... a w tym Ks. Hiczna zapala z kopę lamp, które za tym swoim ołtarzem ponatykał..... Zaświeciło powiadam waszmościom, jak na rezurekcyi.... i cud! cóż waszmoście na to powiecie? czytamy wszyscy jak na dłoni na woskowym papierze:

Vivat nasz Ksiądz Prowincyał *Baver!*

Nie darmo mówią—*Piper et papaver!!! *).*

A tu ksiądz rektor z kielichem pełnym **) Batorego w ręku, jak zaintonował: „*Plurimos annos*“ a za nim jak huknie w jeden głos cały konwent: „*Plurimos annos! Plurimos annos!*“ to powiedziałbyś, że kilkadziesiąt dzwonów razem ryczało.... my zaś malce, ucieszeni tą paradą, jak sygnaturki skacząc koło nich: *piper et papaver! piper et papaver!* wołaliśmy.

---

*) Pieprz i mak.

**) O miodzie jezuickim nazwanym *Batoryn*—czytać Obrazy Litewskie Seria 2-ga, *Brzegi Wilji.*

— Więc to waszmość, przerwał któryś z gromady, aż do tego czasu powtarzasz nie raz ten *piper et papaver!*

— Naturalnie, nie mogłem zapomnieć tak pięknéj sonancyi tych słów.... Ale cóż? kiedy ten sam X. Hincza nadto gorliwie popędzał rozum do głowy swoich dyscypułów, a łacinę wbijał w nas, jak tępe ćwieki do głowy.... więc nie dotrzymałem placu i uciekłem z Żodziszek i od pana ojca, bo onby mnie pewnie, dawszy bolesną admonicyę, odwiózł nazad pod gorszą jeszcze ferułę X. Hinczy.

Już to dawno minęło, a jednak i teraz gdy się mi zdarzy obaczyć choć z daleka Żodziszki, albo samego patra professora Syntaxymy, zawsze dreszcz mi przechodzi po skórze, i zdaje się, że on mię wraz uchwyci jak zbiega, i łacinę do głowy popędzać będzie.... Nie dawno przyśniło mi się, że on stoi nade mną z dyscypliną i krzyczy *disce! disce!...* porwałem się do pałasza, ale on jak machnął swoją rzemienną bronią, tak przeciął mój pałasz jakby klinga z masła była: ja w nogi, on za mną. Obudziłem się przecie, cały w potach—pytałem się u ludzi starych, a nawet u bab, Boże odpuść, coby ten sen znaczył? Wszyscy zgodnie tłómaczą, że jeszcze z Jezuitami będę miał jakąś sprawkę, i że na końcu oni mnie wezmą jak swego. Pięknie! gdybym teraz znowu musiał wrócić do Syntaxymy: ale *quis scit* co za górą? bo żyje jeszcze X. Hincza, a ja mu ostatniéj pensy nie wydałem.

— Mają i ze mną Jezuici jakąś tam dyferencyę, rzekł Starosta, ale dotąd nie przyszło do formalnéj rozprawy; powiadają, że aż pod same Budziłki, granicę prowadzić chcą.... Woźnemu, który mi pozwy ich przynosił, uszy obciąłem; zapłaciłem mu potém, bo się upokorzył i miał czém połatać głowę; tym czasem wojna przerwała te tam ich dukta, którebym pewnie pomieszał i prowadzących przepędził gdzie pieprz rośnie.... Ale tém bardziéj teraz nie życzyłbym lojolińcom rozpoczynać na nowo ze mną grę.... *Dźwęk!* nie na to służyłem królowi i ojczyznie pałaszem, aby mię kropidłem z mego gniazda wystraszano....

— *Quis scit* co za górą panie rotmistrzu.

— Milcz do stu lucyperów, ze swojém: *Quis scit. Ego scio*, że za górą Budziłki.... kłusem więc panowie bracia! zawołał z humorem starosta;—blizko już jesteśmy domu, a tam koniki waszmościów staną nad żłobami pełnemi owsa.

Jakoż przypuściwszy koni, wkrótce wjechali na wzgórze. Nagle tam stanął starosta... jakby skamieniał!... przy nim wstrzy-

mał także konia Bekieszka i za nim wszyscy... i wszyscy w jedno miejsce wzrok zdziwiony utkwili....

— *Dźwęk!* wykrzyknął nakoniec nadzwyczajnym głosem i z nadzwyczajnym przyciskiem starosta, Budziłek niema! kominy tylko stoją okopcone. Cóż się to znaczy?

— A ja mówiłem: *Quis scit co za górą* rzekł poruszając głową Bekieszka.

Starosta przypuścił konia, i cała za nim gromada w jednéj chwili była na miejscu, gdzie stał niedawno dwór znakomity, jaki możnemu dziedzicowi mieć przystawało, a teraz rozległy się obszerne popieliska, opalone drewna i belki, i stały otworem paszcze piwnic z zapadłemi sklepieniami, nad niemi kilka wielkich popękanych kominów... a nigdzie ducha żywego!... Starosta zsiadł z konia, puścił go swobodnie, a rumak nie odstępował pana, zarżał tylko jakby na pustyni, i niecierpliwym kopytem popiół i żużle rozmiatał. Wszyscy w milczeniu i smutni pozsiadali z koni; tłuszczę tę przed chwilą wesołą i hałaśliwą, jakbyś morem owionął... a Starosta stał zamyślony z oczami błąkającemi się po pogorzelisku...—Dom który tu stał, rzekł nakoniec westchnąwszy głęboko, i to był jedyny znak wzruszenia jego hartownéj duszy, zbudował pradziad mój Krzysztof, a prawnuk dziś chodzi po ruinach i zgliszczach.... Któż mu tę roskosz sprawił?... Cha! cha! cha! Sapieżynce zapewne *), bo wątpię żeby Szwed aż tu doszedł.... a gdyby i doszedł, któżby im powiedział, że tu mieszka nieprzyjaciel ich króla?...

— Stój panie Starosto dobrodzieju, przerwał Bekieszka. Nie przysięgaj, nie zaklinaj się; nie czyń tak straszliwego *votum*, nim się dowiesz, kto temu winien? a nuż darmo przekklniesz i Sapiehów i sam siebie. Niech Bóg tego broni, bo nie darmo mówią *„piper et papaver!“* i może być za to, szalony *piper* na tamtym świecie.

— Słusznie mówisz panie Sebastyanie, choć za długo, odpowiedział ochłonięty nieco Starosta, panowie bracia! puśćcie tym czasem konie swoje na ten ogród opuszczony; pięknie jak widzicie trawa porosła. A ty panie Sebastyanie pojedź do wsi, która jak wiesz, tuż za laskiem tym, moim jakby *wirydarzem*, w którym nieraz z tobą biliśmy lisy i zające, i przyprowadź tu jakiego chłopka, abyśmy przecie się obaczyli cokolwiek, i powzięli wiadomości o tym poża-

*) Sapiehowie byli partyi szwedzkiéj.

rze, a potém radzić sobie będziemy.—Bekieszka zabierał się do odjazdu, gdy szlachcic któryś wprowadziwszy konia do ogrodu zawołał: stójcie panowie. Świeży dzisiejszy pokos, rosa z niego jeszcze nie oschła, i kosa nawet leży. Widać chłop uciekł, postrzegłszy nas, ale głupie chłopisko, zostawił ślad na wysokiéj i wilgotnéj trawie; idźmy tym śladem, to go wytropim jak łosia, wlazł tu pewno gdzieś w szpalery i siedzi.

Szlachcic zgadł, bo śladem idąc, trafili pod starożytną i gęstemi gałęziami porosłą lipę, tam trop się zgubił, ale kryjący się na lipie chłopak wyrostek się znalazł.

— A otoż i ptak, krzyknęli.—No zleź chłopię, bo cię z muszkieta zsadzę jak szpaka, zawołał któryś.

Zlazł więc biedny, a drżący ze strachu, dwudziesto blisko letni chłopiec, i piérwszemu szlachcicowi, jak długi padł do nóg.

Ośmielono go więc łagodniejszemi słowy i przyprowadzono przed Starostę; poznał go łatwo chłopiec, bo będąc z bliskiéj wsi pode dworem, często widywał pana; zatém uspokojony całował mu ręce i klaskał we własne radośnie, bo mimo popędliwości swojéj, Starosta obyczajem przodków naszych, dobrym był, przystępnym i łagodnym dla swoich włościan.

— A pocóżeś uciekał od nas? zapytał Starosta.

— Bo rozumiałem miłościwy panie, że wracają ci, którzy pałac pański i cały dwór zrabowali, a potém spalili.

— A któż to byli oni?

— Ja nie wiem; ojciec powiada, że Szwedy i konfederaty razem.

— A czemuście przynajmniéj pożaru nie gasili?

— Oho! miłościwy panie, my wszyscy byli z całą chudobą i dobytkiem w lesie na tabunie, a w wiosce ani żadnego boskiego stworzenia; i pańskie koniki i bydełko było razem, i dla tego chwała Bogu uchowało się.

— A gdzież ono teraz? gdzie dyspozytor Huszcza?

— Bydełko u nas po chatach na paszy, a pan Huszcza bodaj w Straczy czy w Żeladziu, bo i z Wyholeniętami tož samo zrobiło się, co i z naszym dworem.

Starosta wzdrygnął się, jakby go wąż ukąsił, lecz to wzruszenie mgnieniem oka, przeszło bez śladu, i zapytał spokojnie.

— Jakże to kaplica w ogrodzie ocaliła się, bo w rzeczy saméj, jedna stała ona, wśród powszechnéj ruiny.

— A miłościwy panie, to cud boski; stara Magda, która i teraz siedzi co niedziela w Żodziszkach pod kościołem, włócząc się wszędzie, była natenczas i tu, gdy napadli te bezbożniki; wszyscy dworni uciekli, a nawet kilka groszy dali jéj *wielmożnego.* Ona na własne oczy widziała i każdemu opowiada, jak obdarłszy wprzód zupełnie ołtarz święty, nieśli oni po kilka razy głównie, i podkładali pod kaplicę, ale nie doczekali zapalić! nie! Ściany nie zajmowały się, a głównie gasły, jakby je kto zalewał, to przelękli się sami, i odstąpili nagle od domu bożego.... *).

Hurmem rzuciła się szlachta po tém opowiadaniu do kaplicy. Otwarta na wścieżaj i opustoszona, a widoczne były około niéj ślady podkładanego ognia, czém jeszcze bardziéj zdziwieni i przekonani, wszyscy upadli na kolana, przed wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego, malowanym na ścianie nad ołtarzem, z którego obraz główny, i wszelkie ozdoby odarto. Bekieszka zaś czyniąc się promotorem nabożeństwa zawołał:—*Litania ad sanctam Mariam Virginem*—„*Kirie Eleyson!*“

— A kiedy tu nie ma obrazu Najświętszéj Panny, odezwał się któryś.

— Milcz trutniu! rzekł Bekieszka, gdzie jest syn, tam jest i matka.

„*Sancta Dei Genitrix!*“

— *Ora pro nobis!* Odpowiedział Starosta, a za nim wszyscy, i zmówili pobożnie litanię, którą Suroż od *syntaxymy* jeszcze umiał na pamięć.

Gdy wyszli z kaplicy, Starosta rzekł:—panowie bracia! pomodliliśmy się i lżéj na sercu....

— Cóż robić? stało się! Starosta Antowilski bez dachu nie będzie, pod którym chleb i sol dla przyjaciół jeszcze się znajdzie.... a tym czasem, i sami i konie wasze potrzebują wypoczynku.—Ponieważ, jak mówi ten chłopiec, krówki moje jeszcze się zostały i są tu blisko po wioskach, więc panie Sebastyanie, prowadź tam braci; rostasujcie się swobodnie; jedną, drugą i trzecią jałowicę *Dżwęk* i pieczenie gotowe. Siano w odrynach dwornych być musi, owsa dadzą chłopki, na dziakło. Wódeczka i miodek znajduje się w Żodziszkach, a masz moją podróżną kassę u siebie w kieszeni panie Sebastyanie, więc użyjcie wczasu panowie bracia ile się wam po-

*) Miejscowe podanie.

doba.—Ja pojadę do Dobrowlan, do mojego przyjaciela Kscia Sanguszki *), on siedział w domu spokojnie przez cały czas naszych rozruchów, i wie zapewne, kto mi ten fajerwerk wyprawił.... Ale was nie żegnam, bo czy do korda *pro salutem patriae*, czy jakiemu Sapieżyńcowi *dać guza, dać tynfę!* jak mówi nasz chorąży, zawsze panowie bracia, rzekł tu z zapałém podnosząc buzdygan w górę—*Stemus simul* **). Ja z wami, wy ze mną! *Et porta inferi non prevalebunt!* ***). Dżwęk.—*Vivat* nasz Rotmistrz kochany! *Vivat* Starosta antowilski! wykrzyknięto jeszcze raz na rozstaniu.

Po téj perorze pożegnalnéj, ale treścią i dobitnością słowa, najwłaściwszéj ku zjednaniu zapału i nieograniczonego zaufania szlachty, a dowodzącéj, że Starosta znał dobrze tajemnicę takiéj wymowy i humoru słuchaczy, odjechał on drogą ku Dobrowlanom, a Bekieszka dosiadłszy swego stępaka, rozwinął chorągiew.

— A to na co teraz panie Sebastynie? zapytano. Wojna nasza skończona.

— Dla ostentacyi i honoru JW. Starosty, gdy będziemy wchodzić do wsi jego, a *quis scit* co za górą? Za mną zatém mości panowie.

V.

Kraj jak morze, po przejściu burzy uspakajał się powoli.... partye, jak fale, przed chwilą walczące z sobą, rozlewając się teraz w coraz szérsze tonie, gładziły te ruchome przestrzenie....

Na ziemi naszéj okrutne ślady wojny i spustoszenia, znikały zawsze prędzéj niżeli gdziekolwiek. Na popieliskach wsiów i dworów, gdy rychło odbudowanemi być nie mogły, rozciągały się natychmiast łany bujnych i gęstych zbóż naszych litewskich, pokrywając jakby pięknemi kobiercami zgliszcza i mogiły:

„O jak tu grzmiało straszliwie!
A jaka cisza w téj porze!
Gdzie krew pryskała po niwie,
Trzoda igra.... rolnik orze.... ****)

---

*) Dobrowlany, póżniéj hr. Günthera, należały wówczas do książąt Sanguszków.

**) Stójmy razem

***) A bramy piekielne nie zwyciężą nas.

****) Piosnka dawna—A. G.

I rolnik zawracał skibą ruiny, rozdrabiał na proch urodzajny reszty piecowisk i cegieł, których gdzieniegdzie dobyte dzisiaj pługiem ułamki, udowodniają tylko wątpliwe podania, o istnieniu niegdyś na têm miejscu siedlisk ludzkich.

Tak nikły powoli i ślady szwedzkich tu zagonów; rolnik upewniony, że one przeszły i już nie wrócą, dobywał z ziemi swoje w niéj ukryte zapasy zboża, spędzał z głębi lasów trzody i koniki, krzątał się około swéj chudoby i gospodarki, krzepiąc się nadzieją spokojnego nadal użycia plonów swéj pracy. Panowie ośmieleni powszechném przebaczeniem, ogłoszoném przez powróconego Augusta, wracali także do swych pustych pałaców, i do zwyczajnego pańskiego życia; chłopki zwozili tam skrzynie i kufry ze sprzętami i bogactwami wiernym ich rękom do schowu powierzonemi, szlachta gnieździła się znowu po dworach i dworkach, a domy Boże zabrzmiały na nowo chwałą Jego.

Pan starosta antowilski, najuprzejmiéj przyjęty przez księcia Sanguszkę *) i kilka tygodni w Dobrowlanach przebawiwszy, jesień całą i następną zimę przepędził w podróżach. Był on w Warszawie i wrócił ztamtąd upewniony o względach i wdzięczności króla, a o życzliwości, przyjaźni i protekcyi Fleminga. Starosta nie taił się nawet z têm zjednaniem sobie ministra, owszem tak w pogróżkach na nieprzyjaciół swoich, którzy mu, jak on mniemał, Szwedów na Budziłki naprowadzili, jako i w obiecankach, dla przyjaciół, zwłaszcza gdy się kielichem gniew jego i zuchwałość, lub szczérość i przychylność podniecały, nie omieszkał nigdy, pochwalić się z przyjaźnią ministra ubezpieczającą go w groźnych przedsięwzięciach i zamiarach, lub mającą otworzyć jemu hojną rękę monarchy. Jednało mu to wprawdzie coraz większą konsyderacyę między łatwowierną szlachtą, lecz go w têm większą dumę i zarozumiałość wznosiło.

Wiosna znowu nadeszła, i Starosta z Antowila **), gdzie ciągłą swą założył rezydencyę, odwiedził swego przyjaciela w Dobrowlanach.

Dnia pewnego, książę gospodarz domu, zaproponował gościowi wspólną przejazdkę do Budziłek o mil parę odległych, a w których

*) Wszystko co się tu pisze o związkach przyjaźni Niewiadomskiego z Sanguszką, jest prawdziwe i z pamiętników dawnych wzięte.

**) Majątek pod Wilnem, należący następnie do pana Radziszewskiego.

on od owéj fatalnéj chwili swego tam przybycia, nie postał i o których wspominać nawet nie lubił, bo wspomnienie to drażniło go nienawiścią dla podpalaczy, nie zemszczoną a zatém i nieostygłą.

— Pocóż tam pojedziemy książę? rzekł Starosta wzruszony. Na pogorzelisku, nie będę mógł, ani gdzie, ani czém, przyjąć cię.

— Nie idzie o przyjęcie mój Starosto, chce mi się, prawdę mówiąc, popolować w twoim tam wirydarzu, a gdzieśmy dawniéj lisów bijali.... héj kochany bracie, dodał książę uderzając go lekko po ramieniu; pokój chwała Bogu w ojczyźnie!.... użyjmyż go.... Po niefortunnéj, fortunna nastąpiła alternata..... a nadto zapomniałem cię przestrzedz, że Jezuici Żodziscy zabierają się z tobą do prawa *Circa granicierum*, i bodaj po ten twój wirydarz sięgają; niedajmyż im przynajmniéj źwierzyny w nim będącéj....

— Co... Co książę? po mój gaj?... po mój wirydarz?... wymawiając to coraz z mocniejszym przyciskiem, czerwienił się coraz mocniéj, i znowu po krótkiéj pauzie—Dźwęk! Dźwęk!... wymówił stłumionym i ledwo przez zwarte usta przeciskającym się głosem.... a jednak książę aż się przeląkł, rzuciwszy okiem na twarz jego....

— Szwedzi spalili dwór.... a Jezuici zabiorą ziemię, mruczał daléj z cicha a zapamiętale. Dźwęk!

Uspokój się starosto, przemówił wreszcie książę, postaram się, jako twój prawdziwy a dawny przyjaciel, załatwić ten interes *per viam mediationis*... *).

— Nie książę, nic nie trzeba więcéj, tylko wzajemnie przestrzeż ich książe, że ktokolwiek z nich stąpi nogą napastnie na moją ziemię, już ta noga głowy całéj do klasztoru nie odniesie... Niech się popytają woźnego, który mi niegdyś pozew od nich podawał, gdzie jego uszy?... A choćby to był sam generał ich zakonu, nie tylko ks. rektor Żodziski, to jednak cały nie ujdzie!!... i że daje im na to słowo, Jan Dadzibóg Goleń Niewiadomski, Starosta antowilski. *Verbum* książe! i to mówiąc ujął prawicę Sanguszki, a wstrząsając ją mocno, *Verrrbum!* powtórzył.

Przypomni sobie czytelnik całą opisaną wyżéj postać starosty, a wnet wyobrazi i straszliwość jéj w téj chwili.

— Dość tego, rzekł Sanguszko, popsuliśmy sobie humor niepotrzebnie.... jedźmy do Budziłek: kazałem łowczemu, aby od świtu

---

*) Drogą pośrednictwa.

ciągnął z myślistwem w tamte strony; uderzym w trąbkę po drodze, to się całe skupi około nas, i pociągniemy do twojego wirydarza; spolujem go dziś, a jutro dalsze twoje knieje i jezuickie, za to, że nam na chwilę humor zepsuli.

— Jak to książę? rzekł znowu starosta, jutro? a gdzież nocować będziemy? pod gołém niebem? dla mnie, to mniejsza, więcéj się pod takim dachem nocy z bracią szlachtą pokotem przespało niedawno, niżeli w wygodnych komnatach, ale książę do tego nieprzywykłeś.

— Owszem *Mi Amice!* przeto żem nie wojował, masz mię za piecucha a wszakżem myśliwy *re et nomine* *); wiém zatém z doświadczenia, że po fatygach całodziennych, tak dobrze się śpi na trawie, czy ławie, jakby i na pierzynie. Zapasów zaś na gębę, pełne torby u moich myśliwych; nie troszczę się więc o nie, i na koń starosto! A może Najświętsza Panna, która cudem obroniła się od pożaru, równąż łaską swoją zdarzy nam jaki niespodziany przytułek w twojém starożytném gnieździe?

Starosta pokiwał głową, a jednak oba dosiedli koni i z kilku dworzanami ruszyli w pole.

VI.

Ranek piękny majowy, wesołe okolice w których się zhodował, tam i ówdzie odzywające się trąbki i strzały, rżenie dziarskich koni, cały ruch i swoboda myśliwskiéj ochoty, przypominającéj tak żywo wojenne obróty i życie, rozwiały zasępienie starosty, z którém się na te odwiedziny do siebie samego wybierał, i uspokoiły wzburzoną cholerę na przeciw Jezuitom; oddał się więc rzeźwo zabawie i hasał z księciem po błoniach.

W połowie drogi spotkał ich Bekieszka. Po rozpuszczeniu ruchawki, Bekieszka został przy staroście, a raczéj w dobrach jego, *per modum* rządcy, *per modum* rezydenta, i *per modum* pośrednika między panem i ekonomami; pędził więc żywot pożytecznie wprawdzie dla swego pryncypała, do którego jakeśmy to już powiedzieli,

---

*) Rzeczą i imieniem.

duszą i ciałem był przywiązany, ależ wygodnie i dla siebie; bo na łonie obfitości darów Bożych, jakiemi spiżarnia każdéj pani dyspozytorowéj napełnioną zwykle bywa, w folwarkach zwłaszcza gdzie dziedzic nie miewa rezydencyi. A za toż wieczorem przy słodkim krupniczku, jakże długo i pięknie opowiadał on otaczającéj go z natężoną uwagą domowéj gawiedzi, o cudach swéj waleczności, męztwie w boju, mądrości w radach; lubo wiemy jaką jednostajną zawsze przestrogą rotmistrzowi udzielaną, ta mądrość się objawiała: o rozmaitych dziwniejszych jedno nad drugie zdarzeniach i wypadkach przeszłéj wojny.... O inkluzie *) Karola szwedzkiego i tym podobne.

Ze starostą widywał się on rzadko; podwoził mu czasem do Antowila suplement z intrat, bardzo uszczuplonych po wojnie; zdawał rapport z administracyi folwarków, którego starosta nie słuchał; przechwalał się ze swojéj gorliwości i pracy, na co się starosta uśmiechał, a jednak mu dziękował; i wracał truchtem na swym bojowym niegdyś koniku, na spokojne leże i ekonomskie specyały.

Gdy podjeżdżał do myśliwych, Bekieszka zsiadł z konia, uwiązał go u brzeziny i szedł pieszo do zbliżających się ku niemu księcia i starosty, i z niskim pokłonem u strzemienia każdego z nich, wymówiwszy: *humilimus* JW. Starosty! *humilimus* Księcia Pana! uścisnął oburącz, podane mu uprzejmie przez obudwóch, prawice.

Wśród tego powitania, książę, mrugnieniem niedostrzeżoném przez starostę, dał znak porozumienia Bekieszce, na który on równymże odpowiedział.

— Zkądże to panie Sebastyanie? zapytał Starosta.

— Właśniem zrana objeżdżał pola pańskie w Budziłkach, gdym posłyszał głos trąbki: *Quis scit* co za górą? rzekłem sobie, i zwróciłem się w te strony; wkrótce spotkałem znajomych myśliwych księcia którzy zwiastowali mi szczęśliwą nowinę prezencyi tu pańskiéj, i że się zbliżasz *ad fundum* Budziłek, więc jako wierny sługa, na przyjęcie *adsum;* **).

Bekieszka po téj perorze spójrzał na księcia, jakby zapytując, czy dobrze się zastosował do projektów jego, a potém na starostę, pobudzając go jakby do chluby przed księciem z tak rozumnego sługi.

*) Patrz przypisy.

**) Przybywam.

— Prowadźże nas panie bracie, rzekł znowu starosta, do tego fundum, z fundamentu zniszczonego, w którym się zachciało księciu polować.

Pan Sebastyan na ten rozkaz dosiadł konia i czwałem popędził naprzód, a książę skoczył na bok w knieje.

Zwrót polowania tak zaprowadził myślistwo, że się zbliżono do Budziłek z téj saméj strony, z któréj przed kilkunastą miesiącami, Starosta na czele swego hufcu, tamże przybywał.

Na ten więc sam wzgórek, z którego natenczas kominy tylko swojego spalonego domu postrzegł, gdy teraz znowu wyjechał.... nagle jako i wtenczas osadził konia.... i osłupiał....

Dom nowy stał na zgliszczach dawnego: zniszczenia śladu nie było, wszystkie inne budowy w dawnym kształcie i miejscu; wszystko razem z ogrodem pięknemi sztachetami objęte, a kaplica dachem z miedzi błyszczała. Liczna służba krząta się po dziedzińcu i z komina kuchennego na bankiet się kurzyło.

Zdumienie Starosty, przerwało huczne pojezdne, w kilkanaście razem trąbek, za zbliżającym się na czele całego myślistwa księciem, brzmiące.... a na to hasło, Bekieszka we dworze rozpoczął salwę z kilku moździerzy.

Odgadł wtenczas Starosta i przyczynę upartéj woli księcia bytności w Budziłkach, i że jemu winien jest ten niespodziany a pański prawdziwie podarek i dowód przyjaźni *); zsiadł więc z konia i biegł do Sanguszki, który skoczył również na ziemię, i przyjął go w otwarte ręce.

Uściśnienia czułe dwóch przyjaciół, trwały chwil kilka, i łzami im powlekły źrenice. — Książe! rzekł nakoniec Starosta, czémże ci odwdzięczę?

— Za przysługę zresztą nic nie znaczącą, a nagrodzoną mi stokrotnie twém szczérém uściśnieniem, i ukontentowaniem jakim sam się cieszę, że mi to wszystko wybornie się udało; wdzięczności mi żadnéj nie winieneś, lecz chceszże kochany Starosto, dać mi wzajemny dowód twéj przyjaźni?

— Mów książe! mów! *sic volo sic jubeo* **) a ja gotów....

*) Odbudowanie domu przez Sanguszkę jest prawdziwém, domowa tradycya Niewiadomskich o tém zapewnia.

**) Tak chcę—tak każę.

Nie Starosto, przerwał Sanguszko, *Sic rogo! sic Deus jubet!...**). Na tym wzgórku obaczywszy raz piérwszy pogorzelisko twego domu, zaprzysiągłeś w duszy, jak mi powiadałeś, że wyśledzisz rękę, która pod twój dach pożogę wniosła, i że się zemścisz.... Na tém więc samém wzgórzu, z którego twój dom stojącym znowu widzisz, daj mi słowo rycerskie, szlacheckie i chrześcijańskie, że zemsty się odrzekasz, że poszukiwać nawet nie będziesz sprawców téj nieludzkiéj swawoli.

— Dźwęk! mości książe; tego rozkazu niespodzian byłem.

— I jakiegoż innego spodziewać się mogłeś starosto, od człowieka katolickiego, który codzień mówi: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom"... Wreszcie główny winowajca i sprawca nieszczęść naszych, przypłacił swą zgubą za klęski kraju naszego... wszystko się uspakaja chwała Bogu i godzi. Król przebaczył wspaniale wszystkim... Tyż jeden tylko...

— Dość książe! dość! przerwał wzruszony Starosta. Niech tak będzie jak ty chcesz. Oto moja ręka.... zapominam wszystkiego.

— A ja, rzekł znowu Sanguszko, złączywszy własną z podaną sobie starosty prawicą, nie zapomnę nigdy téj chwili... „*Magna victoria non tam alios, quam se ipsum pervicisse*" **), ty więc starosto wiktoryzujesz teraz najpiękniéj, a głos prawdziwego przyjaciela, był ci w sekundzie!

— „*Eloquentia cum amicitia juncta*"...***). Tu starostapragnący równąż sentecyą zakończyć te solenne ekswiceracye, zaciął się.... pamięć żołnierska w łacinie zawiodła: książe więc, kończąc, *sunt bono duo puncta*, rzekł; i oba znowu się serdecznie uścisnęli; a trąbki wesoło grały bez ustanku, a Bekieszka bez ustanku palił z moździerzy.

---

*) Tak proszę... a tak Bóg każe.
**) Wielkie zwycięztwo, nie tak innych, jak siebie zwyciężyć.
***) Wymowa z przyjaźnią złączona.

VII.

Ze wzgórka dwaj pryncypałowie zeszli do nowego dworu Budziłek; tam przy sutym myśliwskim śniadaniu, Starosta miał co krok powody dziękowania Księciu: potém dalsze poszło polowanie i przeciągnęło się do zachodu słońca.

Nakoniec Sanguszko pożegnał starostę;—chciałem, rzekł on, dziś koniecznie instalować cię w Budziłkach, bo jutro wyjechać muszę na kilka miesięcy do dóbr moich w Krakowskie, i bodaj aż na zimowe wrócę obławy. Więc z dobrą myślą żegnam cię, a bodajbym z równąż tu cię powitał!...

— *Deus te ducat, et reducat!* *) odpowiedział, Starosta i rozłączyli się dwaj przyjaciele, w zamiarze obaczenia się znowu tu.... a w przeznaczeniu gdzie? to obaczemy.

Starosta rozgospodarzywszy się w fortunie jakby nowo nabytéj, im bardziéj był ją wprzód zaniedbał, tém teraz coraz bardziéj do niéj się przywiązywał; lecz samotność ciężyć musiała, człowiekowi do nieustannego ruchu i rozruchu nawykłemu; postanowił zatém huczne do nowego domu wyprawić inkrotowiny, i całą swoją komendę na ten obchód zwołać.

Bekieszka wysłany gońcem, objeżdżał zatém braci szlachtę, zapraszając imieniem rotmistrza na inkrotowiny do Budziłek.

Przybywszy do któréjkolwiek takiéj braterskiéj osady, zbierał wszystkich jéj mieszkańców obojéj płci, do domu którego ze swych przedniéjszych wojskowych kollegów, i tam przy sutym traktamencie, jakim miłego gościa raczono, objawiał cel swego poselstwa, a w dalszéj konwersacyi, rozpowiadał szérokiemi słowy: jak książe cichaczem dom budował, jak to wszystko o jego głowę się opierało, jak rozumnie umiał wszystko ukryć przed starostą, i jak huczno palił z moździerzy rezurekcyjnych, na rezurekcyę spalonego domu.

---

*) Bóg niech cię prowadzi, i odprowadzi.

— Wybierajcie się waspanowie, mówił on, huczno i bunczuczno! dla większéj estymy i rekognicyi naszego pana rotmistrza, i przynajmniéj na cały tydzień z żonkami i konikami.

— Ejże! moście panie, a moje dobrodziczki, dodawał potém, obracając się do gładkich a rumianych szlachcianek, i jedną ręką podkręcając wąsa, a drugiéj dłoń z przysiadkiem ku nim obracając, jakby ich do tańca zapraszał: Ejże dobywajcie z zielonych skrzyń, swoje *szuściki* *) od niedzieli, obuwajcie się w trzewiczki z wysokiemi koreczkami, a utniemy *Lepietuchę* i *Koczerbichę* **) popijając trójniaczek jak mléczko.... Sprowadzimy ze Swira z dziesiątek muzykusów....

— Daj pokój panie Sebastyanie, daj pokój przerwał mu któryś z kolegów, po co tam nasze imoście potrzebne? czy nie wiesz bardzo słusznéj sentencyi:

„Kto żonę szle w biesiady, konia w biegu poi,
„Z żony frycę, a z konia kalekę wystroi ***).

— Niechaj wam Pan Bóg odpuści! Niechaj wam Pan Bóg odpuści! i wasze intencye, i wasze sentencye, i wasze kadencye! mówiły i powtarzały słysząc to, łaknące miodku, a niemające nadziei posmakować go, godne ze wszech miar a dyszkretne imoście..... I proszę panie chorąży dobrodzieju, dodawała nie jedna dygając uniżenie; proszę tylko nie zatrzymywać długo mojego pana Bałtromieja w tym rozgardyaszu, bo z taką fumą i fantazyą panowie mężowie wracają zawsze do domów, że potém dwóm albo trzém sąsiadkom zbierać się trzeba, i to jeszcze z wałkami, aby jednego uhamować.

— No kiedyż sama imość dobrodziczka przybyć do nas nie chcesz, mówił każdéj Bekieszka, dajże mężowi flaszę miedzianą szrubowaną, aby trójniaczku przywiozł i dla żoneczki.

— Na nic to, na nic.... mości dobrodzieju, odpowiadały wzdychając żałośliwie, stroskane połowice, bo powracając.... w drodze.... ach! odszrubuje flaszę!...

---

*) Nazwanie sukni.
**) Tańce staroświeckie, właściwe szczególniéj szlachcie okolicznéj.
***) Z dawnego rękopisu.

VIII.

Tymczasem Starosta w niezupełnie dobrym humorze oczekiwał gości. Sprowadzony bowiem dawny dyspozytor Budziłek pan Huszcza, obszerniéj go zawiadomił o pretensyi granicznéj Jezuitów i dukcie ich, zajmującym nie tylko znaczny obszar ziemi, ale nawet i znaczną część ulubionego wirydarza.

— Stanąłem mówił on, panoczku z przekorą, gdy liniję wycinać chcieli; a w niéj wypisano było: że gdy dziedziczny pan téj ziemi, za *mandatem* królewskim, broni ojczyzny, nie godzi się aggrawować go nieobecnego grabieżą jego ziemi. A że *armata manu* panoczku stanąłem, bo ze sto chłopów ze wsiów pańskich za mną z obuchami i hołoblami zagląda w oczy panu komornikowi, więc i zrejterował się. Miały być potém wizye i kondemnaty, ale żaden woźny nie podjął się téj sprawy, bo każdemu powiedziałem, że za powrótem pańskim, kuso będzie koło Piłata; słyszałem wszakże-że Jezuici mają na nowo prowadzić swoje granice, i czekają tylko sposobnéj pory.

Starosta pokręcał głową.

— Jakież oni mają dowody na nasz las i ziemię? zapytał po niejakim namyśle, nie wiesz?...

— I owszem JW. panie, wiem potrosze, bo potém zaprosił mię ks. Rektor w niedzielę z kościoła na posiłek; nie przystałem od razu, ale nakoniec ustępując gorącym molestacyom, poszedłem przecie do klasztoru. Raczono mię *honeste*, a potém ks. Rektor zaczął mi bardzo *moderate* justyfikować komornika, że on idzie zawsze w takim razie w ślad za dukumentami i za dekretem sądowym, rozkazującym mu odprowadzać dukta stron obu, których sprawiedliwość każda strona ma prawo dowodzić; że więc oppugnować go i zaprzeczać drogi, a tém bardziéj stawać jakby zbrojno, jest buntem przeciw prawu; że więc w takim terminie, mógłbym odpokutować wieżą *in fundo*, i sowitą grzywną... Ale ponieważ zna mnie być człowiekiem poczciwym i pobożnym, ponieważ byłem niegdyś ich dyscypułem, więc ks. Rektor ten raz mi przebacza, i kończy na duchownéj admonicyi, w nadziei, że drugi raz tego nie uczynię.

Ja zatém uniżając się do nóg księdzu rektorowi, ale nie aprędując wcale jego tumanów, któremi oczy mi zamydlić chciał, rzekłem: że jako poczciwy sługa, ja bronię własności tego, czyj chleb jem; a jako szlachcic *et quidem*, nie lękam się wieży ani prawa bo w niém stoi: *„neminem captivabimus, nisi jure victum“* o czém i ks. Rektor dobrodziéj wiedzieć musi. A panu komornikowi nie życzę drugi raz probować swoich delineacyi; bo albo znowu daremną odbędzie do naszego boru wędrówkę, albo na jego instrumenta ja moich użyję.... a nakoniec zapytałem ks. Rektora, zkąd to prawo ichmościów do naszéj ziemi i lasu, które od niepamiętnych czasów do Budziłek należą?

— Przekonam cię, rzekł natenczas ks. Rektor, że mamy dowody, jako ta ziemia należała niegdyś do Żodziszek i wyszukawszy w szafie między papierami jakiś stary mantyk: oto jest, rzekł dawne ograniczenie Żodziszek, słuchaj waść:

„Przyszedłszy do trzech plit kamiennych wielkich, na których krzyże są wybite“...

— Waszmość wiesz zapewne ubikacyę tych trzech plit? zapytał mię ks. Rektor.

— A wiem mości dobrodzieju, odpowiedziałem, bo one są właśnie teraz graniczne między nami.

„Prolonguje się (czytałem daléj) granica na zachód słońca, jakby na strzelenie do czapki“ *).

— Na strzelenie do czapki? co to ma znaczyć? przerwał Starosta.

— A tak panoczku tak stoi w ich ograniczeniu. Otoż oni mają jakąś flintę tak okrutną, że gdy z niéj Siemaszko, ekonom ich z Tupulszczyzny, wypalił od plit w dyrekcyi na zachód słońca....

— To trafił w *centrum* słońca, he?

— Nie panoczku, ale trafił jak powiadają o kroków jakich dwieście do czapki, powieszonéj na sęku w naszym borze. *Relato refero*, ale to pewnie, że ta próba była, nim się Jezuici do processu zabrali; daléj czytał mi ks. Rektor:

„A ztamtąd kręto na południe, idzie granica do wodocieczy, jakoby na stajów pięć.“

— Otóż tym zakrętem panoczku, zajmują oni z połowę naszego

---

*) Patrz przypisy.

lasu i pola nie mało: a gdzie ta wodociecz, to wie chyba Pan Bóg i księża Jezuici.

Starosta kiwał głową, potém pokręciwszy a raczéj targnąwszy wąsa: Dźwęk mosanie! wykrzyknął, oni do czapki, a ja do łbów palić będę każdemu, kto napastnie stąpi nogą na moją ziemię!...

— Wszakże, mówił daléj Huszcza, ks. Rektor konwinkując mię dokumentem tym, powiadał; że nie chce wcale certować processem z JW. panem, że nawet nie zacząłby tego processu, lecz że fundatorka ich Minkiewiczowa *), już się o to z ojcem pańskim prawowała, i im Jezuitom razem z fundacyą i tę mitręgę wniosła: że owszém wolałby i życzył, załatwić to spokojnym i zgodnym trybem; ale że dla saméj wiadomości o co rzecz idzie, niepowinienem przeciwić się przeprowadzeniu duktów... Lecz ja i słuchać daléj nie chcąc, ukłoniłem się na *Valedykcyę* i rzekłem *„Reverendissime pater!* Huszcza, nie puszcza! i wyszedłem.

IX.

Obniosłszy rotmistrzowskie wici, Bekieszka wrócił do Budziłek. Nie łatwą dziś dla kogokolwiek byłaby funkcya gospodarowania dla tylu i tego rodzaju gości, jacy się zgromadzić mieli; ale pan Sebastyan mistrz zawołany i prewodytor sejmikowych partij, doświadczeńszy teraz świeżém obozowém życiem, obmyślił wszystko i wszystkiemu wystarczył.

Pożar i rabunek pozbawił główną tę rezydencyę Starosty, wszelkich sprzętów, ruchomości i naczyń, od bogatych jego antenatów nagromadzonych, najliczniejszym niegdyś bankietom wystarczających; brak ten zastąpił Bekieszka, nawiozłszy furami z włości garnków, misek glinianych, drewnianych talerzy i łyżek secinami; a zapraszając jeszcze szlachtę mówił każdemu: „miejże panie bracie nos i gębę, to koniecznie, a reszta jak sobie chcesz.“

Ale najgruntowniejszy rozmysł i dowcip okazał on w zaradzeniu najważniejszemu niedostatkowi. Gdy wracał bowiem ze swéj wędró-

*) Barbara z Komarów Minkiewiczowa z synem swoim księdzem S. T. Adamem Minkiewiczem fundatorka Kollegium Vorbipolitani (?) albo Żodziscensis.

wki, przyszło mu do głowy pytanie: „czémże pić będą?“ wstrzymał więc stępaka.... zadumał się... Szklanek z całéj okolicy tyleby nie dostał, i wszystkieby pobili...

Nagle wielką myślą natchniony, uderzył dłonią w rozumne swe czoło i z chlubą przed sobą samym wykrzykując: „Nie darmo mówią *piper et papaver!*“ zawrócił się do Krewa, od którego był właśnie o milę tylko.

Miasteczko to od najdawniéjszych czasów, i teraz jeszcze przez samych garncarzy zamieszkane; przodkowie ich może do kuchni Kiejstuta czy Jagiełły robili garnki; tam więc zebrawszy ich wszystkich i płacąc sowicie, w przeciągu dwóch dni, cały wóz pięknie polewanych kubków, za sobą wyprowadził.

W Budziłkach na miejscu ostróżnie od ognia wybierając pozycye, pozakładał kuchnie, postroił szałasze na odpoczynek, i liczną z rzeźwych chłopaków wiejskich sformowawszy służbę, z zadowolnieniem i zaufaniem czekał gości.

Jakoż w dniu naznaczonym, zaczęła się zgromadzać i pieszo i konno, i kałamaszkami na te huczne *inkrotowiny*, bracia szlachta, nie dawno podkomędni starosty. Każdego witał on najkordyalniéj nazywając po imieniu, wypytując się o zdrowiu imości i godnych konsolacyi... lub przypominając każdemu różne wojenne zdarzenia razem przebyte. Każdy zatém ukontentowany wchodził do izby; a tam znowu kielichem gorzałki na wstępie i na dobre zdrowie przez Bekieszkę, jako marszałka tego bankietu, przyjęty rozgaszczał się na jego prośbę, to jest odczepiał szablę i stawił ją w kącie; tak, że w krótkim czasie hurt szabel wszystkie kąty zawalił.

Więc zaczęły się traktamenta, to jest, przedobiedne zwyczajne pobudzenie i wspomaganie apetytu, a gęste: do Wasana! wśród wrzawy i gwarów, jak *salwy* wystrzelając z tłumów, pędziły czarkę z ust do ust i z ręki do ręki.

W tém przerwał ochotę zajeżdżający przed ganek powóz, i wysiadający zeń przystojniejszéj postaci i znakomitszego stopnia jegomość. Niespodziane te odwiedziny, zdziwiły nieco Starostę, tak jak tłum zgromadzony zdziwił gościa... Oba te wrażenia wydały się na twarzach witającego i witanego; lecz po chwili spójrzenia ciekawego na siebie, uścisnęli się czule, i długie, jak powiadali, niewidzenie się swe, wzajemną uprzejmością nagrodzić chcieli. Szlachta wszakże

z ukosa poglądając na przybysza, nie wielką dlań skłonność czuć zdawała się.

Był to pan Koszczyc, o mil kilka mieszkający od Budziłek, ale sąsiad blizki innych dóbr starosty, niegdyś kolega szkolny i zażyły jego przyjaciel; nim się potém w rozdwojeniu narodu, i ich zdania i działania nie rozróżniły.

Pan Krajczy (to był urząd i tytuł Koszczyca) był stronnikiem Stanisława Leszczyńskiego, i za nim wszędzie publicznie stawał; lecz dziś gdy się wszystko w kraju jednoczyło i godziło, on do dawnych ze Starostą zatęsknił związków, i przybył umyślnie aby je odnowić; co gdy mu otwarcie i serdeczném słowem oświadczył, wzruszył go do głębi; więc oba ze ściśniętemi przyjaźnie prawicami, weszli do izby.

— Oho! pan Krajczy! mruczała szlachta, bo on był powszechnie znanym, pan Krajczy wykroiłby nam kurtkę, gdyby się jego praktyki udały. Patrzajcie jaki teraz pokorny, przyjechał godzić się z naszym Starostą!... a wartoby się zapytać jegomości „*Ubi fuisti* dobrodzieju, kiedy Budziłki palono? możeś główne pod kaplicę nosił?“

— Dajcie waćpaństwo pokój, odezwał się Bekieszka, nie znacie krajczego, on do takich zbytków i *exorbitancyi* należeć nie może. To zacny pan, a rozumny, oho?...

„*Vir honestus castus,*
„*Paucissimis cybaminis pastus!* *)

rzekł on podnosząc palec w górę.—Rozumiecie waspanowie czy nie, bo to jezuicka sentencya, ale to znaczy że pan Krajczy wielki sensat i statysta... Panie Hołubic do wasana!.. tak stłumiwszy rozterkę w zawiązku, rozkazał zastawiać stoły.

Wnet potężne garnki krupniaków i juszników, szerokie misy, pełne wszelakiego pieczonego i gotowanego mięsa, nie mniejsze kołdunów, szałtanosów i kiełbas, rozpostarły się na stołach i łechcącą wonią wzniecały pokusę gości. Bekieszka ustawiał w rzędy krewskie kubki; a szlachta krążąca około, połykała ślinę, muskała wąsy, i pasąc się tym miłym widokiem, dobywała nożów z kieszeni czekając na ostateczne zaproszenie, do stołu!

---

*) Mąż zacny i czysty, Najdelikatniejszemi potrawkami karmiony.—Znaczy toż samo, co nasze przysłowie: *Szpakami karmiony.*

Jakoż wyszedł z osobnéj komnaty, w któréj się z krajczym zabawiał starosta, i z uprzejmym ukłonem rzekł: „mości panowie bracia! suplikuję uniżenie, na co Bóg dał. Panie Sebastyanie traktuj przyjaciół.“

Bekieszka upoważniony tak od mecenasa, jakby na kontynuacyę tych zaprosin, wskoczył na stołek i donośnie zawołał:

„Hościu nie dmisie!
„Jesz szto u misie!!! *)

— *Bo quis scit* co za górą?

Na to rubaszne hasło, a dobrze wszystkim natenczas znane bo służyło za *przynukę* w bankietach, szlachta runęła do stołów.

Tymczasem Starosta z Krajczym, w osobnéj, jakom to wyżéj powiedział zabawiali się komnacie; prowadząc przy szklankach węgrzyna, polityczną wprawdzie niezgodną, ale spokojną rozmowę.

Nowe w kraju wynikły scyssye. Sasi nie chcieli ustępować z granic królestwa, i August nie ustalony jeszcze gruntownie na świeżo odzyskanym tronie, nie śpieszył się z ich wyprowadzeniem. Ciężkie prowidowanie i utrzymanie wojska, po wyniszczeniu tak srogą wojną mieszkańców, obudzało skargi coraz wzmagające się i coraz groźniejsze na króla w ogólności, a w szczególności i najbardziéj na Fleminga, którego wiedziano być duszą rad i wszelkich czynności monarchy. Rozruchy te i niesnaski, a wśród nich rozmaite układy, traktacye, związki i konfederacye, zajmowały wyłącznie Koronę, gdzie Sasi rozkwaterowani byli; lecz dochodząc w wieściach i intrygach aż w głąb Litwy, rozbudzały nadzieje jednych, uspokojenie drugich, a wszystkich drażniły obawą nowych w kraju zamieszań i nieszczęść.

Dla tego też stan taki Rzeczypospolitéj, był powszechną wszędzie treścią i temą dysput i sprzeczek, które popsuły nie raz harmonię nie jednego zebrania, i nie jedne prawice ku jednaniu po świeżych kłótniach zbliżone, na nowo rozprzęgły.

---

*) U jednego z przyjaciół dziadka mego, w izbie stołowéj, na poprzecznéj belce, a zatém nad samym jadalnym stołem, czytałem niegdyś to godło głęboko wycięte. Gospodarz zasiadającym gościom do obiadu, zamiast zaprosin i przymusu, wskazywał palcem tę belkę.

I Starosta więc z Krajczym o Szwedach, o Sasach, o królu Stanisławie, o królu Auguście, o związku wojska koronnego pod laską Gurzyńskiego na przeciw Sasom, rozprawiali.... a wszystkiego złego przyczyną, pan Koszczyc naznaczał Fleminga.

Bronił jak mógł Starosta swego przyjaciela i pryncypała, hamował się w zapędach, gdy go Krajczy w zapale dysputy Niemcem, szołdrą, i zdrajcą ojczyzny, która go przyswoiła nazywał. Wychodził pokilkakrotnie do szlachty, już to, aby tém wyłączeniem się od niéj nie ubliżyć braciom i jéj nie obrazić, już to szczególniéj, aby ochłonąć z płonącego mu w głowie gniewu, i we własnym domu nie znieważyć urzędnika, sąsiada i niegdyś przyjaciela, a rozumem i znaczeniem publiczném słynącego powszechnie. Ale dzień ten musiał być zapisany fatalnym w horoskopie Starosty... Wycieczki te nie tylko nieochładzały, jako sobie życzył, krwi jego, ale jeszcze bardziéj mu ją wzburzały; bo ile się tylko razy pokazał między szlachtą, ta go z wesołemi i serdecznemi okrzyki otaczała w około, chwytała na ręce, podrzucała w górę, hucznemi wiwatami głuszyła, i zmuszała za każdym razem wypić kufel trunku, jaki na tę chwilę był u nich w rękach. A tak Starosta wracał z mniejszém jeszcze usposobieniem do pobłażania, z gorętszą głową i ze swarliwszym humorem, niżeli wyszedł: gotowy już był proch we krwi jego, iskry tylko potrzeba było....

— A wiesz Starosto, rzekł Krajczy, pociągając ze szklanki, jaką Koroniasze dają receptę na wyleczenie Rzeczypospolitéj, i na uspokojenie jéj zupełne?

— Cóż takiego mądrego? pomruknął Starosta? wychylając duszkiem swoją lampkę.

— Mądrego i bardzo mądrego—nawet *poesis* i *acuminose!*

— *Poesis* i *acuminose!* powtórzył Starosta.—Oto powiadają oni tak, i już to u nich przysłowiem:

„Najlepsza do pokoju byłaby arynga,
„Gdyby do Kenigsztejnu zasadzić *Fleminga*“ *).

— Dźwęk! wrzasnął Starosta, że aż odskoczył odeń Koszczyc. Dźwęk! Niechże mię wszyscy djabli porwą z duszą i z ciałem, jeżeli dalej wytrzymam!... Panowie bracia! krzyknął potém rozpierając drzwi na wścieżaj; nalewajcie spełna i ku mnie!.. Sam nalał swoją szklankę, i drżącą ręką napełniając szklankę krajczego, rozle-

*) Z rękopisu tamtoczasowego.

wał wino po stole. Koszczyc patrzał na to z zadziwieniem, ale spokojnie.

Szlachta czerpała, toczyła, chwytała kubki, dzbanki, kieliszki, miski nawet, i z pełnemi tłoczyła się w kupę około Starosty; a on jedną ręką wzniosłszy swą szklankę w górę, a drugą groźnym giestem wskazując Krajczemu przygotowaną, i ogniste weń utkwiwszy oko:—„Piję, rzekł dobitnym wyrazem, piję zdrowie JW. Jakóba Henryka hrabiego Fleminga, walecznego feldmarszałka wojsk saskich, a razem Podskarbiego Wielkiego Księstwa Litewskiego! wiernego sługi Rzeczypospolitéj i Króla pana naszego! a mojego przyjaciela!... *Vivat!*"—

— *A kto nie wypije!... Dźwęk!...*

— *Tego we dwa kije!* ryknęła chorem szlachta.

Łupu cupu! cupu łupu!
Tego we dwa kije!

Zwrótka téj dawnéj hulackiéj piosenki, którą tylko co szlachta zachęcając się do pijatyki śpiewała, trafiła jak raz szczęśliwie, i przerwała odkazankę Starosty; bo raz ją wyrzekłszy, nieodstąpiłby potém. Spełniono zdrowie....

Szklanka Krajczego stała nieporuszona.—

— Nie pijesz mości panie Krajczy? zawołał Starosta pieniąc się ze złości, i tupając zapamiętale nogą. Dźwęk! nie pijesz?

— Nie piję—odpowiedział spokojnie, lecz z powagą Koszczyc.— Nie piję, bom się nie spodziewał, aby równy mnie obywatel, szlachcic i zacnych antenatów potomek, odważył się splamić dom i imie swoje gwałtem!—Osłupiony Starosta tą spokojnością, i słowami mądremi Koszczyca, stał chwilę jak wryty... Porwał potém szklankę Krajczego—Dźwęk! wrzasnał—i cisnął ją na ziemię, a ta rozpryskując się na setne szczątki, powtórzyła jakby echem Dźwęk!...—a teraz mości Krajczy!...

— A teraz, krzyknął Bekieszka, stojący w piérwszéj izbie na stole, i tym sposobem górując nad całą gromadą zbitą u drzwi drugiéj, i przerwał Staroście:—A teraz mości Krajczy, *Fora ze dwora!*— *Fora ze dwora* huknęła za nim szlachta kto nie z nami, ten przeciwko nam! *Fora ze dwora!*—wrzeszczał nad innych Bekieszka, bo *quis scit* co za górą! Koszczyc w téj gwałtownéj niby odprawie, zgadł łatwo trzeźwą wśród pijanych, roztropność Bekieszki; nie dał więc sobie tego powtórzyć, wziął czapkę, ukłonił się Staroście, i korzystając ze drzwi, które miał za sobą, do bocznych sionek pro-

wadzących, wyszedł.... zostawując Starostę nieopamiętanym z gniewu, ale niewiedzącym czy gonić, czy zostawić mu *salvę* swobodnéj ucieczki?

Bekieszka nie dając czasu do namysłu, i stojąc zawsze na stole: otóż, rzekł, pan Krajczy dobrodziej skonfundowany, *fugam dedit coelum cancer!* *) to jest uciekł nieboraczek.... a z tego powodu powiem waszmościom kazanie...

— Z jakiego powodu? krzyknęła szlachta, co to za powód? Słyszeliśmy już nieraz to waspana kazanie, przypinałeś one do każdego powodu w obozie jak kwiatek do kożucha, i plotłeś jak na mękach...

— To nic nie szkodzi, odpowiedział Bekieszka; to nic nie szkodzi. Obrok duchowny mości panowie, to grunt! ja ze sto razy słuchałem tego pięknego kazania nim się nauczyłem na pamięć, więc oddaję tylko za swoje i nieuważając na żadne protestacye, z széroką giestykulacyą perorować zaczął.

„Najmilsi słuchacze **). I róg nie zawyje kiedy weń nie zadmuchasz! napisał myśliwy Marek *in capite stultorum*, to jest na twardym marmurze, zabiwszy łosia w niepołońskim lesie."

„Nie trzeba do cudzych krajów jeździć, bo i tu w dzień słońce, a w nocy miesiąc świeci, *proxima ardent lumina!* Darmo się polityczne subjekta codziennie w oczach ludzkich z nową popisują manierą, kiedy rzymski Cycero nie mógł przebić muru swoją łysą głową. *Nec hercules contra plures!* co kraj to inszy obyczaj. *Quis, quis suum laudat!* Nie podobała się na puszczy Żydom manna, *non omnibus apta*, i dla tego i teraz kiełbas nie jedzą, *caro, nisi cibus!* Dawna starożytnych filozofów sentencya teraz się prawdzi *nemo mortalium omnibus horis sapit:* to jest, nie każdy śpi co chrapie, a Chaldejczyk czyta: koń dychawiczny sapie! Matematycy powiadają, że kiedy słońce w znaku barana, natenczas koza miodu nie pije, zkąd ja wziąwszy *motivum* dowiodę wam króciuteńko, najmilsi słuchacze, że wilk przez posły nie tyje—i zaczynam: Cyrus król hiszpański, miał ten zwyczaj, że śpiąc nie patrzał; na co w te słowa ubolewa Psalmista.—*Oculos habent et non vident!* oczy mają a nie

---

*) Uciekł nieborak; *coelum* niebo, *cancer*—rak, a tak *coelum cancer*, dwa łacińskie słowa wytłómaczone ściśle na polski język, właściwym tamtoczesnym dowcipem oznaczały się: *ibit sibi coelum cancer*—szedł sobie nieborak.

**) Patrz przypisy.

widzą.—A cóżby o teraźniejszych czasach mówić, o których prorokował Dedalus burmistrz ateński.—*Seculum erit depravatum!* jakoż jawnie to widziemy, że złość żydowska dotąd nieustaje, ale codziennie oszukuje ludzi: *bibunt iniquitatem sicut aquam!* Cyganie konie kradną, *et populi Etiopium.*—Lutrzy w sobotę mięso jedzą: *O tempora! o mores!!!* Obaczywszy Izrael Machabejczyka, kazał go zaprowadzić do żydowskiego miasta, aby Filistyńskie z wieży pastuszéj obaczył wojsko, aż patrzajcie jaka zdrada. Judith ucięła głowę Holofernesowi, *et sic pereunt felicia regna!* Kiedy budowano babilońską wieżę, Daryusz z łyséj góry taczkami kamienie woził a Dydimus z Zalesia glinę, i niedokończywszy fabryki, poszli na lelowskie piwo; na co *Cornelius a lapide* pisze, *coepit aedificare, et non potuit consumare:* a Hebrajczyk text czyta, *proxima te cape*, na głupich wszędzie kapie—*Pitagoras* rybak żeglując po morzu, usłyszał na Farnawskich górach pięknie śpiewające Syreny, a *Eskulapiusz* mydlarz, zrobił tak misterną kłódkę w Atenach, że jéj nikt bez klucza otworzyć nie mógł i nie potrafił, o czém gdy dano znać *Mahometowi* królowi syryjskiemu, posłał mu on śledzia żywego w dyamentowéj klatce, aby go nauczył francuzkiego języka, i za to dostał on przywiléj dla *Brazylji*, stolicy *Solimacha* króla cygańskiego, od nieboszczyka *Ameliana* Burmistrza, że tam psy ani cła pobramnego nie dają, ani od przewozu płacą. O szczęśliwe to kraje o których *Eneasz* prorokował w te słowa: *Aurora Musis Amica!* Ale cóż? kiedy *Origenes* odpowiada: *cui contigit nasci, restat mori!* co ażebyście wszyscy zrozumieli, oczewistém moi mili słuchacze, tłómaczę wam słowem: nie trzeba kpów siać, sami się rodzą! Hermolaus filozof...."

— Dość, dość, krzyknęła szlachta, śmiejąca się do rozpuku, szczególniéj z postaci rozkiełznanéj i krzyżującéj się we wszystkie boki kaznodziei. Dość, a odwilż gardło.

— Dobrze, odwilżę gardło, i nos utrę podług reguły i zwyczaju ichmość kaznodziejów, rzekł Bekieszka, przyjmując podaną konew, a myśląc że Koszczyc już daleko.

Starosta tymczasem wypił nagle, jakby z gorącego pragnienia, jedną po drugiéj dwie szklanki trójniaku, padł na széroki zédel, i oddychał, a raczéj sapał gwałtownie, słuchając niby kazania, a mrucząc przez zęby i z przyciskiem: „do Kenigsztejnu Fleminga!!! ze wzruszenia, złości i trunku, głowa mu gorzała, i pot bujnemi kroplami ciekł z czoła.

— A zatém najmilsi słuchacze *część druga!* odezwał się Bekieszka na stole:

— „I któż tu już? chyba twardsze nad kamień mający serce nie wzruszy się do pokuty, za ów występek i kryminał, wielkiego i całemu światu znajomego Macedoniéj króla Alexandra, który przyjechawszy do wyspy *Rugen* po gontowe goździe, zapomniał kupić kleszczów; a gdy mu nie stało multańskiego tytuniu, wyprawił obligosów swoich do Tyru, z surowym w te słowa ordynansem, *Titire! tu patule.* Ty tyrze! ty graj na lirze! potém wielce rozgniewany, że ich tam kwaśnym piwem poczęstowano...."

Tu przerwał zbliżające się do końca kazanie, zadyszany chłopiec i krzyknął: gwałt! dobrodzieju. Jezuity zabierają nam ziemię i las dworny; przeciągnęli już sznurem żelaznym nasze sianożęcie, a wiadomo, że gdzie taki sznur przejdzie, tam trawa nie rośnie....

— Co? Jezuici zabierają las i ziemię? wrzasnął zrywając się Starosta, co ty pleciesz chłopie?

— Dalibóg panie nie plotę! Spędzili ludu jak mrówia, zastąpili wszystkie drożki do dworu; ja chyłkiem pełznąc pod płotami, ledwo dostałem się do lasu, a z lasu tutaj; na przedzie idzie sam ksiądz, a w wiosce i wszędzie hałas, tertes dobrodzieju, tak że my rozumieli, że znowu konfederaty idą!. .

Nieochłoniony z piérwszego z Koszczycem impetu, rozpalony trunkiem i nieprzytomny prawie Starosta, jęknął zajadle tak, jak gdyby go sklepienie domu przygniotło; chwycił z kołka muszkiet, pchnął chłopa przed siebie, i lecąc za nim przeze drzwi, wykrzyknął: „kto mój ten za mną!..."

Szlachta rzuciła się do kątów, i rozchwytała pałasze; wrzeszcząc zajadle pijaném gardłem: ha! *lojolińce* chcą ziemię naszego rotmistrza zabrać? Niedoczekanie! nieopuścim naszego hetmana! Na koń! Na koń! za nim!

Bekieszka wśród tego nagłego zamieszania, które w mgnieniu oka się stało, nie miał jeszcze czasu zleść ze stołu, i stał nad tłumem wysoko, jakoby zastygł w rozkrzyżowanéj postaci, na któréj go przerwano... Nakoniec opamiętywając się i widząc co się święci, a na co się zanosi, pomyślał że i teraz znowu uda się mu zręcznym konceptem zapobiedz gorszéj awanturze: „Mości panowie za„wołał zatém, co się wam dzieje? bieżmy za Starostą ale na co te szable? Tam gromada cała *Generys chamutyni*, dość na nich pałek i kijów."

— A *quis scit* co za górą, panie chorąży? odpowiedział ktoś z tłumu, — alboż chłop obuchem tak ci makówki nie rozsadzi, jak ty *Czetnikiem* *) alboż to ręka szlachecka do kija? Tfu! wstydź się panie Suroż!

— Nie udało się, pomyślał Bekieszka, zeskoczył zatém ze stołu, i z całym tłumem biegł za Starostą, chcąc go najpiérwszy dopędzić i hamować. Lecz zapamiętały Starosta, porwawszy konia któregoś ze swych gości, wpadł nań i pędził do lasu, za którym była dyferencya; chłop leciał na drugim... i szlachta więc toż samo zrobiła, a tak liczna oklep kawalerya, puściła się za nim w tropy.

Wązka ścieżka wijąc się po lesie, jednemu ledwo jezdcowi dozwalała biedz po niéj; długi więc i ruchomy sznur jezdców, przewijał się jak wąż w skrętach, którego głową był Starosta, a żądłem śmiertelnym, muszkiet ołowianym pieńkiem nabity.

Bekieszka lecąc jak drudzy, uspakajał się myślą, że choćby Starosta i wystrzelił, to z konia, i nie pewną od kufla tylko co oderwaną ręką, spudłuje pewnie. Chłopi jezuici uciekną, a komornika i księdza zabiorą w niewolę, i będą oni musieli wysłuchać za pokutę jego kazania... ale temu wybornemu planowi kampanji, los fatalny inszy wcale dał obrót....

Hałas, który się daleko od lecącéj szlachty roznosił, zastanowił komornika i tłuszczę włościan za nim idącą, właśnie na wejściu z przeciwnéj strony do lasu. Ksiądz administrator dóbr klasztornych był razem; uradzono tam bowiem wybrać dzień ogłoszonych okolicznie inkrotowin, w którym Starosta, zajęty gośćmi i hulanką, mniemano że nie dowie się nawet o przeprowadzeniu duktu. Zebrano włościan, dla strzeżenia wszystkich dróg i ścieżek, prowadzących z bliskich wiosek do dworu, i niedopuszczenia tam wiadomości, że się linija wyrębuje w las, do punktu wprzód próbą strzału do czapki, oznaczonego. Ksiądz administrator zaś szedł szczególniéj na to, aby w razie odsieczy Starosty, niedopuścić żadnego gwałtu ni boju, owszem uśmierzać włościan, zwykle w takich zdarzeniach zajadłych, i zapamiętale do pobojów się rwących; missya więc jego w sprawie wątpliwéj, była wszakże w dobrym celu.

---

*) *Czetnik*—nazwanie klingi pałasza, oznaczający pewny gatunek téj broni.

Usłyszawszy krzyk w lesie i tentent koni, ksiądz i komornik zgadli, że ktoś się wykradł z oblężenia i uwiadomił dwór; stanęli więc na miejscu, i strwożeni włościanie skupiali się za nimi.... W tém wypada z lasu Starosta.... strzał się rozległ z rąk jego... Jezuita padł na ziemię!...

Fatalność tę kulę niosła... Starosta w pędzie trzęskiego konia, nie widząc prawie, i miotany zapalczywością. nie mógł regularnie dotrzymać celu, a jednakże wbił pieniek w pierś kapłana.... *).

Chłopi na ten widok, i na widok szlachty licznéj z pałaszami lecącéj, sypnęli się w ucieczkę; za niemi szlachta przypominając sobie komendę „*z kopyta*“ rozbiegła się po polu, a kilku tylko i Bekieszka, przypadli ze Starostą do Komornika klęczącego już nad księdzem i usiłującego dać mu jakikolwiek ratunek.... Starosta leciał doń jeszcze zapamiętały... lecz na widok krwi lejącéj się strumieniem z piersi księdza — na widok jego konwulsyjnego konania... stanął nagle.

— Co to jest? rzekł nie myśląc nawet co mówi, i nie rozumiejąc co widzi.

— Zabójstwo panie Starosto — odpowiedział Komornik — kryminał, i na poświęconéj osobie kapłana!... Ratujcie dla Boga!... Ratujcie dla Boga! Ratujcie jak możecie!....

— Któż go zabił! rzekł prawie obłąkany Starosta.

— Kto? odparł Komornik spójrzawszy z gorzkim uśmiechem na pytającego — Kto? ten co strzelił doń z lasu!...

Témczasem szlachta zrywała sobie chustki z szyi; Bekieszka rozdarł sukienkę kapłana, obwiązywał go chustkami, operował rozmaicie, chcąc zatrzymać krew, a z nią upływające życie — ale napróżno!

Ostatnie wysilenia umierającego były okropne... życie uderzone nagle i w czerstwości wszystkich swych sił i władz, w każdym członku ciała, w każdym nerwie, passowało się ze śmiercią i nie dawało się łatwo niweczyć,... ztąd okrutne cierpienia i męki konającego w konwulsyjnych drganiach i kurczach, przerażały otaczających....

Starosta, którego ta jedna chwila roztrzeźwiła zupełnie, stał ponury i milczący ze wzrokiem wlepionym w umierającego, a przez ten wzrok osłupiały, wpajał się w duszę jego i zastygał tam w niestartych i krwawych piętnach, straszny obraz boleści i mę-

*) Prawdziwe.

czarni, których był sprawcą.... Dreszcz zimny wstrząsał nim, lub na przemian ognista czerwoność rozpalała się na twarzy i nikła wnet w trupiéj bladości... a umysł obłąkany i zmęczony, nic jeszcze rozplątać, rozważyć ani skupić nie zdołał.

Témczasem ktoś podniósł dzbanek wody o którą Komornik od początku wołał; wlane kilka kropel w usta orzeźwiły umierającego.... zwrócił on wpół-obumarły wzrok na Starostę... potém złożył ręce jakby ku modlitwie przy ołtarzu, i gasnącym głosem:— „*umieram*.... rzekł— i ... *przebaczam*“ ręce mu opadły... konał....

Bekieszka ocierając łzy wołał: „mów Jezus Marya, mów Jezus Marya!...“ Dosłyszał jeszcze i zrozumiał on te święte i zbawcze imiona, do których w codziennych myślach swych i modłach jako kapłan nawykł, i ledwo je wyjęknął.... już Bekieszka oczy mu zaciskał — lecz zdrętwiałe powieki nie dały się zaciągnąć, a tak z otwartą i straszną źrenicą, został trup na ziemi i na przerażonéj wyobraźni zabójcy!

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Powieść nasza odtąd składać się będzie z przerywanych obrazów, jako i życie jéj bohatera, z okresów i części jawiących się przerwami tylko w podaniach za treść mi służących. Ponura pomroka oblekła tego człowieka, a razem lica jego i czoło, na którém dotąd często, niezhamowanych zapędów, gniewów i namiętności, głębokie bruździły się ślady, lecz też częściéj swoboda i szlachetność jaśniały.... Po skonie kapłana, powracał on w milczeniu i pieszo do domu, i wtenczas ledwo rozważać zaczął stan rzeczy obecnych i swój uczynek. Któryś szlachcic z tłumu przed chwilą tak hucznego, a teraz idącego za starostą w równémże z nim zamroczeniu, odezwał się wprawdzie, wrzekomo dla orzeźwienia ducha i humoru: I cóż to osobliwego? lazł Jezuita na cudze pole, więc niech go teraz w kopcu granicznym zagrzebią, lecz nikt ani się uśmiechnął, na ten ladajaki koncept, a każdy potrząsł tylko głową. Bekieszka nawet kiwając nią smutnie rzekł: „*Fallax fortuna fefellit!*“ Starosta zaś ani się obejrzał.

Przerwały się więc w dniu piérwszym i fatalnie inkrotowiny, mające trwać cały tydzień; część gości milczkiem i bez pożegnania, a część żegnając czuléj nawet niż zwykle Starostę i zaręczając mu w téj jego złéj dobie, jednostajną zawsze życzliwość i gotowość na zawołanie, rozjechała się do domów. Został tylko sam jeden i nieodstępny jego przyjaciel i sługa, *Bekieszka*.

Smutném jest spójrzenie na człowieka złym losem dotkniętego, a smutniejszém jeszcze, gdy się spójrzenie to, aż do wewnątrz jego zaciska!!! Walki tam, udręczenia i burze, miotające sercem i umysłem: i czy to tłumione, że tak powiem, w głębi i umykające się ludzkiemu politowaniu, czy gorzką łzą wzywające współczucia, póty nie zgniotą zupełnie duszy silnéj, lub tkliwéj, póki cierpienie nie jest zgryzotą... póki głos tłumiony często, nie umilkły nigdy, głos sumnienia, nie odezwie się z wyrzutem, i nie dobije srogiém przekonaniem upadku z własnéj winy, z własnéj niezgody z cnotą...; i takim właśnie był stan nieszczęśliwego Starosty.

Nie raz on na placu boju widział konających, nie raz z własnéj ręki śmiertelne zadawał cięcia, i obojętnie patrzał na krew płynącą po własnym mieczu... ale gdy mu to przypomnienie wchodziło teraz na myśl, wnet uczuwał różnicę żołnierza od zabójcy, zbrojnego nieprzyjaciela od spokojnego kapłana. Natenczas jakby mu się w głowie mięszało; dąsał się, ciskał, przeklinał Jezuitów; nie dla tego że mu ziemię zabierać chcieli, bo o tém ledwo już pamiętał, lecz że mu dali powód do kryminału. Gwałtowny z natury, dumny i nieugięty, dręczył się teraz i niejako rozraniał siebie, temi samemi kolcami własnemi, któremi z charakteru swego ranił wprzód innych; i tém bardziéj, że samotny, ponury, nieprzystępny dla Bekieszki nawet, sam na siebie swe wymierzał zapędy.

Wśród tych jednak zapasów i walk z samym sobą, twarda natura tego człowieka wstrząśnięta do głębi, rozprzęgała się mimowolnie, i przysposobiała się jak metal ogniem topiony, do miększych form i ugięć... ale czas upamiętania się prawdziwego, to jest religijnego, nie przyszedł dlań jeszcze. Podług tamtoczasowego przekonania, że ofiarą dóbr ziemskich okupić się można od kary wiecznéj; Starosta niespokojnemi do siebie słowy, ścigając rozpierzchnione swe myśli; „dam, mówił, Jezuitom wioskę. Niech co rok odprawią exekwie za zabitego... i milczą!... milczą... niech milczą!... czyż dotąd nie rozchodzi się już wieść daleko, żem kryminalista?.... Oh! miłe słowo dla mych nieprzyjaciół.... dla Sapieżyńców! Starosta Antowilski kryminalista!!! Może już się robi wizya *) trupa, *wizya* trupa!“

Na tę myśl wstrząsał się Starosta, bo w téj chwili, straszna także *wizya* przed oczami mu stawała. Trup nurzający się we krwi...

---

*) Obejrzenie trupa przez woźnego ze świadkami.

konający w męczarniach... przebaczający w ostatniém tchnieniu śmierć swą zabójcy swojemu i patrzący nań potém zastygłą a nie zawartą źrenicą!... zakrywał on natenczas obiema dłoniami wzrok swój, jakby nie chcąc patrzeć na ten krwawy obraz... i głębokie, może piérwsze w życiu jego burzliwém, wydobyło się z piersi westchnienie z bolesném słowem: „Bóg mię ukarał!... Bóg mię ukarał!“

— Bóg i pocieszy panie Starosto! Bóg i odpuści, rzekł wchodząc Bekieszka, który nieustannie śledził, to pode drzwiami to pod oknami, co się działo z jego ukochanym mecenasem; a podsłuchawszy te słowa, osądził trafnie, że przyszła chwila, w któréj mógł już pomówić z nim, i ulgę niejaką mu przynieść. Jezuici prawować się nie będą...

— Jak to nie będą? przerwał Starosta. Niech się prawują... ale waść widać mnie szpiegujesz, i wnet łagodniéj dodał, bo zgadł łatwo powód téj troskliwości swego wiernego sługi i przyjaciela, to nie dobrze panie Sebastyanie.

— Broń mię Boże! ja tylko chciałem donieść jaśnie wielmożnemu Staroście, że byłem dziś rano na przesłuchach w Żodziszkach.

— I cóż tam? zapyta Starosta, jakoby obojętnie, a w duszy niecierpliwie.

— Najpewniéj że sprawy o kryminał nie będzie; dziś dzień trzeci do akcyi; a zatém termin prawny *wizyi* i *obdukcyi* mija; tym czasem w klasztorze *cittissime* o tém wszystkiém, trup stoi na katafalku i jutro na pogrzeb wzywają wszystkich, nawet własnym wioskom przyjść nakazali; więc jak pochowają trupa, to naturalnie *finitum opus*.

— I dla czegoż to Jezuici tak sobie cierpliwie znieść to postanowili? pytał daléj Starosta.

— Ot mości dobrodzieju ludzie i tak, i owak mówią; ale wszyscy prawie zgadzają się na to: iż Jezuici wiedząc, że pan Starosta wielu Szwedów wytępił, darują mu przecie, że tam jakoś przypadkiem i katolikowi, a nawet księdzu dostało się.

Starosta usiadł... opuścił głowę na piersi... zadumał się.... a Bekieszka postawszy jeszcze chwil kilka, wyszedł na palcach, mniemając, że się uspokoi i uśnie nakoniec po trzech dniach i nocach bezsennych.

II.

Nazajutrz po téj rozmowie dzwony kościoła Żodziskiego, od poranku uderzały na pogrzeb zabitego kapłana; kościół się napełnił pospólstwem i ciekawą szlachtą; bo rozmaite, dziwaczne a stosowne do tamtoczasowych relijnych wyobrażeń krążyły wieści. Jedni mówili, że Starosta stać będzie podczas żałobnego nabożeństwa pod lampą, z obnażonemi ramionami i biczować się krwawo; inni, że publiczną odbędzie spowiedź i złoży na trumnie zabitego zapis wszystkich dóbr swoich Jezuitom, a potém otrzyma rozgrzeszenie, i wnet przyoblecze na całe życie sukienkę zakonną. Inni znowu, mniéj ufni w pobożność i skruchę Starosty, a wnioskujący podług jego hajdamactwa i humoru, ostrzegali, aby się mieć na ostróżności, bo *Dźwęk* napadnie ze swemi zawadyakami, i wszystkich rozpędzi, a klasztor zrabuje... i tym podobnie.

Tymczasem na prostych marach całunem tylko pokrytych, stała otwarta trumna, i w niéj leżał zabity w téj saméj krwią zlanéj sukience, w któréj go strzał dosiągł; nizkie mary dozwalały każdemu łatwo przypatrywać się trupowi, i ze zgrozą rozważać bezbożny postępek Starosty; co też wszyscy napełniający kościół, nim się zaczęło żałobne nabożeństwo, czynili.

Przybył i pan Koszczyc, rzucił smutném okiem na mary, i usiadł w ławce i modlić się zaczął; Bekieszka w tłumie ukryty toż samo czynił.

Wtém rozpoczęło się żałobne nabożeństwo; zapalono lampy i świece w około trumny; cały konwent, kilkudziesięciu kapłanów z dyakonami wyszło za celebrującym, dla oddania ostatniéj posługi bratu swemu.... dzwony znowu się ozwały i lud upadł na kolana.... W cichości przerywanéj tylko ponurym jękiem organu wtórującego przeciągłym i uroczystym modłom kapłanów, dokończyła się msza, a celebrujący z assystencyą przeszedł od ołtarza i zasiadł przed trumną dla odśpiewania podług obrzędu, ostatniego *Requiem* nad zwłokami.... Natenczas ukazał się na ambonie kaznodzieja.... socyusz niosł za nim i postawił mu obok, czarną i w czarnym lichtarzu gorejącą świecę... lud z zadziwieniem patrzał, i nie mógł

zgadnąć coby to znaczyło.... Ale Koszczyc zgadł wnet co się stać miało.... wysunął się z ławki niespokojnie—przeciskał się do ambony, i znowu się cofał niecierpliwie, usiadał i wstawał.... a témczasem mówca rozpoczął kazanie textem bardzo prostym, ale sposobem wymówienia go, wzbudził powszechne wrażenie; wzniósł on oczy i ręce ku ołtarzowi i rzekł błagalnie: *„Requiem aeternam „dona ei Domine!“* Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Bez przygotowanéj karty, mówił on z natchnienia. Kapłan sędziwy, twarz blada, włos biały, oko wklęsłe i przyćmione pod wysokiem czołem, głos z początku drżący i nie pewny, objawiać zdawał się wewnętrzną walkę czy trwogę; wyrazy westchnieniem przerywane, pełzły mu z ust jakby niechętnie, i zdawało się nieraz, że wnet się utną, i trudna zakończy się mowa.... Ale gdy zwykłe we wstępach ogólne o śmierci uwagi zaczął już wiązać z obecnym widokiem, gdy pobożne i przykładne życie zabitego, zaczął ze śmiercią jego męczeńską stawić obok, stopniowo oko mu się rozpłomieniało... krwawemi plamami twarz się zażegła.... głos się wzniósł i wzmocnił. Grzmiał nakoniec potęgą przeważnego słowa i uroczystego natchnienia, gdy zwracając apostrofę do trupa zawołał: „Powstań! Powstań męczenniku! Powstań kapłanie! i daj świadectwo przed ludem, niewinności twojéj, i niewinności braci twoich!... „Powstań!...“ Lud się cofnął z przerażeniem od trumny.—Zdawało się, że trup się wzrusza... że w słowach piorunującego kaznodziei jest moc cudotworcza... że wskrzesza zabitego,—„Ale nie!—rzekł „on daléj—trąba cię archanioła zbudzi kiedyś, i staniesz oko w oko „ze swoim mordercą, którego sprawiedliwość Boska potępi natenczas, tak jak go kościół nasz dziś potępi.“....

Tu głos z tłumu przerwał niezwykłym sposobem kaznodzieję: *„Justitia coram Deo, est misericordia.*—Sprawiedliwość według Boga, jest miłosierdzie!“ zawołano.—

Kaznodzieja zdziwiony, zamilkł na chwilę, szukając okiem po tłumach, ktoby to wyrzekł. W gromadach każdy około siebie oglądał się; i wszyscy zwrócili oczy na Koszczyca, bo on to rzeczywiście wymówił w uniesieniu, którego w sobie stłumić nie mógł.

„Tak! rzekł każący, nie dając słuchaczom długiéj chwili na rozwagę;—Tak! sprawiedliwość według Boga jest miłosierdziem! Ktokolwiek to wyrzekłeś, dobrześ rzekł! po chrześcijańskuś rzekł! „Większe jest miłosierdzie Boskie od grzechów całego świata! ale „to miłosierdzie jest dla żałujących za grzechy, dla pokutujących

„za nie, dla serc skruszonych, dla żebrzących ze łzami politowania „Boskiego w niebie i kościoła jego na ziemi....

„Lecz tenże sam Bóg wszechmocny, *Judicabit populum in „aequitate* *), powiada apostoł; czyliż więc wszystkich złych i do- „brych, upamiętałych i zatwardziałych równémże okrywając miło- „sierdziem, wszystkim bez różnicy otworzy niebiosa? O nie zaiste! „nie wejdą tam razem:—uciemiężony i ciemiężca; bogobojny i be- „zbożny. Kapłan cnotliwy i jego zabójca: bo i dla kogoż byłoby „piekło? komuż to wyrok przepowiadziany: *Idźcie przeklęci w ogień „wieczny!*... Niechże i do kościoła Bożego nie wchodzą oni razem! „niech wpośród bogobojnéj trzody Chrystusa, nie postanie człowiek „ze skalaną występkiem duszą i zakrwawioną ręką.—Drzwi świątyń „pańskich zawierają się przed nim! Dobrodziejstwa sakramentów „świętych ujmują się mu!!!

Tu zapał kaznodziei, który go dotąd ożywiał, zmienił się w ja- kieś gorączkowe wysilenie· mówił z przestankami, potrzebując jakby coraz nowego powietrza do piersi.... słowa mu znowu w jeden ciąg nie wiązały... głos drżał mu, i oko przed chwilą ogniste, łzawą mgłą się powlekło... wyraźnie zbliżał się on do czegoś, co mu wyrzec trudno było.

„Co zwiążecie na ziemi—będzie związano w niebie!...“

Lud przerażony stał w oczekiwaniu osłupiały, jakby jeden czło- wiek, wzrok niespokojny wlepiwszy w ambonę.

„Krew zabitego pada na głowę zabójcy!..!. *Jan Dadzibog Nie- „wiadomski*..... Wyklęty!“ kościół jęknął na to słowo.

„Anathema!... Anathema!... Anathema!...“ rzekł, i z osta- tniém wysileniem, jakby konwulsyjnie targniętą ręką świécę gore- jącą na ziemię cisnął.... sam upadł na kolana i z głośném łka- niem modlić się począł, bodaj błagając Boga o przebaczenie i wy- klętemu i wyklinającemu.

Kapłani wszyscy i kler assystujący zdmuchnęli także i prze- wrócili świece **). Płacz rozległ się po kościele; a nakoniec cele- brujący zaintonował *Requiem* po dwóch jakby umarłych.

---

*) Będzie sądzic lud w sprawiedliwości.

**) Zwyczajny obrzęd wyklinania.

III.

Oparłszy głowę na dłoni, siedział Starosta w smutnych pogrążony myślach, układając rozmaite projekta i pośrednictwa do pogodzenia się z Jezuitami, a żadnego nie mogąc dobrać takiego, któryby go z widmem zabitego prześladującém go bezustanku i stojącém mu bez przerwy przed oczyma, mógł pogodzić.

Postanowił on opuścić Budziłki i wyjechać, sam nie wiedząc dokąd; lecz czekał powrótu Bekieszki, który za wiadomością jego pojechał na pogrzeb do Żodziszek. Ujrzał go nakoniec na dziedzińcu, i skwapliwie wstał i postąpił naprzeciw wchodzącego.

Bekieszka na progu stanął, przeżegnał się... i runął potém do nóg Staroście; objął go za kolana i zaryczał płaczem wielkim.

— Co to jest panie Sebastyanie? co znaczy to przeżegnanie się i płacz? Wstań, daj pokój.

— Ach! panie mój! dobrodzieju mój! nie odstąpię od ciebie, choćby do piekła razem z tobą!... mówił becząc jak dziecko Bekieszka.

— Co bluźnisz? co to znaczy?

— Wyklęli cię! wyklęli cię Jezuici! bezbożni oni sami! Tyś tylu heretyków pobił! a oni cię katolika wyklęli!

— Ale cóż się stało! mów regularnie, bo nic domyślić się nie mogę.... Jak to wyklęli?

— A tak, rzekł postawszy i płacząc zawsze; ale jednak opamiętawszy się nieco, i opowiadając rzecz całą, choć bezładnie i pod wpływem okropnego wrażenia, jakiém był dotknięty: — z początku szło wszystko regularnie... msza wyszła żałobna, lamp wiele, księży wiele, a każdy z zapaloną świécą....

— Ale mniejsza tam o świéce, przerwał Starosta.

— Nie, nie mniejsza, bo i świéce były w tym fatalnym akcie, a najbardziéj i mnie, i wszystkich to przeraziło, że trup leżał w trumnie odkrytéj i zakrwawiony....

Starosta wzdrygnął się.—Ej! dajże mi pokój z tym trupem! koniec końcem, cóż potém?

— Cóż? ja zaraz pomyśliłem: *Quis scit* co za górą? Ale gdy po mszy wszedł na ambonę; spójrzę kto? aż mi nogi odjęło! mój dawny professor *Syntaxymy* Ks. Marcin Hincza. Postarzał wprawdzie, wygląda jak jaki pustelnik pokutujący; ale pomyślałem zaraz, oj! będzie źle, kiedy jego na oratora w takim ciężkim terminie wysadzili: nie darmo mówią *piper et papaver!...*

— A na miłość Boga! krzyknął Starosta zniecierpliwiony.

— Otoż jak wpadł on w ferwor, jak zaczął krzyżować się, jak zaczął prażyć piekielnym ogniem pana, a beatyfikować zabitego; tak przyszło do tego, że chciał go wskrzesić! — Powstań! powstań! po razy kilka wołał; ja byłem aż pod chorami, bo przez tłum wcisnąć się nie mogłem, ali ci co bliżéj byli powiadali, że trup się poruszał, i że wstałby pewnie, gdyby nie pan Koszczyc. Ot to przyjaciel pański! choć my go wypędzili. On przerwał te exorcyzmy i wzywając miłosierdzia Boskiego, osadził trupa..... Hincza porwał natenczas świécę, którą pierwéj na ambonie przy nim postawiono, a wszyscy dziwowali się dla czego, i cisnąwszy ją na ziemię, krzyknął: „Jan Dadzibog Niewiadomski, *wyklęty!*“

Oh! gdybyś tam był miłościwy mój panie, a tu znowu rzewniéj płakać zaczął; gdybyś tam był, tobyś sam płakał, bo cały lud płakał i jęczał; a narzekał, że nigdy takiego przykładu, w naszym Żodziskim kościele nie było. Jedni Jezuitom, drudzy panu ciężko złorzeczyli, aż ściany kościoła trzęsły się... i ja wytrzymać już nie mogąc, prawie bez pamięci dopadłem konia i przyleciałem tutaj; choć za mną krzyczano: „nie jedź do wyklętego! nie jedź!“..

Ale chwała Bogu nie jeden ja niedbam o Jezuitów, ani na ich klątwy; oto ktoś drugi przybywa, rzekł Bekieszka postrzegłszy na dziedzińcu wózek saski,—ach! to pan Krajczy!

Starosta wybiegł na przeciw Koszczyca, i uściskając go, rzekł głęboko wzruszonym głosem: Daruj! daruj panie Krajczy! Oh gdybym cię nieobraził, gdybym cię nie wygnał onegdaj, nie przyszedłbym zapewna na ten niefortunny event....

Koszczyc spójrzawszy na Starostę, zdumiał się gdy ujrzał, jak okrótną na nim zmianę te dni kilka wywarły. Gwałtownego człowieka, gwałtowna objęła ruina; twarz, oko, czoło, dziesięcią mu laty postarzały.... Tém więc bardziéj dotknięty, wzajemnie go uściskając: nie mówmy rzekł, o tém co się stało; radźmy raczéj Starosto, w czém ci przyjaciel w złéj doli pomódz może?

— W złéj doli. Oh prawdziwa zła dola! Prawdaż to, co mi Suroż teraz prawił, że mię Jezuici wyklęli?...

— Prawda.—Oba milczeli przez czas niejaki. Staroście krew zawrzała i nagłém uderzeniem w głowę, głos mu tamowało.... Koszczyc czekał, czém się pierwszy impet jego objawi, dla stosownéj perswazyi.

— Ha! więc mię spychają do piekła! wrzasnął nakoniec w pół obłąkany Starosta, i zgrzytnął zębami, jakby już potępieniec.—Do piekła! Sprawiedliwie! Dalibóg sprawiedliwie! bo szatan wmieszał się w tę sprawę! Dżwęk! szatan, lucyper! Ja zabić księdza nie chciałem.... byłem pijany... byłem nieprzytomny... Boże mię ubij! jeżelim celował do kogo... ale djabeł poniósł kulę w pierś Jezuity!... ha dżwęk! dżwęk panie Krajczy! mnie więc szatan porwie! Ale nie jednego! przysięgam nie jednego! ja lubię kompanję... Cha! cha! cha! — Postać jego, gdy to wymawiał, straszliwą i prawdziwie piekielną była.

Wprzód nieszczęście, zgryzota, żal nawet kruszyły go niejako, i wycisnęły piętno głębokiego cierpienia na zbolałém czole... ale teraz rozpacz! rozpacz bez nadziei.... Oh! rozpacz koi się nadzieją!.... ale odbierz nadzieję! odbierz występnemu nadzieję w miłosierdziu Bożém, a wnet serce mu skamienieje i zrobisz zeń zatwardziałego i wzgardzającego karą, któréj uniknąć nie może, zbrodniarza!

Niestety! któż te nadzieje ludziom odbiera? Niegdyś, jako w zdarzeniu tu opisującém się fanatyzm; fałszywy tłumacz praw Boga, surowość jedynie jego nieprzebłaganą i gniew ogłaszając, zawierał niebieskie, a otwierał piekielne tylko bramy grzesznikom. Dzisiaj, bezbożność i bezreligijność, jeszcze gorzéj przysługują się ludzkości: tamten kazał przynajmniéj lękać się Boga, ta od wszelkiéj wiary, a zatém i od wszelkiéj obawy uwalniając, rozpasuje też na wszystko.... a w nieszczęściu, w cierpieniu, w zgryzotach, zupełniéj jeszcze zabija nadzieję i do rozpaczy przywodzi przekonaniem, zwierzęcego nicestwa człowieka.

Niewiadomski w rozpaczy przeklinał ludzi, którzy go od Boga odpychali; tegowieczny niedowiarek, jakimkolwiek go właściwém i cechowém nazwiemy imieniem, w rozpaczy przeklinałby Boga, jeżeliby jeszcze w niego wierzył, że go tworząc bez celu i miłosierdzia, na cierpienia tylko skazał....

Daruje mi czytelnik tę małą dygressyę: w rozważaniu serca ludzkiego w upadku, same mi się pod pióro nastręczyły te dwie przyczyny, łączące się ostatecznością w jednostajnym skutku na zgubę człowieka.

— Uspokój się Starosto, mówił Koszczyc biorąc go za rękę, uspokój się i pomówmy *frigida sanguine* *).

— Wiem, wiem panie Krajczy, żeś mię w kościele nawet bronił.... Suroż mi to rozpowiadał. On mówi, że Hincza wskrzesiłby pewnie zabitego, gdybyś exercyzmu nie przerwał! cha! cha! cha! toby była sztuka jezuicka. Niechby wstał! niechby wstał! wszak on teraz wie nieomylnie żem doń nie mierzył...

Koszczyc trzymał zawsze rękę tak wyrzekającego Starosty, i czuł jak on drży cały....

— Miłość Boga!.. gdzież tu miłość Boga!... oni w Imię Boga wyklinają a Bóg litościwy, Bóg przebacza!..

— Tak właśnie i ja, przerwał Krajczy, odezwałem się w kościele: „*Justitia coram Deo est misericordia.*“

— Starosta Antowilski wyklęty!!! Dźwęk! A klasztor żodziski spalony... Spalony, zniszczony, kamień na kamieniu nie ostoi się. Czyż szlachcic, żołnierz, który krew za kraj i wiarę przelewał, nie znajdzie już przyjaciół? mnie spalili Szwedzi heretycy, lutrzy... więc Jezuici chcą żebym i ja jak Lubomirski w Radoszkowiczach **) został lutrem... i zostanę—dalibóg zostanę!...

— Cóż potém Starosto? w żadnéj religii palić i zabijać nie godzi się; to z Bogiem, nie z Jezuitami sprawa.

— Ależ jam go nie dobrowolnie zabił... on mi konając przebaczył... konając... ha! Straszno to wtenczas było panie Krajczy! bardzo straszno... gdy o tém myślę... a myśli téj odpędzić nie mogę.... gdyby nie ta mara...

Pójdźmy panie Krajczy do izby... ciemno mi w oczach... Jezuici przeklinając mnie świéce pogasili.... może to dla tego i ciemno mi... dreszcz mię jakiś przejmuje... Krajczy po zmieszanéj téj mowie, po obłąkaniu oka, i po twarzy nadzwyczajnie zmieszanéj Starosty, poznał, że próżneby w téj chwili były dlań łagodzące i uspakajające słowa, że nad zdrowiem raczéj jego czuwać należało;

*) Zimną krwią.

**) Patrz przypisy.

że stan ten gorączkowy, być może początkiem choroby umysłu lub ciała, albo obojgu razem: jakoż zgadł.

Żelazna ta organizacya złamaną nakoniec została.... cios po ciosie go uderzył, a obadwa nadto silne i potężne!!!

Zgryzota, upokorzenie, bojaźń publicznego rozgłosu zbrodni, nakoniec religijna zgroza, tak wzburzyły i zapaliły krew jego, że się bez ciężkiego przesilenia ostudzić nie mogła: jakoż ledwo weszli do domu, padł Starosta na łoże, osłabiał z razu, a potém najgwałtowniejsza maligna resztę mu odebrała przytomności i w niebezpiecznych objawiła się symptomatach.

IV.

Od dni kilku Starosta Antowilski leżał, albo w osłabieniu blizkiém, jak się zdawało skonania, albo w nagłych paroksyzmach zrywał się z łoża z nadzwyczajną siłą, odpychał strzegących go najtroskliwiéj Suroża i Koszczyca, i biegł w pola, pędzony widmami swych wyobrażeń, zawsze z jednego źródła wylęgłych, zawsze w krwawych i piekielnych postaciach objawiających się obłąkanéj jego głowie. Gdy wieczorem dnia jednego, przed północą prawie, zajechał przed ganek wóz kryty parokonny, Bekieszka wyszedł na spotkanie; wysiadł zeń człowiek, szérokim czarnym płaszczem okryty, którego twarzy pociemku dostrzedz nie mógł spotykający; a gdy w piérwszéj izbie zdjął płaszcz z siebie, aż się cofnął Bekieszka poznając w nim księdza Hinczę. Koszczyc także zdziwiony, zastąpił mu drzwi od chorego, i rzekł:

— Mój ojcze, Starosta jest śmiertelnie chorym, i widzieć się z nikim nie może, tém bardziéj z tobą księże.

— Panie Krajczy, odpowiedział ksiądz, wiem o tém, że Starosta śmiertelnie chory; przybywam więc, mając na sercu twoje własne słowa: „*Sprawiedliwość w obliczu Boga jest miłosierdzie!*“ To mówiąc odsunął, poważném skinieniem ręki, Koszczyca: — Nikt za mną, rzekł, to spowiedź — i wszedł do chorego. Wyraz ten odjął wszelkich świadków temu, co się dziać lub mówić mogło między kapłanem, i bliskim zgonu penitentem.... Koszczyc w religijném usza-

nowaniu dla świętego obrzędu, aby mimowolnie nawet nie posłyszeć cóś ze spowiedzi, wyszedł do innych izb, wymawiając tylko z westchnieniem: „teraz wszystko w ręku Boskiém!“ a Bekieszka idąc za nim i nie mogąc rozplątać powodu przybycia Jezuity, kręcił głową i mruczał przez zęby: „nie darmo mówią *piper et papaver!*“

W okolicach Krakowa, u podnoża Karpatów, w pośród pięknéj okolicy, którą poźna jesień z ozdób letnich ogołociła, i szarą przed-zimową powlekła barwą, z publicznéj drogi wyprowadzającéj z granic państwa, zawracała się w bok széroka z buków ulica, i przedłużając się na ćwierć prawie mili, dochodziła do wspaniałéj bramy, za którą wielki murowany i murem opasany wznosił się zamek.

Wczesny zmrok jesienny ociemnił tę okolicę, a wiatr mroźny pędząc wichrem szron zlodowaciały, ćwiczył po twarzach opóźnionych podróżnych, i przyśpieszał niecierpliwego ich ku domowemu ognisku kroku.

Powoli i z utrudzeniem szedł natenczas tą ulicą i zmierzał ku zamkowi, człowiek w zwyczajnéj i często w tamtym wieku postrzegać się mogącéj, a teraz z malowideł tylko znanéj, pielgrzymiéj szacie. Miał on na sobie z grubego sukna, krojem zakonnego habitu, sutannę, ściśniętą czarnym skórzanym pasem, rożaniec z figurą Ukrzyżowanego drewnianą ale misternéj roboty, wisiał mu na piersiach, a w ręku miał kij długi, na którym u wierzchu przywiązana tykwa, jako widome godło pobożnego wotum, pożyteczne razem ną zapas wody ochładzającéj znużonego wędrowca. Okrywał zaś to wszystko szérokim płaszczem z podobnież grubego paklaku, a głowę, kapturem odeń, chroniącym go i teraz od zimna i szronu. I taka błędna postać zakołatała do zaryglowanéj bramy zamkowego dziedzińca.

W kraju naszym, to obcym najazdom, to wewnętrznym rozruchom, bezustannie otwartym, przemożni panowie, feudalnym naówczas obyczajem, mieszkania swe w twierdze zamieniali. Następnie nadszedł czas spokojnego potém odrętwienia, gdy nieużyteczne baszty w gruzy rozsypywać się zaczęły, gdy łańcuch zwodzonego mostu zerdzewiał i zerwał się, gdy „woda dysząca w fossach z pod zielonych pleśni“ *) wsiękła w ziemię, dostarczając tylko wilgoci

*) Grażyna.

zasilającéj trawy i chwasty, któremi wał główny porastał; a pałace i zamki zamiast groźnych warowni, otaczały się roskosznemi ogrodami *Armidy*, w których drzemał zniewieściały wnuk walecznego naddziada.

Strażnik bramy otworzywszy furtę, spójrzał na przychodnia; a w zmroku nie mogąc dobrze rozpatrzeć téj wysokiéj, czarnéj, brodatéj, i niezwyczajnego pozoru figury, przymknął drzwi i głowę tylko wytknąwszy, zapytał niespokojnie: — ktoś waść?...

— *Laudetur Jesus Christus! Nobilis Polonus sum*, odpowiedział przychodzień,— *Romam et Hierusalem proficiscor*....

— On prawi po łacińsku, przerwał drugi towarzysz strażnika, może to jakiś pielgrzym, toć nie nowina; puść go i nie trzymając na mrozie, prowadź do księdza Kapelana; Jezuita rozmówi się z nim i zrozumie.

Na to słowo Jezuita, podróżny cofnął się i zatrzymał... lecz czy to noc coraz ciemniejsza i burzliwsza, czyli jakie inne wewnętrzne poczucie, zdeterminowało go że wszedł; a gdy się blaskiem pochodni pod sklepieniem bramy oświecił, przekonali się tém bardziéj strażnicy, kto on był rzeczéwiście, i jeden z nich powiódł go ku zamkowemu skrzydłu, do mieszkania kapelana.

— *Laudetur Jesus Christus!* powtórzył pielgrzym, wchodząc do izby siedzącego nad brewiarzem księdza.

— *In saecula saeculorum*, odpowiedział ten podnosząc głowę— a to jakiś *peregrinus*... pielgrzym — *unde venis mi frater et quo tendis!* *)

Kapelan z pospolitego natenczas zwyczaju, zapytał łacińskim językiem, który tak był powszechnym, że z nim całą Europę przejść można było; lecz na myśl, że go przychodzień mógł niezrozumieć, miał też same pytanie powtórzyć po polsku, gdy ten odpowiedział uchylając pokornie głowę: *Nobilis Polonus sum*, *Romam et Hierusalem proficiscor*, *pro peccatis meis* **).

— Jakże się nazywasz Mości Panie?

— *Joannes Deodatus Nescio* ***).

---

*) Zkąd przychodzisz mój bracie, i dokąd dążysz?

**) Szlachcic polski jestem, do Rzymu i do Jeruzalem dążę za grzechy moje.

***) Jan Dadzibog *Niewiem*.

— *Nescio!* co za nazwisko *Nescio!*— rzekł zdziwiony kapelan i patrząc w oczy pielgrzymowi, czekał wyraźniejszéj explikacyi.

Ten znowu powtórzył: *Joannes Deodatus Nescio.*

— *Nescio! nescio!* i ja *nescio!* a chciałbym przecież *scire* *) i cóż *nil dicas?*.... pielgrzym milczał.

Ksiądz spójrzał znowu kilkakrotnie w oczy przybyłemu, i przechadzając się potém zamyślony po pokoju;—Byćby to mogło... mówił sam ku sobie, byćby to mogło... i nie raz się zdarzało... pokuta ciężka!.... i grzech musiałże być ciężkim;—powiedz mi przynajmniéj pobożny człowieku, rzekł nakoniec ksiądz do pielgrzyma, czy peregrynacya twoja jest pokutą naznaczoną ci przez spowiedź świętą, czy *proprio motu* przez ciebie samego namyślaną?

— *Pro peccatis meis*, odpowiedział pielgrzym.

— No! rozumiem, więc ci te tylko słowa wymawiać dozwolono.

Pielgrzym skinieniem głowy potwierdził ten domysł.

— Pomiędzy ludem chrześcijańskim dójdziesz zapewne do Rzymu i z temi tylko słowami na ustach; wszędzie cię zrozumieją, i nikt ci przytułku i posiłku nie odmówi; ale daléj między poganami... Bóg chyba będzie twoim szczególnym opiekunem; pogadamy zresztą o tém, odpoczniesz tutaj, ja cię władzą moją kapłańską na te dnie odpoczynku od szlubu rozwiążę, i nabierzesz sił do długiéj twéj jeszcze wędrówki..... Muszę cię wszakże zaprowadzić do pana tego zamku, on cię wesprze.

Pielgrzym odmawiającém poruszeniem głowy, odpowiedział na tę propozycyę i wyjmując z kieszeni swéj sutany kawał suchego chleba, okazał go księdzu i razem tykwę na kiju.

— I to rozumiem, rzekł znowu kapelan, idziesz o żebranym chlebie; twarda zaiste pokuta dla człowieka nawykłego może do zbytków w posiłkach i czynach.... ale wytrwaj człowiecze! Bóg skruchę serca i pokorę twoję i cierpliwość twoję policzy!

Pielgrzym z głębokiém westchnieniem wzniósł oczy na figurę Chrystusa, na ścianie umieszczoną...

— Musisz pójść jednak za mną, mówił daléj Jezuita, bo zacny pan tego domu nie darowałby mi, gdybym cię pokryjomu wyprawił; weszli więc na górę do pałacu i przez wspaniałe podwoje do wielkiéj sali, w któréj gospodarz z kilką gośćmi, przy rozpłomienionym kominie rozmawiali.

---

*) A chciałbym przecież wiedzieć,— i cóż, nic nie powiesz?

— Przyprowadzam, rzekł ksiądz, waszéj książęcéj mości pielgrzyma idącego do Rzymu i do ziemi świętéj... co to jest, gdzie uciekasz?

Pielgrzym bowiem sunął się nagle do drzwi; przytrzymał go silnie Jezuita i,— mój bracie, rzekł, nie jesteś bodaj tym, za kogo uchodzić chcesz, kiedy unikasz oka poczciwych ludzi. Tymczasem i wszyscy od komina zbliżyli się ku drzwiom; pielgrzym kaptur na oczy nasunął tak, że z trudnością twarz jego dójrzeć można było i milczał.

— Cóż to za tajemnica? kto on jest? zapytano.

— Przed chwilą, mówił kapelan, wprowadzono do mnie tego człowieka, którego z szat i postaci osądziłem pielgrzymem, szukającym przytułku na dzisiejszą noc burzliwą. Na zapytanie kto jest, i dokąd dąży? odpowiedział kilką łacińskiemi słowami; na insze każde pytanie, milczał; ztąd wniosłem, że albo dobrowolne *votum*, albo naznaczona pokuta na spowiedzi, w milczeniu mu odbyć tę peregrynacyę nakazała; więc go do księcia pana przyprowadzić postanowiłem, chociaż obiecywanego mu wsparcia na drogę odmówił ukazaniem suchego kawałka chleba i swojéj tykwy; ale teraz gdy uciekać chce, nie wiém co o nim mam myśléć.

— To jednak rzecz szczególniejsza, rzekł pan, którego kapelan księciem nazywał i obracając się do pielgrzyma: Bracie, mówił, po co ukrywasz tak starannie twarz twoją! nie masz czego się wstydzić; owszem gdy pielgrzymka twoja jest na chwałę Boską, jest pokutą za twoje grzechy; a któż z nas bez grzechu? Za cóż więc się zapierasz przed chrześcijanami, i może równemi jak ty grzesznikami.... opowiedz nam zatém kto jesteś, dokąd zmierzasz? i jeżeli można powód twéj pobożnéj wędrówki.

Z widocznym przymusem i z cicha, wyrzekł pielgrzym zwyczajną swoję odpowiedź: *Nobilis Polonus sum, Joannes Deodatus Nescio, Romam et Hierusalem proficiscor, pro peccatis meis.*

— Co za głos? zda mi się znajomym! zawołał zdziwiony książę, i przystąpiwszy do pielgrzyma, podjął mu gwałtem kaptur kryjący twarz jego.... Niepewne światło z pośrodka sufitu od kilkaramiennego świecznika padające, zaledwo dozwoliło dostrzedz oblicze blade i trudem długiéj podróży wycieńczone, oko pod wysokiém czołem wklęsłe, a zachodzące łzą i utkwione w księciu:— byćże to może? mówił on w niepewności.

Lecz łzy u pielgrzyma przepełniwszy źrenicę, bujnemi kroplami spadały już po twarzy... książę natenczas wykrzyknął: Tak! to on! Ach starosta!... Nie dał dokończyć pielgrzym rzucając się mu w objęcia... lecz razem przykładając rękę do ust jego, rzekł uroczyście.

— *Joannes Deodatus* Nescio!

Wszyscy obecni i Jezuita stali w zadumieniu.

Po długich uściśnieniach książę ocierając oczy rzekł: Niechże tak będzie jak chcesz, tak! *Joannes Deodatus Nescio;* co do słowa wytłómaczono: Wiem o wszystkiém, wiem, pisano do mnie ztamtąd; nie wiedziałem tylko o twém przedsięwzięciu téj peregrynacyi, w któréj niech cię Bóg wspiera, a zdrowia i sił dodaje — kiedyż wrócisz?

— *Nescio!* odpowiedział pielgrzym.

Książę Sanguszko (zgadnie bowiem czytelnik, że to był on) trzymając rękę pielgrzyma; — księże Ignacy, rzekł, z tego co widzisz rozumiesz łatwo, jak blizkim jest mojego serca ten pokutnik; objawiając zupełnie stan jego i nazwisko, zgwałciłbym jak mi się zdaje *votum* jego....

Pielgrzym poruszył głową na znak potwierdzenia.

— A zatém polecam ci *Dominum Nescio:* duchowną perswazyą do któréj jako kapłan masz prawo, a jako członek *Societatis Jesu* większe jeszcze niżeli zgadywać możesz... spraw aby *peregrinus* nasz, odpoczął tu czas niejaki; aby przyjął na długą jeszcze drogę swoję, pomoc przyjaciela i brata...

Pielgrzym skinieniem głowy zaprzeczył propozycyi wzruszonego do głębi księcia i jeszcze raz uścisnąwszy go czule, odszedł na noc za kapelanem.

Nazajutrz gdy rano zapytał książę o pielgrzyma, już go w zamku nie było.

W Litwie, a około Żodziszek szczególniéj, dziwne się o staroście antowilskim rozchodziły wieści; powodem do nich było, że on powstawszy z długiéj choroby, i odprawiwszy gdzieś na dni kilka, nieodstępującego odeń ani na chwilę Suroża, zniknął sam z Budziłek, gdzie? dokąd? niewiadomo.

Pan Koszczyc objął rząd majątków, okazując na to upoważnienie starosty; a na zapytanie wszystkich, a nawet troskliwego Bekieszki, odpowiadał jedném słowem: *Nescio.* Bekieszka zaś, który

swych funkcyi administracyjnych w Budziłkach nieopuścił, nie chcąc wyznać własnéj niewiadomości; albo z tajemniczą miną pokręcając wąsa, mówił: *quis scit* co za górą, albo gdy niezaspokojeni tém ciekawi, ubliżające staroście tworzyli wnioski;—oho, ho! nie bójcie się, odpowiadał, nie darmo mówią *piper et papaver!* temi jedynie słowy i siebie i drugich w wątpliwych kojąc myślach. A nakoniec, po latach kilku wnioski i wieści i ciekawość ustały.

V.

Pięknež to i tkliwe święto w Kościele chrześcijańskim, dzień zaduszny! Łączenie duchowne żywych z umarłemi... wszystkie uczucia serc tkliwych i kochających, łączą się w téj chwili i wznoszą w niebiosa, do oczekujących tam zda się na nie najmilszych nam istot rozdzielonych od nas ziemskiém życiem, złączonych z nami duszą... Smutny pogrzebowy obrząd! a jednak nie budzi on ani przykrych, ani gorzkich wrażeń, napełnia nas owszem czułém upojeniem żalu i pociechy razem,—*miłości* i *nadziei*, które trzecia ich towarzyszka *wiara* wznosi do Boga!

Ile osób w Kościele, tyle wspomnień!!! ile słów tyle modłów, ile łez, tyle rzewnéj tęsknoty, tyle smętnego a miłego obcowania z temi, do których się wzdycha.... Ot nieszczęśliwa matka, okiem swéj duszy, upatruje między aniołami ukochanego swego dziecka i widzi go uśmiechającego się ku sobie, niemowlęcém obliczem... Oto dwoje starych rodziców, pytają syna dorodnego młodzieńca, dla czego drżącym ich krokom na tym padole, ujął podporę?... I widzą go podającego im za podporę, krzyż na miejscu swego ramienia, i ujmują krzyż z pociechą i uspokojeniem, i wspierają się na nim w krótkiéj już drodze swojego żywota!... Ot cała osierocona i żałobą okryta rodzina, wzywa pośrednictwa do Boga i błogosławieństwa z niebios téj saméj ręki, która niedawno konająca ją błogosławiła; i widzi tę rękę, i słyszy modły i błagania ojca i opiekuna swego do Stwórcy, za swoją tu dolą na ziemi... Oh! bo widzim natenczas i czujemy tych wszystkich, których i za grobem kochamy, do których dusza ulata, i za których się modlim!

Noc; kiry okrywające ściany świątyni, modłe światła lamp pełgających wśród ciemnoty, a rzęsistsze około trumny, jakoby około widomego godła przeznaczenia człowieka; uroczyste chory kapłańskich pieni, i na przemian ponure mruczenie i szepty ich modlitw, jakby tajemnicze z duchami rozmowy; wszystko to, przenika do głębi dusze skupione, ogarnia i oblewa zmysły i serca nasze religijném uczuciem trwogi i miłości, uniesienia i pokory przed Panem życia i śmierci; przed Panem nieśmiertelności!!! nieśmiertelności, po któréj nieograniczonym szlaku, snują się gęściéj w téj niżeli w którejkolwiek innéj godzinie, między niebem a ziemią: myśli, westchnienia i nadzieje ludzkie.

Taki więc obchód odbywał się w kościele Żodziskim, napełnionym ściśle zgromadzeniem wszelkiéj płci i wieku. Po wszystkich rytuałem kościelnym oznaczonych nabożeństwach i modlitwach, odbytych przededniem, wyszła nakoniec msza wielka... i milczący dotąd organ, ozwał się żałobnemi tony, wtórowany smutnym wszystkich dzwonów odgłosem. Lud cały upadł na kolana lub na twarz i to ułatwiło wejście i ukazanie się w kościele nadzwyczajnéj postaci, która wśród tego pogrzebowego obrzędu, zjawiła się zdziwionemu ludowi, jakby z tamtego świata gorliwém nabożeństwem wywołana...

Człek w białéj dlugiéj szacie i białym okryty płaszczem, z kosturem palmą ozdobionym w ręku, z twarzą zwiędłą i wynędzniałą, przechodził poważnym krokiem świątynię między zdziwionem zgromadzeniem... przed wielkim ołtarzem upadł krzyżem; a tak nikt mu się zbliska i dokładnie przypatrzyć nie mógł; lecz czytelnik zgadnie w nim zapewne pielgrzyma, który przed kilką laty *) ukazał się w zamku księcia Sanguszki, u stop Karpatów, a teraz zmieniwszy szatę pokutną, na suknię wyzwolenia, wrócił na ojczystą ziemię i do ojczystego kościoła.

Wśród mszy jak zwykle, szedł na ambonę kaznodzieja, tenże sam ksiądz Hincza. Sędziwy już przed laty, teraz jeszcze bardziéj wiekiem pochylony i zgrzybiały starzec, za nim akolita, jak niegdyś fatalną czarną świécę, tak teraz niósł na bogatém węzgłowiu zwój pargaminowy.

---

*) Prawdziwe—Niewiadomski pięć lat na téj wędrówce strawił.

Drżącym krokiem włokł się on przez kościół, i wstąpiwszy na ambonę, zaledwo mógł być poznanym; od czasu bowiem klątwy, nie widziano go każącego, wrażenia więc tém niespodziewaném zjawieniem się sprawione, zjednoczyły się z ukazaniem pielgrzyma; jedno drugiém się wzmogło.

„W Imie Ojca, i Syna, i Ducha, rzekł Ks. Hincza i rozwinąwszy pargamin: *Breve*, mówił, Ojca naszego w Chrystusie Papieża Klemensa XI. *) przyniesione nam z Rzymu przez pobożnego pielgrzyma do grobu Chrystusa Pana i do grobów ŚŚ. Apostołów jego *Piotra* i *Pawła*, a po trudnéj i długiéj peregrynacyi, po ciężkich pokutach ofiarowanych Bogu, wracającego dziś tu, i klęczącego oto przed ołtarzem Pańskim, z absolucyą wszystkich grzechów jego, a w szczególności głównego, który przed pięcią laty zawarł był przed nim drzwi świątyń Pańskich, otwarte mu teraz kluczem *Ś. Piotra.*

Tu odczytał *Breve*, z którego wszyscy dowiedzieli się, kto był pielgrzym, i gdzie był przez lat tyle Starosta Antowilski. Gdy skończył czytanie, wzruszony głęboko starzec zwrócił się ku ołtarzowi, i wyciągając ku niemu z błagalnym wzrokiem, wyschłe swe ręce: *Nunc dimittis!* zawołał, *Nunc dimittis Domine animam meam in pace!* Teraz przyjm o Panie, ducha mego w pokoju! Teraz o Panie! teraz!... gdym doczekał, że z tego samego miejsca, i temiż samemi usty, któremi przed pięcią laty surowość sądów twoich ogłaszałem, ogłaszam dobrodziejstwa wiary twojéj świętéj! Tak, zaiste! tak! *Justitia coram Deo, est misericordia*—sprawiedliwość podług Boga jest miłosierdziem! I temu to nieograniczonemu miłosierdziu Twemu o Boże polecam ja dusze wszystkich wiernych, za których dziś pokorne a uroczyste, kościół twój święty czyni ofiary. Nakoniec polecam własną mą duszę, wkrótce mającą stanąć przed Tobą, wołając do Ciebie o Panie! *Tunc dimittis*"... Łzy bujne, dobywające się z zapadłych źrenic starca, nie dozwoliły mu dokończyć modlitwy... szedł chwiejący się z ambony, a pielgrzym również łzami zalany, powstał, i palmę swą na ołtarzu złożył.

Nazajutrz starosta ze szlachtą przyjaciołami przybiegłemi wnet na powitanie jego, i z Bekieszką, wykrzykującym w zapale rado-

*) W tamtéj epoce siedział na stolicy rzymskiéj.

ści: a nie mówiłem Waspanu *quis scit* co za górą? — wkopał własnemi rękami krzyż na miejscu skonania Jezuity. Krzyż ten odnawiany od czasu do czasu, trwa i dotąd, a z nim podanie będące treścią téj powieści i służyć mogące dowodem, że w owym czasie po występku, razem z surowym sądem i wyrzutem sumienia, wchodziły w serca chrześcijańskie prawdziwy żal, skrucha, i bojaźń wiecznéj kary, a zatém i postanowienie poprawy, a odrzeczenie się złego.... i jeszcze zatém, że Religja natenczas poprawiając lub karcąc wyuzdaną swawolę, ubezpieczała towarzystwo, i lepiéj niżeli prawa, spokojności powszechnéj strzegła.

Koniec.

PRZYPISY.

Stronica 11. W początkach panowania Stanisława Augusta, że jeszcze pozwalało sobie duchowieństwo rzucać klątwy, lecz że na nie szyderstwem już odpowiadano, mam dowodem przed sobą rękopis ówczasowy, w którym znajduje się długi wiersz pod tytułem: „Skarga do Jmci Księdza Nuncyusza, na Jmi Księdza Toczyłowskiego Prałata Wileńskiego.“ Skargę tę zanosi niejakiś obywatel wyklęty przez Prałata, za jakieś polityczne jakoby zdania; przepisywać tę szczególniejszą poezyę — byłoby zadługo; kończy się tak:

„A ty stolicy świętéj Sądzie wielowładny,
„Przyjmij me skargi na błąd tak szkaradny!
„Zagrodź na potém zgorszeniu takiemu,
„Wyrwij mię z piekła, a daruj głupiemu.“

T . . . .

Stronica 11. Trwa i dotąd w *Raduszkowiczach* podanie o bytności tam Szwedów, a szczególniéj o ich swawoli, łupieztwie i znieważaniu kościołów; że za to dopuścił ich Bóg ślepotą i morem; karą tém widoczniejszą, że prawie na samych tylko Szwedów padła. Na dowód okazują górę *Szwedzką* nazwaną, tuż za miasteczkiem wznoszącą się, która ma być wielką mogiłą, pokaranych tak od Boga i pomarłych rabusiów. Dawniéj był zawsze na niéj krzyż stawiany przez mieszkańców miasta; a od lat kilku stoi tam kaplica.

O wiorst dziewięć od Raduszkowicz po drodze do *Hajny*, po nad rzeką *Udrą*, miała zajść natenczas, jako niesie podanie, straszna bitwa; a rozsypane około tego miejsca rozmaitéj wielkości kopce i wzgórki, mają być także mogiłami Szwedów poległych.—Szczegółów tych raczył mi udzielić szanowny Pleban Raduszkowicki Jmć Ksiądz Dziekan *Draudzik*.

Stronica 12. Podwójném, jak wiadomo, było najście Szwedów na ten kraj; miejscowe jednak podania, nie rozróżniają zwykle pierwszego od drugiego.—Szwedzkie mogiły, Szwedzkie brody na rzekach, Szwedzkie drogi i tym podobnie. Czy zaś po nich *Gustaw* czyli *Karol* chodził, dopytać się nie podobna i zgadnąć inaczéj nie można, jak radząc się w okolicznych domach archiwów szlacheckich, w których prawie zawsze znajdzie się rozwiązanie téj zagadki. I tak dla sprawdzenia podania o spaleniu *Budziłek Niewiadomskiego* przez Szwedów, i o grassowaniu ich w tych okolicach, poświadczyły mi archiwa *Dobrowlańskie* przez hr. Günthera dziedzica tych dóbr, łaskawie dla mnie otwarte. Znajduje się tam dekret kompromissarski, roku 1728 między Jezuitami Żodziskiemi i Dobrowlanami ferowany, a rozmaite z lat dawnych graniczne i inne spory; a między temi i o prowiant dostarczany do obozu wojsk szwedzkich w roku 1708.

Stronica 28. Powszechne widać było zabobonne mniemanie, że Karol XII. miał inkluzę, która go od kul broniła. Waleczność osobista jego, dała zapewne do tego powód. W rękopismie Aleksandra Mackiewicza, z którego cudzysłów na karcie 9-téj wypisałem, znajdują się wiersze za i przeciw Karola; pochwała jego i odpowiedź na nią; w téj ostatniéj poeta wyraźnie mu inkluzę przyznaje. Wypisuję tu wyjątki z jednéj i z drugiéj, przeciwne sobie sztrofy — dwie ostateczności. Prawda, jak zwykle, musiała się znajdować w *umiarkowanym środku.*

„Obraz prawdziwy króla szwedzkiego Karola XII twarzy, postury, umysłu, i akcyi w Polsce przez lat siedm zdziałanych *) *Pochwała.*“

„Wielkiego króla, tryumfy i męztwem
Większego szczęściem stawiam i zwycięztwem,
Który heroicznemi aż na zazdrość czyny
Wszystkiego świata napełnił krainy.“

Karol dwunasty—król państwa szwedzkiego
Wielki zwycięzca, choć wzrostu małego.

Jednak urody nie skąpéj jest cale
Bo przyrodzenie dość mu doskonale
Tak faworytem stało się w téj mierze,
Że dank we wszystkiém przed innemi bierze.
Delikatnego ciała będąc prawie,
W pracach jest wszystek—bo robi ku sławie:
Więcéj rozumu, aniżeli ciała,
Jego posturze natura nadała.

---

*) Tytuł obu wierszy jest jednostajny, bo odpowiadający na pochwałę, tenże sam tytuł i w naganie powtórzył autor, mając przedmiot jednostajny, tylko odwrotnie nań patrząc.

Włos ma na głowie światły niezbyt spory—
Tę głowę osuł, gęstemi kędziory
Umysł i czoło, rozumu, powagi
Pełne, a serce męztwa i odwagi.

Oczy są żywe, marsem pałające
Miłém wejrzeniem wskróś przenikające,
Nos miękki cale—jaki kawalera
Wielkiego zdobi, przy nim dobra cera.

Usta nie małe, lecz nie naganione,
A uśmiechaniem z prawdą napełnione:
Twarz ma pociągłą, kawalerskiéj miny;
Ta przypraw nie zna dla takiéj przyczyny;

Bo chcąc iść wielkich bohatérów szlakiem
Nie dba o gładkość gdy chce być Junakiem
Ciała, rozumu, różne w nim przymioty,
Jedne z zarobków sławy, drugie z cnoty.
Szyja przydługa, z dużemi ramiony,
Pewną jest wróżką, że niezwyciężony,
I nad dwadzieścia więcéj mil ubiegał
Gdy wiedział gdzie się adwersarz rozlegał.

Siłą walecznych monarchów kronika
Wspomina; ale tobie wojennika
Równego jeszcze w odwagach nie stawi,
Co się dowodem istnym słusznie jawi etc.

Odpowiedź.

Karol dwunasty król szwedzki jak żywy
Pokażę jego portret tu prawdziwy:
Statura mierna k'temu młode lata
Sucha, ruchawa, i fiutyńcowata. (sic)

Cierpkiego ciała—niźli do korony
Do prac i fatyg bardziéj ułożony,
Rozum ma taki jak młodym zwyczajna,
Ma i *inkluzę*—i to rzecz nie tajna.

Włosy na głowie hrube i żółtawe
Jako szerść stojąc, w górę idą prawie,
Czoło pomierne, a tak ułożone,
Że są zamysły jego niezgadnione.

Nie Mars mu z oczu, ale chytrość błyska,
Bo prawda w sercu nie ma stanowiska,
Wszystko zdarł, złupił, gdzie oko zapuścił,
Nawet świątnicom Pańskim nie przepuścił

Lecz świętokradzką obciążon zdobyczą,
Niech pewien będzie, że go wnet przećwiczą:
Orlego nosa kto go zna tak rzecze,
Iż mu ustawnie kropla z nosa ciecze.

Usta są duże i kiełbasowate,
A uśmiechania pełne i bogate,
Pociągłéj twarzy, téj nigdy nie myje,
A któryż kiedy król tak hydko żyje?

Wszystek jest zdrowy, choć z złamaną nogą
Szwank wziął lustrując Wołoszę ubogą,
Na ucisk Polski, który wnetże powstał,
A *Urbanowicz* Rotmistrzem ich został.

Nieśmiertelnejś byłbyś godzien sławy,
Byś *inkluz* do téj nie używał sprawy,
Śmiałe zaleca serce kawalera,
A cóż zaleca Szwecyi bohatera?

Nad Aleksandra sława by cię wzniosła,
By zła estyma z *inkluz* nie urosła;
Pamiętaj na to, że gdy Bóg przypuści
Djabeł odstąpi, i inkluza puści.

Byś nieprzyjaciół zguby i ponęki
A twoich zwycięztw z boskiéj patrzał ręki,
I w nim nadzieję odwag swych położył
Nie w granatowéj sukni którąś włożył *).

Dla zdrowia twego zaszczytu i ciała,
A teć twa babka czarami nadziała,
I piekielnemi uzbroiła siły,
Być kule, szable, groty nie szkodziły etc.

Po wielu jeszcze sztrofach, kończy poeta proroctwem pod Połtawą sprawdzoném.

„Bo gdy fortuna zbytnia komu służy,
Przeniosłszy morze, utopi w kałuży;
Tymże sposobem co zwyciężasz, i ty
Od adwersarza swego będziesz zbity.“

---

*) A więc w granatowéj sukni siedziała inkluza. To przypomina guzik Napoleona.

Stronica 34. Szczególniejsza ta miara odległości *„na strzelenie do czapki"* nie jest wcale przez autora wymyśloną; w dawnych ograniczeniach znaleść zdarza się *„na strzelenie z łuku"* w dziele: *Limites magni ducatus Lituaniae, ex originalibus et exemplis autenticis descripti. In lucem editi 1758. Vilnae.* W opisaniu duktu granic wyraża się: „Podstarościc Brzeski *Jan Jacynicz* z ludźmi Dymińskiemi, przyprowadzili nas do ostrowa *Hodenia*, znak rzeki rów w którym jest woda, mieniąc iż pośród tego rowu, błotem rzeka *Or* idzie: miejscami pokazując się a miejscami niknąc, którego rowu jest w poprzek na *strzelenie do czapki.* Potém prowadzili nas błotem, na którym błocie okazali trzy rowy bez wody, mieniąc iż tędy rzeka *Or* idzie. Potém prowadząc nas błotem do jeziora Brzeskiego, pokazali nam rów przedlichowaty (?) bez wody, którego rowu było niby na *„trzy strzelenia do czapki."* etc.

Stronica 41. Komu się zdarzyło, lub kto z powołania studjując nad piśmiennictwem polskiém, wszelakich rodzajów i czasów, czytał kazania z końca XVII. lub z początków XVIII wieku, pozna łatwo, że kazania Bekieszki, jest parodyą tamtoczasowéj kaznodziejskiéj wymowy, w któréj erudycya duchowna, ze świecką razem pomieszana, w przesadzonych cytacyach, w figurycznych sensach, w nadętym i napuszystym stylu, uznawaną była za najwyższą doskonałość i mądrość kazania i kaznodziei. Znajdziesz tam i *Syreny* i *Appolina* i *Cycerona* i *Arystotelesa....* a koniecznie *Aleksandra Macedońskiego* i *Herkulesa* z maczugą, zwłaszcza gdy panegirykiem pogrzebowym, należało jakiego wodza, a choćby i pana Rotmistrza tylko uczcić. Kazanie to wiec w swoim rodzaju i w swoim celu jest: *„Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów"* Krasickiego. A że w niem i humor nasz dawny szlachecki, wyraźnie okazuje się, więc jest ono podwójną pamiątką. I skutkiem zapewne téj humorystycznéj zalety, doszło ono aż do naszych prawie czasów, bo chociaż ja wypisałem je z nieraz wspomnionego już rękopisu Mackiewicza, wszakże w młodości mojéj, zdarzało mi się nie raz słyszeć one na wesołych hulatykach, wśród których dowcip kielichem wspomagany, rozśmieszał do rozpuku kompanię.

Stronica 56. W rękopisie tegoż Mackiewicza, znajduje się „Wyznanie wiary prawdziwéj chrześcijańskiéj Ewangelicznéj, uczynione i zaślepionemu światu podane, od Jmć Pana Jana Wojciecha na Wisznie i Jarosławiu Lubomirskiego: także z rodziców zaślepienia Rzymskiego będących urodzonego: a potém przez inspiratię Ducha Świętego, oświeconego. Działo się w Raduszkowiczach, w województwie Mińskiém leżącém miasteczku królewskiém, w obozie Króla Jegomości Szwedzkiego, natenczas tam stojącego z wojskiem 1708 r. Aprila 15 dnia."

Lubomirski wyznaje się tu być Franciszkanem; od roku 15 wieku swego, przez szlub rodziców swoich do tego zakonu poświęconym: „a wkrótce też potém do królestwa Syjna (czy nie do Syam) od Rzymskiego dworu posłany, i w tymże królestwie lat dwanaście *continue* urząd Missyonarza apostolskiego zawiadując: naostatek od Rzymskiego papieża z królestwa Syjna rewokowany" etc. przechodzi w obozie Karola na wyznanie Ewangielickie, i Papieżowi złorzecząc, uroczyste daje *Vale.*

KAMIEŃ W OLGIENIANACH. *)

I.

Zygmunt III-ci z licznćm rycerstwem leżał od kilku miesięcy pod-Smoleńskiem. Częste bitwy pod murami i szturmy do potężnego a mężnie bronionego grodu, pomnażały codzień liczbę chorych i rannych w wojsku polskiém; nie wzruszało to jednak ani osłabiało stałego postanowienia króla wzięcia miasta, na zdobyciu którego zakładał on sławę panowania swego i dalsze bodaj polityczne nadzieje.

Wszystkiemi więc drogami od Smoleńska w głąb Litwy prowadzącemi wlekło się, to na wozach, możniejsi a słabsi, to pieszo o kulach, to nakoniec konno, pojedyńczo lub w kilku i kilkunastu, żołnierstwo, dla ran lub chorób opuszczające obóz, i spotykało się z ciągnącemi wzajem posiłkami do obozu, a rozpytującemi ciekawie u wracających o procederze wojny.

Nowiny rozpowiadane przez tych, którym się wojna nie powiodła, i którym zamiast spodziewanych tryumfów i zdobyczy, dała kalectwo lub ciężkie niemoce, nie były po myśli podstępującym ku niéj, lecz też ich nie trwożyły bynąjmniéj: bo któż idąc na bitwy nie trzyma się oburącz, że tak powiem, nadziei, że go zły los oszczędzi, że go kule mijać będą, że wróci zdrów i cały? Bez téj nadziei, honor, który z rozwitą chorągwią chwały, wiedzie szyki do boju,

---

*) *Olgieniany* folwark w powiecie wileńskim w parafji Gierwiatskiéj, należący dziś do Pani Hurczynowéj.

zaiste! mniejby licznemi dowodził zastępy.... owszem! I rycerstwo więc i ciury nawet obozowe, cieszyli się nowiną, że jeszcze Smoleńsk nie był wzięty, że opanowane i oddane na zdobycz miasto, bogatym łupem nagrodzi każdemu długie fatygi i znoje. W owym bowiem wieku, jeszcze i ten wzgląd, dziś chwała Bogu znikły, gromadził ochoczych w obozy, zagrzewał w bitwach i dodawał cierpliwości w trudach i pracach wojennych.

II.

Było to więc w roku 1611, w połowie maja. Drogą, która oddawna traktem Połockim się zowie, jechał zwolna konno wojskowy, jak się zdawało z poważnych znaków pancernych, a za nim szeregowy, raczéj ciura obozowy, służebny.

Konie i pod panem i pod sługą mogły być kiedyś dzielne, ale teraz tak były chude i uznojone, że zaledwo dźwigać mogły jezdców, i rynsztunek a juki u sługi do siodeł uwiązane: pierwszy bowiem mając na sobie żupanik z ciemnego sukna, jaki pospolicie pod pancerz nadziewano, aby ten żelaznemi rębami, nie cisnął i nie mulał ciała, misiurkę krótką stalową w wałek zwiniętą, zawiesił z jednego boku przed sobą u łęku; z drugiéj strony na przymocowanym haku wisiał muszkiet, tak zwany *harlacz*, jakich podobnych łatwo jeszcze znaleść można po wielu zbrojowniach, kończący się w kształt lejka, z którego garść kul razem rzucić można było w oczy nieprzyjacielowi. W toku tkwiła kopija na pół złamana, którą wiózł rycerz dla pamiątki widać szwanku własnego i wiernéj mu broni; nakoniec u boku szeroka i długa szabla, z furdamentem, kocią głową zwanym, a silnego ramienia wymagająca, na rzemiennych pasach przymocowana, a z tyłu siodła węzeł potężny z ruchomością wszelaką przypięty i zakryty płaszczem, kończył moderunek rycerza, nader ciężki na wyczerpane siły jego rumaka, którego młoda jeszcze majowa trawka dostatecznie podżywić nie mogła. Sam jeździec mógł mieć lat około trzydziestu; trzymał on ranioną lewą rękę na temlaku, to jest białéj chustce, głowę miał także przewiązaną podobnąż chustką i nakrytą lekką czapeczką, z pod któréj nie dobrze jeszcze zleczona blizna, aż przez czoło się przedłużała. Lecz mimo jednak te rany, i z nich wynikłą bladość twarzy młodego człowieka,

skład jego postaci od piérwszego nań wejrzenia okazywał siłę i zręczność, a oko i oblicze piękne i męzkie razem, zapewniać zdawały się, że wola i odważna stałość umysłu, nie zdradzi w potrzebie potęgi ciała, o czém i rany jego dowodnie świadczyły.

Za nim już wlókł się *ciura*, to wesoło pogwizdując rozmaite obozowe piosnki, to śpiewając je głośno, aż się echa odzywały. Siedział on na drewnianym kozackim łęku, czarną, wytartą i dziurawą skórą pokrytym, ubrany sam mimo dnia ciepłego, w burą grubą opończę, od któréj z tyłu kapiszon klinem ścięty, i wielkim różnobarwnym z sukiennych krajek kutasem zakończony, w deszczach i słotach włożony na głowę, chronił ją doskonale, i jeszcze jakby kitą ozdabiał. Opończa ta ściśnięta była w stanie, szerokim rzemiennym pasem, na którym także rapiér, któż wie kiedy dobywany, wisiał. W miejscu zwykłéj ładownicy, spora cynowa flasza, takąż czarką zaszrubowana, na sznurze przez piersi przeczepiona; a na przeciwnym boku równymże sposobem umocowana szeroka torba ze skóry, a naładowana narzędziami, już to dla panów, już to dla koni w podróży nieodbitemi, i nakoniec czapka śpiczasta tatarska z gęstą opuchą, dokończała ubioru krępego chłopaka. Starszy on był od pana swojego, ale nie poniosłszy żadnych wojennych szwanków, wyglądał czerstwo i rumiano, a prostą i rubaszną wesołością, rozrywał długie i smętne zadumania jego. W ręku trzymał stary i złamany łuk od którego zerwaną pół struną, zacinał konie, jak biczem.

— A długoż jeszcze, miłościwy panie, rzekł, wlec się będziemy przez tę ciemną i djablą Litwę, nim trafim do tego dworu którego szukamy?

— Zdaje mi się, odpowiedział towarzysz pancerny, że gdyśmy już Wilję przebyli, blizko zatém być musiemy

— A chwałaż Bogu w Trójcy Świętéj jedynemu i Najświętszéj Pannie Częstochowskiéj! ale daleko jeszcze czy blizko, trzeba paneńku, koniki popaść, bo nie dójdą i pół mili; ot nie zły dyrwanek, i trawka nie spaszona, niechże jéj trochę poskubią, napoim ich potém gdziekolwiek po drodze, a i my przekąsim nieco..... Jest we flaszy gorzalina, jest w torbie bułka chleba, jest jeszcze i kawał wyśmienitéj wędzonki, co nam ich onegdaj, zacna owa szlachcianka na drogę nadawała tyle, że i zmieścić nie było gdzie: daléj więc z konia miłościwy panie, i do roboty.

— Masz słuszność, odpowiedział zsiadając z konia towarzysz, potrzeba dać wypoczynek biednym naszym koniom; któż wie czy znajdziemy czego szukamy? a wtenczas....

— A cóż wtenczas będzie z waszmością? przerwał zadziwiony pachołek.

— Wtenczas.... Sam nie wiem.... zdaje mi się poczciwy Filipie, że przyjdzie mi znowu wrócić do domu.

— No, to po cóż wasza miłość z obozu odjeżdżałeś? a wróciwszy co tam będziesz robić z pokaleczoną ręką i głową.

— Głowa się moja goi, a rękę prawą mam zdrową, pan Nowodworski przyjmie mię chętnie; bo i wypuszczać nie chciał, ale taka mię tęsknota ogarnęła, do odszukania strony mojéj rodzinnéj i starego ojca, jeżeli jeszcze żyje, a zwłaszcza gdy rany moje nie dozwoliły mi wychodzić w pole, bo zdrów nie odstąpiłbym chorągwi, że postanowiłem koniecznie jechać w te strony; i spuszczając się to na moją dziecinną pamięć, to na rozpytywanie się u poczciwych ludzi, puściłem się w drogę. Waści panie Filipie, dał mi pan Nowodworski za pachołka, ale cię nie przymuszał, dobrowolnie się tego podjąłeś, dziękuję ci zatém, i starać się będę, jeżeli mi Bóg poszczęści, wynagrodzić tobie... Jednakże nie słusznie nazywasz Litwę djablą, bo to równie chrześcijański kraj, jak twoje tam Podgórze, z którego mówiłeś zdaje mi się, że pochodzisz.

— Albo ja wiem na pewno zkąd pochodzę i gdziem się urodził? ot wziąłem się na ten świat Boży, ni ztąd ni z owąd, dosyć mnie, żem jest. Powiedziano mi, że się nazywam *Filip Brześniak* do usług, to i jestem *Filip Brześniak* do usług każdego dobrego pana; i lepiéj mnie, bo nie będę nigdy szukał ani rodziców, ani miejsca gdziem się rodził, a gdzie umrę? to Panu Bogu wiedzieć, a mnie co do tego?.... Trzymam się zawsze klamki pańskiéj, a prawdę mówiąc, strzemienia pańskiego; bo nasze pany nogi teraz ze strzemienia nie wyjmują, i dla tego w obozach życie pędzą. Żołdu tam wprawdzie nie mam żadnego, czwierci jak ichmość towarzystwo nie liczysz; ale też i łba nie nadstawujesz, a byle być *rezolutem*, i jak tylko zatrąbią na tryumf, lecieć na plac i szczelnie macać po kieszeniach leżących nieprzyjaciół, broń Boże własnych braci, to z próżnemi rękami nie wrócisz, i kiedy nie talarków, to przynajmniéj ruchomości wszelakiéj nazbierasz szmat.

Zaprawiłem się ja na to, najpierwéj pod *Byczyną*, gdym służył w czeladzi hetmańskiéj pana Zamojskiego. Jak tylko niemcy plu-

draki, nie wytrzymawszy impetu rycerstwa naszego, uciekać zaczęli, i sam ich *herc*, który chciał być naszym królem, zmykał najpiérwszy, a nasi rzucili się za nimi z kopyta, to my wysypaliśmy się z obozu hurmem jak mrówie, i dalejże do rewizyi.... Ale tu znowu druga zaczęła się bitwa na kije i kułaki, bo przy każdym Niemcu tuzali się pachołkowie jak koguty, i mnie któryś zajechał kijem po grzbiecie; więc ja w bok, w krzaki, na szczęście... aż i znajduję tam leżącego niemczurę; srodze tłusty i łysy, a we krwi kąpie się jak wieprz w kałuży, żyje jednak, bo ktoś widać przez pacierze tylko przekroił. Dawaj *gielt* łysy biesie, krzyknąłem, namierzając się obuchem, ale to dla postrachu tylko. On słabą ręką, pokazuje mi i targa guziki od swojéj kurtki; a kurtka sajetowa, i guzików wielkich, oszytych suknem gwałt! pomyśliłem, musi tu być cóś, oderwę jeden guzik—talar! drugi—talar! Czy tak?... gdzież tu zabawiać się długo?... rozdarłem kurtkę, i w nogi z nią—bo już słyszę, że nadbiegają koleżki. Sześćdziesiąt ośm nałuszczyłem sobie potém talarków.... Dajże Boże zbawienie łysemu Niemcowi, jeżeli umarł; a zdrowie, jeżeli wylizał się z ran swoich; dałem tymfę na ubogich, na jego intencyę, bo było za czém cały miesiąc hulać w Krakowie.

Tak rozpowiadając Filip, rozsiodłał konie, wytarł je z potu, wyjął z torby dwa żelazne pęta i włożył im na nogi; przy tém młotkiem ostukał podkowy, wbił w nie parę ufnali, puścił na paszę; wszystkie juki i rynsztunki złożył na kupę: słowem porządnym i znającym rzecz swoją okazał się sługą. Tak dokonawszy starania około żwierząt, przystąpił do zaspokojenia ludzkich potrzeb i odszrubowawszy flaszę—no, a teraz posilim się, rzekł, suplikuję waszą miłość!

— Nie potrzebnie traktujesz mię za każdym razem, odpowiedział towarzysz; wszakże mówiłem ci, że mi doktor zakazał pić gorących likworów, nim się zupełnie rany nie zgoją.

— A wszakciż goją się codzień, więc powoli przywykać trzeba; możeby trochę rozpogodziła się i twarz waszéj miłości, bo przyznam się, że mi aż nudno czasem, patrząc na nią zawsze smutną i zadumaną. Ale kiedy nie ma pana *Siemaszki* to ja do *flaszki*, podług dawnego przysłowia. Łyknął zatém do dna; ha! dogodziłem! rzekł z przyciskiem—i apetyt wilczy odzywa się.

Znowu więc torba z drugiego przedziału dostarczyła wędzonki,

séra i chleba; co wszystko wykładał on przed siedzącym pod krzakiem leszczynowym, towarzyszem, niezapominając i o sobie.

— Błogosław Panie Boże, mówił, słowa w gębie przemieszywając z kęsami, błogosław Panie Boże ową zacną wdówkę, która onegdaj waszą miłość tak zatrzymywała, i wyleczyć deklarując, i wszelkie swe dostatki, jak z regestru wyliczając, byleś tylko został. Domek chędogi, piwko jak lepszego i w Krakowie nie znajdziesz, wiszniaczek jak małmazja, i wódeczka stara, a gosposia młoda... dalibóg raj! a wasza miłość gwałtem się z tego raju wyrwał! Oj pożałujesz tego waszmość! pożałujesz!

— Daliśmyż przecie słowo, rzekł uśmiechając się młodzieniec że nie zapomniemy do niéj drogi.

— Prawda, i za toż sakwy nasze napełniła specyałami, których nam aż do dziś dnia stało. Ale pamiętaj waszmość, że to kwatera pokwapna, i tuż przy gościńcu, a gosposia widocznie łaknie załogi; więc znaleść się może jaki drugi towarzysz, a może i rotmistrz, który nie tęskniąc tak jak wasza miłość do własnego gniazda, zechce osiąść w gotowym cudzym; a wtenczas choć wróciemy, będzie po czasie dobrodzieju!

— Niechże sobie będzie jak chce, dla mnie to wszystko jedno.

— A ja wracając do obozu, zawrócę taki do tak osobliwéj pani, i choć pokłonię się od waszéj miłości.

— Czyż myślisz panie Filipie, powrócić jeszcze pod Smoleńsk?

— A jużci kiedy da Bóg szczęśliwie doprowadzić waszą miłość do ojcowizny, to już waszmość w niéj i zostaniesz, a mnie zdrowemu za piecem nie siedzieć, byle trafić jeszcze przed zdobyciem miasta, to może mi Bóg nagrodzi za to, co pod Kircholmem straciłem.

— Alboć byłeś i pod Kircholmem?

— A jakże nie? byłem znowu pachołkiem stajennym u Hetmana ale Chodkiewicza.

— Czemużeś od jednego do drugiego, tak przeszedł?

— A bardzo po prostu: jak Zamojski wojnę szwedzką w Inflantach zdał na Chodkiewicza, tak i ja zostałem się przy obozie, bo chwała Bogu, Filip Brześniak niczyim poddanym nie jest. Wsunąłem się więc do czeladzi nowego hetmana; a że w znajomości około koni nikt mię nie przepisze, bo lubię koniki mospanie, że i podkuję w nagłéj potrzebie, i czary w stajni od razu poznam, odpędzę; znają mię więc wszędzie, i każdy koniusz ochotnie przyjmuje

mię na strawę i jurgielt. Takim zatém obyczajem dostałem się do Chodkiewicza, takim od Chodkiewicza do pana Nowodworskiego, kawalera maltańskiego, z którym i waszmość żołd wiedziesz.

— Więc jakże było pod Kircholmem?—Zapytał pancerny, przerywając biografię Brześniaka.

— Aj, tam mnie Bóg skarał, choć pobłogosławił dzielnemu rycerstwu naszemu. Wytrzepałże tam, wytrzepał Chodkiewicz Szwedom skórę!!! Jak pod Byczyną niemiecki herc, tak tu sam ich król uciekał jak djabeł, kiedy go z tyłu ksiądz kropidłem święci: bo i kropiłyż go pałasze polskie! Ale że naszych była mała garstka, a Szwedów w dziesięcioro, więc aby się nieobaczyli i nie wrócili do szyku i ładu, parło ich wojsko nasze bez pardonu, a zatém nie miało czasu zabawiać się zdobyczą; nasza to była sprawa. Ja, aby być na przedzie, chwyciłem szłapaka od wozu, i oklep poleciałem na plac. Rozpatruję, nie ma wielkiéj *sperandy;* Szwedziska to biedny naród; piechury z rusznicami, albo z długiemi spicami, które im przecie nie pomogły, leżą w paklakach i grubych sukmanach: czwałuję tam i sam, a nuż jakiego pokwapniejszego nie najdę; nie ma, ale widzę, biega piękny koń skaro-gniady, bez jezdzca; a musiał on nosić jakiegoś znacznego wodza, bo i sam dzielny, i siądzenie na nim nie podłe, owszem świeciło się od litego srébra; więc podjechałem, przygłaskałem konika, i cap za musztuk jak swego. Będzie z ciebie dość Filipku, pomyśliłem. Oh! byłoby dość i na całe życie, gdybym nie był głupi; bo na dzień, kiedy po wiktorji i tryumfie tak wielkim, radość była w obozie, i targ na wszelkie zdobycze, rotmistrz Baranowski targuje u mnie gniadosza z całym moderunkiem. Daje talarów sześćdziesiąt, ani gadam; daje ośmdziesiąt, krótko mówiąc za dziewiędziesiąt pięć oddaję. Mógłbym wziąść i więcéj, ale po obozie zaczął chodzić rumor, że wszelką zdobycz każą ciurom i czeladzi składać na kupę, i wszystko oddać, bo powiedziała starszyzna, że ona krew przelewa, a profity wszystkie idą do rąk kijem tylko nie szablą, zbrojnych.

Wyliczył mi zatém Baranowski umówioną kwotę, konia odprowadzić kazał do swojéj stajni, a siądzenie wniósł do kwatery i opatrywać zaczął, gdziem i ja był jeszcze. Patrzy on, cieszy się; siodło zamszem nawleczone, w różne floresy przeszywane i miękkie, pociska, probuje.... jednym razem zawoła na wyrostka: „daj sam noża! i zaczyna pruć.“

Ja i inni baczni na to krzyczym: dla Boga dobrodzieju! na co wasza miłość psujesz tak piękną kulbakę?

On przepruł széroko raz i drugi, aż tu jak posypią się czérwieńce!!!

— Jezus, Marya, Józef! krzyknąłem, bo rozumiałem że to czary. Ale on porze i porze a złoto jak z worków coraz nowych sypie się....

— Gwałt! krzyknąłem znowu, ja tego nie przedałem.

— Przedałeś wszystko chłystku, rzekł spokojnie Baranowski, zbierając dukaty garściami.

— Nie przedałem! woléj ja djabłu duszę przedać, wrzasnąłem bez pamięci.

— Na co ma djabeł płacić, mówił on podrwiwając sobie, za taki kiepski towar, a wreszcie probuj.

— Nakoniec chwyciłem za dukaty, a Baranowski mnie za kark. On mąż jak dąb! rozcisnął garść moją, jak zmarzłe jabłko i wypychając mię z tureckim abszytem za drzwi „idźże do biesa na targi!“ wrzasnął. Hałasowałem, przeklinałem się jak opętany, targałem sobie uszy, wąsy i czuprynę, ale nic to nie pomogło; tylko zebrało się koło mnie pełno ludzi, śmiejących się ze mnie jak z warjata, lub nawiedzonego. A na większą moją konfuzję, Baranowski wyskoczył znowu z kwatery jakby czegoś zapomniał, i wbijając mi jakiś rożek za nadrę, zaśpiewał nad uchem:

„Tobie rożek z tabaką.
„A mnie konik z kulbaką,
„Towarzyszu mój!“ *).

To mnie do ostatniéj złości doprowadziło i postanowiłem, bo może już djabeł do mnie i przystępował wir głową zamącić. Rozepchnąłem więc tłumy, i poleciałem do jeziora o kilka stajów tam będącego: już byłem przy brzegu, gdy mię dopędził *Prokosz* sługa hetmański od namiotów, stój! krzyknął on, gdzie lecisz?

— Do jeziora, odpowiedziałem.

— Topić się?

— A ha!

— Oddajże mi dziewięćdziesiąt pięć talarów, któreś wziął za konia, bo tam na dnie nie będą tobie potrzebne.

*) Dawna żołnierska piosnka.

— Przypomniałem wtenczas, że mam talarki w kieszeni, i stanąłem jak wryty.

— A co bratku, rzekł znowu Prokosz, nie topisz się?

Milczałem, ale odwróciłem się tyłem do jeziora.

— No cóż? albo top się i oddaj mi talary, albo pójdziem i jednego na miód przepijem.

Zgodziłem się na ten projekt, uściskałem poczciwego kolegę, który jakby anioł stróż, ze szpon szatańskich mię wyrwał, i upiliśmy się na pociechę. Ale odtąd postanowiłem wszystko co złapię *pruć*, choćby tam do djabła i brzuchy nieprzyjacielskie.... Więc odprowadziwszy waszą miłość, i podkarmiwszy konika, wracam wnet do wojska: powiadają, że *Selin* *) nie podda się tak prędko; może więc Pan Bóg miłosierny nagrodzi mi szkodę *kircholmską*.

— Dla czegoż wyjechałeś z obozu? trzeba było wolej tam się pilnować.

— Widzisz bo wasza miłość: najprzód musiałem powolne służby moje okazać panu kawalerowi maltańskiemu, bo jego chleb jem; a powtóre i to najbardziej, że jakoś serce moje uchwyciło się waszmości, od owego dnia, gdym tak rezolutnie pomógł waszmości do wiktorji nad tym brodatiaszem, który was porąbał, a któremu waszmość potem tak dogodziłeś, że bodaj poszedł do Abrahama na piwo. Widząc ja z obozu, że nasi górą, że i załogę odpierają do miasta, wyprawiłem się na plac, i położyłem się tam w rowie, czekając bezpiecznie, aż się wszystko zakończy. Leżę cicho, wtém usłyszę koło mnie jakiś tertes i krzyk; wyglądam ostróżnie jak lis z nory, i myślę sobie, że za daleko zabrnąłem, aż to waszmość się borukasz i łamiesz z jakimś, można mówić, olbrzymem zawziętym i nieuważającym na to, że został od swoich; krew waszmości ciekła już po twarzy. Ej! powiedziałem sobie w duchu, śmiało *Filipku!* Daj salwę mężnemu rycerzowi!!! wyskoczyłem więc z rowu jak z procy; a krzyknąwszy po tatarsku *hała hała*, za jednym susem zerwałem kołpak z głowy *brodatiasza*.

— Prawda to jest panie Filipie, przyszedłeś mi w sukurs w sam czas, nie zapomnę ci tego nigdy; ale wolałbym gdybyś go był schwycił za ręce, bo lubom go wzajemnie ciął przez łeb bronił się jednak mężnie, i mnie jeszcze ranił po ręku.

---

*) Dowódzca załogi w czasie oblężenia Smoleńska.

— Ale bo ja pomiarkowałem w rowie, że jak porwę kołpak i odkryję mu goły łeb, to już łatwiéj będzie waszmości uchodzić go.

— Tak, ale przyznaj się panie Filipie, że sobolowy ów kołpak, i błyszczący na nim łańcuch, mógł także do tego wojennego fortelu być tobie powodem, rzekł uśmiechając się młodzieniec.

— He! cóż kiedy pokazało się potém, że sobole podkurzane, a łańcuch miedziany, pozłacany tylko.

III.

Już też i posilili się podróżni, konie się popasły, napoił je Filip w blizkiéj strudze, osiodłał i ujuczył regularnie; puścili się zatém w dalszą podróż.

Po ujechaniu jeszcze z półtora mili, wybrnąwszy z lasów na otwartsze pole, spostrzegli zdala wieżyczkę kościelną i krzyż na niéj. Pancerny podjął się na strzemionach, utkwił wzrok w krzyż ten i westchnął, a potém się przeżegnał.

— Co to znaczy? zapytał Filip.

— Jeżeli moja pamięć po latach dwudziestu nie zawodzi mnie, zdaje się, że zbliżamy się, do dóbr pana Kiszki *), na którego dwór woził mnie małego niekiedy ojciec, i że ten kościołek jest parafialnym miéjsca mego urodzenia... okolice wszystkie jakby we śnie przypominają mi się... ten gaj na prawo... tam w lipach dwór za kościołem... a tam oto cmentarz i krzyże!.... Cmentarz!.... tam moja matka spoczywa.... a broń Boże... i znowu westchnął głęboko, i niedokończył, ale czytelnik zgadnie łatwo myśli, które się na cmentarzu zbiegły ze wspomnieniem umarłéj matki i z niepewnością o życie ojca.

— Trzeba więc tu powziąć języka, mówiąc po żołniersku, rzekł Filip; owo ortaj na polu, podjedziemy.

Zwrócił konia towarzysz, lecz wnet go nazad cofnął. Oh! nie, mój Filipie, rzekł, nie, jedźmy woléj prędzéj pod kościół, przypomnę go niezawodnie, jeżeli jest ten sam..... Przymusił tu ko-

*) Ziemie tu opisywane w owym wieku, były w istocie własnością znakomitego niegdyś w Litwie rodu Kiszków.

nia do biegu... i wstrzymał go wkrótce, znowu zwolna postępując... serce jego niespokojne biło gwałtownie, i raz gorącém żądaniem rozwiązania wątpliwości pałało, to pragnęłoby przedłużyć lękliwie oczekiwanie, znośniéjsze nad fatalną pewność.... Szczęśliwy kto w życiu spokojném i jednostajném, takich chwil męczących nie doznał.

Podjechali więc pod kościół. Jak tylko zblizka ujrzał go pancerny,—tenże sam, Filipie kochany! tenże sam! zawołał, i chyżo zeskoczywszy z konia, już klęczał na krużganku kościelnym, a całował z uniesieniem kamienie, na których ukląkł, a bujnemi, lejącemi się poniewolnie jak ze źródła ze źrenic jego, oblewał je łzami. Piérwsze uczucie miłości rodzinnego gniazda, piérwsze odetchnienie powietrzem, które dziecięcą pierś jego żywiło, takim go ogarnęło i żalem i roskoszą, i uniesieniem, i trwogą, że patrząc nań rzekłbyś, że ten człowiek nie wydoła tylu wrażeniom, że omdleje pod ich napływem. Filip nawet patrząc na to, rękawem od opończy oczy swe ocierał. A jakże ten kościół i to miejsce nazywa się? zapytał on, przerywając może umyślnie rozrzewnienie młodzieńca.

— Jak się nazywa? poczekaj, przypomnę zaraz.... Aj, nie wiem czy przypomnę, rzekł po namyśle, powstając nakoniec z klęczków.

W tym z małéj chatki będącéj w podle, a nad któréj drzwiami prosty krzyż drewniany oznaczał, jako i dziś jeszcze gdzieniegdzie obaczyć można, ubogi dla starców i kalekich parafialnych przytułek, wyszedł chromy staruszek i widząc obcych przybyłych pod kościołem:—niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—rzekł.

— Na wieki wieków! odpowiedział Filip, i dodał:—a jak się nazywa, staruszku, ten kościołek, i to miejsce?

— Widać że z daleka przybywacie odpowiedział starzec ale to nie dziwota; teraz codzień widzim żołnierzy z całego świata tędy przechodzących, a wszyscy modlą się i mają litość nad nami dziadami szpitalnemi, a my zatém prosim Boga, aby im na wojaczce szczęścił. To mój dobrodzieju *Gierwiaty* *).

— Ach! tak *Gierwiaty!* przerwał Juljan, (bo to było imie młodzieńca). Przypominam, *Gierwiaty!*... a dalekoż ztąd do Olgienian? Oh! tego nazwiska nigdy nie zapomniałem.—Do Olgienian? dobrodzieju dobra mila.—A czy żyje tam?.... i głos mu się przeciął i odwaga opuściła, i nogi pod nim osłabły tak, że musiał

*) Kościół i miasteczko na Połockim trakcie w powiecie Wileńskim.

oprzeć się o kościelną ścianę. —A czy żyje tam... mówił drżącemi usty, pan *Fiedor Starosielski!*

— A żyje stary, odrzekł szpitalnik, żyje jeszcze i co niedziela bywa tu w kościele, a dla nas biednych nie jednego tymfa do karbony przyrzuca. Niech mu Bóg za to wieku przedłuża.

Juljan odetchnął teraz całą piersią, jakby z niéj cisnący go dotąd spadł kamień; pot mu na czoło w bujnych kroplach wystąpił, jak po przesileniu mocnéj choroby, i już swobodniejszym głosem zapytał:

— Jakże żyje staruszek? kto o nim ma staranie?

— Mieszka z nim jego siostra stara, ale jeszcze krzepka babula; ona ład w domu prowadzi, a oboje i przy mszach św. i przy elemozynach, każą modlić się za szczęśliwy powrót z niewoli tatarskiéj, syna jego jedynaka, którego gdzieś tam i kiedyś na Ukrainie ci poganie mu ukradli czy gwałtem zabrali.

— Ruszajmy! rzekł Juljan, nie chcąc już ani chwili tracić czasu; obdarzył więc starca i dosiadł konia.

IV.

Trzebaby się popytać drogi, rzekł Filip.—Nie, spuszczam się na moją pamięć; zdaje się, że trafię, bo mnie małemu dziecinie pozwalał niegdyś ojciec wózkiem i spokojnym koniem wozić siebie do kościoła. Tu wraz powinna być drożka na lewo z gościńca, potém kilka wiosek blizko drogi, potém borek i za nim *Olgieniany.*—No, przecięż dał nam Pan Bóg znaleść czegośmy szukali; ale bez obrazy waszéj miłości, rzekł znowu Filip, ciekawość mnie bierze zapytać, jakim sposobem to się stało, żeś się waszmość tak zgubił z rodzicielskiego domu?

— Długo to byłoby rozpowiadać ci, kochany Filipie, wszystkie przygody mojego życia: gdybyś mi był przed kilką dniami dał to pytanie, możebym łatwiéj ciekawość twą zaspokoił, teraz nie mamy już na to i czasu, i sam widzisz, że nie jestem w stanie; pokrótce więc tylko powiem. Miałem lat ośm czy dziewięć, gdy rodzic mój utracił żonę swoję a moję matkę: żałośny on był bardzo po swéj wiernéj towarzyszce, i tém boleśniéj mu było, że jako starszy

od niéj, spodziewał się raczéj ją owdowić, niż sam po niéj zostać wdowcem.

— Ręką już prawie skrzepłą włożyła ona na mnie, z ostatniem błogosławieństwem relikwiarzyk maleńki srebrny, w kształcie zamkniętéj książeczki, w którym jest partykuła krzyża św., a który i teraz na piersiach noszę. On mię zapewna nieraz, przy wstawieniu się jéj do tronu Boskiego, w rozmaitych przygodach mego życia uchronił, i teraz może prowadzi mnie cudownie do ojca... Oh! nigdy nie zapomnę téj ciężkiéj godziny skonania méj matki!... pamiętam wszystko jak dzisiaj... ona trzymała gorejącą gromnicę... ksiądz nad nią mówił pacierze.... ojciec obumierał po kilkakrotnie z żalu... zachodziłem się od płaczu, i wszyscy domownicy płakali.

W kilka potém miesięcy wyjechaliśmy z ojcem w daleką podróż, jak się późniéj dowiedziałem, na Ukrainę, do siostry mojego ojca, a mojéj ciotki. Dowiedziawszy się ona o stanie wdowim brata, sama wdowa bezdzietna, postanowiła porzucić na zawsze odległe strony, do których ją zamężcie zaprowadziło, powrócić tutaj, osiąść przy bracie, i zastąpić mnie matkę. Pocieszony tém jéj przywiązaniem ojciec mój, nie zwlekał odjazdu; i po długiéj podróży, stanęliśmy na miejscu. Ciotka moja przyjęła nas ze łzami...

— Otóż drożka na lewo! taż sama! taż sama, zawołał z radością Juljan, O! trafiemy, kochany Filipie! trafiemy!

— Chwała Bogu! ale cóż potém było? rzekł ciekawy Brześniak.

— Potém po kilkotygodniowéj naszéj tam bytności, gdyśmy już wybierali się na powrót, i tém rychléj, że chodziły wieści o Tatarach, mój ojciec dla ukończenia wszelkich spraw siostry, opuszczającéj na zawsze kilkunastoletnie tam swe siedlisko, pojechał do blizkiego miasteczka... gdy nagle i niespodzianie jednego ranku, te poczwary nie ludzie, napadli i objęli nasze całe domóstwo: w mgnieniu oka złupili i zrabowali wszystko. Ciotkę moją, jak mi się wtenczas wydawało, zabito; ale, jeżeli to ona, jak powiadał dziadek ten szpitalny, mieszka przy ojcu moim, to widać wyleczyła się z ran jéj natenczas zadanych. Czeladzi część wycięto, a część rozpierzchła się w lasy; słowem w kilku godzinach z całego domóstwa i gospodarstwa zostały tylko niedopalone główni i popioły....

Zapewna wiesz choć z powieści co to są tatarskie zagony, bo i krzyczeć umiesz po tatarsku.

— A był psubrat Tatar jakiś przy stadninach pana hetmana Zamojskiego, i krzyczał zwyczajnie na rozhukanych ogierów: hała! hała! więc i ja wiem, że to po tatarsku.

— Mnie, mówił dalej Juljan, porwał jakiś z tych szatanów, wsadził na szkapę powodną między torby i juki, przywiązał jeszcze abym nie spadł, i powiózł; a nie pamiętałem co się ze mną działo. Przez kilka dni, *barbary* te zbytkowali po naszym kraju, więźniów coraz więcéj zabierali i z sobą wlekli. Dobrze mam w pamięci, jak mój opiekun karmiąc mię wrzekomo, lał mi w gardło mleko kobyle i gęstą kaszą dławił... Opowiadając tak Juljan, topił ostrogi między żebra swojego konia, a Filip własnego łukiem pobudzał, lecz słabe źwierzęta nie odpowiadały niecierpliwości jeźdców, i podskakując tylko na miejscu, wlokły się powoli jak przed tém.

— Nie długo jednak tłuszcza ta niedowiarków pastwiła się nad naszym krajem i ludem *), mówił pancerny; na trzecim czy czwartym dniu, rycerstwo nasze dosięgło ich zgromadzonych już w *czambuł*, rozdzielających łupy, i mających wnet ruszyć do swoich stepów na powrót. Nie przyszli nawet do sprawy, odrzekli się zdobyczy, i mnogiéj liczby gnanéj w jassyr ludności naszéj; wielu ich padło pod szablą, reszta uciekła, a mój opiekun i karmiciel nie mogąc salwować się jak inni, mniéj odeń chciwi, ucieczką, bo swoich ciężkich juków nie odciął z konia, dostał kopiją w plecy, która mu nawskróś brzuch przepruła; leżał więc, gryzł ziemię i chrapał oddając duszę djabłu.

Jęki zatém, płacze i narzekania wnet się zmieniły w radość i pociechę niewymówną, gdy się wszyscy swobodnymi i wolnymi obaczyli; wszyscy upadli na kolana dziękując naprzód Bogu, za to cudowne wybawienie, a potém każdy wielbił rycerstwo, całował nogi wodzów, i ledwo się opamiętywał w szczęściu.... Toż znowu jednak wróciły się płacze i szlochy, gdy się zaczęto rozwiadywać każdy o swoich rodziców, rodzice o dzieciach, o domostwach popalonych, o porzniętych rodzinach... gdy się zaczęto rozpoznawać, łączyć i ściskać... Żołnierze nawet płakali. Ja tylko stałem na boku sam jeden, i nikt do mnie się nie zbliżał, nie garnął, ani poznawał.

— Biednaż była dziecina z waszéj miłości! rzekł Brześniak.

*) Stać się to mogło w roku 1589, gdy Zygmunt III był z ojcem swoim na zjeździe w Rewlu, a Tatary Ukrainę, Podole i Ruś splądrowali; odpędzeni nakoniec przez Hetmana W. K.

— Aj tak, bardzo biedna. Nakoniec jeden z rycerzy, zapytał mię litościwie: „a ty pachole czyjś? i skądeś?“

Opowiedziałem moje nazwisko, i jak mogłem o sobie, dodając nazwanie miasteczka do którego rodzic mój był pojechał. Gdy tak jest rzekł on, toś ty sierota, bo z miasteczka tego wątpię czy żywa dusza uszła; zginęła cała ludność męzka pod mieczem pogańskim.

Na tę boleśną nowinę, zaszedłem się od płaczu: wyraz ten *sierota* jak nożem mię przebił, bom go już raz słyszał z ust konającéj matki; poczułem więc dziecinném sercem fatalność jego i nieszczęsną pewność, że już i ojca nie ujrzę... Poczciwy ów porucznik, bo tak go po obozie nazywano, wziął mię za ręce i gładząc a pieszcząc: uspokój się, rzekł, dziecino; jest Bóg opiekun wszystkich sierot, ja cię nie opuszczę...

— Patrz! patrz! zawołał młodzieniec przerywając opowiadanie swoje, jak dobrze trafiłem! Oto borek który nam zakrywa *Olgieniany;* jak go przejedziem będziemy już na polach ojca mojego. Pośpieszajmy! pośpieszajmy na miłość Boga! bo mi serce wyskoczy z piersi, albo pęknie... i wioseczka na lewo bodaj do nas należąca: tam mamka moja mieszka!... Ah może już ona dawno mieszka obok matki mojéj! pośpieszajmy!

— Pośpieszajmy, powtórzył Filip, łatwiéj to waszmości powiedzieć, ale konie tego nie rozumieją, a choćby i zrozumiały, to nad siłę nie skoczą. Tak hamując niecierpliwość jednéj strony, podbudzał rzeźwość drugiéj, jak dobry obustronny przyjaciel, pragnący pogodzić interesa wzajemne.

— Ale jakim cudem stało się, że ojciec waszmości żyje? zapytał on znowu, gdy ten porucznik powiadał że go Tatary zabili.

— Tak i ja mniemałem, lecz pamięci jego i tych stron rodzinnych, nic mi z serca wyjąć nie mogło, a ile razy spójrzałem na mój relikwiarzyk, którego mi na piersiach Tatar nie dójrzał i nie odebrał, tylekroć zawsze zapłakałem, ale razem zawsze mi jakaś nadzieja czy przeczucie roiło się w duszy, i powiększając tęsknotę, jakby magnesem ciągnęło mię w te strony.

I dla tego, gdym doszedł wieku i szablę ujął w rękę, bo jako szlachcica to mój był los jedyny, więc jak się zdarzyło, że wojska Koronne i Litewskie były w kupie, nie zaniedbałem nigdy rozpytywać się u Litwinów o tutejszych stronach, wtrącając bojaźliwie imie ojca mojego. A nuż? a nuż?

Długo daremnemi były moje pytania, ale żem je bezustannie i z serdecznego nałogu, jakby pacierz jaki, powtarzać nie przestawał, więc mię Bóg przed pół rokiem pocieszyć raczył. Bo gdym raz u rycerstwa z pod znaku pana Dorohostajskiego, marszałka wielkiego Litewskiego, moje zwykłe czynił inkwizycye, jeden z towarzystwa, *Okuszko* zwany, zapytał mię: a o jakiego to waszmość Starosielskiego pytacie, czy nie o Fiedora, którego to Tatarzy srodze kiedyś na Ukrainie pokaleczyli, i synka mu czy zabrali, czy zabili?

Skoczyłem jak warjat na piersi towarzysza: płakałem, całowałem go, ściskałem natarczywie, i krzyczałem w uniesieniu. O tego samego! o tego samego! to mój ojciec! O dla Boga czy żyje, Czy żyje teraz? odpowiedział mi Okuszko tego nie wiem, ale przed sześcią laty, żył jeszcze stary i trojakie codziennie za waszmość, jeżeliś syn jego, wznosił do Boga intencye; to jest: aby ci dał niebo jeżelibyś nie żył, abyś się nie poturczył jeżeli żyjesz, i nareszcie aby cię tu na ziemi lub tam w niebie, oglądał.

O, ileż to łez ten nieborak wylewał przy swych modłach nieustannych, i przy opowiadaniach niefortunnych losów; kilka miesięcy leżał on w jakimś tam klasztorze nim się podleczył ze srogich ran swoich, potém szukał waszmości po całéj Ukrainie...

— I to dziwno, że nie znalazł, przerwał Brześniak, przecięż widziano w tłumie uwolnionych i waszą miłość, i wiedziano kto waszmościa zabrał i przytulił.

— Tak, ale porucznik Pancerzyński, (tak się bowiem mój dobroczyńca nazywał), odesłał mię wnet do domu swojego aż do Mazowsza, a widać, że mój ojciec nie natrafił na świadków mego uwolnienia i losu; gdy zaś wszyscy w tę chwilę sobą i swojemi zajęci byli, mało więc kto na mnie i uważał, a mniéj jeszcze ktoby zapamiętał.

— Otóż, powiadał *Okuszko*, wszędzie rodzic waszmości trafiał na wiadomość, że cię Tatarzy uwieźli:... przesiedziałem u niego w Olgienianach tygodni ze sześć, przypadkowo tam trafiwszy...

— A dla czegoż waszmość wnet nie pojechał do tatulka rozpytawszy się drogi u *Okuszki?*

— To też o drodze zasięgnąłem niejakich odeń informacyj, ale chorągwi naszéj, idącéj właśnie na wojnę, odstąpić nie mogłem: któżby mi uwierzył, że odjeżdżam szukać ojca, gdyśmy szli szukać nieprzyjaciela!... O Boże! wykrzyknął tu Juljan, przerywając nie-

porządne swe i niedokładne opowiadanie. O Boże! Otóż Olgieniany! bo właśnie wyjechali z borku, i ujrzeli jak na dłoni dworek...'

Miałżeby to być tenże sam, którego stare i w ziemię dziś wrosłe ściany, trwają aż dotąd? i dla czegożby nie? lat pół trzecia sta tylko!... Dłużéj trwa jeszcze sławna na Litwie Słucka fara... a przynajmniéj domysł tu, urzeczywistnia się omamieniem...

V.

Piękna‌ż to prawdziwie okolica, osłonięta do koła lasem, zda się w ustroniu przechowana na to, aby wchodzący w nią niespodzianie wdziękiem jéj i prostotą zachwyceni byli. Przychylona w rozmaite wzgórza i doliny, pomiędzy któremi żywa się przemyka struga, ścieśniona we dworze między wysokiemi brzegi i groblą w biegu ujęta, napełnia stawek i kaskadą zeń wyskakując, biegnie daléj między łąki i pola.

Tu i ówdzie po wzgórzach, stoją jako zabytki dawno wyciętych puszcz Litewskich: to samotna brzoza długiemi swemi warkoczy, nad krzyżem mchem ozieleniałym nawisła, to sosna wpółzeschła, dźwigająca na starych swych konarach, lub kryjąca w swych wnętrznościach barcie i ule pszczółek; to znowu pod starożytnym a czerstwym jeszcze dębem, wysypała się młoda zarośl, jak prawnuki pod opieką pradziada....

Nakoniec las gęsty i toporem niedotykany, okolając to spokojne zacisze jedną swą przedłużoną odnogą, a drugą aż ku ogrodowi zachodząc, każdego przechadzającego się po nim, wciąga, że tak powiem, do siebie, i nagradza fatygę nastręczając co krok prawie, to kurhany, to kamienie nadzwyczajne, to jakieś bez podania i wieści, a wyraźnie ręką ludzką sypane, okopiska: dla rozmyślań, badań i wniosków...

O Boże! otoż jesteśmy na miejscu!... obaczę więc wnet ojca mojego... padnę mu do nóg... mówił drżący młodzieniec, stawał na strzemionach, rozpatrywał okolicę, uśmiechał się i chlipał razem: słowem, wzruszenie jego głębszem jeszcze i żywszém było,

niżeli przed kościołem Gierwiatskim. Co uważając Filip, zajechał naprzód i stanął mu w poprzek drogi. — Co to jest? zawołał niecierpliwie Juljan.—Posłuchaj mię waszmość, rzekł Filip. Jam sobie symplak, „*w szkole nie bywałém, rószczki nie widziałem*,“ ale natomiast między ludźmi bywałem, a co się tu i ówdzie zarwało, to nie odbiło się jak groch od ściany. . . Oto nie raz słyszałem, że i nagła pociecha, jak nagłe nieszczęście, może duszę z człowieka wyparć; więc mi przyszło na myśl, że jak waszmość od razu i raptem objawisz się tatulkowi, a padniesz mu *insperate* do nóg, to z wielkiéj radości staruszek okoleć może. Pomyśl waszmość nad tém. . . znajdziesz razem ojca i stracisz.

Zastanowił się Juljan;—masz racyę poczciwy Filipie, rzekł, ale jakże uczynić? czyż potrafię? czy zdołam pohamować się, gdy ujrzę oblicze, które mi nigdy z duszy i z pamięci nie wyszło.

— A hamuj się waszmość jak mogąc, ja będę milczał jak pień. A kiedy już wszystko wyjdzie na wierzch jak oliwa, to wtenczas. . . poproszę obroku dla koni.

Młodzieniec zamyślił się. . . jechali. . . i stanęli przed bramą. . . którą gdy wyrostek wybiegły naprzeciw odmykał. — Ejże! rzekł znowu Filip, ejże pamiętaj waszmość ostróżnie, ostróżnie!. . .

Właśnie przechodziła dziedziniec staruszka poważna, lecz nie zgrzybiała jeszcze. . .—A miałażby to znowu być taż sama, która i mnie wędrowca, niedawno ze staroświecką uprzejmością na tymże dziedzińcu spotkała?. . . Oh! nie, zapewne; dom przetrwać może długie pokolenia ludzi, przechodzących przezeń tylko popasem. . . Juljan lubo z rysów nie mógł przypomnieć i poznać, wszakże się łatwo domyślił, że to jego ciotka, która go niegdyś na Ukrainie tak serdecznie pieściła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on zsiadłszy z konia i witając nizkim pokłonem matronę.

— Na wieki wieków! odpowiedziała, witamy waszmość, mówiła daléj, nie dając czasu do niecierpliwych kwestyj Juljanowi, witamy waszmość, i radzi jesteśmy każdemu przybywającemu w imie Boskie, do szlacheckiego naszego domku, a tém bardziéj rycerzowi, który, jak widzę po waszmości, i szwankował jeszcze ciężko. Zkądże Pan Bóg prowadzi? zapewne z za Dźwiny; bo tam to teraz podobno wojaczka panuje. Proszę koniki do stajni na wygodę, a wraz

i mój pan brat a gospodarz nadejdzie i bardzo będzie rad tak miłemu gościowi.

Gadatliwe to, wiekowi staremu zwyczajne powitanie, niemniéj jednak szczére i serdeczne, przerwał Juljan: wszakże, rzekł on, znajduję się w domu pana Fiedora Starosielskiego?

— Tak jest, tak.

— Mogęż go wnet widzieć?

— Wraz, jak mówiłam, nadejdzie; alboż waszmość macie cokolwiek pilnego do mego brata? On tu w podle za ogrodem nad rzeczką, mówi paciorki pod swoim dębem, i ma tam robotkę, którą sam sobie wymyślił, daj Boże na długo niepotrzebną, bo...

Juljan nie czekał daléj i poszedł szybko na miejsce wskazane: znał on je dobrze, bo dąb ten, przy nim małe jeszcze drzewko, żołędziem zasadzony był w dniu jego urodzenia w ziemię, ręką ojca, który mu potém rozgarnionemu już chłopczykowi, tę pamiątkę nie raz w serce wrażał.

Zdziwiona staruszka zwróciła się do Filipa trzymającego konie, lecz ten poprowadził je do stajni; a tak pokręciwszy głową, weszła do domu dla przygotowania sielanki i małdrzyków na wieczerzę dla gości.

Na wysokim brzegu strumienia, wlewającego swe wody do stawku, o którym wyżéj namieniliśmy, pod dąbkiem urosłym już w piękne drzewko, siedział na niskim stołku starzec, nad széroką plitą kamienną, i pilnie młotkiem w nią stukał;... postrzegłszy, czy posłyszawszy krok nadchodzącego, powstał.

Tym czasem Juljan jak wprzód przed ciotką tak teraz przed ojcem, wymówił zwykłe chrześcijańskie powitanie, i po zwyczajnéj także odpowiedzi:—Witam, rzekł staruszek, miłego gościa. Zkądże przybywasz? i jakim przypadkiem tu waszmość wstąpiłeś, czemu wielce rad jestem.

— Jadę z pod Smoleńska i umyślnie zboczyłem z drogi, mówił Juljan, a ledwo mówić mógł; jednak pomny przestrog Filipa i własnego acz trudnego postanowienia, aby się ostróżnie odkrywać, zmienić chciał rozmowę.—I nad jakąż to pracą znajduję was? zapytał.

— Umyślnie tu waszmość zboczyłeś, więc musi być przyczyna temu? Jakaż, jeżeli łaska? Zakłopotany młodzieniec, a wszakże jeszcze panujący nad sobą, rzekł jąkając się: umyślnie tu zboczy-

łem z drogi... w nadziei, że wynajdę dom jaki szlachecki... łaskawy i chrześcijański, któryby pokaleczonemu na usłudze kraju żołnierzowi, po trudach wojennych odpocząć... i rany pogoić dozwolił.

— Toż go zacny wojaku i znalazłeś, odpowiedział starzec biorąc Juljana za rękę, i ściskając ją czule, gdy ten wzajemnie i z uniesieniem całował ojcowską prawicę. Pracę nad którą mię znajdujesz, mówił dalej Starosielski, podejmuję sam dla siebie; bo niestety, nie mam przy sobie nikogo, ktoby mi po śmierci, dybiącéj już na mnie zblizka, taką się przysłużył. Kuję więc sobie jak widzisz waszmość, i właśnie dziś dokończyłém, kamień który naciśnie me kości... Miałem syna jedynaka, byłby on teraz młodzieniec jak waszmość i może jako i my, rycerskie wiódł życie i szlacheckiemu imieniowi memu nowego dodał lustru... możeby pocieszał biedną teraz bez niego starość moją... i konającemu zacisnął powieki... a do Boga za duszę się pomodlił. Oczy i ojca i syna zachodziły łzami.

— Czyliż on już przed Bogiem? czy na téj ziemi? nie wiem. Opowiem poźniéj waszmości, jeżeli słuchać zechcesz historję tego ulubionego mego dziecięcia i mego nieszczęśliwego życia. A ponieważ nadzieja nie opuszcza człowieka aż do grobowéj deski, więc na tym kamieniu, nie dokułem ostatniéj liczby w dacie méj śmierci; bo najprzód nie wiecie dnia, ani godziny... a może też Bóg miłosierny zlituje się nad starcem, u kresu jego życia, i wysłucha codziennych jęków moich... Może cudem powróci mi syna jedynego... natenczas umrę szczęśliwy i spokojny... a on niech na tym głazie, dokuje mi tę liczbę ostatnią!...

— A niechże mi wprzód pokaleczą, a choćby i utną i tę drugą rękę, nim tę ostatnią liczbę na twoim grobie kuć będę, ojcze mój! wykrzyknął pancerny. Jam twój syn! Jam twój Juljan... i z rzewnym a głośnym płaczem, rzucił się do nóg starca.

— O Boże! zawołał starzec i oniemiał. Znasz ojcze ten relikwiarzyk?

Starosielski porwał relikwiarzyk z rąk klęczącego przed nim młodzieńca, spójrzał, przycisnął do ust...— to mojéj Heleny... rzekł, i wpatrzywszy się chwil kilka w twarz jego; tyś mój syn! Tyś mój Juljan! Tyś jéj obraz prawdziwy! mówił łkając, i porwał go z klęczków... i tulił do piersi...

Uczucia, łzy i westchnienia ich w téj chwili, pojmą rodzice i dzieci kochające się nawzajem... Bóg daje nieszczęśliwym takie chwile, aby nie zwątpili o opiece i miłosierdziu Jego.

Niestety! w rok potém, łzami zalewając robotę, kuł syn żałobą obleczony, *liczbę 2*, dokonywającą daty jego sieroctwa; a podanie téj smutnéj wspólnéj ich pracy zostało w słowach powtarzanych dotąd przez okolicznych mieszkańców: *„Ojciec zaczął kuć sobie kamień, a syn jemu dokończył.“*

Széroka plita głazu z wybitym głęboko starożytnemi literami napisem:

TU LEŻY FIEDOR

STAROSIELSKI

ŻYŁ LAT 80.

Umarł w Roku 1612.

widzieć się daje w *Olgienianach* na wyniosłym brzegu strumienia, a z przeciwnego, dąb ogromny, długim go swym przez wodę rzuconym cieniem, osłania.

PODANIA
LITEWSKIE.

SERYA II.

Żegota z Milanowa Milanowski.

CZĘŚĆ PIERWSZA. *)

Miły oku, zamożny wszelkim bożym darem,
Witaj kraju słynący chlebem i talarem.

I.

Kiedy się czyta Walter-Scotta, i gdy naturalnym obrótem myśli zwraca się ku własnym dziejom i ku własnym dawnym obyczajom, uderza nas bardzo często podobieństwo szkockich z naszemi. To ciągłe pasowania się szlachty z władzą królewską; ta krnąbrna duma i nieuległość prawom magnatów, to wysokie oszacowanie szlachectwa, które aż *klejnotem* u nas nazywano, i jak klejnot od zmazy i zhańbienia strzeżono; to szkockie prawdziwe wywodzenie pokrewieństwa od 'najdalszych pokoleń między szlachtą, a ztąd życzliwość, pomoc wzajemna i związki między najodleglejszymi krewnymi, do których nikt się nigdy bezskutecznie w potrzebie nie odwołał, tak, że w proste weszło przysłowie: *swój swemu po niewoli druh!* Te nasze partje, mniej wprawdzie niż ich klany, posłuszne skinieniu swych możnowładczych wodzów, lecz też podobne z niemi ciągłą gotowością do rozruchów i nieporzucaniem nigdy *korda*, jak oni *klajmorów*. W obrazach nawet domowego pożycia,

*) Treść tej powieści i główniejsze tu spisane zdarzenia są prawdziwe: udzielił mi jéj znany potomek tej rodziny, pan Milanowski z Linkowa, były Deputat Dworzaństwa Gubernii Wileńskiej.

czy to we wspaniałości dworów i licznéj gromadzie służebników, któremi się panowie otaczali (w czém ich bodaj przewyższyliśmy), czy to w przywiązaniu jakby familijném i poświęceniu się z pokolenia na pokolenia zlewaném, tych sług, a raczéj wiernych przyjaciół, dla rodziny swych panów, a wzajemnie panów odpłacających dobrodziejstwami i opieką sługom; czy to nakoniec w pojedyńczych przykładach męztwa i sił nadzwyczajnych rycerskich, przytomności umysłu w niebezpieczeństwach i przygodach, chrześcijańskiéj ufności w Bogu w złéj doli słowem, wszędzie to podobieństwo, rozmaitemi miejscowemi względami mniéj więcéj modyfikowane, objawia się czytelnikom, a autorów pochopem naśladownictwa drażni.

Nie tu miejsce rozważać, jak dalece nasi narodowi powieściopisarze, dając się ująć temu pochopowi, korzystać zeń potrafili. Najważniejsza przysługa *Walter-Scotta* obcym literaturom, a szczególniéj naszéj, jest w tém, że on główną ideę każdego piszącego zwrócił swoim przykładem, do dziejów przeszłości ojczystéj, własnéj, i każdemu w niéj źródło najprawdziwszych a razem najbliższych i obfitych materjałów, palcem, że tak powiem, ukazał.

Lecz i w Kalifornii, gdzie złoto jest pod nogami, ciężko i wytrwale pracować jednak potrzeba, aby go dostać i oczyścić; to też téj wytrwałości i ochoty niezmordowanéj w wyszukiwaniu treści naszych autorskich, mamy bodaj jeszcze za mało . . . a jednakże tak są wielkie w tém bogactwa nasze, że prawdziwe talenta, (warunek prawdziwości jest koniecznym) byle rękę do dzieła przyłożyły, wnet znajdują czém napełnić tomy interesujących i miłych ziomkom pism swoich, a cóż dopiero gdyby się zajęto gruntowném rozpatrzeniem, tak mało dotąd zgłębianych tajni archiwów domowych znakomitszych rodzin naszych, naszych aktów i wyroków sądowych, w miejscach sławnych oddawna w dziejach procedury krajowéj, a tém bardziéj aktów trybunałów głównych. Gdyby kto i w tém jeszcze naśladując *Walter-Scotta,* który przez lat dziesiątek, wprzód nim zaczął pisać, wędrował samopas po swych szkockich górach i zamczyskach, przeszedł także ziemię naszą rodzinną, z jedynym zamiarem poznania i odkrycia ziomkom jéj piękności, zebrania podań i pamiątek, słowem, wszystkiego coby w nim uczucia miłości ku téj ziemi obudzając, tém samém i talent autorski rozwijało; pewnym być można, że mimo wielu już rozchwytanych dorywczo, i z rozmaitém szczęściem użytych, z tego swojskiego i domowego naszego skarbu bogactw—mnóstwo jeszcze wynalazłoby się nowych,

nie tylko powieścio-pisarzowi przydatnych, lecz i poważnego historyka wspomódz mogących.

Między częściami naszego kraju, zachodnia i wschodnia Żmudź i Ukraina, były najczęściéj polem walk krwawych i wypadków nie tylko w dziejach i miejscowych tradycyach ludu na długo pamiętnych, lecz nawet niestartemi śladami na powierzchni ziemi oznaczonych. Dwóch znakomitszych w literaturze naszéj poetów, oba te kraje obrali sobie miejscem dla najpiękniejszych swych utworów.

„Miła oku, a licznym ożywiona płodem,
Witaj kraino mlekiem płynąca i miodem.“

Śpiewa wieszcz Zofijówki, i daléj historyczną treść dziejów Ukrainy wywodząc:

„Czernią się żyzne role, lecz bryły téj ziemi
Krwią przemokłe, stłuczone ciały podartemi:
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
Zębce słoniów, i perskie wykopuje szczęty!
Wtych gonitwach od obcych we środku poznany
Szesnaście potém razy kraj odmieniał pany:
W nim to najsroższe z Azją potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopy;
W leciach niższych otwartéj choć nie było wojny,
Utrapiał Ukrainę pokój niespokojny:
To siczowe nachody, to Taurychkie hordy,
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy,
Dzicz wnętrzna“ etc.

Drugi nie wymienia nigdzie nazwiska Żmudzi, bo kraina ta naówczas, to w chciwe Krzyżaków przechodząc ręce, to nazad do matki Litwy wracając, właściwe swe nazwanie w losach wojny traciła. Litwa i Prussy pochłaniały ją w sobie koleją, i potężne tam zwodząc boje, użyzniały także tę ziemię „krwią i ciały podartemi,“ a pozostałe okopy, szańce, i mogiły, dziś albo lasami już porosłe, lub zalegające szérokie jéj błonie, wybrzeża Niemna szczególniéj i innych rzek doń wpadających, czyjéjże myśli nie cofną w przeszłość daleką? czyjéjże wyobraźni nie zaludnią dzikiemi postaciami z tamtych czasów, i nie przypomną pięknego ich opisu:

„Niemen rozdziela Litwinów od wrogów;
Na jednéj stronie błyszczą świątyń szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania Bogów,
Po drugiéj stronie, na pagórku wbity

Krzyż, godło Niemców, kryje czoło w niebie,

. . . .

Z téj strony tłumu litewskiéj młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziéj odzieży,
Z łukiem na plecach z dłonią pełną grotów,
Snują się śledząc niemieckich obrótów.
Po drugiéj stronie, w szyszaku i zbroi
Niemiec na koniu nieruchomy stoi,
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec
Nabija strzelbę i liczy różaniec“ . . .

Podobieństwo takie dawnych przeznaczeń tych dwóch krajów, rozróżniło się wprawdzie w czasach nowszych. Długo jeszcze Ukrainę „utrapiał pokój niespokojny,“ gdy Żmudź ulegając ogólnéj zmianie losów, ale szczęśliwa swojém nadmorskiém położeniem i żyznością swéj ziemi, wzrastała w zamożność i w dostatki. A wszakże w obu tych krajach, z burzliwéj, wojennéj i krwawéj ich przeszłości, jest pewnie bogaty skład treści, jakem to wyżéj powiedział, i dla powieścio-pisarza i dla historyka. Znakomite talenta dotknęły już tych skarbów na Ukrainie, bo bliższe w czasie, są one jakby pod ręką tamtokrajowym mistrzom. Żmudź zostawiona dotąd odłogiem . . . a jednakże w dzisiejszym popędzie piśmiennictwa naszego, tak na zawsze zostać nie może. Pełno jest tam ludzi z nauką i z zamiłowaniem nauki, a jak w ziemi ich i w dziejach ukrywają się materjały *), tak między niemi ukrywają się pewnie talenta, do użycia ich na chwałę literatury naszéj zdolne.

Nadto jeszcze, ziemia ta i jéj mieszkańce, mimo ścisłego zjednoczenia się z innemi częściami kraju tego, mimo wspólnéj cywilizacyi i obyczajów, zachowuje jednak niejaką różnicę i właściwą, religijną, pobożną i patryarchalną, że tak powiem, cechę; a lubo powszechne teraz wykształcenie, jednostajną towarzystwu nadaje barwę, jak politura na meblach gładzi drzewo i pod jeden modny podwodzi je kolor, wszakże rodzinnych jego słojów zatrzeć nie mogąc, dojrzeć je przez swą szklistą powłokę dozwala. Tak i na Żmudzi z roskoszą serc poczciwych i chrześcijańskich, cechę tę jeszcze i dzisiaj rozróżnić i rozpoznać można; a każdy obraz z któregokolwiek tam czasu wzięty, jakbykolwiek w ogólném pojęciu

*) Że się w tych przypuszczeniach nie mylę, dowodem być może następna pieśń, która i dotąd na Żmudzi między ludem pospolitym śpiewana, uwiecznia pamiątkę bitwy Kircholmskiéj, którą my w przekładzie zamieszczamy.

charakteru naszego był trafnym, nie będzie jednak miejscowie podobnym, jeżeli się tą religijną szatą, owiewającą tam równie pana jako i wieśniaka, nie oblecze.

Uwagi te, nie będą ścisłym programmatem mego własnego opowiadania: *wchodząc bowiem na ziemię Żmudzką z powieścio-pisarskiém piórem, chciałbym tylko razem z tém opowiadaniem przekazać i to pióro, któremukolwiek z uczonych tam ziomków, aby dziełem większego rozmiaru i znaczenia, z dziejów i obyczajów własnych, przysłużył się literaturze naszéj;* jest to raczéj *studium* tych obyczajów z drugiéj połowy XVIII wieku gdy szlachta nieukołysana po świeżéj domowéj wojnie, i tu, jak wszędzie ostatki dziedzicznego męztwa na sobie saméj wytrawiając, ostatkami i cnót dziedzicznych błyskała jeszcze.

Pójdźmy siostry na gościniec
Czy nie doczekamy swego brata,
Myśmy wydeptały dół na górze,
Myśmy osunęły wysoki płot.

Bieży już konik zadyszany,
Złote strzemiona po bokach się chwieją,
Koniu, koniku ty wrony,
Gdzie ty podziałeś naszego brata?

Jam go zostawił pod miastem Kircholmem.
Pod Kircholmem w cudzej stronie,
My zawojowali Inflantską ziemię
I wycięli duże wojska,

Dziewięć morz przepłynąłem,
A te dziesiąte, nurkiem przeszedłem;
Dziewięć kul go minęło
A dziesiąta, brata waszego zabiła.
Gdzie głowa padła, róże wyrosły;
Gdzie krew bryznęła, brylanty błyszczą.

Piosnka ta jest wyraźnie z czasów Jana Karola Chodkiewicza, i dotąd na Żmudzi między ludem pospolitym śpiewana, uwiecznia pamiątkę bitwy Kircholmskiej przez półtrzecia wieku i razem chwałę bohatera, natenczas pana szerokich ziem i włości na Żmudzi.—Dziś już niema tam imienia Chodkiewiczów nawet, bo dobra *Szkudy* do dwóch tysięcy dymów liczące, a w roku 1568 sierpnia 5, przez

II.

Był wielki fest w miasteczku *Szyłelach* *). Ktoby jednym rzutem oka chciał poznać pobożność i zamożność Żmujdzi, niech tam na uroczystość jaką do któregokolwiek miasteczka przybędzie; nie tyle go zajmie i uderzy wielka liczba pięknych zaprzęgów i pojazdów dostatniejszych obywateli, bo chociaż tam ich jest więcéj aniżeli w którejkolwiek z litewskich prowincyi, lecz wszędzie, z właściwéj nam żądzy pokazania się bogatszymi aniżeli jesteśmy, zdobywamy się na kosztowne ekwipaże, wiozące częstokroć *pana i jego fortunę*, zatém wszędzie place przedkościelne w dniach uroczystych świąt zapełnione bywają koczami i karetami, a jednakże ktoby brał ztąd miarę o dostatkach okolicy, nierazby się bardzo omylił. Na Żmudzi omylić się nie można, bo tam oko mimowolnie zwrócić się musi na pospólstwo, które nigdzie oszukiwać samego siebie, i nad możność się nadstawiać nie zwykło, a z zadowoleniem się zastanowi i rozpatrywać będzie widoczną i gruntowną zamożność kraju tego. Nie ujrzysz tam ani litewskich skrzypiących kałamaszek i poneradów, ani zaprzężonych w nie chódych karłów rodzaju końskiego, okładanych nielitościwie grubą brzeziną przez pijanych najczęściéj chłopów. Włościanin żmudzki jedzie okutym porządnie wozem, do kar

---

Zygmunta Augusta Janowi *Chodkiewiczowi* Marszałkowi W. X. L. (ojcu Jana Karola) za znakomite zasługi i poniesione na wojnie Inflantskiéj wydatki nadane, przeszły do Sapiehów przez zamążpójście jedynéj córki *Jana Karola, Scholastyki*, za Jana Stanisława *Sapiehę*, Marszałka Nadwornego Litewskiego: która gdy w roku 1622 wszystkie dobra, jakie wniosła w posagu, jako to: *Bychow, Lachowicze, Cieńkowicze, Bystrzycę, Giechowę, Skipicjan, Czyżewicze, Kretyngę, Szkudy*—a w Inflantach *Berżonę* i *Mujżę* zapisała mężowi na wieczność, *Aleksander Chodkiewicz* Wojewoda Trocki i *Krzysztof* Koniuszy Litewski, rozpoczęli z Sapiehami process o nieprawność tego zapisu, ukończony dekretem sejmowym 1626 roku, i tą koleją hrabstwo *Szkudy* na Żmudzi, aż do ostatnich czasów, było własnością *Sapiehów*. Po *Chodkiewiczach* zaś w fundacyach tylko pobożnych, zostały na Żmudzi pamiątki:— w *Kretyndze* kościół i klasztor XX. Bernardynów, w *Szkudach* kościół farny ze szkółką parafijalną, w *Krożach* wielkie kollegium dla Jezuitów etc.

*) *Szyłele* miasteczko na Żmujdzi.

naszych podobnym, dwóma przy dyszelku małemi wprawdzie, oddzielnéj rasy żmudzkiéj, ale silnemi, dobrze wykarmionemi, i jakby dwoje ponurych niedźwiadków gęsto zarosłemi konikami. Na wozie, czerstwa, rumiana i szerokiéj tuszy, w jedwabne chustki i błyszczące bursztyny ubrana gosposia, siedzi na pundelku lnu białego jak śnieg, a włóknistego jak jedwab, wiezionego, na dobrowolną dziesięcinę w ofierze do kościoła, a odjętego od kopy takichże pozostałych w domu, które w krótce na tymże wozie do Rygi pojadą. Około niéj ponatykane tłuste i pucate dziatki; widać że na czystym chlebie, na przennym pirogu i na tłustéj *szupieni* *) się wytuczyły. Gospodarz, w szaréj lub granatowéj wyśmienitéj sukmanie, w bótach po kolana, i koniecznie a nieodmiennie u wszystkich z chustką białą pod kołnierz po kapocie założoną, na piersiach skrzyżowaną i długiemi końcami wiszącą, wiezie ten domowy ładunek na nabożeństwo, i wiezie pewnie kilka musztynów **), z których najmniéj parę w zakrystyi zostawi.

Takie więc wozy napełniały rynek Szyłelski, przemieszane tłu-

---

*) *Szupienia,* nazwisko grochowéj kaszy, ulubionéj pospólstwu żmudzkiemu.

**) Zamożność włościan Żmudzkich, teraz jeszcze dostatniejszych niżeli w innych Litewskich prowincjach, że była dawniéj prawdziwie znakomitą i wielką, dowodzą anegdoty opowiadane dziś na Żmudzi, i znajome tam powszechnie, a które z czasem w podania przejdą. I tak: Książę Franciszek *Sapieha* objąwszy po śmierci ojca razem z innemi ogromnemi dobrami na Litwie i *Szkudy* na Żmudzi, przybył tam nie uprzedziwszy wprzód rządcy, *incognito.* Nie znano tam jeszcze nowego pana i on nieznał nikogo. Wysiadł książe z pojazdu w miasteczku, a że to była niedziela, wszedł więc wsród nabożeństwa do kościoła; kościół był pełny, ławki wszystkie zajęte najwięcéj damami: więc nie mogąc nigdzie pomieścić się i nsiąść, dosłuchał mszy stojący, myśląc że to są wszystko obywatelki, sąsiadki dóbr jego. U plebana potém, do którego po nabożeństwie zaszedł i objawił kim był, dowiedział się z zadziwieniem, że to były jego włościanki.

Sławném jest także powitanie natenczas młodego dziedzica przez włościan *Szkudzkich.* Urządzili oni mały okręcik z łodzi morskich na kołach, które równie jak i konie ukryte były pod spodem: okręt ten więc przypłynął z rozpiętemi żaglami na dziedziniec do dworu a z niego wysypali się majtkowie wynosząc dary dla dziedzica, któremi okręt był naładowany. Dary te składały się z wielu antałów wybornego wina i rozmaitych taknatenczas zwanych *bakalji*, oraz drogich zapraw kuchennych, których przy pańskich tylko stołach można było szlachcicowi pokosztować.

Niekiedy, jak wieść niesie, kilkaset dukatów na srebrnéj tacy bywało dobrowolnym powitalnym darem, których gdy bogaty pan nie przyjmował zwykle, włościanie nie odnąsząc nazad ofiary swojéj, dworskich jego złotem osypywali.

Szczęściem to było dla szlachcica zostać rządcą jakich dóbr wielkich na

mem pieszych, przypływających ze wszech stron, odległych nawet, na fest Panny Maryi szczególniejszemi tam łaskami słynącéj. Plac kościelny sztachetami od rynku był oddzielony, a u każdego grubszego słupka, wbite mosiężne kółko, każde do jednéj z rodzin parafijalnéj zagrodowéj szlachty dziedzicznie należące. Wara! ktoby u cudzego kółka uwiązał konika; to guzem pachnie mospanie! to wiolencja! Długi zatém rząd koników takich, jakie i u włościańskich wozów zaprzężone widzieliśmy, stał uwiązany u kościelnego sztacheta... Dziśbyśmy może tenże sam obraz w tymże samym dniu i na tymże rynku ujrzeli jeszcze, z odmianą tylko fantazji i stroju szlachty, która dawniejsze żupany i kontusze na kapoty zmieniając, mało się już od włościan różni, tém bardziéj, że białych chustek na ramionach, jako dawniéj tak i teraz razem z włościanami nie zaniédbuje.

Już się było ukończyło nabożeństwo, i wyższa publiczność, kollatorowie, parafijanie i pobożni ze stron dalszych znakomitsi goście, zaproszeni na obiad przez proboszcza, przechadzali się około ko-

Żmudzi: nie mieszkali tam panowie, obierając zwykle swe rezydencje w bliższych swych od stolicy dobrach, do któréj wysokie dostojeństwa i urzęda ich wiązały. Komisarz zatem, a jak tam nazywano *Gubernator*, był drugim panem, jedynie znajomym i codzienne mającym stosunki z włościanami: byle więc był poczciwym, łagodnym i sprawiedliwym, bez żadnéj prawie pracy, bez uszczerbku dochodów pańskich, zbierał często znakomity fundusz, do którego dary włościan nie mało się przykładały.

Kiedyś naprzykład, jeden z takich administratorów *Szkudzkich* ożenił się, jak powiadają, z piękną bardzo kobietą,która z dumy, czy z kaprysu, nie pokazywała się nigdy włościanom, a ciekawi byli poznać swą panią; postanowili więc każdy osobno przychodzić z podarkiem pieniężnym dla niéj, lecz razem z proźbą złożenia go we własne jéj ręce. Wieść nie daje wiadomości jakich użył środków mąż, do przełamania oporu kapryśnéj czy dumnéj piękności.... było w *Szkudach* około 2000 chat, odebrała więc pani tyleż wizyt, ale za tę *audjęcję* złożone podarki wynieść miały pięć tysięcy dukatów.

W drugich książęcych także, ale innego imienia, a również wielkich na Żmudzi dobrach (zdarzenie to najprawdziwsze), rządcą był zacny i pięknego imienia szlachcic, *Bortkiewicz*. Rodzice jego posiadali wprawdzie niemały folwark w powiecie Rosieńskim, ale liczném ich Bóg obdarzył potomstwem, a tak w perspektywie, nie wielkie dzieciom obiecywały się dostatki. Starszy więc ich syn, ukończywszy nauki, podług powszechnego natenczas obyczaju udał się na dwór księcia, trzymać się klamki pańskiej i szukać tam sobie *krescytywy*. Jakoż przez lat kilka tak się potrafił młodzieniec zasłużyć i podobać księciu, taką zjednał sobie ufność i szacunek jego, że mu on zarząd swych dóbr Żmudzkich powierzył. Lat z dziesiątek pełnił on potém ten obowiązek, włościanie pokochali go bar-

ścioła i przed plebanją, witając się wzajemnie, i na pięknem powietrzu wesoło przedobiednią przepędzając godzinę. Kompanja liczna, z obojéj płci i różnego wieku złożona, na rozmaite też dzieliła się grona: tu starsi i poważniejsi ojcowie rodzin i księża, tam matrony i marcowe kawalery, tam znowu panienki i około nich w koperczakach rzeźwe wiercipięty... a wszędzie dobry humor, obyczajna prostota, i ruch pełny życia i swobody. Między gronem kilkunastu dziewic, jaśniała, jak róża między polnemi kwiatami, panna *Dorota Uwojnianka*, Chorążanka Korszewska, panienka na wydaniu, powtarzam jak róża, bo świeżością i rumieńcem do téj królowéj kwiatów podobna, oczkiem jeszcze figlarném i humorkiem wstrętnym, jak drobnym cierniem serce konkurentów raziła.

Więc około panny chorążanki Korszewskiéj, otoczonéj gromadą nie ujmujących jéj wdziękom towarzyszek, skupiła się młodzież na dziedzińcu plebańskim; między nimi, dojrzalszy wiekiem, znaczniéjszy męzką i krzepką posturą, a najpilniéj zalecający się pannie, był pan *Wincenty Mejra*, młodzian mogący mieć lat dwadzieścia pięć,

---

dzo, i dobrze mu się działo, lecz nie mógł on jak inni składać grosz do grosza i zgromadzić kapitalik, bo złączony familijnie z wielu dostojnemi domami na Żmudzi, żyć musiała i przyjmować gości nad możność zwyczajnego administratora, a stróż wierny dochodów pańskich, swoich zatém oszczędzać nie mógł, i tak talar talara gonił, a żaden długo w kieszeni się nie osiedział.

W tém księciu wyjeżdżającemu za granicę potrzeba było gotówki: postanowił on więc wypuścić w arędę dobra Żmudzkie, i wziąść z góry kilkakroć stotysięczną z nich roczną intratę. Wiadomość tak jak piorunem uderzyła *Bortkiewicza:* tracił miejsce, przeraziła też bardzo przywiązanych doń włościan, tracili ulubionego pana, bo księcia, który nigdy w tych dobrach nie był, nie znali nawet. Więc rada w radę między niemi, postanowiono, aby nie kto inny jak *Bortkiewicz* wziął w arędę dobra te. Przyszli doń zatém z tą propozycyą;—a pieniądze zkąd? zapytał on zdziwiony: trzykroć sto tysięcy moje dziatki! a ja i trzech tysięcy nie mam. Pieniądze my złożym, odpowiedzieli: nam częściami oddawać będziesz, a zysk wasz. I tu zaczęło się dobrowolne otaxowanie się na składkę. *Bortkiewicz* pisał kredą na stole, a włościanie dyktowali liczby: wkrótce podsummowano 15,000 czerwonych złotych i nazajutrz już one były w szkatule *Bortkiewicza*, bez kart, bez obligów, z prostą tylko notatką, kto i wiele przyniósł.

Wziąwszy zatém *Bortkiewicz* z sobą kilku zacnych gospodarzy, bo przed księciem nic z téj okoliczności zataić nie chciał, wyprawił się z pieniędzmi do Warszawy, gdzie natenczas przebywał książe dziedzic. Tam on dowiedział się o wszystkich szczegółach téj sprawy z niewymówném zadowoleniem, i gości swoich włościan, przyjął najuprzejmiéj: chlubił się przed całą Warszawą ich zamożnością, która była razem i dowodem jego względem ich ludzkości, a z pańską wspaniałością nagradzając i swych chłopków i ich rządcę, przyjął ochotnie

ale już wsławiający się siłą nad wiek, zręcznością do korda i odwagą... Wtém wychodzi z plebanii, uchylając się we drzwiach, bo te dla każdego wygodne, na jego urodę za nizkie były, powiedziałbyś *Samson* czy *Herkules*, bo do obu tych historycznych osiłków porównaćby się mógł, człek o jakie dziesięć lat starszy od Mejry, przystojny, lecz razem *rubasznéj* i *zuchwałéj* miny... Dwa te przymioty, na pozór sprzeczne, a jednak często łączące się i w naturze i na licach ojców naszych, a to bardzo naturalnie: bo bo zasadą ich charakteru były dobroć i miłość, a duma i zarozumiałość nałogiem codziennym z samowolnéj nieuległości wylęgłym. Dla tego też, czy to w ogólnych prawach i uchwałach na dobro kraju, czy to w szczególnych osobistych zamiarach, co miłość przedsięwzięła i postanowiła, to duma i zarozumiałość wykonać nie dozwoliła, i wzajemnie co duma i zarozumiałość nabroiła, to miłość i poczciwość poprawiała i łagodziła, a ta nieustanna fluktuacja, jest właśnie treścią dziejów kraju całego, i dziejów na onczas każdego szlachcica czy pana.

---

przywiezioną propozycyę, rozliczył intratę na korzyść *Bortkiewicza*, ustępując mu nawet bezpłatnie krescencje kilku tam znajdujących się folwarków. Folwarki te w miarę obszerności dóbr nie były wielkie, bo gotowe czynsze tam jako i we wszystkich znakomitszych na Żmudzi dobrach składały główny i prawie jedyny a wysoki dochód dziedziców; zakładano je bowiem pierwiastkowie dla pomieszczenia i utrzymania tylko miejscowych *oficjów*, ale w kraju tak handlowym pod Rygą, na ziemi tak błogosławionéj, i małe zasiewy, zwłaszcza lnu, znakomite przynosiły zyski. Słowem, po latach kilkunastu téj arendy, Bortkiewicz kupił tu na Litwie chat z półtorasta, piękny i we wszystkie wygody opatrzony majątek, do którego nakoniec z żalem włościan tamtejszych przeniósł się. Lecz rozłączenie się to nie przerwało wzajemnego między niemi przywiązania i wzajemnéj wdzięczności. Miło było widzieć, jak zapraszani przez Bortkiewicza na domowe jego rozmaite obchody i uroczystości, przybywali doń kochani goście jego, włościanie staruszkowie ze Żmudzi a nigdy mu przybycia nie odmówili; jak on sam, ojciec licznéj rodziny, rad im był z całego serca, zasadzał ich u stołu obok siebie i dorodne już dzieci swoje przedstawiał im, nauczając synów miłości, wdzięczności i poszanowania dla tych nieoszacowanych przyjaciół swoich; i nakoniec, jak poczciwi starcowie błogosławili domowi, i jakby własnemu, potomstwu jego... Nie mam potrzeby dodawać, jakim był sam Bortkiewicz panem dla swoich własnych włościan.

Niegdyś w młodości mojéj przysłuchiwałem się opowiadaniu téj całéj historyi przez naocznego jéj świadka, a umieszczam ją tu naprzeciw tylu potwarzom, modnym niestety! a w ogólności niesprawiedliwym, o złym obchodzeniu się z włościanami ojców i dziadów naszych.

Wychodzący z plebanji, i z postaci i z humoru był właśnie *typem* (szkoda że na to polskiego właściwego nie mamy wyrazu) téj dwoistéj szlacheckiéj natury. Pan *Żegota z Milanowa Milanowski*, zawzięty jak *mazur*, bo z Mazowsza, jak to poźniéj obaczemy, ród swój prowadził: uparty jak *Żmudzin*, a w gruncie poczciwy jak oba.

Gdy wyszedł z plebanji *Milanowski*, siedział wówczas na ganku pan Kasztelan S... *Dominos* *) Żmudzki, bogactwem i senatorską godnością najważniejsza figura w tém zagromadzeniu. Zmierzyli się niechętném okiem dwaj zawzięci nieprzyjaciele... Dla czego nieprzyjaciele? choć krewni, niżéj się dowiemy. *Hardopyszek!* rzekł przez zęby, lecz z przyciskiem Żegota, mijając Kasztelana. *Banita!* rzekł podobnież Kasztelan za odchodzącym.

— Pana Pułkownika *Murmuluka!* zawołał znowu Milanowski szyderczym uśmiechem, mijając kasztelanowego brata, figurę wysoką, chudą i wyperukowaną, a ustrojoną w jakiś *per modum* wojskowy cudzoziemski mundur.

— Dowód to łaski pańskiéj! odpowiedział powitany, wymową przez nos przepuszczaną, od któréj właśnie Murmulukiem był przezwany; a za odchodzącym Żegotą dodał, mrucząc już zupełnie jakby w katarze: *Tausend teufel!* to jest *bodajbyś sto djabłów zjadł.*

Wtém Żegota postrzegł pannę Dorotę, otoczoną rojem adoratorów, sam do jéj serca i ręki szczéry, serdeczny i powszechnie ogłoszony pretendent. Dotąd jego rywalem był tylko pułkownik Murmuluk, ale się on go nieobawiał wcale, bo chociaż wdzięki tylko było posagiem *Dosi*, mającéj liczne rodzeństwo, a pan półkownik na całéj swéj fortunie oświadczał opisać jéj przed ślubem dożywocie, i nadto bogaty dar summowny uczynić i obligiem czystym upewnić za wiano, wszakże gdy ta fortuna jego, chociaż obszerna, była jako i on sam starą ruiną, a brat, pan Kasztelan, mający kilku synów, oppugnował się wszelkim małżeńskim imprezom bezżennego ich stryjaszka, przeto jak rodziców panny Uwojnianki nie nader łudził majątek pana Pułkownika, tak córeczce nie mogła się podobać podstarzała i śmieszna jego figura. Nakoniec, ostatni prze-

*) Od dawnych czasów i dotąd, pospólstwo żmudzkie niektórym tam familjom dodaje nazwanie *Dominos*, w Talszewskim naprzykład, *Gadonom* i *Piłsudzkim*, w Szawelskim: *Szemiotom* i *Burbom*, w Rosieńskim: *Przeciszewskim*, *Billewiczom*, *Dowgiałłom* etc.

niemu argument Żegoty był w kordzie; bo chociaż Murmuluk pułkownikiem wojsk pruskich się mianował, a mundurem, przysłowiem niemieckiém *tausend teufel*, i opowiadaniem naprzykrzoném każdemu bitwy pod Kistrynem *), tego dowodził; wszakże często z dobrym skutkiem probowano z nim tego środka, i nieraz zbliżającemu się już do kobierca pałasz rywala zagrodził drogę.

Ale spójrzawszy na grono chłopców młodych, otaczających Dosię, Żegota wśród nich przeczuł do razu niebezpieczniejszego współzawodnika w Mejrze... Twarz mu więc, po śniadaniu już zarumieniona w plebanji, ciemnym wnet powlekła się karmazynem. Chrząknął, chrząknął tylko!... ale aż ziemia zadrżała!... Niegdyś krzyknął Achilles i Trojanie uciekli... tu chrząknął Żegota i panicze spłoszyli się od Dosi... Ale Mejra, jak ów natenczas Hektor, został na miejscu a we wzroku ich, którym się spotkali tyle było nienawiści, tyle wzgardy, tyle zemsty, że się zdawało, iż krew im ze źrenic wytryśnie... Ah! bo niestety! krwią zapisane były karty ich przeznaczenia!...

Jak rój motylów rozpierzchły się dziéwczęta, każda do swojéj mamy, i zbladła Dosia do swojéj odbiegła. Rywale jeszcze raz spójrzeli na siebie jak bazyliszki, i nakoniec Mejra zawrócił się ku plebanji, a Żegota, postrzegłszy przy bramie kościelnéj dwóch nieodstępnych nigdy odeń lózaków swoich, *Poroczkę* i *Norejkę*, dających mu na migi jakoweś znaki, wyszedł do nich.

— Co to jest? czego chcecie? zapytał.

— Jedźmy, Jegomość, rzekł Poroczka, są tu jakieś na nas zasadzki i praktyki; poznaliśmy z Norejką kilku kasztelańskich huzarów, przebranych po naszemu: piją u Szendera, a że to brat rodzony naszego arendarza Judela, przeto nas ostrzegł i zaprowadził tylnemi drzwiami do komory, gdzie dosłyszeliśmy po trosze, jak oni traktując miodem szlachtę, i złote jéj góry od Kasztelana obiecując, zmawiają na zaczepkę z panem; więc czy nie lepiéj byłoby wymknąć się? bo może...

— Cóż tam może? przerwał surowo Żegota. Czy posiedziawszy w domu za piecem tchórzem już podszyliście się? Czy już zapomnieliście konfederackiéj komendy *„Muszk* **) *Poroczka! Muszk No-*

*) Bitwa pod Kistrynem, w czasie siedmioletniéj wojny.
**) Muszk, Bij.

rejko? A właśnie mię teraz ręka pali, więc chciałbym... Muszk! dodał uderzając po szabli.

Lózaki ukłonili się, i skonfundowani wymówką pańską szli za nim, żądnych już nie czyniąc przestróg.

Zatem zuchwałym krokiem Żegota pomaszerował przez rynek; ustępowała przed nim lóżna gawiedź i pospólstwo. Poroczka i Norejko, od pana nabierając energji, czupurne także nastroili miny. I taką troistą kalwakatą obeszli plac cały, otarli się koło Szendera, a nigdzie nie spotkawszy, ani dostrzegłszy nieprzyjaciela, w powrocie przed kościół właśnie środkiem przerzynali rynek... gdy na drodze zatrzymała ich *barykada.*

Barykadą tą był długi i széroki stół, nałożony wielkiemi kupami pierników, a otoczony gromadą dzieci włościańskich i matulek, sypiących przedającéj żydówce korończyki i pruskie dytki. Z radością rozchwytywała dziatwa pietuszki ze złoconemi grzebykami, baranki z takiemiż różkami i różne fabuliczne smoki i latawce, ze słodkiéj massy ulepione; a starsze dziéwki i matule rozbierały skwapliwie na zapas i na gościńce dla pozostałych w domu, szerokie jak łopaty pierniki w różne złocone na wierzchu floresy ozdobne.

Żegota, zatrzymany w marszu, chciał najprzód stół przewrócić; lecz gdy żydówka rzuciła mu się do kolan i błagać zaczęła, inna myśl do głowy mu przyszła.

— Słuchaj! rzekł co chcesz za cały stół?

— Jasny Panie! odpowiedziała zagadniona niespodziewaną propozycją i przelękniona jeszcze Siora, Jasny Panie, to wielki towar i gwałt pieniędzów kosztuje. Miód drogi tego lata a tu sam lipiec odborny.

— Mów szachrajko, przerwał jéj groźno Żegota, bo niemam czasu długo z tobą się targować.

— Jasny Panie! czy ja mogę tak prędko zliczyć; ja jeździła aż do Torunia uczyć się piec tego piernika; a co ja tam za to zapłaciła! aj! aj!

Żydówka ochłonęła już ze strachu, i pustą rozmową, starała się sobie dodać czasu na rozmyślanie jak najlepszéj ceny swemu towarowi.

— Po lipiec, mówiła daléj, trzeba jechać aż do Kowna, a i tam trudno dostać, bo wszystek sycą na trójniaka, i wszystek rok na rok panowie wypijają. Niech im Pan Bóg daje na zdrowie!...

— Czy długo będziesz bałamucić? zawołał znowu zniecierpliwiony Żegota, cenę, bo stół do djabła przewrócę, i pierniki twoje rozlecą się na cały rynek.

— Gwałt! gwałt! co mnie robić? kiedy Jasny Pan tak chce koniecznie, to bez urazy Pańskiej . . . Nu, a co Pan z niemi zrobi jak kupi?

— A tobie co do tego? Zjem!

— Nu, to nie może być, chyba schowawszy, to na długo będzie dla zakąski albo . . .

— Do miljon kroćset! . . . wrzasnął Żegota porywając za stół.

— Jasny Panie, gwałt! stój pan. stój! zapłać Jegomość dziesięć talarów, i bierz!

Żegota uśmiechnął się na tak przesadzoną cenę; pospólstwo nawet, przypatrujące się téj scenie, łajać żydówkę poczęło a zmieszało ją najbardziéj, krzyknąwszy, że to chyba razem i z tą skrzynią pełną także pierników, na ktoréj siedzi: ale Milanowski nieuważając na nic, i zapłaciwszy dziesięć talarów: bierzcie stół! rzekł do lózaków, i nieście za mną, a widząc że we dwóch temu podołać nie mogli:—Pomóżcie dziatki, rzekł do pospólstwa, a dostaniecie tych kołaczów.

Kilku wnet chłopaków rzuciło się do pomocy Poroczce i Norejce. Szedł więc naprzód Żegota, za nim niesiono stół z piernikami a za stołem brnął lud, ciekawy co z tego będzie?

Kompanja na dziedzińcu plebańskim widząc, że cóś się nadzwyczajnego na rynku dzieje, zbliżyła się z drugiéj strony do sztachetów i pytała także co się stało panu Milanowskiemu, i co z tego będzie?

Tymczasem on kazał postawić stół przy saméj bramie kościelnéj, tak, że ktokolwiek z plebanji wychodził na rynek lub do pojazdów, tuż koło niego przejść musiał; kazał jeszcze przynieść zedel i zasiadł za stołem jakby do najważniejszego dzieła.

— No, chłopcy, rzekł on najprzód do niosących stół; macie po wielkim pierniku za waszą fatygę. Ci ukłonili się i z wesołym podskokiem odeszli.

Prowadźcie mi teraz wszystkich ubogich, rzekł do swych hajduków...

Pan Kasztelan tymczasem siedział dotąd na ganku, rozmawiając poważnie ze zbliżającymi się ku niemu, a oglądając się niekiedy w różne strony, jakby kogoś oczekiwał. Gdy Żegota ze stołem i tłumem zbliżał się do bramy kościelnéj i zaczął potém tę wspaniałą

dywidendę pierników, Kasztelan nań się zapatrując wzruszał ramionami, poglądał nienawistnie i mówił sam do siebie: Banita buszuje, buszuje! ale poczekajno, poczekaj! przytrę ja tobie rogów! I znowu oglądał się niecierpliwie. Jakoż doczekał się widać oczekiwanego, bo dostrzegł zbliżającego się doń jakiegoś szlachcica, a może jednego z własnych przebranych huzarów, których Kasztelan utrzymywał kilkudziesięciu na swoim dworze, i z których kilku poznali lózaki Milanowskiego; ten obszedł plac kościelny z drugiéj strony, wlazł do ogrodu plebańskiego przez płot, a z ogrodu wyszedł na dziedziniec i spotkał idącego naprzeciw siebie Kasztelana.

W tłumie i gwarze nikt na ten manewr nie zwrócił uwagi: szlachcic kilka słów szepnął na ucho Kasztelanowi, ten za całą odpowiedź kiwnął głową, i emisaryusz znowu tąż samą drogą i lisim krokiem odszedł, a Kasztelan wszedł do plebanji, i zabierając się do odjazdu, z proboszczem żegnać się począł.

Pleban obfite i pokilkakrotne zastawiając śniadania, bo wyśpieszyć obiadu dla wielkiéj publiki, na zwykłą zaraz po nabożeństwie godzinę, niepodobna mu było, miał nadzieję, że goście jego cierpliwie, bo niegłodno tę pauzę zniosą; zadziwił się więc odjazdowi Kasztelana, i zakłopotany staruszek przepraszać go zaczął za tę mimowolną zwłokę, upewniając, że wnet waza będzie na stole, a błagał najpokorniéj aby zostać raczył, dla honoru i ozdoby jego ubużochnego, ale z serca ofiarowanego kollatorom i dobrodziejom tego kościoła, traktamentu.

Lecz Kasztelan, uspokoiwszy go najuprzejmiéj, upewniał, że wszyscy widzieć mogli na dziedzińcu posłańca, którego doń wyprawiono z domu, z wiadomością wymagającą rychłego powrótu, a zatém, że odjechać musi bez zwłóki.

Gdy to się działo w plebanji, tymczasem Żegota obdzielał piernikami liczną nader gromadę żebraków na fest zebranych, a z pod kościoła i zewsząd przedeń przyprowadzanych; lecz zostało jeszcze pół stołu zakupionego towaru; natenczas zawołał on głośno: Sam tu! kto chce piernika, niech się pokłoni.

Nie wielu się kwapiło na to myśliwskie nawoływanie; kilku jednak z pospólstwa śmiejąc się podeszli, pokłonili się i dostali piernika. Lecz w tejże saméj chwili wyszedł Kasztelan z bramy i stanął, nadczekując na swą karetę, po którą posłał, a która odeszła była pod karczmę, bo stangret i służba, nie spodziewając się przed obiadem wyjazdu z plebanii, odjechali tam razem z innemi ekwipa-

żami; znalazł się więc prawie obok Żegoty i odwrócił się doń tyłem.

— Kasztelanie! zawołał Żegota, pokłoń się, dam piernika!

Kasztelan odszedł daléj jeszcze o kilka kroków.

— Ho! ho! panku, wołał za nim Milanowski, nie chcesz pokłonić się szlachcicowi, a nawet krewniakowi swemu...

Przerwał dalszą perorę idący za bratem Kasztelanem Pułkownik. Skoro się on ukazał w bramie, opuściła Żegotę zawziętość i rubasznie zawołał znowu:

— Pułkowniku Murmuluk! pokłoń się, dam piernika!

— Dowód to łaski pańskiéj, odpowiedział jak zwyczajnie przez nos i powoli Pułkownik, kłaniając się z daleka, a w tém nadeszła kareta. Kasztelan wsiadłszy do niéj i zabrawszy brata, rzekł przez okno do Żegoty:

— Poczekaj ty Banito! wraz na łbie pierniki mieć będziesz! Ruszaj!... a Pułkownik przez drugie okno rzucił mu jeszcze: *Tausend teufel.*"

Na te apostrofy zerwał się porywczo Milanowski, lecz, pojazd pędząc z kopyta był już daleko.

Żegota, usiadłszy na nowo za stołem, postrzegł blizko siebie stojącego jakiegoś człowieka, niepoczesnéj postaci, ale gęstéj miny, patrzącego nań wytrzeszczonemi oczyma, kręcącego wąsy i muskającego się po czuprynie.

— A to co za pokusa? zapytał on.

— Aj! bodaj żem ja go widział u Szendera, odpowiedział Norejko.

— Słuchaj kpie! zawołał więc nań Żegota, chodź sam tu, pokłoń się, a dam piernika na zakąskę miodu kasztelańskiego, coś pił u Szendera.

Jakoż podszedł szlachcic, jakby na wezwanie, ale *insperate* zamachnąwszy ręką po stole, wszystkie pozostałe kupy pierników zmiótł na ziemię, i darł w nogi ku kramom co miał siły.

— Ha! chłystek! zdrajca! krzyknął Milanowski, łapaj! łapaj! *Muszk* Norejko! *Muszk*, Poroczka!

Niżeli to wymówił, już oba gonili figlarza, ale posłyszawszy za sobą znajomą konfederacką komendę *Muszk*, dobyli szabel, i z podniesionemi biegli za uciekającym.

Milanowski wnet poznał, że ta zaczepka nie jest bez kozery, i że lozaki jego trafić mogą na zasadzkę; krzyknął więc na pospól-

stwo: zbieraj kto chcesz pierniki, a sam śpiesznym krokiem szedł ku kramom, na środku rynku w kwadrat zabudowanym, za których jednym bokiem zniknęli właśnie i zbieg i pogoń.

Nie omylił się on: była to zasadzka, ułożona przez Kasztelana, a zdana na wykonanie kilku szlachcicom stronnikom jego, kilku dawnym jego dworzanom i pod ich komendę dodanym kilku huzarom, z planem podrażnienia Żegoty tak, aby on sam koniecznie zaczął zbrojną zaczepkę; czego łatwo dokazać mieli nadzieję, znając charakter i zuchwałość jego. Szło zatém, że w sprawie kryminalnéj, która z téj akcyi wyniknąć miała, Żegota choć zwyciężony i zrąbany, bo tego się pewnie spodziewał Kasztelan, nasadzając kilkunastu na jednego, nie mógł zaprzeć się, że był napastnikiem, a tak uległby wyraźnemu prawu: *„Infestor se ipsum occidit.“* Napastnik sam siebie zabija. Kasztelan zaś, aby, pozoru podejrzenia uniknął, wyjechał, jakeśmy to widzieli, z miasteczka.

Uciekający szlachcic wpadł w kupę spiskowych towarzyszów, czekających go i ukrytych za kramami; za nim lecący Poroczka i Norejko ujrzawszy nagle tę gromadę, stanęli; wtém któryś z wodzów bandy krzyknął:

— Napaść mości panowie! Gwałt! biorę wszystkich za świadków! brońmy się!... i wnet kilkanaście szabel rzuciło się naprzód, a nim hajduki, choć rosłe i silne chłopy, mogli się opamiętać i złożyć, dostali po łbie i rękach cięcia, lekkie w prawdzie, ale jednak okrwawieni i ranni, nie mogli dotrzymać placu, i niepomni na rycerską sławę, tył poddali, a po prostu mówiąc, uciekać zaczęli.

Attakując rzesza nie nacierała natarczywie, czy to mądrze umiarkowana w zwycięztwie, czy to że miód szenderowski zuchując im po głowach, plątał się po nogach... możeby nawet przyszło do rady wojennéj i do *armistitium*... gdyby w téj chwili Żegota, biegnący na sukurs swoim, nie wpadł na nich, jak zgłodniały wilk na trzodę wieprzów, co się w niebezpieczeństwie takiém cisną w kupę, i ostre kły swoje wyszczerzają naprzeciw napastnikowi...

Wyższy o pół łokcia od wszystkich, z rapirem o pół łokcia dłuższym od szabelek szlacheckich, *Muszk!* krzyknął on z całych piersi, i dopadając usłupiałéj na ten krzyk tłuszczy, dźwignął mieczem potężnie... kilka kling wybitych z rąk i rękojeści furknęło w powietrze... a Żegota, zwinąwszy przed frontem nieprzyjacielskim krzyżowego młyńca, puścił rapir *horyzontalnie* po nosach, zębach lub łbach; podług wysokości figur jak komu przypadło...

Muszk! jak z pistoleta palił, i wnet jakby echa od tego wystrzału rozlegały się aj! oj! aj! oj! rozmaitemi głosami. Muszk! aj! aj! oj! oj! oj!

Opojona szlachta dostawszy w piérwszym zamachu za swoje, ranieni i nieranieni pierzchali wszyscy... przebrani huzary stanęli szczelniéj w kroku, lecz i ci, nie mogąc wytrzymać krzyżowego młyńca, który jak błyskawica wijąc się koło Żegoty, odbijał i kruszył ich pałasze, a potém kosił ich horyzontalnie, uderzyli także na odwrót... Wtenczas Żegota zmienił manewr... walił płazem po uciekających, Muszki oj! oj! oj! oj! Muszk! aj! oj! oj!... a za każdém Muszk! sztaba żelaza spadała z góry na grzbiet dognanego, boleśniejsze tam i na dłuższy czas, niżeli lekka rana wypiekając piętno.

„Tak niegdyś sławny rycerz Polestyny,
Oślą paszczęką gromił Filistyny.“ *)

III.

Jak wygram *rehabicję* **) na sukcessorach króla Jana III do Milanowa, który on za bezcen kupił od mego antenata, i jeszcze jakby na despekt naszego mazowieckiego gniazda, Wilanowem po włosku przezwał ***), to będę większy pan i od mego krewniaka pana Kasztelana, mawiał pan Milanowski, gdy się między bracią przy kielichu rozdobruchał i facecye prawić zaczął. Wiedział on bowiem dobrze ze swych aktów domowych, że w roku 1677 Jan Sobieski, król, upodobawszy sobie w pięknéj nad Wisłą okolicy, blizką od Warszawy wieś, Milanowo znaną, starożytnéj szlacheckiéj rodzinie Milanowskich jeszcze od książąt Mazowieckich nadaną, kupił ją za 45,000 złotych ówczesnych, i we wspaniałą potém rezydencyę monarszą zamienił. A gdy jeden ze sprzedających, Jan Milanowski, na wyprawie Wiedeńskiéj dzielnie pocztom polskim przywodząc, pod okiem króla baszę jakiegoś własną ręką zabił, a liczny hufiec turecki z mniejszym daleko własnym rozproszył; przeto król po powrócie z wyprawy,

*) Monachomachija.
**) *Rehabicja* termin prawny, znaczy: przywrócenie do własności.
***) Historyczne, prawdziwe.

w nagrodę męztwa jego i zasługi, *panem bene merentium* *) mu udzielił, to jest dał mu w dożywocie starostwo na Żmudzi, Tabiny zwane.

Syn tego walecznego męża pojął za żonę córkę możnéj żmudzkiéj rodziny Jagintów, a po niéj dostała się potomstwu jego w puściznie wieś po Żmudzku *Berżulukas* (pole brzoz) dziś *Berżyłówką* zowiąca się. I oto historja rzeczywista przesadzenia się Milanowskich z Mazowieckiéj na Żmudzką ziemię.

Za czasów jeszcze pogaństwa w Litwie, na początku XIV wieku, familja Mejrów miała już swe posiadłości na Żmudzi, około Jurborga, nad granicą pruską, a lubo niektórzy ród ich od Niemców pochodzącym być twierdzili, i nazwiskiem z niemiecka brzmiącém, mniemanie to usprawiedliwiali, wszakże Mejrowie przeciw temu ich zcudzoziemszczeniu z niezbitym stawali dowodem, bo z nadaniem od Witolda, za krwawe walki z Krzyżakami (zatem z Niemcami), przodkom ich majętności Kilpinie, od wyrazu litewskiego *kiłpa* (strzemie) nazwanéj, niedaleko zamków krzyżackich Ragnety i Tylży leżącéj. Ileż to dostojnych rodzin na Żmudzi, takiemiż nadaniami i za równeż w bojach z Krzyżactwem zasługi, poszczycić się, pewny jestem, może?

Dwie zatém rodziny mające we krwi od przodków sobie przelane pochop i zapał do męztwa i korda, żyły od wieków w sąsiedztwie; Milanowscy w *Berżyłówce*, Mejrowie w *Kilpinie*, a rozdzielała ich tylko fortuna państwa Uwojniów od wieków także sławnych prawników. Z takiego położenia tych trojga siedlisk zdawaćby się mogło, że między dwóma ważącemi mieczami, rozjemcza *Themis* na gwichcie szali usiadła. Ale niestety! Themis to była prawdziwa szlachecka, swarliwa, a do nieustannych processów, kłótni i sporów, szczególniéj granicznych, podbudzająca, więc Uwojniów opiekunka i patronka. Jakoż od dziadów i pradziadów, to na jedną, to na drugą stronę obracając się oni, jednemu lub drugiemu dokuczali sąsiedztwu, ale na przemian: bo ani Żegotom, ani Mejrom nie mogąc dotrzymać pola na dyferencyach, zawierali pospolicie z jednemi kombinacyę, która zawieszeniem broni nazwać się mogła, warując zbrojną pomoc w przygodzie, gdy na drugiego nastawać mieli, i wzajemnie; ztąd i Milanowscy z Mejrami kłócili się za cudzą sprawę, a wszystkie trzy domy żyły w nieustannéj zwadzie, rozgardyaszu i kłopocie.

*) Chleb dobrze zasłużonych.

Taki stan rzeczy, idąc przez pokolenia, dotrwał aż do czasu, gdy Żegota Milanowski, starszy ze swéj rodziny, wrócił po Konfederacyi Barskiéj do domu, i nie znalazłszy w życiu rodziców, został gospodarzem w *Berżyłówce*, a Rafał Mejra, mający również kilku młódszych od siebie braci, wyrosł na młodzieńca, i dawnym szlacheckim obyczajem, aplikować się do *jurysprudencyi* i do szabli razem, co jedno drugiemu nie przeszkadzało. począł; i nakoniec, gdy u państwa Chorążostwa Uwojniów zakwitła Dosia, która ręką swą na jednę lub drugą stronę, oddaną, zjednać mogła dwóm przynajmniéj ze trzech kłócących się rodzin zgodę wieczną, a własnéj stałych już sprzymierzeńców.

Trzydzieści lat z górą liczyć mógł sobie naówczas, gdy wrócił do domu Milanowski, sam czas do ożenienia się. Dwadzieścia pięć miał Mejra, sam czas do miłości. Dziewiętnaście wiosen liczyła Dosia, sam czas do małżeństwa. Uważając te *cyrkumstancye*, Pułkownik Murmuluk, pretendent trzeci do ręki Dosi, powiedział:

— Gdym był pod Kistrynem, to była tam taka baterja, co na dwa boki strzelała i najciężéj było zdobyć ją; alem ja podszedł z trzeciego boku . . .

— To i Dosię myślisz Pułkowniku zdobyć z trzeciego boku? przerwał któś.

— Dowód to łaski Pańskiéj! . . .

Z Pułkownikiem więc Żegota był w emulacyi jedynie tylko z racyi Dosi, o co mało dbając, jakeśmy to wyżéj namienili, i nie lękając się wcale tego rywala, nie wiele też go i nienawidził. Lecz z Kasztelanem nienawiść ich wzajemna głębsze miała przyczyny, srożéj raniła obie strony, i do niebezpiecznych wiodła skutków. Była ona *dziedziczną* i między *krewnemi*, czytelnik więc znający namiętności ludzkie, tém samém uzna, że musiała być najzawziętszą. „*Rara concordia fratrum*“ mówi dawne przysłowie; dodaćby można makaronizmem „*Rarissima szwagrorum.*“ Dwie *Orwidówny* poszwagrzyły niegdyś dziadów Kasztelana i Żegoty; nie małego potém dziedzictwa żonek swych zgodnie rozdzielić oni nie mogąc, zawzięli się do kłótni i pieni,

„Po piętnastu dekretach, szesnastu remissach,
„Dziesięciu podkomorzych, pięciu kompromissach,“

proces przeszedł do dzieci i wnuków, gmatwając tylko coraz gorzéj kwestyę dzielczą i jątrząc coraz głębiéj serca do miłości z przyrodzenia przeznaczone.

Za pośrednictwem wielu poważnych obywateli ziemskich, a szczególniéj powszechnie tam naówczas szanownego *Szambelana Zaleskiego*, *) mógłby się i ten długi process skończyć na pojednaniu; bo pan Zaleski nowy zupełnie honoru szlacheckiego wynalazł dowód, który dotąd na pozwie za nadrą i na ostréj szabli u boku zależeć zdawał się.

— Napadać, bić się, kaleczyć, mówił on, gdy upartych do pokoju nakłaniał, to po tatarsku; knuć zdrady, milczkiem kąsać, pieniać się i upornie stać przy niesłuszném, to po niemiecku; ale nie po naszemu, ale nie po szlachecku! Bo wiecież Waćpaństwo, perorował zwykle zkąd jest *styrps* tego wyrazu szlachectwo? Szlachectwo *provenit* od szlachetność i jest jak *dyftong* jedno z drugiém związane; szlachcic zatém jeżeli jest prawdziwy karmazyn, to powinien dowodzić tego *re et nomine* w poczciwém życiu swojém. Burda, kręciel, chciwy cudzego pieniacz, nie jest szlachcic prawdziwy, choćby genealogję od Japheta prowadził.

Takiemi argumentami *ad hominem*, modyfikowanemi stosownie do stanu i usposobienia osób z któremi miał do czynienia, przygaszał Zaleski zawziętość, zawstydzał głupią zarozumiułość, i rozbudzając w sercach sentymenta godności szlacheckiéj wymuszał dla niéj ofiary z zastarzałych nałogów do *juromanii*.

— Bieda nam była z tym panem Szambelanem Zaleskim, powiadał mi pan Dargwojń, dawny niegdyś sądowéj Rosieńskiéj repartycyi mecenas. Człowiek bywało przed *kadencyą* **) nawpisuje sobie do *wokandy* ***) z pięćdziesiąt aktorów i nieszpetny wyliczy kapitalik w sperandzie; ale pan Szambelan, świadomy bardzo interesów całéj Żmudzi, przed każdą kadencyą wymyśli jakikolwiek u siebie festyn i pozaprasza prawujących się. Nikt mu przybycia odmawiać nie śmiał, bo był to człek mądry i zacnéj duszy, a zatém we czci u wszystkich. Zjechawszy się więc ichmość oponenci, pa-

---

*) Szambelan Zaleski, ojciec Michała Zaleskiego, starosty Szwentowskiego, znanego już w naszych czasach całéj Litwie, a dziad Zaleskich dzisiaj żyjących w Wielonie.

**) *Kadencya*, tak się zwał termin zjazdu sądów.

***) *Wokanda*, książeczka w którą adwokaci wpisywali regestra spraw, których bronili.

trzą najprzód na siebie z ukosa, ale kłócić się w domu tak dostojnego obywatela nie mogą; i po dniach kilku, a czasem i kilkunastu, bo na to ani umysłu, ani fatygi Zaleski nie żałował, wyjeżdżają pogodzeni jak bracia. Nadchodzi potém kadencya, i aktoraty spadają *per non sunt* jakby ich nie było; pana *sukolektora kopy* *) i nasze *honoraria*... fu!... skończył, dmuchając po dłoni.

Miło jest tę sprawiedliwą wspominkę poświęcić imieniowi męża, którego obywatelskim cnotom i usiłowaniom nie jedna familija na Żmudzi, winna była pokój i ocalenie kawałka karmiącego i dziś jeszcze jéj potomków.

Pan szambelan więc Zaleski, zabierał się już do kombinacyi Milanowskiego z Kasztelanem, czegoby pewnie dokazał, gdyby nowa przyczyna nie wynikła niespodziewanie w kraju, która dawną między niemi nienawiść familijną, wzmogła polityczną, przeciwnego sobie stronnictwa zaciętością.

Wybuchnęła Konfederacya Barska. Przeciw króla!... Za królem!... dwa te hasła rozdzieliły naród, i wzięto się do oręża.

Żegota Milanowski stanął w Konfederacyi pod dowództwo pana Regimentarza Bilewicza, wraz z jednomyślącymi przyjaciołmi swémi, Rotmistrzem Kowieńskiéj brygady *Muśniczem*, *Jamontem*, *Witortem*, *Narwojniem* i innymi; przeciwnie: Kasztelan, wiodąc za sobą poczt z kilkudziesięciu swoich huzarów, z *Górskim* stanęli na czele partyi królewskiéj. Zaczęły się więc krwawe po kraju korowody, w których nikt talentów wodza, i nikt prawie uległości dobrego żołnierza nie dowiódł; ale osobistego męztwa i poświęcenia się codziennie jawiły się przykłady, które budząc tylko chwilowy applauz towarzyszów i nie wchodząc na kartę dziejów, razem z echem odeń ginęły; a jeżeli niektóre i zostały w pamięci i przeszły w domowe podania, to chyba że jakiś stary konfederat, rozpamiętywał i rozpowiadał potém przy kominie dzieciom i wnukom, swoje własne i cudze z owych czasów przygody.

Żegota stanął pod chorągiew Regimentarza z dwóma nieodstępnemi i doświadczonéj sobie wierności lózakami, *Poroczką* i *Norejką*. Włościanie to byli jego, ale synowie starych sług domowych, hodowali się razem z paniczem, i z nim razem pobywali nawet w szkołach, w których i panicz niedługo gościł, tyle tylko liznąwszy łaciny,

---

*) *Kopy*, tak nazywano opłatę od stron prawujących się dla sądu przez sukolektorów wybieraną.

ile do zrozumienia terminów prawnych i sentencyów przy kielichu potrzeba było; w konsyderacyę zaś i afekt braterski kordem się potém wrąbał.

Tenże sam więc kord i dzielne ramię poświęcił Żegota sprawie, w któréj *sub fide, honore et conscientiae* *) jak natenczas mawiano, przyjął uczestnictwo, a gdziekolwiek nim błysnął, dotrwać mu w kroku nie mogli *regalistowie* (tak nazywano stronników króla), i często liczne ich bandy z pomocą tylko *Poroczki* i *Norejki* we trzy szable płoszył.

Lecz wtenczas najbardziéj krew się w nim zapalała, wtenczas ani komendą, ani żadną radą uhamować się nie dawał, gdy kasztelańskich huzarów naprzeciw siebie dostrzegł, i nieraz, mimo olbrzymiéj siły, byłby zginął w takim zapędzie, lub w niewolą z lózakami swemi byłby ujętym, gdyby go rychła odsiecz towarzyszy nie salwowała.

Uprzykrzyło się nakoniec Kasztelanowi, że jego huzary stali się celem pośmiewiska całej konfederacyi i stron obu: bo żarty, anegdoty i dykteryjki żołnierskie, z obozu do obozu przechodziły, humorystyczny niejako, przy zerwaniu innych, między bracią utrzymując związek. Nieznośném mu było hasło Żegoty: „*Muszk Poroczkas! Muszk Norejkas!*“ którém jego rycerzy wszędzie z urąganiem witano. Zemścić się więc i zmyć hańbę ze swéj chorągwi postanowił, wzajemnie zatém na Milanowskiego tylko godzić swoim kazał; ale trudno było czegoś dokazać z żołdactwem, które widząc codzienne dowody męztwa i siły jego, przywykło zmykać nie tylko przed nim, ale i przed każdém niebezpieczeństwem. Stowarzyszył się więc Kasztelan z pułkiem królewskim tatarów, i w utarczce pod Wiesznianami *), obrawszy oddaloną od całego obozu, a dogodną swym zamiarom pozycję, ukazał się ze swymi huzarami na przodzie, i i podrażnił nieostróżnego zawsze a zapamiętałego Milanowskiego.

— Héj bracia! widzicie kasztelańskich huzarów, krzyknął on: Wiara! za mną! wytrzepiem im skórę! i puścił się pędem . . . Kasztelan, czekający tylko na to natarcie, zwinął się w śpieszną rejteradę, bardzo podobną do zwykłéj przed Żegotą ucieczki, a ten gonił, bez ustanku krzycząc: „*Muszk Poroczkas! Muszk Norejkas!*“ którzy oba lecieli obok niego . . .

---

*) Pod zaręczeniem wiary, honoru i sumienia.

**) Miasteczko na Żmudzi, nad samą natenczas granicą pruską.

Sypnęło się wprawdzie za niemi kilkanaście szabel, lecz nie mogli zdążyć tuż za Żegotą, który leciał w całym pędzie konia... W tém ukryty za wzgórzem na zasadzce wypada oddział tatarów, i odcina mu sukurs i odwrót... w tejże chwili huzary, pobudzeni głosem obecnego pana swego i wodza, Kasztelana, odwracają się czołem... Milanowski otoczony.

— Żywcem go wziąć! żywcem! nie strzelaj! nie strzelaj, krzyczał Kasztelan... I czemużbyśmy nie mniemali, że głos ten był głosem jego serca czy sumienia, wzdrygającego się na imie bratobójcy, które z krwią Milanowskiego spaść nań w téj chwili mogło... Lecz komenda ta i późną już była i mało słyszaną, owszem, strzały ze wszech stron sypały się gęsto... ale Bóg kule nosił, żadna śmiertelnie nie uderzyła Żegotę; *Poroczka* tylko upadł z zabitym koniem, on zaś nie stracił głowy, ani męztwa, lubo czuł się być rannym. Mgnienie oka i śmierć albo niewola!... Tatary nadlatywały ścisłym szeregiem; w nich przebić lukę i dopaść swoich niepodobna było; huzary przeciwnie, zajeżdżali szerokiém ale rozstrojoném kołem, a wśród nich Kasztelan wołający bez ustanku: Żywcem go wziąć! każdy jednak huzar na któregoby natarł, musiałby choć najmniejszy zastawić opór przerzynającemu się lub się go jakkolwiek uczepić: jeden Kasztelan umknie mi z drogi, pomyślił Żegota... i z podniesioną szablą rzucił się nań krzyknąwszy: ha! zdrajco! dobędę ja ci żywca!... Kasztelan odskoczył z miejsca jak od pioruna... Żegota przesadził obławę! Norejko zaś będący obok, nacierał na Kasztelana i rąbać się począł z kupiącemi się na obronę jego huzarami, a więc poczciwiec umyślną ofiarą siebie samego, boby mógł razem ze swym panem umknąć, ułatwiał mu ratunek i zatrudniał nacierających,

Gonić! gonić! panie Poruczniku! gonić! wołał Kasztelan do oficera nadbiegłych w téjże chwili tatarów, lecz ten zakomenderował: Stój.

— Kogo gonić? rzekł, jednego całym szwadronem? piękny z pana jenerał! i gracka pańska komenda, cha, cha, cha! no przecież we stu jednego uchodzili, bo właśnie huzary wiedli okrwawionego Norejkę! Winszuję wiktoryi, mówił daléj porucznik, winszuję! cha, cha, cha! Ale mi nie czas tu się zabawiać; słyszysz pan ogień, tam się widać nie po naszemu biją; może pan zechcesz po tak wielkiém zwycięztwie odpocząć, ale ja...

— Panie Poruczniku, przerwał dumnie Kasztelan, proszę tych żartów zaniechać! w swoim czasie przypomnę to panu. Teraz idźmy

razem. Hej! wy, z konia! rzekł wskazując na dwóch huzarów, zwiążcie tego łotra; znam ja go od dawna, i zaprowadźcie jego do *Wiesznian* do obozu. Ależ wara! pilnować, bo jak uciecze, odpowiecie mi skórą! konie ich wziąć na podwody; od pieszych trudniéj mu będzie umknąć; a teraz daléj, Marsz!

IV.

Został więc Norejko i dwóch przy nim strażników.

— No, rzekł jeden z nich, trzebaż wiązać pana Norejki.

— A kiedyż nie ma czém, odpowiedział drugi.

Tymczasem Norejko usiadł na ziemi i lewą swą porąbaną rękę, zaczął prawą opatrywać; krew już zastygła, cięcie było jakby ze swawoli zadane; odwiązał więc chustkę z szyi i zawijając ranę: Oj *Mateuszas*, *Mateuszas*, rzekł do jednego z huzarów, wieleż to razy mogłem zdjąć tobie głowę z karku, ale pamiętałem zawsze że ty syn mojéj stryjecznéj ciotki, i tylko kiedy niekiedy płazem dostałeś; a tyś mnie rękę pokaleczył!

— Ok Jeezus *) a dalibóg, że nie ja! czy ja nie wiem, że waćpan mój brat? czy my nie na jedném polu wykodowali się? dalibóg, że nie ja, ja zawsze makam tylko szablą koło mojego nosa, a strelam w górę; mi całą komendą tak zmówili się; jest prawda z dziesiątek niedowiarków z nami, co strelają do ludzi jak do wilków; ale mi prawdziwi kreściani, to w górę . . .

— No to ty pijaku Szuciłło, wytrąbiłeś z beczkę mojego miodu po kiermaszach, a teraz okaleczyłeś mnie.

— A niek mnie Pan Jezus *Szyłelski*, i Najświętsza Panna *Pojurska* od tego broni. Prawda, ja pożegnawszy się, rzuciłem szablę na ziemię (treba będzie jéj poszukać) i kwyciłem waćpana wpół, bo pomyśliłem sobie, że jak kto w téj makaninie trafi przypadkiem jego w ciemie, to i *skwituje amen*. A obraza boska, a grech śmiertelny! ale jak kwycę wpół, a pomoże drużyna, to i weźmiem w niewolę kokanego pana Norejki, i tak ryktyk stało się kwała Bogu.

*) Wyrażenia to są włościan Żmudzkich i Litewskich, mówiących po polsku.

Na co nam bić się, kaleczyć się? czy mi cudzy? kiedy panowie kcą, to niekaj biją się... Mi całą komendą tak zmówili się...Ok Jeezus! tam smalą z muszkietów!!! Ale mi tyłem całą wojnę obejdziem i trafim do Wiekszniań. No tak i idźmy! ale panie Norejko waćpan tylko nie uciekaj broń Boże! bo wiązać waćpana mi nie mamy czém.

— Ej, dajcie mnie pokój! gdzie mnie tam uciekać? odpowiedział Norejko, ja ledwo iść mogę, tak mnie ręka boli. Ale poczekajcie, czego śpieszyć się tam gdzie biją się. Ot leży zabity biedny Poroczka, towarzysz mój; oj będzież po nim płakał pan nasz kochany! Zmówim przynajmniéj wieczne odpocznienie za jego duszę, w Wieszniánach najmę poczciwych ludzi, aby go pochowali.

— Ok Jeezus! zabity pan Poroczka! zawołał żałośnie Mateusz. Wieczneż jemu odpocznienie! O to jakiś bezdusznik trafił jego widać w same serce!... A Szuciłło przeżegnawszy się nabożnie, bóty zabitemu ściągać zaczął... Wtém zrywa się Poroczka i chwyta za łeb Szuciłłę, ha łajdaku! krzycząc! jak ty ważysz się zabitemu bóty kraść?

Wyrwał się przelękniony Szuciłło, i wszyscy odskoczyli z przerażeniem, bo i Norejko, niespodziewając się tego zmartwychwstania szczérze chciał za duszę kolegi się modlić; ani się domyślał, że on pod zabitym swym koniem się przyczaił, i umazawszy się krwią końską, leżał cicho, oczekując końca téj fatalnéj dla nich rozprawy.

— Ok Jeezus! krzyknął Mateusz, panie Poroczka! albo leż, albo stój, albo całkiem prepadaj!!! kiedy kto zabity... to niepowinien być żyw! albo siak, albo tak!

Szuciłło przelękły i drżący, słowa wymówić nie mógł, żegnał się tylko bez ustanku.

— No chodź bracie, rzekł Poroczka do towarzysza.

— Jak to kodź bracie? odezwał się ochłoniony nieco Szuciłło, mi pana Nerejki do Wiesznian prowadzić musim: kiedy waćpan żyw, to idź sobie z Panem Bogiem gdzie kcesz: ale pan Norejko w niewoli jest; pięknie nas prymie pan nasz, kiedy jego nie pryprowadzim!

— A kto tobie powiedział że ja żyw? krzyknął nań Poroczka, jak ja mam być żyw, kiedy u mnie w samém sercu kula siedzi? Ja upior? tu wyszczerzył okropnie zęby, i wytrzeszczył oczy...

— Ok Jeezus! krzyknął na tę minę Szuciłło i za Mateusza się schował.

— To wy poganiny mówił dalėj upior, chcecie żebym ja i na poświęconém miejscu nie leżał, żeby mnie tu kruki rozdziobali, a wilki koście roznieśli... poczekajcie! przyjdę ja do was w nocy, i będziecie musieli nieść mnie aż na mogilnik Szyłelski i tam pochować, albo wam głowy poukręcam!

— Słukaj panie Poroczka, odpowiedział odważniejszy Mateuszas, wierząc i nie wierząc tym słowom czy waćpan żyw, czy zabity, nie łży prynajmniéj, i mów czy siak czy tak; wszak dawno znamy się; waćpan zawsze figlar wielki! kiedy i teraz skrewisz, a obaczę gdzie waćpana na kiermaszu, to dalibógże koć i doprawdy potém zamresz, ja sam odrąbię waćpanu głowę rydlem i między piętami położę. Obaczysz!

Tymczasem Nerejko zbliżył się do perorującego i szablę mu z pochwy zdrową swą ręką nagle wyrwał. Uciekajcie łajdaki! zawołał, bo wypłazuję obydwóch. Poroczka podjął także własny pałasz.

— Ok Jeezus! wrzasnął znowu Mateuszas, dalibógże panie Norejko będzie kiepsko! Cóż my powiemy panu jak waćpana nie pryprowadzim?

— Powiedźcie jemu, rzekł Poroczka strojąc znowu straszliwą minę upiora i zgrzytnąwszy zębami: powiedzcie jemu, że dziś o północy przyjdę i kark mu skręcę.

— No, do, dotrymajże tylko, dotrymaj słowa! zawołali oba razem, bo jak skrewisz... a żegnając się i ściskając ramionami, odeszli.

Nazajutrz, w nadgranicznėm miasteczku pruskiém, o półmili może od placu utarczki Wieszniańskiéj odległém, do izby, w któréj leżał ciężko raniony Milanowski, właśnie gdy felczer po wyjęciu kuli w ramieniu uwięzłéj, bandażował głęboką ranę, weszli Poroczka i Norejko, i zawołali: *Tegul bus pagarbintas Jezus Chrystus* *). Żegota ujrzawszy swoich, wyrwał się z rąk felczera, chcąc ich uściskać, lecz ból ostry rąk mu podjąć nie dozwolił, a utrata krwi w ucieczce i przy operacyi siły mu odebrała; upadł więc na łóżko, a poczciwi i przywiązani słudzy do nóg mu się rzucili, połami od kurtek ocierając oczy.

---

*) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

V.

Wreszcie naród mir uderzył, upadła kofederacya, naczelnicy wynieśli się za granicę, a szlachta, nieuważając na żadne banicye i groźby jakby powiedziawszy sobie: „Kiedy zgoda to i zgoda!“ powracała do domów, nagromadziwszy tylko zapas wypadków i przypadków wojennych do opowiadania i przechwałek, kończących się częstokroć na guzach i bójkach, gdy zbliżeni gdziekolwiek przeciwnicy kłamstwami się potrącili.

Milanowski, lecząc się długo z ciężkiego postrzału, i rozsłuchując się razem co się w kraju działo, i jakiego bezpieczeństwa używali powracający do domów konfederacji w tém nadgraniczném miasteczku pruskiém, do którego ranny był popadł aż do końca rozruchów przebył. *Poroczka* i *Norejko* często i po kolei przemykali łatwo nie strzeżoną granicę, dowiadywali się do Berżyłówki i do przyjaciół Żegoty, z coraz lepszemi wracając nowinami... Nakoniec, wieść powszechna i listy przez nich przynoszone upewniły niedowierzającego konfederata, a niedowierzającego dla tego, bo się więcéj niż ktokolwiek dał we znaki nieprzyjaciołom, że śmiało wracać może; że król nawet przyjmie zarówno łaskawie i stronników i garnących się ku niemu przeciwników swoich; słowem że wszystko idzie w zapomnienie. Raptem więc i niespodzianie, w którąś niedzielę, ukazał się Milanowski w swym parafjalnym kościele szyłelskim.

Na widok jego zbladł obecny tam Kasztelan.

Na widok Kasztelana zaczerwienił się Żegota; zdało mu się, że głęboką bliznę jego gorące przeszyło żelazo... Oh, bo głębszą daleko była rana, jątrzona nienawiścią w sercu jego!...

— On brat mój, wnet pomyślał, z zasadzki i zdradą na mnie napadł... on winien krwi mojéj!... On... lecz Bóg niedozwolił przekleństwa w swoim domu świętym, a tenże sam głos sumienia, który na wieszniańskim placu boju, wywołał, jakeśmy to widzieli, z ust Kasztelana „nie strzelaj,“ tu przemknął po zapamiętałéj głowie Żegoty słowami: „odpuść nam nasze winy“ i ochłodził ją, uspokoił i ukorzył przed ołtarzem.

Po nabożeństwie i gorliwém podziękowaniu Bogu za szczęśliwy swój powrót, Mjlanowski szedł do plebanji, powitać swego starego pasterza; tam otoczyli go i ściskali serdecznie sąsiedzi, przyjaciele i niedawno nieprzyjaciele nawet, jedni i drudzy męztwu jego, stałości i cierpieniom, sprawiedliwą przyznając chwałę.

Zatém rozgościł się on w domu i odwiedził sąsiadów; poznał bliżéj piękną Dosię i gorący ku niéj uczuł affekt, a nie tając się z tém bynajmniéj, owszem w częstych odwiedzinach domu państwa Chorążowstwa Uwojniów i w konkurach do ich córeczki, starając się zjednać jéj wzajemność a łaskawość rodziców, dozwalał bezkarnie przeorywać sobie miedze, niszczyć kopce, i spokojnie patrzał na niesłuszny uszczerbek swéj ziemi, nie rozwodząc skarg nawet, któreby mu wstępu do progów *Dosi* zaprzeczyć mogły.

Baranek to był więc łagodny naprzeciw Uwojniów, ale lew to był straszliwy naprzeciw rywalów, i aby nie dać czasu znęcać się im ku nieporównanym wdziękom dziewicy, myślał bez dalszéj zwłoki wybrać stosowną chwilę i dobrego przyjaciela, dla wystąpienia już z otwartą swaćbą.

Wybór ten padł na pana Rupejkę, jeszcze natenczas adwokata subseliów Rosieńskich, nim potém został on jednym z najsławniejszych patronów Trybunału Litewskiego, i pełnomocnikiem najzamożniejszych domów na Żmudzi i Litwie, a nawet Księcia Ordynata Radziwiłła, jak to przypomną sobie czytelnicy *Pamiętników Kwestarza.*

Pan Tomasz Rupejko był obowiązanym przyjacielem Milanowskiego; aplikowali się oni razem w Rosieniach, ale chudy pachołek, pan Tomasz, nieraz od możniejszego kolegi sukursowany to talarkiem, to kontusikiem podnoszonym, to pasikiem jedwabnym, znał że w pilnéj pracy cała mu dźwignienia się z téj biedoty nadzieja; pracował więc usilnie, sposobiąc się na *człowieka* i dokazał nakoniec swego: *wyszedł na człowieka!* *) na człowieka mającego powszechną wziętość, a zatem i fortunę; bo gdy potém córkę jedynaczkę wydał za mąż, za pana Szymona Zawiszę (a gdzież tam pierwiéj było Ropejkom do Zawiszów!) pięćkroć sto tysięcy wyliczył posagu, a po

---

*) *Wyjść na człowieka*, wyrażenie to upowszechnione dawniej, dziś niekiedy już tylko użyte, dowodzi jak wysokie i dostojne znaczenie przywiązano natendo tego nazwania *człowiek*, i jak pracować i kształcić się trzeba było, aby na nie zasłużyć!!! ...

śmierci jego najmniéj drugie tyle zostało wnukom na żałobę. Otoż rosnąc tak w dostatki i sławę, pan Rupejko nie zapomniał jednak nigdy, że go w pierwszych a trudnych krokach wspierał po przyjacielsku Milanowski, i na zawsze został mu wdzięcznym. Dla tego Żegota polegając na jego przyjaźni i znanéj jako adwokata *in his et similibus rebus* elokwencyi, postanowił wezwać go do Berżyłówki, gdy niespodzianie jegoż samego zajeżdżającego pod ganek postrzegł.

— A witajże mi, witaj, kochany, serdecznie kochany panie Tomaszu! zawołał Żegota, wybiegając na przyjęcie miłego gościa, i ściskając go oburącz. Szczęśliwe *fatum* tutaj cię przyprowadza, co nawet biorę za dobre *presagium* w moich zamiarach; bom dziś jeszcze chciał słać do ciebie, wzywając twego przybycia i pomocy.

— *Fatum* zawsze fortunne, gdy mnie do twojego domu prowadzi, zacny mój i kolego i benefaktorze, bo mnie wzajemne z tobą uściski *circa praecordia ludunt* *); ale na ten raz i ja przybywam żądać twojéj pomocy, do czego *fatum* bodaj fatalne mnie zmusza.

— Jezus Marya! cóż takiego?

Odpocznijmy, rzekł Rupejko, niech się nacieszę twoim szczęśliwym z wypraw wojennych powrótem, twojém zdrowiem po tak srogim szwanku jaki poniosłeś, potém opowiem ci co się święci.

— Posłuchałem rady twojéj, panie Tomaszu, w liście twoim ostatnim, przez Norejkę mi przysłanym, i powróciłem, rzekł Milanowski.

— Aby zaś i ochota ci nie przyszła nadal do marsowych impetów, kontynuował Rupejko niby zaczęte wyznanie Żegoty, postanowiłeś ożenić się z sąsiadką swoją, panną Chorążanką Uwojnianką, i mnie na swata prosić masz.

— W Imie Ojca i syna! rzekł zdziwiony Milanowski, czyś czarownik? czyś myśli moje podsłuchał?

Rozśmiał się Rupejko. Szydło w worze nie utai się, mój kochany panie bracie, mówił on daléj; więc i twoje afekta do ładnéj Chorążaneczki rozgłosiły się już wszędzie; a więc nie trzeba czarów, ani wielkiéj perspikacyi, aby zgadnąć, że mnie, najlepszego przyjaciela masz użyć w swaty. I służyć ci będę *ore et corde praestantissimo!* **). Ot i cała twoja zagadka, mojéj nie tak łatwo się domyślisz.

---

*) Po sercu głaszczą.

**) Usty i sercem najstalszém.

— Nie będę sobie i łba suszył nadaremnie, odpowiedział Milanowski, gdy sam mi wszystko rozpowiedzieć masz, boś po to przybył. Co każesz na wszystkom gotów; tymczasem rozgość się jak we własnym domu, a koniki do stajni.

VI.

Po długiém niewidzeniu się i po świeżych wypadkach krajowych, dwaj przyjaciele mieli dość treści do poufnych pogadanek, które przy wieczornym chłodzie, pod cieniem dwóch stoletnich klonów, ręką rycerską przodka Milanowskich, a jakeśmy to widzieli, towarzysza wiedeńskiéj wyprawy, niegdyś zasadzonych i do dziś dnia na dziedzińcu Berżyłowskim szérokie rozpościerających konary, prowadzili. Ale gdy w opowiadaniu dziejów swych konfederackich Żegota przyszedł do ostatniéj swéj przygody i zasadzki nań Kasztelana pod Wiesznianami, i gdy mu swą wieczną nienawiść i zemstę zaprzysięgał: Cała Żmudź, przerwał mu Rupejko, wie o tym postępku Kasztelana, i chociaż on to fortelem wojennym nazywa, chociaż usprawiedliwia się tém, żeś najzawzięciéj zawsze i bez ustanku na jego huzarów godził, jakbyś innego przed sobą niemiał nieprzyjaciela, wszakże nikt mu tego pochwalić ani darować nie może; a jednak kochany mój Żegoto, proszę cię abyś w rzeczy i rozmowie, którą gwoli mnie z nim mieć będziesz, miarkował twój furor i inwidyę...

— Co to jest, czy nie godzić mnie z nim chcesz? rzekł żywo Milanowski.

— Aj, nie! wcale nie! choć wolałbym, dalibóg wolałbym... Ale posłuchaj, mówił daléj Rupejko. Jestem ja plenipotentem pana Podkomorzego *Szemiota*. Są między nim i panem Kasztelanem spory z racyi przejścia niektórych dóbr z imienia do imienia, i dla tego porozumieć się obu stronom koniecznie należało, aby przerwać już wzajemnemi manifestami napoczęty process. Wybrałem się więc zawczora do pana Dygnitarza, nie tylko jako pełnomocnik przeciwnika jego, ale jeszcze jako i pośrednik, mający *plenum jus* od Podkomorzego, ułożyć ten interes na zgodę, choćby nawet ze stratą,

bo to pan spokojny i bogobojny, pieni nie lubi: dość powiedzieć, że brat cioteczny Szambelana Zaleskiego. Pan Kasztelan przyjął mię ozięble, ale ja w traktowaniu rozmaitych interesów i z rozmaitemi ludźmi, umiem często poznać z miny, co u kogo w głowie siedzi: więc zdało mi się, że pan Kasztelan chce dać *ad intende* jako procesu się nie lęka i kombinacyi nie zbytecznie pragnie, a zatém pomyślałem sobie: *via recta brevissima!* *) i aby to majaczenie skrócić, bez długich wstępów przystąpiłem do projektu ugody, rozwijając wszelkie widoczne z niéj dlań korzyści, a powolności i odstępstwa Podkomorzego. Ale Kasztelan, wysłuchawszy mnie, rzekł dumnie: Mospanie Rupejko! a mógłby mię przecież i panem Podczaszym nazwać, boć wie że nim jestem, pan Szemiot chce ze mną *Kombinacyi*, a ja chcę najprzód odeń *deprekacyi*, bo pan Szemiot piérwszy *publice* manifestem mię oskarżył. Więc póki *publice* także nie nastąpi jedna, nie może być druga.

— Mości Kasztelanie, odpowiedziałem, manifest ten ja sam pisałem, i ręczę panu, że tam nikt nie znajdzie ani jednego słowa, któreby ubliżało panu; interes tylko i nic więcéj, a zatém nie ma się za co gniewać, i nie ma za co przepraszać. Oprócz tego, przy szczęśliwéj da Bóg zgodzie, manifesta *pro et contra* zapisywane, z akt eliminować będziemy.

— Otóż to właśnie że wiem, iżeś Waszeć pisał ten manifest, a jednak nic nie mam do Waszeci, boś za to zapłacony; pan Szemiot niech odpowiada, który na takie Waścine błazeństwa dozwolił.

— Ha, to już za hrubo! pomyślałem bo jak są różne gradusy głupstwa ludzkiego, tak powinny być i różne odpowiednie gradusy gniewu za nie. Naprzykład „*odpuść im Panie bo nie wiedzą co czynią.*“ słowa te święte powinniśmy mieć na względzie, gdy mamy do czynienia z ludźmi zupełnie głupiemi. Ale pan Kasztelan nie należy wcale do téj kategoryi, więc z rozmysłu mię poniewiera; *invidia* tu razem i *superbia* jest, a *debellare superbos* powinien każdy uczciwy szlachcic, który szanuje jak powinien swój klejnot, i którego ktoś *superba pede* podeptaćby chciał... Wszystko to mnie przemknęło po głowie; ale jeszcze dla świętego pokoju i żądanéj zgody, pohamować się chciałem, i *mutando quadrata rotundis* **) ostrzedz raczéj niżeli rozgniewać pana Dygnitarza.

---

*) Droga prosta najkrótsza.

**) Wyrażenie to przenośne znaczy w treści, mieszając przyjemne z gorzkiem, *quadrata rotundis, rogate z okrągłemi* dosłownie.

— Waść, Waszeć, rzekłem zatém, nigdy niepowinno było wyjść z ust Pańskich, gdy się mówi do równego sobie szlachcica, a tém bardziéj teraz, gdy nas od roku nowe łączy pokrewieństwo.

— Jakie pokrewieństwo? — zapytał mię zdziwiony Kasztelan, o żadném ani starém, ani nowém niewiem.

— A przecież wiedzieć pan powinieneś, rzekłem, że od daty jakeś został Senatorem, każdego szlachcica bratem nazywać musisz; tak chce prawo, a jest to razem i piękna attrybucja i obowiązek wysokiego urzędu pańskiego; a pokrewieństwo to nowe, mnie od *obelgi*, pana od śmiertelnego grzechu *pychy* zasłonićby powinno.

Rozumiałem, że takim obrótem, wynosząc razem dostojność urzędu i delikatną łącząc wymówkę, zreflektuję pana Kasztelana; ale gdzież tam?

— Mój Mości panie bracie, kiedy tak chcesz koniecznie, odpowiedział mi z widoczném urągowiskiem, ale braterstwo takie przyjąć mogę chyba tylko na lewą rękę, rozumiesz mię Waść? bo jak świat światem, najemny *gębacz* Kasztelanowi nie będzie bratem. Ruszaj więc z Panem Bogiem, a pan Podkomorzy i sam znajdzie do mnie drogę jeżeli zechce.

Po tych obelżywych słowach, odszedł pan Dygnitarz trzasnąwszy za sobą drzwiami, i dobrze zrobił, boby i mnie cierpliwości nie stało. Wyjechałem więc z konfuzyą, ale też i z postanowieniem poszukiwania satysfakcyi za krzywdę mego szlacheckiego honoru. Przez dzień wczorajszy dałem folgę rozpalonéj głowie mojéj, aby *frigida sanguine* *) poczynać sobie w tak ważnéj okoliczności, a dziś przybywam do ciebie, jako do przyjaciela *a teneris unguiculis* **) abyś mi dopomógł... Trzeba wyzwać Kasztelana... rzadki to będzie ewent na świecie: *jurysta* z szablą w ręku, i prosty szlachcic na przeciw jaśnie wielmożnego Dygnitarza! Ale cóż robić panie bracie? przypomnę sobie młódsze moje lata, kiedym z tobą noga w nogę na rosieńskim sejmiku stawał. I *Muszk!* po naszemu!!!

— *Muszk!* po naszemu! przerwał niecierpliwie Żegota, ale na co to wszystko potrzebne, panie Tomaszu? na co? On cię skrzywdził we własnym domu swoim, więc gdzie grzech tam i pokuta; jadę wraz i daję ci słowo, że tamże *in loco loci* takie mu dam regularne reflexye i spełna, że będzie mu kwita za nas obu i z bo-

---

*) Zimną krwią.

**) Od lat dziecinnych.

ryszem!... Wyzywać jeszcze tego *hardopyszka* i tchórza! nie wyjdzie, zaręczam ci...

— A czyś ty zwarjował? przerwał wzajemnie Rupejko. Właśniem cię prosił, abyś twój furor w interesie moim modyfikował, a ty chcesz awanturę zrobić; piękniem trafił! Rozumiałem, że ci pod Wiesznianami dobrze téj gorącéj krwi upuścili, aż ty taki sam jako i przed tém; nie ma więc rady z tobą; muszę kogoś innego do téj sprawy poszukać.

— No, mów czego chcesz, panie Tomaszu? rzekł usiadając spokojnie Żegota. Niedopuszczę abyś sprawę twego honoru komu innemu powierzał, bo ten ktoś musiałby być lepszym ode mnie twoim przyjacielem, a takiego na całéj Żmudzi nie najdziesz. Dysponuj więc co i jak mam uczynić, a spełnię wszystko punktualnie. Słuchać spokojnie inwektywy kasztelańskiéj na ciebie nie mogłem, bo suspikuję, że on cię tak nienawidzi za to właśnie, że i w procesie z nim, tyś mym obrońcą gorliwym i przyjacielem.

— Być to może, a więc tém bardziéj moderaminu użyć należy. Ja żądam aby pana Kasztelana wprowadzić gładko i grzecznie w *sak*, z któregoby mu nie łatwo było wyleźć. Dla tego wyzwiesz go panie bracie, i oznaczysz mu plac przy okopach Szwedzkich, pod Kołtynianami *); będziemy walczyć *in conspectu* grobowisk rycerzy przodków naszych; to nam męztwa i ochoty dodać powinno, mówił Rupejko z uśmiechem.

Broń ta, którą każdy szlachcic dla obrony swego honoru u boku nosi; świadków i sekundantów niech zbiera wiele chce; bo uprzedzić go należy, że i ja będę miał około siebie nie skąpo przyjaciół, nawet i takich którzy w godności nie ustąpią najmniéj panu Kasztelanowi... Termin, od dnia i godziny wyzwania, za tydzień.

— A na co tak długi termin? rzekł Żegota. I na co wielu sekundantów? Mnie jednego dość będzie.

— He! bo nierozumiesz mojego planu, rzekł daléj Rupejko. Widzisz, zdaje mi się, że pan Kasztelan nie zechce łba nadstawić; bo to co innego huzarów swoich na harc wysyłać i samemu w obozach konfederackich językiem szérmować, a co innego stanąć bez

*) Pod Kołtynianami, miasteczkiem parafijalném, na boku błoni na milę rozległych, są dwie wielkie, jedna obok drugiéj, góry i wały jakby szańce; tradycya o nich jest powszechna, że to są okopy szwedzkie, i ztąd nazwanie. Lecz prawdopodobniéj, że są z czasów pogaństwa dawnéj Żmudzi. Tu w roku 1812 marszałek Macdonald stoczył potyczkę, rejterując się z pod Rygi.

ceremonii w kroku na przeciw ostréj szabelki; jedném słowem, mniemam, że wyjść nie zechce; dla tego, prócz zaufania w twojéj przyjaźni, wzywam ciebie a nie kogo innego do téj sprawy, bo Kasztelan pomyśleć musi, a całe *publicum* powie, że gdzie Żegota Milanowski sekundantem, tam nie na żart wyzwanie. Naznaczam plac sławny i znajomy całéj Żmudzi, aby ciekawi wiedzieli gdzie się udać na to *spectaculum;* ciekawych zaś będzie tyle, ile jest niechętnych panu Kasztelanowi; więc zająć mogą całe pole. Nakoniec daję mu czasu cały tydzień; powiesz, że dla tego, aby uczynił należyte interesów swych rozporządzenie i napisał testament; ale w rzeczy dla tego, aby széroka *fama* rozeszła się o tém wyzwaniu i w gorszy kłopot go wprowadziła. Nie wyjdzie, plac ostrzelamy; gdzie potém oczy pokaże, wstyd! hańba! Jeżeli wyjdzie a nie zechce się bić, to deprekacya solenna będzie pożyteczną nauką i przestrogą i temu pankowi, i jemu podobnym, aby przed szlachtą nosów w górę nie zadzierali, a *jurysprudentów* Mospanie wszystkich za najemnych *gębaczów* nie mieli. Nakoniec, wyjdzie i zechce mi dać poczciwą satysfakcyę, to wołaż Pana Boga mój bracie! *Muszk!* po naszemu!

— Dobrze, rozumiem teraz wszystko, rzekł Żegota, mądryś! nie ma co powiedzieć. Dajże Boże usłużyć ci wiernie! Zatém jutro rano jadę, a na powrót mój tu zaczekasz.

Teraz zaś, panie Podczaszy dobrodzieju mój, łykniem na tę biédę. Powróciwszy do domu, wnet około najważniejszéj sprawy zawinąłem się, nasyciłem maliniaku i udał mi się wyśmienicie, czy zgoda?

— Zgoda, rzekł Rupejko, łykniem!

— *Nu to, ani susi, ani pusi* *) mówi nasze stare żmudzkie przysłowie. Héj! Norejko! przynieś flaszę, zawołał Żegota, i gdy Norejko wnet rozkaz wypełnił, dwaj przyjaciele, powtarzając za każdą szklanką *Ani susi, ani pusi,* wysuszyli ją do dna.

---

*) Potém ani szaleć będziesz, ani opuchniesz.

VII.

Nazajutrz rano Żegota już był na koniu, a za nim oba nieodstępni lózaki, *Poroczka* i *Norejko.* Mil parę odbyć on musiał do pana Kasztelana, i wrócić wieczorem do domu, by długiém oczekiwaniem nie udręczać Rupejki; puścili się więc kłusem, i obiegłszy połowę drogi, gdy piaszczysty kawałek się nadarzył, a spotniałym koniom folgi dać trzeba było, jadąc stępo. Żegota rzekł do swych towarzyszy, przed którymi żadnéj nigdy nie miał tajemnicy, i którym z wieczora dając rozkaz do jutrzejszéj podróży, i cel jéj rozpowiedział.

— Cóż wy o tém wszystkiém myślicie?

— Co my mamy myśleć? my nic nie myślim, ani rozmyślamy, gdy Jegomość co rozkazujesz. W ogień, chwała Bogu! szli za Jegomościem nie myśląc, a teraz co?... przede dniem wstaliśmy, mówił Poroczka, zadali obroku koniom, wyczyścili każdy swego, i pańskiego napoili; potém w kuźni na toczydle przepuścili trochę pałasze, do pistoletów i swoich i pańskich nowe skałki powkręcali i nabili kulami; wypili potém po sztofie piwa grzanego, zjedli na śniadanie pół pieczeni, a drugą połową wsunęli w kieszeń na drogę, a gdy Jegomość wstał, posiodłali konie, i choć w piekło za Jegomościem!...

— Wybraliście się rezolutnie, jak na konfederacyę; ale zdaje mi się że pistolety obeszłyby się bez ostrych nabojów.

— Kto to wié rzekł Norejko, *I kłoni krytys, sausas na kelsy!* *) jak to ludzie powiadają.

Żegota pomyślił trochę i rzekł:

— Prawdę mówicie, ostróżność nie wadzi: ależ nas trzech dosyć na cały dwór Kasztelana, wszelakoż gdy przyjedziem i ja wejdę do budynku, miejcie baczność na wszystko.

---

*) Wpadłszy w kałużę, sucho nie wstaniesz.

Mogła być dziesiąta przed południem gdy się zbliżyli do Kasztelańskiego dworu. Nie bez wzruszenia ujrzał go Milanowski, przypuścił więc konia, jakby w takt żywiéj bijącemu sercu i w lot stanęli na miejscu.

— Jest Pan w domu? zapytał Żegota, zsiadając z konia, jednego z licznéj służby uwijającéj się na dziedzińcu.

— Jest, odpowiedział ten, zdziwiony na widok Żegoty; bo wszędzie wiadomą była nienawiść jego wzajemna z Kasztelanem, a tém bardziéj w samym tym dworze; służący więc wbiegł pędem do pałacu, i gdy tam uwiadomił o zjawieniu się takiego gościa, Kasztelan zmieszany nagle, nie wiedział co począć. Siedząc w głębi pokojów obszernego swego domu, nie widział przyjeżdżającego; gdyby był dostrzegł, kazałby pewnie zatarasować bramę; możeby ją natenczas Żegota szturmem zdobywał, lub przez jaki wyłom w ostrokole wedrzećby się do fortecy starał... Lecz teraz było po czasie, bo nieprzyjaciel już był w środku... i słychać go było wstępującego męzkim krokiem po wschodach, a nareszcie przechadzającego się po gościnnéj sali, i rozkazującego po kilkakroć lokajom, aby o jego przybyciu panu donieśli.

Kasztelan więc zbierał na prędce w głowie myśli i projekta; nakoniec zdało mu się, że stanął na najlepszym, to jest, aby się nie widzieć z nienawistnym gościem. Kazał więc przywołać wodza gwardyi swojéj, choć już ze stopy wojennéj zeszłéj, a raczéj podręcznego do wszelkich funkcyi dworzanina Mieleszkę, i gdy ten przyszedł: Wyjdź Wasan, rzekł mu, do tego *banity* Milanowskiego, który tu niewiem po co wpadł *insperate*, i powiedz mu, żem chory i widzieć się z nim nie mogę; a jeśli ma jaki do mnie interes, to niech Waści opowie, lub może ze mną skommunikować się listem... Ale słuchaj! drzwi za sobą na klucz spuszczaj... i poczynaj sobie z nim uważnie... i ostróżnie. Nie dawnoś Waść w tych stronach, więc nie znasz jeszcze tego szalonego *subjectum!*

Mieleszko skłonił się, ręką na szablę swą wskazał i wyszedł do sali; tam powtórzył Żegocie wyrazy swego mecenasa.

Łżesz Waćpan, odrzekł mu surowie Milanowski, a łgarstwo nie przystoi szlachcicowi, bo rozumiem, że takim jesteś gdy szablę masz u boku. Kasztelan zdrów, tak jak ja i Waćpan.

— Ja sam dobrze wiém, odpowiedział z równymże humorem Mieleszko, co szlachcicowi przystoi a co nie, i nauki w tém nie

potrzebuję. Pan mój powiada że chory, więc ja wierzę, a pulsów jemu nie macam, bom nie doktor.

Żegota pokręcił wąsa, i chrząknął po swojemu; obraziła go hardość dworaka, ale miarkował się pamiętając na instrukcyę Rupejki.

— Mniejsza o to, rzekł, nie z Waćpanem rzecz; proszę tylko pójść do pana Kasztelana, który ze strachu może i doprawdy zachorować, i powiedzieć mu, żeby śmiało wyszedł do mnie, bom nie przyjechał tu kłócić się z nim, ani przypominać mu *wieszniańskiéj* potyczki; znajdziemy na to inną porę. Przybyłem zaś w interesie mego przyjaciela, pana Podczaszego Rupejki, i kilka słów mam tylko powiedzieć panu Kasztelanowi; ale jemu samemu, koniecznie w oczy. I choćby mi tu przyszło siedzieć ruski miesiąc, to doczekam kryzysu téj jego wilczéj choroby, a obaczyć się koniecznie muszę.

Mieleszko z takiém poselstwem poszedł znowu do Kasztelana.

Tymczasem, wejrzawszy z oficyny kuchennéj przez okno na dziedziniec, znajomy nasz rycerz *Mateuszas*, postrzegł i poznał *Poroczkę* i *Norejkę*, a nie mogąc wstrzymać chętki pogadania z nimi, wyszedł ku nim, i kręcąc głową:

— Ok Jeezus! rzekł, Panie Poroczka, a Waćpan tu! Oj będzie rydel w robocie, będzie! Jaki z Waspana upior! tfu!... prydę, prydę o pół nocku mówiłeś, i skręcę głowę waszemu panu; a czy przyszedłeś? tfu! A on nam na jutro po pięćdziesiąt fuchtelów wlulić kazał za Waspanów. Oj! oj! a gdybyś dotrzymał słowa!!!

— No, wybaczaj Mateuszas; zapijem kiedyś tę sprawę; a gdzież twój towarzysz Szuciłło?

— Nie ma jego we dworze; on dziś na służbie, konie pasie.

— To taka wasza teraz żołnierszczyzna?

— At, Waspanom kce się wszystko wojować! Mi sobie teraz odpoczywamy, spokojnie kleb jemy i Pana Boga kwalim, za grehi pokutujem, po odpustach kodzim a z kolejki każdy na służbę idzie kto konie pasie...

— Kto bydło pasie, odpowiedział Norejko śmiejąc się.

— A niek Pan Bóg broni! nie, konie to co inszego, to żołnierska sprawa, a bydło to pastuska. Na służbie kto konie pasie, kto przy kredensie półmiski liże, kto pry kukni pieczenie kręci... Ot i ja dzisiaj do kukni wykierowałem się; kręcąc, kręcąc pieczenie dla panów, to i sobie kawałek przykręcisz. Ha! ha! ha!

— To ty dziś jak niedźwiedź pana Wojszwiły.

— Ok Jeezus! niedźwiedź pana Wojszwiły! Czy to prawda, że on raz kukcika na rożen wsadził, spiek i zjadł

— Prawda, prawda, a wiesz ty jeszcze czém on jego dzyngował?

— A czém? da zmiłuj się panie Poroczka, powiedz.

— Mateuszas! do pałacu! zawołał w tém przebiegający lokaj i wpadł do oficyny.

— Czémże niedźwiedź kukcika dzyngował? pytał ciekawy Mateuszas; ale Poroczka i Norejko zwrócili uwagę na to zawołanie, a tymczasem posłaniec wywołał jeszcze kilku służących, a biegnąc z nim mimo, powtórzył znowu: Mateuszas do pałacu!

— Cóż to znaczy? rzekli oba razem zdziwieni i niespokojni lózaki.

— He! he! he! rzekł odchodząc Mateuszas, pewnie pana Żegoty w niewolę brać będziem, tak jak waspana, panie Poroczka, pod Wieznianami, he! he! he! a potém rozpowiesz mnie waspan, czém on jego dzyngował? I odszedł śpiesznie za drugimi.

— A ja mówiłem: *I kłoni krytys, sausas ne kelsy*, rzekł Norejko do kolegi. Tu na coś niedobrego zanosi się; ruszaj bratku do pana, ja zostanę przy koniach i oglądać się będę na wszystkie boki.

W pałacu, Kasztelan dowiedziawszy się z ust Mieleszki o rezolucyi Żegoty: A to mi djabli nadali takiego gościa! rzekł. Słuchaj waćpan, takiéj załogi i takiéj zniewagi w domu własnym ścierpieć nie mogę, a widzieć się z nim tém bardziéj nie chcę teraz, boby on się chwalił, że strachem na mnie to wymógł. Posyłaj więc natychmiast po kilku ludzi i postaw ich za drzwiami, a sam wyjdź tam do niego i powtórz mu toż samo coś powiedział, a nareszcie powiedz bez ogródek, że widzieć się z nim nie chcę, i że kiedy uparcie zechce tu siedzieć, to że masz ludzi za drzwiami, którzy go jako *intruza* wyprowadzą z mego domu, co i bez ceremonii proszę uczynić, jeżeliby inaczéj wyprosić się nie dawał.

— Ciężki to jednak rozkaz dajesz mi JW. Pan rzekł pokręcając głową Mieleszko.

— Masz waść przecię rozum, i masz ręce swoje i moich ludzi . . . Użyj najprzód pierwszego; bo burda w każdym szlacheckim domu, a tém bardziéj w senatorskim nie przystoi; ale gdy głową nic nie poradzisz, to już natenczas użyjesz rąk, a wina padnie na turbatora *securitatis publicae*.

Posłano więc, jakeśmy to widzieli, po ludzi do oficyny, co obudziło baczność lózaków Milanowskiego, i skupiwszy ich razem z pałacowymi lokajami, postawiono za drzwiami prowadzącemi do sali, w któréj się znajdował Żegota.

Kasztelan odchodzącego Mieleszkę zatrzymał jeszcze i rzekł: Masz oto arkusz papieru i kałamarz z piórem; kiedy zechce niech swój czy cudzy interes, w którym tu przyjechał, napisze, a ja dam potém rezolucyę, czy jemu, czy temu kto mi takiego szalonego nadał posła.

Wszedł więc znowu Mieleszko do Milanowskiego, rzucił z ukosa okiem na Poroczkę, stojącego pod oknem dla dania w potrzebie hasła Norejce, i pomyślił: Oho! ciężko będzie dwóch takich Goliatów gwałtem ztąd wyprosić.

— No a cóż? skwapliwie go zapytał Żegota.

— Toż samo co i piérwéj, Mości Dobrodzieju.

— Pan Kasztelan tu nie wyjdzie?

— A nie wyjdzie, i kazał mi to Jegomości oświadczyć bez ogródek.

— No, to ja pójdę poszukać go!

— Z tego nic także nie będzie! rzekł zastępując ode drzwi Mieleszko i zamykając je na klucz, a klucz chowając do kieszeni szérokich swych kozackich karmazynowych szarawarów.

— Czy nie waść mi zaprzeczysz? albo te wasze dawniéj tchórze huzary, a teraz pastuchy, których za drzwiami postawiłeś?

Poroczka bowiem ostrzegł pana o zwołaniu służby do pałacu i opowiedział teraźniejszą kondycję huzarów, a wejście ich hurmem do przyległego pokoju, dające się słyszeć w sali ostrzegło o napaści czy o zasadzce.

— Juścić nie jesteś pan Samson, abyś kilkunastu zwyciężył, odpowiedział Mieleszko, a i ten Jegomościn Goliat znaleść tu może Dawida. Ale pytam pana, na co mu tak koniecznie potrzebna prezencya Kasztelana, że o nię, jakby po tatarsku dom jego nachodząc, dobijać się chcesz? Masz pan doń interes własny czy cudzy? oto papier i pióro, pisz Jegomość, a Kasztelan przeczyta i da rezolucję komu należeć będzie, bo kazał mi to panu zaręczyć.

— Da rezolucję... da rezolucję! mówił namyślając się Milanowski. Ale czy da satysfakcję?

— Jak to mój Dobrodzieju, przerwał Mieleszko, czy to ma być pojedynek?

— A tak, pojedynek?

— A mój miły Dobrodzieju! wykrzyknął on, A ściskamże stopki pańskie! a chwałaż Bogu! A *daj samże go tu! daj sam! daj sam!* Tak wykrzykując radośnie, Mieleszko okręcał się na jednéj nodze, składał się ręką w powietrzu jakby na różne cięcia, podjeżdżał, przysiadał kokoszył się rozmaicie, jakby w zajadłym pojedynku, wołając bezustannie: *A daj samże go tu! dajsam! dajsam!*

— Panie bracie! czyś ty sfiksował? rzekł Żegota patrząc z zadziwieniem na te sztuki Mieleszki. Z czego tak się cieszysz? Dajmy żeś gracz i ochotnik do korda, to wszakże ten pojedynek nic do ciebie należeć nie może. Ja przybyłem tu, jako uproszony przyjaciel od pana Podczaszego Rupejki, abym się u pana Kasztelana dopomniał o krzywdę jego honoru szlacheckiego, któréj się dopuścił Kasztelan, traktując go onegdaj we własnym swoim domu obelżywemi słowy, a po prostu mówiąc, abym go wyzwał na pojedynek z Rupejką, a zatém . . .

— A zatém, przerwał Mieleszko, interes pański skończony; przyjmuję ja w imieniu Kasztelana wyzwanie pana Podczaszego Rupejki. *Verbum nobile*, że będzie on miał satysfakcję. . . *Daj sam go tu! daj sam! tatuleńku daj sam!*

Milanowski zmierzył uważnem okiem od stóp do głowy tę oryginalną figurę. Smagława statura, wąs czarny zawiesisty, kresa przez łysinę, oko żywe i pełne, szyja długa, jedwabną zieloną chustką niedbale obwinięta, kurtka na opasce, i szérokie karmazynowe aksamitne rajtuzy, ściśnięte u pasa rzemiennym pendentem, zapiętym na srébrną blachę, na któréj cyfra królewska S. A. R. wyzłacana jaśniała, i nakoniec szabla u boku. Wszystko to rozważał pilnie Żegota, obchodząc go dokoła, a jednak nie mógł z pewnością pomiarkować kogo miał przed sobą i jakiego animuszu, jakiéj kondycyi i funkcyi był ten człowiek. Nakoniec, po niejakiém milczeniu, rzekł:

— Słuchaj panie bracie, djabli cię wiedzą czego ty chcesz i co ty myślisz z twojém *Dajsam!* z twemi łamańcami i z twoją mową ni w pięć ni w dziewięć! jednakże zjesz kata, nim mnie obałamucisz . . . Możeś ty jeden z takich, którzy z szabelki żyją, a czepiając się wielkich panów i za nich łba własnego nadstawiając, klecą sobie fortunę, a przynajmniéj mają chleb powszedni. Ale tu się potrójnie okpisz, panie bracie; bo najprzód pan Kasztelan musi sam swoją personą stanąć na placu, naprzeciw uczciwego i powszechnie szanowanego szlachcica, którego skrzywdził; zastępstwa żadnego nie

przyjmiemy. A jeśli nie wyjdzie... plac ostrzelamy... Waść wiesz co to znaczy... i do spotkania! Powtóre, jako szlachcic, możesz sekundować swojego mecenasa; a ja będę sekundantem mojego przyjaciela Rupejki, więc kiedy zechcesz, to nasze pryncypały po sobie... a my po sobie... Możesz zatém dostać drugą kresę po łysinie, ale *gratis*, i tu znowu będzie trzecia omyłka, bo Kasztelan nic ci nie da, i nie będzie za co, gdy weźmiesz guza z własnéj ochoty.

Mieleszko wysłuchał cierpliwie téj perory, pokręcając tylko głową i rzekł:

— Mój dobrodzieju. *Ksiądz z ołtarza, pisarz z kałamarza*, a biédny szlachcic z czegoż? Więc dajmy na to, że i zgadłeś Jegomość po części moją funkcyę, to cóż w tém złego? toć wprawdzie *krwawo* na chleb zarabiam. Więc i nie dziw, że przeczuwając robotę człek się rozochocił... A czyj się tu łeb nakresuje, Pan Bóg to wie! dość że ja przyjąłem wyzwanie w imieniu pana Kasztelana, i odniosę mu one wnet; więc powtarzam tylko prośbę o czas i plac... a *Dajsam!*

— To się znaczy panie bracie, że gdy ci się nie udało wystraszyć gościa, więc się go chcesz gładko pozbyć, a co gorsza, mówił Żegota patrząc niedowierzająco na szlachcica, powiem otwarcie, że ci Judasz z oczu wygląda!... Gotowyś ustne moje wyzwanie połknąć, i mówiąc czy nie mówiąc o niém Kasztelanowi, przybyć potém sam jeden na plac, oświadczyć, że Kasztelan o wyzwaniu nie wie, i sam się panu Rupejce za adwersarza ofiarować, a mnie na dudka wystrychnąć. Niebezpieczny to plan, panie bracie, jeżeli go masz; a mieć możesz, bo byłem niejednokrotnie świadkiem takiéj praktyki, przez ludzi twego rzemiosła nastręczanéj; a chociażby ci tam za taki figiel nie z pałaszem spotkać się przyszło... ale cóż nam potém? Tybyś właśnie swego dopiął; boby Kasztelan musiał tobie dać na kamforę; a nasz pojedynek rozchwiałby się po błazeńsku!... Ale panie bracie, włócząc się ty po świecie, i nie w jednéj szkole, jak uważam, ucząc się *sapiencyi*, musiałeś słyszeć ruskie przysłowie: *na chytrość jest mudrość*, otoż tak zrobiemy: Nie chcę gwałtem dobijać się do pana Kasztelana, bo powinienem to moje honorowe poselstwo odbyć dokładnie; chociaż po takiém mnie przyjęciu wszelkie uwagi i względy na bok by odrzucić należało, i powinienbym wzajemnie po tatarsku, jakeś waść powiedział, skwitować za politykę dygnitarską. Napiszę więc wyzwanie i oddasz

pismo moje panu Kasztelanowi. Pisma jak słowa nie będziesz mógł skręcić, bo *verba volant scripta manent;* nie przyjmiemy zatém ekskuzy, że go nie odebrał, gdyż je piszę we własnym jego domu, na własnym jego stole, oddaję pisanie moje szlachcicowi, jego dworzaninowi, a podpiszę... podpiszę dobitnie... Waść zaś, panie bracie, w téj całéj sprawie *respice finem!* I zasiadł do pisania.

Mieleszko, skonwinkowany na wszystkie boki i w tém co myślał, i w tém czego może i nie myślał, stracił rezon, stał spokojnie, przygryzając tylko paznogcie i rozważając słowa Żegoty. Podpiszę dobitnie, coby to znaczyć miało? *Respice finem?...* Oj, tak, będę uważał i pilnował końca, bo on gotów *in fine* jakąś sztukę pokazać...

Żegota tymczasem pisał, ale powoli i jakby namyślając się nad każdém słowem, a między przestankami rzucając niedbale pytania Mieleszce.

— A dawnoś tu, panie bracie?

— *Ante tres mensas*, odpowiedział Mieleszko, rad się pochwalić ze swoją łaciną.

— Ha! toś nie był z Kasztelanem na konfederackiéj wyprawie; możeby huzarowie jego tak szpetnie nieuciekali, gdyby niemi taki *Dajsam* dowodził.

— Któż to wie, jakby było? któż to wie? odpowiedział przez zęby Mieleszko, a myślał: Cóś on długo pisze, a tylko dwa wiersze dopiéro napisał... I podniósł się na palcach, zaglądając przez ramię Żegoty na papier.

— A czego Waspan zérkasz na to co mój pan pisze? odezwał się niespodzianie Poroczka.

Nagły ten głos, gruby jak żubra, zdziwił i skonfundował Mieleszkę. Odskoczył on w tył. Ozierając się nań Żegota rzekł: Na co ta wczesna ciekawość, panie bracie? wszakże oddam na twoje ręce to pismo, więc je i przeczytasz.

— To nic panie dobrodzieju... ja tylko chciałem, nieprzeszkadzając panu... obaczyć czy prędko pan skończy, mówił jąkając się Mieleszko i zjadliwym wzrokiem rzucając na śmiejącego się Poroczkę.

— A czego ci tak pilno?... Wieleż odbyłeś w życiu pojedynków, panie bracie?

— A kto ich tam zliczy?

— Musisz mieć dobrą szablę, i pewnie nie jednę? Jakąż teraz głownię masz przy boku?

— Wyszynka, mój dobrodzieju, prawdziwa wyszynka, ale odpowiadając pomyślił: Oho, o szabli mowa, baczność!

— To dobry gatunek, mówił Milanowski, chociaż bywają kruche. I dalej rzekł powstając: No, oto masz, panie bracie pismo moje, które proszę oddać panu Kasztelanowi; ma tu on oznaczone sobie miejsce spotkania pod Kołtynianami, przy okopach szwedzkich, znajome wszystkim na całej Żmudzi; ma dozwolenie przyprowadzić z sobą przyjaciół, wielu zechce, bo i my nieskąpo ich przyprowadzim; ma nakoniec tydzień od dziś dnia czasu, na ułożenie interesów i napisanie testamentu.

— Aż tak! rzekł zdziwiony Mieleszko.

— A to Waść, panie bracie, przywykły widać do pojedynków kończących się na dzbanie!

— Bywało i tak i owak, mój dobrodzieju.

— No, a teraz pokaż mi swoją wyszynkę, rzekł Żegota.

— A to na co? zapytał niespokojnie Mieleszko, odstępując w tył kilka kroków.

— Ot, lubię broń i mam nieszpetny arsenalik. Jeżeli twoja wyszynka mnie się podoba, możemy uciąć facyendkę, w której przydatek nie z twojej, panie bracie, będzie kieszeni.

Pokuszony Mieleszko chciał już wyjąć szablę z pochew, ale nowe podejrzenie... A nuż on weźmie z rąk szablę i nie odda... rozbroi, a potém co zechce to zrobi, i jeszcze drwić będzie?...

— Nie, mości dobrodzieju, odpowiedział więc, nie mogę handlować mojej wyszynki, bo i głownia przednia, i osada dobrze mi do garści przypada, a pan wie, że na tém grunt kiedy przychodzi machać gęsto...

— Ho, ho, panie bracie, mówił znowu Milanowski, nie wyszynka u ciebie w pochwie, ale rożen od pieczeni być musi, gdy jéj nie chcesz pokazać. No, to przypatrz się mojemu pałaszowi, warto, zaręczam. Wiedz bowiem panie bracie, że mój antenata pod Wiedniem głowy nim Turkom zmiatał.

Dobył więc, można śmiało nazwać, miecz swój, prosty, długi, széroki.

— Patrz!...

Lecz Mieleszko niechętnie, krok naprzód i krok w tył stawiał.

— Cóż u djabła? zawołał ze śmiechem Żegota, a to Waść, panie bracie, tchórz wierutny! *daj sam! daj sam!* a do poczciwéj szlacheckiéj i chrześcijańskiéj broni zbliżyć się nie śmiesz. Czy rozumiesz że cię zetnę? wstydź się!...

Mieleszko nie był zapewne tchórzem, ale ostróżnym, a nie mogąc przeniknąć czém może zakończyć Milanowski, tém podejrzliwiéj patrzał nań, gdy on nagi miecz miał w ręku; lecz zbliżył się nakoniec, i przypatrywał się ciekawie.

Sino-ołowiane, wężowéj barwy żelazo, zdradzało hart swój błyszczącą gdzie niegdzie gwiazdką, jakby iskrą przysypaną popiołem, a gotową sypnąć żarem od piérwszego ciosu... Na takiém tle bladém jaśniał przy rękojeści, złotem nabity, krzyż podwójny, ze starożytnym z gockich liter podpisem: *In hoc signo vinces.*

— Patrz, Panie bracie, mówił Żegota, jaka to święta i mądra sentencja: *In hoc signo vinces;* to znaczy *krzyżową sztuką płataj!* Zatém i ja inaczéj się nie biję. Uważaj!...

Tu odstąpił kroków kilka aż ku końcowi długiego stołu, przy którego środku dotąd oba stali, i mgnieniem błyskawicy wywinąwszy krzyża w powietrzu, spuścił ostrze całym ciężarem potężnego ramienia wzdłuż po twardych słojach dębowego stołu... odszczepiona ćwierć dyla z łoskotem upadła na podłogę.

Mieleszko osłupiał... ruszał tylko ustami, ale nic wymówić nie mógł...

— A co? zawołał śmiejąc się Żegota, *daj sam* go tu! *daj sam!*... Mówiłem ci *Respice finem.* Otóż masz *finis* dobitny do mojego pisma, a szczególniéj, panie bracie, masz przestrogę dla siebie, że jak *in fine*, podrwisz głową w téj sprawie, i zechcesz figlami mądrości swojéj zasłonić Kasztelana, to ćwierć z ciebie, jak z tego stołu odwalę. Bądź zdrów. I wyszedł.

Jeszcze Mieleszko nie mógł się opamiętać, gdy wbiegł Kasztelan.

— A co wyjechał? zapytał on żywo: Co tu za huk stał się? jakby co ciężkiego na podłogę spadło.

— Ot, co spadło, przemówił Mieleszko podnosząc kawał stołu.

— Jakto, porąbał stół?

— No, no, panie dobrodzieju! no, no. A niech go wszyscy djabli wezmą!... Nie zapomnę ja nigdy!... oto *mach!* kiedy *mach!*... ale oto pismo do Pana.

— Dawaj! nacóżeś mu dozwolił stół rąbać?

— Oho, Jaśnie Wielmożny Panie! niech go tam jasny piorun trzaśnie! Oho ho! oto *mach*, kiedy *mach!*

Kasztelan nie słuchał już tych nieźwięzłych i nieporządnych wykrzyków przerażonego Mieleszki, który z podziwienia i trwogi nie tylko zupełnie upadł na sercu, ale nieobecnego nawet Żegoty jeszcze się lękał.

Kasztelan przebiegał podane sobie pismo, i za każdém słowem coraz mocniéj się czerwienił; nakoniec, drżąc, z zapamiętania i złości:

— Gdzie ten banita, wrzasnął, wyzwanie! i w tak obelżywych wyrazach i warunkach? Gdzie on? Napadł na mój dom! porąbał stół! *violator!* i śmie jeszcze takie niegodziwości pisać!!!

Nie wiemy wyrazów tego biletu wyzywającego, lecz zapewne Milanowski, obruszony nieukazaniem się Kasztelana jakby nową poniewierką, nie zachował w nim zalecanego przez Rupejkę umiarkowania; dla tego widać długo się namyślał pisząc, i dla tego tak głęboko dojął nim kasztelana, że ten czytając i wściekając się ze złości, krzyczał:

— Gdzie on? gdzie ten banita? rozbojnik! kryminalista!...

— A ot jeszcze na dziedzińcu, przybiera się do wsiadania na koń, rzekł Mieleszko, spójrzawszy przez szybę.

Milanowski bowiem wyszedłszy z pałacu, aby nie rozumiano że się śpiesznie unosi i ucieka zrobiwszy awanturę, zaczął naprzód baraszkować ze swymi lózakami, potém zatrzymał jakiegoś starego kredencerza przewlekającego się przez dziedziniec, i z nim gawędził trzymając już konia swego za cugle...

— Jeszcze na dziedzińcu? wrzasnął Kasztelan, Hej! biedz i zamknąć bramę!... Mieleszko! biegaj z ludźmi...

Jakoż Mieleszko skinął na ludzi, aby wypełniali rozkaz pański, ale sam nie śpieszył się..., a tymczasem już i Żegota siadł na konia, co przez okno postrzegłszy Kasztelan, i widząc że lud jego wysypał się wprawdzie na ganek, ale nim się namyśli zastępować mu drogę, Milanowski będzie za bramą, w niepohamowanéj zapalczywości otworzył okno i krzyknął na całe piersi:

— Stój Banito! stój!...

Żegota odwrócił konia postępującego wolnym krokiem ku bramie.

— Rozbojniku! krzyczał Kasztelan. Na! to twoje wyzwanie! odwieź Rupejce, takiemu jak ty sam bezczelnikowi! Masz! . . . Podarł w szmatki pismo, i cisnął przez okno na wiatr.

To nagłe ukazanie się nieprzyjaciela ze srogą obelgą na ustach, to podarcie i wyrzucenie z wzgardą pisma, uderzyło jak ognistym grotem Żegotę. Nie myśląc już więc ani pomnąc co robi, wyrwał pistolet z olster . . . Kasztelan postrzegłszy giest ręki, uchylił się od okna . . . a w tém Żegota wypala . . . i kula w mosiężnéj grubéj blasze, pokrywającéj zamek u drzwi na przeciw okna będących, uwięzła *).

Rozruch i gwałt zrobił się niesłychany. Kasztelan zbiegł na dół i ukazał się na ganku, prąc ludzi i Mieleszkę, a krzycząc:

— Łapać! łapać kryminalistę!

Ludzie wszakże posuwali się leniwo! a Żegota uradowany w duchu widokiem Kasztelana, zawołał:

— A gdzież kryminał? przecież żyw i zdrów jesteś, a ja cię tylko ostrzelałem, jako nieprzyjmującego wyzwania, co i na placu powtórzę.

A że Mieleszko naglony przez Pana, podsuwał się z ludźmi, więc dobył pałasza i zawołał doń:

— *Respice finem*, Panie *Dajsam!*

Mieleszko na to zawołanie stanął, a ludzie iść nie chcieli, bo i Poroczko z Norejką jadąc stępo za Panem swoim, dobyli także szabel.

Kasztelan więc napróżno wrzeszczał, łajał i hałasował; Żegota był już za bramą, a Mieleszko na pożegnanie odważył się wreszcie krzyknąć:

— A niech cię jasny piorun trzaśnie!

Tu czytelnik niech się cofnie myślą do sceny na rynku Szyłelskim rozpoczynającéj tę powieść, bo tamta była skutkiem teraz opisanéj. Kasztelan w srogim gniewie i złości, wypędził tejże godziny Mieleszkę, na którego męztwie brzydko się zawiódł. Lecz wkrótce gdy się opamiętał, rozmyśliwszy się spokojnie nad tém wyzwaniem, poznał, że lekceważyć go nie należało. Nazujutrz więc wybrał się do pana Podkomorzego Szemiota, i zagaił tam propo-

*) Prawdziwe.

zycyę opisania się w sporach do processu prowadzić mogących na kompromiss, na pana Szambelana Zaleskiego; co z ochotą przyjął Szemiot, a wśród kielichów pojednawczych zaproszony pan Podczaszy Rupejko, zgodził się na przystojną i w liczném obywatelskiém gronie powiedzianą sobie deprekacyę Kasztelana, a tak przez przyjaciół sformowaną i ułożoną zawczasu, że samego Kasztelana nie nadto ambarasowała: zgodził się zaś tém łatwiej, że wiedząc jak Żegota zakończył wyzwanie, za główny warunek zgody położył wzajemne przez Kasztelana zaniechanie wszelkich protestacyi lub prawnych kroków i zapomnienie wszystkiego co się stało. Na ten warunek Rupejki skłonił się chociaż po mocnym oporze Kasztelan, bo inaczéj Rupejko pod *Kołtyniany* zapraszał. Więc lubo kroków prawnych przyrzekł nie rozpościerać za tak wyrazistą *violencyę* swojego domu, a nie rozpościerałby i bez tego, bacząc na mowy ludzkie, które go by śmiesznością okryły, że jak wprzód całą swą huzarszczyzną, tak teraz całym dworem nie mógł dać rady jednemu Żegocie... wcale jednak nie przebaczył mu w duszy, i owszem, przemyślając nad sposobami zemszczenia się, umyślił i osnował napad wykonany jakeśmy to widzieli w Szyłelach, a zakończony zupełną klęską napastników.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Dzisiejszym młodzieńcom, mającym zamiary wstąpienia w stan święty małżeński, i rozmyślającym nad wyborem najłatwiejszych ku temu środków, dam radę, zda mi się bardzo pożyteczną, bo wypływającą ze znajomości tegowiecznych obyczajów i powszechnego dziś prawie w takich okolicznościach celu, a usuwającą te nudne i kłopotliwe starania, zabiegi, swatowstwa, te *fac similia* miłośnych zapałów, które wszystkim przebywać i ponosić przychodzi dla próżnéj przyzwoitości, tém trudniejszéj dla młodzieży emancypującéj się teraz właśnie z pod wszelkich przymusów, i takich nawet, które dawniej miłość lekkiemi i pożądanemi czyniła.

Nastręcza tę radę kochany nasz Zabłocki w którejś ze swych komedyj. Tam jeden z ubiegających się o rękę pięknéj i bogatéj dziedziczki, gdy rywale jego, romansowemi idący drogami, między nadzieją i bojaźnią nie mogą swego zgadnąć losu . . . on zbliża się rezolutnie do tajemniczego bóstwa, i jedném wierszem, jak jedném cięciem, rozwiązuje gordyjski węzeł swego przeznaczenia.

„*Pani masz rękę, serce, proszę o pieniądze.*" Formuła, jak to widzą czytelnicy, bardzo zwięzła, szczéra i prosto do celu wiodąca, a właściwiéj, zda się, dla naszych czasów i obyczajów ułożona, niżeli dla owych przed kilkudziesięcioletnich, w których żyli i żenili się rodzice nasi, w których miłość poczciwa a prawdziwa wiodła szczęśliwe pary do kobierca, a powszechne, uroczo rozlane w mło-

dziecczych kołach, jak woń roskoszna wiosennych kwiatów w powietrzu, *zalecanki*, lubego, swawolnego i igrającego z sercami Kupidynka, miały swém godłém i bóstwem.

Zalecanki, słowa tego używam ja na wyrażenie owéj serdecznéj sympatyi pociągającéj wzajemnie serca jednéj płci ku drugiéj, a raczéj na wyrażenie skutków téj sympatyi, objawiającéj się w żądzy i staraniu wzajemnego podobania się. Słowo to lekkie na pozór, daje mi jednak dowód do poważniejszego zastanowienia się nad ideą, którą przezeń wyrazić chcę,

Autor powieścio-pisarz, rozmyślając i studjując obyczaje w okresie czasu, w którym powieść swą mieści, i wspomagając się w téj koniecznéj dla się pracy, to źródłami pisanemi, to nakoniec domyślnością autorską, która jest główną zasadą powieściopisarskiego talentu, gdy myśl swą na obranym przedmiocie zastanowi, wnet się ona rozpromienia wszechstronie, ulata w przeszłość daleką, i potém z biegiem czasu, jak z biegiem rzeki spływa, przemyka jak łodź lekka nurtami niesiona, po przestrzeni pamiątek i wyobrażeń, śledząc i upatrując wszędzie losy i zmiany rozważanego przedmiotu... i tak nakoniec dobiega i wraca do punktu, z którego ją autor w przestrzeń i w przeszłość rzucił... Tym sposobem rozwijają się umiejętną ręką pasma pojedyńcze wielkiego splotu obyczajów ludzkich; i pod takim szczególniéj względem autor pożytecznie pracować może dla ludzkości, gdy obierając jedno tego splotu pasmo, zdobiące go lub szpetne, piérwsze ku naśladowaniu, drugie ku obrzydzeniu ziomkom przekazać będzie umiał: piérwsze w dalszą tkaninę wplecie, drugie wyrwie z osnowy i wątku.

Piękne zaiste powołanie talentu! a w wyborze treści tém szczęśliwsze dla powieścio-pisarzy, że im się dostała najpiękniejsza, błyszcząca, złota nić życia, która z serca jak z jedwabniczego kokona wywija się i wplata w losy ludzkie, nić miłości i wszelkich z niéj zjawień i skutków w dziejach człowieka! Ale też za to i podwójna ich spotyka trudność, która podwójnéj a głębokiéj wymaga znajomości i serca ludzkiego i obyczajów społeczeństwa, aby dzieła ich i utwory najchlubniejsze piętno, to jest piętno prawdy, na sobie miały. Bo gdy inne uczucia i namiętności, raz dobrze odgadnięte, jednostajnym prawie w każdym wieku i czasie objawiają się sposobem, i ani nadają barwy obyczajom i społeczeństwu, ani jéj od społeczeństwa nabierają, a pobudzane i wzburzone jakąkolwiek przyczyną, przewichrzywszy świat i ludzi, nikną potém i na długo czę-

stokroć, w głębi duszy zmordowanego niemi człowieka, lub w głębi zmordowanéj całéj ludzkości, jak żar na dnie ostudzonego wulkanu: to miłość, jak płomień żywotny rodzaju ludzkiego, goreje nieustannie, ożywia świat cały, i jak codzienny pokarm duszy, przylega do wszelkich jéj myśli, wyobrażeń, i z niemi razem przybiera rozmaite kształty, ozdoby i kolory . . . A ztąd coraz to inne wyrazy, sposoby i środki na objawienie swych uczuć i sympatyi wynajdując, coraz to w nową i odmiennego kroju szatę ubiera towarzystwo. Tak każdy okres czasu cechuje się innym, właściwym sobie rodzajem zalecanek, i śledząc za nim, daleko ważniejszych dójśćby można rezultatów, i daleko trafniéj osądzić stan moralny narodu, pod to dochodzenie wziętego, niżeli z rozbioru poważniejszéj na pozór dziejów jego treści; bo tu uwaga ścigałaby i przeglądała usposobienia serc ludzkich, których poczciwość lub zepsucie jest wizerunkiem i dowodem stosownego stanu społeczności, a któréj tajnie najrzeczewiściéj się wydają na zewnątrz, w takich najinteresowniejszych okolicznościach życia.

Sprawdźmy więc naszą teoryję, przypatrując się pięknéj Dosi i rozwiniętym około niéj *zalecankom*, a ztąd wypadkom przedłużającym ciąg dalszy opowiadania naszego.

Dorodna i ładna Dosia wzrosła i wychowała się pod okiem poczciwej matki swojéj, pani Podczaszynéj Uwojniowéj, słynącéj w całéj okolicy za wyborną gospodynię. I była nią w rzeczy saméj; bo gdy mąż, zawzięty prawnik jak o tém namieniliśmy, jeździł bez ustanku po ziemstwach, grodach i rozmaitych kondescencyach, już-to w swoich, już-to w cudzych interesach, ona zajmowała się pilnie całém gospodarstwem domowém i skrzętnie gromadziła talarki; a chociaż mężulo, zwykle goły wróciwszy do domu, dobrą część ich zabierał, lecz że wszystkich schowanek jejmości wyśledzić nie mógł, zostawało więc zawsze trochę, a z tego rósł coraz pękatszy woreczek, zaklęty głęboko gdzieś w skrzyni na dnie, na szlachecki posażek dla Dosi. Jedna też tylko Dosia o nim wiedziała, bo gdy doń coś dosypać przyszło, pani Podczaszyna, wyprawiwszy naprzód z domu pod różnemi pretekstami wszystkie pokojowe dziéwki i resztę młódszych dziatek, szła z Dosią do alkierzyka, dobywała worek, dosypywała z kieszonek skórzanych z boku pod suknią wiszących, jedną i drugą garstkę *musztyniów*, i tuląc czule córkę do

serca: „to dla ciebie, moje dziecko“ mówiła; córka z płaczem całowała ręce matki, a ta rozrzewniona do głębi, i córkę i worek żegnała.

Scena taka powtarzała się razy kilka do roku i rzecz nadzwyczajna! widok pieniędzy najpiękniejsze tu uczucia i najsłodsze łzy pobudzał! Jakaż sprzeczność ze zwyczajnym tego widoku skutkiem! Ale tego skarbu nikt się ani domyślał, a o pannie Dorocie mówiono, że kto ją wezmie, ten wezmie skarb prawdziwy, bo nie tylko dobra i piękna dziewczyna, ale i dobrego *gniazda, jabłko od jabłoni nie daleko pada;* będzie i Dosia taka jak matka, bez któréj pan Podczaszy Korczewski, jużby dawno fortunkę przeprocesował.

Że zaś właśnie w tamtym wieku wzgląd na to przysłowie był na szczególniejszém baczeniu, i gdy jako dziś o ilości posagu panny, tak natenczas o obyczajach domu jéj rodzicielskiego, nim do bliższych przystąpiono oświadczeń, pilnie się wywiadywano; nie dziw zatém, że posiadając te główne zalety, nadobna Dosia, niżeli się opatrzyła na świecie, ledwo na kilku festach obok mamy pokazała się, wnet młodzież rojem ją otaczała, a trzech, jakeśmy to widzieli, niewątpliwych do swéj ręki dostała konkurentów. Każdego z nich wdzięki Dosi ujęły najprzód, ale każdy inaczéj nad swém z nią ożenieniem rozmyślał i innemi powodami się do tego skłaniał.

Najmłódszy *Mejra*, zakochany do szaleństwa, najbliższy sąsiad, a zatém najczęściéj widujący Dosię, śmierć nad jéj utratę przekładał, i równą takiéj miłości nienawiść nosił w sercu dla rywalów, a szczególniéj dla najniebezpieczniejszego, to jest dla Milanowskiego. „Ożenię się z nią lub zginę! Oto cała treść myśli Wincentego Mejry.“

— „Ożenię się z Dosią, dumał sobie Żegota: dalibóg ładna, hoże i zdrowe dziéwczę! Kocham ją szalenie! To mi gosposia w domu! takiéj mi właśnie potrzeba! a będzie poczciwa i rupna jak jéj matka., Pan ojciec pieniacz, ale co mi tam! za reformę prawować się nie będziem, bo posagu nie da, a ja nawet żadnego nie chcę. . . Ejże! a rywale?. . . Ah! wszystkich ich przez kij przesadzę!. . . moja Dosia! tak mi Panie Boże dopomóż!“. . .

Nakoniec, myśli i projekta pana Pułkownika wojsk pruskich poznamy z rozmowy jego ze starym i poufałym, a często nawet zuchwałym sługą jego i powiernikiem.

W pałacu dawniéj wspaniałym, teraz w ruinie, zostały zaledwo zamieszkiwać się mogące dwa pokoje, któremi się pan ze sługą podzielili; w jednym więc z nich wieczorem, Pułkownik zdjąwszy

z głowy perukę i starannie ją na kołku umieściwszy, przeszedł kilka razy marszowym krokiem wszerz i wzdłuż izbę, zapalił fajkę, i usiadłszy w starém szerokiém krześle, gotowym był do zwyczajnéj wieczornéj ze sługą pogadanki lub kłótni, co zależało bardziéj od humoru sługi niż pana. Bonawenturo! zawołał więc.

— Ja, odpowiedział z za ściany głos jakby przedrażniający, bo nosowy i gruby jak Pułkownika.

— A co tam robisz?

— Tabakę!

— A chodź-no tu.

— Zaraz.

Pułkownik całą wielką wypalił fajkę, nałożył i drugą, nim się to *zaraz* ukończyło; nakoniec ukazała się przeze drzwi łysa głowa, i dwie podobniuteńkie łysiny powitały się z sobą.

— A czego? zapytał on.

— Chodź tu, pogadamy.

— Aha! wsunął się natenczas zawiędły, jako i pan jego, Bonawentura, z którego twarzy kwaśnéj i skrzywionéj łatwo odgadłbyś, jak wielki zapas zrzędy i gderactwa miał on w sobie; znosił go jednak Pułkownik, bo jego własnéj niktby nie zniósł, ktoby mu wet za wet oddać nie mógł, a nadto, oba wzajemnego łagodzenia się posiadali sekret.

Długo jeszcze oba milczeli, Pułkownik gęsto puszczał dym z gęby, a Bonawentura bez ustanku świeżą tabaką nos częstował; nakoniec Pułkownik podjął nań oczy i rzekł:

— Myślę żenić się.

— Z Uwojnianką? odpowiedział ponuro Bonawentura i pociągnął mocno tabaki, kiwnął głową i spójrzał złośliwie.

— No cóż ty głową kiwasz? czy to źle?

— Gorzéj będzie mospanie jak pod Kistrynem.

— A cóż ty wiesz jak było pod Kistrynem, kiedy tam nie byłeś?

— Kto wie czy i jegomość tam był? ale jegomość mówisz, że tam było ciężko jegomości; otoż tu byłoby cięższéj... ale że z tego nic nie będzie...

— Jak to nic nie będzie? przerwał Pułkownik, dla czego nie będzie? co ty kpie prorokujesz? Otoż to że będzie! Pan Chorąży, ojciec panny Doroty, powiedział mi onegdaj: daj mi panie Pułkowniku swój majątek i swoje interesa w ręce, a obaczysz jak w rok

puścim z kwitkiem panów zastawników twoich pięknych folwarków. Odpowiedziałem: Dowód to łaski pańskiéj!

Otoż widzisz jak on zna dobrze moje folwarki, więc jak oświadczę, że wszystkie bez excepcyi oddaję w dożywocie mojéj przyszłéj żonie, i z pięćdziesiąt tysięcy talarów darem, to i jéj dam fundusz i jemu zabawkę z zastawnikami. A któż jego córce da taką fortunę? czy ten hajdamaka Milanowski? Cóż on ma? *Berżyłówkę?* at folwark, chat tam jakich ze trzydzieści, i brat jeszcze na tem bodaj nie wypłacony zupełnie. Czy Mejra? a cóż tam ich *Kilpinie?* na kilku braciszków? będzie okolica. A tu u mnie, pani żona będzie panią całą gębą... finfa braciszkowi memu, panu Kasztelanowi, który czeka jak kania deszczu, aż ja nogi zadrę; bo trzech synków *hoholów*, na moją fortunę wyhodował. Ale zjedzą kaduka... będę miał własne dziatki... Dosia! he, he, he! odmłodnieję przy niéj!... rozśmiał się i nadzieją tą ukontentował się serdecznie.

— A czemuż nie? rzekł Bonawentura, może być jak w godzinkach *Abizai prawego Dawida grzejąca.*

— *Tausend teufel!* stary ośle! jak ty śmiesz mnie z Dawidem komparować? on miał lat ze sto gdy się do Abizai tulił; a ja... zwyczajnie podżyły... ale nie przeżyły człek! zawołał dotknięty do żywego Pułkownik i tupnął nogą; ale wnet jęknął oj! oj! bo w gniewie zapomniawszy o pedogorze, bolącą stopą o ziemię uderzył.

— Bonawentura zrozumiał, że już niebezpiecznie było drażnić się daléj i urągać z pana; więc zmieniając ton, a znając główną myśl jego, da to i prawda! rzekł, Jegomość choć stary ale jary? Pan Bóg da dziatki... i poprosisz jegomość pana Kasztelana z synkami na chrzciny piérwszego swego syna. Oto wtenczas będzie panu Kasztelanowi finfa! prawdziwa finfa!

— No widzisz, także i mów; na tém grunt! dość jemu i tego co nabrał z mojéj fortuny gdym ja wojskowo traktował! Więc i panu bratu finfa, i żoneczka młoda i ładna! he, he, he, i właśni sukcessorowie!...

Tak sam rozdobruchany, chciał wzajemnie udobruchać sługę, i miał na to także niezawodny sposób. A wiész, rzekł, kto nam ślub będzie dawał? oto nie kto inny, jak waści brat, bernardyn, Ks. *Teopemptus.*

— Da jegomość tylko tak mówisz, a jak przyjdzie do czego, to biskupa zaprosisz! rzekł niedowierzając Bonawentura.

— Nie, daję tobie słowo, nie kto inny jak Ks. Teopemptus.

Wnet zatém rozfałdował i rozweselił czoło Bonawentura, bo brat jego bernardyn, definitor, był jego chlubą na ziemi i nadzieją zbawienia w niebie; każde więc o tym bracie wspomnienie tak mu było miłém, że Pułkownik wzywał zawsze jego imienia, ile razy zrzędę sługi w pochlebstwo sobie chciał zmienić. Teraz więc oba w lepszych humorach, szczęśliwe zamiarom swoim roili nadzieje. *).

II.

W jakimże było stanie, i z jakiém uczuciem serduszko Dosi, względem tych trzech pretendentów?

„*W głowie, w mowie, w myśli, w sercu na kobiercu!*“

Przekładając stosownie wyrazy téj staréj kabały, a któréj stopniowanie dowodzi w układającym ją kabaliście znajomości dróg i kolei, któremi miłość wchodzi do serca i prowadzi do kobierca, wypadną kombinacye, odpowiadające myślom i uczuciom panien na wydaniu, w rozmaitych okresach czasu i obyczajów.

I tak, panowie konkurenci byli u Dosi w *głowie* i w *myśli;* w sercu zaś czy był który nie wiemy z pewnością; bo w owych wiekach kluczyk do serca młodéj dziewicy był zawsze w ręku jéj rodziców: dla narzeczonego tylko odmykano je z lekka i ostróżnie, a oddawali go zupełnie mężowi, gdy z ich córką po ślubie od ołtarza odchodził.

Wszyscy trzéj byli za to w mowie nie tylko jéj rodziców, ale i całéj otaczającéj ją domowéj gromadki, wśród któréj każdy z nich miał życzliwych sobie stronników, już-to troskliwych o przyszłe szczęście swéj panienki, już-to ujętych tajemnie podarunkami lub obietnicami przez którego z konkurentów.

---

*) Powszechnie dawniéj na Żmudzi włościanie byli w stosunkach patryarchalnych z dziedzicami: zamożniejsi oddawali synów swoich do szkół, zkąd najczęściéj wstępowali oni do stanu duchownego, garnąc się najbardziéj do zakonu Bernardynów; lecz i w świeckiém duchowieństwie nauka doprowadzała ich nieraz do wysokich dostojeństw kościelnych i do katedr uniwersyteckich.

I. to była w tamtych czasach zwyczajna prawie droga szlacheckiéj dziewicy do kobierca; droga na pozór zimna, sucha, nie kwiecista, nie osłonięta różami, ale najczęściéj natenczas prowadząca do szczęśliwego pożycia stadła, pod godłem najświętszém i najprzykładniejszém czwartego przykazania zjednoczonego.

Przyszła jednak koléj i na serce, gdy bardzo serdeczny Stanisław August, po pierwszych burzliwych latach swego panowania, miękko, spokojnie i rozkosznie rozległ się na tronie... i łatwy, nie pracowity, nie męzki a chlubnie tylko i pochlebstwu wielce podatny, obrawszy sobie królowania zawód, monarchą opiekunem nauk, mającym sarmacką narodu swego szorstkość ogładzić, i po europejsku go oświecić deklarował się. Po europejsku, to się natenczas znaczyło po francuzku; więc razem z literaturą, z językiem, z książkami, ubiorem, z obyczajami, napłynęły do nas, i francuzkie *zalecanki*, śliczne, gładkie, łudzące, pieszczotliwe, swawolne, zbliżające młodzież ku sobie a usuwające powoli zawady i przegrody, któremi dotąd chłopców od dziewcząt *modestia* przedzielała, niekiedy je tylko wśród hucznéj wesołości przeskoczyć dozwalając.

Zatém stolicę najprzód objęła jakaś jakby atmosfera wonna, rozmiękczająca i upajająca zmysły... Wśród niéj ozwały się pienia poetów, pochlebiające to królowi, to królującym nad królem pięknościom, to erotyczne i pokuszające; to czułe, wdzięczne i słodkie, na które czysta i tkliwa miłość harfę im nastrajała, otworzyły się teatra nietylko w stolicy, ale i po dworach niektórych bogatych magnatów *). Wesołe i romansowe piosenki w łatwych a miłych nótkach rozpływały się z nich po kraju:

Patrzcie bogacze świata
Jak mało człeku trzeba!
Kochanie w młode lata,
Pod starość kawał chleba, i t. d.
Raz na pniu między dębami,
Siedziały w parze turkawki **) i t. d.

i tym podobne, nie uczonemi ale wdzięcznemi głosami śpiewały dziewice, wtórowali im chłopcy. Nakoniec, z tkliwych najtkliwszy

---

*) Teatr w Słoninie u Hetmana Ogińskiego był bodaj najlepszym z prywatnych, bo sam książe był razem i aktorem i kompozytorem muzyki grywanych tam operetek.

**) Początki piosenek z oper tamtoczasowych.

zjawił się Karpiński, i miłość swą ku nadobnéj Justynie rzewnemi i słodkiemi opiewając piosenkami, wszystkie młode serca jakiémś roszkosznèm upojeniem, jakąś tęsknotą zalał... kochać i być kochanemi ośmielił *).

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory;
Tam ja z moją Justyną
Słodkie pędził wieczory i t. d.

O! i pewnie nie jedna natenczas para, za przykładem kochanka Justyny nad potokiem w cieniu jaworów, nócąc te czułe jego wyrazy, wieczną sobie zaprzysięgała miłość...

Nakoniec, w takiém powszechném skłonieniu serc i uczuć, w muzyce zjawił się w ciągu tegoż samego czasu drugi Karpiński... Któż mi zaprzeczy że nim był Ogiński Michał? jego polonezy tak uroczą, tak rzewną, tak niewymównie czystą i rozkoszną razem tchną harmoniją... że słuchając ich człek się w niéj rozpływa, źrenica tkliwą łzą zachodzi... którą młodzieniec nieraz na dłoń kochanki ronił, a starzec zdziwiony swém wzruszeniem, rękawem od kontusza oczy ocierał.

Tak przeniesione ku nam *zalecanki* francuzkie, w stolicy podsycane zabytkiem i miękkością, a ośmielane niedowiarstwem także francuzkiém rozpleniły się tam w rozpustę, zniewieściałość i zgorszenie; lecz po wsiach i po całym kraju trafiwszy na serca poczciwe, i modném zepsuciem jeszcze nie rażone, jak mętne wody przeciekając przez czysty piasek wyklarowały się same, i szczęśliwie przenarodowione, rozbudziły w nich tylko właściwą i wrodzoną charakterowi naszemu czułość, i wdzięczniejszych sposobów objawiania jéj nauczyły.

Wtenczas to znalazły się środki otwierania serduszek dziewczęcych bez kluczyków rodzicielskich... Lecz i w takiém tajemniczem porozumieniu się serc, inny znowu znakomity poeta dał powszechnie wówczas znane, powtarzane i ściśle przyjęte, a miłość z cnotą łączące godło.

A kto jest uczuć zdolny uczciwe kochanie,
Albo już jest cnotliwym, albo nim się stanie **).

---

*) *Amare auso.*
**) Trębecki.

— I dla tego w owym wieku, który wiekiem ojców naszych, tak jak wiek Żegoty wiekiem dziadów naszych nazwać możemy, najczęściéj wzajemna a poczciwa skłonność wiodła pary do ołtarza. Okres ten wszedł jeszcze w piérwsze dni naszéj, dziś już ludzi podżyłych młodości, a jak i na jaki obyczaj w dzisiejszym wieku się przemienił, rozważać i sięgać nie będę; rada moja bowiem dla młodzieży, na początku tego rozdziału napisana, zawiera sens moralny, który jest razem i definicyą terazniejszych *zalecanek*.

Wszyscy trzéj zatém konkurenci Dosi wybierali się z oświadczeniem swych zamiarów i z prośbą do rodziców o jéj rękę. W domu państwa Chorążych Korszewskich przeczuwano także ten attak, i dla tego pani Chorążyna, wybrawszy sposobną chwilę, zagabnęła męża pytaniem, co myśli o postanowieniu córki.

Ale on, który wszystko prócz procesów na jutro odkładał, odprawił żonę kilkakrotnie niedbałém „obaczymy", albo potém, o tém, poradzę się brata, pana Pisarza Ziemskiego Rosieńskiego.

Pani Chorążyna niecierpliwie więc oczekiwała rady w téj najważniejszéj dla niéj okoliczności, a gdy czas upływał i mąż milczał, znowu więc naglić go poczęła.

— Cóż Wasze myślisz? rzekła więc ona, odprowadziwszy go do osobistego alkierza. Gdzież te rady pana Pisarza? razy kilka byłeś w Rosieniach, i nic mi nie mówisz.

— A cóż tam tak pilnego? odpowiedział mąż, czy już pannie Dorocie uprzykrzyło się u rodziców? to niech idzie z Panem Bogiem za kogo chce: „*Kajp pasysłosi, Taip uszmigosi*" *).

— Co to Wasze prawisz swoje *kaip pasyskłosi?* Czy Dosię kto od nas wykradł? niech Bóg tego broni; czy to kochane dziecię nasze nie powtarza mnie zawsze, ile razy o jéj zamęźciu mowa, że nieinaczéj, jak za wolą i rozkazaniem i błogosławieństwem naszém obierze sobie przyjaciela, i że wolałaby raczéj nas nigdy nie odstępować. Więc Wasze woléj poczciwie i po ojcowsku choć raz w życiu nad tém pomyśl, bo ostrzegam, że lada dzień którykolwiek z konkurentów, a może i wszyscy trzéj razem, bo szpiegują jeden drugiego, zawitają tu z oświadczeniem.

— W takim razie moja Imość będę żądał aby mi dali *horę*...

---

*) Jak się pościelesz, tak i wyśpisz.

— A w Imie Ojca i Syna! co wasze pleciesz? przerwała żona, czy sfiksowałeś? prosić *hory?* proś woléj Boga, aby ciebie i dzieci twoje strzegł od *hory*, a zięcia pytaj, czy da dobrą dolę twemu dziecięciu, nie *horę*.

— Waćpani bo mnie nie rozumiesz, po łacinie *hora*, po polsku *godzina*, otoż gdy wszystkie dylacye prawne już się urwą, to jeszcze ostatnie *refugium*, *hora*, *godzina*, któréj sąd niekiedy, i to przy wielkich forsach dozwala, a tymczasem nim ta *hora* upłynie, sąd przystępuje do wołania innych spraw, i tak *hora* przez lat kilka częstokroć się wlecze.

— A dajże mi Wasze pokój z tą swoją *horą!* ani słyszeć chcę tego wyrazu gdy o Dosi mojéj mowa; ale wyrozumiewam, że Waćpan godzisz na zwłókę, a cóż nam i jéj z tego przybędzie? Prawda, dziewczyna jeszcze młoda; ale gdy Bóg zdarza a jest z czego wybierać... i młódsze podrastają, co taki... i taki... tu uśmiech na twarzy macierzyńską chlubę, a jąkanie się, skromność, a może i bojaźń uroków, oznaczały, i taki... będą podobne do starszéj.

— Oho! jaka Imość rozumna, zgadłaś; naturalnie chodzi mi o zwłokę; tak, ale o krótką, trzy latka tylko serdeńku! trzy latka! a potém na kobierzec w Imie Boże. To łaska Boska taka dziewczyna! to łaska Boska! to skarb w domu! na co go więc tak prędko cudzemu oddawać.

— Tak ją bardzo kochasz? rzekła wzruszona a przywiązana do swojéj Dosi matka, to ty ją bardzo kochasz? powtórzyła tkliwie i gładząc męża pod brodę. Ja zawsze myślałam, że ty masz dobre serce i przywiązanie do dziatek... Ale czemuż ty Dosi po ojcowsku nie pocałujesz kiedy, nie pobłogosławisz jéj, nie popieścisz, gdy ją tak kochasz, że z domu nie chcesz puścić; dziewczynaby się rozpłynęła z radości.

— A jakże jéj nie kochać, rzekł Chorąży, kiedy widzisz moja rybko, onegdaj kazałem kosić ową łąkę, o którą się prawuję od lat tylu z Mejrami. Myślałem, że znowu jak zwyczajnie co rok dotąd bywało, przyjdzie do kłótni i bitwy; przykazałem nawet ekonomowi, aby w razie napadu rejterował się, depcząc tylko łąkę z kretesem: kiedy nie nam, to i nie wam, i sam wyglądałem z daleka co się stanie? Koszą moje chłopcy w najlepsze, aż zjawia się i pan Wincenty Mejra z wyżłem i z fuzyą. Pomagaj Bóg! krzyknął podchodząc. Dziękujemy! odpowiedział ekonom. Wtém postrzegłszy on mnie, podszedł powitał bardzo pięknie, i rzekł je-

szcze: „Proszę darować, panie Chorąży dobrodzieju, że łąkę pańską podepczę trochę, ale za to wszystkie bekasy, jakie na niéj „zabiję, odeślę Chorążynie dobrodzice.“ Jakoż pukał a pukał, chodząc ze swoim wyżłem, i gwałtém mi potém wbił, bo akceptować nie chciałem, kilka par dubeltów, które przywiozłem onegdaj imości.

— No, a nie tenże sam Wincenty przeszłego jeszcze roku, napędziwszy gwałt ludzi i swoich i cudzych, skosił tę łąkę i trawę wnet zwiózł do *Kilpin*, a teraz tak głośno, jakby umyślnie powiedział: *„Pańska łąka“* że kośce słyszeli. Oho! toć ja gdy on bekasy strzelał, wszystkim moim koścom krzyczałem nad uchem: *Pańska łąka! Pańska łąka!“* i ekonomowi kazałem przez cały cały dzień krzyczeć nad niemi: *Pańska łąka!* aby im i śniły się te wyrazy, to nie zapomną; *a in casu necessitatis* *) moja dobrodziko, najpewniejsi świadkowie własnego wyznania pana Mejry, że łąka jest moją. Wczoraj nowy cud. Ekonom pojechał po drwa; kazałem aby poprobował szczęścia w lesie dyferencyjnym, o który prawujemy się z Berżyłówką Milanowskich; ależ zaleciłem ostróżność!!!! bo z Żegotą i z jego Poroczką i Norejką, to gorzéj jak z Tatarami. Cóż imość powiesz? w saméj robocie nadciągnął tam Żegota z całą swą psiarnią i chałastrą, mógłby nam wszystkie konie i wozy pozabierać... ale jako żywo! uśmiechnął się tylko i jeszcze ekonoma, po staréj znajomości jak powiadał, z myśliwskiéj torby dobrą wódeczką potraktowawszy, kazał nam uniżenie się pokłonić.

Otoż widocznie Dosia wygrała od razu dwie sprawy graniczne, których ja od lat kilku wygrać nie mogę. Jakże takiéj córki nie kochać!... Ale duszeńku! imosteczku moja serdeczna! trzy latka tylko! trzy latka!... a mówił to błagalnym głosem, wzajemnie gładząc żonkę pod brodę; wydasz ją potém za kogo zechcesz; ale ja tymczasem będę z jednéj strony *ciąć*, a z drugiéj *kosić!*... Panowie konkurenci przeczyć nie będą, a tak używalność i possessya trzyletnia, podług statutu utwierdzi się... Trzy latka serdeńku, trzy latka tylko wytrzymajcie!...

— Tfu! odpuść Boże ciężkie grzechy! krzyknęła poczciwa Chorążyna, i drzwi za sobą zatrzasła.

Mężulo stanął osłupiały, z ręką do gładzenia żony pod brodę wyciągniętą... potém kiwając głową, z westchnieniem zawołał: *O mulieres! mulieres!* po djable *z wami interes!*

---

*) W razie potrzeby.

III.

Na ziemi Berżyłowskiéj Milanowskich, nad rzeką *Okmianą*, jest obszérna i równa łąka, wśród któréj wznosi się wyraźnie ręką ludzką usypana, góra *Pilepiłajte.* Przedchrześcijańcy Żmudzini tak zwali miejsca obrane starannie i naturą lub własną ich pracą przyspasabiane, na których bogom swoim palili ofiary i na które niekiedy, znosząc wszystko co mieli najdroższego, do obrony naprzeciw najścia nieprzyjaciół kupili się.

Góra ta w Berżyłówce jednemu i drugiemu celowi dobrze odpowiadać mogła, bo na wierzchu płaska i równa jak stół, ze wszystkich zaś stron stroma i niedostępna, wpadającym do Okmiany strumieniem i trzęsawiskami otoczona, nie łatwy do siebie dawała przystęp: a była jakby na przedniéj straży od krzyżaków, bo zamek ich *Ragnita*, nad Niemnem o cztéry ledwo mile ztąd odległy. Że zaś była to razem i góra ofiarnicza, prócz podania o tém gminnego, dowodzi jeszcze i nazwanie łąki na któréj usypana *Ałkas* co w języku żmudzkim (Ałas Aukas) znaczy ofiarę, a nadto na wierzchu jéj płaskim i tak obszérnym, że nie mała ludność pomieścić się tam może, stoi, i do dziś dnia czerstwo zielenieje, ze sześć wieków może liczący dąb ogromny, drugi żmudzki *Baublis* *) drzewo jak

---

*) *Baublis.* Sławnym jest na całą Żmudź dąb ten, w powiecie Rosieńskim, w majątku *Bordzie*, obywatela (już zmarłego) Dyonizego Paszkiewicza; nieraz już nawet opisywano go (Dziennik Wileński na rok 1817, tom VI. stronica 502. Dziennik Warszawski na rok 1829, numer 44, stronica 12 i dalsze). Nazwanie to *Baublis* było mu odwieczne, a podanie, jak mi powiadał Paszkiewicz, niosło że czczony był w bałwochwalstwie, jako Bożek i opiekun pszczół i pszczolnictwa. Narbut w swych *Dziejach starożytnych narodu Litewskiego,* (tom I. stronica 193) mówiąc o tymże samym *Baublisie* twierdzi: „Że mistyczne nazwanie tego dębu ma odpowiadać w Żmudzkim djalekcie, nazwaniu tego odgłosu, który byk wydaje, a jakim się ani krowa, ani wół nie odzywa. Widać że to był dąb jeden z wróżących, z którego wypruchniałości wychodził głos wieszczy, podobny do byczego ryczenia.“ Nie wdając się w roztrząsanie, czyli podanie, lub erudycja, na pewniejszéj zapewne znajomości rzeczy oparta, bliższą tu jest prawdy; dodamy tylko, że wroku 1824, będąc na Żmudzi, odwiedziłem pana Paszkiewicza, i piłem herbatę razem z siedmiu mych odwiedzin towarzyszami w *Baublisie.* Stał on i zielenił się wprzód na łące, lecz gdy pastusi wypalili w nim sobie od spodu

wiadome święte w bałwochwalstwie, zasadzone tu zapewne ręką jakiego *Krywejty*, nieprzewidującego natenczas wcale, że szérokie jego konary krzyż kiedyś, godło wiary zwycięzkiéj nad jego wiarą, osłaniać będą. Niewiadomo bowiem kiedy przez kogo, i na jaką pamiątkę wzniesiony, stary dziś i mchem porosły, stoi krzyż pod tym dębem.

Noc letnia, ciepła a nawet parna, ale ciemna i pochmurna, okrywała tę górę i całą okolicę. A była to noc tajemnicza, czarodziejska... podczas którój złe duchy obliczają zwykle roczny bilans swych skarbów, w zakopanéj i ukrytéj w ziemi gotówce, przyjmują od zakamieniałych skąpców nowe depozyta, a wzajemnie niesytym chciwcom odkrywając podziemne swe kassy ze złotem, wypłacają im z góry umówione *quantum* za ich dusze; innym znowu w różnych żądanych talizmanach i czarodziejskich sekretach dają asygnaty na podobnąż hypotekę, na wszelkie światowe rozkosze i sukcessa, i nakoniec ucztują z czarownicami po łysych górach; piją targowe borysze, rozpisują cerografy, i z zapianiem koguta zamykają na cały rok swe konta i bióra. Słowem, była to noc w wigiliję Ś-go Jana, powszechnie za straszną ogłoszona i przyjęta. Wśród takiéj zatém ciemności, człowiek jeden idąc ostróżnie, i grzęznąc za każdym prawie krokiem w trzęsawiskach i krynicach, zbliżał się powoli z jednéj strony do góry, niosąc na ramieniu rydel i siekierę;

---

głęboci loch, do którego podczas deszczu włazili, Paszkiewicz natenczas zdeterminował się przenieść tułów tego olbrzyma do ogrodu. Zwielką więc pracą odkopał jego korzenie, i obciąwszy je. odmierzył w górę pięć łokci i pół pnia, a wydrążywszy do reszty tak, że trzy cale tylko zostało ścian drzewa, przewiózł do ogrodu nakrył ten kadłub, dał drzwi i okienka, polakierował wewnątrz i *Baublis* stał się altanką przeznaczoną na skład starożytności żmudzkich, które Paszkiewicz zgromadzał rozkopując kurhany i okopy krzyżackie, po całéj Żmudzi gęsto znajdujące się. Zkiór ten był nawet dość ciekawym, a umieszczony na półeczkach wewnątrz na około będących. Na środku stolik, z tego samego dębu i kilka zedelków, a tak goście których Baublis często do pana Paszkiewicza sprowadzał, wygodnie w nim pomieszczeni, siedmią wiekami objęci byli i rozpatrywali starożytności tych wieków, słuchając jakby prelekcji samego gospodarza o każdym szczególe. W mieszkaniu pana Paszkiewicza wszystkie drewniane sprzęty, szérokie stoły, ławy i krzesła, z pozostałego ogromnego kloca porobione były, a nadto, krąg z całego dębu spiłowany i wypolitarowany, dozwalał policzyć słoje wyraźnie, a więc wiek dębu. Siedemset kilkadziesiąt słojów, i tyleż lat żył Baublis. Zaczął zatém życie w czasie gdy w Polsce panował Bolesław Smiały, i mógł być rówiennikiem wiązu Sw. Stanisława, ma średnicy ta altanka w Bordziach łokci górą siedm.

z przeciwnéj drugi brnął podobnież i niósł takież narzędzia, a nadto jeszcze i sakwy. Nakoniec, od rzeki Okmiany szedł trzeci, a ten włókł za sobą długą żerdź, podpierając się także rydlem.

Dwóch piérwszych góra przedzielała, trzeci był w środku między niemi, a wszystkich czarna nocna ciemność kryła najzupełniéj Prawie razem stanęli oni u spodu góry, i z bijącém mocno sercem piąć się na nią zaczęli... a podnosząc się coraz wyżéj i czepiając się na oślep krzaków, któremi boki jéj porosłe były lub je łamiąc, sprawili szelest, który wszystkich trzech zarówno doleciał... Osłupieli zatém i stanęli jak morem obwiani... przeżegnali się... znowu cicho i głucho. Więc pną się dalej jak najciszéj, jak najostróżniéj, jak najpowolniéj... im wyżéj, tém są siebie bliżsi... tém wyraźniejszy szelest się powtórzył... natenczas strach przejął każdego aż do serca. Stanęli znowu, drżeli jak w febrze, i nakoniec ustać na zdrętwiałych nogach nie mogąc, przypadli do ziemi... a bez ustanku trzepali pacierze, których ani skończyć, ani zrozumieć sami nie mogli...

Jeden wszakże opamiętał się rychléj od innych; sięgnął do kieszeni, dobył flaszkę, łyknął haust dobry... i wnet męztwo się wzmogło i rozwaga się znalazła. Chwilę jeszcze się zatrzymał, a nic nie słysząc, bo tamci oddech nawet tłumili w piersiach, dopełzał do wierzchu, ale nie wchodząc na płaszczyznę, tak się ulokował, że głowę tylko na niéj położył, i w takiéj ostróżnéj pozycyi warując do skarbu, po który przychodził, jak wyżeł do półmiska, postanowił czekać i pilnować, co się tu dalej stanie?

Wkrótce zaczął rozmyślać i reflektować się... Jeżeli tu jest djabeł, to mam na niego krzyż Pański... mam szkaplerze... byłem w wielkanocnéj spowiedzi... bies nie da mnie rady!... a ja wiem czego on nie lubi... wiem... otoż zaprobuję... *Kukuryku!* zaśpiewał więc naśladując doskonale koguta i słuchał... cicho, znowu pociągnął z flaszy, a gdy w miarę haustów i śmiałość rosła, *kukuryku!* powtórzył, i dodał: *a co biesie, a gdzie ty?*

Na to zawołanie ozwał się głos z drugiéj strony: Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja chwalę, odpowiedział pierwszy śmiało już powstając i idąc ku dębowi na górę; ale kto ty? i po co tu?... w tym głos trzeci zajęczał przewlekle.

— Ok Jezus! wszak to pan Norejko, a ja rozumiał że djabeł.

— I ty tu pijaku *Mateuszas!* a tyż tu po co?

— Po skarb, panie Norejko! po skarb! ale gdzież Waćpan? Oj kwała Bogu, że Waćpan dał głos i odezwał się, bo ja zdekłby już ze straku.

— No któż tam trzeci? odzywa się i chodź tu! zawołał Norejko, bo to on był w rzeczy saméj, i wzajemnie się z Mateuszem po głosie poznali.

— Idę, idę, mój kochany Norejko, odezwał się ten trzeci, to ja, *Druktejn.*

— Pan Druktejn! pan ekonom pana *Mejry!* a, stara znajomość! kłaniam uniżenie! I Waćpan po skarb? oho! wielka nasza kompanija, nie podzielim się, No, ale chodźcie tu obadwa pod dąb, mówił Norejko, a sam już na pamięć tam trafiwszy i krzesząc ogień... Djabeł tu ich nadał, myślał sobie, teraz już skarbu nie wziąć! bo trzeba koniecznie być jednemu, jak ludzie powiadają, a trzem razem nie da się...

Odwiązał potém kilka suchych płonek u rydlowéj rękojeści na zapas uwiązanych, i zapalił je od nasiarkowanéj hubki, co ułatwiło drogę pod dąb niespodziewanym przezeń towarzyszom téj wyprawy.

Przywlekli się więc i Druktejn z długą żerdzią za sobą i Mateuszas z rydlem w ręku, a sakwami na plecach.

— Kłaniam uniżenie, powtórzył Norejko do Druktejna, kłaniam uniżenie. Czy to Jegomość za chléb nasz, co przez kilkanaście lat jadłeś, teraz przyszedłeś skarb nasz wykraść?

— Wasz skarb? dla czegoż wasz? czyście go tu zakopali? odpowiedział Druktejn.

— Nie my, ale Waćpan wiesz dobrze, bo będąc dyspozytorem w Berżyłówce nieraz tu przy kościach stałeś, że ta góra należy do pana mego, a zatém i skarb, który w niéj jest do niego należy.

— Każdy skarb, rzekł Druktejn, gdziekolwiek jest, a co ich jest po świecie, to Boże zmiłuj się! do tego należy komu się pokaże i kto go wziąć potrafi; gdyby ten skarb był pana Milanowskiego, toby już jemu i pokazał się...

— A Waćpanuż pokazał się?... zapytał Norejko.

— Tymczasem Mateuszas chcąc ogień utrzymać i większy podniecić, suchą żerdź Druktejna łamać począł.

— A co ty robisz najlepszego? to miara od dębu gdzie skarb leży! wrzasnął ten zapomniawszy się.

— A w którą stronę, zapytał szybko Norejko.

Mateuszas zaś składając wnet kawałki żerdzi jedne do drugich: No kwałaż Bogu! rzekł, że jeszcze jéj nie spalił.

Ale Druktejn czy postrzegł się, czy rzeczywiście nie wiedział, w którą stronę trzeba było żerdzią mierzyć odpowiedział: Ot co tego to nie wiem.

— Musi być na zakód słońca, bo zawsze na zakodzie czarowniki zakopywają skarby, rzekł Mateuszas, a Norejko wstał, piędzią wszystkie kawałki żerdzi przemierzył i na ogień wrzucił. Z suchego drzewa piękny więc zajaśniał płomień, i całą górę oświecił.

— Darmo tu przyszliście i przychodzić będziecie rzekł Druktejn, siadając pod dębem, nikt tego skarbu nie weźmie, tylko ja, albo syn mój, albo wnuk, albo prawnuk i tak daléj *), póki Druktejnów będzie na świecie; a który z nas dostanie, to syn jego będzie *Dominos* większy od wszystkich żmudzkich *dominosów*.

— Czemuż to syn, a nie on sam?

— Bo umrze zaraz każdy który dostanie ten skarb.

— A niek Pan Bóg broni! nie prydęż ja tu więcéj! wykrzyknął Mateuszas.

— Oho! ho! panie Druktejn, uczciwszy uszy, łżesz waćpan! chcesz tylko wszystkich odstraszyć; nie przyszedłbyś dziś po skarb, gdybyś wiedział, że jutro z pełnemi garściami złota umrzesz. Czy to ten skarb na takie słowo zaklęty? mówił Norejko i śmiał się.

Stary Druktejn patrząc nań smutnie kiwał głową: mój kochany Norejko, mówił potém, znamy się od dawna; tyś był młodym chłopakiem, kiedym ja w Berżyłówce był dyspozytorem u ojca teraźniejszego waszego pana; przecież często natenczas nad uchem słyszeć mogłeś: „poczciwy Druktejnis! poczciwy Druktejnis!“ chwała Bogu, było to sprawiedliwe moje przezwisko. No dla czegożbym na starość, zostawszy łgarzem i szalbierzem, darmo was chciał straszyć i oszukiwać? Cała Żmudź wie, że w téj górze jest skarb wielki, wiedzą nawet piąte przez dziesiąte, zkąd on tu powstał, ale pod jakiem zaklęciem, to bodaj ja jeden wiem tylko.

— I u nas o tém cały dwór rozpowiada to siak to tak, rzekł Mateuszas, a każdy inaczéj, i każdy wybiera się przez cały rok po ten skarb, ale jak przyjdzie pora, to niema ani jednego *zuka*. Szuciłło nawet skrewił. Mówiłem jemu: kodź! kodź bracie! skarb

*) Wszystko z miejscowego podania.

wielki, ja jeden nie pryniosę. A on na to: niek ciebie djabli wezmą i ze skarbem!

— Słyszałem i ja przerwał gadatliwemu Mateuszowi Norejko, skonwinkowany umiarkowaniem i smutną miną Druktejna, że tu była wojna; że na téj górze Żmudzini bronili się, i że wszystkie tu swoje skarby zakopawszy, sami zginęli co do nogi; ale o Druktejnach nic nie słyszałem.

— A od kogoż miałeś słyszeć? chybaby ci dąb ten, który był świadkiem wszystkiego co się tu natenczas działo, rozpowiedział; wiesz to zatém co wszyscy prawią, a ja tylko wiem samą prawdę; jaki to skarb i zkąd on tu wziął się i co się natenczas ze Żmudzinami stało, i nakoniec, że nie kto inny jak Druktejn do niego się dobierze, kiedy przyjdzie czas na to...

— Panie Druktejn, rzekł z oburzeniem Norejko, za co waćpan jeden masz wszystko zabierać? skarb na naszéj ziemi zakopali go wszyscy Żmudzini, a jeden Druktein ma wziąć?

— A dalibógże to niesłusznie, odezwał się Mateuszas, poprawiając łom palący się.

— Ma wziąć... ma wziąć... mówił wzdychając Druktejn. Otoż to, że już z dziesięciu, a może i więcéj Druktejnów z tą nadzieją codzień spać się kładli, z tą nadzieją rano wstawali, z tą nadzieją żyli i umierali, a konając oddawali ją w sukcessyi synom swoim, którzy ją jak chorobę jaką zaraźliwą, do serca przyjąwszy, przez całe życie w biédzie i ciężkiéj pracy, patrzali prawie na złoto, którego dostać nie mogli. Nie jeden więc Druktejn i nie jedną noc Śto-Jańską jak dzisiejsza, póki był młody, przebył wałęsając się jak wilk około téj góry, bo każdy chciał skarbu, a nie chciał umierać; tak chciwość Boże odpuść, parła go w górę, a śmierć stając w oczy odpychała na dół... ale gdy dożył starości, to już śmiało lazł, i pod tym dębem noce Sto-Jańskie strawił...

— Oho, przerwał Norejko bo pod starość wszyscy chciwieją.

— Nie bracie, oh nie! ale że miłość i przywiązanie do dziatek tak natenczas ogarnia człowieka, że gdy już nie wiele zostaje latek osiwiałéj głowie, łatwiéj przychodzi nałożyć tą głową, byle ich z biédy wyrwać. Ja sam, kochany mój Norejko, ósmy krzyżyk kończę, i choć dzięki Bogu, jeszcze na chleb zarobić i jeść chleb zdrowemi zębami mogę, ależ jednak Matuzalowych lat nie przeżyję, a tu u jedynaka mego, Maciusia, sztuka w sztukę trzech synków. Szlachecka kondycyjka nasza, w któréj jak w gniazdeczku makolągwy, siedzi cała

gromadka, nie wyżywi ich nawet. Cóż z niemi potém będzie?... *oramus* i *boronamus!*... Oh! kiedy któréj niedzieli pojadę tam do nich, a biédny Maciuś i jego żona zaczną z płaczem mizeryę swoją przedemną rozwodzić, a wnuczkowie mili, nie znając tego, jak zaczną dziadulka hołubić, a leźć na kolana, na piersi i po łysinie gładzić i po twarzy busiać i wąs mój stary drobnemi swemi rączkami czochrać, słowem jak ptaszeczki do mnie się tulić... to aż serce pęka, mój dobrodzieju, to łzy ciurkiem się leją... ot·i teraz wstrzymać ich nie mogę. Więc postanowiłem... więc postanowiłem, mówił daléj ocierając z łez oczy, i ja poprobować szczęścia... A nuż! a nuż!!! Umrzeć mój dobrodzieju, no, to raz człowiekowi umrzeć, i pożyło się już, ale dziatki moje, ale wnuczki moje, jużby nigdy biédy nie znali, a przykazałbym im pod błogosławieństwem, aby na téj górze kościół wymurowali, i elemozyny biédnym sypali, i poczciwemi zawsze byli.

— Panie Druktejn, rzekł wysłuchawszy Norejko, prawda, dobrze byłoby twoim dzieciom, gdybyś ten skarb dostał, ale gdyby twój Maciuś wiedział, że to życiem masz przypieczętować, toby się na to pewnie nie zgodził, a gdyby się zgodził, nie wart byłby tego skarbu. Lecz nie o tym Dawidzie, gra idzie. Powiedz zmiłuj się kiedy możesz, zkąd to wam do głowy przyszło, że wy sami tylko, a nie kto inny, możecie skarby tutejsze zamancypować?

Druktejn dumał, kiwał głową, nakoniec rozmyśliwszy się rzekł:

— Tać i powiem bo gotoweś znowu pomyśleć, że stary Druktejn, łgarz. Otoż przed laty, dawno a bardzo dawno, jako i wiesz zapewne mój kochany Norejko, bo i na kazaniach często o tém wspominają księża, że Żmudzini żyli w bałwochwalstwie, to jest nie wierzyli w Boga w Trójcy Świętéj jedynego...

— Ok Jeezus! a to szelmy! przerwał Mateuszas.

— Milcz! zawołał nań Norejko, wiem o tém panie Druktejn, cóż daléj?

— To wiesz także i o tém, że gdzie teraz Prussy, to w tym kraju panowali Krzyżaki, którzy naszych przodków na wiarę świętą nawracali...

— Oto poczciwie ludzie! daj im Boże zdrowie! wykrzyknął znowu Mateuszas.

— Oh! ale te apostoły, mówił daléj Druktejn, pod pretekstem nawracania, wytępiali biednych Żmudzinów, łupili, rabowali, palili...

— Ok Jeezus! oto szelmy!...

— A milczże gawronie! ozwał się znowu zniecierpliwiony Norejko.

— Żmudzini więc kryli się w głębokie i niedostępne puszcze swoje, któremi natenczas cała Żmudź była zarosła ze swojemi bogami i skarbami, przed nieustanną napaścią tych okrutnych ludzi; a gdy i tam ich wytropili Krzyżaki, to bronili się mężnie i do upadłego, tak, że i Krzyżaki często na drogę do powrotu trafić nie mogli. Otoż jeduém z takich miejsc do obrony była i ta góra, może tu umyślnie wśród błot i trzęsawisk usypana, a szérokiemi natenczas lasami otoczona, na któréj Żmudzini długo swoje odbywali nabożeństwa, a Krzyżaki dobrać się do niéj nie mogli, lubo wiedzieli, że za każdą ich napaścią, w puszczę tę i na tę górę chroniła się z całém swém mieniem mnoga okoliczna ludność, że tu było ostatnie już gniazdo bałwochwalstwa i miejsce przebywania ich Krywejty, czyli najwyższego biskupa... nie... to grzech tak mówić... najwyższego *Mołny* téj ich tam wiary, i nakoniec wiedzieli, że bałwany ich, czyli bożki, których tu pod tym dębem tuzinami stało, były jakoby ze złota i srebra lane.

Nie odważyli się jednak oni brnąć w tę puszczę, pełną zasadzek, zasieków i samołówek, w jakich nieraz już przepadali, gdy nieostróżnie gonili Żmudzinów; więc postanowili zapalić ją ze wszystkich stron, i potém idąc obławą za pożarem, spędzić w kupę pod tę górę, jakby stado bydła, ukrywających się w puszczy bałwochwalców, ochrzcić ich w tej rzece razem tysiące, zabrać ich złote bałwany, lub jeżeliby się nie poddawali i nie ochrzcili, wszystkich w pień wyciąć.

— A niek ich djabli wezmą! nie dotrzymał Mateuszas i odezwał się.

— Otoczyli więc las ten ogniem i żelazem Krzyżaki, a gdy płomień jakby piekielny objął go w około i świdrował coraz głębiéj w gęstwiny, przerażona ludność wszelka napełniająca puszczę, ustępowała przed pożarem, garnąc się pod opiekę bogów swoich i gromadząc się pod ten dąb. Nakoniec płomienie doszły aż do brzegów lasu i do tych trzęsawisk, lecz zgryźć ich nie mogły, bo gasły w wilgoci, a cała łąka ta i góra i brzegi rzeczki jak nabite były ludem jęczącym i płaczącym w rozpaczy, codzień większéj i gorszéj, gdy po dniach kilku głód wszystkim dokuczać począł. Jedna już tylko droga osaczonym Żmudzinom zostawała do wyzwolenia się z téj

rozpalonéj huty; tą drogą była rzeczka, płynąca i wtenczas przez ten cały las wzdłuż, jako i dziś płynie, ale przez pola i łąki gdzie był las. Postanowiono zatém brnąć po niéj i wybrnąć na czyste pole, unosząc z sobą co unieść się mogło, a resztę wszystko cisnąć w płomienie, aby się Krzyżakom nie dostało. Więc podług tego stanęli na przodzie najmężniejsi i najsilniejsi młodzieńce, i ludzie do krwawych bojów z Krzyżakami nawykli, wiedzieli bowiem, że ci na wyjściu z lasu przejmą ich niezawodnie; daléj długim a wązkim, do szerokości rzeczki stosownym tłumem uszykowała się cała tłuszcza; nakoniec wezwano starego Krywejty, aby zszedł z góry z bałwanami swemi i stanął w środku, zaprzysięgając bronić go i bogów swoich do ostatniego. Ale stary kapłan, zowiący się *Kryszpin* *) nie zgodził się na ich żądania, ani na żadne ich prośby. — Moje dzieci! powiedział on im....

— A zkąd waćpan wiesz jak on się nazywał i co on im powiedział? — przerwał Norejko.

— Zkąd wiem? — mnie to mówił mój ojciec, jemu rozpowiedział jego ojciec, tamtemu ojcowi znowu ojciec... a więc tak jakbyś tą rzeczką szedł na przeciw wody, tobyś doszedł aż do krynicy, z któréj ona wypływa, a ztamtąd znowu gdybyś puścił po niéj kawałek drewna, toby dopłynęło aż tu; tak gdybyś odkopywał i stanowił w rząd trupie głowy moich ojców, dziadów i pradziadów, doszedłbyś aż do téj, która te słowa Kryszpina słyszała, a nazad idąc doszedłbyś do mojéj, wkrótce trupiéj, która odda synowi co wzięła od rodzica.

— Aj panie Druktejn, nie gadaj, zmiłuj się nie gadaj o trupich głowach, bo strak! dalibógże strak! — mówił Mateuszas.

— A jakżeś ty tu odważył się iść, kiedyś taki tchórz? — rzekł Norejko.

— Ot, bo ja myślał o pieniądzach nie o trupich głowach, a i tak jak coś zaszuciło i zaszamotało, to tylko co nie zdek.

— Więc Krywejte, mówił dalej Druktejn nie uważając na Mateuszasa — powiedział do błagającego go ludu: Moje dzieci! tam za lasem ani ja, ani te bogi, nie będą wam potrzebne; czeka tam na was inny Bóg, inna wiara i inny kapłan — albo śmierć! Mnie tu umrzeć przy moich bogach! bo kiedy giną pany, to i sługi ich

*) Kryszpin, Druktejn, są nazwiska podaniowe.

wiernie ginąć muszą. Wy idźcie! i ty Austello *), córko moja, idź z niémi! idź!... Bóg chrześcijański, który starowiecznych bogów naszych żmudzkich, i w tym ostatnim ich przytułku dosięga, wiem, że ogarnie pod swoje panowanie cały ten kraj.... Ale Austella płacząc i pełzając przy nogach ojca, zaprzysięgła że go nie odstąpi.— A ja nie odstąpię jéj! krzyknął młodzieniec stojący natenczas obok niéj — nie odstąpię i zginę razem z nią i z tobą ojcze!!! Był to narzeczony Austelli, młody Druktejnis czyli Druktejn, jeden z naszych przodków.

Długo jeszcze cały lud, wzruszony bardziéj tym widokiem, błagał Krywejtę; ale uparty starzec nie ruszył się ani krokiem, a sam błagał córkę i zięcia aby szli z ludem.

Gdy nakoniec jedne i drugie zaklęcia i prośby nic nie wskórały; gdy kapłan bogów swoich dotknąć nie pozwolił, lud naglony potrzebą jak najrychlejszego wybawienia się, z wielkim płaczem i narzekaniem zbił się w długi pas i webrnął w rzeczkę, obzierając się z żalem na górę, na któréj zajaśniał wnet płomień, jak lud mniemał, na ofiarę bogom przez Krywejtę zapalony.

Rzeczka ta jak wiecie, wązka jest i nie głęboka; do brzegów jéj to dochodziła puszcza, to trzęsawiska i błota; gdzie błota, tam brnąć było łatwiéj, bo z boków nie dopiekało, ale gdzie nawisłe drzewa łączyły się prawie wierzchołkami, i paląc się jakby dach ognisty nad wodą formowały, tam wśród dymu, sypiących się iskier i gorących popiołów, jak przez czeluście piekielne przechodzić biedni musieli... i nakoniec bo wszystkiemu jest koniec, choć nie wszyscy bo wiele a najbardziéj kobiet podusiło się i popadało, całym tłumem na czyste pole wyszli.

Tu ujrzeli co im Krywejte ich przepowiedział — *Nowego Boga, nową wiarę*, i *nowych kapłanów*, albo *śmierć!*... bo ścisłém kołem konno i zbrojno, od stóp do głowy w żelazie, stali Krzyżaki, zamykając wszelkie wyjścia z lasu; a przed niemi z krzyżem świętym, w bogate ornaty i kapy przybrani, stali kapłani, do ochrzczenia téj bałwochwalczéj z płomieni wychodzącéj tłuszczy przygotowani.

Na ten widok stropili się Żmudzini; osłabieni takiém przejściem przez las, które i najsilniejszych, a wprzód głodem już zamorzonych do reszty zwątliło, nie zdołali oni przebić się przez taki otaczający ich płot żelazny. A w tém podstąpili do osłupiałych kapła-

*) Austella, imie bogini opiekującéj się pszczołami, pszczelnictwem. *Narbutt.*

ni, i z niemi razem mnoga liczba nawróconych już dawniéj braci. Kapłani modlitwami wzywali pomocy Boskiéj i łaski Ducha Świętego, a nowi chrześcijanie kruszyli ich serca i przykładem własnym zachęcali do uznania prawdziwego Boga. Krótko a po prostu mówiąc, tak się chwała Bogu stało, że wodą poświęconą tejże saméj rzeczki pochrzcili wszystkich.

Lecz Krzyżaki pamiętali dobrze o złotych bałwanach, i nie znalazłszy ich jak się spodziewali między ludem, dowiedzieli się że razem z Krywejtą zostały na górze; nie tak więc nabożni, jak chciwi, tąż samą drogą, którą przebyli Żmudzini, nie zważając na żadne szwanki i niebezpieczeństwa, przez las przedzierać się zaczęli. Lecz gdy osmaleni wysunęli się na te błota, z zadziwieniem nikogo i nic na górze nie postrzegli. — Pędem oni wbiegli na nią, rozumiejąc że Kryszpin z bogami gdzieś się w niéj jak kret zarył i schował; ale napróżno ryli, pruli i kopali ziemię, żadnego tam nigdzie nie było śladu nory czy lochu; znaleźli tylko popiół i niedopalone głównie.

Co się więc stało ze złotemi bogami, z Krywejtą, z jego młodą córą Austellą, i z jéj oblubieńcem Druktejnisem? nikt powiedzieć ani zgadnąć nie mógł. Jedni mówili, że oni rozpaliwszy stos wielki, który na odejściu Żmudzini widzieli, rzucili się wszystko troje w ogień, a bożki same tam powskakiwały; drudzy prawdziwiéj, czy zgadli, czy im się objawiło, że jak Krywe-Krywejte zaczął swe bałwochwalskie czynić zaklęcia, a bluźnić chrześcijaństwu, tak w téj saméj chwili, gdy za lasem lud cały upadł na kolana pod chrzest święty, góra się rozstąpiła i pochłonęła w siebie i bogi i kapłana i ostatnich na Żmudzi bałwochwalców.

— Po niejakim czasie Mospanie na téj górze zaczęły pokazywać się strachy, mówił daléj Druktejn — a wielu i nieraz widywało w nocy kobiétę w bieli, to stojącą pod tym dębem, to chodzącą po téj górze z załamanemi rękami; innym pokazywał się rycerz żmudzki, raz stojący także jak na warcie, drugi raz maszerujący sobie po górze, a czasami i oboje razem....

— Oj, oj, panie Druktejn, coś mnie zmora prekodzi po skórze, i zęby nie statkują! — odezwał się Mateuszas.

— No i ja o tém słyszałem, rzekł Norejko.

— A ja o niczém nie słyszał, mówił znowu Mateuszas. — Czy ja tuby poszedł? A niek Pan Bók broni! Mnie mówili tylko, że w téj

górze jest skarb zakopany, więc ja wziąwszy rydel i wór, poszedł, a i tak kiba Najświętsza Panna Szyłelska uratuje mnie od febry z przelęknienia.—Pójdę tam zaraz piekotą i kryżem leżąc pięć mszy wysłukam.

Wszystkim na myśl przychodziło, że to pokazuje się Austella, córka Krywejty Kryszpina i jéj narzeczony Druktejnis, i że kiedy oni pokazują się i błądzą po téj górze do któréj zapadli, to nie darmo; więc że tam gdzieś na dnie być muszą i bałwany złote, zaklęte jak zwyczajnie skarb.

Zamilkł opowiadacz i przez krótką chwilę milczeli wszyscy, lecz nakoniec odezwał się Norejko.

— We wszystkiém tém, panie Druktejn, co dotąd opowiadałeś, nie ma jeszcze racyi, dla czego same tylko Druktejny mają prawo do tego skarbu? a choć tam spalił się czy zapadł jakiś Druktejnis, to nie Waćpana przodek, bo był jak sam mówisz narzeczonym tylko a nie mężem téj poganki Austelli, i nie miał potomstwa.—A i on jakież miał prawo do tych bałwanów złotych? one całéj Żmudzi byli bogami, więc do całéj Żmudzi i należą, a koniec końcem kiedy one tu są, kto ich wykopie to i zabierze; a że my na naszéj ziemi nikomu kopać nie dozwolim, więc sami poprobujemy tego dziwu da Bóg w dobry czas, i potém sprawim egzekwije za duszę panny Austelli i jéj narzeczonego.

— I nic nie dokażecie, rzekł Druktejn, bo kiedy już koniecznie trzeba powiedzieć aż do końca, to i powiem.

— Mój dawny a dawny antecessor, kto wie, może i ten który się natenczas z całym ludem ochrzcił, miał zdarzenie. Nie wiem już jakim sposobem i dla czego on tu nad tą rzeczką jedną całą noc przepędził. Nie uważał on, bo może i kalendarza nie umiał czytać, że to była właśnie noc Święto-Jańska. . .

— Ot pewnie bucze trząsł, bo wieczorem i nocyma najwięcéj pstrągów lezie w bucz, a może jeszcze koło wody kodząc dla ciepłości. . . tu Mateuszas pstryknął w garło— to i zdarzenie pokazało się.

— Pleciesz: żaden Druktejn nie był takim pijakiem jak ty.— Otóż gdy już zupełnie zciemniało, zjawiła się i stanęła przed nim biała dziewica. Wiedział on o tych strachach, zląkł się więc bardzo, przeżegnał się, i z piérwszego impetu krzyknął: *Tegul bus pagarbintas* Jezus Chrystus!— *Ant amžiu amžinuju Amen* *) odpowie-

*) Na wieki wieków.

działa ona, ale takim mileńkim głosikiem, tak pięknie i słodko na niego patrzała, że staruszek przyszedł łatwo do siebie, i spokojnie a bez bojaźni słuchał daléj jéj mowy. Więc opowiedziała ona mu wszystko, com ja teraz wam opowiedział, dodając, że jest *Austellą* córką Krywe-Krywejty Kriszpina; że Bóg odpuścił im bałwochwalstwo ich, ale że droga do nieba, na któréj oni już stoją, zawalona im bałwanami złotemi i srebrnemi, zaklętemi w téj górze przez jéj ojca; kto więc te bałwany dobędzie z pod zaklęcia, uprzątnie im drogę do raju.

Mój pra pra i może z dziesięć razy pradziadunio, wnet się na to rezolwował i rzekł: kiedy tak to prowadź mnie waćpanna zaraz na górę i pokaż gdzie kopać; a choćby mi własnemi garściami ziemię wyrzucać przyszło, dobędę tych zaklętych bałwanów i gościniec niebieski wam otworzę. A taka w tym momencie wzięła go do téj pracy ochota, że powstał rzeźwo i chwycił za rękę Austellę, mówiąc: no to idźmy!... Ale stropił się okropnie, bo na pusto garść swoją ścisnął, ręki Austelli nie było... krzyknął więc przerażony: *Kożna dwase Pona Diewa garbina...* *) a ona znowu głosikiem wdzięcznym jak loretański dzwoneczek odpowiedziała: *Ir asz garbina!...* **) i nie lękaj się rzekła — dziękuję ci za tę ochotę do wyzwolenia dusz naszych...

— Kto wie czy dusz, czy złota? — przerwał Norejko.

— Niechaj sobie! — Prowadzić cię nie mogę, mówiła ona, bo musisz być sam jeden tylko; ale wiedz piérwéj jakie zaklęcie rzucił ojciec mój, gdyśmy razem z bogami naszemi we wnętrznościach téj góry przepadali. — Druktejnis natenczas dla miłości mojéj dobrowolnie na śmierć się odważył; więc ja nikomu innemu jak tylko któremukolwiek Druktęjnisowi z następców krewnych mego oblubieńca, mogę objawić gdzie i jak będzie on mógł dostać się do tych złotych bogów naszych ***). Ale i ten musi dobrowolnie, jak jego przodek, na śmierć się odważyć, bo umrze natychmiast kto ich dostanie, tak je zaklął ostatni Krywejte... Oh! nie wiedział on natenczas, że tym sposobem sobie i nam może na zawsze drogę do zbawienia zapiera; bo czyż się znajdzie drugi Druktejn, któryby swém życiem nas odkupił, choćby największe skarby miał wziąść za to,

*) Wszelki duch Pana Boga chwali.
**) I ja chwalę.
***) Podanie miejscowe.

gdy tych używać nie będzie; a jednakże ofiarą tą zbawiłby on i nas i siebie, a potomstwo swe wzbogacił i uszczęśliwił na zawsze!... Ty sam czyż się na to odważysz? Czas jest po temu; jedna tylko noc w roku jak dzisiejsza Ś-to-Jańska na to przeznaczona; mów: chceszże wiedzieć tajemnicę i ją spełnić?... Mój pradziadulek stał i milczał... Stary Kryszpinisko, myślał on sobie, podrwił głową, i tém fatalném zaklęciem poplątał djabelnie tę sprawę; żałuje gdzieś teraz i płacze siedząc w norze i patrząc na swoje bałwany; ale po czasie! po czasie!!! Cóż tu zrobić? Dobrzeby było i antecessora mego wyratować i potomków wzbogacić.... no, przy tém i siebie zbawić, jak panna Austella upewnia... Myślał, rozmyślał... ale że to był już starzec jak ja, biedny jak ja, miał dziatki i wnuczki jak ja, więc nakoniec przeżegnał się i rzekł: *Su saule ne pateksma* *). Dziéj się wola Boża! mów waćpanna; słucham i spełnię wszystko co do joty; daję na to waćpannie słowo szlacheckie, a dałbym i rękę w rękę, ale cóż kiedy waćpanna rąk nie masz.

— Ot to stary zuk!— zawołał Mateuszas.—

Natenczas objawiła ona mu wiele trzeba mierzyć od dębu.

— Dwadzieścia cztéry piędzie, przerwał Norejko, bo tak długą była żerdź Waćpana.

— A cóż potém? a wieszże wiele takich żerdzi położyć? a wiesz jak głęboko kopać? a wiesz co mówić dokopując już do bałwanów? Bez tego wszystkiego nic nie dokażesz, choćbyś całą górę rozrył na ćwierci. Austella zaś wszystko mu to objawiła i znikła.

— No, więc Waćpana pradziadulek zaraz zapewne wziął się do kopaczki.

— Tego ja nie wiem, mówił Druktejn, to tylko pewna, że skarbu nie dostał czy rozmyśliwszy się stchórzył i lękając się śmierci, zapomniał na swoje słowo szlacheckie, które prawdę mówiąc nie tak to i ważném było, bo rękę w rękę z Austellą nie uderzył; czy z jakiéj innéj przyczyny, dość że do końca żywota swego ubogim będąc szlachciurą, przed skonaniem tę tajemnicę swemu synowi opowiedział, i z głowy na głowę nam wszystkim potomkom zadał *pensę*, która jak to już mówiłem, każdéj Ś-to-Jańskiéj nocy spać nam nie daje i do téj góry nas pędzi.

---

*) Ze słońcem trwać nie będziemy.

— Kiedyż nie on, czemuż drugi który po nim, wiedząc wszystkie kondycye téj klątwy, nie dostał się do tych skarbów? zapytał Norejko.

— I tego nie wiem co im przeszkadzało; czy także bojaźń śmierci, czy co innego, jak naprzykład mnie teraz niespodziewana wasza kompanija. Ojciec mój wszelakoż kopał raz, i już dobierał się do jakichściś oharków, ale staremu sił a zatém i cierpliwości nie stało, a że miał nieboszczyczek, Panie mu odpuść, wszeteczny nałóg przeklinania się, więc i tu gdy mu ciężko przyszło, zawołał z przyciskiem: „A niechże sto djabłów!"... ale jak tylko mu to z gęby wyleciało kiedy nie zacznie ziemia osypywać się, zapadać ze wszystkich boków jamy wykopanéj, a wyniesiona przez niego na wierzch pudrować go z góry, to staruszek ledwo trafił na drabinkę, którą za sobą do jamy spuszczał, a dół zasypał się równiuteńko, jakby go nie było.

— Z tego wszystkiego panie Druktejn, rzekł Norejko, miarkując moim prostym rozumem, wypada, że nic nie będzie, i kiedy dotychczas wam nie udało się, to i nigdy nie uda się. A jeszcze czy spowiadałeś się Waćpan z tego? albo czy choć poradziłeś się jakiego księdza? bo co innego wykopać skarb, wiedząc z powieści ludzkiéj gdzie on jest, a co innego dobywać go z pod klątwy i z łaski jakiejś poganki, ni to zbawionéj ni potępionéj.

— A jakże mój dobrodzieju, a jakże taką praktykę zaczynać bez Boga! Oto pięknie! Opowiedziałem wszystko jednemu bardzo pobożnemu i mądremu kapłanowi Jezuicie na spowiedzi, a on mi na to: Dobądź bogów fałszywych a wystaw świątynię Bogu prawdziwemu; uczyń na to votum natychmiast, to Bóg klątwę pogańską może zniweczyć raczy, i dozwoli także żyć, i samemu jeszcze używać bałwochwalczego złota na chwałę jego. Wraz więc za siebie i za dziatki i za wnuczki moje, uczyniłem i zaprzysiągłem takowe votum przed ołtarzem, a zatém i śmieléj odważyłem się dzisiaj iść tutaj.

— A jednakowoż, panie Druktejn, mówił daléj kiwając głową Norejko życzę Waćpanu téj *pensy* jak powiadasz, którą wasz przodek wam w sukcessyi zostawił, nie zostawować swojemu Maciusiowi i swoim wnuczkom, bo to na wierzbie gruszki, a tymczasem świat szeroki; nie jeden z was mógłby na nim poczciwą pracą dorobić

się fortunki, a może i dobréj fortuny, bo nie święci garnki lepią, a natomiast wy wszyscy tańcujecie około téj złotéj góry, i z biédy wyleźć nie możecie; nie przykowywaj więc do niéj i dzieci twoich, a oni wolniéj rękami i nogami machając po świecie, prędzéj cóś dobrego złapią, niż pilnując jak smoki zaklętego skarbu.

Druktejn, wysłuchawszy téj perory, pokiwał także głową, i na te proste ale roztropne słowa zwątpienie jakieś ogarnęło go.

Już i przeddniowa światłość zwiastowała blizki poranek.

— Czas wracać do domu, rzekł Norejko, a szkoda że złotych bałwanów z sobą nie przyniosę; przydałyby się nam bardzo teraz. Pan na konfederacyi wyszeptał się co do talara, a tu żenić się trzeba; wpadła mu do serca wasza panienka, panie Druktejn, panna Dorota, i niezadługo będzie ona naszą panią.

— Daj Boże szczęśliwie, odpowiedział Druktejn, ale poczekajcie, nie tak to gładko ten dyamencik od nas dostaniecie; jest ktoś i jeden i drugi . . .

— A wiemy, wiemy, przerwał Norejko. Pan Mejra golec! i pan Pułkownik grzyb! pięknieby panienka wybrała, gdybyś za którego z nich poszła. Za Mejra bez chleba; bo jest ich czterech na fortunie, a za Pułkownika bez męża. Daj Waćpan pokój z takiem swatowstwem. Ot, z moim panem przyjedzie na imieniny pani Uwojniowéj, wiész kto? piérwszy głowacz na Żmudzi, pan Rupejko; on będzie swatem naszym; już od trzech dni siedzi on u nas w Berżyłówce i ciągną maliniak za zdrowie panny Doroty; powiedz to jéj Waćpan pod sekretem, niechaj panienka na ten dzień będzie *Pasypusześ kajp Resejniu Magdi* *).

— Dobrze, czekamy, czekamy, rzekł Druktejn, a teraz bywajcie zdrowi . . . I odchodząc dodał jeszcze: Podobno to i prawda, mój kochany Norejko, cóś mi o tym skarbie perswadował; bodaj że posłucham ciebie i Maciusiowi memu nic nie powiem.

— I dobrze Waćpan zrobisz; a teraz bądź zdrów.

— No i mnie trzeba już maszerować do domu, rzekł Mateuszas, ale wstyd z próżnym workiem; będzie Szuciło oczy wypiekać: A gdzie twój skarb? gdyby ja koć jednego bałwanka prywlekł!

---

*) Wystrojona jak Rosieńska Magdalena, przysłowie to pochodzi z tradycyi, jakoby niegdyś w Rosieniach mieszkała sławna jakaś piękność, i bardzo strojnie się ubierała.

— Cóżbyś ty robił, gdybyś dostał tak wiele złota? zapytał go Norejko, razem z nim schodząc z góry.

— Ok Jeezus! co jaby robił? a czy jest na świecie taki dureń, któryby nie wiedział co robić, dostawszy wiele złota? ot jaby zaraz wykupił się u pana Kasztelana. Czy to nie żal, kokany panie Norejko, że jak pryjedzie do naszego dworu bernardyn Gołkąd, to siada razem z panem do stołu, i ja jemu talerki odmieniać muszę, a dawniéj jak my obadwa z nim małe kłopcy byli, i w jednéj wiosce kodowali się, czy nie razem śpiewali:

Wakas wakas wakarety
Łaba gyrtas buwau
Atsygulau i ławetu
Salden użmigau etc. *)

on potém uciekł do Traszkun i do klasztoru przystał, i już jego ztamtąd nie odbierali. Pan powiedział: niek kwali Boga kiedy kce; a mnie do dworu wzięli. Prawda, że on i teraz ze mną zna się, i tabaką traktując mnie, zawsze powiada po bernardyńsku:

Kas tabaku żywaja
Tu dungu kawaja. **)

A z bratem jego, panem Bonawenturą, sługą pana Pułkownika, w wielkiéj przyjaźni żyjem; zajdę do jego i teraz po drodze na kieliszek wódki całą noc nie spawszy i po takim straku, zakorujesz człowiek bez posiłku. A panu Pułkownikowi powiem, że niekaj za tydzień wybiera się w swaty, kiedy kce panny Doroty, bo pan Milanowski z pod nosa mu ją kwyci.

Norejko rozśmiał się, i rozeszli się każdy w swoję stronę.

---

*) Wczora, wczora z wieczoreczka
Dobrze pociągnąłem,
Układłem się do łóżeczka
I słodko zasnąłem.

**) Kto tabakę zażywa,
Tego w niebie chowają.

IV.

Od świętego Jana do świętéj Elżbiety dni ośm tylko, ale dość było tego czasu aby nowina przez Norejkę Druktejnowi powiedziana, że Milanowski z oświadczeniem o rękę panny Doroty i ze swatem swoim ma przybyć na imieniny jéj matki, doszła po sąsiedztwie wszem w obec i każdemu z osobna komuby o tém wiedzieć należało, a szczególniéj ichmość panom współkonkurentom Żegoty; saméj zaś pannie i czule do niéj przywiązanéj matuli, wielu niespokojnych myśli i nocy bezsennych, wielu coraz gorętszych łez i modlitw nabawiła.

Wzywany przez żonę pan Chorąży do konsyliów, w alkierzyku odbywanych, i do objawienia swojéj determinacyi; Kat że wie, mówił, co lepszego, czy las czy łąka? i który z nich silniejszy, to jest który lepiéj i skuteczniéj bronić nas będzie na dyferencyi? Żegota, wiadomo Samson! ale i Mejra, jak powiadają osiłek i ma jeszcze trzech braci za sobą; gdyby się oni sprobowali w naszych oczach... a zresztą, ja najlepszy plan miałem: na trzy latka prolongata paniczom... Ale nie chcecie mnie słuchać, więc; *Kajp posykłosi, tajp uszmigosi*, i odchodził. Natenczas matka załamywała ręce, a Dosia chlipała w kątku...

— Moje ty dziecko! moje najmilsze dziecko, mówiła Chorążyna ocierając łzy córce i sobie, powiedz ty przynajmniéj sama, proszę cię, i na błogosławieństwo matki zaklinam!...

Błogosławieństwo matki!... Wyraz ten święty, który mi pod pióro popadł, zmienia nagle szyk myśli moich, bo mię do głębi wzruszył... Gubię na tę chwilę ciąg powieści mojéj, bo płyną mi słowa daleko ważniéjsze, daleko czulsze, daleko milsze młodym czytelnikom i czytelniczkom moim, aniżeli wszelkie powieści, bawiące ich umysł szybko przemijającą przyjemnością i rozrywką.

Błogosławieństwo matki! Oh! gdy ono z serca i ust się wylewa na głowę korzącego się u nóg jéj dziecka, niebiosa zda się w téj chwili otwierają, i Bóg sam błogosławi razem i matce i dziecku, a aniołowie jego święci, osłaniając jaśniejącemi skrzydły tę miłą i wdzięczną Bogu ofiarę, za cały świat, za całą ludzkość składają mu

dzięki, za to najczystsze, najdroższe, najtkliwsze i najpiękniejsze uczucie miłości rodzicielskiéj wlane przezeń w duszę człowieka, na osłodzenie gorzkiéj jego doli na ziemi...

Błogosławieństwo matki!... czyliś go dziewico przyjęła u stop ołtarza, gdyś wdziękiem, młodością i swobodą kwitnąca, stateczną wiarę oblubieńcowi swemu ślubowała! Czyliś je przyjął młodzieńcze, gdyś także w obliczu Boga szczęście dla swéj ulubionéj i los błogi zaprzysięgał... Czy gdyś z rodzicielskiego domu na świat szeroki się puszczał, a matka cię krzyżem świętym przeżegnawszy, łzawą źrenicą za wrota przeprowadzała... Czyście około śmiertelnego jéj łoża skupieni, biédne sieroty z wpółobumarłych ust jéj polecające was opiece boskiéj, usłyszeli modły, i na kolanach przyjmowali ostatnie, a dla was jeszcze poświęcone jéj tchnienie... Wszędzie i zawsze, w pomyślności czy w złéj doli, wspomnienie chwili téj wzruszy najczulsze nerwy twego serca, rozbudzi w niém miłość dziecięcia, którą czas może uśpił, żałość, którą czas ukoił... w westchnieniach nawet i łzach, któremi się oblejesz, uczujesz obecność niewidomego wpływu jéj na dni twoje, i nadzieję szczęścia za jéj orędownictwem tu na ziemi, szczęścia z nią tam w niebiosach.

Oto błogosławieństwo matki! Czyliż mniéj ważném jest błogosławieństwo ojca? Nie zaiste! lecz we wrażeniach i wyobrażeniach rodziców względem dzieci, ojciec jest rozum, matka jest serce... Szczęśliwy! nad czyją głową jedno i drugie razem się łącząc, wspólnym ją miłości rodzicielskiéj, a zatém i łaski Bożéj obdarzyły wieńcem. A biada dziecku, które we swych wspomnieniach téj błogiéj nie doszuka się chwili! lub czyja dusza zimną tylko po niéj przemknie myślą... i biada czytelnikowi memu, który w tych słowach moich liryczną tylko znajdzie deklamacyę.

Powróćmy teraz do matki pragnącéj zbadać tajemnicę swéj córki.

— Na błogosławieństwo matki zaklinam cię, mówiła Chorążyna, powiedz ku któremu z tych dwóch inklinacya twoja cię skłania? bo o tym starym szałapucie Pułkowniku i wspominać nie chcę. Trzeba wcześnie wiedzieć jak się tu znaleźć; może przyjdzie posłać po pana Pisarza, twego stryjaszka, do Rosień, bo nasz Jegomość, niech mu Bóg odpuści, procederami tylko swemi ma nabitą głowę

— Moja matko! rzekła Dosia, czułemi pocałunkami osypując jéj ręce, ty woléj powiedz którego mi z nich przeznaczasz. Ja kiedy o tém myślę, to w głowie mi się kręci i tak straszno się robi, że aż dreszcz mię przyjmuje; a kiedy wieczorem tém siebie na-

dręczę, to mi tak okropne sny marzą się, takie żałoby i całuny mnie okrywają, że przebudziwszy się polecam tylko Panu Bogu, modlę się przez całą noc, i zasnąć nie mogę; chętnie natenczas i pana Mejry i pana Milanowskiego wyrzekłabym się.

— Bóg z tobą, moje drogie dziecko! wszakże cię nie przymuszamy; kiedy przeczuwasz że nie ma w tém woli Pana Boga, to mów śmiało; a każę gdy przybędą na obiad dać *jusznicze*k . . .

— Jakże tu przeniknąć i poznać oczewistą wolę Boga, moja najukochańsza mamo? Jakikolwiek on mi da los, to zawsze musi być z woli jego. Znam ja żem u was nie jedna; są siostry, są bracia; znam że mnie was opuścić trzeba i czas . . . Tu zachodząc się z płaczu błagała matkę, aby sama powiedziała którego zięciem mieć chce?

— Nie wiem, nie wiem, mówiła znowu Chorążyna. Oba cię gorącym affektem kochają. Mejra może bardziej, bo młódszy; ale kiedy na ciebie patrzy, to mnie aż strach! iskry mu się z oczu sypią, a lice jego młode i gładkie, okrutném i strasznėm się robi . . . widać że ma temperament extra-choleryczny.

Milanowski trzyma wprawdzie zawsze minę, posturę i fantazyę buńczuczną i hardą; do trzeciego mu nie gadaj boć to żołnierz, konfederat! Ale kiedy na ciebie spójrzy, to aż miło drugiemu! Z tego prognostykuję, że u niego od gniewu do miłości prędka alternata, a taki na męża najlepszy, bo choć się czasem zachmurzy i zapérzy, a bez czego nie obejdzie się w małżeństwie, to za jednėm miłém słówkiem żony, jak wosk stopnieje nakoniec i substancya jego . . .

— Ach! ależ ten biedny Mejra! . . . zawołała mimowolnie Dosia.

— Więc ty go kochasz? przerwała żywo i niespokojnie matka.

— Nie! nie! najdroższa mamo, nie! głos twój, to głos Boga! Milanowskiego wybieram! Milanowskiego mówiła szybko, całowała z uniesieniem ręce matki, i odbiegła płacząc rzewnie.

Matka uklękła i modliła się.

V.

Nakoniec nadszedł dzień Świętéj Elżbiety. W dzisiejszéj modzie, solenizantka odebrałaby w wigiliję na piśmie własnoręczne, urzędowe, że tak powiem, *testimonia* życzliwości... Oh niestety! nie właściwy to wyraz, *grzeczności* sąsiadów. Wszystkie te malenkie dokumenciki złożonoby w piękne kryształowe na widoku stojące naczynie, mieszcząc na wierzchu godniejszych, na jawną i oczewistą chlubę domu, jak na wystawę. Dawniéj, gdy powiem, że więcéj było prostodusznéj szczérości a mniéj szlifowanéj grzeczności, powiem tylko komunał stokroć powtórzony, i choć może nie mniéj dla tego sprawiedliwy, wszakże już oklepany, bo nadto dowiedziony... Rozsiane wieści, że w tym dniu imienin pani Chorążynéj Korszewskiéj będą razem i oświadczenia i zaręczyny; w dodatku, jakby dla rozweselenia kompanii, wyzwania, pojedynki, pojednanki; wprawiły w ruch całe sąsiedztwo a nawet przywabiły i odleglejszych gości, dalszą lub bliższą konnexyą z domem solenizującym połączonych. A tak nieobszerny ten domek od rana licznie napełniać się zaczął, i byłby się aż do ścisku przepełnił, gdyby piękna pora roku i piękna pogoda nie dozwalała mężczyznom, po złożeniu powinszowań solenizantce, rozchodzić się po dziedzińcu, a przez otwarte okna przepływające wolne powietrze, szerokiemi wachlarzami poruszane, nie rzeźwiło kobiet zasiadających wszystkie krzesła, taborety i zedle. Pan Chorąży, którego Bóg nie skąpą tuszą obdarzył, pocił się na ganku, coraz nowych witając gości, a poczciwa i zacna gospodyni przyjmowała ich w pokoju, dygając uniżenie wszystkim, a za rozmaite perory jednostajną formułą: „Bóg zapłać państwu dobrodziejom za tę nie zasłużoną dla mnie łaskę,“ dziękowała.

Przybył i dodał lustru zebranéj kompanii pan Micewicz, orderowany pan a kolligat gospodarzy, bo wdowę po jakimś Uwojniu miał za sobą. Bogactwem i pobożnością na całą Żmudź on był sławny, założywszy bowiem w dobrach swoich miasteczko Skaudwile, fundował tam kościół, postarał się o erekcyę przy nim nowéj parafii; a gdy na odpusty i jarmarki do swego miasteczka przybywał, miał zawsze w karecie worek drobnéj monety, którą gar-

ściami na pospólstwo i ubogich rzucał *). Razem z nim wysiadł z kolaski pan Pisarz Uwojnia brat pana Chorążego, a natenczas *osobliwość* na Żmudzi; nosił się on bowiem po niemiecku, miał na głowie pudrowaną fryzurę, przy boku zamiast pałasza szpadę z porcelanową rękojeścią, i jak wieść głosiła, umiał po francuzku, mówił z żydami po niemiecku, miał wiele książek i bywał za młodu w dalekich krajach, a co najbardziéj, sam jeden na całą Żmudź odbierał z Warszawy pisaną gazetę; a zatém nigdy go na próżno nie zapytano: co tam słychać?

Niepopularne to wszakże było *palladium* mądrości, lecz właśnie dla tego samego, że niepospolite, poważane powszechnie tak, że po intratny urząd pisarstwa ziemskiego Rosieńskiego nikt na przeciw niego na sejmiku nie sięgał. Niemiec! Niemiec! krzyczała szlachta, ależ *Statysta!* ależ *Mundrus! kajp Zaleskie gundrus!* **) dodawała kręcąc głowami, i na tém się kończyła opozycya. Pan Chorąży chlubił się bratem i nie płacił mu nigdy w częstych swych procesach za extrakta i dekreta, a pani Chorążyna we wszelkich trudniejszych okolicznościach domowych do niego się po radę uciekała, któréj on z prawdziwą zwykle życzliwością udzielał. Radzi więc byli oboje dwóm takim luminarzom, z których jeden złotém i gwiazdą, drugi mądrością świecił, lecz cała kompanija jakby tą jasnością olśniona spoważniała. Wnet się jednak twarze roweseliły, bo wpadł na dziedziniec pan Felicyan Bunak, którego wszyscy uprzejmym okrzykiem powitali. Gdziekolwiek on się zjawił, przynosił zawsze wesołość. Snuł się on po całéj Żmudzi, na gęstsze dymy z kominów sterując swego żmudzkiego kuca do małéj filadejki wprzężonego; lecz nigdzie miejsca nie zagrzał, i krótkie tylko po niektórych klasztorach stacye swoje piwem znaczył, a jak okręt do wysp po świeżą wodę, tak na świeży kufel szumiącego i tłustego piwka tak regularnie i peryodycznie wstępując, posilony i orzeźwiony, w dalszą puszczał się wędrówkę. Poeta z powołania i z rzemiosła, łgarz z potrzeby, bo gdzież mu było tyle prawdy się nabrać, aby jedynie jéj kosztem przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni roku jeść cudze obiady? ale nieszkodliwy nikomu, zabawny dla wszystkich. Mógłby on wprawdzie inny sobie sposób obrać do życia, wspoma-

---

*) Nie potrzebuję przypominać, że główniejsze tu opisywane figury są tamtoczasowe i prawdziwe.

**) Przysłowie to poszło od jakiegoś bardzo ugłaskanego bociana, chowanego w Wielonie u pana Szambelana Zaleskiego: *Mądry jak Zaleskiego bocian.*

gając się nauką, której nie skąpo liznął w szkołach Jezuickich w Krożach; ale on sposób ten na lepszych i pewniejszych fundamentach, niżeli na mądrości i pracy często niewdzięcznéj, założył, bo na nieograniczonéj i niemylnéj nigdy gościnności swoich ziomków, a Żmudź gęsto nasiedlona dworami tak, że zajeżdżając od jednego do drugiego, przegłodnieć nawet ani apetytu nabrać niemógł. Wiecznie zatém młody licem i umysłem, twarzy czerstwéj i rumianéj, oka bystrego, wysiadł rzeźwo ze swéj filadejki pan Felicyan. Konik jego świadomy wszystkich stajen, jak pan jego wszystkich dworów, powlókł się ku niéj spokojnie . . . On zaś poprawił oburącz na wypiętym brzuszku pasika, bo to zwyczajny był wstęp jego, gdy z oracyą miał wystąpić, lub gdy ją pięknie wyperorował, i otoczony całą gromadą gości, szedł tryumfalnie do solenizantki . . . a stanąwszy przed nią, wziął się w boki, ukłonił się wdzięcznie i tak prawił:

Słyną na Żmudzi
Pomiędzy ludzi
Szawlu bażniczia (Szawelski kościół)
Kretyngos warganoj (Kretyngowskie organy)
Krożiu warpaj (Krożskie dzwony)
Lecz jest rzecz czwarta,
Co sławy warta,
Na całéj Żmudzi,
Pomiędzy ludzi!
To ty gosposio
Z twą córką Dosią!

Więc dla mamuni
I dla córuni,
Niech dadzą nieba,
Czego potrzeba!
Męża dla dziewczęcia,
Dla mamuni zięcia!
Każdéj po sto latek,
I każdéj dostatek!
A kiedy ten kwiatek
Stanie w rzędzie matek,
Niechajże z swych dziatek,
Ma szczęścia zadatek,
A w mężu wierność i statek!
Tego życzy sługa twój,
Ant amžiu Amžinuj! *).

---

*) *Amžinuj*, potrzebaby *amžynuju*, ale poeta dla rymu dozwolił sobie odrzucić jedną literę.

Amen! Amen! zawołali wszyscy obecni, oklaskami okrywając oracyę, na któréj słowa Dosia spuściła oczy i rumieńcem się oblała, a Chorążyna najserdeczniéj dziękując odebrała z rąk tryumfującego poety przepisaną oracyę.

— Pięknie! rzekł pan Pisarz uśmiechając się, pięknie! A zdanie pana Pisarza wielce aprendował Bunak. Znaczno żeś się blizko Kroż urodził, i w Krożach retoryki i poezyi uczył, i że góra *Medziu-kałnas* *), na któréj jak wieść niesie nasz nieśmiertelny Sarbiewski ody swe układał, za Parnas ci służy.

Bunak na tak pochlebne wyrazy ukłonił się Pisarzowi, nieco się zastanowił, poprawił pasika i rzekł znowu:

Niezdolna muza jużby ochrzypała,
Gdyby w śpiewaniu posiłku nie miała,
Najprzód od Boga, jako stwórcy swego,
I tuż od mistrza Sarbiewskiego.
I dank od pana Pisarza ziemskiego!

Nowe applauzy okryły tę improwizację i pan Pisarz znowu się uśmiechając, uścisnął za rękę jaśniejącego chlubą i poprawującego pasika poetę.

Wtém na dziedzińcu nowy się gość okazał: pan Wincenty Mejra, konno, w przystojnym moderunku, z lózakiem za sobą. Konkurent! konkurent! szepty się rozniosły po kompanii i ciekawe wszystkich nań zwróciły się oczy. Szeptów tych i wzroku obojętnie znieść nie mógł Mejra, a gdy własny na Dosię podniósł, bladość jéj nagła tém bardziéj go zmięszała. Z konia zsiadł rzezko, ale przed Chorążyną już drżał cały i kilka zaledwo słów niezwięzłych zamiast namyślanego wprzód powinszowania wymówiwszy, schronić się musiał w tłum, złowróżbą dlań z pierwszego wstępu litością wzruszony; a Bunak równegoż ze wszystkiemi doznając wrażenia, patrząc nań i kiwając głową, biedny! rzekł: „*Radys ysz pupu newarytyus*“ **).

Jakby się zmówili panowie konkurenci, jeden za drugim przybywał.

— Konfederat! konfederat nasz! zawołano na dziedzińcu. I sa-

---

*) Podanie niesie, że Sarbiewski mieszkający w klasztorze Jezuickim w Krożach, na bliskiéj górze położonéj nad jeziorem, a zowiącéj się *Medziu-Kałnas*, składał swe ody po całéj Europie znane i sławione.

**) Znaczy: Gdyby go i w bobie znaleźć i z bobu nie należałoby go wyganiać.

dził na pięknym siwym koniu, który go pod Wiesznianami od śmierci czy niewoli uniósł, *Żegota Milanowski:* za nim *Poroczka* i *Norejko.* W pąsowym kontuszu, z szafirowym kołnierzem i wyłogami, to jest w mundurze ziemi Żmudzkiéj, sutym pasem szérokim przepasany, z lekką konfederatką na głowie, i lekką od parady karabelą u boku, wznawiając piękną i tak ozdobną postacią swą, pamięć swego męztwa, a zatém z urokiem chwały i zaufania, podniecanym pochlebném od wszystkich powitaniem, stanął on przed gankiem. Uścisnął witającego gospodarza na ganku, a ucałowawszy w pokoju rękę solenizantki, gdy obok tuż znalazła się i druga rączka jéj córki, nie ominął dobréj okazyi i głośnego na niéj złożył busiaka; potém jakby po smacznym kęsie muskując wąsa. „Chorążyno dobrodziko, rzekł, żołnierz, nie umiem komplementów. Daj ci Boże szczęście i zdrowie, a mnie daj Boże być twoim synem, bo już cię kocham jak matkę!“ Brawo! brawo! okrzyknięto, Dosia uciekła, a Chorążyna nie miała siły odpowiedzieć. Lecz Żegota wodząc wzrokiem po kompanji, gdy spotkał twarz Mejry, aż się krokiem w tył cofnął, tak się przeraził wyrazem wściekłéj zajadłości jaka mu z oczu zionęła i paliła się na obliczu.

Tymczasem trzask z bicza nowych znów zwiastował gości; jakoż wjeżdżała przez wrota karoca, sześciokonnym rozmaitéj maści i wzrostu, widocznie *ad hoc* zbieranym cugiem ciągnięta. Trzeci to konkurent, pan Pułkownik *Murmuluk* przybywał.

Lubośmy już nieco podmalowali postać tego starego pruskiego żołnierza, lecz w wybitniejszych teraz wystawić go musimy rysach, w obec jego rywalów. Komu z czytelników zdarzyło się widzieć na staroświeckich, jaskrawo kolorowanych *landszaftach* postać Fryderyka Wielkiego, w wojskowym jego mundurze, ten łatwo wyobrazi sobie i ubior Pułkownika, a był nim, czyli się tylko być nim mienił Murmuluk? Figura wysoka i sucha, na niéj granatowy dawnego kroju frak z czerwoną podszewką i czerwonym na wpół odłożonym kołnierzem; kamizel także długa i czerwona spadała mu prawie na kolana, objęte jakby szerokiemi wazonami palonemi klapami wysokich butów, w których dośćby jeszcze było miejsca na drugie równie cieńkie piszczele. Na takiéj sztywnéj figurze głowa twardym halsztuchem podparta, bo ją starość nadto schyliłaby może, i na niéj peruka, na którą szczotki, mąki i łoju dziś nie żałowano, uzupełniała toaletę od parady, godną tych malowideł, któremi pamięć

i największych częstokroć bohaterów między gminem się poniewiera.

Maszerował więc i pan Pułkownik ubitą już ścieżką przed Chorążynę, i zwykłym nosowym głosem z należytą powagą, rzekł jéj: „Gdym pod Kistrynem wiktoryzującemu Fryderykowi Wielkiemu winszował“... W tym Bunak, ciekawy cudzéj perory, przecisnął się przez tłum i przerwał: Musiałeś to po niemiecku uczynić panie Pułkowniku; utnijże i tu dla pani Chorążyny dobrodziki naszéj, komplement niemiecki, a potém toż samo przewertuj po polsku czy po żmudzku: tak wszystkie nasze oracye zakasujesz, i będziesz wiktoryzował jak Fryderyk pod Kistrynem.

— *Dowód to łaski Pańskiéj!* rzekł zmięszany Pułkownik, a Chorążyna podziękowaniem uwolniła go od kłopotu i kontynuacyi komplementu, z którego wszyscy się rozśmieli.

Nakoniec zamknął poczet gości za konkurentami przybywający swat, pan Podczaszy Rupejko, zaproszony przez Milanowskiego, aby się koniecznie na ten dzień do Uwojniów stawił, i którego nienalazłszy on jeszcze, gdy sam przybył, niecierpliwie wyglądał.

Suty zatém szlachecki wnet nastąpił obiad.

W izbach, w sieniach, na ganku, na dziedzińcu, wszędzie się kurzyło, jadło i piło; licznego zgromadzenia nie objął szczupły domek, ale nasycał wszystkich, a ochoczych do kielicha wybornym poił trunkiem, którego blizkie Królewiec i Ryga, za len i siemie żmudzkie, każdemu szlachcicowi hojnie przed każdym familijnym aniwersarzem dostarczały.

Gęste *wiwaty* na cześć solenizantki, gdy z kolei padły na Dosię, sypnęły się jak gradem strzeliste alluzje do obecnego stanu okoliczności; płonęły jak róże piękne lica dziewczyny, a tém bardziej zaostrzało ciekawość wszystkich, kobiét zaś szczególniéj, rozwiązanie téj sceny, któréj piérwsze przy kieliszkach odzywały się prologi.

Jakoż po obiedzie wnet interes główny porozdzielał na rozmaite gromadki i aktorów i widzów.

Pan Rupejko wziął na konferencyę Milanowskiego, i odprowadziwszy go od kompanji.— Czy wypada, rzekł, w tak licznéj frekwencyi rozpoczynać nasze oświadczenia?

— A to czemu, panie Tomaszu? odpowiedział żywo Milanowski — Czy mam się wstydzić moich uczciwych zamiarów? A co to ja? błazen? mam się puszczać w długie zaloty? zostać emulusem tego młokosa Mejry, i jak w infimie, iść z nim *de loco* w sercu Dosi? Czy śmieszyć ludzi, wyzywając na pojedynek tego starego niedołęgę, który jednak ot widzisz wodzi się pod rękę z Chorążym, jak żuraw z indykiem. Ja panie Tomaszu idę prostą, szczérą i poczciwą drogą, jak przystało na szlachcica i żołnierza. — Kocham Dosię, to prawda — och i bardzo kocham! Chcę ją mieć za żonę i nie mogę się nacieszyć, gdy ją sobie wyobrażam gosposią w mojéj Berżyłówce!!! Dziecko to bogobojnéj i zacnéj matki. — *Jakie drzewo taka kora — jaka matka taka córa*, powiada stare przysłowie. A jeżeli weźmiemy rekuzę, cóż za wstyd? Powiem i ludziom i sobie, że widać niéma w tém przeznaczenia Bożego a w łeb sobie nie wypalę!

Miarkuj panie Tomaszu, że gdybyśmy dziś żadnéj nie uczyniwszy tentacyi odjechali, powiedzieliby wszyscy, żem się przeląkł Mejry i Murmuluka, a szpetnaż to byłaby dla mnie inwektywa, którą pałaszem potém odpędzać może musiałbym. Więc nie można daléj zwlekać. Co się ma stać, niech się stanie!.... Nie pożałuj zatém gęby panie Tomaszu.... Ot, ot patrzaj, jak Półkownikowi aż się peruka skrzywiła i harcapik już nad uchem, i jak się gęsto kłania Chorążemu. Dalibóg, panie bracie on nas uprzedził, i pewnie krociowemi zapisami traktuje tatulka Dosi.

Jakoż rzeczywiście Półkownik nie tracił czasu, a bardziéj kielichami, które jak przystało niemieckiemu rycerzowi do dna wychylał, niżeli rozwagą okoliczności zdeterminowany i ośmielony, pociągnął za sobą w drugą stronę na dziedziniec Chorążego, i rzekł mu, kłopocąc się za każdém słowem nim się rozgadał:

— Dowód to łaski pańskiéj.... że masz córkę....

— A Mości Dobrodzieju, przerwał Chorąży, ja mam cztéry córki, a zatém cztéry dowody łaski, ale Boskiéj Mości Dobrodzieju.

— Nie to chciałem powiedzieć. — Folwarki moje gdym ja pod Kistrynem...

— Brat pański pozastawiał: wiemy o tém.

— Tak tak; otóż niedawno mówiłeś mi pan, dowód to łaski pańskiéj, że potrafiłbyś je windykować i zastawników z kwitkiem puścić.

— Naturalnie pozwawszy ich do *exempcyi salvo calculo*. *)

— Otoż byle Chorążaneczka Dobrodzika, godna córka ichmościów dobrodziejów. . . rękę swą wieczystym traktatem z moją połączyła, Jegomość dobrodziéj przyjmiesz na siebie windykacyę z pod zastawy folwarków, a na całéj méj fortunie opiszę jéj dożywocie, i darem tyle, ile sam naznaczysz.

Chorąży odetchnął z całych piersi i otarł siną chustką pot z czoła: a właśnie wtenczas Półkownik, kłaniając się mu nizko na zakończenie tego trudnego oświadczenia, skrzywił perukę.

— A coby na to powiedział pan Kasztelan, brat pański? zapytał po niejakiéj chwili milczenia Chorąży.

— Panu Kasztelanowi *finfa!*— odpowiedział Półkownik. Ja swoich chcę mieć sukcessorów, a nie jego synków hoholów.

Chorąży spójrzał po téj zaschłéj mumji, czyniąc jéj *skrutynium* od głowy do nóg— potém podniósł łeb do góry, pociągnął powietrza jakby natchnienia i w wątpliwych pokuszeniach jakiemi go Pułkownik nabawił, trafił na dawną myśl swoję i chwycił się jéj oburącz.

— W takim razie, Pułkowniku Dobrodzieju, rzekł on, musisz mi udzielić *horę*.

— Dowód to łaski pańskiéj. . . ale nie rozumiem. . .

— Jak to? chyba zapomniałeś po łacinie: *hora* to godzina.

— A teraz rozumiem — Jegomość Dobrodziéj chcesz abym zaczekał godzinę.— Dowód to łaski pańskiéj — zgoda — bo gdym był pod Kistrynem, a trzeba było czekać ordynansu. . .

— Tak, godzinę, przerwał mu Chorąży — *preter propter* godzinę— lękając się aby za godzinę znowu nań nie natarł Pułkownik, gdy propozycya jego dłuższego namysłu i rady familijnéj wymagała. Tak panie Pułkowniku, dodał, jest to ostateczna dylacya prawna, która jednak i dłużéj trwać może, gdy w ciągu jéj inne nadarzą się sprawy. . .

— Ej! ej! *tausend teufel!* inne sprawy. Chorąży Dobrodzieju— nie to chciałem powiedzieć — inne sprawy! Ale tu pan Milanowski i pan Mejra mogą te sprawy zaprowadzić. . . . a nie mają folwarków do windykacyi. . . .

Chorąży niedosłuchując się już więcéj, zawrócił się szybko i zbliżał się do ganku, upatrując brata pana Pisarza, do którego po radę jak najrychléj chciał trafić, a Pułkownik idący za nim zboczył ku

*) Do okupna pod kalkulacyą.

wałęsającemu się po dziedzińcu bezustannie między gośćmi kielichowi, i po takiém wysileniu wychyliwszy go skwapliwie stanął, ochoczo do dalszych kolei.— Piliśmy pod Kistrynem...

— Pijmyż i tu— kończył pan Bitowt serdeczny gracz do wiwatów, dolewając mu spełna.

— Dowód to łaski pańskiéj!

Cała kompanija to przez okna z pokojów, to rozpierzchniona przed domem, uważała te obróty konkurentów, a damy z litością poglądały na zbledniałego i opartego o ścianę Mejrę, i wzrokiem to pałającym, to obłąkanym ścigającego Dosię, która nieodstępowała matki, i jak drżąca przed burzą ptaszyna, tuliła się pod jéj skrzydła. Nakoniec jakby z letargu nagle obudzony, postąpił on szybko do siedzącego w sieniach na zedlu Pisarza i szeroko rozprawiającego przed liczném auditorium o polityce europejskiéj, a ująwszy go za rękę: Panie Pisarzu Dobrodzieju rzekł: Kilka słów na osóbności, proszę.

— A gdzież ją najdziemy? zapytał zdziwiony Pisarz.

Choćby tu blizko byle nie w tłumie. O kilka więc kroków stanęli na ganku, podczas gdy jeszcze Żegota z Rupejką, a Pułkownik z Chorążym konferencye na dziedzińcu prowadzili.

— Panie Pisarzu, rzekł Mejra z cicha ale dobitnie: życie lub śmierć moja w twoim ręku. Ratuj mnie!

— Co to się ma znaczyć? rzekł zdziwiony Pisarz, a razem spójrzawszy na Mejrę, poznał że to nie żarty, że młody ten człowiek wre gwałtownie. Co ci jest panie Wincenty, mówił więc: uspokoj się.

— Kocham synowicę pańską, kocham Dosię!...

— Słyszałem o tém.

— Kocham ją nad życie! kocham ją jak jéj nikt nie kocha! Patrz panie, oto tam targi na jéj rękę! ten ofiaruje ojcu jéj fortuny swoje; ten namawia swego mądrego swata. Oh! ten drugi!!! wskazywał na Milanowskiego, weźmie ją, weźmie... ale razem weźmie on i moje życie, albo własne położy!... Panie pisarzu ratuj! nieszczęście nad nim! I gwałtownie, konwulsyjnie, gniótł ręce swoje, jakby koście w nich pokruszyć chciał.

— Szaleńcze! mówił przerażony Pisarz. Po co ta rozpacz? Upamiętaj się... jakże ci mam pomódz? Czyliż cię Dosia kocha wzajemnie?

W tém nadszedł śpiesznym krokiem uciekający od Pułkownika, a upatrujący właśnie Pisarza ojciec Dosi.

— Braciszku! — rzekł on żywo, mam do pomówienia, i biorąc go za rękę, chciał w inną stronę odprowadzić.

— Nie! zawołał Mejra, głośno już i bezwzględnie na przypatrującą się temu gromadę. Nie, zostaniesz tu panie Pisarzu. I ujął go za rękę tak, że rozkrzyżowany Pisarz nie mógł się ruszyć z miejsca.

— Ale chodź braciszku, chodź, wołał Chorąży. Poczekaj panie Wincenty, *periculum in mora* *). Dałem *horę* Pułkownikowi a on oddaje i zapisuje całą swą fortunę i folwarki dla Dosi, byle za niego poszła.

— A ja daję za to życie moje! O Boże! cóż mam dać więcéj? Niestety! mówił daléj widząc krzywiącego się Chorążego. Życie to widzę nie warte folwarków Pułkownika! Ale ostrzegam panie Chorąży, że kto mi to życie, to jest Dosię odbiera... bo to wszystko jedno!

Przerwał tę zapamiętałą mowę nadeszły pan Rupejko z Żegotą. Panie Chorąży Dobrodzieju, rzekł on z niejaką uroczystością i powagą, proszę pana udać się do godnéj małżonki swojéj, abyście razem oboje wysłuchać raczyli poselstwa mojego. Pan Pisarz Dobrodziéj także nie odmówisz nam prezencyi swojéj, jako *primatus* téj zacnéj familji. To mówiąc wskazywał drogę, i uprzejmie wprawdzie ale ciągnął za sobą Pisarza i Chorążego, a Żegota z tyłu także uprzejmie, ale popychał obu, z ganku do sieni, z sieni do pokoju, a że i tłum ogarniający ich wszystkich i ciekawy cisnął się także za niemi, Mejra więc, nie mogący się uwolnić i wyplątać; razem tamże wparty został.

Chorążyna między matronami siedziała w drugim pokoju, niespokojna a usiłująca ukryć swą niespokojność przed gośćmi. Dosia przy niéj, równie jak matka trwogą przejęta. O cóżby dały obiedwie za kilka chwil samotnéj rozmowy i wspólnéj w takim trudnym stanie modlitwy!

— Panie Podczaszy, rzekł Pisarz, gdy się wtłoczyli do piérwszego pokoju, niéma tu widzę mojéj bratowéj ani synowicy, pozwól niech pójdę i przygotuję ich nieco do wysłuchania tego, co

*) Niebezpieczeństwo we zwłóce.

masz im powiedzieć, bo tak *insperate*... i w tak licznéj kompanji... Gdybyście się mnie wprzód poradzili...

— Nie moja w tém wina, panie Pisarzu, ale samegoż pana Milanowskiego. A teraz, gdy już cała kompanja słyszy i widzi wszystko, nie czas odmieniać plany. Raczże pan Dobrodziéj pójść i wyjednać nam audyencyę i matki i córki.

Tymczasem Mejra przecisnął się przez tłum do Żegoty i chwyciwszy go za rękę a cisnąc gwałtownie: Słuchaj, rzekł, chcesz wziąć Dosię; wiedz, że za nią dasz życie swoje, albo moje weźmiesz; chcesz kobierca, ale ja tobie całun rozścielę!

Zadrżał Żegota, ale miarkując się wszelako: Młody jesteś panie Mejra, rzekł, więc nie umiesz ani sobie poradzić, ani się pohamować. Ale, dodał z szyderczym uśmiechem, nie ciśnij mnie tak mocno ręki, bo gdy twoją wzajemnie ścisnę, to zgniotę palce na miazgę, i nie będziesz miał czem trzymać szabli, bez któréj między nami jak uważam nie obejdzie się.

— Ty się naigrawasz banito! Na ciebie miecz kata nie szabla szlachecka! wrzasnął tracący przytomność i zajadły Mejra.

Milanowski wydarł swą rękę i porwał za pałasz...

Kobiety przerażone z krzykiem rzuciły się do drugiego pokoju, i tam jeszcze krzyczały. Mężczyzni osłupieli zrazu, lecz pan Micewicz, a za nim jednym głosem wszyscy zawołali: Mości panowie, nie dozwolim krwi w tym domu i w tym dniu! Zastanowił się Żegota: Tak! rzekł, Tak! zasuwając nazad w pół dobyty pałasz. Krew na potém!... Krew na potém!... a teraz... a teraz wyrzucić trzeba za okno psa wściekłego, aby uczciwych ludzi nie kąsał. I rzucił się na Mejrę... Ten go z rozpaczą rzeczywiście wściekłą przyjął.

Nie było czasu niedopuścić ich do siebie, lub rozdzielić i rozbroić. W mgnieniu oka jakby się zrośli z sobą, rozpoczęła się walka... lwa z tygrysem. Widzowie, ubezpieczeni teraz, że się bez krwi obejdzie, nietylko nie tłumili ich zajadłości, ale to śmiechem, to pustém słowem podniecali ich jeszcze.

Chorąży, przypomniawszy swoje dyfferencye: To to to! zawołał klaskając w dłonie, obaczymże teraz kto silniejszy?

— Trzymaj się Mejra! trzymaj się! krzyczano.

Oho nie łatwo konfederatowi, zawołał Bunak, *Na wyłka biegał, teksy miszku* *). Jakoż poznał i Żegota, że mu nie łatwo będzie

*) Na wilka biegł, a trafił na niedźwiedzia.

wykonać swą zapowiedź i wyrzucić Mejrę za okno. Niższy on znacznie urodą, chwycił wpół Żegotę, ale tak go silnie cisnął, że ten, chociaż miał ręce wolne, i po kilka razy podjął go w górę i do okna wnieść chciał, nigdy tego dokazać nie mógł, bo go ani od ziemi, ani od siebie oderwać nie zdołał.

Dużanie się to i szamotanie rozpędzało po kątach widzów; czepiając się za rozmaite sprzęty poodrywały się szable szermierzy.

— Dość tego, Mości panowie! dość! krzyczano zewsząd, ale nikt postąpić nie śmiał, a walka się przedłużała... Zajadły Mejra targał Żegotę na wszystkie strony; ale ta sama zajadłość i trudność odparcia się tak potężnéj figurze, pchającéj go zawsze ku oknom, wysiliły go i zmogły... Żegota, doświadczony we wszelkich i na ostre i na suche razy zapasach, poczuł i poznał tę chwilę osłabienia przeciwnika... więc zebrawszy wszystkie swe oszczędzone dotąd siły, rozerwał żelazną około siebie ze spiętych rąk Mejry obręcz, porwał go nagle... i ze wściekłością tygrysią wpijającego się weń Mejrę, nieprzepartą potęgą i impetem lwa cisnął w okno... *Precz z tego domu i serca Dosi!* krzyknął razem.

Wysadzone z ram okno prysnęło w drobiazgi i szkłem potłuczoném zasypało wypadającego przezeń Mejrę.

Huczne brawo, obojętnéj na tę zniewagę zwyciężonego a ukontentowanéj z widowiska publiczności, osypało tryumfującego Żegotę. Mejra, ogłuszony tak okrutnym upadkiem, przez chwilę leżał na ziemi jak bez życia; lecz wkrótce zerwał się na nogi, przebiegł jak szalony dziedziniec, a nim się postrzeżono, już był na koniu i pędem najżywszym poleciał do domu, o pół-mili tylko ztąd odległego.

Milanowski wnet z kolei, począwszy od gospodyni, przepraszał, wszystkie damy za przestrach, jaki im sprawił. Absolwowano go tém łatwiéj, że piérwsza i dotkliwa obelga od Mejry poszła. Gdy się więc rozruch uspokoił, i gęstym kielichem obchodzono tryumf, pan Chorąży oglądając się na wszystkie strony niespokojnie: gdzież pan Pułkownik? zapytał.

— A prawda, prawda! zawołano, gdzież Pułkownik?

— Panie Felicyanie, rzekł Chorąży do Bunaka, delegujemy cię abyś go wyszukał.

— A nie trzeba daleko szukać, odpowiedział poeta wyjrzawszy przez okno. Ot, siedzi na wschodach pod śpichrzem z towarzyszami.

Ha, nieźle sobie widzę poradzili. Dzban w ręku pana Bitowta, kielich w ręku pana Styrpejki, a pan Pułkownik coś rezonuje.

— Idź więc, idź panie Felicyanie, i proś wszystkich trzech do kompanji. Poszedł więc Bunak na ponowione wezwanie gospodarza.

Pułkownik błędnym i przymroczonym wzrokiem pogl dał w około. Nie wiele już on miał pamięci, gdy Mejra przez okno wyleciał; fakt ten jednak, na który chociaż poglądał z daleka, gwałtownością swą uderzył go mocno; lecz zrozumieć go nie mogąc, pomięszał to razem w swéj głowie z Kistrynem i ze swoją swaćbą. Towarzysze dogodzili sobie również, i siedząc około niego z rewerencyą, zdawali się słuchać jego mowy, bo sami już prawie nic przemówić nie mogli.

Gdy do téj gruppy Bunak się zbliżył, Pułkownik słaniając się i drzémiąc, bełkotał coś tak, że głośniejsze tylko wyrazy dosłyszał Bunak, „pod Kistrynem . . . on jego . . . za okno wyrzucił . . . a finfa . . . w dożywocie Dosi“. . .

— Poeto, przemówił *Bitowt* przewracając jak do nalania dzban, z którego nic się nie lało . . . *Vacuum!* . . . *fac ut fiat* . . . *plenum* . . . *Styrpejko* wytrzészczał oczy, które wszystkim trzem się kleiły, i skleiły się nakoniec zupełnie; a Bunak rozśmiał się, zabrał kielich ze dzbanem i wrócił.

Tymczasem pan Podczaszy, nie tracąc chwil, ani głównego interesu z uwagi, wziął Chorążego pod rękę i podprowadzić go chciał do żony, gdzie i Pisarz był między damami; lecz ten się ociągał, i oglądał się bez ustanku, aż się ukazał Bunak.

— A cóż Pułkownik? skwapliwie on zapytał wchodzącego.

— Legł pod pańskim śpichrzem jak pod Kistrynem, a ja *spolia opima* *) odnoszę.

— Jakże? nie przyjdzie?

— A chyba go przynieść każesz Chorąży Dobrodzieju.

— *Contumax* na banicyę **) i odsądza się *ab omni acitivitate* ***) w-zawołać się mającym aktoracie. Chorąży Dobrodzieju, rzekł Podczaszy trafiając zręcznie w ulubiony styl i język procesowy Chorążego.

---

*) Zdobycze pośmiertne.

**) Skondemnowany na wygnanie.

***) Od wszelkiej czynności.

— Alem mu dał *horę*. Pan, jako prawnik doskonały, znasz tę dyllacyę . . .

— A cóż gdy po upłynionéj *horze* nie stanął na zawołanie? Znasz także panie Chorąży, oho! a któż lepiéj zna od pana? że w takim razie niestawający traci zupełnie *na rzeczy*, i sąd do wołania innych aktoratów przystąpić musi, boby popadł oskarżeniu *de mala gesto officii* *). Więc wołajmy inny aktorat, w którym Chorąży Dobrodzieju będziesz *superarbitrem*.

— Tak to jest, mówił rozważnie Chorąży, tak to jest. Mógłby sąd być pozwanym do trybunału *de mala gesto officii* i zostać skazanym na *lucra* . . .

Wprowadzony więc na główne i nieustanne w głowie jego plątające się processowe myśli, rozumiał się być skonwinkowany prawnym i nieodbitym dowodem, a w takich rozwagach ani się postrzegł, jak się znalazł w drugim pokoju obok żony.

Żegota, widząc że Podczaszy do sprawowania poselstwa swego zabiera się, gdy pewnym pomyślnego skutku być nie mógł, wyszedł do stajni, i znajdując tam wiernych sług swoich: siodłajcie, rzekł, konie, bo jak schwycę odkosza, co wnet nastąpić może, to długo popasywać tu nie będziemy.

Ale Poroczka i Norejko stali z zasmuconemi twarzami oparci o jaśle i patrzali na pańskiego siwaka.

Siwaka gryzł uzdę, pienił się, strzygł uszami, i zapalczywie kopytem ziemię kopał.

— Co to znaczy? zapytał Żegota, nie postrzegając jeszcze konia, a widząc tylko smutne ich twarze.

Oba nie odpowiadając wskazali tylko na konia.

Miłanowski zwrócił nań oczy natenczas.

— Boże! co to jest? zawołał przerażony przed bitwą pod Wiesznianami on tak samo kopał jamę . . .

— Oh, nie tak wielką jak teraz, rzekł Poroczka, i nie trząsł się tak cały. Oh! Jegomość Dobrodziéj nasz, co z tego będzie?

Żegota poszedł do swego faworyta i gładząc go miłośnie: kosiu mój! kosiu! zawołał. Cóż ty mnie wróżysz? przecież na wojnę nie jedziemy. Koń poznał pana, obrócił doń głowę, przestał kopać i zarżał radośnie . . .

---

*) O złe sprawowanie obowiązku.

— Patrzajże, patrzaj Jegomość, jak on zna swego pana! Boże zmiłuj się! to nie koń, to przyjaciel, to brat! Nie odchodź Jegomość, bo on padnie z żalu, mówili razem oba.

— Co się wam dzieje? rzekł Milanowski, ukrywając własne głębokie wzruszenie. Koń może być chorym; cóż dziwnego że mnie poznał, gdy go codzień pieszczę. Uważajcie go dobrze, może mu krew przerwać trzeba?

— Nie, nie chory on, nie chory! ja się znam na tém, mówił Norejko. Ale . . . ale . . . niech Pan Bóg ma nas w swojéj opiece! My pistolety ponabijamy . . . a Jegomość! . . . Dobrodzieju nasz! Ojczeńku nasz! . . . a tu oba z płaczem całowali mu ręce i ściskali za kolana. Czy nie lepiejby te swaćby porzucić? Patrz pan, znowu siwak kopie! . . .

Milanowski czując także łzy na oczach, a gorycz na duszy, wydarł się sługom swoim poczciwym i wyszedł ze stajni.

Była to chwila najcięższéj próby przywiązania jego i miłości ku Dosi, bo gdyby miłość ta mniéj głęboką była, uległaby i ustąpiła grożącemu fatalną, ale niestety często sprawdzającą się wróżbą, przesądowi.

Na dziedzińcu uspokoił się nieco Żegota, otarł pot tą wewnętrzną walką na czoło wyparty, i czekał niecierpliwie na hasło z pokoju od Podczaszego, wpatrując się jedynie w obraz, który mu się od dawna w głowie utworzył, a tak mu miły i ponętny, że i teraz wszelkie złe wróżby zasłonił i rozchwiał: obraz Dosi, *gosposią w Berżyłówce*.

Rupejko, zgromadziwszy razem stryja, ojca i matkę Dosi, gdyż jakeśmy to powiedzieli i drżąca Dosia jéj nie odstępowała; ukłonił się im wszystkim układnie i rzekł:

„Mości Chorążowstwo Dobrodzieje! Sięga po najpiękniejszy splendor domu waszego, znany wam i całemu Księstwu Żmudzkiemu, pan Żegota z Milanowa Milanowski, bo po rękę godnéj córki waszéj, tu obecnéj Doroty. Używa on mnie, jako życzliwego wam i jemu przyjaciela, *quod licet et decet* *) w takich konjukturach, abym złożył u nóg waszych, szczére żądanie jego, a u nóg twoich nadobna panno, gorący affekt jego ku tobie. Wybrał on ten *aniwersarz imienin* twoich, Chorążyno Dobrodziko, w którym w progi wasze liczna przyjaciół zebrała się komitywa; bo *publice* imprezę swoją

*) Co się godzi i przystoi.

deklarując, tém głębszego dla was respektu chce dowieść, a razem ma nadzieję, że w téj wybornéj kompanji nie znajdzie się nikt, któryby w tak ważnym życia jego interesie, odmówił łaskawéj do Wacpaństwa Dobrodziejów instancyi i protekcyi, ziomkowi szlachcicowi i bratu, gotowemu jak zawsze *hodie et cras* *) na usługi każdego.

„Raczcież tedy zacni rodzice, przyjąć w łaskawą konsyderacyę i animadwersję pokorną suplikę moją; raczcie przyjąć za syna, potomka a potomka nieodrodnego owych dawnych Wiedeńskiéj wiktoryi rycerzy... A ty Mościa panno Chrążanko Dobrodziko; liljo nadobna! perło dziewic naszych! przyjm na dożywotniego sługę swego, adorującego cię całém sercem człowieka, za którego uczciwość, cnotę i wiarę ręczymy wszyscy.“

Tu podczaszy powiódł okiem po zgromadzeniu, i ozwał się okrzyk powszechny: ręczymy! ręczymy!

„Otoż dowód, mówił daléj Podczaszy, na jak szczéry braterski affekt potrafił zasłużyć sobie pan Milanowski. Miłość ludzka jest ewikcyą najpewniéjszą łaski Boskiéj, a łaska Boska jest to grunt niewzruszony, na któréj jak na opoce *super petram* funduje się cała konstytucya szczęścia ludzkiego. Na niéj więc gdy zafundowanym będzie i twój związek, panno Chorążanko Dobrodziko, a korroborowany waszém rodzicielskiém błogosławieństwem, w konsekwencyi fortunnych lat koleją, staniesz u mety nieomylnych sukcessów, oparta na ramieniu męża, a otoczona życzliwemi wotami wszystkich, którzy tu teraz *clare et viva voce* **) przypieczętowali *testimonium* cnoty jego, a których *iterum iterumque* proszę i wzywam jeszcze, aby się przyłożyli znowu do wyjednania pomyślnego ewentu téj mojéj poselskiéj funkcyi.“

Zręcznym takim obrótem mowy swéj, Rupejko nie tylko usunął wszelką niedogodność licznego przy oświadczeniu się zabrania, którego się lękał, lecz jeszcze zeń skorzystał i wspomógł się gromadą sprzymierzeńców, którzy wnet otoczyli hurmem oboje Chorążowstwo, Pisarza i Dosię, błagając o zezwolenie ich na uszczęśliwienie Żegoty. Bo też pan Podczaszy znał dobrze, że obywatelska szlachta nasza, to poczciwy i serdeczny lud, a zatém że gorąco i stosownie wezwana, rozpływając się, zwłaszcza po kielichach, w czu-

*) Dziś i jutro.
**) Czystym i żywym głosem

łe życzliwości i afekta', skutecznie go wspomoże; a gdyby się to nieudało, miał jeszcze w pogotowiu projekt przeprowadzenia im po głowach *punktu honoru;* wtenczas stanęliby z uporem, biorąc odmówienie prośbom za *pospozycję*, z czém jeszcze trudniéj byłoby Chorążowstwu, niżeli z pokorną teraz instancją.

Podczas téj perory, Chorążyna ruszała ciągle ustami, zdawaćby się mogło widzom, że się przygotowywa i cicho jak student lekcję, odpowiedź swą repetuje, lecz ona od pierwszego słowa Podczaszego zaczęła szeptać *Pod twoję obronę*, potém poszły *zdrowaśki* zalewane łzami i westchnieniami tłumione.

Po ślicznych jagodach Dosi płynęły także łez strumienie; tém piękniejszą i milszą była ona, jak kwiat perłami rosy skropiony żywszemi się kolory krasi i nęci.

Chorąży ukontentowany takim niezwykłym honorem, że wielmożni i jaśniewielmożni jemu się kłaniali, obracał się i okręcał żwawo w hucznie suplikującym go tłumie na wszystkie strony, ściskał każdego i bez ustanku wołał: Zgadzam się! zgadzam się i pozwalam! Pozwalam i zgadzam się! nogi weneruję i błogosławię! a do Rupejki: Tęgi produkt, panie Podczaszy dobrodzieju, tęgi! Pułkownik utracił na rzeczy, przepił *horę!* i do Pisarza: Bracie! gotuj się na replikę, i dalej znowu: Zgadzam się i błogosławię stopy! pozwalam i weneruję!... Matkę i córkę również tłum otaczał i prośbami molestował: poważniejsze nawet matrony, same rozrzewnione, zbliżyły się do nich i niememi uściski prośby swe czy powinszowania tłumaczyć zdawały się.

Zbliżył się i Pisarz. Cóż bratowo? rzekł on, cóż kochana synowico? i powtarzał kilkakrotnie to pytanie; lecz zaczęte po kilka razy takoż odpowiedzie przerywały się na ustach i matki i córki, wymówić im się nie dawały... Przekonanie rozsądne jak wprzód jeszcze w samotnych konferencyach, któreśmy wyżéj przywiedli, tak i teraz dyktowało przyjęcie związku ze wszech względów pomyślnego, i nadto jeszcze tak od ludzi narajanego. Ala cóś, cóś głębszego od przekonania i rozsądku, co instynktem czy przeczuciem duszy głęboko wzruszonéj nazwiemy, zaciemniało piękne przyszłości nadzieje, i tłumiło głos w ich piersiach... Nakoniec pierwsze musiało wyjść na jaw, a drugie zostać w duszy, aby się przypomnieć później, w chwili zawstydzającéj częstokroć ludzkie rachuby i nadzieje...

— Więc niech tak będzie jak chcecie... jak chce Dosia!... dodała skwapliwie zachlipaną mową Chorążyna. Dosia rzuciła się tylko w jéj objęcia... I to już wziąć trzeba było za zgodę, bo nic wymówić nie zdołała.

— A zatém zgoda! zgoda! okrzyknięto. Mów replikę bracie! wołał Chorąży, mów!

Pisarz jeszcze się obejrzał na Chorążynę; ta skinieniem głowy zdawała się powtarzać co wyrzekła: Niech tak będzie jak chcecie. Więc Pisarz postąpił naprzód i odchrząknął. Na to hasło tłum się rozsunął, szérokie się utworzyło koło, wepchnięto we środek Rupejkę, a stojący naprzeciw pan Pisarz, miodopłynnie i delikatnie mówił:

— „Mości Podczaszy dobrodzieju! W zaistoczeniu rzeczywistości przyrodzenia, gdy skupienie się w jednotliwość małżeńską jest zrozumiętalnym celem płci białéj, i gdy wybór i odbór rąk i serc mających w ścisłém zjednoczeniu stanąć na kotwicy życio-dawczéj żeglugi pieczołowitości rodzicielskiéj, dziewiczą zastępującéj skromnotę, z górnych niebieskich wyroków jest poruczonym, przeto i braterstwo moje wzywając pomocy i błogosławieństwa Tego, który z ziemno-wodnych zamętów wyprowadziwszy pierwotne żywioły, wzajemną je ku sobie napawa skłonnością: i widząc w zacnościach pana Żegoty Milanowskiego pełnonośne przyszłowiecznych i wiecznych pomyślności swéj ulubionéj córy, nadzieje: poręką nadto Jaśnie Wielmożnych i Panów Dobrodziejów obezpieczone, skłonieni są otworzyć krokom jéj drogę z rodzicielskiéj swojszczyzny na ślubny złotowzory kobierzec... A zatem, Mości Podczaszy! „Tu się ukłonił, wszyscy dali huczną salwę w dłonie, a Rupejko: Wiem, rzekł, co mi teraz czynić należy, i wyszedł skwapliwie po Milanowskiego.“

— A niech go kaci jak mądrze! rzekł z cicha Micewicz do Bunaka. a czy zrozumiałeś?

— Jużcić zrozumiałem, bo na końcu kobierzec, odpowiedział on, ale bo to nowéj mody orator, to *purysta*, *pure* po polsku, JW. Pan musisz wiedzieć że łacina już idzie pod ławę. W Warszawie słyszę, takiego z aktowego regestru sądzą, który perory swoje, po Jezuicku nią szpikuje, Ależ za to górnie!...

Wtém wszedł Rupejko prowadząc Żegotę. „No panie bracie, rzekł on, złóż u nóg rodziców twéj ulubionéj Dosi pokorną gratulację, że cię za syna przyswoić zgadzają się. Ofiaruj swe wierne a wieczyste służby jéj saméj i błagaj, niech raczy przyjąć na rękę i

znak widomy tój akceptacyi: a *suscepte* *) onego, niech w aktach swego serca zapisze. Dziękuj także panu Pisarzowi dobrodziejowi, bo on *per fluidam et sapientissimam eloquentiam* **) dekret twojego szczęścia promulgował, wszem w obec i każdemu z osobna zebranym tu Jaśnie Wielmożnym Panom i Dobrodziejom, że słabą mą żądań twych *exwisceracyę*, korrekturą swéj łaskawéj protekcyi wsparli.“

Więc w kolei wskazanéj Żegota upadł do kolan Chorążynéj; Chorąży chcącego również i przed nim się upokorzyć niedopuścił, ale uściskał go wołając: Panie zięciu! twoja Dosia! i z cicha nad uchem: ale dyferencja w lesie... Potém Milanowski dobył z za nadry piekną jaspisową puszeczkę, otworzył ją i położywszy na czapce podniósł Dosi; we środku jaśniał brylantowy pierścień. Panno Doroto, rzekł on, nie płacz! Na, miłość Boga nie płacz! bo i mnie serce się kraje!... Oto pamiątka matki mojéj, ona pewnie, w niebie, bo była poczciwą, i bogobojną jak twoja... Jeżeli więc mnie przyjmujesz, przyjm i ten pierścień... a ja na wieki twój sługa!

Dosia nie śmiała podnieść ręki; wzniosła tylko oczy w górę, jakby w modlitwie polecając się Bogu: a Chorążyna wzięła pierścień i na palec jéj włożyła, z własnéj zaś ręki zdjąwszy obrączkę, bo przygotowanéj do uroczystego aktu zaręczyn, których się nie spodziewali, nie mieli, oddała córce, a ta już narzeczonemu. Probując on na różne palce, wbił nakoniec gwałtem obrączkę na swój najmniejszy palec, i całował z uniesieniem rękę Dosi, na któréj jego brylant jaśniał. Wtenczas huczne vivat! zabrzmiało.

— Kielicha! zawołał Micewicz, pragnąc jako pierwszy dostojnik tego zgromadzenia, spełnić zdrowie narzeczonych. Ale Bunak rozsuwając ciżbę: Poczekajcie Mości Panowie, poczekajcie! zawołał, i i stanąwszy naprzeciw zaręczonych, poprawił pasika i rzekł:

„Niech Himeneusz z Apolinem w parze,
Przezacną parę wiodą przed ołtarze!
Niech Mars i Venus w paragon się stawi,
Z hucznym applauzem i dobrą ochotą
A wszystkim razem niechaj błogosławi,
Święta Elżbieta, i z Świętą Dorotą.“

*) Dowód przyjęcia do akt dokumentu, zapisany na nim ręką Regenta Aktowego, zwał się *susceptą*.

**) Przez płynną i najmędrszą wymowę.

Poeta nowe zebrał laury, i nowe oklaski.

— Ależ kochany panie Felicyanie, *ne misceantur sacra profanis* *) rzekł *Micewicz.*

— A jakże inaczéj? odpowiedział Bunak, wiesz jaśnie Wielmożny Pan, że poezja ani stąpi bez tych bożków pogańskich; ale czyż my, prawowierni chrześcijanie, dla ich miłości mamy i naszych świętych posponować? Oto pięknie!

Tymczasem kielich poszedł w koléj.

VI.

Quis scit co za górą? miał w przysłowiu szlachcic Bekieszka, sługa chorągiewny pana Niewiadomskiego **) i nic stosowniejszego do różnych kolei życia ludzkiego, jak to przysłowie. Wśród najweselszego towarzystwa, wśród śmiechów, biesiad i pustych gwarów rzuć z nienacka to wątpiące *quis scit* co za górą? wnet wstrząśniesz wszystkich jak błyskawicą niespodzianą; wesołość zniknie jak ptaszyna nagle spłoszona, oczy i twarze się zasępią, jakaś tęsknica, jakaś trwoga, jakaś niespokojność dojmie każdego; niepewne *jutro*, jakby mara jakaś niewidzialna, włucząc się między gośćmi, zajrzy w oczy każdemu, i każdemu słowa Baltazara poszepnie.

Ależ fatalny to byłby gość na biesiadzie, któryby jedném słowem ją mięszał; nie było takiego wśród wesołéj rzeszy obchodzącéj teraz dwakroć huczniejszą ochotą i szczelniéjszemi kielichami zaręczyny, po których *jutro* . . . jakież inne po zaręczynach *jutro?* wesele!

Wieczor już się zbliżał i kompanija brała się do odjazdu; dał do tego hasło poszustny pociąg pana Pułkownika, przed śpichrz

---

*) Nie należy mieszać świętości z bałwochwalstwem.

**) Serya 1-sza Podań Litewskich, Pow. *Wyklęty.*

zajeżdżający. Nie mogąc rozbudzić pana, znajomy nam Bonawentura, mrucząc cóś krnąbrnego pod nosem a kiwając głową, włożył go do karocy; sam zdjął kapelusz, ukłonił się z daleka całéj śmiejącéj się kompanji, i stanął potém z tyłu, a karawan ruszył za bramę. Bitowt i Styrpejko czuléj śpiący, czy mniéj pijani, powstali rzeźwo i złączyli się z towarzystwem. To ten, to ów, wymykał się także to bryczką, to wozem żmudzkim, to staroświeckim zielonym skarbniczkiem. Więc i Żegota umyślił odjechać, dając folgę swéj narzeczonéj w nieustannych fatygach i wzruszeniach, któremi ten dzień ją zmordował, a na które bez przerwy i w rozmaitym sposobie, od natrętnych i podochoconych gości narażoną była. *Jutro* znowu przyjadę, myślał on w sobie, gdy tego tłumu tu nie stanie. Podczaszy zresztą tak mu radził, i sam za nim pośpieszyć przyrzekł. Wyprowadzono zatém siwka, z półgodziny trwały pożegnania, bo i samemu Milanowskiemu serce się ściskało jakoś nadzwyczajnie, gdy rękę Dosi do ust i do piersi swych potém przyciskał; a zatém nie łatwo od niéj się oderwał, i uściskanie się z każdym prawie gościem nie mało się przedłużyło, a siwak tymczasem gryzł wędziło i rył ziemię kopytem . . .

Nakoniec siadł nań Żegota. Rumak się wspiął, jakby go chciał zrzucić, lecz gdy tego dokazać nie mógł, znowu jakby się poddał przeznaczeniu, spokojnie poszedł za bramę, za nim Poroczka i Norejko.

Wieczór był piękny; kompanija cała była to na ganku, to na dziedzińcu: nawet i damy miłym się chłodem rzeźwiły. Zaprzęgano pojazdy, zajeżdżały niektóre, i widziano jeszcze Milanowskiego, drożyną, między bujném żytém wijącą się, wolnym stępem jadącego aż zniknął z oczu za pagórkiem . . . I w tejże chwili nagle dał się słyszéć *strzał*, i tuż znowu dwa drugie, stanęli wszyscy zdumieni . . . i zdumienie to nie przeszło jeszcze, gdy ujrzano lecącego pędem Norejkę; wszyscy się sypnęli na przeciw.

— Zabity! zabity! krzyczał on dolatując, pan mój zabity! Mejra go zabił? Mejra! ratujcie! na miłość Boga ratujcie! i poleciał nazad.

Wszyscy mężczyźni z okrzykiem przerażenia rzucili się do pojazdów jakie były na podręczu, niektórzy oklep na niedoprzężonych koniach, niektórzy pieszo biegli za Norejką.

Zostały same kobiety, przelęknione, kupiące się w jedną gromadę i nie mogące jeszcze pojąć w zupełności, co się stało?

— Matko, rzekła Dosia, jam przeczuwała nieszczęście! jam na dzisiejsze zaręczyny moje, jak na sen patrzała... Oh bo sny moje? jam ci o niech mawiała; zamiast kobierca całuny!... Chorążyna drżała, i z jakąś nieprzytomną bojaźnią tuliła córkę do siebie.

Wkrótce też na wzgórku ukazał się zdaleka... kondukt!... po zaręczynach, *kondukt!*

Nadbiegających coraz gromadniej tam do miejsca wypadku okropny uderzył widok: Milanowski leżał nie żywy, dwiema kulami w piersi ugodzony, pławiący się we krwi własnéj z dwóch ran płynącéj, bo broń zabójcza widać dwiema kulami nabitą była. Poroczka i Norejko ryczeli nad nim; konie ich rozhukane biegały, tratowały żyto; siwak tylko stał tuż prawie nad panem i kopał jamę.

— Po cyrulika! po cyrulika! krzyknięto. Poroczka więc wskoczył na siwka, i jak wiatr poleciał, pędzony nadzieją ożywienia ukochanego pana.

— Jakże się to stało? zapytano Norejki.

Zaledwo mówić mogący, rzekł on na to pytanie:

— Jechaliśmy spokojnie, Pan na przodzie, my za nim; ale jakoś mieliśmy się na ostróżności, bo siwak na miejscu, w stajni pana Uwojnia, już jamy kopał, a to zły prognostyk, i Panu to pokazywaliśmy i radzili, ale nie chciał nas słuchać; my jednakże nabiliśmy pistolety...

Więc jechaliśmy spokojnie i stępo, nie wiem dla czego powoli, bo Pan tak jeździć nie lubił; ale zamyślił się... Oh gdyby kłusem, możeby ten bezbożnik nie trafił... Aż tu słyszym: *„Precz z tego świata i serca Dosi!“* i razem huk, a pokazała się nad żytem głowa Mejry. Pan chwycił się za piersi, postrzegł widać tę głowę, bo krzyknął: *ha! Mejra!* i spadł z konia, strzeliliśmy z pistoletów w żyto gdzie głowa się pokazała, ale gdzież tam! i skoczyliśmy do Pana, Boże zmiłuj się!... ha Mejra! powtórzył on jeszcze kilka razy, ale tak kropnie! tak! że ten potępieniec pod ziemią, na strasznym sądzie, i w piekle nawet słyszéć będzie, *ha! Mejra!!!*

Daléj już mówić nie mógł Norejko.

Podjęto z trudnością zabitego, włożono na wóz otoczony rozmaitą gromadą, ruszono do dworu, i kondukt ten okazał się kobietom na dziedzińcu, a w krótce tam i przybył.

Zmrok już padał i księżyc półtwarzą przyświecał téj krwawéj scenie. Smutek głęboki był na wszystkich obliczach, przed chwilą wesołych. Kobiety w najciaśniejszym skupiły się pokoju i modliły się każda po swojemu. Mężczyźni gwarnie rozprawiali o tym okropnym kryminale i o sposobach pojmania kryminalisty. Podczaszy, zapłakany, urządzał wóz na którym przyjaciela do domu jego własnego miał odwieźć, i ostatnią mu tam oddać posługę. Wtém nadleciał Poroczka z cyrulikiem za sobą; gdy ten złożonego na murawie zabitego opatrywać zaczął, wszyscy go otoczyli, niespokojnie oczekując pierwszego słowa . . .

— Nie żyje! rzekł on, nie żyje!

Nie żyje, nie żyje! Słowo to z ust do ust przebiegając, doszło aż do kobiet. Nie żyje? rzekła jakby zdziwiona Chorążyna, bo głowa już jéj gorączka pałała. Nie żyje! niechże odda obrączkę! odbierzcie mu obrączkę Dosi! Czyż Dosia z trupem zaręczona? . . . I to mówiąc zerwawszy pierścień z rąk córki, wybiegła na ganek i rzuciła go na tłum, wołając bez ustanku: Odbierzcie mu obrączkę Dosi! czy ona z trupem zaręczona? Wnet się rzucono aby spełnić jéj żądanie i zniweczyć myśl tę jéj okropną, że córka jéj zaręczona z trupem.

Widzieliśmy z jaką trudnością Milanowski tę maleńką z ręki kobiécéj obrączkę, ledwo na swój mały palec wbić potrafił. *Bunak* więc podjął dłoń umarłego i usiłował zdjąć mu oną, nagle wrzasnął i odskoczył i wszyscy obok będący wrzasnęli i odbiegli, trup zwarł rękę . . . Ostatnie widać zakradnione jeszcze tchnienie, konwulsyjnym kurczem dłoń mu ścisnęło.

— Nie oddał obrączki! zawołano, nie oddał obrączki! . . .

W roku 1824 mieszkałem ja kilka miesięcy na Żmudzi, w okolicach Kroż; pewnego dnia przybyłem do tego miasteczka! i ujrzawszy otwartym kościół mniszek Benedyktynek, a w nim nabożeń-

stwo, wszedłem. Był to pogrzeb mniszki; zwłoki odkryte leżały na katafalku, i właśnie gdym do kościoła wchodził, ksiądz się ukazał na ambonie. Po stosownym texcie z Pisma Św. rzekł on: Oto zwłoki w Bogu zeszłéj wielebnéj siostry Klary w zakonie, a na świecie niegdyś Doroty Uwojnianki!“ i t. d.

PODANIA LITEWSKIE.

SERYA III.

Pustelnik w Proniunach.

Powieść w dwóch częściach.

PANU JÓZEFOWI KRASZEWSKIEMU.

Dla drugich ziomków pracujący szczerze.
Zwiększajmy zasób naszéj dla nich składki,
Więc we wzajemnéj méj dla Cię ofierze
Przyjm Pustelnika do Bożéj Czeladki *).

*) Pan Józef Kraszewski przypisał powieść swoją pod tytułem: „Boża Czeladka," Autorowi Pustelnika.

PUSTELNIK W PRONIUNACH *).

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

I.

Obierz jakąkolwiek jałową i pustą okolicę, którejby natura wszelkich odmówiła ozdób, przez którą z tęsknotą i nudą wlekący się podróżny, próżno ociężałą źrenicą upatruje przedmiotu, mogącego zająć go i rozerwać; po któréj wiatr nawet, podnosząc tumany piasku, nie ma gdzie ich osadzić, i karłowate tylko a zeschłe drzewka lub zwiędłą zasypuje trawkę. Chceszże smutną i ponurą barwę téj okolicy zmienić? wesołéj z niéj uczynić nie potrafisz; ale chceszże ją zrobić interesującą? postaw wśród niéj domek boży, *kapliczkę*. Wnet, jak religijną myślą, czcze, płonne i obojętne życie, tak religijnym przybytkiem jałową pustynię ożywisz, i smętnym ją, ale miłym urokiem całą oblejesz. Wnet obok niéj stanie wiejski krzyżyk nad wiejską mogiłą, i osłoni ją brzozka zwisłemi ku ziemi gałązkami z trudem w suchy piasek zasadzona, ale łzami żalu całéj może ubogiéj rodziny ożywiana. Wnet od kapliczki rozpierzchną się na wszystkie strony ścieżki wydeptane kaleką stopą żebraków, a wkrótce i wązka kołowinka zawróci się od gościńca; ślad, po którym jak magnesem przyciągany będzie najprzód ludek prosty ku ubożuchnemu ołtarzowi, nim potém pańska złocona kareta, z po-

*) Miejsce na trakcie wileńskim, tak zwanym Czarnym, tamże kaplica i niegdyś mieszkanie pustelników.

korną modlitwą i bogatemi dary przedeń zajedzie... Och! bo narodzonemu na świat zbawicielowi, wprzód pastuszkowie złożyli pokłony, a potém królowie złoto.

Bóg też często opromienia łaską swą takie nizkie i skromne swe domki. Wkrótce rozsławiają się cudowne doznane tam ulgi w chorobach, uzdrowienia w kalectwach, folgi i pociechy w smutkach i zmartwieniach; zatém postanawiają się dnie uroczyste, w które mnoga i z dalekich stron płynąca ludność napełnia i ożywia tę niedawną pustynię, a wjeżdżający teraz do niéj podróżny, rano czy wieczorem, srebrnym dźwiękiem sygnaturki powitany, powstrzyma konie, gdzie je wprzód naglił do biegu, i z miłą rozkoszą w duszy poranną lub wieczorną odmówiwszy modlitewkę, z pokrzepioną nadzieją do swego celu podąży.

Pan Chojecki.

Taką jest okolica *Proniun*; rozlega się ona przy gościńcu, tak zwanym *czarnym*, do Wilna wiodącym. Las to był niegdyś, ale z czasem wycięty, nie odrósł na piasczystéj i nieurodzanéj ziemi. Dziś, na wzgórzach, czarnym i suchym mchem powleczonych, gdzie niegdzie krzak jałowcu lub sosenka krzywa i kaleka, lub pień stary i spruchniały, dają się domyślać przeszłości, a smuciłyby i zachmurzały teraźniejszość; lecz na jednym z wyższych pagórków stoi *kapliczka*. Stare jéj i wątłe ściany, podmurowała i wsparła pobożnych sąsiadów ręka i nowym ją okryła dachem, pod którym wewnątrz, objawione w wizerunku Chrystusa, szczególniejsze dobrodziejstwa i łaski, gromadzą prawie każdodziennie tłumy wiernych, a skromnemi ich ofiarami utrzymuje się nabożeństwo i ubogie stroją się ołtarze.

W jednym dniu takim, przejeżdżającego mnie tamtędy do Wilna, zatrzymał niespodziewany tuż obok drogi widok nagromadzonych przed kaplicą pojazdów i klęczącego w około ludu, nie mogącego zmieścić się we środku; ujrzałem więc nabożeństwo w tych samych ścianach, które nieraz i oddawna widywałem i pomijałem jako stojące pustkami, na zabobonne chyba tylko obrzędy *Dziadów* służyć mogącemi.

Wcisnąłem się więc do kaplicy, msza właśnie wychodziła: przed kapłanem szli służyć do niéj, starzec trzęsący bez przerwy osiwiałą głową i mały chłopczyk z twarzą piękną dziecinną.

Prawnuk z pradziadem, szepnął ktoś blizko. A więc dwa końce wieku ludzkiego łączyły się u stopni ołtarza... Widok ten, jak uważać mogłem po rzucanych spójrzeniach, zajmował obecnych... może zagrzewał ich modły; może myślą z młodzieńczéj na zgrzybiałą przechodząc głowę, własną przeszłość i własne przebiegali nadzieje, jedną i drugą, tém czuléj i rzewniéj ofiarując Temu, który *przeszłość* człowieka litościwie sądzi, *przyszłość* cnotliwie żądaną błogosławi.

Mnie także widok ten wzruszył: niewiedziałem na którego z nich miejscu być bym wolał, zazdrościłem obudwom: *prawnukowi* dni dziecinnych. Oh! któżby do nich wrócić nie chciał! a gdy to niepodobna... *pradziadowi*, że prawnuka uczyć jeszcze może chwały boskiéj, i osobiście go, że tak powiem, za rękę *rekomendować* i polecić Bogu.

W czasie mszy, starzec po kilka razy wstawał z klęczków, ucierał świece, porządkował składane na ołtarzach bochenki chleba, ustawiał bractwo, słowem gospodarzył w kościołku; a chłopczyk sam jeden rzeźwo, głośno i rezolutnie odpowiadał księdzu i usługiwał do mszy. Gdy się ona ukończyła i kapłan przeżegnawszy lud odszedł do malutkiéj zakrystyjki, staruszek ukląkł na stopniach ołtarza, i drżącym ale silnym głosem „*Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!*“ zaśpiewał, wszyscy z podwójną zda się gorliwością za tą jego intonacyą całą suplikacyę odśpiewali, a starzec ukończywszy oną, pociągnął za sznurek, firanki się przed figurą Chrystusa zasunęły, a on świece pogasił.

Po nabożeństwie, wielu z dostojniéjszego zgromadzenia, kobiéty zwłaszcza, uprzejmie otoczyły starca; witały go, dziękowały za porządne utrzymanie kaplicy i składały różne ofiary i ozdoby na jego ręce: to firanki, to pięknie szyte poduszki, to kwiaty misternéj roboty, a staruszek przyjmując wszystko, kiwał głową bezustannie tak, że dolegliwość jego zdawała się być razem i podzięką i utwierdzeniem dających w dobrych ku chwale boskiéj intencyach. Odniósł on to wszystko do zakrystyi i pochował w szufladkach, a chleb ofiarny bochenkami między licznych żebraków rozdzielił.

Ja oczekiwałem aż się wszyscy rozeszli i natenczas ciekawą ze staruszkiem zabrałem znajomość.

— Jegomość dobrodziéj, rzekłem, jesteś tu widzę gospodarzem.

— Pan Jezus tu Mości dobrodzieju gospodarzem, odpowiedział on, a Matka jego Najświętsza gospodynią; ja stary i niegodny ich sługa zamiatam tylko ich progi.

Pamiętałem ja, że niegdyś w *Proniunach*, nieodlegle od kościołka mieszkał pustelnik, lecz że oddawna już go nie było, wpadłem więc na domysł, że razem ze dźwignieniem i opatrzeniem kapliczki, znalazł się i pustelnik.

— Zapewne, rzekłem zatem, jesteś ojcze (bo mu się to nazwanie właściwie należało) pustelnikiem na miejscu dawniéj tu przebywającego? ale się wnet postrzegłem, bo prawnuk biegający w około domysł mój niweczył. Jakoż rzekł on:

— Nie, Mości dobrodzieju; już i śladu pustelni tu niema, a na świecie mało ochoczych do pustelniczego życia; ja mam żonę starą, dzieci, wnuków i prawnuków; trochę więc byłoby i ludno i głodno w naszéj pustelni, gdyby z taką gromadką spuścić się na miłosierdzie ludzkie przyszło. Jestem Mości dobrodzieju szlachcic blizko tu mieszkający, na własnym kawałku ziemi, *Antoni Chojecki*, do usług pańskich, a postanowiłem być zakrystyanem tego domu Bożego, którego mój dziad rodzoniuteńki był fundatorem.

Dziad fundatorem a wnuk *zakrystyanem* *) w tym samym kościołku, pomyśliłem, i zdziwiony zapytałem: Przez jakie to zdarzenie ta zmiana w losie waszym zajść mogła?

— Oho Mości dobrodzieju! to nie w téj zakrystyjce rozpowiedzieć. Pan musisz być podróżnym i dalekim, gdy nieznasz starego trzęsigłowę *Chojeckiego* **), który trzecie pokolenie sąsiadów swoich pohodował, i trzech pustelników przebył w *Proniunach.*

— Jakto? albož tu ich trzech było? zapytałem.

— Trzech Mości dobrodzieju i dziad mój zafundowawszy tę kapliczkę, zbudował razem i domek dla jakiegokolwiek starca lub kaleki, któryby ją codziennie pilnował, ale nim się taki znalazł, tymczasem zdarzył się gość, który z innem powołaniem, a z lepszą nad kapliczką pilnością, zajął w tym domku gospodę. Był to piérwszy pustelnik, którego ja ledwo pamiętam, bom był dzieckiem, gdy on umarł i pochował go ojciec mój, podług jego woli, pod progiem kaplicy; bo przez pokorę świętą chciał on aby go i po śmierci de-

---

*) Prawdziwe.

**) Umarł dopiero w roku zaprzeszłym.

ptano *). Ale Mości dobrodzieju, kłaniam uniżenie; oh, i panu może być pilno, i ja moją robotę tu skończyłem... a barszcz albowiem...

Pilno mi było, to prawda; ale jeszcze pilniéj się zachciało dłuższéj z roztropnym i rozmównym starcem gadaniny, którą interessowną być przewidywałem.

— Wiesz co, kochany panie Chojecki? rzekłem zatém dostając zegarka: godzina dopiero jedynasta, barszcz nie uciecze, a proszę jegomościa dobrodzieja na podróżną przekąskę.

— Z kimże mam honor? zapytał stary prostując się poważnie, i wpatrując się we mnie pilnie.

Lecz gdym moje powiedział nazwisko, uścisnął mię, i rozliczać zaczął, jakby z drzewa genealogicznego, moich antenatów Oszmiańczuków, i w prostéj linii i w ubocznych, z taką wiadomością i prawdą, jakby sam do naszéj rodziny należał, znajomość więc nasza stała się w jednéj chwili lepszą i ścislejszą.

Zgodził się zatém na mą propozycyę staruszek, i wyszliśmy z kaplicy, którą zamykając, czytajże jegomość, rzekł mi, i wskazał na plitę kamienną pod progiem.

Wysylabizowałem zaledwo znaczne, niezręczną kiedyś ręką wykute litery.

„Tu leży Daniel, prosi o Anielskie Pozdrowienie."

— Cóż to nie ma nazwiska, ni daty śmierci, zapytałem zdziwiony.

— To nic, rzekł, Chojecki, to nic; jegomość zmów dla tego modlitewkę, o którą on prosi, a tam już aniołowie święci rozbiorą do którego *Daniela* to należy.

Data śmierci, Mości dobrodzieju na nic tam umarłemu niepotrzebna; wszak Pan Bóg wie, kiedy człowieka do chwały swojéj przyjmuje; prócz tego, nazwiska tu kłaść nie można było, bo on go nie miał.

— A toż jak? rzekłem i patrzałem w oczy starcowi.

— Cóż, to dziwne? a jednak prawdziwe, mówił on, i zdziwisz się jegomość jeszcze bardziej gdy powiem, że to był ze szlachcica *pan*, a z pana *pustelnik* i bez nazwiska.

---

*) Ile razy zdarzy się komu u wejścia do kościoła wstąpić na kamień grobowy, może być pewnym, że taka właśnie pokora chrześcijańska umierającego wybrała mu to miejsce wiecznego spoczynku; w dawnych testamentach nieraz doczytałem się takiej woli umierającego.

— Więc jego historyę wiesz, Panie Chojecki?

— A wiem piąte przez dziesiąte, bo mój ojciec po jego śmierci rozpowiadał o nim.

Mógłbyś mi to opowiedzieć?

— Czemu nie! ale na to trzeba czasu; mógłbym nawet jegomości otworzyć cały kałamarzyk papierów i mantyków po nim pozostałych, kiedy ich szczury nie pogryzły; wala się to gdzieś u mnie w spichrzu, razem z mojemi fascykułami; musi tam być cała jego historya. Drugiego, Mości dobrodzieju pustelnika jakoby, znałem dobrze, bo on tu był za moich młodych czasów; ale przemieszkiwał tylko lat trzy, wypełniając zadane mu *votum pokutne*, jak się o tém później od niego dowiedziałem; a był to także *pan* z panów, nazywał się *Załuski* *), ale przez ten czas, który tu przepędził, był pustelnikiem doprawdy, pustelnikiem *albowiem!* Młody tu się zjawił, i dziwiłem się powołaniu jego w tym wieku, nie widząc przyczyny; ale jaki to był świętobliwy! jaki nabożny! jaki miłosierny! Wszystek grosz, który się w karbonce jego pustelniczéj znalazł z elemozyny, rozdawał ubogim: nawet chlebem składanym mu dzielił się z niemi tak, że często i on sam i wierny stróż jego, a towarzysz wyżeł *Walet*, obadwa głodem marli; i już to był znak, że w pustelni nie było chleba, gdy dnia którego przybył do nas *Walet*, i łasił się prosząc pożywienia; a zatém moja imość niosła bułeczkę, i kładła tam pododrzwiami na zedelku, gdzie mu zwykle chleb i niejakie wiktuały składano. Wiedział on o tych poselstwach do nas swojego sługi i wdzięcznym nam był za to. Może za te bułeczki, Mości dobrodzieju, i teraz nam się chleba nie urywa, choć chleboradów przybyło; a zresztą i on potém nie zapominał o nas; niech mu Bóg daje królestwo niebieskie, bo już dawno umarł... Był to Mości dobrodzieju człowiek mądry przytém; ale tego nikt dociec nie mógł, zważając na jego prostotę i pokorę; my tylko, ktorych, częściéj z łaski swojéj odwiedzał, mogliśmy o tém zmiarkować. Często też znajdowałem go wieczorami czytającego przy lampce pobożne książki, których ze Słobockiego klasztoru dostawał, lub coś tam sobie piszącego; zagrezmolone arkusze rzucał potém w piec. Ale kilkakrotnie żonie mojéj, krzątającéj się około wielkanocnego święconego i starającéj się papieru pod pierogi, dał kilka takich pomazanych arkuszy, a ona uchowała je jak relikwie na pa-

*) Prawdziwe.

miątkę; jednakże kto wie czy te relikwije znalazły by się, boć to już bardzo dawno było, Mości dobrodzieju.

Z trzecim, panem *Jakóbem Jurszą*, żyliśmy *brat* za *brat*, więc jego żywot wszelakiego rodzaju i pustelniczy i światowy, bo jeden z drugim przemieszywał czasami, wiem lepiéj; a chociaż pobożność jego była wcale inną od tamtych, niemniéj jednak była szczerą i prawdziwą. Wiesz jegomość, jak chłop nieumiejący pacierza modlił się; „*to tobie Boże, to mnie Boże*“ mówił skacząc przez kłodę, a toć coś nakształt tego było i z panem *Jurszą*, po prostu ale gorliwie. Był jednak piśmienny i kantyczek z rąk nie wypuszczał, znał wszystkie festa najdokładniéj i do nabożeństwa napędzał bez żartów; a chociaż skończył bogobojnie i po chrześcijańsku, jednak i po śmierci junaczył się po trosze.

Tymczasem stanęliśmy u mojego wozu, lecz ja z téj krótkiéj wzmianki o pustelnikach ułożyłem już sobie projekt: ciekawość mię wzięła do tych szpargałów, jak je nazywał Chojecki; a nuż się z nich wysnuje historya tych tajemniczych ludzi!

Gdy więc podróżna jedna i druga czareczka gdańskiego kimmellu, który stanowił główną treść moich podróżnych zapasów, zrazem pieczeni zakąszona, zarumieniły lica staruszka,—*wódeczka, albowiem!* rzekł on; a ja korzystając z jego humoru dobrego,—wiesz co panie Chojecki dobrodzieju, rzekłem, rad jestem bardzo ze znajomości z panem; znałeś mojego dziada i ojca, nie dziw więc, że wnuk pragnie ściślejszéj z panem przyjaźni. Pozwól zatem, że się do państwa na obiad zaproszę; podróż moja nie tak pilna, abym kilku godzin nie mógł poświęcić tak miłemu, jakie z panem znajduję towarzystwu i jeżeli to nie zrobi obójgu Jchmościom subjekcyi . . .

Starzec się wyprostował, i poważną przybrawszy minę: — jeżeli, rzekł, jegomość dobrodziéj chcesz mi ten honor uczynić, z całego serca rad będę. Dziad mój i ojciec jeszcze miałby czém przyjąć tak godnego gościa, i w malowanych ścianach; ja zaś przyjmę jegomości dobrodzieja w ubożuchnéj chacie i chudo-pacholskim chlebem; ależ przecie, Bogu dzięki, przy pracy głodu nie cierpim, i pan głodnym nie będziesz, kiedy ubogim kęsem nie wzgardzisz.

Uścisnąłem zacnego starca, i po jednéj jeszcze czareczce, puściliśmy się do blizkiego tuż za borem zaścianku.

Na wrotach domostwa tego należałoby napisać to dawne szlacheckiego mienia godło: „*Ubogo*, ale *chędogo*,“ które i zewnątrz i wewnątrz stosownem by tu było.

Mały strumień tuż pod wrotami przecinał drogę, i sączył się dalej po łące, na któréj kilka krówek pasło się swobodnie między kopkami świeżego sianka, wiejącego miłą i orzeźwiającą wonią wiejską na nas przybywających. Sama zagroda mogłaby średnie zająć miejsce między dworkiem szlacheckim, a siedliskiem zamożnego chłopka; gospodarskie bowiem budowle, otaczające szczupły dziedzińczyk, nie różniły się od włościańskich; ale w domku mieszkalnym okienka większe, kominy wyprowadzone, ganeczek schludny z ławkami, i czystość wszędzie nadzwyczajna, wznosiły mieszkanie i mieszkańców jego nad pospolitość, i od razu mogły dać poznać, że los ściągnął tu kogoś z pałacu pod słomianą strzechę, ale uczucia szlachetnéj osobistéj godności i biedą zeń nie wycisnął. Wreszcie, na środku dziedzińca krzyż z figurą Zbawiciela objawiał dostatecznie w kim było zaufanie gospodarzy, i kto ich pracy i cnotliwemu ubóstwu sporzył.

Zdziwiona i spłoszona gromadka dzieci, wnucząt i prawnucząt pana Chojeckiego, a bawiąca pod krzyżem, uciekła do sieni i ztamtąd wyglądała lękliwie, gdyśmy z bryki wysiadali; ale wnet wyszła na ganek *Imość*, staruszka, żona gospodarza, mało zapewne młodsza od męża, lecz nie trzęsąca głową, a licem, postawą, chędogiém ubraniem i nakoniec przystojnym i jakby dworskim dygiem, jeszcze bardziéj ze swém pomieszkaniem sprzeczna.

— Kasiu, rzekł mąż, przywożę tobie gościa, a raczéj gość mię przywozi; jest to pan Ch. . .— Opowiedział potém poznanie się nasze, i wnet konie moje pasły się z krówkami na łące, a ja zostałem między tymi poczciwymi ludźmi, z sercem i umysłem swobodnym, jakiegom nigdy w świetnem salonowém gronie nie miał.

— Czémże przyjmiemy tak szanownego pana? zapytała Chojecka męża, tonem bardziéj troskliwość i grzeczność, niżeli kłopot oznaczającym.

— Dobrém sercem, moja duszo, dobrém sercem i naszym szlacheckim barszczem, odrzekł mąż, wprowadzając mię do czystéj i światłéj izby, sienią od gospodarskiéj piekarni oddzielonéj, i odwracając się jeszcze za odchodzącą żoną, moja Imość! zawołał, czekamyż barszczu *albowiem!* . . . a ja rozkazałem przynieść z bryki resztę kimmelu.

Wnet wbiegły dwie dziewczynki i nakrywały do stołu.

— Toż są wnuczki, czy prawnuczki pańskie? zapytałem.

— Wnuczki, Mości dobrodzieju, wnuczki; prawnuka mam tylko jednego chłopaka, którego widziałeś jegomość. Bóg nam dał trzy córki, a potém syna, córeczki pochwytano rychło, jakby co dobrego; z łaski najstarszéj pradziadkiem zostałem. Syn zaś Mości dobrodzieju *albowiem!* służy wojskowo i po szlachecku, to jest mężnie i wiernie, czubił się regularnie Mości dobrodzieju. Pod Lipskiem, albowiem, pod Lipskiem był raniony, a teraz konsystencya jego w Warszawie, majorem już chwała Bogu, krzyż Legji Honorowéj na piersiach, i w kieszeni nie pusto, z któréj i nas rodziców często sukursuje. Niech go Bóg błogosławi!

Tu misa stanęła na stole.

Odzywam się do wszystkich poczciwych miejskich smakoszów: Przypomnijcie sobie barszcz gospodarski z wędlinką!... którego żaden kuchmistrz ugotować nie potrafi, a z którym tylko u staroświeckiej litewskiéj gosposi spotkać się jeszcze zdarza. Jaka woń pokuszająca rozchodzi się od misy i gwałtem do niéj ciągnie! Jak wybornym smakiem łechce podniebienie, a zdrową i posilną strawą nasyca! taki barszcz był w misie.

— Teraz po czareczce: może i Imość dobrodzika pozwoli? rzekłem do wchodzącéj.

— Pokosztuj moje serce, rzekł Chojecki, bo wódeczka podróżna jegomościa *albowiem!*

Przyjęła więc odemnie i rzeczywiście pokosztowała tylko, a my z gospodarzem sporzéj pokrzepiwszy podbudzony barszczem apetyt, zasiedliśmy we troje do stołu. Nakrycie cieńkie i białe, naczynia wszystkie z doskonałéj angielskiéj cyny, a nawet dla mnie widać wydobyta, może jedyna dawnéj zamożności pamiątka, łyżka srebrna z wyciętym na niéj *Lubiczem* *), znowu mi o szczęśliwszéj przeszłości gospodarzy wspominała; o bogatszéj, chcę mówić, bo czyli była szczęśliwszą, gdy każda jéj chwila groziła i zbliżała ruinę, niżeli uboga lecz spokojna terazniejszość? pytać nie śmiałem. Grzeczność także u stołu pani Chojeckiéj była dworską; zapraszanie do jedzenia nieuprzykrzoną przynuką, przepraszanie za skromność obiadu, który po barszczu na sielskiéj jajecznicy się skończył, z szczerością a nie przesadą; i wszystko mnie przekonywało, że w obyczajach i mieniu są tu *ostatki*, jeżeli nie pańskich to szlacheckich *dostatków*.

---

*) *Lubicz*, herb Chojeckich.

Niecierpliwy wiadomości o owych papierach po dwóch pustelnikach pozostałych, jak równie opowiadania o trzecim panu *Jurszy*, zapytałem po obiedzie staruszki, czyli je ma gdziekolwiek zachowane?

— Nie mogę z pewnością powiedzieć panu, odpowiedziała, czy są one jeszcze albo nie; tak dawno to było, a odtąd nieraz manatki nasze po lasach i taborach roznosiliśmy, zwłaszczą żyjąc przy trakcie, i nie wszystko się nazad odniosło; poszukaj mężu w kałamarzyku, który w spichrzu się wala, kiedy tam nie ma to i nigdzie.

— A więc poszukajmy, rzekł Chojecki, prowadząc mię do małego swego świronka, i po krótkiéj chwili wynosząc ów kałamarzyk, dawnych sprzętów rzadką dziś pamiątkę, i któremu podobne ze staroświeckiemi puzderkami, ze staremi kantorkami pruchnieją dziś na poddaszach, albo gdzie niegdzie służą jeszcze starym sknerom na schowankę zaklętych i zapleśniałych, jak oni sami, talarów.

— Jest kałamarzyk, ale zamknięty; dajże kluczyk moje serce, odezwał się Chojecki.

— A któż wie gdzie ten kluczyk?

— Więc trzeba odbić, rzekł on.

— Szkoda, rzekłem.

— Nie wielka — odpowiedział, i nie wielka praca, bo to ledwo się trzyma. Jakoż podłożywszy nóż odrzucił klapę i otworzył się kałamarzyk. Pełnym był papierów mniéj więcéj zbutwiałych, to starym obyczajem związanych w fascykuły, to w plikach składanych to w osobnych arkuszach i szpargałach.

— Oj dawnoć, dawno, miałem w ręku te mantyki, mówił Chojecki; rozpatrujże jegomość.

Wziąłem więc leżący na wierzchu sextern:

„*Panie Jezu, daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego*,“ napisano było na pierwszéj karcie wielkim i dość kształtnym charakterem, z którego sam piszący zadowolony widać, podpisał mniejszemi literami „*jak sztych!*“ daléj pod formatyką pana dyrektora szło niezgrabne pismo ucznia.

— To ręka mego Adasia, rzekł starzec, biorąc sextern; jak pan major przyjedzie do mnie, pokażę mu to na próbę, a kiedy nie padnie do nóg rodzicom, którzy jego dziecinne pamiątki tak chowają i miłują, to *albowiem!*... Ale niech go Bóg błogosławi! ot i mnie zachciało się, aby on aż osobiście nogi moje całował,

kiedy każdy list jego tém się kończy: *„nogi rodziców dobrodziejów całuję“* i te pocałunki dukatami jeszcze przyciska. Stary tak gawędząc, przewracał sextern; patrzał nań czule, zdawało mi się, że go do ust przycisnąć chce... oczy mu łzą zabiegały... O jakże on kochał swojego syna!...

— Ot człek starzeje i uczy się, prawda to prawda, Mości dobrodzieju! mówił on daléj, patrząc na sextern, gdym ja fascykuły przerzucał, patrzaj jegomość: *„Panie Jezu daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego“* a czegóż więcéj potrzeba? Przez całe a długie życie moje naprzykrzam się Panu Bogu rozmaitemi prośbami; codzień co innego, stosownie do okoliczności a nie wiedziałem, że mam pod ręką modlitewkę, która w kilku słowach zawiera wszystko, o co Boga słusznie i warto prosić: *„zdrowie, rozum i ochotę do dobrego.“* Proszę uniżenie! a toć do suplikacyi dodaćby należało! Moje serce, porzuć Imość uczyć wnuczków naszych rozmaitych tam swoich antyfonek; niechaj po świętym pacierzu zmówią codzień tę modlitewkę *i basta!* byle Bóg ich prośby wysłuchał, to i na ziemi nie zginą i do nieba trafią. Czy nie pamiętasz Imość, jaki to *Charybdes* *) uczył Adasia pisać, i taką mu dał formatykę na ciało i duszę?

— A kto ich tam spamięta, przerwała pani Chojecka mężowi jego staruszkowatą gawędkę, mieliśmy ich kilku, nimeśmy Adasia do Borun do szkół oddali.

Tymczasem ja nie tracąc ani słowa z téj przeciągłéj jego pogadanki, rozróżniałem i odkładałem fascykuły i rzekłem:

— Tu jest wiele papierów familijnych pańskich.

— A tak, rzekł on, rzucając na nie niedbałe spójrzenie, to dokumenta dawnéj naszéj fortuny; a kiedy nie ma fortuny, na cóż dokumenta? trzeba będzie je spalić.

— Bój się Boga, zawołałem, może kiedyś panu majorowi lub dzieciom jego przydadzą się.

Starzec machnął ręką.

---

*) *Charybdes.* Nie wiem dla czego, mój dziad (pan Wojski) równie jak pan Chojecki, domowych dyrektorów *Charybdesami* nazywali. Nie było na ówczas w szlacheckich domach *guwernantek;* każda takim sposobem nazywaną byłaby zapewne *Scyllą.* Dziś stosowniejszą byłaby ta *denominacya,* bo rodzice, których Bóg potomstwem obojéj płci obdarzył, mając w swym domu i *guwernerów* i *guwernantki,* edukacye swych dzieci właśnie *intra Scyllam et Charybdim* przeprowadzać muszą.

— Wielka liczba papierów, rzekłem daléj, jest jakiejś familji Wołkanowskich i Sołohubów.

— Odkładaj to jegomość na stronę, bo właśnie to dla pana.

Dobrałem się tak aż do dna kałamarzyka, i na dnie jeszcze kilka szpargałów zapisanych i pomazanych znalazłem.

— Oto pismo naszego pokutnika Załuskiego, zawołała pani Chojecka; poznaję je od razu, choć już dawno nie widziałam.

— A więc mamy wszystko, czego szukaliśmy, rzekł Chojecki; a ja patrząc na stos papierów przedemną leżących, nie wiedziałem jak sobie poradzić, gdy zgadując zakłopotanie moje, przerwał mi zacny gospodarz:

— Jeżeli, rzekł on, gościna u nas nie przykrzy się jegomości dobrodziejowi, a interes nie nagli, to prosimy otwartém sercem dziś u nas zostać. Barszcz nasz szlachecki, uważałem, że smakował jegomości, a na wieczerzę da nam moja imość kurczęta *albowiem;* potém na świeżém sianku w odrynie zalokujemy się na noc, i będę jegomości dobrodziejowi opowiadać to to, to owo o pustelnikach; tymczasem do wieczora jegomość dobrodziéj przewertuj te fascykuły, jeżeli chcesz, a czego w nich nie doczytasz, to ja może dopowiem; ot i złożą się historye, których jegomość ciekawym być się zdajesz.

Pani Chojecka uprzejmemi słowy wsparła szczerą prośbę. Za grzech więc miałbym odmówić téj prostéj a serdecznéj gościnności, i odsunąć poczciwą dłoń szlachecką, którą, ku mnie starzec wyciągał; ścisnąłem ją z wdzięcznością, i to było moją odpowiedzią.

Cały zatém czas aż do wieczora zszedł mi na rozpatrywaniu papierów, których treścią był proces, mający znowu być treścią mojéj następnéj powieści. Ułatwiły mi tę pracę, tak zwane technicznym. ówczesnym wyrazem: »*status caus*« to jest, spisane zwięzle i porządnie przejścia sprawy téj, w różnych jéj epokach i stopniach po rozmaitych sądownictwach, oraz główniejsze wypadki życia prawujących się, z procesem związek mające; tęgie to widać prawnicze głowy układały.

Nakoniec wieczorna pod spichrzem w ochłodzie rozmowa z panem Chojeckim, przedłużona aż do świtania w odrynie na świeżém sianku, uzupełniła zapas wiadomości moich, tak o pustelniku bez nazwiska, jako też o przyczynie *mistyczno romantycznéj* pokuty *Załuskiego*, i o *anegdotycznêm* pustelnictwie pana *Jurszy.*

Wołkanowscy.

Szerokich włości dziedzic, znakomitego i starożytnego na Litwie rodu, był pan *Antoni Sołłohub*, starosta *Jezierzyski* i *Krasneński*; miał on za sobą księżniczkę *Radziwiłłównę*, a związek ten blizki z tak potężnym książęcym domem, tém większą jednał przemożność Sołłohubowi, tém go w większą podnosił powagę.

Owocem tego małżeństwa była jedyna córka ich *Helena*, która z wdzięków i z wysokiego urodzenia i z bogactwa rodziców, do najświetniejszego zamążpójścia zdawała się być przeznaczoną, i takiego dla swéj ukochanéj jedynaczki Sołłohubowie się spodziewali.

Główną rezydencyą starosty były dobra *Illia*, przez Radziwiłłównę w posagu mu wniesione, natenczas w oszmiańskim, teraz w Wileńskim powiecie leżące, w których tém chętniéj zamieszkał, że był zawołanym myśliwym; a obszerne lasy *Ilskie* przylegały tuż z jednéj strony do głuchych kilkunastomilowych ostępów starostwa *Markowskiego*, a z drugiéj do puszczy starostwa *Krasneńskiego*, i tam daléj nieprzerwanym prawie ciągiem pod i za *Mińsk*, aż do Radziwiłłowskich, dziś jeszcze znakomitych, *Smolewickich* i daléj *Borysowskich* lasów, po których wszystkich swobodnie polował Sołłohub.

Też same puszcze, jakież one były przed stu laty, gdy niszczący topor tak po nich nie gościł! Rozległe, nieprzebyte gęstwy, kraje niebotycznych masztów wyrosłych na Litewskiéj ziemi, a ginących gdzieś w głębiach oceanu na drugiéj półkuli świata... Puszcz takich już dziś nie ma; zatém oniemiały trąby i rogi myśliwskie, które wśród nich brzmiały niegdyś codziennie, bo myśliwstwo było natenczas zwykłą rycerską i panów i szlachty zabawą.

Pan Sołłohub żył także po pańsku: balował, polował i sejmikował; a utrzymując godnie, podług tamtoczesnych obyczajów i zwyczajów dostojeństwo imienia swojego i przewagę w publicznych sprawach, nie myślił wcale o domowych, a tém mniéj o córce, którą lubo kochał dusznie, lecz w owym wieku córka wzrastająca i pielęgnowana pod okiem matki nie nabawiała ojca nocy bezsennych, ani myśli niespokojnych o jéj mądréj edukacyi, lub o jéj postanowieniu. Témbardziéj panu Sołłohubowi, który w żonie swojéj miał dla córki wzór doskonały wszelkich cnót niewieścich, i obraz prawdziwéj polskiéj wysokiego urodzenia *matrony*; a był pewnym, że gdy czas

przyjdzie i Marya dojrzeje, po jedynaczkę i bogatą dziedziczkę, w dom jego otwarty, swatowstwa i swaty popłyną zewsząd.

Marya też dojrzewała, i piękne dziecko w piękną rozwinęło się dziewicę! rychléj, a niżeli troskliwa uwaga rodzicielska dostrzegać szybkich postępów téj odmiany mogła. Jest to w naturze rodzicielskiego do dzieci, a szczególniéj matek do córek przywiązania, że pieszczoty z któremi tulą do łona główki miłéj swéj dziewczynki, równie są tkliwe, rzewne, miękkie i zdrobniałe, że tak powiem, chociaż dziewczynka ta dochodzi już czasu, gdy prócz rodzicielskich pieszczot, powiewny ten kwiatek stalszego potrzebować zaczyna wsparcia, i niespokojném uczuciem, jakby lekkim wiatrem w tę i ową stronę kołysany, piękną swą wychylając główkę, szukać go i wyglądać się zdaje.

———

Raz pan Sołłohub, w odległéj od domu myśliwskiéj, bo aż wśród Borysowskich lasów wyprawie, stanął obozem w szlacheckiéj okolicy, w téj puszczy osiadłéj, i główną tam obrawszy kwaterę, ztamtąd zapuszczał się w knieje, i tam nazad codziennie wracał na noclegi, co tém szczęśliwiéj dlań się zdarzyło, że szlachta dostarczała wszelkich dla licznego myśliwstwa potrzeb, hojnie przezeń opłacanych, a pomnażała mu liczbę strzelców. Jeden z nich szczególniéj, stary i siwy jak gołąb, ale jeszcze czerstwy, rzeźwy i ochoczy, od razu zaczął réj wodzić całemu myśliwstwu; sam z natury myśliwy, znał on najdokładniéj tę, jeszcze i dziś ogromną puszczę, wśród któréj długi czas przeżył i przepolował; wiedział wszystkie jéj knieje i głuche ostępy, i wedle upodobania i woli *Sołłohuba*, na każdego źwierza prowadził.

Nieoszacowany Wołkanowski! (tak się bowiem starzec ten nazywał), wykrzykiwał starosta, i kończył zawsze namawianiem go do służby u siebie za łowczego, od czego on wiekiem się wymawiał.

Ale staruszek miał adjutanta; był nim syn jego, Piotrek, lat piętnaście mieć mogący, chłopak przystojnego lica, bystrych i pojętnych oczu, krzepkiéj i widać było zahartowanéj budowy ciała, bo nie odstępując nigdy tatulka i pracowite jego, a niekiedy i niebezpieczne podzielając wyprawy, wzmocnił siły nad lata i był prawdziwym wychowańcem natury, która powierzającym się jedynie jéj pieczy, daje, co najlepszego równie ludziom jak źwierzętom dać może, zdrowie.

Na pozór w pół dziki obszarpaniec, podrapany na twarzy, rękach i odzieży, bo bez pamięci darł się przez gęstwiny i krzaki za źwierzyną, którą bił bez żadnéj uwagi, nawet na mecie i strzale samego starosty, porywając się zapamiętale do sztęfla na pudłujących, sam nigdy nie pudłując, a zatém nie dając prawa do odwetu. Słowem, na pozór sowizdrzał nieuhamowany, a jednak gdy szło: gdzie? jak? i na jakiego źwierza zapolować? jak zaprowadzić strzelców? jak ich rozstawić, zkąd puścić gończe lub ogary? rada natenczas Piotrka była tak rozważnie, z taką znajomością myśliwskiego rzemiosła i miejsca wymiarkowaną, twarz nawet jego, postać i mowa takiéj nabierały roztropności, że stary ojciec, posprzeczawszy się nieco, wrzekomo dla utrzymania swéj powagi, prowadził jednak obławy po zdaniu syna, i nigdy ani sam się nie zawiódł, ani nadziei Sołłohuba nie zmylił.

Pewnego dnia, na rannym myśliwskim odpoczynku, rzekł starosta: Wiesz co, mój kochany Wołkanowski, gdy sam nie chcesz u mnie zająć funkcyi łowczego, to daj mi tego szubrawca Piotrka.

— Jak to? na łowczego! zapytał stary zdziwionėm okiem patrząc w twarz starosty.

— Tak, tak . . . odpowiedział jąkając się, zmieszany nieco tym wzrokiem. Pojmuję zdziwienie twe, mój Panie Samuelu; Piotrek jeszcze za młody, a zatém i żywy nadto, ale to się uchodzi, a był w dobréj twojéj szkole . . .

— A wiesz, panie starosto dobrodzieju, czego się on w téj szkole uczy? rzekł znowu stary, nie zmieniając postaci ni wzroku.

— Nie rozumiem cię, odpowiedział Sołłohub, właśnie zdało mi się, że go na myśliwego z professyi układasz, aby z tego potém chléb jadł.

— Oj, ze wszystkiém co innego, panie dobrodzieju! ze wszystkiém co innego, tylko chcąc to wytłómaczyć panu, nie wiem od czego zacząć? . . . Czyliżeś pan nigdy nie słyszał na Litwie o Wołkanowskich i ich bratobujczym procesie?

Sołłohub wzniósł czoło w górę, przyzywając dawne wspomnienia: tak, rzekł potém, tak, słyszałem cóś, słyszałem . . . jestżeś mości panie z téj saméj familji?

— Jam wnuk zabitego, odpowiedział stary.

— Wnuk zabitego? dla Boga! kiedyż to się stało? zawołał Sołłohub.

— *Anno 1639.* Jutro właśnie 21 7bra rok setny się zacznie od dnia dokonania téj zbrodni; i dla tego nam jutro w myśliwstwie pasz, bo zabrawszy z sobą Piotrka, ostatnią złotówkę poniosę na mszę żałobną za duszę męczennika.

— Wieleż sam masz lat? pytał znowu starosta.

— Siedmdziesiąt cztery, mości dobrodzieju.

— A syn tak młody?

— Młody, tak młody, bo gdy z pierwszego małżeństwa Pan Bóg pociechy mnie nie dał, a potém i przyjaciela, z którym się niemało latek przeżyło, zabrał do swojéj chwały, nie poczuwając się jeszcze grzybem, choć już półszósta z górą krzyżyka liczyłem sobie, powdowiawszy lat kilka, rezolwowałem się znowu na kobierzec. A nuż? myślałem sobie, da mi Bóg potomka, który krwią pradziada swego okupioną fortunę wywindykuje!... I zda się wysłuchał Bóg prośb moich; urodził mi się ten chłopak... któż wie co go czeka? ale w zamysłach i nadziejach moich na dojeżdżacza sposobić go nie myślę. I dla tego tak sobie w głowie układałem na szkoły substancyi brak, lecz przypomniawszy, żem pod Jezuicką ferułą, nie siedząc *intra asinorum*, nie tylkom sam kiedyś się uczył, ale i drugim repetowałem *pensa*, postanowiłem sam być preceptorem mojego Piotrka. I obacz pan dobrodziéj, czy na próżno pracowałem? Bóg mu dał pamięć i spryt nadzwyczajny; to nic że sowizdrzał, ale kiedy siądzie nad książką, to ledwo połowę jemu wytłómaczę, resztę sam domyśli się i pojmie. Młoda to krew, mości dobrodzieju, prawda, często dla poroszy rzuci książkę pod stół i tydzień w lesie wysiedzi; ale natenczas jestem i ja z nim razem. A tam inna znowu nauka. Przy rozpalonym pniaku starym opowiedziałem mu i powtórzyłem nie raz, jak lekcyę jaką, całą naszę nieszczęśliwą historyę, nauczyłem go nawet długiego procesu naszego, i sposobu jakim go odnowić możnaby było, bo mnie na to sposobu nie stało i ręce opadły, gdy macając niemi po kieszeniach, ani szeląga znaleść nie mogłem; dawności jednak ziemskiéj nie zasypiam, i coraz to manifeścik do akt wrzucę. A nakoniec i myśliwstwo, mości dobrodzieju, nie idzie na darmo; niech młody, myślę sobie, z ostróżności i instynku źwierza uczy się natury ludzkiéj; jam się jéj uczył z praktyki, mając do czynienia z rozmaitymi ludźmi. Oj, daliż mnie oni pensę, dali!... a więc synku, mówię jemu, patrzaj i uważaj: kiedy będziesz na świecie, to jak w kniei gęsto podszytéj: ty tropisz i ciebie tropią. Ostróżnie nie-

boże, ostróżnie! bo wpadniesz w samołówki, w siecie, w wilcze doły i od razu zginiesz. Patrzaj jak źwierz roztropnie sobie radzi, jak choć go głód do przynęty ciągnie, instynkt go ostrzega, że to zdrada; jak lis od wiatru zachodzi, gdy strzelca czuje; jak kochany kum wilczysko dziesięć razy obejdzie jamę, choć go gąska wabi; a jak przeciwnie, ginie zawsze biedny zajączek, że nie umie oprzeć się swojemu sercu, i że dalekie pod gonem psów obłożywszy pola, wraca niebaczny do rodzinnéj kniei, gdzie znający jego poczciwą naturę czeka nań strzelec . . .

— Nie spodziewałem się, przerwał Sołłohub, pokręcając głową, takiéj filozofii w myśliwstwie; chłopiec twój musi mieć rozum nad lata, przy takim nauczycielu.

— Oj, gdyby to jemu regularna nauka, mości dobrodzieju! mówił znowu Wołkanowski; ale przecież i przy téj jaką ma, nie zginie na świecie, gdy na nią pamiętać będzie. Bo oprócz téj myśliwskiéj morałki, podług któréj między ludźmi kierować się powinien, umie nadto Boga chwalić, a to grunt, umie czytać regularnie; pisze tak, że i podpisek jaki niepowstydziłby się; a nakoniec wie, że jest szlachcic *ab antiquo*, herbu Radwan, a zatém, że powinien umieć czy pod wicią, czy pod chorągwią, jak na szlachcica przystoi stawać mężnie i bić się serdecznie, do czego także ma ułożoną rękę, a nawet obie. Ot proszę jaśnie wielmożnego pana, niechby którykolwiek z dworzan pańskich stanął z nim. Niech chłopiec wyda experyment przed wspaniałą pańską personą!

Sołłohub rad z nadarzającéj się rozrywki, bo i polowanie w swéj rozmaitości ma jednak jednostajność, która jeżeli nie nudzi, to utrudza nakoniec;—wyśmienicie, rzekł, bardzo dobrze, jeżeli tak chcesz.

— Héj, Tatura! zawołał.

Wnet wysunął się z tłumu myśliwych, wśród których właśnie Piotrek gorącą jakąś myśliwską wiódł sprzeczkę, Goliat, można powiedzieć, zwłaszcza w porównaniu z Piotrkiem, słuszny urodą, stosowną tuszą, lat ze czterdzieści mieć mogący, z jedwabną torbą przez ramię, z kordelasem wiszącym od szerokiego, ładunkami naszytego pasa, z gwintówką za plecami, a kapeluszem z palonéj skóry na głowie.

— Co JW. pan rozkażesz? zapytał.

— Cóż mości panie? rzekł starosta do Wołkanowskiego, wskazują tę figurę.

Stary zmierzyszy od stóp do głowy stojącego przed nim dworaka, po krótkiéj rozwadze, kiwnął głową: Wolaż Pana Boga, zawołał: przypomniawszy historyę Dawida, akceptuję mości dobrodzieju!

— Panie Tatura, rzekł starosta, Wołkanowski powiada, że jego Piotrek każdemu z moich dworzan dotrzyma kroku w palcaty; ja wybrałem waści, sprobuj się z nim.

— A cóż to JW. panie, odezwał się tubalnie Tatura, czy mam chłopcu kijem mleko pod nosem obetrzeć? wybierz JW. pan którego z młódszych; mnie taki i wstyd będzie bić się z dzieckiem; chybaby już z panem ojcem

— Prawda, odpowiedział Sołłohub, waść i pyszny i poważny; ale cóż, kiedy tu idzie o utrzymanie honoru dworu mojego, a waść się chwalisz, żeś gracz i do korda i do kija; dotąd nie zdarzyła się okazya abyś pokazał mi co umiész, więc teraz daj młodemu nauczkę.

Wołkanowski tymczasem zawołał syna:—Słuchaj Piotrku, rzekł mu, poszukaj w lesie smagłych dębinek, i stań w kroku z tym jegomościem, który powiada, że tobie mleko z pod nosa kijem obetrze.

— Co! ten pudlarz? zawołał rumieniąc się z gniewu chłopiec. Słuchaj hoholu, stań na ostre, to nim ty mnie mleko obetrzesz, ja ci tę sierść pod nosem ogolę.

— No, no, chłopcze, nie gniewaj się, rzekł starosta, uprzedzając wybuch Tatury, który już najeżył wąsy, chcąc jakby przekonać o trudności zgolenia ich; nie gniewaj się, ja to chcę obaczyć, czy tak pięknie bijesz się w palcaty, jak się chwali, że cię wyuczył twój ojciec.

— A zatém mam się bić dla zabawy pańskiéj? mówił zdziwiony młodzieniec; to co innego. On powinien i przez kij skakać kiedy pan każe, bo on jurgieltowy; ale panie ojcze, podług tego co mi o szlachectwie mówiłeś ja bić się nie będę . . .

— Boś tchórz! zawołał Tatura.

Jakby go ranił boleśnie, tak podskoczył na te słowa Piotrek, a nie odpowiadając już ani rozumując, a krzycząc tylko w biegu: poczekaj! poleciał do lasu.

— Twój syn, panie Wołkanowski, harda sztuczka, rzekł starosta, nauczyłeś go pychy, to źle.

— Nie, jaśnie wielmożny panie: pycha to fe! to grzech śmiertelny, to pierwszy gradus do piekła, a jeszcze nam chudym pachołkom pięknieby ona przystała! Nie uczyłem ja go więc pychy, ale nauczyłem respektować w sobie *honestatem* swego szlacheckiego klejnotu. Przyjdzie może i jemu trzymać się gdzieś pańskiéj klamki; ręczam jw-go pana, że w takim razie będzie służył wiernie i poczciwie, że śmiało nadstawi łba za honor swego pryncypała, ale i własnego nie da nikomu na pastwę.

Tymczasem toczyły się dworskie przedrwinki z Tatury, wypraszającego się u starosty od tego pojedynku; czuł on bowiem, że ze zwycięztwa nad dzieckiem nie będzie wielkiéj chluby; a nuż w przypadku!!! nie będzie miał gdzie oczu podziać.

— Uwolniłbym cię tém łatwiéj, rzekł starosta, że i Piotrek bić się nie życzył, ale gdyś go tchórzem nazwał, to już nie ma rady; on cię na sucho nie wypuści; patrz, patrz, jaki snop kijów ciągnie z lasu.

Jakoż Piotr kilkanaście dębinek młodych, prostych i równo uciętych przyniósł, a rzucając je przed Taturę na ziemię, rzekł: no, wybieraj sobie do ręki!

— A wybiorę rózgę na błazna, mówił podejmując kij grubszy Tatura.

— A ja stępel na pudlarza, odrzekł Piotrek, biorąc także dębinkę; a rozśmieli się z tych pogróżek wszyscy, i cała myśliwska gromada otoczyła kołem pole popisu.

Za Piotrkiem stanęła szlachta, towarzysze i sąsiedzi Wołkanowskiego, jakby w sekundy i dla dodania rezonu swemu faworytowi i wychowańcowi.

Straszne to figury! łby golone lub łyse; policzki rumiane i pękate; wąsy szorstko nastrzępione, lub suto zwisłe, oczy żywe i wejrzenie surowe, na nich kurty zamaszyste, borsucze torby, juchtowe szerokie pasy ze sterczącemi w nich rogami z prochem, flinty w ręku... Straszne figury! prawda, i gdybyś w lesie na samotnéj drodze spotkał którego niespodzianie: Bandyta! pomyślałbyś strwożony. A jednak pilniejsze nań zwróciwszy oko, od razu upatrzyłbyś w obliczu tém coś takiego, coby cię wnet uspokoiło, coby cię owszem sympatycznie doń skłoniło: jakiś wyraz spokojnego sumienia, dobréj myśli, szczerości i rubasznéj swobody. Wła-

śnie jak wewnątrz tak i na twarzach: pozór burzliwy, grunt poczciwy i bezpieczny... Iluż z dzisiejszych malarzy usiłuje odtwarzać te nasze staroświeckie twarze i postacie! ale jakże mało takich, którzyby to przeciwieństwo pojmowali, a jeszcze mniéj którzyby je uwydatnić potrafili!

Kilkanaście więc takich figur stanęło za Piotrkiem. Tymczasem Tatura zdjął z siebie myśliwski moderunek, gwintówkę oddał strzelcowi, podjął łeb i spójrzał w górę; potém zaszedł od słońca, stanął w kroku i ukłonił się staroście. Stary frant, chciał tą rewerencyą jakoby dać poznać, że dla tego taką pozycyę obiera, aby tyłem do swego pryncypała nie obrócić się; a w rzeczy szło mu o to, aby Piotra naprzeciw słońca postawić, którego jasne południowe promienie ćmiłyby mu oczy.

— Ostrzegam pana Taturę, rzekł stary Wołkanowski, że mój Piotrek na obie ręce bije się.

— Dość mu będzie mojéj jednéj, odpowiedział dworak.

Tymczasem Piotr spójrzał także w górę i uśmiechnął się; zrozumiał manewr przeciwnika, a obróciwszy się do swéj braci szlachty, dajcież rzekł, łapy na szczęście.

— No, no, rzekli oni biorąc go i wstrząsając za rękę, no, no, panie Pietrze, po naszemu! po naszemu.

— A to wszystko widzę zuchy, odezwał się starosta do stojącego obok siebie starego Wołkanowskiego.

— A zuchy, zuchy mości dobrodzieju i gracze do kija, a *data occasione* i na ostre; bo u nas co niedziela tyle w okolicy, na ulicach i dziedzińcach nałamiem kijów, że żonki przez cały tydzień mają na czém kaszę gotować.

Stanęli więc naprzeciw siebie rycerze, Piotrek, któremu w téj chwili, wieku, urody i dojrzałości przybywać zdawało się, lewą ręką zasłoniwszy się daszkiem nad oczami od słońca, prawą raźnie się złożył z Taturą.

— Stójcie, zawołał starosta, tak być nie może; odmieńcie pozycyę; piotrkowi słońce dokucza w oczy.

— Nic to panie, nic, odpowiedział Piotrek, gdy na to zawołanie starosty Tatura się zatrzymał; każdy sobie poradzi; daléj do roboty.

Raz—dwa—trzy.—Kije się skrzyżowały, bo to każda taka bójka tym obrzędem się zaczynała.

— *Hajże! znajże! dotrzymajże!* krzyknęła niespodzianie, a razem jak indyki, szlachta za Piotrem stojąca.

Tatura zmieszał się, spuścił z oka Piotra, a ten śmignął chyłkiem mu pod rękę, i z tyłu po grzbiecie boleśnie przeprowadziwszy dębinkę: Sam do słońca panie majstrze! krzyknął.

Śmiech powszechny rozległ się.

— Ha zdrajco!. . . chłystku!. . . pijaku!. . .—wrzeszczał Tatura. Ze złości stracił on głowę, nazywając pijakiem chłopca, który za życia jeszcze i razu się nie upił.

— Zdrajca, czy nie zdrajca, mówił starosta, śmiejąc się, także serdecznie, dość że masz za swoje: *kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada;* chciałeś oćmić chłopca i tym sposobem go splażyć. Otoż zdrada za zdradę, masz wet za wet i popraw się, bo będę cię miał za trzy litery.

Walka więc na chwilę przerwana, poszła daléj z impetem. Tatura kapelusz swój skórzany nasunął na czoło od słońca i zapalczywie nacierać począł; lecz on nie bić się, ale bić chciał: więc kij jego w jednostajnéj zawsze dyrekcyi z góry na dół spadał, do czego wysoka statura jego wielce mu dopomagała, i odskakiwał w górę, odbijany pałką przeciwnika, broniącego łba swojego. Ale gdy jednostajny taki attak i obrona przedłużały się bez skutku, zniecierpliwili się spektatorowie.

— Cóż? czy długo Tatura będziesz drwa rąbał? zawołał starosta, szalony mi pojedynek; jeden z góry na dół kij spuszcza, a drugi nad głową kij trzyma.

— Héj panie Pietrze! odezwała się także szlachta, zabiegłszy mu z tyłu. Héj po naszemu! *Łupu cupu! Cupu łupu!*

Na to wezwanie, Tatura nieumiejący widać zręcznych manewrów, a w siłę swą tylko zaufany, wykręcił młynka nad głową, tak, że aż kij zafurczał w powietrzu, lecz w tejże saméj chwili Piotrek, korzystając z odkrycia się jego, podbił mu z dołu kapelusz tak, że odleciał mu z głowy na kilka kroków: a teraz na gołe łby, krzyknął.

Młynek wietrzny zawiązał w powietrzu, jakby wiatru nie stało, a śmiech i brawa powtórzyły się znowu w około.

— Dość, dość, rzekł, starosta, poznaliśmy gracza i partacza.

— A niechże mnie sto tysięcy djabłów porwie! wrzasnął Tatura, jak to dość? ja tego smarkacza na miazgę zbiję, i ze wściekłością rzucił się na Piotra. Ledwo ten miał czas odskoczyć parę

susów i stanąć w pozycyi obronnéj, bo Tatura chciał go schwycić oburącz i cisnąć na ziemię, a potém kijem okładać, czegoby łatwo z potężną swą siłą dokazał! lecz gdy znalazł kij gotowy naprzeciw siebie, musiał znowu kontynować pojedynek do którego zemsta go już i wstyd zapalały; zaczęła się więc rzeźwa i szczera siekanina. Kij Tatury bez pamięci i układu wprawdzie, ale nadzwyczaj silnie i gęsto machany, tém samém, że bez układu, niebezpiecznym był dla Piotra, przyzwyczajonego do porządniejszych i umiejętniejszych, a mniéj zawziętych bójek; bronił się wprawdzie i odbijał zręcznie i dzielnie, ale wzajemnie attakować nie mógł, chociaż folgując prawéj ręce, w lewą nieraz przerzucał dębinkę. Szlachta krzykiem dodawała rezonu, i raptem wytknęła się z pod pachy jednego z nich ogromna łysa głowa, z czerwonym nosem i szeroką gębą, a wielkiemi wołowemi oczami, jakby łeb upiora z pod pachy wyglądający, i ryknęła okrótnie: *„Hura! rura! Pan Tatura!“* i straszydło znikło. Szlachta tubalnym chórem huknęła: *Rura! rura! pan Tatura* i wrzeszczała na całe gardło, a Tatura zgrzytał zębami i nacierał jeszcze srożéj . . . w tém smagła dębinka Piotra uderzona potężnie grubszą pałką adwersarza, pęka w połowie. . . Starosta i wszyscy — stój! krzyknęli, dość! ale Tatura rad z okazyi, masz! rzekł z przyciskiem i ciężki raz spuścił na ramie Piotrka, ten upadł . . . ale w tém samém oka mgnieniu zachwiał się i rymnął jak długi Tatura, bo Piotrek upadając chwycił go za nogi i pociągnął za sobą, a zerwawszy się rzeźwo, siedział wnet na brzuchu ogłuszonego Tatury i gniótł go z całéj swéj siły. Wszyscy bili w dłonie na tryumf i starosta razem . . . a na dobitkę ukazała się znowu z pod pachy straszna głowa upiora i beknęła kozim głosem:

„I na ogromnym smoku jeździć będziesz.“

— A to jakiś koncepcista, rzekł śmiejący się starosta.

Tatura wszakże nie dał się długo ciemiężyć, strząsł z siebie swawolnego chłopaka, powstał i zaklinając się szalenie, biegł za nim . . . lecz zastąpiła mu drogę szlachta, a starosta jednym słowem wstrzymał zawziętego *Goliata*. Pohamować jednak nie mógł ani jego krnąbrnych odgrażanek, ani szlachty od drażniących go okrzyków: *hura! rura! pan Tatura!* i podobnych temu konceptów mniéj więcéj dowcipnych i gorzkich, któremi dopiekał mu nieustannie ów jakiś upiór utrapiony. Zresztą był pewnym, że Tatura, skonfundowany i zwyciężony od jednego, nie porwie się na kilkunastu, dozwolił zatem szumiéć humorowi szlacheckiemu, podnieconemu

wprzód jeszcze kilkakrotném *pogrzebowém;* lecz zainteresowany tém bardziéj zręcznością i roztropnością młodzieńca, a w ojcu poznając człowieka nie tak pospolitego, jak go był z pierwszego wejrzenia osądził: Panie Wołkanowski, rzekł, przyznaję żeś i głowę i rękę syna sposobił na to, aby kiedyś z tych lasów na świat wyszedłszy, umiał ręką bronić głowy, a głową kierować rękę. Dobrze to jest i po szlachecku; lecz radbym wiedzieć tę historyę waszego bratobójczego, jak mi powiedziałeś processu; jeżeli więc nie masz nic przeciw temu, to mi ją opowiedz.

— Nie mam nic przeciw temu, ale nie mam i czasu, bo to nie dwa, ani trzy słowa, a pan dobrodziéj jutro pono masz nas opuścić.

— Nie, mój kochany Wołkanowski, Piotrek twój powiedział mi, że wie ostęp, w którym znajdziemy rysiów.

— Ho! wymówił się błazen, rzekł kręcąc głową stary, toż widać pokochał pana, kiedy nawet rysiów wydał.

— Nie straci na tem, rzekł Sołłohub . . . lecz postrzegłszy że Wołkanowski na te słowa znowu zdziwionem okiem poglądał: ale nim co będzie, dodał, tymczasem zróbmy tak: Idźmy wraz do domu, dziś mi opowiesz swoje dzieje, jutro waćpan z synem na exekwie pojedziesz, a my odpoczniemy sobie, bo i ludzie i psy codzienną pracą zmordowani, a pojutrze za panem Piotrem na rysie! Héj, pojezdnego!

Sześć trąbek zabrzmiało wnet rozgłośném echem, tak miłém myśliwemu uchu, i cała gromada wesoło i gwarno pociągnęła do okolicy, w któréj się wkrótce wygodnie roztasowała.

Lat sto nazad.

Kiedy po rannych fatygach wypoczął już sobie starosta, a krótki dzień wrześniowy gdy już w szaréj tonął godzinie, w schludnéj izbie, którą on sobie za kwaterę wybrał, zajaśniało kilka świeczników, i rozkazał Sołłohub prosić do siebie Wołkanowskiego.

Nie długo dając na się oczekiwać, wszedł stary, uginając się pod ciężarem pękatego worka, i kilkadziesiąt plik papierów wytrząsł zeń pod nogi staroście.

— Co to jest, Mości panie? zawołał on zdziwiony.

— To mój ciężar, który dźwigam od młodości i dźwigałbym aż dotąd, gdyby bieda i ubóstwo gorszym mię jeszcze nie nacisnęło, tak, że już tamtemu nie podołam, a prosto mówiąc, to cały nasz proceder w dokumentach, które jaśnie wielmożnemu panu czytać będę.

— A bój się Boga, panie bracie, nie skończym i za tydzień! zresztą, anim ja wasz sędzia anim adwokat. Opowiedz mi całe to zdarzenie *summatim;* wszakże wiedzieć musisz wszelkie szczegóły i okoliczności; a nuż w czémkolwiek będę mógł być wam użytecznym?

— Ale bo widzisz, panie starosto dobrodzieju, mówił Wołkanowski, podejmując niektóre fascykuły z ziemi i kładąc je na stole; muszę niektóre przynajmniéj okazać JW. panu, na utwierdzenie prawdy tego, co opowiadać będę.

Oto naprzykład dowód szlacheckiéj rodowitości naszéj; *Laudem* województwa Sandomirskiego: „My rady, dygnitarze, urzędnicy i wszystkie rycerstwo województwa Sandomirskiego, którzyśmy do Opatowa na sejmik elekcyi deputackiéj, w dzień dzisiejszy, w poniedziałek po narodzeniu Najświętszéj Panny Maryi, to jest dziesiątego dnia września, roku Pańskiego 1635, zgromadzili“ *).

— Po co panie bracie, przerwał starosta, ślepisz przy świecach stare swe oczy? mów swojemi słowami.

— Oho, panie dobrodzieju, ja to na pamięć umiem, bo to *basis et fundamentum* naszego tu zażycia się; bez tego Litwini przepędziliby mnie gdzie pieprz rośnie! tak jak dziada mego przepędzić chcieli, póki im tego autentyku nie przywiózł. Jest to więc *testimonium* całego koła rycerskiego województwa Sandomirskiego, przed którem dziad mój Stanisław, z małych i wielkich *Wołkanów. Wołkanowski*, nobilitacyę swoją i z miecza i z kądzieli, i przez dziady i przez baby, tak stoi w tém piśmie panie dobrodzieju, publicznie dedukował i dowiódł, że był odwiecznym obywatelem tego województwa, i powiatu Chęcińskiego. Przypatrz się JW. pan i przeczytaj, jakie to przezacne imiona akt ten podpisały **) i stwierdziły.

---

*) Z Oryginału.

**) Gdy wpadnie do rąk naszych papier jaki z gromadnemi podpisami przodków naszych, myśl przywykła do zagłębiania się w przeszłość, wnet ożywia całe to grono, gości w niém, słyszy ich mowy, obcuje z niemi i przywyka do towa-

Sołłohub, przypatrując się tym przedstoletnim natenczas, a dziś przed dwustoletnim z górą podpisom: — ale cóż powodowało, zapytał, dziada twego do szukania i wyjednania sobie tego *testimonium?*

— Otoż na to pańskie zapytanie, potrzeba już regularnie zacząć opowiadać naszą historyę.

Wołkanowscy od antenatów żyli w Sandomierskim w dobrach swoich, małych i wielkich Wołkanach, ale z czasem rozrodzeni... tu stary jąkał się, i zdawał się szukać stosownego wyrazu — i co gorsza ..

---

rzystwa, w którém się za grobem kiedyś pomieścić ma. Pod warunkiem takiéj tylko, że tak powiem *hallucynacyi*, autor odtwarzać i opisywać może osoby, obyczaje i obrazy przeszłości: chwytane pojedyńczo wzory nigdy zajmującéj i prawdziwéj nie złożą całości.—Takiego stanu doświadczyłem i ja patrząc na to poważne sejmikowe koło, w kollegacie Opatowskiéj (tak wyraża laudum) zebrane, z Niesieckim w ręku wskrzesiłem prawie wszystkich mężów tam sejmujących i podpisanych na takowém laudum, Janowi Wołkanowskiemu danêm; każdego po godności i honorze, *de nomine et cognomine* nazwać mogłem, i każdemu submittować się. Owoż niektóre z nich:

Stanisław Pękosławski, Marszałek koła rycerskiego, starosta sandomierski; mąż rycerski i waleczny. Gdy się król Stefan na uskromienie Gdańszczanów z wojskiem wybierał, przełożył go nad rotą pieszą konną; a widząc w nim nielękliwe serce, latarnię szańcami opasaną straży jego powierzył etc. (Niesiecki Tom 7-my, fol. 265). Godnym więc był Stanisław Pękosławski zaszczytu przewodniczenia kołu rycerskiemu.

Ale przeciskam się przez tłumy do pana *Mikołaja Kochanowskiego*, stolnika sandomierskiego, tak się podpisał i tak go Niesiecki mieni. (Tom 5-ty, fol. 140). Brat to więc Jana, już natenczas nieżyjącego; przy nim stoi dwóch krewnych zapewne, o których Niesiecki nie wspomina, Hrehory i Adam Kochanowscy. Sympatyczne to imie, a gdziekolwiek z niém spotkać się zdarzy, serce żywiéj bić zaczyna.

Andrzéj Morsztyn z Raciborza, tak się podpisał, i tak go Niesiecki mianuje (Tom 6, fol. 469); najprzód stolnik sandomirski, poseł na sejm brzeski 1653, deputowany do Konstytucyi, potém Referendarz koronny, starosta kowalski, zawichowski i wartski; naznaczony do traktowania o pokój z W. Ks. Moskiewskim, wziął nakoniec w rokn 1668 podskarbstwo W. Ks. i starostwo tuchalskie z którym tytułem jeździł w poselstwie do Francyi, do Rzeszy Niemieckiéj, do Rzymu. Fundował OO. Bonifratrów w Warszawie etc. Mąż to znakomity w dziejach naszych.

Zbigniew z Oleśnicy Oleśnicki, starosta opoczyński, tak się podpisał, i tak go Niesiecki mieni, (Tom 7, fol. 82); syn Mikołaja i Zofji Lubomirskiéj, kasztelan wileński, fundował kościół w Tarnowie.

— Cóż?—rzekł starosta.

— Niezgodni... no, niezgodni panie dobrodzieju.

— Cóż w tém osobliwego, żeś wymówić nie chciał? *Rara concordia fratrum:* to w przysłowie nawet weszło.

— Oh bo panie dobrodzieju, ta niezgoda krwią bodaj była zmazana... Nie wiem jak to było — bo i ojciec mój nie chciał mi nigdy tego dokładnie opowiedzieć; tylko wznosił oczy do nieba i błagał przebaczenia boskiego dla całéj naszéj rodziny; coś to bodaj na pradziadach naszych ciąży... niedaj Boże aby się to na prawnukach skrupiło!...

Jan z Oleśnicy Oleśnicki, W. lubelski; tak się podpisał brat poprzedzającego. Niesiecki ojca ich Mikołaja mianuje wojewodą lubelskim. Litera więc W. znaczyć może wojewodzic.

A. (Abraham) *Gołuchowski*, starosta stężycki i wileński; tak się w skróceniu podpisał, i tak go Niesiecki (Tom 4, fol. 176 mieni), w peregrynacyi do cudzych krajów, języków niemieckiego, francuzkiego i włoskiego się nauczył, w Lorecie herezyi się wyprzysiągł; podczas *interregnum* rotmistrzował województwu Sandomirskiemu, chorągiew okrytą swoim sumptem wystawiwszy na obronę ojczyzny; posłował często na różne sejmy, jako 1631, zkąd był deputowany do kwarty Rawskiéj, i 1633 i 1641, do traktatów o pokój ze Szwedami etc.; umarł 1647.

Wojciech z Brzezia Brzeski, starosta uijski, (Niesiecki Tom 2, fol. 337).

Jan i Zygmunt Wiszkowscy, (Niesiecki Tom 9, fol. 463).

Andrzej Moskorzewski z Moskorzewa, (Niesiecki Tom 6, 483); komisarz do granic od Węgier 1637.

Seweryn Lipowski z Lipowa, (Niesiecki Tom 6, fol. 107); żył w r. 1636, a zatém tenże sam rok sejmiku w Opatowie; jest jego nagrobek w kościele OO. Bernardynów w Sandomierzu i żony jego Budzińskiéj, z herbami Ciołek i Janina, położony roku 1646.

Mikołaj Dębiński z Dębina, (Niesiecki Tom 3, fol. 320); syn Gabryela i księżnéj Zbarazkiéj a wnuk Jędrzeja, który żył lat 120 i żyłby dłużéj, ale nadarzone powietrze zabrało go do grobu.

Piotr Opocki, Niesiecki (Tom 7, fol. 122); w województwie Sandomirskiém, z wielkiéj Opoki Opocki; najprzód podczaszy lubelski, poseł na sejm 1661, potém podwojewodzic sandomirski fundował w Sandomierzu OO. Reformatów.

Daniel M. (Michał) *Świrski*, wojski lwowski, tak się podpisał, (Niesiecki Tom 8, fol. 585), syn Stanisława stolnika lwowskiego.

I wielu innych. Praca takiego odszukiwania i zaznajamiania się razem, miłą jest i nader zajmującą. Autentyk tego *laudum* Wołkanowskich odsyłam do Warszawy, hrabiemu Aleksandrowi Przezdzieckiemu, a nuż tam się znajdzie jaki Sandomierzanin, który autograf podpisu swojego przodka ujrzy między sejmującymi w Opatowie 1636 roku.

No, więc tak; rozrodzeni i niezgodni rozsypali się po różnych stronach: a jeden z nich, Stanisław Janowicz Wołkanowski oparł się aż tu w województwie Mińskiém i stał się dziedzicem *Sieliszcza.*

— Gdzieś tam o mil kilka od Illii jest jakieś *Sieliszcze*, rzekł starosta.

— Też same to, też same, panie dobrodzieju, i gdyby sprawiedliwość święta była na świecie, byłbym o mil kilka sąsiadem pańskim.

Ten pan Stanisław Wołkanowski był to człek wojskowy: za królów Zygmunta III-go i jego syna Władysława IV-go, przypowiadano go rotmistrzem to pieszym to kozackim; i zawsze z pocztem sowitym stawał na wyprawach *). Lecz z téj przyczyny, nie mogąc dopilnować ani fortuny, ani gospodarstwa, udał się do gniazda imienia swego w Sandomierskie i tam namówił dziada mego, a krewnego swego, zawołanego gospodarza, aby sprzedawszy swój folwark przeniósł się do Litwy, a po staremu do Sieliszcza, gdzie mu do wiernych rąk chciał spuścić całą swą substancyę, a nadto dobrą dzierżawą ukontentować.

Tak się i stało: dziad mój, spieniężywszy wszystko co miał, za część kapitaliku wziął w zastawę folwark od Sieliszcza, a resztę oddał na prowizyę tak życzliwemu krewniakowi, i zajął się wprowadzeniem do jego gospodarki ładu, którego dotąd ani za grosz nie było.

Z początku szło wszystko dobrze i coraz ku lepszemu, bo pan rotmistrz w szczerych intencyach sprowadziwszy mojego dziada, zawierzył mu zupełnie; ale jak tylko on wyruszył na wyprawę, małżonka jego, bardzo fertyczna imość, sama wnet rządzić wszystkiém postanowiła, i z pomocą dwóch synalów, już dobrych wyrostków, wypędziła mojego dziada z Sieliszcza. Jeszcze to mniejsza było: osiadł on bowiem w swojéj zastawie i nie dbał o panią rotmistrzowę; gadał jéj prawdę bez ogródki, że Sieliszcze pod jéj rządem pójdzie świdrem, a mąż, powróciwszy do domu, nie będzie miał za co podziękować Imości dobrodzice, któréj bezładem i rozrzutnością fortunka piękna ginęła marnie, więc i o swój kapitalik kołatać począł,

---

*) List przypowiedni Zygmunta III. r. MDCX Sierpnia XXIV na sto kozaków. List otwarty na 200 piechoty Władysława IV. r. MDCXXXIV Stycznia XX. Autentyk.

co tém bardziéj rozgniewało babę, tak, że usadziła się na jego zgubę. Jakoż, gdy mąż wrócił do domu, tyle mu weksy i nienawiści nakładła do serca na mojego dziada, że już sposobu pojednania się nie było, a rotmistrz wypędzić go z zastawy bez zwrótu summy zadeklarował. Mój dziad zaś, pragnąc co najrychléj wyrwać się z téj otchłani i wrócić w Sandomierskie, pozwał rotmistrza o zwrót wszystkich swoich pieniędzy.

— Ktoś tam powiedział, panie dobrodzieju, mówił daléj Wołkanowski, że dwóch jakichciś Mości panów, prawując się z sobą, na jednym wózku do sądu jechali; to nie prawda Mości dobrodzieju, to dali-Bóg nie prawda. Albo powiadają: „przyjaźń przyjaźnią, interes interesem.“ Interes i przyjaźń, to jak ogień i woda: kiedy jedno z drugiém zbliżysz, to albo ogień tak wodę podpali, że wnet zawrze, albo woda zagasi ogień; ale gdyby ogień w wodzie palił się, to tego jak świat światem nie było i nie będzie, tak, jak nie było i nie będzie, aby razem i kochać się i kłócić się.

— No, ale cóż daléj?—przerwał starosta.

— Daléj, panie dobrodzieju, zaczęła się wojna, do któréj się wziął rotmistrz najprzód, zadając dziadowi memu *imparitatem*, wypierając się wszelkiego z nim pokrewieństwa, owszem dowodząc mu samozwaństwa, że się podszył pod jego nazwisko, a był *de radice* plebejusz. Uczynił to w nadziei, że wiekiem podeszły dziad mój nie zdąży w dalekie koronne strony po dowody swéj rodowitości, któréj gdy nie dowiedzie, pozbędzie się wszelkich praw i prerogatyw szlacheckich i szczęśliwym będzie, gdy go choć z duszą z Litwy wypuszczą.

Ale się kaducznie omylił, bo wziąwszy Pana Boga na pomoc, dziadek mój ruszył bez zwłoki do swego gniazda w Sandomierskie, i ztamtąd przywiózł ten oto dokument, nieoszacowanéj waluty, który JW. pan dobrodziéj w ręku trzymasz, a oprzysiągłszy go jeszcze na trybunale w Mińsku, nie tylko się nim jak tarczą od persekucyi zasłonił, ale jeszcze dopominał się o nawiązki, i aby według Statutu potwarca pod ławą jako pies, potwarz odszczekał.

Nie chciało się panu rotmistrzowi tego *hau! hau!* z pod ławy; bo prawdę mówiąc, ten honor pani rotmistrzowéj właściwiéj by należał, jako skrytéj do wszystkiego złego tentatorce. A tu nie było rady, trzeba było i pieniądze i dobrą sławę wrócić nienawist-

nemu adwersarzowi, więc go inaczéj pozbyć nie mogąc, zabić postanowili.

Niżeli jednak te niegodziwe zamysły doszły do skutku, rotmistrz umarł, i dobrze zrobił, bo nie poniósł na sobie przed sąd Boski kryminału, do jakiego wiodła go zawzięta baba, a pewniéj djabeł przez nią, bo wiadomo że gdzie on sam nie może, tam babę podsadzi. Możeby zresztą rotmistrz i nie dopuścił się takiéj zbrodni, na którą Mości dobrodzieju *horret animus*, zwłaszcza człowieka rycerskiego, jakim on był; ale wdówka nie skrupulatka, i z godnym synalem swoim Franciszkiem Wołkanowskim, ułożyła plan, który dziada mego pewnie do nieba, jak męczennika, a ich oboje do piekła zawiódł.

Przechwałki częste, jakie zalawszy sobie w pałkę i buszując po sąsiedztwie, ten Franciszek rozpuszczał, doszły nakoniec do ucha dziada mojego; więc on warując bezpieczeństwo życia i zdrowia swego, list zaręczny na 10,000 kop groszy, przeciw tym odgróżkom wyniósł, ale im bardziéj prawną obrzucał ich siecią, tém większą w nich tylko pobudzał zawziętość, i nakoniec, krótko mówiąc, napadł Franciszek z dobraną bandą łotrów pijanych na dom jego, i bezbronnego okrótnie zabił... a nie dając nawet czasu, aby poczciwie i po chrześcijańsku pogrześć go, trupa na wóz włożyć kazał, i przy tym samym wozie obumarłą prawie wdowę z dziećmi wygnał za wrota *).

— Cóż to za zbrodnia! zawołał zdziwiony i porywając się z miejsca starosta, w tatarskim, barbarzyńskim narodzie nic podobnego nie słyszano! Cóż daléj, cóż daléj, uszłoż to jemu na sucho? Nie byłoż natenczas prawa? nie było trybunału na ukaranie zabójcy? nie byłoż litościwych ludzi, którzyby nieszczęśliwą wdowę wsparli?... byłże i jest Bóg na niebie!...

— Jest, panie dobrodzieju, jest! i doznała babka nasza Jego opieki. On poczciwych ludzi natchnął miłosierdziem, oni przygarnęli biedną sierotę, akklamowali zabójcę tak, że nigdzie pokazać się nie mógł, i dali sposób dochodzenia na nim sprawiedliwości i kary.

— Otóż tu, mówił daléj starzec biorąc w rękę papiery, okażę JW. panu od początku do końca de *data et actu*, cały proceder,

*) **Cała ta historya Wołkanowskich jest prawdziwą.**

w którym stanęły naprzeciw sobie dwie wdowy: jedna po zabitym mężu, matka osieroconych dziatek, wołająca sprawiedliwości; druga, matka zabójcy, chcąca ratować siebie i syna. Jedna z niewinnością i łzami, druga z zakamieniałém sercem i piekielną chytrością; słowem, walka to anioła z szatanem. Wygrana pewnie w sądzie Boskim, ale w ludzkim... obaczy jegomość dobrodziéj.

Więc najprzód pozew...

— Nie, mój Mości panie, rzekł starosta jużem cię prosił, abyś wywodów prawnych zaniechał. Opowiadaj jeśliś łaskaw same ostateczne ewenta, których bardzo ciekawy jestem; wszakże słowom twym wierzę i z nich dostatecznie się przekonywam, że i przed nami nie było lepiéj niż teraz, że zawsze na dwoje między ludźmi: źli i dobrzy, prześladowani i prześladowcy.

— Ależ; bo to bez dowodów trudno uwierzyć takim *exorbitancyom*, jakie opowiadać mam. Po przewiedzionych zatém inkwizycyach *in loco delicti*, a w których zbrodnia odkryła się najoczywiściéj, rzecz się wytoczyła przed trybunał w Mińsku, na który gdy grubą żałobą okryta weszła babka moja, prowadząc synka i córeczkę za ręce, a majestatem sądu strwożona i z przytomności zbita, sama nie wiedząc co czyni, padła na kolana i żałośnie płakać zaczęła, całe prześwietne koło deputatów powstało z miejsca, otoczyło ją i pocieszało niebogę. Po takim wstępie poznał obrońca pani rotmistrzowéj, że mu będzie trudna rada, że gdy zaprzeczyć oczywistéj zbrodni nie może, to i bronić jej trudno: więc gdy obmowy rzucone przezeń prawie wszystkim deputatom nic nie pomogły, a trybunał brał się do *scrutinium*, on w insze uderzył. Złożył przed sądem listy przypowiednie królów, i w nich zalety męztwu i posługom oddanym krajowi przez Stanisława Wołkanowskiego, ojca zabójcy *). „Sądzić, rzekł on, syna na gardło, podług żądania nielitościwéj wdowy, jest to posłać go z oznajmieniem do ojca, jak nagrodzone są jego ciężkie fatygi i jego krew dla ojczyzny toczona.“ Takim argumentem z ojcowskich zasług ujął i skruszył sędziów tak, że oni chcąc pogodzić surowość nad synem, ze względami na pamięć ojca, któréj hańbą okrywać nie śmieli, tém bardziéj, że winowajca tułał się już nie wiadomo gdzie, a zatém że go miecz katowski dosięgnąć nie mógł, na wieczną go banicyę razem z matką wskazali, a za czworaką główszczyznę, i za listem

*) Listy takowe mam przed sobą.

owym zaręcznym, który dziad mój wyniósł, warując bezpieczeństwo swego żywota, wszystkiego ze wszystkiém, piętnaście tysięcy kop groszy, na wszelkiéj substancyi banity, dla wdowy i dzieci zabitego przysądzili *). Babka więc moja, opublikowawszy wedle prawa banicyę, jako okup krwi męża, zajęła Sieliszcze.

— *Tandem bona causa triumfat*, zawołał starosta, odetchnąwszy głęboko, jakby mu ciężar spadł z piersi. No to i koniec procederu.

— Oho! ze złymi ludźmi, mój dobrodzieju, chyba na sądnym dniu końca procederu i tryumfu nad nimi dojdziesz; ale w prawach i statutach ludzkich zawsze się znajdzie jakaś luka, przez którą wykręt, jak złodziéj do zamkniętéj komory, wciśnie się i wszystko do góry nogami przewróci. Ledwo moja babka przesiedziała spokojnie dwa lata, gdy niejaki pan Ciecierski ogłosił się właścicielem Sieliszcza, i wyjechał z prawem nań przedażném od nieboszczyka rotmistrza jemu, rokiem jakoby przed śmiercią wydanym: i ledwo moja babka zaczęła naprzeciw takowym podkopom i niegodziwym falsyfikacyom składać rady i porady, nie wiedząc wcale co się to święci, i jakim kaducznym fortelem zajść ją miano, gdy ten pan Ciecierski, zaprodukowawszy tylko publicznie swe prawo, cedował je wnet XX. Karmelitom Głębockim; ot już i trudniejsza byłaby sprawa z bogatym klasztorem, niż z jednym jakimś tam *Ciecierukiem*. Po zajęciu Sieliszcza przez babkę moją, o pani rotmistrzowéj ani słychać nie było: rozumiano powszechnie, że jako banitka, zakopała się w jakimś klasztorze, i że syn jéj także gdzieś kapturem głowę nakrył, upamiętał się i za swój grzech ciężki pokutuje; bo żaden naówczas banita, a nawet i teraz Mości dobrodzieju, nie ulega tak dalece wyrokowi wygnania, żeby aż kraj opuszczał, i jeżeli cicho siedział, nikt go nie zaczepiał ani prześladował. Ale i Karmelici nie chcieli widać wdawać się publicznie w tak haniebną robotę, chociaż ręce ku temu przyłożyli i chociaż wieść była, że Franciszek banita u nich się przechowywał i ich habitem okryty chodził; założyli więc oni tylko ze swego imienia i stanu, jakby drugą rappę, którą, nam potem przebywać trzeba było. Zatém przedają oni Sieliszcze jakiemuś Kuncewiczowi, tęgiemu widać prawnikowi, a złączonemu szeroką parentelą z bardzo możnemi imionami na Litwie i na Rusi. Takie przedaże mogłyby i przez dziesięć rąk prze-

*) Dekret 1639.

chodzić; i cóżby ztąd dobrego wyniknąć mogło dla rotmistrzowéj, gdyby nawet który z nabywców wyforował z Sieliszcza moją babkę z dorastającym już jéj synem, a moim ojcem, Adamem Wołkanowskim; ale był to widać plan od początku już ułożony, a do tego zmierzający, aby *banitka* wleźć mogła nazad do fortuny niegdyś swojéj, lecz aby w procesie ztąd koniecznie wyniknąć mającym, nazwiska jéj, ani jéj osoby nie było.

— A tegoż jakim sposobem dokazać mogła? zapytał starosta.

— Ot bardzo łatwo, chociaż zrazu nikt się nie domyśli! Żeni się z nią *Kuncewicz*, i jako nabywca *Sieliszcza* od Karmelitów, zajeżdża *violenter* ten majątek, i moją babkę z synem wypędza. Znowu więc biedna wychodzi ubogo za też same wrota, przez które przed kilką laty wyszła za trupem męża swego . . .

Stary zamilkł, był mocno wzruszonym, a starosta oparłszy głowę na ręku, patrzał we zwilżoną jego źrenicę.

— Cóż się potém stało? zapytał znowu starosta.

— Ha, nie dozwalasz pan dobrodziéj produkować sobie nastałych potém z kolei judykatów, przez które babka moja przechodzić musiała, szukając sprawiedliwości, i najdowała ją prawie zawsze; ale cóż z tego? kiedy sprawiedliwość swoje, a złość ludzka swoje. Zamiast jednego procederu o wygnanie z *Sieliszcza* i *wiolencyą* z *Kuncewiczem*, trzy razem wynikły sprawy; bo on pozwany, przypozwał Karmelitów, a Karmelici *Ciecierskiego;* któż ich wszystkich mógł zebrać razem? Ciecieruk do takiéj budy gdzieś skrył się, że go ani słychać nie było. Karmelici bez niego, jako swego mocodawcy, protestowali aktorat i odrzekli się wszystkiego; a Kuncewicz podług przysłowia: *beatus qui tenet*, napiął i poruszył wszystkie sprężyny swego pieniactwa, i licznych swych adherentów familijnych, aby otrzymując dekreta naprzeciw dekretom, godzić na zwłokę, któréj babka moja, bez sposobu i bez żadnych tu na Litwie związków, gdyż była Sandomierzanką, *de domo Grabowska*, dotrzymać nie mogła.

— A wszakże Bóg jéj nie opuścił; udała się ona do swojéj ; mężowskiéj familii, właśnie tamże w Sandomirskie. Pamiętali tam jeszcze dobrze, gdy mąż jéj po swój wywód na sejmik do Opatowa przyjeżdżał; żyli jeszcze owi dygnitarze i urzędnicy, którzy mu to zacne testimonium podpisali. Im więc wszystkim gdy opowiedziała śmierć męża swojego; swój stan nieszczęśliwy, i swój pro-

ceder, nie tylko hojny jéj złożyli suplement, tak, że było o czém i za czém borukać się z panem Kuncewiczem, ale jeszcze mądre koronne głowy dodały jéj rad, za któremi idąc, gdy wróciła tutaj, z innéj a niespodziewanéj beczki zaczęła.

Zostawiwszy bowiem na boku i Ciecieruka i Karmelitów a nawet i Kuncewicza, stanęła w tymże samym Mińskim trybunale, który pierwszy dekret w téj sprawie ferował i upomniała się o głowę *banitki*, która złamawszy *auctoritatem juris*, okazała się oczewiście w kraju i żyła w zajechanéj gwałtownie fortunie. Sprawa gardłowa, panie dobrodzieju! nie żarty!

Trybunał, przekonany dowodnie, że pani Kuncewiczowa jest to taż sama rotmistrzowa Wołkanowska, wspólniczka z synem swoim Franciszkiem zabójstwa dziada mojego, i razem z synem wskazana na wieczną banicyę, nakazał *kaptiwacyę* *) jéj osoby; a co już nieodmienie szło za tém, że gdyby ująć się dała, głową musiałaby nałożyć. Wyrok ten wykonano ściśle; urzędnik ziemski, *cum brachio militare* **) udał się do Sieliszcza, a pan Kuncewicz sam mu otworzył bramę; kwerendowano więc po wszystkich kątach i nie wynajdziono *banitki*.

Tak na gorącym razie uległszy wrzekomo prawu i wyparłszy się wiadomości nawet o swéj żonie, a nie należąc sam do kryminalnego processu, osiedział się jeszcze w Sieliszczu. Jednakże ściśléj strzegł swego domu, obił ostrokołem dwór cały, zaryglował bramę i dobrze wprzód rozpytywał kto jedzie, nim ją otworzył; a lubo ogłosił był, że żona jego przed rewizyą, tajemnie w nocy nie wiadomo gdzie ujechała, i że te ostróżności czynił, lękając się zajazdu babki mojéj, uzyskującéj coraz nowe na nim konwikcye, domyślano się jednak, że w obszernym swym pałacu ukrywał gdzieś banitkę, bo doń nie wszystkim nawet służebnikom swoim wchodzić dozwalał.

Nie długo to jednak trwało, bo bez kluczów, a swoją kosą jak wytrychem śmierć odparła rygle i weszła tam do nich ta instygatorka, Mości dobrodzieju, przed którą nikt na świecie nie obwaruje się. Tajemnica zatém odkryła się, bo czy to z wielkiéj aprensyi, czy z ciężkiéj żelozyi i passyi, dość, że zaklęta tam gdzieś baba, zaniemógłszy z rana, wieczorem już konała, i przelękniony

*) *Kaptiwacya.* Pojmanie.

**) Z pomocą wojskową.

mąż nie mógł jéj ukryć, bo straszny ryk konającéj rozchodził się nietylko po budynku całym, ale i po całym dworze, a wszyscy ze strachem uciekali i zatykali sobie uszy. Nie było czasu przybyć ani doktorowi, ani kapłanowi: *qualis vita et mors ita* *) a więc po takiém ciężkiém konaniu wyjechała pani rotmistrzowa w trumnie, przez też same znowu fatalne wrota, przez które trupa zabitego przed laty dziada mego wyprawiła.

Wkrótce potém dziwne rzeczy opowiadano, co się tam działo! Kuncewicz wyniósł się z budynku na folwark, nie mogąc dotrzymać placu ustawnym co noc strachom i szatańskim korowodom, na których żoneczka jego réj jakoby wiodła; widywano też niekiedy jakiegoś tam mnicha, zjawiającego się ciemnemi wieczorami we dworze, wsuwającego się do komnaty Kuncewicza, na jakieś tajemne konferencye, o których Kuncewicz nikomu niegadał, błąkającego się po opustoszałym pałacu i niknącego niewidomie, tak jak przybywał. Wszyscy zgadywali, że to był ów Wołkanowski, pokutujący za zabójstwo mojego dziada; zgodzić się tylko i dojść nie mogli, czy on żywy czy umarły chodzi, a nikt doń przystąpić ani zbliżyć się nie śmiał.

W takiém nieustanném otumanieniu żyjąc Kuncewicz, a odwiedzany przez tych nieproszonych gości, wpadł w głęboką melanchoję, lękał się ludzi, lękał się własnego cienia, zaniedbał gospodarkę i procederu. Łatwiéj więc iść poczęła i nasza z nim rozprawa, i przyszłaby pewnie do końca, gdyby także i Kuncewicza na sąd Boski nie zaapelowano wkrótce; poszedł on w tropy swojéj żony, tylko że w lepsze uprowidował się testimonia niżeli ona, bo po chrześcijańsku wyspowiadawszy, i opatrzony świętym wijatykiem, spokojnie umarł.

— No, rzekł znowu Sołohub, to i skończona rzecz; wjechaliście zatém do Sieliszcza, bo nie było już ktoby wam tego bronił.

— Oj był, był taki, i nie jeden jeszcze panie dobrodzieju. *Sokolińscy*, *Jeleńscy* i *Korsakowie*, sukcessorowie *Kuncewicza*, zajęli wraz po jego skonaniu fortunę i stanęli na przeciw nam, właśnie jakby w owych fatalnych wrotach, przez które już tyle żywych i umarłych wyjechało.

— Znowu więc process, rzekł zniecierpliwiony, a chcący skrócić jednostajność opowiadania Sołłohub.

*) Jakie życie, taka śmierć.

— Oh! nie zgadniesz pan dobrodziéj co znowu.

— Cóż takiego?

— Cud! umarły czy prawdziwy, czy domniemany; zmartwychwstaje, i na przeciw matki własnéj i na przeciw sobie samemu świadczy; *Mirabilia* Mości dobrodzieju, *Mirabilia!*

Zainteressowany więc na nowo starosta, no, rzekł, to coś osobliwszego, słucham.

Krzysztof Kiszka

Wojewoda Witebski *).

— Zapomniałem JW. panu powiedzieć, mówił daléj Wołkanowski, że babka moja, gdy jeździła do familji w Sandomirskie, zostawiła tam syna swego, a ojca mego, *Adama*, już dobrym wyrostkiem. Przyjęty on tam jako sierota, promowany został w palestrę; podaplikowawszy się dobrze, a bardziéj przetarłszy się między ludźmi i doszedłszy lat dojrzałych, za pomocą to krewnych, to przyjaciół jeszcze ojcowskich, ożenił się, i matce swojéj a mojéj babce i synowę i mnie wnuka, i pieniążków posagowych podwiózł, a co najbardziéj, że ją skołataną wiekiem i kłopotami w téj nieszczęśliwéj a tak długiéj procedurze zastępując, sam oną popierać zaczął.

Przybył on tu właśnie zaraz po śmierci Kuncewicza i po zajęciu Sieliszcza przez jego sukcessorów. Dekretów utwierdzających prawa babki mojéj i jéj syna nie brakło: jest tu, mówił wskazując na papiery, i ziemskich, i trybunalskich, i asessorskich i zadwornych kilkanaście; zwłaszcza że jakem to powiedział JW. panu, Kuncewicz przed śmiercią upadł na siłach i wcale słabo się bronił, albo też nie stawał u sądów; szło więc tylko o egzekucyę tych dekretów. Za życia Kuncewicza babka moja nie miała już na to ani grosza, a po jego śmierci, gdy sukurs nadszedł, było już bardzo trudno walczyć z temi przeważnemi domami, tak dalece, że żadnego nawet urzędnika ziemskiego do zatradowania majątku bronionego przez nich, namówić nie można było.

Więc mój ojciec, znający już świat ten szeroki i wszelkie na nim drogi, nie długo namyślając się, rezolutnie ruszył do króla re-

*) O nim Niesiecki. T. 1, fol. 103.

gnanta, natenczas Jana Kazimierza, a stanąwszy przed jego majestatem, wszystko mu *ab origine* wypowiedział i autentycznemi sprawami dowiódł.

Podobała się królowi śmiałość i roztropność młodego człowieka, a nie spodobała się krzywda, i taka zwłoka świętéj sprawiedliwości: zatém od boku swego pańskiego wyprawił dworzanina z własnym mandatem, aby dekreta, zwłaszcza trybunalskie, do skutku przywiódł i ojca mego do Sieliszcza wprowadził.

— Maszże ten mandat w papierach twoich? przerwał Sołłohub.

— A jakże, oto jest, rzekł Wołkanowski nie długo szukając, znam po wierzchu wszystkie moje papiery, i podał jeden z nich staroście.

Sołłohub wziął do rąk pismo własną ręką króla podpisane i wielką pieczęcią utwierdzone; patrzał na nie, i wsparty czołem na ręku, zadumał się. *Incipit calamitatem Regni* *), wymówił potém jakby sam do siebie, i długo jeszcze dumał... Wołkanowski nie przerywał mu, owszém, wlepionym w Sołłohuba wzrokiem zdawał się pojmować i czuć jego myśli, któż zgadnie? czy w przeszłość cofnione i błądzące po ruinach ziemi téj, którémi się za czasów Jana Kazimierza pokryła, czy wybiegły w przyszłość, i zgadują losy które on *incipit*...

Po téj przerwie, prowadził daléj stary swe opowiadanie.

— Lecz nim się to wszystko stało, mówił, nim ojciec mój ten mandat w Warszawie wykołatał, i dworzanina królewskiego się doczekał, upłynęło kilka miesięcy; a tymczasem zjawia się w Mińsku najniespodziewaniej, zapomniany już i jakby z tamtego świata, zabójca dziada mego, Franciszek Wołkanowski; składa i publikuje *sublewacyę* od kryminału, jakoby jeszcze przez Władysława króla, poprzednika Kazimierzowego mu daną, i składa razem *rewokacyę* Kuncewicza, to jest przedśmiertne a własnoręczne pismo jego, w którém wyraził, że idąc na sąd Boski, i chcąc przez restytucyą cudzego dobra ulżyć swemu sumieniu, wyznaje, że nigdy Stanisław Janowicz Wołkanowski rotmistrz nie przedawał Sieliszcza Ciecier-

---

*) Na monetach Jana Kazimierza, wybitą jest cyfra jego składająca się z trzech liter J. C. R., znaczy *Joannes Casimirus Rex.* Lecz nieszczęśliwie panowanie tego króla, dało powód do innego zastosowania tych liter początkowych, to jest *Incipit Calamitatem Regni,* Rozpoczął nieszczęścia królestwa. Każdy znajomy dziejów naszych uzna trafność takowego tłómaczenia, choć winę nieszczęść na Polskę natenczas spadłych, nie samemu tylko królowi przypisze.

skiemu; że prawo przedażne po jego śmierci podrobionem było; że księża Karmelici, nie wiedząc o niczém, przyjęli i opłacili cessyę Ciecierskiemu; lecz wkrótce domyślając się w tém jakiejś złéj roboty, nastręczającemu się Kuncewiczowi, bez targów i zarobków tę fortunę oddali; że całą tę robotę on sam z wdową Wołkanowską ułożyli i dokonali; że nakoniec błaga Majestat Boski, aby w swém nieograniczoném miłosierdziu duszy jego był miłościwym, i nie złączył go w piekle z potępienicą żoną jego, która go za życia do wszystkiego złego wiodła, i po śmierci jeszcze w postaci okropnéj larwy straszyła.

— *Horrendum!* zawołał Sołłohub, *horrendum!* syn na matkę takie składał świadectwo!

— A tak, składał; widać że Kuncewicz, molestowany srodze przed śmiercią przez banitę i własne sumienie, gdy postanowił odkryć prawdę, to już ją całkowitą i bez ogródki wypisał, a Wołkanowski, gdy innego *testimonium* odeń wyjednać, lub wymusić nie mógł, wolał przyjąć i takie, choć z obwinieniem własnéj matki, bo mu więcéj o fortunę niżeli o matkę chodziło.

Wtenczas odgadniono, kto był ów kapturnik, który snuł się niekiedy po Sielickim dworze i Kuncewicza na jakieś tajemne brał konfessaty. Ogłosiwszy tedy razem i *sublewacyę*, i *rewokacyę*, rozumiejąc że jedna chroni jego osobę, a druga fortunę mu oddaje, nie czyniąc ani czekając żadnych prawności, wpadł on do Sieliszcza i z pomocą chłopstwa, które dawnego panicza swego, choć teraz podżyłego już i wymizerowanego poznało, wypędziwszy wszystkich oficyalistów Korsakowskich i Sokolińskich, zajął dwór cały i w nim się rozgościł.

Był natenczas wojewodą Witebskim Krzysztof Kiszka, lecz mieszkał w województwie tutejszém Mińskiém, w dobrach swoich Dekszniananach *).

— Stój waszmość, przerwał Sołłohub. Tu podjął w górę i tarł czoło, gromadząc widać myśli swe i przypomnienia. Tak, rzekł potém, tak, Krzysztof Kiszka, syn Stanisława wojewody Mścisławskiego, głucho-niemego od urodzenia, a zakamieniałego Aryanina **). Nad nim to Bóg wielkie cuda uczynił, bo najprzód z Sapieżanki liczném go i mówném obdarzył potomstwem.

*) Dobra te należą dziś do Wołodkowiczów.
**) Niesiecki, Tom 5, fol. 102.

— Jak to panie dobrodzieju? chybaż i on sam przemówił na kobiercu, rzekł zdziwiony Wołkanowski. Jakże wziąść ślub nic nie gadając?

— No, ja nie teolog, więc tłómaczyć tego waści nie będę; ale Kościół ma na to swoje reguły. A jeden z jego synów, także Stanisław, nie idąc w ślady ojcowskie, za szczególniejszą łaską Boską do stanu duchownego wstąpił; a że był człek wielkiéj nauki, bo i w cudzoziemskich szkołach przepolerowany, więc wysokich w duchowieństwie dostąpiwszy godności, nakoniec Biskupem Żmudzkim został, i ojca swego już starego do odrzeczenia się aryanizmu, a powrócenia na łono katolickiego Kościoła nawrócił; jakoż ten niemowa wyspowiadawszy się *), rozgrzeszony i do owczarni prawdziwéj Chrystusowéj przyjętym został.

Na synach jednak tego niemego Stanisława, wojewody Mścisławskiego, skończył się sławny i świetny na Litwie ród Kiszków; bo Mikołaj, drugi z wieku syn jego, wojewoda Derptski, potém kasztelan Trocki, i nakoniec podskarbi W. Litewski, rycerz znakomity i pogromca Szwedów, z dwojga małżeństwa, wprzód Radziwiłłównéj, a potém Leśniowolskiéj nie miał żadnego potomstwa.

Krzysztof, trzeci brat tamtych, ten właśnie o którym waszmość wspominasz, wojewoda Witebski, miał trzy córki, także z Radziwiłłównéj.

Czwarty nakoniec, Janusz, hetman W. Litewski, wódz znakomity, pod Chodkiewiczem sztuki rycerskiéj się uczył, i pod Kircholmem już się mężnie krajowi zasłużył, a potém w rozmaitych potrzebach dzielnie go bronił; miał za sobą księżnę Druckę Sokolińskę, z niéj atoli nie zostawiwszy potomka, ostatni domu i imienia Kiszków, zszedł z tego świata w Krzywiczach *anno milesimo*... Znowu Sołłohub wzniósł czoło w górę, szukając daty, *milesimo* . . . *sexagentesimo* . . . *quindecimo* . . . preter propter *tertio*. Może Bóg dopuścił *sterilitatem* i przerwał ród domu tego starożytnego za to, że pierwsi Kiszkowie aryanizm do Litwy wnieśli.

Wołkanowski słuchał z uwagą, pokręcając głową, téj heraldycznéj erudycyi Sołłohuba: ale zkąd to, rzekł potém, taka JW. pana wiadomość o Kiszkach?

— Boć to Mości panie, odpowiedział uśmiechając się Sołłohub,

*) Niesiecki powiada, że się wyspowiadał Biskupowi Wojnie przez tłómacza. Widać więc, że sztuka rozmowy z głucho-niememi już natenczas znaną była.

nie wasze szlacheckie czarne żmudzkie kiszki, ale kiszki białe, ab origine *białe.* Trzeba ci bowiem wiedzieć, że pierwszy ich przodek zwał się Zgierski, szlachcic herbu *Dąbrowa;* ten gdy na dworze Jana Białego, hetmana Litewskiego, przebywał, zdarzyło się raz, że dano na stół na zakrytym półmisku kiszki, które hetman rad jadał, lecz zawsze je kuropatwami pieczonemi nazywał, w czém go i wszyscy dworscy naśladowali. Widząc zakrytą potrawę zapytał hetman Zgierskiego, co dano? ten zapomniawszy nowéj nomenklatury, odpowiedział z prędkości: kiszka. Ty sam kiszka! rzekł hetman, i odtąd dworując sobie nazywał zawsze Zgierskiego Kiszką.

Przyjmował spokojnie jako od pana te do siebie przycinki Zgierski, aż gdy i inni dworscy, potakując panu, tytuł ten poczęli mu z urąganiem dawać i uszczypliwie mu dokuczali, zniecierpliwiony i obrażony nieraz im kordem odpowiadał, co widząc i słysząc hetman, przywołał go do siebie i rzekł: „Żart ten mój, który cię takiego mankamentu nabawia, fortunnym ci będzie; mam córkę jedynaczkę, gładka jest i dobra dziewka, a wszystkiego co mam dziedziczka (był zaś to pan wielkiéj substancyi i mnogie miał na Litwie imiona); tę ci za żonę ofiaruję, pod warunkiem jednak, żebyś i to imie Kiszka, tak na siebie, jako i na potomstwo które ci Bóg da przyjął.“ Hetman albowiem widział w Zgierskim męża przysposobionego z natury do dzieł wielkich i pięknemi przymiotami ozdobionego. Od tego zatém czasu imie Kiszków zajaśniało w ojczyznie, i *tam in toga, quam in sago* *) się rozsławiło.

— A toć JW. panie, za taką gratyfikacyę niechby mój Piotrek i kiełbasą został.

— A czemuż nie? któż wie co go czeka?... mówił starosta, i nie poniżyłby się on wcale, gdyby się kiełbasą przezwał: dawna to szlachta w Polsce, herbu *Nałęcz;* siedzieli oni niegdyś Mości panie i w senatorskich krzesłach i w biskupich infułach **); nie wiem i wątpię czy są teraz?

— A więc, gdy jak powiadasz JW. pan, kiszek i kiełbas nie stało, chwałaż Bogu, że jeszcze została nam wereszczaka, bo sam znam w Nowogrodzkiém wielu panów i znakomitych tego nazwiska, muszą oni być w kolligacyi z tamtymi.

Starosta się uśmiechnął, ale rzekł poważnie: O takiéj kolliga-

*) Tak w radzie, jako i w orężu.
**) Niesiecki. Tom 4, fol. 228.

cyi Wereszczaków nie wiem: ale wiem, że to dawne i szlacheckie imie, jest w kolligacyi z najdawniejszemi i najgodniejszemi domami w Litwie, a między innemi i z moim.

— Nie wiedziałem tego; daruj JW. pan, rzekł kłaniając się nizko Wołkanowski, ale uniżenie powtarzam zapytanie, zkąd JW. pan wiesz to wszystko?

— Jak przyjedziesz waść do mnie do *Illii* na polowanie, a przyjechać musisz koniecznie, rzekł Sołłohub, to za pokutę, że się nie znasz na heraldyce, a co każdy szlachcic mniéj więcéj znać powinien, aby wiedział z kim się bratać a z kim rozbratać, nie poprowadzę cię na obławy, ale włożę ci na nos okulary.

— A to na co, JW. panie? chwała Bogu nie potrzebuję ich jeszcze.

— No, nad staremi księgami siedzieć bez okularów jakoś nie wypada; więc zasadzę cię nad takiemi foliałami, z których nauczysz się tak jak ja, ciekawych prozapij i herbów różnych naszych familij, a może i własnéj. Ale wróćmy do twojéj historyi. Cóż tedy zrobił pan wojewoda Witebski?

— Otóż, widzisz JW. pan, mówił daléj Wołkanowski, był on wojewodą Witebskim, ale mieszkał w Deksznianach, w tutejszém województwie Mińskiém.

— Wiem, już to mówiłeś.

— I był podobno powinnowatym jakimś Sokolińskich . . .

— Tylko co mówiłem, przerwał Sołłohub, że brat najmłodszy Krzysztofa, Janusz Kiszka, hetman W. L. miał za sobą Sokolińskę; więc powinowactwo było blizkiém, bo mu Sokolińska była bratową.

— Widzisz tedy JW. pan, że nie kłamię.

— Widzę, odpowiedział starosta, ale razem widzę, żeś się nie zdał mi na ucznia heraldyki, bo nie pamiętasz i tego, com tylko co powiedział.

— Stara głowa, panie dobrodzieju! stara głowa! i tylko swoją biedą nabita; co za dziw, że na pamięci feluje.

— Pokrewieństwo to jednak nie tyle zapewne wpłynęło na postępek wojewody, ile *rumor* publiczny, który po powrócie i objęcie Sieliszcza przez Franciszka Wołkanowskiego szerzyć się zaczął między szlachtą i panami nawet, że zabójca i banita siedzi bezpieczny i spokojny, a nikt mu i słowa powiedzieć nie śmie. Czy to już u nas prawa nie stało? mówiono, czy to już wolno będzie zabijać

bezkarnie? i potém tam jakąś sublewacyą, czy list żelazny spraktykowawszy u króla, nieświadomego rzeczy, posponować dekreta trybunalskie, a sądem i ludzkim i Boskim pogardzać? Gdzież ta sublewacya? niech ją przynajmniéj banita w autentyku publicznie okaże?

Pomnażał jeszcze i justyfikował te powszechne odgłosy sam Franciszek Wołkanowski, bo gdy one do uszu jego dochodziły, odgrażał się hardo na wszystkich; a srogie przechwałki i na ojca mego, którego się z Warszawy spodziewano i na Sokolińskich i Korsaków, i nakoniec naprzeciw wszystkim, którzyby go z Sieliszcza rugować chcieli, miotał. Obwarował się on tam i uzbroił, jak przed tém Kuncewicz, i jeszcze lepiéj; a zebrawszy bandę dawnych swych towarzyszy i młodszych hajdamaków, których nigdy u nas nie brakło i nie braknie, buszował z nimi, nocy i dnie na pijaństwie i rozgardyaszach trawiąc.

Bóg go wyraźnie odstąpił, a szatan wiódł do zguby duszy i ciała.

Jednego dnia przed południem, gdy rozpasana tłuszcza w najlepsze bajramowała, niespodzianie i nagle zbrojny, liczny i konny hufiec otoczył dwór w około, a na czele był wojewoda Krzysztof Kiszka.

Bramy były zatarasowane, dwór zaś cały gęstym ostrokołem obity; żadnego zatém sposobu wejścia do środka. Więc z rozkazu wojewody, przystąpił choć ze strachem do bramy woźny przy nim będący i zakołatawszy mocno, wielkim głosem zawołał:

— Otwórz! w imieniu króla!

Ale na widok takiego osaczenia, zapamiętałość objęła zalaną trunkiem głowę banity i jego kompanistów; porwali wszyscy rusznice, i z hałasem podpadłszy z drugiéj strony pod bramę, krzyknęli:

— Kto tam? kto? nie leź, bo zginiesz!

Woźny jeszcze dotrzymując placu, odpowiadał po kilkakrotnie: W imieniu Króla i prawa otwórz! Jam tu jest woźny Jego Królewskiéj Mości! a za mną pan wojewoda witebski.

— A choćby i dziesięciu wojewodów! precz! bo damy ognia! odpowiedziano. Jakoż kilkanaście rusznic wytknęło się przez szczeliny pomiędzy ostrokołem.

Natenczas podjechał sam wojewoda i zawołał:

Otwórz Wołkanowski! jesteś pod *banicyą;* dasz gardło, jeśli nie usprawiedliwisz twego powrótu do kraju; okaż mi co masz na twoję obronę, bo deklaruję ci, że nie ustąpię ztąd, aż się o tém przekonam. Otwórz więc i nie zmuszaj mię, abym cię siłą, jak złoczyńcę, pojmał.

— Nie doczekasz! krzyknął Wołkanowski, i razem, pal!

Kilkanaście strzałów huknęło z za ostrokołu; koń pod wojewodą raniony wspiął się, a woźny upadł i jęknął srodze, bo mu kula nogę zgruchotała.

Natenczas krzyknął wojewoda na swoich Z koni! wyrąbać ostrokół i dać ognia do środka!

U siodeł rajtarów wojewodzińskich były toporki; kilkunastu więc ludzi żwawo zaczęli rąbać pale, a kilkunastu innych, także przez szczeliny w ostrokole, puścili kule na dziedziniec.

Przestraszona tym strzałem zgraja, razem ze swym wodzem umknęła od bramy i leciała do przeciwnéj, a otworzywszy ją na ścieżaj, i nie zważając że dwór gęsto żołnierzem otoczony, dała znowu ognia i na oślep rzuciła się w nogi. Strzały te nikogo, chwała Bogu, nie obraziły, sprawiły jednak zamieszanie, z którego korzystając wielu z nich, do bliskiego na ich szczęście lasu uciekło; hersztowi jednak nie udało się: nogi mu się splątały, upadł i żywcem z kilku innymi ujęty został.

Tymczasem rozwalono ostrokół, a zatém wojewoda wszedł na dziedziniec, i stawiono przed nim Wołkanowskiego. Spójrzał nań wojewoda i przeraził się niepomału; był to bowiem widok człowieka jakby opętanego krociem diabłów, których za każdém słowem albo wzywał, albo z zapienionych ust, dąsając się straszliwie, jakby z siebie wyrzucał . . .

Twarz jego czerwona, jak rozpalona skowroda, oczy krwią zabiegłe, włosy rozczochrane i ubiór dziwny, ze świeckich i zakonnych jakichciś szmatów złożony, okrywał tę dziką figurę. Imaginuj sobie pan dobrodziéj po czarnym żupanie, jakby po sutanie, paskiem karmelitańskim był on przepasany i na nim szablę zawiesił; a kaptur mniszy, za plecami wiszący, dyamentową szpinką przepiął na piersiach, na których od szyi spadający różaniec plątał się ze sznurem pochwy od kordelasa, żelazo bowiem wyrwano mu z rąk, gdy się niém przy pojmaniu bronić chciał. Widać, że obława napadła go w chwili pijaństwa i szału jakiegoś, gdy przed swymi to-

warzyszami stroił maszkary i najgrawał się z habitu i kaptura, który go bodaj w nieszczęściu krył i salwował. Tak pół mnich, pół rozbojnik, miotał się on wściekle, rzucając ciężkie inwektywy na stojącego przed nim wojewodę.

— Tyś zabił Wołkanowskiego? zapytał nakoniec wojewoda.

— No, ja! odpowiedział zuchwale. Bóg go w téj chwili splątał; bo tym jednym wyrazem dał on sam przeciw sobie świadectwo: *propria oris confessio.* — Ja! powtarzał, i cóż mi zrobisz, Mości panie wojewodo witebski, gospodarujący po tatarsku, po województwie Mińskiém! Na! masz! czytaj; i wyjąwszy z za żupana papier, rzucił w oczy wojewodzie; była to *sublewacya*, którą zawsze za nadrą nosił.

— W imieniu Króla, mówił on dalej, wołałeś Mości wojewodo, otwórz! teraz ja w imieniu króla wołam na cię: ustąp!

Wojewoda przeczytał uważnie rzucony sobie papier, obracał go razy kilka, wreszcie chowając za nadrę: Wziąść go, rzekł do swoich, a jeśli będzie się bronił związać.

— Jak śmiesz? wrzasnął Wołkanowski, w moim własnym domu!... jam szlachcic!

— Dom nie twój, tyś nie szlachcic; tyś zabójca, sameś to wyznał, tyś banita!

— Masz w ręku list królewski, czytałeś? *Sublewacya* od kryminału!

— Od kryminału rozmyślnie popełnionego i od dekretu trybunalskiego, Bóg chyba na sądzie strasznym da ci *sublewacyą*. A nowy ten kryminał, dodał wojewoda, wskazując na jęczącego woźnego, którego na prędce opatrywano, dowodem, żeś nie wart żadnéj kommizeracyi, żeś buntownik przeciw prawu i królowi za przywilejem którego woźny jest urzędnikiem publicznym, i w imieniu którego funkcyą swą spełnia. Dasz więc głowę i gotuj się na śmierć!

— Nie doczekasz! wrzasnął Wołkanowski. Jakiém prawem ty, wojewoda witebski, chcesz tu w województwie Mińskiém ferować swoje dekreta?

— Prawem senatora, strzegącego bezpieczeństwa publicznego, odpowiedział Kiszka, prawem, z którego Bogu i narodowi dam rachunek! — Wziąść go! panie poruczniku, dodał, obracając się do oficera swoich dragonów; każ zaprządz wóz dla delikwenta; otoczyć go strażą z nabitą bronią, a jeżeliby chciał umknąć pal w łeb! Dać wóz także i dla biednego woźnego; a tę szuję, rzekł, wskazując na

przelękłych i za kark trzymanych chłystków, towarzyszów Wołkanowskiego, rozbroić i kańczukami przepędzić.

Wnet dragoni otoczyli winowajcę, trzymając w ręku gotowe do strzału muszkiety. Poglądał on na nich ponuro, i przerażony tém przygotowaniem, umilkł, może z rozmysłu i w nadziei, że milczeniem i uległością uspokoi wojewodę, albo uśpi baczność straży i upatrzy chwilę do ucieczki.

Tymczasem założono dwa wozy, zwołano furmanów, i na jednym umieszczono ranionego woźnego, a na drugim Wołkanowskiego; nie związano go jednak, bo się nie bronił. Wojewoda przesiadł się na konia wziętego z pod żołnierza, i ruszyła cała komenda na powrót do Dekszniań, przez tęż samą fatalną bramę, przez którą przejeżdżał przed laty zabity dziad mój, wychodziła za nim z dziećmi drobnemi, zalana łzami wdowa jego, wyjeżdżała potém na śmiertelnym wozie podniecicielka do zabójstwa; z kolei przebył ją, idąc do mogiły, krętacz, korzystający ze zbrodni; a nakoniec wyjechał i zabójca!

Było to 24 września 1649 roku; dzień jesienny krótki; nim więc mil kilka od Sieliszcza do Dekszniań przebyto, mrok zapadł, ale wnet wszedł księżyc i jasno świecił.

Wołkanowski tymczasem upatrywał tylko czasu i miejsca sposobnego, by zemknąć; noc światła nie była mu po myśli, ale żołnierze widząc go zupełnie spokojnym, nie mieli się na ostróżności, i muszkiety swe nawet na krukach pozawieszali. Porucznik prowadzący komendę jechał naprzód przy wojewodzie, a wachmistrz wlókł się z tyłu; przebywano właśnie dębniak, nizką gęstwą u spodu zarosły. . .

W mgnieniu oka Wołkanowski daje susa z wozu, i nim chwycono się do broni, już on był w gęstwinie. . . Sypnęły się wprawdzie za nim strzały, ale darmo; na huk przyleciał wojewoda, umknął! krzyknięto, umknął! . . .

— Także to go pilnowaliście? zawołał on srogo, z koni wszyscy i łapać! Gardłami odpowiecie! Żywego lub trupa dostawić!

Sypnęła się więc cała komenda w dębinę. Knieja to była nie wielka i tuż pod Deksznianami, wszystkie więc w niéj przesmyki i ścieżki tak żołnierzom wiadome były, że i w ciemniejszéj nocy każdyby ją śmiało mógł przewędrować; Wołkanowski zaś, nieświadomy

miejsca, czaił się jak lis i pełzł między gęstwiną... Wkrótce więc któryś z dragonów napadł nań, i chwytając go za kark, krzyknął: jest! jest! sam tu do mnie! jest zdrajca!

Rzucili się więc wszyscy hurmem i wywleczono Wołkanowskiego przed wojewodę.

— Ha złoczyńco! krzyknął ten, sam sobie przyśpieszyłeś karę. Polecaj się Bogu! przywiązać go do drzewa!...

— Co ty myślisz, wojewodo? zawołał z przerażeniem Wołkanowski.

Droga w tém miejscu była rozstajną i rozdzielała się na dwie, okrążając dąb starożytny.—Przywiązać go do tego dębu, powtórzył wojewoda do osłupiałych żołnierzy.

— Co ty myślisz? powtórzył drżący Wołkanowski, dąsając się z dragonami, i targając z całych sił rzemienne pasy, z własnych jego koni zdjęte, któremi go w niedostatku powrozów przykrępowano do drzewa; krew mu gębą i nosem się rzuciła; krwawy człowiek! krew go dusiła!...

— Wachmistrz! rzekł znowu wojewoda, wybierz sześciu z nabitą bronią i naprzód!

Widząc Wołkanowski występujących żołnierzy, zwątpił, a nuż nie nadszedł dlań kres fatalny! bo dotąd mniemać mógł, że go wojewoda straszy tylko.

— Wojewodo! krzyknął, wojewodo! Boj się Boga! Na sąd straszny cię pozywam.

— Stanę! odpowiedział wojewoda głosem stałym i grzmiącym; stanę i zdam sprawę z ukarania złoczyńcy, nieuległego prawom ni Boskim, ni ludzkim!

Zawiąż mu oczy, wachmistrz!

Wachmistrz zerwał sobie chustkę z szyi, lecz podszedłszy do Wołkanowskiego, podjął mu kaptur z plec i na oczy nasunął; stał więc mnich u dębu...

Sołłohub, słuchając tego opowiadania, wzrok niespokojnie wlepił w starca.

— Dozwólcie mi wyspowiadać się! krzyczał znowu Wołkanowski.

— Służba bliżéj! szepnął wojewoda, żołnierze postąpili naprzód, i o kilka tylko kroków stanęli od delikwenta...

— Spowiedzi! spowiedzi! wołał on bez ustanku, to głośniéj, to przytłumionym i chrapliwym rykiem: Na sąd...

— Panie poruczniku, rzekł zimno wojewoda, w imieniu prawa i bezpieczeństwa publicznego rozkazuję *roztrzelać!* i wskazał ręką na gotowych żołnierzy.

Porucznik obrócił się do leżącego tuż na wozie woźnego: Słyszałeś ten rozkaz pana wojewody? zapytał.

— Słyszałem, odpowiedział woźny, ale on potrzebuje spowiedzi.

— A więc nie na mnie śmierć jego, rzekł porucznik, stając obok żołnierzy i dobywając pałasza, spójrzał jeszcze raz na wojewodę. Ten stał niewzruszony na koniu i ręką powtórzył znak fatalny . . .

— Na sąd straszny. . .*Rrrum!*

— *Deus adjutor meus!* krzyknął Sołłohub, poszedł. . . dokończył opowiadający, i zabójca zapłacił zabójstwo. Księżyc w pełni oświecał tę ceremonję.

Sołłohub zerwał się z ławy:—Ceremonija, piękna ceremonija! zawołał on, nieprawnie i nie po chrześcijańsku postąpił Kiszka; ciężki mu zapewne był sąd Boski, na który go ostatniemi swemi słowy zapozwał Wołkanowski.

— Prawdę mówiąc, Mości dobrodzieju, że nie dał mu się z Bogiem pojednać, to źle; ale i on nie dał czasu memu dziadowi do spowiedzi, gdy go okrótnie zabił; a nawet on dla tego tylko zapewne prosił spowiedzi, że w prolongacie czasu widział jakąkolwiek nadzieję salwy. Kiszka zaś, panie dobrodzieju, postąpił sprawiedliwie i prawnie, to widoczna prawda, bo i wywiódł się potém przed stanami Rzeczy-pospolitéj, gdy krewni roztrzelanego na sąd go sejmowy pozwali *); złożył bowiem dekret trybunalski, przekonywający o zbrodni banity, i dowiódł, że sublewacya królewska *subrebtive* **) i z prywaty wziętą była; nowy zaś kryminał z woźnym . . .

— Bądź co bądź, przerwał starosta, jest to *sic volo, sic jubeo* ***), a to nie uchodzi w kraju chrześcijańskim. Ale zkąd waść wiesz tak wszystko, że słowo w słowo jakbyś tam był obecnym świadkiem opowiadasz?

— Oh! bo panie dobrodzieju szeroko natenczas i potém jeszcze

*) Pozew ten mam przed sobą, całe to opowiadanie w głównéj treści jest prawdziwe.

**) Podstępnie.

***) Tak chcę, tak rozkazuję.

długo rozpowiadano tę całą sprawę po województwie naszém Mińskiém, a nawet jak echem rozeszło się to i po całéj Litwie, tém bardziéj u nas, Wołkanowskich. Pamiętam JW. panie, gdy co wieczór prawie, przy zimowym kominie, matka i rodzic mój jak bajkę jaką każdemu, kto chciał słuchać, prawili tę legendę, któréj ja, zwyczajnie jak dziecko, z rozdziawioną gębą słuchałem. Mojemu zaś ojcu, który wkrótce jakoś z Warszawy powrócił, opowiadał tenże sam wachmistrz, co przywiązywał banitę do dębu i kaptur mu na oczy nasunął, i tenże sam woźny Kaczorowski, który z nogą skaleczoną leżał natenczas na wozie, a potém chromając, włóczył się z pozwami; pamiętam go dobrze i nazwisko jego, bo często w naszych procederach ojciec go mój używał.

— Więcże ten raz, rzekł starosta, już pewnie zajęliście Sieliszcze.

— Bodaj takie zdrowie naszym nieprzyjaciołom! Znowu Sokolińscy i Korsakowie, jako sukcesorowie Kuncewicza, zamknęli bramy Sieliskie, przed nosem nawet dworzanina królewskiego, z którym rodzic mój przybył z Warszawy, a który nie mając jak wojewoda Kiszka swego wojska, i samém tylko słowem a listem królewskim niemogąc ich otworzyć, powrócił z tém, z czém przyjechał.

— A cóż się stało z ową deklaracyą, przez Kuncewicza przy skonaniu uczynioną, że Sieliszcze nigdy przez rotmistrza Wołkanowskiego Ciecierskiemu przedaném nie było?

— Stało się, panie dobrodzieju, *procedendum* *). Saméj autentycznéj deklaracyi, znalezionéj zapewne między papierami banity widać łeb skręcono, a został tylko ślad onéj w publikacyi, wraz z *sublewacyą* królewską przezeń czynionéj. Śladu tego chwycił się wprawdzie mój ojciec, ale Sokolińscy zaprzeczyli wszystkiemu, i trzymali fortunę, a on z ostatniego wyzuwając się grosza, do ludzi o sprawiedliwość, do Boga o pomstę wołał.

Nakoniec, mówił daléj stary, pierwsze pokolenie i zabitych i zabijających, wygnanych i wyganiających, jakbyś zmiótł ze świata; bo i babka moja, ostatnia z tego orszaku, wkrótce potém umarła! Nowi zatém ludzie ich zastąpili, i znowu jakby na grobie tamtych, tenże sam korowód i taniec zaczęli.

To aż strach pomyśléć, panie dobrodzieju: ludzie umierają i zmieniają się na świecie, a zło z jednych na drugich przechodzi

---

*) Dalszy proces.

fatalną sukcessyą, i trwa jakby kielich ustawnie dolewany, *od wasana do wasana.*

— Prawdę mówisz, panie Wołkanowski, prawdę mówisz, rzekł Sołłohub smutnie potrząsając głową; w naszéj miłéj ojczyznie zbrodni takich, jak te, któreś mi opowiedział, mało i rzadko się przydarzyło, bo w gruncie wszyscy kochamy i boimy się Boga; ale złego powszedniego bardzo wiele i wykorzenić go trudno. Oj! przyjdzie, przyjdzie kiedyś pokuta!... Więc Sokolińscy, powiadasz?...

— Nie oddali ojcu mojemu fortuny, kontynuował Wołkanowski, i proces na nowo się rozpoczął. Ta druga torba, panie dobrodzieju, większa jeszcze od pierwszéj, to druga część téj sprawy, po śmierci wszystkich pierwszych aktorów, przeciągającéj się przez cały wiek mojego ojca, aż do większéj połowy mego własnego: bo od lat jakich trzydziestu, wyszeptawszy się ze wszystkiego i osiadłszy tu na kondycyi szlacheckiéj, posagowéj mojéj żony dobrodziki, nie prawuję się już wcale, bo nie mam za co, a tylko nie zasypiając dawności ziemskiéj, manifeścikami od czasu do czasu strzelam. At, aby się kurzyło, i aby Piotrek miał kiedyś za czém zapukać do drzwi sądowych, szczęśliwiéj da Bóg może od dziada i ojca swego. Z tego tedy woru produkuję najprzód JW. panu pozew...

— Dość, przerwał starosta, dość Mości panie; czegoż się nowego dowiémy z tych twoich papierów? Jedno i jedno, prawne wykręty: *salta juris*, niezbożne wyroki sądowe, intrygą wyjednane...

— Nie, panie dobrodzieju, nie; w całéj téj torbie papierów, jest kilkanaście dekretów, a może kilka tylko takich, których święta sprawiedliwość nie dyktowała; boś słusznie pan powiedział, że u nas wszyscy Boga się boją, a zatém i sędziowie na sąd Boski pamiętają. Ale cóż po sprawiedliwości, gdy ona bez rąk? Ja z dekretem, on z muszkietem, powiada przysłowie. Nie raz nam przysądzono Sieliszcze; ale nie było dla nas drugiego Kiszki, któryby uzurpatorów ztamtąd wyrugował, a nas wprowadził; tymczasem nowe co raz wymyślano dylacye...

— To tedy mniemasz, mój kochany Wołkanowski, przerwał znowu Sołłohub, że twój Piotrek dojdzie sprawy, któréj wy przez tyle czasów i starań dojść nie mogliście?

— Wszystko w ręku Boskiém, Mości dobrodzieju, o jego sprawiedliwości wątpić nie godzi się, bo on ma *brachium militare* *), któremu żaden potentat ziemski nie oprze się.

*) Ramie żołnierskie, pomoc wojskowa.

— Dobrze to, odpowiedział starosta, że ufasz w Bogu i jego opiece los syna twego polecasz. Ale też powiadają: „*Staraj się i sam nieboże, a Pan Bóg ci dopomoże*“ więc jeżeli Piotra twego trzymać tu będziesz za piecem, i tylko z flintą w ręku w lasy wypuszczać, to on na las patrząc i wyrośnie, a twe nauki i nadzieje na nic pójdą. Pchnij go raczéj między ludzi; dziarski i rezolutny chłopak, łatwo na świecie się wytrze i nabędzie poloru; stanie się zeń mąż, który jeżeli dawnéj fortuny nie odzyszcze, może lepszą sobie zrobić potrafi. Szlachcic, więc wszystko przed nim, a nuż jeżeli wola Boska i ożeni się pięknie, i nie kondycyę szlachecką, jak ty po twojéj żonie dobrodzice, ale i fortunę dobrą weźmie w posagu.

— Oj trudno to JW. panie, trudno; drugi raz nie przydarzy się historya hetmana Białego, i kiszek czarnych na stołach pańskich już nie dają, dodał uśmiechając się Wołkanowski.

Starosta także uśmiechnął się na te słowa, i zastanowił się, jakby one jakąś nagłą myśl w nim obudziły; lecz wkrótce uśmiechnąwszy się znowu, kto wie, czy z konceptu Wołkanowskiego, czy z własnéj myśli, kiwnął głową i rzekł:

— O, Mości panie, nie sięgając tak wysoko, niech Piotrek jedzie ze mną, nie będzie mu ni głodno ni chłodno; a z czasem upatrzymy mu przyzwoity szlak życia i mienia.

— Oh! JW. panie, najuniżeniéj dziękuję, rzekł stary ściskając kolana starosty, nie raz ja sam myślałem, że go tu nie trzymać na to, aby swą młodość zmarnował. Chciałem nawet wieźć go w Sandomirskie, poszukać tam krewnych, ale moja żona dobrodzika, bacząc na tak wielkie oddalenie, nie zgodziła się; gdy zaś JW. pan w respekt go swój pański przyjąć raczysz, to z ochotą oddaję.

— Ale twoja żona dobrodzika, i sam Piotrek czy się zgodzą?

— Ani wątpić o tém JW. panie. Piotrek, jak uważam po zabiegach jego na polowaniu, aby panu dobrodziejowi dogodzić, i po odkryciu kniei na rysie, przylgnął już całém sercem do JW. pana; a moja żona dobrodzika byłaby głupią, gdyby ślęczyła za synem, o mil kilkanaście lub dwadzieścia, pod opieką i manudukcyą takiego wielkiego pana będącym, którego kroki Bóg jakby umyślnie dla naszego dobra skierował w te strony.

Jakoż wnet Wołkanowski udał się na domowe *consilium*, skutkiem którego od nazajutrz Piotrek w poczet dworzan starosty przyjęty został.

Państwo Sołłohubowie.

Pierwszym festem jesiennym, który w kościołach naszych uroczyście się obchodzi, jest dzień Narodzenia Panny Maryi, na dzień ósmy września przypadający. Pierwiastki plonów swéj wiosennéj i letniéj pracy, a razem kwiaty zdobiące jego grzędy, przynosi rolnik na ofiarę i błogosławieństwo Boskie. Garście zżęte wszelkiego zboża, warzywa rozmaite z zielonem i szerokiém liściem, złote słoneczniki i nagietki aksamitne, pąsowe kity szczyru, skromne wasilki i wonne cząbry, wszystkie razem z kłosami żyta, jęczmienia i owsa, w snopy związane, czekają w rękach kobiét, aż kapłan z kropidłem ukaże się na stopniach ołtarza. Natenczas, jakby cudowną mocą jego słowa, kościół w mgnieniu oka w kwiecisty zamienia się ogród; wzniesione w górę snopki w różnowzore i gęste układają się partery, skropione wnet święconemi kroplami wody, na podobieństwo rosy niebieskiéj, co je na polach rzeźwiła...

W dniu tym, wielki coroczny jarmark, a prościéj mówiąc kiermasz, był w miasteczku Jlli, a wielkie nabożeństwo w tamecznym kościele. Miasteczko i kościół o kilkaset tylko kroków od dworu pana Sołłohuba oddaloném było lecz i tych kilkuset kroków nigdy pani Sołłohubowa nie przebywała pieszo. W każdą niedzielę i dnie świąteczne, poszóstny cug tarantów, którego rozgłośne rżenie echa roznosiły, wlókł powoli i poważnie przez szeroką lipową ulicę ogromną karocę, złocistemi herbownemi tarczami Radziwiłłów i Sołłohubów ozdobną, przed kościół; w niéj obok pani siedział zwykle Ks. kapelan, a naprzeciw córka, bo kapłan przed dzieckiem własném brał natenczas miejsce; przy córce, jéj ochmistrzyni, lub respektowa starsza wiekiem i godnością.

Gdy się starosta znajdował w domu, a pora była po temu, natenczas konno, licznym pocztem dworzan otoczony, poprzedzał on lub zamykał ekwipaż żony; i gdy w karecie odmawiał się różaniec za promotorstwem księdza kapelana, w kościele mający być dokończony; to w kawalkacie starosty, za promotorstwem pana, wesołość, śmiechy, żarty i anegdoty brzmiały hucznie; lecz urywały się przed kościołem, i wesołość dworska na twarzach i w ustach, w różańcowéj skromności tonęła.

Ależ gdy nie było w domu starosty, co dla polowania, lub dla interesów publicznych nie rzadko się zdarzało, pozostali dworzanie, jakby za pokutę swawolnemu ich humorowi, musieli nietylko w pobliżkiéj do kościoła drodze, ale i w dalszych przejażdżkach, otaczać z blizka karetę, i często nietylko mówić głośno, ale i śpiewać godzinki, wtórując różnemi głosami, cieńkim dyszkantem, wywodzącym pobożną nótę w karecie *).

Ten raz nie było także w domu starosty, a starościna, coraz częściéj dolegliwościami wieku nawiedzana, z wielkim żalem swoim, że podczas tak wielkiego festu nie mogła być na publiczném nabożeństwie, cierpiąc na różę w nogach, słuchała mszy św. w pałacowéj kaplicy, do któréj ją w wygodném krześle zaniesiono. Po mszy, Ks. Daniel, jezuita, kapelan dworu, poszedł pieszo do kościoła pomagać miejscowemu plebanowi w uroczystém nabożeństwie, a szczególniéj w konfessyonale, do którego mnóstwo cisnęło się penitentów; w karecie więc, jak zwykle do kościoła idącéj, siedziała tylko staroscianka, w assystencyi staréj i zasłużonéj ochmistrzyni swéj, wdowy, pani Porębskiéj, oraz kilku młodszych szlachetnych dziewic, pod jéj zwierzchnictwem będących.

Przypomnijmy teraz sobie, to młodziutkie dziewcze, któreśmy w pierwszych zarysach domu Sołłohuba przyrównali do kwiatka lekkim wietrzykiem kołysanego, i zdającego się wyglądać czy szukać objawiającym się w jéj sercu uczuciom, przedmiotu czy celu. Marya bowiem miała natenczas lat cztérnaście; siedm jeszcze od tego czasu upłynęło, i oto widzimy piękną, jak piękniejszéj znaleźćby trudno, dziewicę, rozwitą i pełną wdzięków, z oczami łzą nabiegłemi, które w bujnych kroplach spadając, rosiły białą jéj jak śnieg sukienkę, w jaką ubrana zdawała się być aniołem niosącym do Boga rzewną modlitwę za cudze jakieś grzechy . . .

— Po co ten płacz Marylko? rzekła do niéj Porębska, wychowująca ją od dzieciństwa, a zatém przywiązana do niéj najczuléj i poufała. Czy to pierwszy raz spowiadać się? czy to jesteś broń Boże w jakim śmiertelnym grzechu?

---

*) Jest anegdota; że gdy jadąca gdzieś księżna hetmanowa Radziwiłłowa, według tego zwyczaju, śpiewała z dworskimi pojazd jéj otaczającymi godzinki, i podług słów i reguł téj modlitwy, zaśpiewała sama jedna Antyfonę: *Jam to sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nigdy nie ustająca*, dworscy odpowiedzieli chórem: *Pokornie dziękujemy waszéj książęcéj mości.*

Kareta tymczasem wlokła się jak zwykle poważnie i powoli; taranty rżały rozgłośnie. Około niej, kilku dworzan konno, niecierpliwych swych rumaków do stępowego kroku hamowało, a między nimi młodzieniec męzkiéj prawdziwie postawy, szlachetnego czoła i lica, w skromném, ale składnie mu do wieku i piękněj postaci przystającém ubraniu, jechał najbliżéj karety, i przenikliwe swe czarne oko często w niéj zatapiał; lecz gdy wzrok ten spotkał się kilkakrotnie z okiem Porębskiéj, ta, opuszczone dotąd okno od karety w górę podjęła.

Zgadnie czytelnik, że tym młodzieńcem był znajomy nam Piotrek, a teraz Piotr Wołkanowski, ulubiony dworski starosty i starościnéj, wykształcony, przepolerowany w szkole wyższego towarzystwa na dworze Sołłohuba, którego zwyczaje i obyczaje w dobrym tylko przykładzie przejął, wrodzoną a może i rozwiniętą naukami ojca, (jakeśmy to widzieli) rozwagą, rozpoznając i odrzucając od siebie to wszystko, coby w tém zastosowaniu śmieszność nań, lub nienawiść czyjąkolwiek ściągnąć mogło. Więc poufalszym wstępem do panów swych zaszczycony, często nawet zastępujący nieobecnego starostę w domu i za domem w interesach, nie obudzał jednak zazdrości kolegów swoich dworskich, bo ich swą serdecznością i codziennemi przysługami ujmując, kochanym był od wszystkich i konsyderowanym, jako mający kiedyś za protekcyą pańską, wyjść ze stanu prostego dworaka na szlak publiczny, i na nim stając się mężem dzielnym i doskonałym, sprawdzić przepowiednię samegoż starosty, dźwignąć z upadku szlacheckie swe imie, i może odebrać Sieliszcze: a nawet nazywano go żartem *Piotrem na Sieliszczu.* Jedna tylko Porębska od niejakiego czasu koso nań poglądać zaczęła i zawsze była trzecią gdy się mu zdarzyło zbliżać do starościanki.

Pewnego poranku, starosta po długiéj konferencyi odbytéj z Porębską, przywołał do siebie Piotra, i najniespodziewaniéj zapowiedział mu, że zaraz po powrócie z podróży w którą się właśnie wybierał, i która dwóch tygodni trwać nie miała, wyśle go do Warszawy, gdzie już i zostać powinien; bo listy jakie mu da i rekomendacye, ułatwią mu wstęp do kilku dygnitarskich domów, które go w każdym zamiarze możną protekcyą wesprą. Nim zaś coś się nadarzy, mówił starosta, opatrzę cię zapasem, boś mi wiernie, zacnie a uczciwie służył.

— Będę tu twoim plenipotentem w negocyacyach już rozpoczętych z dzisiejszymi panami Sieliszcza; i mam nadzieję, że się to na pomyślnéj dla ciebie kombinacyi ukończy z czasem; bo process byłby trudnym, kosztownym i długim, jak już to nie raz z sobą przegadaliśmy. Tymczasem zaś nim wrócę, odwiedź swych starych rodziców i weź ich błogosławieństwo, bo to najlepszy *wiatyk* puszczającemu się na świat synowi . . . To mówiąc, Sołłohub przenikliwie spójrzał w oczy młodzieńcowi.

Ten osłupiał, i łzą nagłą zabiegły mu źrenice . . . Lecz po krótkiéj chwili przychodząc do siebie, upadł do kolan starosty i— Ach! panie, zawołał, jam myślał, że ci całe życie będę służyć! cóżem przewinił?

— Przewinił? nic dotąd, odpowiedział Sołłohub, ale mój Piotrze, często stajemy się winnymi mimowolnie . . . jesteś młody . . . daléj starosta dusząc jakby w sobie resztę swych myśli, dodał stanowczym tonem: To inaczéj być nie może; przyrzekłem twojemu ojcu, że cię na człowieka wyprowadzę. Zdolności też twoje i rozsądek nad wiek, z wielkiém mojém ukontentowaniem, sekundowały zamiarom moim; lecz jak w waszéj okolicy, przy swoich zdolnościach, zostałbyś jednak tylko Piotrem, synem twojego ojca, tak znowu i tu, chociaż wprawdzie jesteś Mości panem Piotrem Wołkanowskim, ale zawsze tylko sługą pana Sołłohuba; a być powinieneś, bo masz po temu głowę, sługą Rzeczypospolitéj, i zamiast Mości, jaśnie wielmożnym panem, bo u nas panie Piotrze, jak po drabinie Abrahama, szlachta z dołu w górę i z góry na dół szczebluje, a nikt nikomu ani zawadza ani ubliża. Dla tego i twoje drogi są niewiadome, ale zgadywać można, że przy pomocy Boskiéj i pracy, nie zostaniesz się od innych, a wielu poprzedzisz. Tu zaś daléj zostać nie możesz . . . a jeżeli odrzucisz moje propozycye i wzgardzisz moją ofiarą, boléć mię to zapewne będzie, ale rozstaniemy się z sobą, bez wszelkich dalszych między nami stosunków. Zasługi swoje w takim razie odbierzesz.

Starosta, nie przedłużając daléj téj konferencyi, wyszedł, zostawując stojącego w milczeniu i zadumanego Wołkanowskiego; po krótkiéj chwili odszedł on do oficyny, do swojéj kwatery, zamknął się i długo pisał. Nazajutrz Sołłohub w swoją podróż, a za drugą bramę Piotr wrzekomo do swych rodziców odjechał. Lecz krótko trwała nieobecność i podróż jego, uprzedził on powrotem swym

starostę i w tym właśnie czasie nieobecności Sołłohuba w Jlli, odbywała się powyżéj opisana scena, do którój wracamy.

Zapłakana Marya nie dawała się ukoić słowami wiérnéj swéj piastunki; owszem, im bardziéj się zbliżano do kościoła, tém łzy gęstsze z oczu, tém głębsze westchnienia z jéj piersi się wydobywały.

— Stój! zawołała ona w pół drogi, wróćmy do matki! wróćmy!

— A toż dla czego? odpowiedziała Porębska, wszakże matka pobłogosławiła cię do spowiedzi.

— Pobłogosławiła mię? zapytała Marya, jakby o tém nie wiedząc.

— Czyż zapomniałaś co było przed półgodziną? naturalnie, że jak zawsze przed spowiedzią uklękłaś przed nią z deprekacyą, a ona cię przeżegnała; cóż pomyśli gdy wrócim? mówiła Porębska; jakbyś nie chciała za jéj zdrowie pomodlić się; co pomyśli ksiądz Daniel, który nas w konfessyonale pewnie czeka? Ej Maryniu, upamiętaj się; już od niemałego czasu trwożysz mamę, mnie i pana starostę nawet, swoim codziennym smutkiem i częstym płaczem bez przyczyny. Nie raz mię Imość zaklinała, abym starała się dojść co jéj najmilszą jedynaczkę utrapia? Ja może i domyślam się... ale wyspowiadaj się Maryniu... wezwij Pana Boga na pomoc, i nie psuj zdrowia ani sobie ani rodzicom.

Rozrzewnienie Maryi na te słowa bardziéj jeszcze się wzmogło, a tymczasem z trudnością między nagromadzonemi wozami na kiermasz przeciskając się, kareta stanęła przed kościołem.

Wysiadającéj starościance podał rękę Wołkanowski, bo officium jego dworskie i fawor pański, ten mu obowiązek przeznaczały. Nie było starościnéj, którejby on tę usługę dopełnił, więc córce pomógł do wyjściu z pojazdu, a pomoc ta ceremonialna zwykle, teraz rzeczywiście potrzebną była, bo dziewica chwiała się jak trzecina od wiatru; lecz ktoby ich w téj chwili obaczył razem, nie mógłby oprzéć się myśli, że to para dla siebie stworzona.

Porębska skrzywiła się, i sama biorąc pod rękę Maryę, rzekła do Piotra: Idź wasan naprzód i zrób dla nas drogę w kościele do konfessyonału, w którym obaczysz księdza Daniela, bo nie przeciśniemy się przez tłumy. Poniewolnie zatém, jak mu z twarzy widać było, opuścił on rękę starościanki i poszedł spełnić ten roz-

kaz; ciżba się rozeszła na strony, widząc kto postępuje za dworskim; tak doszli do konfessjonału w którym siedział ksiądz Daniel, zwykły spowiednik całéj pańskiéj rodziny i całego dworu!

Wnet długi szereg czekających spowiedzi, cofnął się od ucha kapłana i pierwsza Marya przystąpiła do pokutniczéj kratki; za nią stanęła Porębska i przybyłe razem dwie panienki, tę pobożną odbywające dewocyę. Na drugą stronę konfessyonału zaszedł Piotr, i jemu także pospólstwo ustąpiło pierwszeństwa. Ostatnia spowiadająca się jakaś dziewica włościańska, odjęła się właśnie od kratki i klęcząc pokornie, ze skruchą biła się w piersi . . . ale twarz jéj była pogodną, oczy na bliski uboczny ołtarz wzniesione, prostą a szczerą pobożnością się rzewniły. W takiém położeniu i w takiém wzniesieniu duszy, klassy społeczeństwa równają się; prostak i mędrzec, pan i poddany w jeden punkt wznoszą natenczas westchnienia i myśli swoje, a tym punktem jest Bóg.

Drżąca Marya patrząc przez krótką chwilę na dziewicę, zdała się nabierać śmiałości i ducha, a może nadziei, że spowiedź również i ją uspokoi.

Bóg tylko zna tajemnice spowiedzi i jest jedynym powiernikiem swego natenczas namiestnika. Spowiedź Maryi była długą; Porębska dziwiła się tém bardziéj, że spowiednik po kilkakrotnie odejmował ucho od kratek, ocierał czoło z potu, zdawał się być niespokojnym i znowu się do spowiadającéj nachylał.

Nakoniec Marya, płacząc rzewnie i łkając ukończyła spowiedź... biła się ona w piersi jako i poprzedniczka jéj, wiejska dziewica; lecz gdzież owa pogoda oblicza, która na tamtéj jaśniała? gdzież pokój serca, skutek zwykły wyjednanego pokorą przebaczenia?

Spowiednik, rozgrzeszywszy ją, powstał i ręką niepewną ujął znowu drzwiczki od konfessyonału. . . Chciałby wynićć. . . miałżeby usłyszeć tajemnicę, która go taką niespokojnością napełniała? a którą pieczęć spowiedzi w ustach mu więziła . . . Spójrzał on na drugą stronę konfessyonału i spostrzegł przygotowanego i klęczącego Wołkanowskiego; znowu chwilę zastanowił się i usiadł nagle, jakby nową myślą natchnięty. Piotr więc spowiadać się zaczął, a tymczasem Marya odeszła, i w ławce kollatorskiéj, blisko wielkiego ołtarza będącéj, uklękła i modliła się.

Piotr także spowiadał się długo, obudzając podobnąż niespokojność w spowiedniku . . . Któryś z królów francuzkich zapytał raz

jednego ze swych wysokich duchownych: „Biskupie, gdyby ci kto na spowiedzi wyznał, że mnie ma zabić, czybyś mi tego nie wydał?“

— „Nie wydałbym królu, odpowiedział biskup, leczbym stanął między zabójcą i tobą.“

Odpowiedź piękna, odpowiedź szczytna! objawiająca, że prawdziwy kapłan Chrystusa gotów być powinien ofiarą krwi własnéj stwierdzić w potrzebie świętość przykazania religii; a taka ofiara okupi mu niezawodnie i rozwikła drogę w najtrudniejszych przeciwnościach jego powołania.

Nie było zapewne w tych obu spowiedziach tak ciężkich okoliczności dla Ks. Daniela, jako stawiana kwestya królewska biskupowi, ani tak ciężkich i śmiertelnych grzechów, dla którychby absolucyi odmawiać musiał; wszakże być tam musiała tajemnica, któréj poniewolnym zostawszy powiernikiem, został razem, i niechętnym stróżem.

Po skończonéj zatém spowiedzi Piotra, znowu Ks. Daniel powstał jak do wyjścia z konfessyonału, znowu się wahał... gdy Porębska odezwała się pokornie: upraszam i nas jeszcze wyspowiadać, bo przyjechałyśmy ze starościanką, i razem do Komunii świętéj po summie przystąpić chcemy.

Ks. Daniel powtórzył z namysłem i z cicha: po summie, i jakby tym wyrazem zdeterminowany, usiadł znowu.

Piotr tymczasem ukląkł przy kratkach, przedzielających zwyczajnie prezbiterium od reszty kościoła; przy tychże kratkach klęczała ścisłym szeregiem szlachta z poblizkich okolic, rozmaitych postaci i rozmaitego wieku, wrzekomo po spowiedzi oczekująca także Kommunii. Wzrok ich jednak najczęściej zwracał się to na Wołkanowskiego, wśród nich klęczącego, to na stojącego u drzwi zakrystyi jakiegoś mościpana, poważniejszego kroju i wyrazistszego oblicza, a rzucającego bystrém okiem na ruch kościelny; wspinał się on razy kilka na palcach aby cóś dójrzeć między tłumem, którym kościół był natłoczony; nakoniec skinął głową na Piotra i wszedł do zakrystyi.

— Mości dobrodzieju, rzekł on tam do plebana, gotującego się na summę mającą zakończyć nabożeństwo, panna starościanka czeka na Kommunię, a i z pospólstwa wielu już odbyło spowiedź; moja zaś szlachta bracia całą kratę zajęła.

— I owszem odpowiedział pleban, ja też naczekiwałem, aby więcéj się zebrało przystępujących do ś-go Sakramentu, a kiedy jeszcze i panna starościanka czeka, to tém bardziéj; to mówiąc, ubrał się w komżę i stułę, a poprzedzony przez chłopca ze świecą wyszedł z zakrystyi.

Jak tylko dzwonek obwieścił rozdawanie Kommunji, a kapłan ze świętą Hostyą w ręku obrócił się do ludu, i podnosząc głos rzekł, *Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata!* wnet szlachta otworzyła kratki, i napełniła *prezbiteryum*, a lud prosty ze wszech stron kościoła do kratek cisnąć się począł. Tylko Porębska tuż po spowiedzi i ze swemi panienkami, nie cisnęła się wcale, owszem rzekła do nich: my zaczekamy, bo i modlitewek przed Kommunją jeszcze nie odmówiłyśmy, a po mszy przystąpimy; zapewne i Marya tak uczyni; siedzi ona widziałam w pańskiéj ławce, a jak msza wielka zacznie się, to i my tam do niéj pójdziemy. Marya tymczasem wyszła ze swéj ławki, i uklękła na stopniach ołtarza; obok niéj ukląkł Wołkanowski, i oboje przyjęli Kommunję. . . Kapłan spójrzał po zgromadzonéj szlachcie, i nie postrzegając aby którykolwiek przystępował do ołtarza, miał ze świętą Hostyą w ręku zejść do kratek, gdy Piotr rzekł z cicha ale dobitnie. Teraz droga Maryo! teraz albo nigdy!. . . i powstał z klęczków, a podejmując i ją razem rzekł: Zatrzymaj się księże: i daléj trzymając Maryę za rękę, mówił wyraźnie i śmiało:

„Ja Piotr, biorę ciebie, Maryo, za żonę, i ślubuję ci wiarę, miłość, i uczciwość małżeńską, a że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż!“ Ksiądz cofnął się i chciał odejść, lecz kilku ze szlachty ujęli go za komżę, i z uszanowaniem ale stanowczo przytrzymali; a tymczasem Marya słabo, lecz wyraźnie mówiła:

„Ja Marya, biorę ciebie Piotrze za męża . . . i że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż!“

Wołkanowski natenczas obracajac się do szlachty ściśle otaczającéj ołtarz, rzekł uroczyście: „Was tu wszystkich obecnych biorę za świadków tego ślubu, przed kapłanem i Przenajświętszym Sakramentem zawartego.“

To powiedziawszy, uprowadził żonę do zakrystyi a za nim poszła i cała gromada; w zakrystyi były drzwi do wyjścia *). Ksiądz

*) Cała ta scena jest prawdziwa.

zmieszany nie wiedział co daléj czynić; ale ten sam mościpan, któregośmy u drzwi zakrystyjnych widzieli, wtajemniczony widać we wszelkie plany Piotra, a bodaj i układający je, został u stopni ołtarza, i uchylając pokornie głowę, rzekł najspokojniéj: Ot imainacya! co to do tego należy, Jegomość dobrodziéj dawaj Komunję, bo lud czeka na święty Sakrament.

Ksiądz w zmąconéj swéj głowie nie mogąc na prędce napaść na lepszą radę, poszedł za podawaną i zbliżył się do kratek, przed któremi w rzeczy saméj nie wiedząc o niczém, klęczało pospólstwo, a tak obrzęd zdawał się nieprzerwanym; doradca zaś wyszedł także do zakrystyi, raczéj przez zakrystyę, i dopędzał nowe małżeństwo, otoczone tłumem szlachty i przyśpieszonym krokiem idące w boczną ulicę, gdzie bryka czterema końmi zaprzężona czekała gotowa na ich przyjęcie.

Wybiegł razem z kościoła i lokaj, który stał przy ławce za Maryą, widział on wszystko co się stało i szedł w tęż samą stronę.

— Dokąd Waść? zapytał nadchodzący za nim Kulesza, zatrzymując go (to było nazwisko szlachcica).

— Tam gdzie i waspan, odpowiedział on, wyrywając się.

— Ot imainacya! Co to do tego należy? wracaj waść do kościoła.

Ale lokaj łatwo się pozbył Kuleszy i daléj pobiegł.

Już byli wszyscy przy powozie.

U płotu stało kilka koni przywiązanych i osiodłanych; pistolety w olstrach wiszące na pokrowcach i tłumoki za siodłami, dawały poznać, że jezdzcy do dłuższéj przygotowali się podróży; jakoż ośmiu młodéj szlachty wnet ich dosiedli.

Piotr obrócił się, upatrując między otaczającymi Kuleszy, ale razem nadbiegły sługa upadł przed Maryą na kolana. Dokąd, panienko nasza! dokąd? zawołał on: A na miłość Boga! a cóż się stanie z panami?... więcéj już od płaczu mówić nie mógł.

— O Boże! krzyknęła Marya, o Boże! już po czasie Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojéj drogiéj... powiedz rodzicom... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą... ach! gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

Piotr ujął wpółomdlałą Maryę i wniósł do pojazdu, bo sama na to sił nie miała; podał potém rękę Kuleszy i wstrząsając ją: Panie Janie rzekł, póki życia nie zapomnę.

— Ot imainacya, co to do tego należy? odpowiedział on, masz ośmiu wyśmienitych i uzbrojonych chłopaków, którzy was przeprowadzą i dadzą radę pogoni, jeżeliby się za wami puściła; o sześć mil masz konie drugie. A teraz *Deus benedicat!* i czwórka ruszyła kłusem.

— No panie Janie, odezwał się do Kuleszy jeden ze szlachty wracających kupą do miasteczka, gracko wszystko uplanowałeś i wykonałeś; ale w tym sęk, czy taki ślub ważny?

— Ot imainacya! co to do tego należy? odpowiedział Kulesza, chodźcie na trójniaczek.

Tymczasem już i w kościele najprzód szmer głuchy, a wkrótce i głośna rozmowa rozeszła się o tém co się stało. Porębska, przerażona i niewierząca jeszcze téj fatalnéj niespodziance, przecisnęła się do ołtarza, właśnie gdy pleban, niedokończywszy nawet rozdawania Kommunji, opamiętał się i śpiesznie w zakrystyi zdejmując komżę, sam nie wiedział czy wychodzić ze mszą, czy biedz do dworu z oznajmieniem, że dał czy jakby dał ślub starościance. Wpadła tam Porębska i wnet tuż za nią jéj panny i kilku dworzan przybyłych, jakeśmy to widzieli, w assystencyi przy karecie do kościoła; z drugiéj strony wszedł zapłakany stary Marcin.

— Chwilę milczeli wszyscy jak w osłupieniu . . . nakoniec Porębska zawołała: Gdzie Marya?

— Pojechała z Wołkanowskim, odpowiedział Marcin, sam widziałem jak siadali do bryki.

— Ach! ja nieszczęśliwa! krzyknęła Porębska i klasnęła w dłonie, a zachodząc się od płaczu, ledwo mogła wymówić do dworzan: Gońcie, waćpanowie! dopędzajcie co najprędzéj!

— I my tak myślim, rzekł znajomy nam Tatura, ujmując klamkę odedrzwi.

— Dopędzajcie waćpaństwo, odezwał się Marcin, ale ostróżnie, bo ośmiu młodych szlachciców konno obok bryki pojechało: a każdy z fuzyą za plecami, z pistoletami przy kulbakach i pałaszem przy boku.

Tatura odjął rękę od klamki.

— A cóż nam robić? zawołała Porębska.

— Wracać bez dalszéj zwłoki do dworu, odezwał się ksiądz Daniel, stojący dotąd w milczeniu za drugiemi.

— Ach księże Danielu ratuj nas, rzekła znowu Porębska, postrzegając go i zawsze płacząc i załamując ręce, ratuj nas dla Boga. Ach ten zdrajca! ten uwodziciel! jak go żywa ziemia nie pożarła! czemu on w kołysce nie zginął!!!

— Pani Porębska, rzekł ksiądz Daniel, po spowiedzi przekleństwo!

— Ja Komunji jeszcze nie brałam, a z łaski jego na nowo grzeszę.

— Już dziś i nie weźmiesz Kommunji, po tém coś wyrzekła. Siadajmy do pojazdu i spieszmy, aby ktokolwiek téj nieszczęśliwéj nowiny nieuważnie nie przyniósł starościnie.

Księże proboszczu, mówił on daléj, we mszy świętéj przy Ofiarowaniu, westchnij gorliwie na tę intęcyę i wezwij miłosierdzia Boskiego, a sam pokrzepiony zaufaniem w Bogu, pośpieszył wlewać to zaufanie w duszę nieszczęśliwéj matki.

Koniec części pierwszéj.

PUSTELNIK W PRONIUNACH.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROK SMUTKU.

Gdzież trafi ta książka moja? Serce własne mówi mnie, że czy się dostanie w ręce rodziców, pielęgnujących troskliwie i pieszczących swe dziatki; czy w ręce dzieci, przywiązanych tkliwie do dawców swojego życia, niemiłe w nich najprzód poprzednim rozdziałem obudzi wrażenia; lecz złagodzi wnet i ukoi to dotkliwe ukłócie miłość ich wzajemna, ztąd właśnie czulsza i żywsza. Nie jedna matka, tuląc do piersi głowę swojéj jedynaczki, rzeknie jéj z tkliwą łzą w oku, ty odemnie nie ucieczesz! a rozczulone dziecie odpowie jéj, nigdy, i doda z głębi serca: nigdy cię nie porzucę! zawsze ciebie jedynie kochać będę. Ale dziewica nie wie jeszcze co się z jéj sercem stanie?... Pierwsza więc część takiéj przysięgi, zarzekająca się ucieczki w rzadkich nader, chwała Bogu, zdarzeniach złamaną bywa; bo rzadko namiętność tak dalece oślepi niewinne serce dziewicy, aby zgniotła i zgasiła w niém od razu święte uczucie przywiązania do rodziców, z życiem weń wlane, i rzadko też namiętność tak dalece oślepi młodzieńca, aby na przekor prawom Boskim i ludzkim, odważył się oderwać gwałtem zieleniejącą piękną gałązkę od drzewa, które się nią chlubić i z niéj odrodzić miało, zostawując na tém drzewie ranę srogą, jątrzącą się codzień boleśnie, i jak rak przegryzającą je do rdzeni. Rzadko to więc się zdarza, i bodajby nigdy się nie zdarzało. Lecz słowom tym, ja

cię nigdy nie opuszczę, ja ciebie jedynie kochać będę, matka nie wierzy; a nie tylko nie wierzy, ale nie życzy nawet aby się ziściły. Szczególne natury ludzkiéj zjawisko! szczególna ofiara! chcieć i nie chcieć razem; kochać i nie chcieć wyłącznie być kochaną! Abnegacya najwyższa własnego szczęścia, do któréj miłość tylko i jedynie miłość rodzicielska jest zdolną!!! A miłość ta jednak jest zazdrosną jak i wszelka inna. Bo komuż nie zdarzyło się być świadkiem, gdy młoda para w pierwszych różowych dniach małżeństwa wzajemnie się pieszczotami osypuje, jak przerywa je córce tkliwy, łagodny, miły nawet, mimowolny nakoniec, ale nie mniéj szczery wyrzut zazdrośnéj matki: ty mnie już nie kochasz! ty jego więcéj kochasz nademnie. Wtenczas małżonka i córka, znowu nie wie i pojąć nie może co się z jéj sercem stało, i w rozdwojeniu uczuć swoich rzuca się w objęcia matki ze wzrokiem ku mężowi pałającym, rzuca się w pieszczoty męża, ze wzrokiem błagalnym ku matce,

Syn się żeni, zwiększa skarb miłości domowéj. Córka wychodzi za mąż, zmniejsza go: ujmuje zeń i wynosi z domu rodzinnego część najdroższą, zostawując po sobie próżnię napełniającą się tęsknotą, lubo tęsknotą rzewną i miłą, jak oddalone echo po słodkobrzmiącéj lutni.

Wyobraźmyż ten skarb rozbitym, zrabowanym, zniszczonym... A jakież bogactwo materyalne porównać się może z tym skarbem duszy, w którym się jednoczy cała treść życia danego i odebranego, wszystkie najświętsze uczucia i obowiązki ludzkości! Wyobraźmyż ten skarb rozbitym i zniszczonym, powtarzam dla tego, że właśnie samym czytelnikom moim zostawić muszę po większéj części, wyobrażenie boleści Sołłohubowéj, gdy z ust księdza Daniela dowiedziała się, co się stało z jéj Maryą.

Pobożny i mądry kapłan, znający serce ludzkie wiedział dobrze, że w srogich ciosach jakiemi człek uderzany bywa, jedyny ratunek w pomocy Boskiéj, najgłębszą i najgorliwszą modlitwą wyzywanéj, że sama ta modlitwa jest już lekarstwem i ulgą. Błogosławione lekarstwo! dla czegoż z powszechnego wychodzi użycia? i wybrane tylko serca słodzą niém cierpienia swoje, pojąc się kroplami tego łagodzącego balsamu, spływającego jakby z góry Oliwnéj, na któréj Chrystus błagał Ojca, by odeń kielich goryczy oddalił.

Ale są dusze, tak głęboko upadające pod nieszczęściem, że w pierwszych chwilach nie zdołają same swą wolą i myślą wznieść

się do Boga, ani skwapliwéj ręce ku ich pomocy dać się podźwignąć; te albo toną w rozpaczy, albo kamienieją w osłupieniu, i obłąkaną przerażają obojętnością.

W taki stan właśnie wpadła ta nieszczęśliwa matka, usłyszawszy słowa księdza Daniela, których najprzód pojąć nie mogła, a potém jakby nierozumiejąc słuchała; wszyscy otaczający ją płakali, jéj źrenice były suche; lecz nagła tylko i nadzwyczajna bladość twarzy, wzrok błędny, na drzwiach niekiedy zatrzymujący się, jakby w oczekiwaniu wejścia ukochanego dziecka, i duszące westchnienia ostrzegały wszystkich o jéj niebezpieczeństwie. Chwila to była stanowcza o jéj życiu, którą tylko cud łaski i miłosierdzia Boskiego mógł przesilić. Błagał o to miłosierdzie ksiądz Daniel, bo niemogąc gorącém i kilkakrotném wezwaniem wyprowadzić starościnéj do przyległéj pokojowi jéj kaplicy, sam jeden tam się udał i przed ołtarzem Matki Boleśnéj padłszy krzyżem, nad matką także bolejącą błagał zmiłowania.

Scena ta niema a okrutna, trwała przez czas niejaki; gdy w milczeniu płaczący dotąd razem z innemi Marcin, zacóżby nie uwierzyć że wpływem modłów kapłana natchniony, przystąpił bliżéj do pani, i rzekł: ja tam byłem, kiedy panienka odjeżdżała; a wiesz jaśnie wielmożna pani, co ona kazała jaśnie wielmożnéj pani powiedzieć?

Starościna jakby piérwszy raz zrozumiała mowę ludzką, podniosła nań oczy.

— Ot zachodząc się ona od płaczu, mówił daléj Marcin, powiedziała: poczciwy Marcinie! poczciwy Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojéj drogiéj... powiedz rodzicom moim... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą. Ach gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

To ostatnie słowo, jakby ostrzem sztyletu przeszyło strętwiałą, ale też ją wstrzęsło gwałtownie i tém samém życie w niéj wzbudziło.

— Ona umrze! zawołała, ona umrze!

— Nie, nie, nie umrze! rzekł Marcin z pośpiechem, przeląkłszy się sam tego wyrazu, daj tylko jaśnie wielmożna pani pozwolenie, to ja sam polecę a panienka wróci, bo ona mówiła, powiedz rodzicom że ich kocham nad życie.

— Ona kocha! ona nas kocha! zawołała znowu starościna; bo te dwa wyrazy: *umrze* i *kocha*, wsiąkły w mgnieniu oka w krew jéj,

i krążąc z krwią razem po całém jéj jestestwie, co chwila wpadały w jéj serce.

Dosłyszał słów tych Sołłohubowéj ksiądz Daniel wychodzący w ten moment z kaplicy, i po ich wrażeniu poznał całą ich wartość i potęgę. Poznał, że odtąd one być muszą i będą ogniwami łączącemi matkę z córką; a jeżeliby i w sercu ojca się odezwały, religijnemi a gorącemi napomnieniami wsparte, na przekor światowym względom, wyjednaćby mogły przebaczenie i błogosławieństwo rodzicielskie, a co zatémby poszło i błogosławieństwo związku przez Kościół, i ku cofnięciu, i ku uznaniu trudnego.

— Ach ojcze! rzekła do wchodzącego starościna, ach ojcze! cóż się stało? kara Boska nad nami! i to mówiąc płakała już rzewnie. Ona powiedziała jemu, że nas kocha, mówiła wskazując na Marcina, że nas kocha nad życie . . .

— I powiedziała to z głębi duszy, rzekł ksiądz Daniel, a po krótkim namyśle dodał: słowem kapłańskiém ręczę ci za to, nieszczęśliwa matko.

— Ona mówiła, że umrze.

— Kiedy jaśnie wielmożni państwo nie dozwolicie wrócić, dokończył Marcin.

— Oh! a mąż mój!

— Bóg rządzi sercami ludzkiemi; błagaj Go więc o pomoc i litość, a skłaniaj własne ku dziecku twojemu, i skłaniaj męża, by twéj boleści, życiu jedynaczki waszéj i swemu zdrowiu, a szczęściu wszystkich folgował.

— Cóż mam teraz robić, księże Danielu? radź, bo ja nieszczęśliwa nic nie mogę, nic nie pojmuję, nic nie zrobię. Choćby przynajmniéj mieć od niéj wiadomość, dokąd pojechali? O Boże! cóż nas czeka? Czy taki ślub ważny?

Ksiądz Daniel poznał po tych słowach, że się już cisną do głowy starościnéj dręczące myśli powszechnego rozgłosu, wstydu i upokorzenia przed ludźmi z tego małżeństwa nierównego, i kto wie jeszcze czy małżeństwa? zawiedzionych nadziei, i tym podobne, nieuniknione w takiéj złéj toni. Aby więc je wszystkie razem utopić, że tak powiem, w źródle najpewniejszych nadziei i pociechy, rzekł: Uspokój się jw. pani, uczynim wszystko, czego dzisiejszy stan rzeczy wymagać będzie, a tymczasem idźmy do kaplicy, idźcie i wy wszyscy za panią; zmówmy litanię do Najświętszéj Boga-Rodzicy, któréj obraz macie w ołtarzu, a gorąco! a gorliwie! Służyć ręką

to nic? służyć sercem, to grunt. Okażcież teraz wszyscy w nieszczęściu dobrodziejów waszych, że im tak służycie. Marcinie, prowadź panią do kaplicy.

Noszona dotąd na krześle, wstała starościna sama; tak to jest prawdą, że nieszczęście dodaje sił do zniesienia go i wytrwania. Wsparła się ona na ręku Marcina, chętniej odeń niżeli od kogo innego przyjmując tę pomoc, bo wlekąc się, jeszcze raz go zapytała: to ona mówiła że nas kocha? i znowu Marcin te miłe dla niéj powtórzył słowa, nie rozumiejąc jak wielkiego one były znaczenia i skutku, a co przewidział Ks. Daniel, gdy mu panią prowadzić kazał.

Gdy tam weszli, starościna, niefolgując słabości swéj i chorobie, uklękła na swym klęczniku, a ks. Daniel odsunął bogatą firankę zasłaniającą obraz. Marya Boleśna okazała święte oblicze swoje, miecz przeszywał jéj piersi, a boleść i miłość tak żywo i tkliwie jednoczyły się w jéj oczach, że się zdawać mogło, jakby na tę chwilę rzewniła się ona współczuciem i miłosierdziem dla nieszczęśliwéj matki. Wrażenie głębokie przejęło na ten widok nie tylko ks. Daniela, ale i wszystkich.

— *Módl się za nami! módl się za nami!* odpowiadano mu z westchnieniem, gdy on litaniję odmawiać począł; a gdy przyszło ofiarowanie, modlitewka którą nieraz może nie jeden z moich czytelników, uciśniony troskami życia, w duchu lub cichemi słowy odmawiał: „Pod Twoję obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko! naszemi prośbami nie racz gardzić w potrzebach naszych . . . w smutkach naszych, dodawał kapłan, któremu łzy biegły po licach, ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać. Pani nasza! Orędowniczko nasza! . . . Pocieszycielko nasza“ . . . Natenczas łkanie wszystkich ledwo dozwalało powtarzać te słowa, a starościna zakrywszy twarz rękami i oparłszy głowę na poręczy klęcznika, duszą je powtarzała.

Nakoniec powstał ks. Daniel i jakby natchniony, rzekł: matko! boleścią połączyłaś się z Matką, która syna na krzyżu opłakiwała; ufaj! Ona cię wspierać będzie.

— Pójdźmy, to mówiąc podał rękę starościnie, która jeszcze raz spójrzała na obraz i wyszła pokrzepiona na duchu modlitwą i nadzieją, z tego wspólnictwa boleści wypływającą.

Abraham Ilski.

Poleciwszy kobiétom otaczającym starościnę czuwanie nad nią, wyszedł ks. Daniel z pałacu i udał się śpiesznie do mieszkania dworskich, to jest do oficyny, na tymże samym pałacowym dziedzińcu stojącéj. Rozruch w całym dworze był największy. Pan Tatura, otoczony kilkunastu osobami, i wyższy głową od wszystkich, perorował coś żwawo i zamaszysto. Po całym dziedzińcu bieganina była wielka; z miasteczka i do miasteczka rozmijali się gońce w lipowéj ulicy; kilku tatarów mieszkających w Illi, a przeznaczonych na posyłki, stało gotowych przy osiodłanych koniach; słowem, widoczném było, że wszyscy chcieli coś działać i radzić, ale właściwie rady sobie dać nie umieli, jednocząc tylko swe zdania na przekleństwach i złorzeczeniach Wołkanowskiemu.

Gdy się ukazał ks. Daniel, wszyscy się doń rzucili. A co słychać, Reverendissime? A jak się ma starościna? A co oni mówili? jak uciekali? Pan Tatura powiada, że starosta wyrzecze się córki, a pan Pauksza mówi, że to nie może być. Pan Tatura chce posyłać do pana i już Tatarów sprowadził, a pan Mężyk mówi, że trzeba czekać co rozkaże pani. A w miasteczku co się dzieje, gdybyś Jegomość wiedział? choć ty na gwałt dzwoń! Szlachta pije na *zufał*, a wszystkim réj wodzi ten przeklęty krętacz Kulesza. Ks. Daniel, nie odpowiadając na te wszystkie hałasy i pytania, wziął Taturę za rękę i wprowadził go do jego własnéj izby w oficynie.

— No, panie marszałku (bo ten obowiązek pełnił na dworze starosty) dobrześ skonkludował: trzeba pisać i posyłać do pana.

— I ja tak mówiłem, odpowiedział Tatura, a te błazny mnie zakrzyczeli, i Mężyk ze swojém zdaniem wyjechał. Koniuszy! mądra głowa! trzeba, prawi, czekać co pani każe? chciałem już iść po Jegomościa dobrodzieja do pałacu.

— Pani nic nie każe, bo w żałości i smutku nie jest w stanie rozkazywania czegokolwiek.

— I ja tak mówiłem, rzekł znowu Tatura, posłańce gotowi, wysyłajmy na różne strony. Starosta pojechał wprawdzie do Grodna, ale ztamtąd miał się zwrócić na Słonim i Nieśwież; więc Bóg wie gdzie go szukać? poślemy więc do wszystkich tych miejsc. Tylko w tém sęk *Reverendissime*, że trzeba pisać do pana; a już wiesz

Jegomość dobrodziéj, że ja w skrypturze niemocny, a tém bardziéj w takich cyrkumstancyach.

— No, ja napisze, rzekł ksiądz Daniel, ale prócz tych posłańców, rozporządź zaraz i posyłaj Mężyka rozstawionemi końmi po doktora do Wilna, bo któż wié? może pani potrzebować go będzie. W takiém wielkiém zmartwieniu doktor nieodstępnym być powinien, na dwornego felczera spuszczać się nie można. I usiadł zatém do pisania listów, a marszałek poszedł rozrządzić wnet wysłanie po doktora.

W godzinę jedno i drugie było spełnione. Mężyk jechał śpiesznie bryką po drodze do Wilna, a tatarzy kłusowali do Grodna, Słonima i Nieśwież̌a, każdy w swoją stronę; Tatura zaś, wiedziony ciekawością, na ten raz nienaganną, poszedł do miasteczka podsłuchiwać pijaną szlachtę, a nuż się czego nie dowie, coby się tego fatalnego zdarzenia tyczeć mogło? Zatém ksiądz Daniel został sam jeden, i wsparłszy głowę na ręku, siedział przy stole na którym listy swe pisał, zadumany głęboko. . . gdy we drzwiach nowa okazasię figura, żyd.

Był to pan Abraham Ilski, tak nazwany od miasteczka w którém od dziadów i pradziadów mieszkał, które trzymał arędą i w którém obszerny prowadząc handel leśny, utrzymywał znaczny ruch kupiecki, dając zarobek i sposób do życia wielu biednym rodzinom swych braci. Był to *morejna*, w całém znaczeniu tego wyrazu, a osobą swą przedstawiał prawdziwego dostojnika Mojżeszowego narodu.

Imie też jego przypadało właśnie do jego postaci; bo w rzeczy saméj, z oblicza tego sędziwego i szlachetnego, brody siwéj i poważnéj, czoła łysego i wysokiego, oczu czarnych pełnych życia i wyrazu, malarz alboby podobieństwo do obrazu tego patryarchy, albo wzór na jego obraz upatrzył.

W grodetury i atłasy ubrany był cały pan Abraham. Żupan atłasowy czarny, srebrnemi haftkami i pętlicami na piersiach zapięty; takiegoż koloru płaszcz długi grodeturowy, taśmami i kutasami sutemi jedwabnemi na szyi przywiązany i szerokie na wiatr rozpuszczający poły; nakoniec trzcina ze srebrną gałką w ręku, a aksamitna jarmułka, wąziutkim galonikiem oszyta, na głowie, dopełniała tego uroczystego stroju, w jakim ukazał się on we drzwiach izby, w której siedział samotny ksiądz Daniel.

Rzadko dziś bardzo, a wkrótce i zupełnie nie ujrzysz między Izraelskim ludem takich staroświeckich postaci. Znikają one z nowego pokolenia, przekształcającego się w powszechną europejską ludność; przewodniczyli oni niegdyś w synagogach i kahałach, zasiadali i radzili w owych tajemnych sanhedrynach, kierujących losami tego wygnańczego narodu, a razem trzymali w swych rękach handel całego kraju. Wyżsi prawością, i dostojnością, że tak powiem, a zwykle imieniem, nad gmin szynkowy swych jednowierców, wyrabiali oni ogromne lasy litewskie i wszelkie inne płody ziemi naszéj za granicą popłatne; len, pieńka, siemie, na miejscu przez nich opłacane, szły do portów i wzbogacały ich corocznemi zyski. To dawało im wstęp do wszystkich znakomitszych panów, którym gotowemi zawsze służyli kapitałami, a w tych stosunkach nabywali poloru, taktu i pewnego rodzaju powagi i godności, która uszlachetniając ich w oczach własnych, uszlachetniała razem ich sumienie i postępki.

Żyd taki trzymał się ściśle swojego zakonu: wznosił własnym kosztem po miasteczkach szkoły, pokrywał w nich srebrnemi blachami dziesięciora, hojnie ubóstwu wyprawiał szabasy. Ale mimo to przywiązanie do religji swych ojców, wyzuwał się jednak w pewnym stopniu z nienawiści ku Chrześcijanom; owszem częstokroć przywykał serdecznie do rodzinnego siedliska i do panów, pod których opieką kilka swych pokoleń wyhodował.

Mamy i dziś żydów bogatych, miewamy w nich kupców rzetelnych, ale takich *morejnów* nie mamy już, a różnica główna w têm, że prawość i rzetelność tych ostatnich, przynajmniéj zarówno z oszacowania siebie i ludzi, z którymi obcowali, jako i z interesu dobrze zrozumianego wypływała; dzisiejszych, tylko z interesu. Daruje mi czytelnik tę małą dygressyę, bo w niéj razem i pana Abrahama Ilskiego opisałem, który wpływa do mego opowiadania.

— Z przeproszeniem godności pańskiéj, rzekł więc, zatrzymując się we drzwiach Abraham, czy mogę wejść i pogadać trochę z księdzem dobrodziejem?

Ksiądz Daniel podniósł głowę i ujrzawszy nadchodzącego, łatwo się domyślił, że go tu wspólnie wszystkim dotkliwa bieda przyprowadziła. Proszę, panie Abrahamie, odpowiedział zatêm, proszę.

Abraham wszedłszy, zaszczepił za sobą drzwi na kruczek, obejrzał się na wszystkie strony i zbliżył się potém do stołu.

— Siadaj, panie Abrahamie, siadaj!

Abraham usiadł, bo dla wieku i poczciwości, starosta nawet długo mu przed sobą stać nie dozwalał; dobył potém srebrnéj tabakiery, zażył z niéj, pogładził poważnie brodę i patrząc w oczy księdzu, posłałeś Jegomość dobrodziéj po starostę? rzekł.

Ksiądz Daniel skinął głową, i po doktora, dodał, bo starościna słaba.

— Dobrze pan zrobił, ale cóż daléj będzie? bo zawsze od początku trzeba patrzeć na koniec. Pogadamy o tém sam na sam z Jegomością dobrodziejem; może i stary Abraham, stary przyjaciel i sługa panów, cokolwiek poradzi, mówił dobrą polszczyzną, choć obrótem słów sobie właściwym. Więc cóż daléj będzie, mości księże dobrodzieju? ponowił on pytanie.

— Co Bóg da, panie Abrahamie, co Bóg da; my pokornie o miłosierdzie jego błagać będziemy.

— I my całym kahałem przez trzy szabase modlić się będziem; Pan Bóg, Mości księże dobrodzieju, dla wszystkich jeden. Ale z przeproszeniem godności i mądrości pańskiéj, tu znowu zażył tabaki i mówił powoli, ja myślę tak: powróci pan starosta, aj gwalt! strach! co to będzie? no, na końcu odpuści się, bo on ojciec, a to jedynaczka, i zapyta się, gdzie ona pojechała?... a matka odpowie płacząc, ja nie wiem... może już umarła! to pan starosta weźmie się za głowę, i będzie sobie włosy rwać... no, wtenczas kto jemu powie: ona żyje, i wiem gdzie żyje, to podziękuje on jemu; oj, i jak podziękuje! i błogosławić jemu będzie! czy nie prawda?

— Prawda, ale daj Boże, aby to odpuszczenie jak najrychléj nastąpiło, odpowiedział ks. Daniel.

— No, to Jegomość dobrodziéj nad tém pracuj, ale ja myślę o córce. Oj biedna ona, biedna! choć ona tam z mężem, ale jéj dusza tu.

— Z mężem... powtórzył Ks. Daniel wątpliwie i potrząsł głową.

Abraham przenikając wnet myśli jego, z mężem powtórzył głosem stanowczym, z mężem mości księże dobrodzieju; niechaj Bóg broni mówić inaczéj! Na sto lat życia Jegomości dobrodziejowi... ale Jegomość popchni myśl swoją naprzód, daléj a daléj... Kiedy on nie mąż, a ona nie żona... to co będzie? to co będzie z ich

dziećmi? Na sto lat biedy! na sto lat biedy, na dzieci, wnuki i prawnuki! z przeproszeniem godności pańskiéj. Oj! oj! oj! strach i mówić i myśleć.

Ks. Daniel spuścił głowę i zamyślił się; pojął prawdę słów Abrahama, i jakby spójrzał w głęboką przepaść, którą on mu odsłonił.

Ten znowu kontynuował swe, nałogową kupiecką, że tak powiem, rozwagą i ostróżnością przecinane sensa, biedna ona, biedna! ona zna co rodzicom zrobiła... a jak jéj przyjdzie do głowy, że starzy pochorują, a może i poumierają z żałości, to i mąż nie doradzi, mości księże dobrodzieju... a kiedy kto jéj wtedy napisze, rodzice żywi i zdrowi, temu ona ręce i nogi całować będzie... A któż jéj to napisze? Jegomość dobrodziéj. Ot dla czego ja tu przyszedł.

A gdzież ja napiszę? rzekł ksiądz Daniel, nie wiedząc dokąd pojechali; chyba trzeba mi się obaczyć z tym... pobożne usta nie wymówiły wyrazu, który im gniew podawał, z tym Kuleszą; a nuż odeń czego się dowiem!

— To Haman! zawołał Abraham, to Haman! po waszemu mości księże dobrodzieju, to Judasz nic dobrego. Jegomość od jego się nie dowiesz; bo co mówi Salomon: *„Srebro wyborne serce sprawiedliwego, ale język niezbożnych za nic nie stoi."* On podzielił się z Wołkanowskim pieniędzmi, które oni ugody wzięli za Sieliszcze.

— Ugody za Sieliszcze? rzekł zdziwiony Ks. Daniel. Ach! a ja sobie głowę suszyłem, dochodząc, zkądby Piotr dostał funduszu na tę podróż; ale zkąd znowu to wiesz, panie Abrahamie?

— Ot tak, mości księże dobrodzieju. Kulesza zaszedł z całą swoją gromadą do naszéj karczmy, i kazał dać miodu; więc szlachta po swojemu pić zaczęła i huczny prowadziła rozhowor, a ja zdaleka przysłuchiwałem się; aż jeden pyta go: panie Janie, a wiele wziąłeś *rebochem* od Wołkanowskiego, za to, że zaprzedałeś jego Sieliszcze?

A on na to, ot imainacya: co to do tego należy; widzi Jegomość, że jego takie przysłowie: Co tobie do tego, krzyknął na szlachcica: pij i milcz!

— No, to szlachcic tak i zrobił, ale ja domyśliłem się całéj téj sprawy. Kulesza, wielki prawnik, on wszystką szlachtę za nos wodzi, a oni słuchają go jak monarchę; on musiał ten interes zro-

bić i wziął *oberchabę* dobrą, a Wołkanowski dostał pieniędzy na drogę.

— Rozumiem, teraz wszystko rozumiem, mówił Ks. Daniel, potrząsając głową; nie do rodziców więc on jeździł, ale kończył przez nagłą ugodę ten process o Sieliszcze, *staraniem* Sołłohuba odnowiony. Więc zkądże weźmiemy wiadomość gdzie oni pojechali?

Tu pogładzając poważnie swą siwą brodę, mówił Abraham: Mój wiernik *Hirszko*, to on niby prosty sobie żydek, ale... postukał tu palcem w głowę, ale gdybym ja jego do piekła posłał, to i z samym Lucyperem kontraktyby zrobił, i nie dałby się oszukać. A kiedy ja jemu powiém *chejrym! cyt!* to jak kamień do wody... Otóż mości księże dobrodzieju, gdybym ja jego naprzykład... a tu stukał po tabakierze, gdybym naprzykład, ja... *Abraham Ilski*, kupiec, wysyłam mego wiernika *Hirszkę*, dla opatrywania puszcz po całej Polsce. No, to on jedzie i jedzie... a rozpytuje się po drodze u żydków, gdzie oni nocowali? gdzie popasywali się? gdzie im koło złamało się? wszystko za niemi a za niemi, aż póki gdzie nie osiądą. Wtenczas on pomału, nieznacznie, dowie się co tam na miejscu dziać się będzie? kto tam z niemi? i z kim oni? i o wszystkiém, co nam wiedzieć trzeba będzie?... A kiedyby tam biéda była? to on będzie miał... tu uderzył po kieszeni. Czy tak dobrze, mości księże dobrodzieju?

Ks. Daniel patrzał zdziwiony w oczy żydowi, który nie przestając gładzić swéj srebrnéj tabakiery, i wzajemnie patrząc w oczy księdzu, oczekiwał odpowiedzi.

W końcu ks. Daniel ujął rękę Abrahama i ściskając ją, wzruszonym głosem rzekł: Tyś poczciwy i rozumny człowiek; każdy poznałby tu konieczną potrzebę wiadomości, gdzie się znajdować będzie córka starostów; aleś ty potrzebę tę z serca rodziców i dziecka rozpoznał; sam więc masz serce.

— I sam mam dzieci, przerwał Abraham.

— A serce twe dobre jest i wdzięczne, dodał ks. Daniel, gdy nawet pieniędzy nie żałujesz.

— Jak to, mości księże dobrodzieju? córka moich panów miałaby być bez chleba! no, o tém potém. Ale czy dobrze tak będzie jak mówiłem?

Ksiądz Daniel pomyśliwszy nieco, dobrze, rzekł i bardzo dobrze, byle nikt nie wiedział ani o wyjeździe twego wiernika, ani o powrócie; bo gdyby starosta przed czasem dowiedział się o schro-

nieniu córki, mógłby w gniewie ścigać ich i powiększyć własne, żony swéj i dzieci nieszczęście.

— A *chejrym*, mości księże dobrodzieju! a *chejrym!*

— Kiedy tak, to wysyłajże tego swego Hirszka, panie Abrahamie.

— No, to już i wysyłałem.

— Jak to? już wysłałeś?

— Wysłałem, a Jegomości dobrodziejowi dziękuję, że pochwaliłeś to, co ja zrobiłem; teraz czy *Hirszko* co napisze, czy sam powróci, ja Jegomościa dobrodzieja wnet zawiadomię i znowu radzić będziemy. Kontent jestem! bo co mówi Salomon: „Daj mądremu powód, a przyczyni mu się mądrości; nauczaj sprawiedliwego, a pokwapi się wziąść *)“ a to się tycze mądrości Jegomościa dobrodzieja.

— Bodaj czy nie więcéj mądrości waćpana, panie Abrahamie, rzekł, uśmiechając się ksiądz Daniel, zawsze jednak winszuję, że tak dobrze znasz świętą Biblię.

— Ach! z przeproszeniem godności pańskiéj, to tak, jakbyś mnie Jegomość dobrodziéj winszował, że umiem chleb jeść; a teraz do zobaczenia i do nóg upadam.

— Do zobaczenia, powtórzył ksiądz Daniel, do zobaczenia!

Abraham skinął głową, włożył na nią szeroki kapelusz, wziął swą trzcinę w rękę i wyszedł, krocząc poważnie przez lipową ulicę do miasteczka.

Powrót ojca.

Błogosławiony dom, który miał i który miećby mógł dzisiaj u siebie takiego kapelana, jakim był ksiądz Daniel, takiego stróża wszelkich cnót chrześcijańskich, takiego przyjaciela i doradzcę w trudnych okolicznościach życia, takiego pocieszyciela i bogomódlcę w nieszczęściu.

Żaden dom pański dawniéj nie obszedł się bez kapelana i bez domowéj kaplicy. W niéj codzień panowie i dworscy słuchali Mszy ś-téj, jedni drugim służąc przykładem do jéj ozdoby; panie, córki i respektowe dziewice szyły w krośnach bogate kobierce i zapony; w niéj znakomitym kosztem okupione, lśkniły się złotém i srébrem

*) Przypowieści Salomona.

mszalne apparata, a drogiemi kamieniami święte naczynia. Słowem, przepych i zbytek panów, wszędzie naówczas dowodzący zarozumiałéj dumy magnatów, tu we wspaniałych ofiarach dowodził ich pokory przed Bogiem i chętnego poświęcenia Mu ich bogactw.

Kapelan pobożny i mądry (a takich zwykle wybierano), jakby drugi ojciec wchodził w rodzinę, którą codzień w swych modłach polecał opiece Boskiéj. Dzielił z nią złe i dobre chwile, uspakajał domowe rozterki, karcił i hamował częstokroć możno-władcze pana zapędy, słowem, posiadając miłość i zaufanie wszystkich, utrzymywał pokój, umiarkowanie, swobodę i religiję w domu.

Takim był ksiądz Daniel. Do tych przymiotów swego stanu, łączył on jeszcze szczere i serdeczne przywiązanie do rodziny Sołłohubów, których był nawet krewnym dalekim; kochał i czcił starościnę, poważał bardzo starostę, kochał czule, jakby ojciec Maryę, któréj tajemnic wiary świętej nauczał; lubił nawet Wołkanowskiego, bo odeń głębokiego synowskiego uszanowania codzienne odbierał dowody; był on zatém duszą Ilskiego dworu.

Ksiądz Daniel był Jezuitą. Czuję ja, że na to imie nie jeden z czytelników moich, powszechném napełniony uprzedzeniem o tym zakonie, w charakterze cnotliwego i pobożnego kapłana, z trudnością upatrzyć będzie mógł Jezuitę. Wszakże w czasie, do którego odnosi się ta powieść, największa część magnatów naszych miała domowych kapelanów z tego zgromadzenia. Przypuścić zatém niepodobna, aby zakon ten cały, z którego wyżsi oświeceniem, a pobożni ludzie wybierali sobie stróżów sumienia, składał się tylko z chytrych intrygantów i stronników jedynie swéj instytucyi. Nie tu miejsce rozwodzić się szerzéj o tym przedmiocie, w rozmaitym już względzie nie raz rozbieranym; chcę ja tylko wzmianką tą oddalić z drogi wyobrażeń czytelników moich myśl, któraby na obraz cnót i świątobliwości przedstawionego przezemnie kapłana, cień niejakiejś wątpliwości rzucić mogła; zresztą, w ogólności dodam, że zakon, który dał Polsce *Piotra Skargę*, *Sarbiewskiego* i wielu innych znakomitych obrońców wiary naszéj, nie zasługuje na bezwarunkowe nienawistne wspomnienie *).

---

*) Jezuici w naszym kraju, nie mieli wprawdzie powszechnéj sympatyi, którą im inne zakony, zazdrośne ich powodzeniu i przewadze, w klassie zwłaszcza średniéj obywatelskiéj, psuć starały się, ale też nie mieli i powszechnéj nienawiści: zatém po skasowaniu ich nie było żałoby, ale też nie było i powszechnego, jak

Przeszło dni kilka spokojnych w Illji. Dwór był smutny jakby w żałobie. Przybyły doktór z Wilna nie odstępował starościny, ona wszakże w modłach i pobożności, w którą ją pogrążył ksiądz Daniel, więcéj spokoju, a zatém i sił, niżeli w jego medykamentach znajdowała; pocieszał ją cnotliwy ten kapłan upewnieniem, że wkrótce wiadomość o córce będzie miała, i przygotowywał do spotkania się z mężem, którego codzień oczekiwano.

Nakoniec przyszła ta chwila, i jednego ranku, gdy ledwo słońce wchodzić zaczynało, ksiądz Daniel siedząc na ganku i szepcząc pacierze, postrzegł w lipowéj ulicy pojazd, który wnet stanął przed gankiem i wysiadł zeń starosta.

---

gdzie indziéj, najgrawania się. Naród przyjął upadek instytucyi ze zdumieniem, ale jéj członków wychodzących gromadami ze wspaniałych klasztorów, spotkał jak braci swoich, jak ziomków i kapłanów, i każdego po szczególe chlebem powszednim opatrzył. Jezuici Polscy ponieśli tu pokutę za braci swoich zagranicznych; bo nie sięgając w głębszą przeszłość, w ostatniém stuleciu ich istnienia, nie wdawali się oni w żadne głębsze polityczne intrygi, któreby rząd kraju zakłócić, obrazić lub zatrwożyć mogły; wpływ ich dosięgał wprawdzie możnowładcze rodziny, w których wielu jeszcze swoich wychowańców i uczniów liczyć mogli; lecz w ostatnich czasach i ten wpływ się zmniejszył, już to wzniesieniem się odmiennéj opinji we względzie wychowania młodzieży, szerzonéj szczególniéj przez Pijarów, do których konwiktów znakomitsze domy oddawały swych synów; już to rozwinieniem się ogólnych wyobrażeń oświecenia, niezgodnych z jezuicką rutyną. Pamiętam, że za młodu słyszałem, jak wspominając o skassowanych Jezuitach, nazywano ich zakon *„Kabak na rozumy“*— to jest, że zgromadzając oni u siebie i garnąc mądrość wszelaką, wydzielali z niéj pod miarą i wagą cząstkę narodowi i to jeszcze na własny gatunek przerobioną; definicya ta popularna, po większéj części była sprawiedliwą, lecz gdy *Kabak* zdjęto, zapasy mądrości tam nagromadzone rozlały się po kraju i weszły do powszechnego użycia. Skasowanie zatém Jezuitów nie usprawiedliwione tu wprawdzie żadnemi głównemi przyczynami, przeciw nim gdzieindziéj świadczącemi (Paraguay), podwójną jednak korzyść przyniosło narodowi; raz, dając ogromne fundusze na edukacyę krajową, powtóre, dając pobożnych i uczonych ludzi, którzy uwolnieni z pod obowiązków, jakiemi ich reguła i prawa zakonne obarczały, gorliwość tylko kapłańską i naukę z cel klasztornych wyniosłszy i stosując oną do nowych widoków i pojęć, wsparli liczbą i światłem wyższe zwłaszcza narodowéj instrukcyi zakłady. W niedawnych czasach pojawiła się u nas jakaś niespodziana literacka krucyata przeciw nieobecnemu nieprzyjacielowi, to jest przeciw Jezuitom, wzbudzona bodaj odbiciem się prelekcyj antyjezuickich, w Paryżu z katedr głoszonych; ale wkrótce ustała wojna, dla braku oporu nie istniejącego nieprzyjaciela i zda się, że już się u nas więcéj nie wznowi, chyba wzmianką w dziejach, które każdy fakt spełniony do swéj treści garną.

Spotkał go ksiądz Daniel; twarz jego zmienioną była, ale więcéj w niéj zapamiętania niżeli troski się wydawało, smutek mężczyzn bliższy gniewu, smutek kobiét bliższy łez.

— Jak się ma moja żona? zapytał nie witając się nawet, pisałeś do mnie, że słaba, a oddychał głęboko, jakby się umordował.

— Właśnie chciałem najpierwszy spotkać i przestrzedz pana, rzekł ksiądz, że starościna potrzebuje wielkiéj spokojności, i że każde wzruszenie mocne, może ją o niebezpieczeństwo życia przyprawić; tak mówi pan *Baranek* *) który tu od dni pięciu siedzi, a i bez niego łatwo to poznać.

— Więc sprowadziliście Baranka?

— A wszakżem pisał do pana, że rozstawionemi końmi po niego wysłałem, lękając się o starościnę.

— A tak, zda mi się, że to jest w twoich listach; więc moja żona słaba?

— Choroby żadnéj wyraźnéj nie ma, nawet róża przeszła: ale stoi ona na tym śliskim punkcie, z którego najlżejsze popchnięcie w grób ją pogrąży. Czeka pana niecierpliwie i z bojaźnią; szczęście, że rankami usypia trochę, bo sam turkot przyjazdu pańskiego jużby ją gwałtownie wzruszył; ja nie przestawałem dzień i noc pilnować, abym pana spotkał, i polecił miłości twéj małżeńskiéj panie starosto, życie twéj małżonki.

— Wychowałem węża! zawołał zapalczywie starosta, który mię śmiertelnie ukąsił... ale, ale chyba mi śmierć oczy piaskiem zasypie, mówił konwulsyjnie ściskajac pięście, będzie jeszcze jeden trup w téj przeklętéj rodzinie!...

Wejdźmy, przerwał Ks. Daniel, do pańskiego gabinetu, nie budząc starościny; gdy się ocknie, pierwsze jéj pytanie jako i zawsze będzie: czyś pan nie przybył?

Weszli więc do środka: dworscy na dziedzińcu zdaleka pątrzali na to, nie śmiejąc zbliżyć się i powitać pana.

Godzinę mogła trwać konferencya starosty z Ks. Danielem, do któréj wezwano i doktora. Oczekiwano chwili obudzenia się starościnéj i starosta walczył sam z sobą, aby się ile można zdobyć na spokojność, i spotkaniem nie dobić żony... gdy nagle i niespo-

*) Najsławniejszy ówczesny doktor w Wilnie.

dzianie drzwi się odemknęły i ona weszła... Przerażony starosta spójrzał na nią... serce mu się zatrzęsło!...

Ona podniosła nań oczy, a wspierająca ją panna zaledwo ją utrzymać mogła... W mgnieniu oka taka głęboka miłość, żałość i litość wzajemna objęła ich oboje, że słowa nie przemówiwszy, jakby niewidomą ręką ku sobie popchnięci, już byli w objęciach... płacz ich głośny, rzewny, jękami przerywany, rozległ się natenczas. Ks. Daniel, łkający sam, nie mógł koić nieszczęśliwych; doktorowi nawet łzy strumieniem płynęły.

Nakoniec starosta składając żonę na kanapie rzekł: ty przynajmniéj zachowaj się dla mnie!

— A ona... a ona!... ozwała się zaledwie przemówić mogąca starościna, ona mówiła, że umrze kiedy jéj wrócić nie dozwolim, że nas kocha...

Na to wspomnienie, płomień, zalany łzami, buchnął na nowo w staroście; krew czerwonemi plamami zarumieniła bladą twarz jego; już miał zbluźnić Bogu, lub przekląć swe dziecko... ale kapłan spójrzał nań... spójrzał nań wzrokiem, jakim wybrani tylko słudzy Pańscy są obdarzeni, jest to wzrok ducha, któremu oko jest tylko źwierciadłem, przed którym topnieją namiętności ludzkie... który zwrócony na człowieka wraża mu miłość i pokorę: zwrócony ku niebu, jedna dlań pokój i miłosierdzie... Wzrok to Chrystusa na krzyżu, pocieszającego matkę na ziemi, i błagającego Ojca w niebiosach!!! Czyż wzrok taki ludzkiemi słowy opisać się może...

Urokiem czy potęgą wejrzenia tego, bo się wyrazić nie umiem, dotknięty starosta, ochłonął i najtkliwszemi zaklęciami błagał żony, aby zdrowie swe szanowała: a gdy *Baranek* nalegał, by cały ten dzień została w łóżku, i żywe swe wzruszenie uspokoiła, przeto sam starosta odprowadził ją do jéj sypialni, i wzajemne troskliwe i czułe o zdrowie swe odebrawszy prośby, powrócił do swego gabinetu, i rzucił się na kanapkę, chcąc zmęczone podróżą, niewczasem i wewnętrzném udręczeniem siły pokrzepić.

Dnie smutku w Illji wlekły się leniwie; dworzanie snuli się jakby ospali. Tymczasem starosta chciał koniecznie dośledzić, kto we dworze, szczególniéj z kobiét, które podejrzywał najbardziéj, mógł pośredniczyć między jego córką, a Wołkanowskim? Mniemał

on, że miłość, która ją aż do opuszczenia domu rodzicielskiego doprowadziła, musiała mieć powierników, musiała długo się pierwéj rozpłomieniać, musiała mieć ułatwione osobiste wyznania i układy ucieczki, musiała mieć tajną korrespondencyę, słowem, musiała przechodzić wszystkie symptomata i konieczne, a zwyczajne swe koleje. Nie pomyślał on, że uczucie to jak pożar nagły, częstokroć w jednéj chwili tuż się i wznieca i wzmacnia, że promieniejąc z serc i z oczu zakochanych, ożywia się i kommunikuje wzajemnie; że jedno słowo między niemi wyrzeczone niedosłyszanym przez świadków półgłosem, więcéj znaczy i stanowi, niżeli tysiące przez powierników.

Brał on więc kilkakrotnie na ścisłe examina Porębskę, jako najbliższą sługę i ochmistrzynię Maryi. Lecz téj łzy i rozpacz przekonywały dostatecznie, że nie tylko wspólniczką nie była, lecz nawet przypuścić sobie do głowy nie mogła ściślejszego między zakochanemi porozumienia; a nawet zbliżanie się często na pokojach Wołkanowskiego do Maryi, ze zwykłą przenikliwością kobiécą, niebezpieczném i nieprzyzwoitém być sądząc, pierwsza ostrzegła starostę, i skutkiem właśnie téj przestrogi, Piotr tak nagle i niespodziewanie ze dworu wyprawionym został.

Nie uszły także podejrzeń i pytań panny respektowe; ale były to dziewice szlachetne, towarzyszki Maryi, lecz starsze od niéj wiekiem, niektóre i o lat kilkanaście; dzieliły one smutek dobroczyńców swoich, ale samo to podejrzenie tak ich dojęło, że żądały dozwolenia powrótu do swych domów, na co w obecnym stanie zgodzić się niepodobna było, gdyż każda z nich czułém staraniem około starościny, córkę jéj zastąpićby chciała. Z kolei dziewczęta pokojowe przeszły przez równeż badania, ale i te płaczem tylko na prośby i groźby pana odpowiadając, oprzysięgały swą niewinność. Nakoniec ksiądz Daniel, obecny wszystkim tym inkwizycyom, zapytał raz uroczystym głosem: Czego to śledzisz, panie starosto?

— Dziwne pytanie! odpowiedział on.

— Nie, nie dziwne, mówił ksiądz, bo szukasz sam dobrowolnie jadu, którym masz zalać i zajątrzyć jeszcze gorzéj ranę twojego serca.

— Nie rozumiem cię, rzekł Sołłohub.

— Szukasz zemsty. Dotąd jesteś nieszczęśliwym, a chcesz zostać prześladowcą! Dotąd możesz z czystém sumieniem wznieść oczy do Boga i błagać jego łaski i wsparcia; a chcesz sumienie

twe tak obciążyć grzechem, abyś oczu na ołtarz Pański wznieść nie mógł.

— Jakto, księże Danielu! Mamże spokojnie, bez dośledzenia i kary zostawić tego, który pomógł do najsroższego mego nieszczęścia? do zguby mego domu, do okrycia nas hańbą i wstydem?... Księże Danielu!... ja tego wymówić nie mogę....ale...—tu w najwyższém wzruszeniu drżąc cały, rzucił się na kanapę.

Ksiądz przetrwawszy to mocne wzruszenie starosty, rzekł znowu: Więc kiedy chcesz koniecznie znaleźć winnego, ja ci go wskażę.

— Kto? niecierpliwie powstając zapytał starosta.

— Ty sam, wymówił poważnie kapłan.

— Bluźnisz, księże!

— Nie, nie bluźnię. Ty sam! to jest twoja pycha, która cię zaślepiła i która tak wysoko Sołłohuba, a tak nizko Wołkanowskiego w oczach twych stawiła, że ci i na myśl nie przyszło, że ten młodzieniec ma serce, i że twa córka ma je także; gdybyś był mniej dumnym, byłbyś ostróżniejszym; w ich wieku...

— Jak to? chcesz więc i jego usprawiedliwić? przerwał starosta. Prawda, nigdy sobie nie pomyślałem, aby taka zuchwałość mogła w nim powstać; lecz gdy mą nieostróżność potępiasz, czemże nazwiesz jego postępek?

— To jego winy nie zmniejsza bynajmniéj.

— A ona! ona! mówił coraz bardziéj rzewniąc się starosta, ona nasza pociecha jedyna! ona chluba nasza! moja pieszczota! ona moja nadzieja! Ona niewdzięczna! tu łzy mu się polały. Oh! księże Danielu, nie jesteś ojcem, nie znasz jaki cios sercu rodzicielskiemu zadaje niewdzięczność dzieci!...

— Ona nieszczęśliwa teraz, kończył ksiądz Daniel, podniecając czułość ojcowską, ona krwawemi łzami płacze teraz zapewne po rodzicach.

— Nie, księże Danielu, nie! daj mi pokój: ona nie myśli o naszych męczarniach: nie myśli, że nam grób własnemi rękami otworzyła! o Boże daj mi zapomnieć to wyrodne dziecko!...

Ksiądz Daniel wzniósł oczy w górę i przeciwną w myśli ofiarował Bogu modlitwę; a ucieszony w duchu, że czulsze wspomnienie córki w sercu starosty obudziło się, że tkliwą łzę w oczach jego ujrzał, zaczął od téj chwili przypuszczać nadzieję, że przyjdzie czas gdy za pomocą Bożą duma się miłością pokona.

Z poszukiwań tych wszakże utwierdziła się ta pewność, którą już wprzód Abraham odkrył i księdzu Danielowi objawił, że Kulesza nietylko do ślubu i do ułatwienia ucieczki, czego wielu było świadkami pomagał, ale że Wołkanowski, oddalony przez starostę, nie do rodziców swoich lecz do niego się udał, że z nim razem jeździł do *Horodyszcza* dla zawarcia kombinacyi z właścicielami ówczesnemi *Sieliszcza*, że wziął od nich ugodą kilkaset czerwonych złotych, a ugodę tę doprowadził i pisał nawet *Kulesza*, bo był zawołany prawnik. Na niego więc miał wywrzéć całą swą zemstę starosta; i gdy właśnie szukał ku temu sposobów i projektów, przyjechał do Illji tenże sam Kulesza, *trupem*, bo nagłą śmiercią zabity, co mu za karę Boską policzył starosta.

Tymczasem ksiądz Daniel niecierpliwie oczekiwał powrotu wiernika Abrahamowego; tém bardziéj, że starościna żyła tylko nadzieją téj wiadomości i codzień o nią się dopytywała. Starosta milczał, nie wspominał córki; ale czy to za przykładem żony, czy to ze zmartwienia tłumionego wewnątrz, znabożniał bardzo. Codzień słuchał w kaplicy Mszy ś-téj, odmawiał różaniec i tym podobnie, do czego dawniéj nie bardzo tęsknił; a jeżeli kto z sąsiedztwa odwiedzał dom ten, niedawno tak uprzejmy i otwarty, to albo nie widział się z gospodarzem, wymawiającym się słabością zdrowia, albo gdy przybyły był takim, że go koniecznie przyjąć trzeba było dla jakiego interesu, to z pierwszego wejrzenia na starostę litość brała gościa, tak, że sam skracał chwile udręczających odwiedzin. Ku żonie tylko, która się nieco podźwignęła ze swéj słabości, podwoiło się w nim przywiązanie i tkliwość; snać ona w nim teraz zajęła całe serce, rozdzielone dotąd na dwoje drogich mu istot. Starosta pielęgnował ją, pieścił najczuléj, a gdy ją rozrzewnioną i płaczącą obaczył, tulił do swych piersi głowę jéj i najtroskliwiéj o folgowanie zdrowiu błagał. Lecz tego, coby ją jedynie pocieszyć mogło, to jest myśli swych o dziecku zawsze jéj drogiém, nigdy nie odkrywał, ani wspomniał; więc i ona nie śmiała wymówić jéj imienia; a tak milczeniem, jak żałobnym całunem pokrywali oni oboje między sobą przepaść, któréj zgłębić jeden nie miał woli, a drugi siły.

Ks. Daniel, baczny na każdy krok starosty, jak doktor uważający każdy symptomat chorego, każde tętno jego pulsu, i znający

głęboko serce ludzkie, lubo się cieszył têm nabożeństwem i tą miłością jego dla żony, nic jednak pomyślnego nie wróżył ztąd jeszcze dla córki. Mniema on, myślał w sobie mądry kapłan, że ich dwoje tylko zostało dla siebie na świecie, wspiera ją i pielęgnuje, bo jéj miłością chce siebie napełnić, a własną miłością dla niéj, zatrzéć w jéj duszy uczucia matki... Nieborak! źle kalkuluje, myli się i o sobie i o żonie, bo chce zwyciężyć naturę... ale zły to znak; bo pobudzając się do jednéj, choć najpoczciwszéj miłości, usiłuje zapomnieć drugiéj... garnie się i ucieka do Boga, bo światu i ludziom nie śmie zajrzéć w oczy, bo się wstydzi upokorzenia. Oh! modlitwy jego nie jednostajnéj intencyi z żoną... daleko z nim jeszcze do końca!...

Pierwsza wiadomość.

Tak upłynęło parę miesięcy. Ks. Daniel codzień pod wieczór odbywał przechadzkę do miasteczka, i albo zachodził do Abrahama, lub się z nim w ulicy spotykał, dla nieznacznego komunikowania się. *Hirszki* jak nie było, tak nie było; niecierpliwiącego się, Abraham uspakajał, mówiąc: Mości księże dobrodzieju, *Hirszko* darmo nie siedzi, daleko widać oni zajechali.

Nakoniec, pewnego piątku, wchodząc z jednego końca do miasteczka, Ks. Daniel, postrzegł w drugim pędzącą szybko brykę; z pośpiechu i smagania koni domyślił się, że jedzie żyd jakiś śpieszący na szabas już zapadający, a przeczuciem zgadł, że to *Hirszko.* Nim doszedł do karczmy, w któréj mieszkał Abraham, już bryka stanęła przed nią, a mała i większa rodzina Abrahama witała krzykiem wysiadającego z niéj *Hirszka;* wyszedł i sam Abraham, a zbliżył się ks. Daniel.

Po serdeczném między żydami *sałamechem,* Abraham zaszwargotał coś po swojemu; *Hirszko* kiwnął głową; Abraham pogładził brodę, i toż samo kiwnięcie, poważniéj tylko i z wesołem wejrzeniem oddał Ks. Danielowi.

Giéj a wek! krzyknął on potém na tłuszczę dziatwy ich otaczającą, i rozpierzchnęli się wszyscy. *Hirszko* wyjął z wozu worek skórzany, w jakim zwykle żydzi chowają starannie w podróży swe modlitewne szaty i poszedł za Abrahamem, który także i na ks. Daniela skinął. Serce mu biło gwałtownie, gdy wszedł do osobnéj

i czystéj izby, zachowywanéj przez Abrahama na konferencye handlowe, i talmudowe, w dniach uroczystych rozmyślania.

— Cóż, mój kochany *Hirszku?* cóż? zapytał on niecierpliwie, czy żywa? czy zdrowa?

— Nu, a czemu nie ma być żywa i zdrowa? odpowiedział zimno i spokojnie żydek, odwiązując swój worek, z którego dostawszy list: Nu, to od niéj, i podał Ks. Danielowi.

Ten aż ścisnął z radości *Hirszka*, a ujrzawszy na adresie, że list był do starościny, schował go za nadrę.

Aj wéj mir, jaki strach? ja u nich cały tydzień gościł.

— Gdzież oni?

— Tu trzykrotne uderzenie młotkiem w okiennice: *Giéj a szule!* wrzasnął szkolnik.

— Z przeproszeniem godności pańskiéj, Mości księże dobrodzieju, rzekł Abraham, trzeba nam iść do szkoły: jutro wieczorem po szabasie. Jegomość dobrodziéj pofatyguj się niby jak zawsze spacerem do nas, to *Hirszko* wszystko rozpowie: a nagle obracając się do wiernika, zapytał:

— *Herst* du, a konie i furman zkąd?

— Z Mińska, Rebe Abraham, a do Mińska nająłem ze Świsłoczy, a do Świsłoczy. . .

— *Ganc gut, rebe Hirszko! ganc gut!* i śladu nie ma.

— Ks. Daniel pośpieszył do dworu, i jeszcze tegoż samego wieczora znalazł chwilę, w któréj zostawszy sam na sam ze starościną, dał jéj list od Maryi. Nie będziemy opisywali stanu jéj, gdy go drżącą ręką otwierała, gdy czytając najtkliwsze wyrazy miłości, najrzewniejsze żądanie miłosierdzia i przebaczenia, najgłębszy żal i pokorę, obfitemi go skrapiała łzami . . . gdy niezdolna w tym momencie do długiéj modlitwy, wymawiała z najczulszém westchnieniem przyciskając list do piersi: Boże! dzięki tobie! ona żyje! ona nas kocha jeszcze! Boże dzięki tobie! . . . I pierwszy raz Ks. Daniel ujrzał na jéj twarzy, dobrotliwy, że tak powiem, uśmiech, jak się pokazuje na udręczonych obliczach, gdy wśród nieprzerwanych i czarnych godzin życia, pierwsza nadzieja promieniem błyśnie . . . Znika on wnet, bo odwykł od lic na których dawno gościł; tonie w niepewności i trwodze, nim coraz częściéj zsyłając go z nieba Bóg, jasnością szczęścia nie obleje rozpogodzonego czoła.

W przypisku Marya oznajmiła, że mieszka w domu krewnego jéj męża, że jéj na niczém nie zbywa, a nakoniec polecała się mo-

dłom i pamięci swego duchownego ojca, Ks. Daniela. On wzruszony i niespokojny, aby się przed czasem nie wydała tajemnica matki z córką komunikacya, błagał starościnę, aby panowała nad sobą, i odkrywszy jéj natenczas, że pociechę tę winna była życzliwości Abrahama, a przyrzekając na jutro przynieść jéj dalsze szczegóły, których, jak to widzieliśmy, i sam się jeszcze nie dowiedział, zostawił ją spokojniejszą, i żegnającą w tę stronę, gdzie była jéj córka.

Sklep Zaklęty.

Nazajutrz Ks. Daniel czekał gwiazdy na niebie, i gdy pierwsza migotać zaczęła, udał się znowu do miasteczka. W połowie lipowéj ulicy spotkał on Taturę, wracającego właśnie z miasteczka.

— Kłaniam uniżenie, rzekli sobie wzajemnie. A Jegomość dobrodziéj, mówił Tatura, codzień jak uważam z paciórkami spacerujesz sobie wieczorem, po téj ulicy.

— A tak, kochany panie marszałku, tak; ale zkądże tu waćpan wracasz?

— Z miasteczka Mości dobrodzieju; rozkazałem tam jednemu tatarowi gotować się do drogi, bo pan starosta ma go wysłać na Białoruś, z listami do swego tam krewnego, podczaszego Sołłohuba, który tu, jak zapewne pamiętasz Jegomość dobrodziéj, przed dwoma laty był w gościnie.

— Ks. Daniel zastanowił się. A kiedyż to wyślecie tego tatara? zapytał:

— Nie wiem dnia, odpowiedział Tatura, zalecił tylko starosta, aby był gotów.

— Dobranoc, panie marszałku.

— Dobranoc Jegomości dobrodziejowi. Rozeszli się.

Marszałek szybkim krokiem poszedł do dworu, a Ks. Daniel przeciwnie zwolnił kroku, bo projekt ten starosty utkwił mu w głowie i dał powód do rozmyślań głębokich.

Ten pan podczaszy, rozpamiętywał on zatém idąc powoli, prawda, był tu przed dwoma laty, i miał z sobą synka; piękny chłopczyk, mógł mieć wtedy lat ze dwanaście; starosta podobał go sobie, i pamiętam że mi raz powiedział: „Ot księże Danielu, gdyby ten chłopak był o lat dziesięć starszym, dałbyś mu ślub z naszą Maryą.“ Ha! cóż on teraz zamyśla? po co posyła do podczasze-

go?... łatwo zgadnąć; nieszczęśliwy! sam siebie dręczy, i sam siebie łudzi... chce przybraném dzieckiem rodzone zastąpić, biedny! biedny!... wieleż to boleści szarpie mu duszę!... Niewdzięczność dziecka, wyznał mi to; sroga! sroga to boleść!... pojmuję to, pojmuję! chce mścić się nad tém co kocha... jak wydrzeć serce z łona i wstawić tam drugie? Boże! zlituj się nad nim!!!

Właśnie przy tém wezwaniu Ks. Daniel ujrzał się przed kościołem, który miał pomijać, zastanowił się więc, otworzył furtę u bramy, i upadł na kolana na głazach, przed drzwiami świątyni.

Widziałbyś natenczas, przy jasném świetle księżyca, niewzruszoną tę postać, jakby pomnik kamienny tych, którzy u progu kościoła pod temi płytami spoczywali. Modlił się on głęboko, modlił się więcéj duchem niż słowami, i gdy na końcu bijąc się w piersi: „*Boże bądź miłościw nam grzesznym!*“ trzykrotnie z jękiem i łkaniem powtarzał: słysząc, pomyślałbyś, czy zrozumiał, że ręką tą kapłańską *wiara*, *nadzieja*, i *miłość*, każda po kolei, w uniesione ku Bogu serce uderza.

Wszedłszy do izby już od wczora mu znanéj, Ks. Daniel znalazł Abrahama siedzącego nad otwartą wielką księgą; kilkanaście świeczek dogorywających w wielkim mosiężnym żyrandolu, wiszącym na środku izby, niepewnym migotało blaskiem; na stole zaś białym i cieńkim obrusem przykrytym, jaśniejsze świece w siedmioramiennym srebrnym świeczniku gorzały; sam poważny *morejne*, w tejże saméj czarnéj atłasowéj, na srebrne haftki zapiętéj czamarze, z czapką sobolową na głowie, siedział głęboko zaczytany w księgę.

— Przepraszam, rzekł wchodzący, przerywam, panie Abrahamie, ale zdaje się, żeś już szabas skończył; nawet rozumiałem, że się spóźnię, bo się trochę pomodliłem przed kościołem.

— I u nas dziś w szkole nasz rabin wywoływał modlitwę na tę biedę naszych panów, rzekł Abraham witając księdza, a potém wszyscy szli do dziesięciora; wszak to wszystko pójdzie do tegoż samego Pana Boga, czy po hebrajsku, czy po łacinię, czy po polsku. Czy to źle, Mości księże dobrodzieju?

— Oh! nie źle, nie, panie Abrahamie; kto Boga chwali i kocha, a ludziom dobrze czyni, temu i w błędach Bóg miłościwym będzie.

Żyd spójrzał na księdza, dobył tabakiery, przecierał ją, zażył potém kilka szczypt raz po razu, nakoniec kiwnął głową. Siadaj Jegomość, rzekł.

— A Hirszko gdzie? zapytał siadając Ks. Daniel.

— Hirszko odpoczywa po drodze, odpowiedział Abraham, ale on mnie wszystko pogadał, a ja Jegomości przepowiem.

Dowiedział się więc ksiądz Daniel, że zbiegli zajechali aż w Sandomiérskie, do familii Wołkanowskiego; że tam znaleźli kilka domów pokrewnych jemu, i że mieszkają teraz u jednego z nich w *Wielkich Wołkanach*, obywatela dostatniego i bezdzietnego, także Wołkanowskiego; że im na niczém nie zbywa, co już i z listu Maryi wiadomém było: owszem, że ją bardzo szanują wszyscy i pocieszają; że niewymównie uszczęśliwioną była, gdy ujrzała i poznała Hirszkę, którego od dnia do dnia przez cały tydzień zatrzymywali, a gospodarz domu wypytywał się go sam na sam o wszystkiém, i potém tém bardziéj Maryę jako córkę znakomitego rodu czcić zaczął; że Piotr ani na chwilę od żony nie odstępuje, że nakoniec oboje najusilniéj prosili Hirszka, aby do nich znowu przyjechał, i odpowiedź od matki im przywiózł; że mu dawali pieniądze na podróż, i za teraźniejszą nagrodzić chcieli, lecz dowiedziawszy się, że go Abraham własnym domysłem i własnym kosztem, wyprawił, Marya kazała Hirszce aby mu powiedział, że mu tego dobra, które jéj wyświadczył, nigdy nie zapomni; i nakoniec prosili go, aby błagał od nich litości i pomocy Ks. Daniela, któremu los swój i nadzieje poruczali.

Wysłuchawszy pilnie tego opowiadania, Ks. Daniel powiedział, że i starościna poleciła mu toż samo powiedzieć, że nigdy jego postępku życzliwości nie zapomni.

— A widzi Jegomość dobrodziéj, z przeproszeniem godności pańskiéj, rzekł natenczas żyd, gładząc brodę, że choć żyję w błędzie...

— Rozumiem, przerwał Ks. Daniel, rozumiem i przepraszam cię pokornie, poczciwy panie Abrahamie, a to mówiąc uściskał mu rękę tak szczerze, że żyd zapomniał gniewu i rzekł: Oh! Jegomość dobrodziéj prawdziwy ksiądz, bo i mądry i pokorny; a co mówi Salomon: «Lepsza jest mądrość, niżeli moc, a pokora nachyli ku sobie serce królewskie». U nas takich rabinów mało, bo kiedy który nauczny, to jemu krukiem nosa nie dostać.

— Ale cóż będzie, panie Abrahamie, czy Hirszko pojedzie znowu?

— A pojedzie, i dziesięć razy pojedzie, byle list od pani starościny.

— Ufam w Bogu, że go otrzymam, rzekł ksiądz, kosztu wszelako na to nowego nie podejmiesz, panie Abrahamie; zaradzimy temu.

— A co Jegomości do tego? Czy Abraham Ilski prosił kiedy Jegomości dobrodzieja pieniędzy? przepraszam godność pańską.

— Nie, ależ koszta na tak długą podróż nie małe być muszą, i fatyga twego wiernika nie może być bez wynagrodzenia, a starościna nie zgodzi się abyś tak dla nich expensował się.

— Aj! aj! odpowiedział Abraham trzęsąc głową, i pójdzie ona prosić pieniędzy u męża na drogę dla Hirszka, wiernika Abrahama, jadącego do jego córki. Oj! oj! a Sołohub dowiedziawszy się o wszystkiém, i Abrahama i Hirszka i cały kahał Ilski przepędzi gdzie pieprz rośnie. Czy ja go nie znam? kiedy on w gniewie, to Mości księże dobrodzieju, gorszy od Hamana.

— Starościna ma swoje własne dochody i żadnego rachunku z pieniędzy swoich mężowi nie zdaje, rzekł ksiądz Daniel. Ja jestem jéj podskarbim, panie Abrahamie, bo większa część tych dochodów przez moje ręce biednym się rozdziela; więc nie potrzebuje prosić męża o pieniądze. Wszakże i Illia jest jéj dziedzictwem, wiesz o tém zapewne, boś tu jeszcze pod Radziwiłłami mieszkał.

— No to i owszem, Mości księże dobrodzieju; to ja będę miał z kim się rachować, a kiedy nie ja z panią, to moje dzieci z jéj córką, mówił uśmiechając się.

Ks. Daniel pokręcił głową, bo mu przyszły na myśl projekta starosty, które zgadywał, wydziedziczenia córki. Ha, panie Abrahamie, rzekł więc, nie tak bardzo ufaj temu . . . bo co mają rodzice, mogą nie mieć dzieci, zwłaszcza gdy przeciw woli ich postępują: mogą natenczas rodzice wydziedziczyć niewdzięczne swe potomstwo.

— Jak to wydziedziczyć? przepraszam godność pańską, ale ja tego nie rozumiem.

— To jest, panie Abrahamie, fortunę swoją oddać czy zapisać komu innemu, naprzykład krewnym, a nie dzieciom własnym i przyznam się waćpanu, że się boję bardzo, czy to i staroście po głowie nie chodzi.

— A czy to u panów w religii można? zapytał Abraham.

— Daleko by to panie Abrahamie tłómaczyć ci, jak? kiedy? i za co? tak się zdarza u nas czasami, kiedy niebłogosławieństwo Boskie padnie na dom jaki.

— Bo u nas, Mości księże dobrodzieju, nie tak; a choćby kto miał djabłów dziećmi, to po śmierci jego i oni swój spadek wziąść muszą koniecznie.

— Jak to djabłów dziećmi? chyba chcesz mówić dzieci tak złośliwych jak złe duchy; ale na co ich wspominasz, panie Abrahamie.

— Nie, nie, Mości księże dobrodzieju, to prawda co ja mówię, i tak ja mówię; są dzieci, które rodzą się djabłami, a rodzą się bez matki.

Ksiądz ściskał ramionami.

— Tak nie dawno było w Wilnie, i nasz Rabin Eliasz, a po naszemu Ella, który chwała Bogu żyje i teraz, sam zasądzał co im po ojcu należało. Jegomość dobrodziéj wiesz zapewne, bo wszyscy wiedzą, że takiego drugiego rabina na całym świecie nie ma... to prorok *)!

— O tym waszym mądrym i, jak powiadają, bardzo poczciwym rabinie słyszałem; ale prawisz mi panie Abrahamie baśnie i dziwię się, że sam będąc człowiekiem rozsądnym im wierzysz.

— Przepraszam mądrość pańską, ale to nie baśnie, ani bałamuctwo, nie, ja opowiem Jegomości dobrodziejowi wszystko jak było.

— Trzeba Jegomości wiedzieć, opowiadał zatém Abraham, że u nas tak stoi w piśmie, że kiedy który żyd popełni grzechy wielkie, takie, za które Bóg na Sodomę i Gomorę siarczysty ogień dopuścił, to z każdego grzechu staje się djabeł, który jest rodzoniuteńkim synem tego żyda.

*) W rzeczy saméj, sławny to był w owym czasie Rabin Wileński; dziś on jeszcze jest pamiętny u żydów i portret jego nie u jednego znaleźć można obok Patryarchów na ścianie umieszczony. Mniemanie jest między nimi, że Eliasz zostawił wiele pism proroczych, w których przepowiedział wszelkie wypadki ziemskie dni naszych i dalsze dalekie, ale ogłaszać tego nie dozwolił do pewnego zakreślonego czasu, który naturalnie jeszcze nie nadszedł. Stanisław August, w podróży swéj do Petersburga. przejeżdżając przez Wilno, chciał widzieć Eliasza i rabin ten mu się przedstawił. Historya tu opisująca się, jemu rzeczywiście przez żydów jest przyznawaną.

Ks. Daniel pokręcił głową, poczuł bowiem, że morał téj idei, czy to wyrażający figurycznie że z ciężkiego grzechu nowy zwykle grzech się rodzi, czyli dla grozy i odrazy od występków, chociaż zabobonnéj treści, zawsze jednak pożytecznie był pomyślany. Abraham tymczasem przecierał swoję tabakierę i poważnie z niéj zażywał, do czego zwykle się uciekał, gdy cokolwiek z namysłem miał mówić.

— Lat z dziesiątek temu, Mości księże dobrodzieju, kontynuował więc, umarł w Wilnie żyd *Mendel*, tak sobie po średniemu, ni to bardzo bogaty, ni to ubogi; miał jednak swoją własną kamienicę na Końskim targu, a pod nią było kilka pięknych sklepów, więc tam kupcy składali różne swoje towary, i to był największy jego dochód, z którego on żył pod starość; bo miał trzech synów, a jak wszyscy pożenili się, to zajęli wszystkie stancye, tak że i ojcu było ciasno.

Po śmierci Mendela, synowie jego podzielili się kamienicą; starszy wziął sklepy i ojcowską stancyę, drugi pierwsze piętro, a trzeci drugie piętro.

— No to i dobrze, rzekł Ks. Daniel.

— Oh! i jak dobrze, gdyby tak i zostało się, ale jak tylko każdy wstąpił już do swojego, tak pierwszéj zaraz nocy w sklepach zaczął się taki harmider, taki hałas, taki stuk, że poprzelękali się wszyscy. Zapalili więc świéce i poszli patrzeć co tam jest. Nie znaleźli nikogo, ale wszystkie towary, wszystkie beczki, skrzynie i paki, powywracane i porozbijane jak po jakim rabunku; opatrywali oni wszędzie, czy nie było jakiego lochu, kędyby ktokolwiek włazić mógł, a nie znalazłszy żadnego śladu i nie wiedząc co to znaczy, poprzybierali i poskładali towary jak mogli, i postanowili milczeć czekając co daléj będzie. Starszy tylko narzekał, że jak kupcy przyjdą po towary i znajdą popsute, opuszczą jego sklep i dochód zginie.

Rozumieli Mendelowicze, że to na jednéj nocy skończy się, aż tu jako żywo. Gwałt! drugiéj jeszcze gorzéj: biją jak w tarabany, śpiewają, grają na cymbałach, wyją jak wilki. Gwałt! powiadam Jegomości dobrodziejowi.

Poznali żydki, że to nie żarty; nie poszli już drugi raz do sklepów, dosiedzieli w strachu do dnia i pod dzień wszystko ucichło, a było to zimą, noc długa. Nazajutrz wszyscy z kamienic drugich, obok i naprzeciw stojących, pytali się co tam u nich w nocy było? czy Hamana pędzali przed czasem? albo czy nie powaryowali z wiel-

kiego żalu po ojcu? Mendelowicze nic na to nie mówiąc, pobiegli pędem do rabina Elli i wszystko mu rozpowiedzieli, prosząc o radę i pomoc.

Wysłuchał wszystkiego od początku do końca, Rabbi Elliasz, jak państwo nazywacie. Zamyślił się potém bardzo i odpowiedział nakoniec, że sam przyjdzie na noc do ich kamienicy; ale zakazał aby nikomu o tém nie mówili. Pod wieczór zatém wyjął on z szafki na zamek zawsze zamkniętéj księgę... ale ach! z przeproszeniem mądrości pańskiéj; jakże ja to mam powiedzieć Jegomości... księga ta...

— Pewnie Kabała, przerwał ksiądz.

— Gwałt! zkąd to Jegomość wiesz? zawołał zdziwiony i jakby przelękniony żyd.

— Ja, mój panie Abrahamie, uczyłem się niegdyś po hebrajsku, a zatém znam się potrosze z waszemi książkami; ot naprzykład ta, którą czytasz, rzekł odwracając i przypatrując się pierwszéj karcie, jest *Miszna*, główna część waszego talmudu; i wielu duchownych naszych zna wasz język rodowity *).

Abraham patrzał przenikliwie na księdza Daniela, a potém niedbale i obojętnie niby, a na cóż to potrzebne? zapytał.

— Jak to na co potrzebne? odpowiedział ksiądz, czyż my, zwłaszcza księża, nie powinniśmy znać najgruntowniéj pismo, tak dla nas jako i dla starozakonnych święte, Biblię; i dla tego uczymy się niektórzy po hebrajsku, bo chcemy czytać ją nie w tłómaczeniach, ale w języku w którym była pisaną.

— To i Kabałę Jegomość rozumiesz?

— Kabała to nie Biblia, mój panie Abrahamie, więc czytać jéj nie mamy potrzeby; ale wiemy przecież, że w nią wierzycie.

Abraham pogładził brodę i uspokoił się, jakby stróż skarbu, gdy się przekona, że mu go nie wykradziono.

— No, mówił on daléj, nie wiadomo zresztą jaką on tam księgę wziął, ale zabrał razem i swoje szkolne szabasowe ubranie. Jegomość wiesz, *Tfilim* i dziesięcioro; kazał także jeszcze dwóm, choć nie tak mądrym jak on sam, ale taki bardzo naucznym rabinom iść z sobą, i wieczorem, cicho, gdyby nikt nie wiedział, poszedł do téj zaklętéj kamienicy.

Jak tylko tam wszedł, kazał bramy zamknąć. Mendelowicze,

*) W owych czasach tak bywało.

z przeproszeniem godności pańskiéj, stali przed nim jak przed monarchą. On siadł za stołem sám jeden, w téj stancyi, w któréj były drzwi do sklepów, i zegarek na stole położył; w drugiéj izbie zasiedli rabini, którzy z nim przyszli, a reszta wszystkim kazał na drugie piętro ustąpić i cicho tam siedzieć; a potém zaczął czytać swoją księgę.

Pod północ, znowu djabli zaczęli swój sejmik. Przepraszam Jegomości, bo i szlachta na sejmikach krzyczą i hałasują jak djabli; więc i oni hałasowali, bębnili, ale słychać było jak po razy kilka wywoływali: Rabbi Ella! Rabbi Ella! Już oni poczuli, że tu jest na nich bicz!

Ella na to nie uważając, czytał bez ustanku i na zegarek poglądał; a jak sama dwunasta doszła, wstał, ubrał się jak na nabożeństwo, zawołał rabinów, im także ubrać się kazał, a stać w milczeniu, sam zaś otworzył sklep... Rabinom włosy na głowach powstały... a on z księgą swoją w jednym ręku a ze świecą w drugiém, powoli po schodach do sklepów spuszczać się zaczął.

Gdy tam wszedł, z początku zrobiło się cicho, potém krzyk: Rabbi Ella! Rabbi Ella! jakby go witali; potém znowu cicho i cicho... tylko kiedy niekiedy Ella wymawiał jakieś słowa, których ani dosłyszeć dobrze, ani zrozumieć i domyśleć się nie mogli rabini; a po tych słowach szum tylko wielki chodził po sklepie, i znowu potém cicho... aż nakoniec i sam patryarcha pokazał się na schodach z księgą i świecą; ale tak on był blady i słaby, że rabini podchwycili go pod ręce, wprowadzili do izby i posadzili w krześle, a sklep zamknęli.

Odpocząwszy trochę, posłał on po Mendelowiczów i rzekł im gdy przyszli: „Słuchajcie. Nakładam cheyrym! abyście piérwszéj nocy po dniu *Jom Kipur* *) o saméj 12-téj godzinie, stanęli u mnie, Rabina Elli, na sąd z tymi, którzy tam są w sklepach. Dam im także cheyrym, i oni stanąć muszą, a do tego terminu, wam, cheyrym na języki, im na swawole w sklepach."

To powiedziawszy, wyszedł z rabinami. Wszystko potém uspokoiło się spokojnie; żydki nazajutrz weszli do sklepów i znaleźli towary na miejscu polokowane tak regularnie, jakby nikt ich nie ruszył.

— Nu, w kilka miesięcy przyszedł Mości dobrodzieju Jom Kipur, przyszła noc, żydkom cheyrym na głowie. Stawaj do sądu! nie

---

*) *Jom Kipur*, 10 września. dzień oczyszczenia z grzechów.

ma żartów; strach czy nie strach, a iść trzeba. Poszli więc i stanęli u patryarchy przed samą północą.

Siedział on znowu za stołem nad księgą, przybrany w swój Tfilim i z dziesięciorem na czole; przy nim siedzieli obadwa ciż sami rabini, bo zwyczajnie na sąd duchowny trzeba trzech mężów. Izba w której na ten sanchedryn zasiedli, była po połowie od dołu do góry suknem czarnem zawieszona, na stole paliła się jedna tylko świeca woskowa i leżał zegarek; gdy stanął na dwunastéj, Ella wstał i zawołał głosem wielkim:

— Wy, złe duchowie, na których cherym nałożyłem, czy jesteście?

— Jesteśmy odezwało się kilka głosów za suknem.

— Bo tam ktoś siedział, przerwał ks. Daniel.

— Przepraszam godność Pańską, czemu Jegomość do końca nie słuchasz? więc znowu zawołał Ella:

— Wy, synowie Mendela Izraelowicza, na których cheyrym nałożyłem, czy jesteście?

Żydki trzęsąc się od strachu, ledwo wymówić mogli. jesteśmy.

Rabin znowu: Wy, złe duchowie mówcie teraz, jakiem prawem zajmowaliście sklepy w kamienicy Mendelowiczów?

—Bo my dzieci Mendela pierworodne, z jego grzechów zrodzone, odpowiedzieli oni, mamy prawo do jego dziedzictwa; odsądź więc nam Rabbi Ella spadek po ojcu naszym.

— Wy nie z tego świata, rzekł Eliasz, więc na tym świecie nie możecie mieć dziedzictwa; a ja was zaklnę tak, że już Mendelowiczom uprzykrzać się nie będziecie mogli.

— Możesz tak uczynić, odpowiadali djabli, możesz tak uczynić, boś ty Prorok! boś ty pan! bo ty wiesz słowa Salomona! Ale za to my będziemy dręczyć naszego ojca w piekle, że nam, dzieciom swoim, nie zostawił żadnego spadku.

Rabbi Ella zamyślił się... myślał, myślał i kiwał głową... Mężowie siedzący obok niego milczeli, milczeli... i czekali, czekali, co on powie...

Namyślił się on nareszcie i rzekł:

— „Duchowie piekielni! czyniąc folgę duszy Mendela, odsądzam wam drugie piętro jego kamicnicy.“

— Oj waj! krzyknęli djabli, Rabbi Ella, nie może być tak: wiemy co namyśliłeś, wiemy! Chcesz nam oddać drugie piętro kamie-

nicy, a jutro to piętro zbić każesz i nas na kominach osadzisz. Nie, nie Rabbi Ella, sądź sprawiedliwiéj!

Eliasz pokręcił głową, pomyślił znowu i rzekł: „Duchowie nieczyści, odsądzam wam jeden sklep pod kamienicą: siedźcież tam cicho w lochu i ciemności!“

— Zgoda!—krzyknęli za suknem, zgoda! oddaj nam więc ten sklep. Rabbi Ella, oddaj!

— Oddam, oddam jutro o téj saméj godzinie, rzekł Eliasz; a kamieniem i słowem mojém, wy wiecie jakiém, zamuruję go. Teraz precz ztąd! Cheyrym na was! i potrójny cheyrym!—Zaszumiało tylko za suknem. Eliasz wstał, zrzucił tę zasłonę i nikogo tam nie było. Kazał potém Mendelowiczom, aby oni sami, nie biorąc żadnego człowieka cudzego do pomocy, w cichości nanosili do sklepów kamieni, ile potrzeba było na zawalenie jednych drzwi. Ucałowawszy oni połę jego *Tfilimu*, odeszli.

Wieczorem przyszedł znowu do nich Eliasz. Przepraszam godność Jegomości, ale jak on fatygował się, och! taki wielki, taki nauczny, taki poważny patryarcha! Przyniósł z sobą, na wielkim pargaminie dekret sądu duchownego, przez siebie po hebrajsku napisany i podpisany, a przy nim podpisali się i dwaj rabini, którzy tę sprawę odbywali, i teraz razem przyszli do Mendelowiczów, którzy wydarli bruk w jednym sklepie własnemi rękami, więc nikt o ich pracy nie wiedział, a kamieni było aż nadto. Ella tak samo jak i pierwéj ubrany wszedł do sklepów, ale teraz i rabini i Mendelowicze za nim weszli. Tam w trzecim, ostatnim lochu, który złym duchom odsądzał, przeczytał głośno dekret; kazał potém wnieść płaski kamień, położył pargamin na tym kamieniu i szepcząc jakieś słowa, drugim kamieniem nacisnął, nakoniec wyszedł, a kazał Mendelowiczom, aby drzwi do tego sklepu wnet zawalili. Djabli odtąd ani się odezwali i cicho tam siedzą na wieki. Mendelowicze sklep ten zamknięty na głucho, potém cegłami zamurowali, a drugie dwa i teraz kupcom na towary najmują *).

Ksiądz Daniel niedowiarczo pokręcił głową.

— Jegomość dobrodziéj nie wierzysz? mówił Abraham, cóż robić? ale jak kiedykolwiek w Wilnie będziesz Jegomość, popytaj się

---

*) Obrzęd ten sądu i zaklęcia sklepu przez sławnego Rabina Eliasza, nie jest wcale wymysłem autora; wiele takich cudownych czynów jego opowiadają żydzi litewscy, a między temi i opisany.

swego faktora, gdzie ta kamienica w któréj siedzą djabli zaklęci w sklepie? to pewnie zaprowadzi Jegomości i pokaże; bo wszyscy o tém wiedzą.

— A jakże się wszyscy o tém dowiedzieli, kiedy Eliasz takie ciężkie cheyrymy nakładł na języki?

— Oho! przepraszam godność pańską, ale w naszém piśmie stoi, że „ziemia niebu przysięgała, aby żadnéj tajemnicy nie było nigdy“ *) to nigdy i nie ma i nie będzie; wszystko na wierzch wychodzi. To samo stało się i ze sprawą Mendelowiczów; oni sami i rabini, którzy byli z Ellą, zaczęli pod sekretem rozgadywać takie cuda jego! Wszyscy dziwując się, rozpowiadali jedni drugim i tak powoli całe miasto o wszystkiém się dowiedziało.

— Wszystko to być mogło, panie Abrahamie, rzekł po niejakiéj zwłoce ksiądz Daniel, ale wróćmy do naszéj sprawy. To więc staje na tém, że wyprawimy Hirszka z listem starościnéj do córki?

Abraham uchylił głowę na znak zgody.

— Co potém nastąpi, mówił daléj ksiądz, Bogu wiedzieć; ja zaś nie omieszkam, panie Abrahamie, radzić się zawsze waćpana, jako tak poczciwego i przywiązanego przyjaciela panów twoich, a rozumnego człowieka.

— U nas powiadają, Mości księże dobrodzieju, mówił żyd gładząc brodę, że *rozum i szmalec do wszystkiego uchodzi.* Pan Abraham nie poślednie miał widać przekonanie o swym rozumie.

— A toż co Jegomość mówił, że starosta ma jakoby fortuny swoje komu innemu nie córce swojéj odpisać?—zapytał on, jakby nastręczając się ze swą radą.

— Ja się tego domyślam tylko, odrzekł ksiądz, a mam w Bogu nadzieję, że do tego nie przyjdzie, i że mi natchnie sposób zapobieżenia temu; a teraz powiem znowu starościnéj o życzliwości twojéj, panie Abrahamie.

— Nu, ach! na sto lat życia téj, niech zdrowa będzie, a stary Abraham doczeka jeszcze, że matka i córka przyjdą do niego na wielkanocną macę i pocieszym się razem wszyscy.

---

*) Zdanie z Talmudu obrócone w przysłowie między żydami.

Nazajutrz rano po mszy, gdy starosta oddalił się do swego pokoju, Ks. Daniel przyszedłszy do starościnéj powiedział jéj wszystko, co od Abrahama usłyszał, a nadto że *Hirszko* gotów jest znowu jechać do Maryi i zawieść jéj odpowiedź matki.

Starościna zdumiała się, jakto Ks. Danielu? odpowiedź moją? ach mój Boże! cóż ja do niéj napiszę?

— Napiszesz błogosławieństwo twoje, bez którego tak jéj żyć trudno, jak tobie bez niéj.

Przywykła do płaczu zrenica starościnéj, znowu łzą zaszła: wyjęła ona ze stolika, za którym siedziała, list Maryi, czytając go rozrzewniła się jeszcze głębiéj i rzekła, a gdybym ja Ks. Danielu poniosła ten list mężowi memu?

Ks. Daniel pomyśliwszy nieco, nie, rzekł, nie jeszcze, gorącego żelaza oliwą nie ostudzić; zawre tylko goręcéj lub płomieniem buchnie. Serce męża twego jest w walce jeszcze! to się ono do Boga garnie, to ku tobie czule się skłania; szuka ono ratunku i uspokojenia, które tobie, utrapiona matko, Bóg już zlewa w miłości twéj macierzyńskiéj; ale w nim przemagają jeszcze ludzkie pochopy gniewu, żalu, dumy. Patrzę ja nań codzień uważnie, śledzę go i przenikam, list ten zakrwawiłby go tylko, i kto wie na jakie projekta naprowadził: czekajmy jeszcze i módlmy się zań do Boga w którego ręku są serca ludzkie. Teraz idzie tylko o to, aby dziecie twe w rozpaczy nie upadło pod ciężarem zgryzot i tęsknoty; aby wiedziało przynajmniéj że żyjesz i je kochasz.

— Ach, mój ojcze! rzekła starościna, moje *życie* i moja *miłość* dla niéj to wszystko jedno, broń Boże co na nią!. . . co na nią!!!

Ach serce matki! serce matki! . . . Dziewico młoda? jeżeli to czytać będziesz, rzuć się na łono twojéj. . . w tém łonie bije także serce, dla którego *życie* i *miłość* dla ciebie, to wszystko jedno. . . Uścisk ten będzie zakładem, że serca tego nigdy goryczą nie napełnisz, i wzajemnie że w niém zawsze znajdziesz szczęście i osłodę twojego życia; tkliwa zaś łza wasza będzie najmilszą nagrodą pobudzającego was autora. Wzięła więc pióro starościna i drżącą ręką napisała „błogosławię cię Maryo moja! kocham cię, aby Bóg dozwolił mi widzieć cię!“ daléj pisać nie mogła. Widząc stan jéj Ks. Daniel, dość, rzekł, dość na ten raz, ja resztę dokończę; i wziąwszy list wyszedł dozwalając starościnéj odpoczynku i uspokojenia.

Dokończył on obszerniéj listu tego. Napisał wszystko, co bogobojny kapłan, i jakby ojciec kochający dziecie swe napisać mógł;

nie zapomniał i o mężu Maryi, któremu niewczesnych już wymówek nie czynił, a tylko w miłości ku żonie, w obowiązkach tak wielkich względem niéj zaciągniętych, i w cierpliwości utwierdzał, i wyprawił *Hirszka* dając mu mimo oporu Abrahama, sowite na koszta podróży pieniądze, a osobno za wolą starościnéj, trzysta dukatów dla oddania Maryi od matki.

Tak zjednawszy i matce i córce niejakie uspokojenie i pociechę, Ks. Daniel tém pilniéj uważał na ojca. Starosta często drzwi swego gabinetu przymykał i zasiadał do pisania; ale niedostępny natenczas nikomu z dworzan, nie mógł zaprzeczyć wejścia kapelanowi i spowiednikowi swemu, a ten właśnie przerywał mu to zatrudnienie. Zaambarasowany natenczas starosta, podsuwał wnet zapisany swój papier pod inne na stoliku leżące i obojętną rozpoczynał konwersacyę. Czas się jednak ściągał, tatar był zawsze gotów do drogi, ale nie wyjeżdżał. Widocznie na tak stanowczy krok starosta odważyć się nie mógł: powierzyć go nawet żonie lub księdzu nie śmiał, chociaż dla nich żadnéj dotąd nie miał tajemnicy! bo czuł, że żonę jednym swym wyrazem zgnębi do ostatka, i że się ona nigdy na jego projekta nie zgodzi, a ksiądz, że je zgromi i potępi.

Tak nadszedł adwent: czas to szczególniejszego nabożeństwa w chrześcijaństwie; dwór cały wybierał się do spowiedzi. Ks. Daniel codzień przy wieczornych w kaplicy pacierzach, na który wszyscy dworscy zwyczajnie się zgromadzali, przygotowywał ich nauką i modlitwą do tego Ś-go Sakramentu! Lecz raz upatrzywszy chwilę, gdy oboje starościństwo obecnemi byli, a starosta pilniéj zważać zdawał się na słowa jego. „Przystępujcie zatém, rzekł, do świętych tajemnic, za przykładem pobożnych panów waszych, którzy tę chrześcijańską powinność spełnią bez zwłoki.“

Nic w tych słowach nie było nadzwyczajnego, a jednak powiedział je Ks. Daniel z namysłu; bo obowiązywał niemi starostę do dania przykładu sługom, a sług upoważniał do oczekiwania przykładu od pana; a zatém zmuszał niejako starostę do spowiedzi. Była to prawdziwa Jezuicka sztuka, ale w dobrym celu użyta. Czyli ją starosta zrozumiał, albo nie? nie wiemy, lecz w następną niedzielę oboje poszli do spowiedzi, jak zwykli do Ks. Daniela, po któréj, starosta nie zamykał się już i nie pisał skrycie, tatar został na miejscu a ksiądz Daniel dziękował Bogu, że go natchnął

myślą nastręczenia sposobności, w któréj o *gniewie* i *pysze*, jako o najszkaradniejszych grzechach śmiertelnych, mógł udręczonemu niemi człowiekowi, dać zbawienną i skuteczną naukę.

Nowy gość.

Zima nadeszła, święta Bożego Narodzenia, tak niegdyś wesołe i huczne w Illii, przeszły tak cicho i ponuro, jakby dom był żałobą pokryty. Hirszko wrócił, przywiózł znowu listy pocieszające starościnę, w których Marya uszczęśliwiona kilką słowami matki, nadzieję swą zostania także matką objawiła, uspakajając razem, że w takiéj chorobie, na żadnych około niéj staraniach nie zbędzie, owszem że na troskliwości męża i otaczających ją, zupełnie polegać może: lecz jednak niepewna w takim razie życia, najczulszém zaklęciem żebrała u obojga rodziców przebaczenia i miłosierdzia, jakby w ostatniéj życia swego godzinie.

Tymczasem po powrócie Hirszka, Abraham wyprawił się z nim razem w lasy Borysowskie, które także wyrabiał, dla obejrzenia roboty i przygotowania spławu: a w kilka potém tygodni, na dziedziniec Ilskiego dworu wjechał jednym konikiem na prostym wózku szlachcic jakiś, i wysiadł do oficyny; tam nie długo bawiąc i zostawiwszy swą szubę wilczą, szedł do pałacu.

Służba przyuczona nie przypuszczać do starosty każdego komuby się tylko wejść podobało, owszem szarym zwłaszcza braciom szlachtom czynić wstręt, a z interesami, któremi się teraz najmniéj nie trudnił starosta do administracyi odprawiać, i tego przybysza również zbyć chciała. Ale on nie ustąpił, i koniecznie z samym panem widzieć się żądał; wpuszczono zatém upartego.

Starosta był w swym gabinecie z Ks. Danielem, gdy wszedł i stanął przed nim starzec, siwy jak gołąb, i schludnie choć ubogo odziany. Miał wszakże szablę u boku, znak nieomylny jego szlachectwa: strudzony snać był długą zimową podróżą, lecz nie złamany; oparł się bowiem jedną ręką na paręczu krzesła; lecz pod brwią białą stało oko żywe i światłe.

— Ktoś waszmość? zapytał *Sołohub*.

— Pan starosta mnie nie poznajesz? niedziw, dawnośmy się widzieli.

Wpatrzył się Sołohub, i—*Wołkanowski!* krzyknął.

— Tak, on sam, odpowiedział starzec; a wzruszył się mocno Ks. Daniel.

Zawrzała krew w staroście, — jak śmiesz ty!... ty niegodny starcze stawać przedemną? precz! z mojego domu! precz! bo cię wyrzucić każę!...

— Panie starosto, rzekł spokojnie Wołkanowski; jam szlachcic, skrzywdzić siebie nie dam, i ta ręka choć stara, obroni mię jeszcze od obelgi, ale jam ci nic nie winien: a ty panie starosto mnie i Bogu wiele winieneś!...

— Jam jemu winien! a to rzecz dziwna! jam winien, że jego syn odebrał mi jedyne me dziécię! O przeklęta godzina w któréj go do siebie przyjąłem.

— I ja jéj nie błogosławię, panie starosto, niechby syn mój poczciwie pracował na kawałku swojéj ziemi, niechbym ja jego poczciwość, pracę i cnotę, czystem sumieniem błogosławił; i niechbym skonał przy nim i na jego ręku!!! A teraz có? a teraz co? ot ośmdziesięcioletni starzec wlokę się na świat szukać syna mego jedynego; i kiedy go znajdę, nie błogosławić mu, ale złorzeczyć jemu! oh ciężkoż mnie! ciężko.

— Jam go osypał dobrodziejstwami memi, rzekł starosta: łzy i słowa starca pohamowały go w impecie.

— Panie starosto, odpowiedział Wołkanowski, któremu głębokie wzruszenie sił wymowy dodało, panie starosto! bodajbyś tych dobrodziejstw nigdy jemu nie świadczył: bodajbyś go woléj do pracy i służby szlacheckiéj nie do dworszczyzny sposobił, nie zbliżyłbyś go do twojéj córki; nie ośmieliłbyś dwoje młodzieży do przywiązania, które ich obojgu zgubiło... ale niech ci Bóg odpuści! bo i ty, panie starosto, nieszczęśliwy... ty nieszczęśliwszy odemnie, bo ty wielki pan: ty myślisz wyrzekać się swojéj córki... Starosta zdumiał się, bo nikomu téj myśli nie objawiał, zkądby Wołkanowski ją przeniknął?

— Ja zaś, mówił daléj starzec, ja zaś syna mego kocham, i nigdy się go nie wyrzekę; kocham już i twoją córkę jak własne me dziecię... i ot wywlokłem moją starą głowę do nich... pożegnałem żonę, pożegnałem starych moich sąsiadów i przyjaciół: pożegnałem wszystkie kąty mojéj chaty...tu mu łzy rzęsiściéj płynęły; bo nie powrócę już do nich...nie powrócę...a mojéj chaty ubogiéj i za twe pałace, panie starosto, nie oddałbym...Tyle latek w niéj

przeżyłem spokojnie, i spokojnie w niéj umrzeć chciałem... O Boże! czemuż mnie tego nie dozwoliłeś!!!

Słowa te starca, proste ale czułe i szczere, widoczne na staroście uczyniły wrażenie, i w niejakąś niespokojność go wprawiały. Chodził on wielkiemi krokami po pokoju, tarł czoło, i nakoniec, gdzież ich szukać będziesz? zapytał.

— W Sandomiérskiém, u familii mojéj, która ich przyjęła, i córkę twą panie starosto weneruje.

— I my wiemy gdzie są oni, odezwał się Ks. Daniel.

Starosta obrócił się doń zdziwiony, i miał się zapytać, zkąd ta wiadomość; ale ksiądz wyszedł nagle... a przebiegłszy kilka pokojów, wszedł do starościnéj, Pani, zawołał, Bóg zsyła chwilę przesilenia: bierz Pani listy i idź do męża wnet, wnet, nie tracąc ani chwili czasu.

— Cóż to takiego? zapytała starościna; ale posłuszna machinalnie, wyjęła ze stolika listy Maryi i szła za księdzem.

Weszli, właśnie Wołkanowski domawiał, nie, panie starosto, nie! nie chce od twoich bogactw: wyrzeka się ich... daj im panie starosto błogosławieństwo rodzicielskie; bo bez tego córka twoja nieszczęśliwa... starościna rzuciła nań okiem, a starosta rzekł z przyciskiem, ojciec Piotra! Wołkanowski!

Starzec wzniosł oczy, i jakby widokiem téj szlachetnéj a wynędzniałéj twarzy natchniony, rzuca się do nóg starościnéj... i jękiem i ciężkiemi westchnieniami przerywanemi słowy, ledwo wymówić może. „Pani! Jaśnie wielmożna pani!... tak, jam ojciec Piotra... daruj dla miłości Boga!!! przebacz dziecku twemu rodzonemu!... jam nieszczęśliwy... ja stary i słaby!... ja do nich jadę... przebacz!“

— Jam jéj dawno już przebaczyła, rzekła starościna powstań staruszku.

— Jak to przebaczyłaś? zawołał starosta.

— Tak, przebaczyłam, odpowiedziała żona: przebaczyłam! mogłamże i siebie i dziecko pchnąć do grobu? czytaj jéj listy.

— Jéj listy? starosta wyciągnął rękę... lecz wnet ją umknął.

— Ja przeczytam, rzekł Ks. Daniel, biorąc je z rąk starościnéj: i nie czekając ażby się starosta opamiętał, czytał dokończenie drugiego listu *Maryi*.

„Zaklinam was o moi najdrożsi rodzice i u nóg waszych o życie moje błagam was! Mam być matką: w tym trudnym razie

mogę umrzeć. Ach! czyż mam umierać opuszczona od was! Boże! Boże! czemużem woléj w kolebce nie umarła. . . matko moja najmilsza! tyś mi przebaczyła, o niech ci za to Bóg nagrodzi, tyś mię pobłogosławiła: błagaj ojca, ojcze mój miły! na kolanach żebrzę, żebrzę twego miłosierdzia. . . nie odpychaj twojéj Maryi!. . .

„Ja was kocham, czytał daléj Ks. Daniel, ja was kocham z całéj duszy; codzień z rana o godzinie dziesiątéj, gdy wy mszy Ś-téj słuchacie w kaplicy, ja modlę się za was. . .

Starościna nie mogąc dotrwać usiadła na kanapie i rzewnie płakała; płacz ten przeniósł się na źrenice Ks. Daniela, omroczył je, i czytać mu nie dozwalał: zaszedł na powieki Wołkanowskiego: jeden starosta suchém lecz osłupiałem okiem pog1ądał w około. . . nakoniec rzucił się obok żony na kanapę, i obu rękami twarz zakrył. . .

„Oh! serce mi pęknie, czytał znowu ksiądz z miłości, tęsknoty i smutku! zlitujcie się nademną. . . zlitujcie się nad niewinném dzieckiem mojém, które w sobie noszę. . . Rodzice moi! nie chcę dostatków. . .

Odpadły ręce od twarzy starosty. . . i twarz ta we łzach się okazała!!! „Tak się widać Bogu podobało," wyjęknął. Żona rzuciła się w jego objęcie, Wołkanowski całował mu ręce, a ksiądz Daniel jakby ogarnięty szczęściem, ktore w tych słowach starosty świtało, stał z podniesionemi rękami, błogosławiąc i polecając Bogu ten obraz.

Wnet wszystkie lica się rozpogodziły; starosta odjął rękę od ust Wołkanowskiego, a uścisnął go. No starcze, rzekł, dość! tak się Bogu podobało;... Na tém powtarzanem słowie, skończył on wyznanie swéj wewnętrznéj przemiany, która hamowana w wyrazach, widoczną była w jego rozrzewnieniu. Uściskał on po kilkakrotnie żonę i rękę Ks. Daniela, Panie Wołkanowski, rzekł potém spokojniéj: odpocznij sobie dni kilka u nas, a potém z moim dworskim pojedziesz wygodniéj w twą podróż. Podobno przyjdzie mi pójść za przykładem hetmana *Białego;* mogłemże przewidzieć opowiadając niegdyś tobie tę historję, że ze mną coś podobnego się zdarzy, tak się Bogu podobało!. . .

Ksiądz Daniel zabrał starca do własnéj kwatery, aby mieć o nim pilne staranie; a po ich wyjściu pozostałe małżeństwo, jakby odnowione i odrodzone, jakby po długim oddaleniu znowu razem, poufnie wylewali sobie nawzajem tajnie swéj duszy. Starosta wyznawał żonie swe udręczenia i walki; żona swoją miłość ku dziecku,

i sposobność komunikowania się z niemi; tak wzajemnie leczyli rany swego serca. Odczytując nakoniec ze swobodniejszą myślą listy Maryi, zkąd jéj, rzekł starosta, ta czułość, ta łatwość wyrażenia, się, ten rozum?... Dziecko takie, lat ośmnaście zaledwo zaczętych: zawsze w domu i pod naszem okiem?

— Ty nie znasz kobiet, odpowiedziała starościna: ty nie pojmujesz jak nadzwyczajnie rychło serce ich i umysł dojrzewa i rozwija się pod wpływem miłości i niedoli; to i Maryę z dziecka zrobiło dojrzałą niewiastą. Oh mój drogi! kogoż nieszczęście nie uczyni mędrszym i lepszym nawet; my sami mężu, my sami, czyż przez ten czas krótki naszego gorzkiego umartwienia nie przeżyliśmy długiego wieku? czyż przez te kilka miesięcy nie myśleliśmy więcéj o sobie, o Bogu, o zbawieniu naszém, aniżeli przez całe dotychczas życie?... Więc jesteśmy lepszemi: więc Bóg udręczenia nasze nagrodzi, więc wróci nam dziecko nasze kochane; więc, mój drogi, cieszyć się będziemy i pieścić nasze wnuki... nieprawdaż mój drogi?

Pocałowanie serdeczne zakończyło ten monolog, na który odpowiadając starosta: tak, rzekł, tak; widzę po twych słowach, że nieszczęście doskonali; lepszą cię jednak uczynić nie mogło, boś ty zawsze aniołem! więc będziemy pieścić nasze wnuki .. ha! jeżeli będzie syn, to się będzie nazywał *Sołohub:* choćby mi przez sejm przejść trzeba było.

Uszczęśliwiony Ks. Daniel tém co się stało, wymknął się wieczorem na saneczki, i do Abrahama który przed kilką dniami wrócił ze swéj podróży, pośpieszył: A był to znowu koniec szabasu; znalazł go więc jak przedtém w téj saméj rzęsisto oświeconéj izbie, i jak przedtém nad księgą. Kłaniam uniżenie rzekł Ks. Daniel wchodząc.

— Sługa Jegomości, odpowiedział powstając Abraham, i uprzejmie wskazując na krzesło przy stole.

— Z dobremi nowinami, panie Abrahamie umyślnie przyjechałem do waćpana, rzekł ksiądz.

— A jakie nowiny? przepraszam godność pańską.

— Starosta Chwała Bogu przebaczył córce: stary Wołkanowski, ojciec Piotra, przyjechał tu gdzieś z daleka...

— Nie bardzo i zdaleka, przerwał Abraham uśmiechając się, i zażywając podług zwyczaju, poważnie ze swéj srebrnéj tabakiery tabakę, a patrząc w oczy księdzu, nie bardzo i zdaleka, mil jakich dwadzieścia.

— A zkąd wiesz panie Abrahamie, gdzie on mieszka?

Abraham nie przestając gładzić swéj tabakiery, z jednostajnym wzrokiem i uśmiechem, bo on mieszka, rzekł, w lasach Borysowskich: które ja wyrabiam.

Na te słowa Ks. Daniel nagłym domysłem zgadł wyrazisty wzrok i uśmiech Abrahama, i tam jeździłeś teraz! zawołał powstając z krzesła.

Żyd pogładził poważnie brodę, i skinął głową potwierdzając domysł księdza.

— A mnie mówiono, żeś tam pojechał dla obejrzenia swojego towaru.

— Przepraszam godność pańską, obeszłoby się tam i bezemnie; ja tam szafarzów i wierników mam.

— A więc jeździłeś umyślnie, aby się widzieć z Wołkanowskim?

— No, jedno przy drugiém, jedno przy drugiém, Mości księże dobrodzieju.

— Więc poczciwy panie Abrahamie tyś namówił staruszka, aby tu przyjechał.

— Przepraszam mądrość pańską, odpowiedział kręcąc głową Abraham, nie, a czy ja prorok, czy ja mógł zgadnąć jak tu jego przyjmą? Oh! ja jego nie namawiałem, nie: ja tylko jemu powiedziałem, gdzie jego syn, co się z nim dzieje; i co się tu dzieje, a reszta . .

— A reszta, przerwał ksiądz, resztę Bóg dokończył!

— No to i dobrze Mości księże dobrodzieju! to i dobrze, mówił Abraham podając rękę księdzu, cieszmy się i radujmy się! bo co mówi Salomon. *„Jedz miód mój synu: bo dobry jest: i plastr najsłodszy gardłu twojemu“* *).

W małéj chatce, kominkiem tylko nad dach wywiedzionym, okienkami świetlejszémi i schludnością wewnętrzną różniącéj się od zwyczajnych włościańskich, na prostym tapczanie słomianą matą zasłanym, leżał człek schorzały, blady i wynędzniały. Do trupa

---

*) Przypowieści—Rozdział 24.

raczéj, niż do żyjącego podobny, oczy miał zapadłe i zamknięte; oddychał jednak swobodnie i zdawał się uśpionym, a mimo choroby i wycieńczenia, łatwo było poznać, że nie był starym, i że półwieku zaledwie dochodził. Czarna szata, do habitu podobna, przykrywała go, lecz i ta ciężyć mu się zdawała, bo słabą ręką zrzucał ją z piersi. Czuwał nad nim siedzący przy stole z głową na ręku opartą, człek daleko odeń starszy, ale twarzy pełnéj i zdrowéj, chędogo po szlachecku ubrany; wpatrywał się on troskliwie w oblicze chorego i szeptał cichy pacierz.

Na stoliku stał krzyż drewniany z figurą Chrystusa, leżała gromnica, i kilka flaszek z lekarstwami czy tylko z napojem było tamże na stole, przy kilku prostych miskach glinianych i talerzach, składających cały sprzęt domowy mieszkańca téj chatki.

Dzień wrześniowy pięknéj jesieni miał się ku schyłkowi i zachodzące słońce rzucało przez okienko do izdebki jakby pożegnalne wéjrzenie na oblicze umierającego tak, że opromienione oblicze to niewymównym zajaśniało blaskiem, a omamiony czy przelękniony czuwający starzec, przeżegnał się z trwogą. Chory zdawał się w téj chwili marzyć coś nadzwyczajnego... oczy miał zamknięte, ale wzrok duszy jego objawiający się częstokroć ciału przed opuszczeniem go na zawsze, snać w tym promieniu słońca, błogosławione jakieś i miłe widział obrazy, bo konający kilkakrotnie wyciągał przed siebie ręce, i twarz jego cierpieniem zmęczoną, błoga jakaś spokojność i jakby uśmiech okrasiły... Lecz powoli słońce ściągało swój promień, i jakby ostatki życia chorego szły za umykającém tém światłem, lica jego bledniały i czoło śmiertelnym oblało się potem. Zważający ze zdziwieniem na to wszystko starzec, rozumiejąc, że nadeszła chwila skonania brał się do zapalenia gromnicy; gdy wtém chory otworzył oczy.

Gdzież to było? kto był umierający? i kto czuwający nad nim człowiek? zapytasz czytelniku.

Okolica jałowa i pusta, do któréj cię na pierwszéj karcie téj powieści wprowadziłem, była natenczas gęstym zarosła lasem, a od gościńca, Czarnym nazwanego, mała jeszcze kołowinka zawracała się na prawo, i wiodła do kaplicy, któréj dach dla tego z traktu widzieć można było, że zbudowaną była na wzgórzu, a zatém

przewyższała otaczające ją drzewa. O kilkadziesiąt zaś kroków od kaplicy, w głębi puszczy stała chatka przeznaczona z początku dla szpitalnika jakiego, mającego strzedz ścian kościołka, lecz zmieniona w domek pustelniczy, gdy się zdarzył człowiek z powołaniem samotnego pustelnika, który go zająć pragnął. Umierającym teraz w téj chatce był właśnie pokutnik ten, a raczéj pustelnik od lat pięciu w niéj zamieszkały; a strzegący go starzec był pan Chojecki, właściciel tego miejsca, syn fundatora kaplicy, a ojciec dzisiejszego w niéj zakrystyana, u którego gościłem.

— Spałeś bracie Danielu? rzekł Chojecki.

— Czy spałem?... nie wiem. Sen to był... czy tak marzenie.... albo też... ach o Boże! mamże być ofiarą na odkupienie grzechów całéj méj rodziny!... Tak! tyś o Jezu odkupił grzechy całego świata!... dziéj się wola twoja, widziałem ich... widziałem rodziców moich... widziałem dziadów i pradziadów... wyciągałem ku nim ręce moje...

Chojecki niepewny czy chory majaczy, czy w rzeczy saméj miał jakieś widzenie, w które wiara powszechniejszą natenczas była, i świadek zmian jakie się z nim działy, rzekł więc:

Bracie Danielu, miałżeś objawienie jakie?

— Objawienie, tak, objawienie się tych, z którémi się w krótce połączę... Ja nie śmiem mniemać, że Bóg cud ten dla mnie niegodnego uczynić raczył... że zesłał na utwierdzenie nadziei moich, na pociechę ostatniéj méj godziny duchy rodziców i przodków moich w światłości niezwyczajnéj, wzywające mię do siebie po nagrodę za cierpienie i pokutę, którą w tém życiu za nich ponieść byłem widać przeznaczony... Oh! i za własne grzechy!

Chojecki aż drżeć zaczął, myśląc że w promieniu słońca były duchy, których on tylko co nie widział.

Pochowaj mię ojcze, mówił daléj chory, boś mi był ojcem przez te lat kilka, którem tu przebył, w bramie kościelnéj: niech ludek Boży przechodząc przez nią na nabożeństwo, i depcąc koście moje, zmówi za duszę moją, *wieczne odpocznienie.*

— Ale mój bracie, rzekł *Chojecki*, jeżeli taka wola Boska abym cię pogrzebał i na kamieniu grobowym wykuć zda mi się trzeba imie i nazwisko twoje, aby pobożni wiedzieli za kogo mają się modlić; a ja dotąd nie wiem jak się nazywasz, ani kto jesteś? Jeżeli za życia miałeś może przyczyny dla których taiłeś swe nazwanie i życie, toć jeżeli czujesz, że cię Bóg rychło do swéj chwały po-

woła, nie powinieneś zostawić na ziemi jakiejś wątpliwości o sobie. Byłem świadkiem twojego świątobliwego żywota, twéj pokuty, twych umartwień i maceracyj ciała, twéj najgorliwszéj codziennéj pobożności. Pomimo ukrywania się twojego, pomimo zaparcia się samego siebie, i pokory twéj pustelniczéj i żebraczéj, łatwo mi było poznać i dociec, żeś nieubogo ani podło urodzony; że wychowanie twe brałeś po szlachecku, a może i po pańsku, bo zkądżeby ci wielkie i głębokie wiadomoście nauk, z któremi niekiedy mimowolnie się wydawałeś; wiek twój dalekim jest i teraz jeszcze, a tém bardziéj gdy tu wchodziłeś, od tego w którym człek ucieka od świata: słowem, wszystko mię przekonywa, że cię w tę pustynię jakiś szczególniejszy los czy nieszczęście zagnało. Nie mam ja prawa do twych głębszych tajemnic, może na sumieniu twém leżących, bo sumienie każdego do Boga należy, a twoje otworzyłeś zapewne na spowiedzi przed kapłanem; ale zdaje mi się bracie mój, że przynajmniéj powiedzieć mi powinienbyś ktoś jest? Przemieszkawszy lat kilka prawie razem, razem i codzień modląc się w naszym ubożuchnym kościołku, zjednoczyliśmy się w Bogu i serdecznie; ja stary od ciebie téj posługi spodziewałem się do któréj ty mię teraz wzywasz. Zapłakał stary *Chojecki* i zamilkł.

Chory milczał także przez czas niejaki; zdawał się rozmyślać nad tém czego z uwagą słuchał; łzy Chojeckiego wzruszyły go. Ojcze, rzekł nakoniec, prawda, zjednoczyliśmy się w Bogu; przez cały czas pustelniczego mego tu życia, doświadczałem codziennie dobrodziejstw twoich, a w częstych chorobach moich i w téj ostatniéj, nie odstępujesz łoża mojego, Bóg ci niech nagrodzi! Gdy przed nim stanę, błagać będę majestat jego za ciebie i twoich... Chcesz koniecznie wiedzieć ktom jest? dobrze, niech żadna wątpliwość nie łączy się do wspomnienia twego o mnie, abyś mógł czystém sercem westchnąć za mną do Boga. Za życia wyznać tego nie chciałem, bom się lękał, aby się nie wydało i nie rozgłosiło moje schronienie, aby świat mi znowu nie zajrzał w oczy i do nowych nie pociągnął zawodów; lękałem się nawet nieprzyjaciół moich: nie dla złego od nich, ale aby ofiarami swemi, do których własne ich sumienie zmuszało i które mi nie raz ponawiali, nie pokuszali mnie. Dziś gdy stoję u progu wieczności, i gdy zaraz go przejdę, znikła potrzeba tajemnicy, przed tobą zwłaszcza mój ojcze; na kamieniu jednak, którym grób mój nałożysz, imie me tylko wykuj, bo te mi chrzest święty nadał a ludzie nie odjęli.

Nazywałem się Wołkanowski, ale i od tego nazwiska mie odsądzono.

— Wołkanowski! przerwał zdziwiony Chojecki, byłżebyś tym, którego process z Radziwiłłami był głośny po całéj Litwie.

— Ten sam jestem.

— Zadawano ci bodaj *imparitatem* *).

— Nie; zadawano mi i dowiedziono nieprawość urodzenia.

— Jak to? i dowiedziono?

— Tak, według sądu ludzkiego dowiedziono, ale jest sąd inny, przed którym stanęli świętą przed ołtarzem przysięgą złączeni rodzice moi, stanę i ja zaraz i czekać będziemy prześladowców naszych, a wtenczas Bóg nas rozsądzi... Oby im przebaczyć raczył!

Tu chory słabym głosem i powoli, ale rozmyślnie i jasno opowiadał Chojeckiemu dzieje pobrania się rodziców swoich, któreśmy na poprzedzających kartach przebiegli. Chojecki przerywał mu niekiedy, prosząc aby wypoczął, niekiedy i sam się on zastanawiał, folgując swéj słabości; z kolei doszedł do kresu swéj powieści, na którym my naszą zawiesiliśmy, i tak po rodzicielskich własne już dzieje kontynuował.

Gdy po przebaczeniu ojcowskiém rodzice moi wrócili do Illii, jam miał niespełna półtora roku. Z opowiadań więc tylko matki mojéj, gdym był młodym chłopcem, księdza Daniela, na pamiątkę którego dano mi to imie, i starych dworzan naszych, dowiedziałem się o téj czułéj scenie, gdy przybywająca i spotkana w ganku przez rodziców córka z dzieckiem małém upadła im do nóg, a obok mąż jéj; gdy rozrzewnieni dziadkowie wzięli na ręce wnuczka i błogosławili mu; gdy dumny starosta ustąpił zupełnie rodzicielskiemu swemu sercu i płakał jak dziecko, a starościna pieściła jak dawniéj swą ulubioną Maryę.

— Ale wśród tych uniesień, rzekł starosta, idźmyż teraz wszyscy razem do kaplicy, abyście w obliczu Boga i pod błogosławieństwem rodzicielskiém ponowili waszą małżeńską przysięgę.

Nie zważano na znaczenie słów tych; wszyscy ochotnie poszli za starostą do kaplicy pałacowéj, tuż z sieni otwierającéj się, tam ujrzeli księdza Daniela stojącego uroczyście w komży przed ołtarzem oświeconym, a przed nim rozesłany kobierzec.

---

*) Nierówność urodzenia, to jest nieszlachectwo.

— Ukochane dzieci! ozwał się on, ocierając łzą nabiegłe oczy! Ukochane dzieci! podług praw Boskich i ludzkich, podług praw świętéj religii naszéj, potrzeba jest, abyście ponowili ślub wasz; a z mocy indultu, który oto trzymam w ręku, gotów jestem spełnić dla was ten święty sakrament, przystąpcie więc.

— Jak to? zawołał przerażony ojciec mój, czyliż jesteśmy bezślubni? a dziecię nasze? *).

Matka moja zbladła, chwyciła mię z rąk niańki, tuliła mocno do piersi, jakby się lękając, aby jéj dziecka nie odebrano...

Nie lękajcie się, dzieci, mówił daléj ksiądz Daniel, nie lękajcie się! rodzice wasi, których sumienie jako kapłan piastuję, was i synka waszego za krew własną, za swego wnuka pierworodnego uznają i błogosławią.

Babka moja wzięła mię natenczas od matki na ręce i utwierdzając słowa kapłana, przycisnęła mię do piersi, oblała łzami i żegnała po głowie. Starosta także przeżegnał mię i ucałował czule, mówiąc, los jego i imię ja biorę na siebie, a ojciec mój nie wiedział co począć?

W tém Ksiądz Daniel, przerywając tę wątpliwą chwilę, rzekł znowu uroczystym głosem: Dzieci moje! Jesteścież spokojni wewnątrz siebie? jesteścież spokojni w najgłębszych tajniach myśli waszych i waszego sumienia? w najgłębszych modłach waszych?... jesteścież spokojni?...

Na te słowa rodzice moi podnieśli na siebie wzrok łzawy i głęboki... nagle poddali sobie ręce i poszli na kobierzec.

Po niejakim wypoczynku chory znowu mówić zaczął.

— Akt ten spełniony przyniósł pokój, szczęście i spokojność w dom starosty; wszystko się rozweseliło i rozjaśniło na jego dworze. Stalewska była mi najtroskliwszą niańką, poczciwy i mądry ksiądz Daniel nauczał mię pacierza gdym dobrze wymawiać zaczął; stary nawet Abraham, pamiętam jak mi przynosił obwarzanki. Rosłem na pieszczotach rodziców i dziadowstwa moich, lata szczęśliwe! i tylko te szczęśliwe w mém życiu.

Tymczasem starosta przemyśliwał nieustannie nad sposobem jakby mi swoje nadać nazwisko, a przynajmniéj jakby wątpliwość mojego urodzenia zatrzeć. Trudno to jednak było: nie dla tego aby mu król odmówił, jeżeliby dyplomu na to żądał, lecz że sama prośba

*) Treść tego ustępu jest zupełnie prawdziwa.

o to i staranie jużby mię piętnem nieprawego urodzenia plamiło; piętnem, które uprawnić łatwo, zetrzeć niepodobna, przestał więc bodaj na powszechnéj bardzo myśli, że gdy jawne a codzienne uznawanie mnie wnukiem swoim utwierdzi jeszcze własnoręcznym testamentem, nikomu nieprzyjdzie do głowy zaprzeczać mi tego i wznawiać dawno zapomniane dzieje. Z uczynieniem więc takowego testamentu nie ociągał się najmniéj: napisał go kilką laty przed swoją śmiercią, lubo się jéj tak rychło niespodziewał, i wszelką formą prawną utwierdził: a w nim córkę swoję, a moję matkę jedyną swą sukcesorką i mnie po niéj dziedzicem, jako własnego wnuka, naznaczył.

Lat siedm nie miałem spełna, gdy Sołłohub życie zakończył. Została żona jego a babka moja, przywiązana do córki jak do własnego życia, a bodaj i bardziéj jeszcze, a przez nią i do mnie najczuléj. Stan i położenie nasze domowe nie zmieniło się prawie: ojciec mój, za życia jeszcze teścia i z woli jego zajmował się już wszelkim rządem majątków i interesów; spokojniéj tylko było u nas, bo starościna stan swój wdowi i wiek podeszły samotnie pędzić pragnąc, nie ściągała do siebie licznych odwiedzin, dość mając na domowém, księdza Daniela, dzieci, kilku sług wiernych i starych rezydentów towarzystwie.

Matka moja od powrótu do rodziców, a podobno od chwili odjazdu od nich, odwykła od wesołości; często owszem piękne swe czarne oko łzą zaćmione na mnie zawieszała . . . przeczucie czy żal. . . O! nigdy tego wejrzenia nie zapomnę. . . i dodał ciszéj, niedawno tém samém okiem na mnie patrzała!!! Ojciec mój, oddany jéj bez granic i wzajemnie kochany, zarażał się niekiedy od niéj tym smutkiem i melancholią, ale częściéj rozrywać ją, bawić i rozpędzać tę chmurę z jéj pięknego czoła starał się.

Wychowanie moje i nauki szły pod okiem i dyrekcyą księdza Daniela. Miałem rozmaitych nauczycieli, ale jemu tylko winienem najdroższą mądrość na świecie, to jest *wiarę i ufność w Bogu*, które mi pod brzemieniem nieszczęść upaść nie dały, i które mię potém tu zawiodły, a ztąd teraz na sąd Boski spokojnie prowadzą. Jużem był dobrym wyrostkiem, gdy się zaczęły z kolei nieszczęścia i straty moje: najprzód poszła babka moja, Sołłohubowa; i ona także podobny mężowi swemu zrobiła testament. Illię swą posagową i całą substancyę córce swéj i mnie po niéj zapisując; potém w lat dwa, ojciec mój młody jeszcze, bo ledwo czterdzieści kilka

lat liczący sobie, nagle apopleksyą uderzony, żyć przestał; że zaś matka moja tak srogie przeżyła ciosy, cud to był prawdziwy miłosierdzia Boskiego i dowód, że miłość macierzyńska pokonać może najsroższą rozpacz, a przywiązać do życia, gdy to życie jest ofiarą dla własnego dziecka. Matka moja tę ofiarę właśnie dla mnie poniosła, a nawet, gdy siły jéj osłabione długą po tych stratach chorobą wracać zaczęły, cała się dla mnie poświęciła, zajęła się rządem majątków i dokończeniem mego wychowania, zawsze przy pomocy i radach księdza Daniela, któremu, Bóg na pomoc nam i opiekę życia przedłużał.

Pod jéj więc czułém okiem wzrosłem na młodzieńca i nakoniec dojrzałem wiekiem i umysłem; przeżyła ona bowiem o lat dwadzieścia męża swego.

Wspomnienie chwili gdy ją straciłem nakoniec, osładza mi tylko w tym momencie przekonanie, że się z nią wkrótce połączę, a nawet wzbudza we mnie żądanie, by się to jak najrychléj spełniło. Został mi więc tylko ksiądz Daniel, drugi mój ojciec. . .

— A cóż się stało z dziadkiem twym, Wołkanowskim, który wyprawił się był po was w Sandomierskie? przerwał Chojecki.

— Ha, ja go nie pamiętam, ale wiem, że został on w wiecznym pokoju, tamże w gnieździe rodziny swojéj, i umarł pobłogosławiwszy rodziców moich, swoje dzieci i mnie niemowlę jeszcze.

— Ksiądz Daniel, mówił daléj stary, przeżył zda się wszystkich na to, aby pokrzepiał mnie w duchu, męztwie i cierpliwości chrześcijańskiéj, na smutne wypadki mojego żywota, których początku był świadkiem, i aby mi koniec onego przepowiedział: „Rozbratasz się, synu mój, z ludźmi i ze światem, a skończysz w Bogu i z Bogiem.“ Te były ostatnie jego słowa, które wymawiał żegnając mnie w ostatniéj swéj godzinie, nadeszłéj w chwili, gdy mnie z ojczystego domu wypędzono.

Póki żyła matka moja, nikt jéj praw jako jedynéj dziedziczki nie zaprzeczał, ani się mieszał do jéj majątków, ani do dóbr Sołłohubowskich, których była dożywotnicą; ale jak tylko ona oczy zawarła, wnet publiczne manifesta rzuciły na jéj imie czernidło, a na mnie wzgardę i hańbę. Rozżalony zmazą pamięci matki, bardziéj niż własną krzywdą, rzuciłem się na mych nieprzyjaciół, zapamiętały, ale bezsilny, któż w Litwie pokonał Radziwiłłów? a z drugiéj strony po dziadowskie majątki szli Sołłohubowie.

Główna treść sprawy téj i procesu mego z krewnymi dziadów i matki mojéj, dziś po kilkanastu latach zapomniana, głośną natenczas była po całéj Litwie; sprawiedliwość, a nawet politowanie ludzi poczciwych, było po mojéj stronie, ale prawność i przemożność były przeciw mnie. Wsparty dwóma testamentami, dziada i babki, broniłem mojego dziedzictwa i imienia, a tém samém i dobréj sławy rodziców: to jest usiłowałem powrócić, jako prawy dziedzic matki mojéj i syn prawego jéj małżeństwa z mym ojcem, do majątków, z których mię zaraz na początku siłą i przemocą wygnano. Proces to więc był razem duchowny i świecki: upadek mój w pierwszym wiódł za sobą niewątpliwy upadek i w drugim; dowodzono nieprawność i nieformalność pierwszego ich ślubu, lecz mimo silne przeciwników moich wpływy, ważność dobrowolnéj przysięgi przed ołtarzem, w obec licznego ludu spełnionéj, możeby przez sumiennych kapłanów, rozbierających ten spór dotkliwy dla mnie, i uznaną była; ale ślub drugi unikczemniał powagę pierwszego *) i mnie tém samém odejmował imie, dziedzictwo, mienie i wszelkie prawa dobrego urodzenia i szlachectwa, słowem, to wszystko, co jest najdroższém człowiekowi żyjącemu wśród ludzi.

O jakżem był biédny natenczas! sam jeden, bez nikogo na świecie, któryby mi jakiekolwiek przyniosł pocieszenie, żebrak z pana, do kogoż się udać i czyjéj wzywać mogłěm opieki? Wszakże przeciwnicy moi, sumieniem, czy wspaniałością wzruszeni, ofiarowali mi znaczną summę; mógłbym oddaliwszy się gdzieś w obce strony, spożywać kawałek chleba, ale chleba okupionego hańbą tych, którzy mi dali życie. . . nie przełknąłbym żadnego zeń kęsa bez gorzkiego przypomnienia, żem przedał sławę rodziców moich. Nie, odpowiedziałem zatém ofiarującym mi pieniądze, nie! precz mię kusicie? wyrok ostateczny nie zapadł jeszcze, appeluję.

— Dokąd od *nuncyatury* **) i *trybunału?* zapytywali mnie z zadziwieniem.

— Tam! rzekłem i wskazałem ręką w niebiosa. Zostali w osłupieniu, ale. . . nie zapomną téj chwili.

Przestał znowu mówić Wołkanowski, jako i pierwiéj kilkakrotnie odpoczywał wśród długiego opowiadania; siły mu ubywały,

---

*) Treść rzeczy zupełnie prawdziwa.

**) *Nuncyatura*, najwyższa juryzdykcya duchowna, prezydowana przez Nuncyusza Papiezkiego.

słabiał coraz widoczniéj, ale się wzmagał, zatrzymując jakby w sobie ostatnie tchnienie do ostatniego słowa swéj powieści.

Odwilżywszy usta kilku kroplami wody, znowu więc zaczął.

Tymczasem słowa mego opiekuńczego ducha, słowa ostatnie księdza Daniela, odzywały mi się nieustannie w duszy: „Rozbratasz się z ludźmi i światem, a skończysz z Bogiem i w Bogu.“

Słowa te naprowadziły mię naturalnie na myśl ukrycia się w jakim klasztorze i przyjęcia ślubow zakonnych. Zaprobowałem; kilka miesięcy przebyłem pod przyswojoném imieniem w jednym z najsamotniejszych klasztorów, ukrytym w głębi lasów poleskich; ale nie, i tu mi było za ludno, i tu mię ciekawość i domysły ludzkie ścigały, a udręczała tęsknota za rodzinném powietrzem i niebem, za mogiłami rodziców moich.

Został mi jeszcze mały zapas od znacznéj gotówki, którą po matce znalazłem, a która wszystka po wygnaniu mojém z Ilii, na długie processa i podróże, na mieszkanie po miastach powiatowych i wojewodzkich, i na przeżycie wysypała się; kupiłem konia więc i zabrałem się na wózek, kierując bez celu, ale ku tym stronom.

Zachorowałem w drodze. Ty wiesz ojcze jako biednego, a prawie konającego podróżnego znalazłszy w téj chatce, do któréj ledwo się przywlokłem, na opiece staruszki kalekiéj, tu przy kościołku natenczas żyjącéj, uratowałeś mi życie staraniem twojém; lecz się zadziwiłeś, gdy przyszedłszy do zdrowia, oświadczyłem ci postanowienie moje zostania tu pustelnikiem na resztę mego żywota. Przyczyny mego postanowienia i imie moje zatailem przed tobą; tyś ojcze, ustępując mi chętnie tę chatkę, nie nalegał i zostawił czasowi i bliższemu poznaniu mię, odkrycie méj tajemnicy i powodu mego pustelnictwa, luboś się domyślał, że powód ten nie mógł być ani zwyczajnym ani pospolitym. Dzisiaj wiesz wszystko; mamże ci jeszcze wyznać przyczynę, która mię do téj chatki przywiązała? dla czegożbym jéj nie powiedział, I po krótkiem zastanowieniu mówił: Tyś człek pobożny i bogobojny; ty wierzysz w widome cuda, które niekiedy Bóg z miłosierdzia swego ludziom objawia; nie raz czytając razem żywoty świętych Pańskich, moc Boską i łaskę Jego chwaliliśmy pokornie; a więc powiem ci, oto gdym tu leżał, w chwili zupełnego po gorączce osłabienia, ujrzałem przy sobie księdza Daniela.

— Możeś zasypiał i marzył, jako i teraz cóś podobnego z tobą było, przerwał Chojecki.

— Może...alem go widział tak...jak widziałem teraz rodziców i przodków moich...jasność go natenczas, jako i ich teraz, otaczała; a czy własnemi słowy, czy wewnętrzném natchnieniem, bo tego nie pomnę ani pojmuję, jako i wteneczas nie pojmowałem, dał mi on posłyszéć czy poczuć w sobie znowu mój wyrok: „Rozbrataj się z ludźmi i ze światem, a skończ tu z Bogiem i w Bogu... Dokonywam dziś i spełniam ten wyrok.“

Jeszcze cię proszę, ojcze mój, mówił coraz ciszéj i trudniéj, jeszcze cię proszę... pisma i listy matki mojéj do mnie, które znajdziesz w papierach moich...połóż mi na piersiach w trumnie...

Zamilkł.

— A cóż z innemi papierami mam zrobić? zapytał Chojecki.

Milczenie.

Wczesny zmrok jesienny zapadł, Chojecki zapalił lampkę i postawił ją na stoliku przy krucyfixie; płomyk jéj niepewny niknął w ciemności izdebki, słabém swém ogniskiem obejmując zaledwo krzyż Zbawiciela, twarz śmiertelną bladością obleczoną, ale spokojną usypiającego pustelnika, i martwiejącą a rozciągniętą na łożu postać jego. A kiedy niekiedy tylko żywiéj błyskając, odsuwał daléj nieco pomrokę i wyjawiał oblicze starca, stojącego u łoża umierającego i ze złożonemi pobożnie rękami cichą szepczącego modlitwę...Tak przetrwał czas niejaki obraz ten, niewzruszony, milczący, jakby na tle całunu ponurą fantazyą malarza utworzony...

Nagle podjął on powieki, a w tém osłupiałém oku Chojecki z przerażeniem dostrzegł, *śmierć*, wyciągnął rękę, ujął krzyż ze stolika i do ust go swych przyciskając, zaledwo dosłyszanym głosem wymówił: «z Bogiem...i w Bogu!» drugą zaś ręką chciał wziąść gromnicę, tuż pod krzyżem leżącą, lecz otrętwiała prawica upadła tylko na nią a ująć jéj nie mogła.

Zrozumiał chęć tę Chojecki, zapalił więc gromnicę i trzymając ją razem z zimną ręką umierającego, litanię do Matki Boskiéj głośno odmawiać począł...Gdy wyrzekł z głębokiém uczuciem, *Patronko konających!* i po razy kilka powtórzył, *Patronko konających! zmiłuj się nad nami!* lekkie westchnienie wzniosło pierś pustelnika...

Chojecki skończył litanię, dotknął jego czoła, zdmuchnął gromnicę...i wyszedł, w chatce została *lampka*, słabym pełgająca płomieniem, godło życia ludzkiego, *trup*, godło końca człowieka na ziemi, i *krzyż*, godło wiecznéj jego nieśmiertelności.

KONIEC.

PODANIA
LITEWSKIE.

SERYA IV.

Drugi Pustelnik w Proniunach.

czyli

VOTUM CHYBIONE.

VOTUM CHYBIONE.

I.

W obszernéj komnacie infułackiego domu w O ł y c e, ozdobionéj z niejakim dostatkiem, który dziś k o n f o r t e m nazwaćby można, siedział za stołem czarną aksamitną oponą zasłanym, na którym srebrny wielkiéj miary stał krucyfix, ksiądz *Jerzy Laskaris infułat Ołycki i patryarcha Jerozolimski*, podeszły wiekiem, a urodzeniem, dostojnością i kapłańskiemi cnotami znakomity. Trzymał on w ręku list, i wpatrywał się w młodzieńca stojącego przed nim. List ten był w takich wyrazach:

«Jaśnie wielmożny najprzewielebniejszy księże infułacie, a ukochany nasz kuzynie i dobrodzieju!

«Z najpokorniejszą rewerencją submittując się do stóp Waszéj *Excellencyi*, posyłamy najukochańszego syna naszego Jana, i zalecamy go w szczególniejszą opiekę i świątobliwą manudukcię waszą.

«Straciwszy czworo dziatek naszych *in minoritate* *), które teraz Bogu między aniołami służą, uczyniliśmy z żoną moją uroczyste przed ołtarzem Pańskim *votum*, że jeżeli dalszém potomstwem Bóg nas obdarzyć raczy, pierwsze urodzone dziecię podług płci na Służbę Boską, to jest do stanu duchownego poświęcimy, a nawet, że od dzieciństwa w habit zakonny obleczoném zostanie, i w nim do lat siedmiu *suae aetatis* **), hodować się będzie. Zatém przyszedł na świat oto ten syn nasz, którego jakoby annunciatora przyszłego

*) W małoletności. **) Swojego wieku.

szczęścia naszego *in patronatu Sancti Joannis* ochrzciwszy, na spełnienie naszego votum przeznaczamy; tém bardziéj, że skutkiem widocznym błogosławieństwa Boskiego cieszymy się odtąd życiem i zdrowiem trzech synów, z których Jan jest najstarszym, i jednéj ich siostrzyczki.

«Edukację temu ukochanemu synowi naszemu, staraliśmy się dać przyzwoitą urodzeniu jego, i *ob spem* [1]), że kiedyś idąc drogą imieniem naszém w ojczyznie dobrze utartą, stanie się luminarzem Kościoła Bożego i pożytecznym obywatelem, ku czemu wysokie merita, *et sublima sapientia* [2]) waszéj excellencji będą mu wzorem.

«Chciéj więc najszanowniejszy księże infułacie dobrodzieju, podług tego jakeś nam niegdyś obiecać raczył, wspierać młodocianne kroki jego *ad altare Dei* [3]), abyśmy wszyscy w tém doczesném życiu naszém mieli zeń zaszczyt i pociechę; a *in aeternitate* [4]) gorliwego *pro anima nostra* [5]), bogomodlcę.

«Affekt nasz zatém najszczerszy i dozgonną obligację naszę zaręczając Waszéj Excellencji, *patris matrisque potestatem* [6]), nad synem naszym Janem wam przelewamy, i oboje piszemy się i t. d. *Jan Prosper Załuski, Klara z Laskarysów Załuska.*»

— Cieszę się bardzo, rzekł infułat do młodzieńca, przeczytawszy list, witając cię tutaj; w rzeczy saméj będąc niegdyś w domu rodziców twoich, a moich zacnych krewnych, gdyś jeszcze był dzieckiem, i w bernardyńskim chodził habicie, przyrzekłem im, że jeżeli mi Bóg dożyć tego dozwoli, przyłożę się, ile ze mnie będzie, do spełnienia pobożnego ich względem ciebie *votum;* a zatém chętnie obietnicy méj dotrzymam; ale czy masz waszmość prawdziwą *vokację* do stanu, do którego się zabierasz.

— Mam postanowienie, odpowiedział młodzieniec, spełnić wolę i uroczysty ślub rodziców moich.

— Prawda, mówił infułat, ślub to był uroczysty, i ma jakoby sakramentalne znaczenie: rozwiązać go może tylko duchowna władza; wszakże przymuszonéj ofiary Bóg nie wymaga, wiele lat wieku liczysz sobie?

— Kończę rok dwudziesty trzeci.

---

1) W nadziei. 2) Wysoka mądrość. 3) Do ołtarza Boskiego. 4) W wieczności. 5) Za duszę naszą. 6) Ojca i matki władzę.

— No, to już jesteś *maturus* *), i determinację twą nie tylko podług woli rodziców, ale i podług wewnętrznego natchnienia uczynić musiałeś.

Młodzieniec skromnie uchylił głowę, wrzekomo utwierdzając słowa infułata.

— Więc dobrze, rzekł ten, odpocznij teraz po tak długiéj podróży, a nim się zalokujesz w *seminarjum*, tymczasem pomieszkasz u mnie. Jutro u nas wielka festyna i kościelna i funduszowa; dobrze trafiłeś, będziesz mój kochany kuzynie świadkiem, wspaniałéj dobroczynności *Radziwiłłowskiego domu*, która corocznie z ich skarbów spływa na wsparcie biednych, niosąc najprzyjemniejszą zapewne Bogu ofiarę, a przykład bogaczom tego świata, jak swych dostatków używać mają.

Przywołał potém infułat swego kapelana ks. Idzego, i jego staraniu młodego gościa swego polecił.

Nim pójdziemy za dalszym ciągiem naszego opowiadania, powiedzmy wprzód słów kilka o téj dobroczynnéj fundacji Ołyckiéj, którą ksiądz infułat na jutro obwieszczał.

Wiadome są z dziejów wielkie chrześcijańskie i obywatelskie cnoty *Stanisława Albrychta Radziwiłła, księcia ordynata na Ołyce i Nieświżu*, kanclerza Litewskiego. Miał on dwie żony: pierwszą Reginę *de Eysenrich* znakomitego domu w Bawarji, wdowę po Michale Działyńskim; wojewodzie brzeskim; drugą, *Krystynę Lubomirskę*, Stanisława wojewody krakowskiego córkę. Ani z piérwszéj, ani z drugiéj, nie miał on własnéj krwi potomka: obie więc nie mając dzieci, dla których zwykle serca rodzicielskie wszelkie prace i dostatki zachowują, tém swobodniéj szły za przykładem męża, rozdzielającego z hojnością nadzwyczajną, bogactwa swoje między kościoły i ubóstwo.

W Ołyce zatém, gdzie książe kanclerz wzniósł wspaniały Dom Boży, gdzie fundował i szczodrze uposażył kollegjatę czyli kapitułę, seminarjum, szkołę, szpitale **), żona jego Krystyna z Lubomirskich,

---

*) Dojrzały.

**) Mając przed sobą rękopis pana Aleksandra Chodźki, kilkoletniego mieszkańca Ołyki, a w nim szczegółowe opisanie kościoła i całéj tamtejszéj Radziwiłłowskiéj byłéj fundacji, gdy w Starożytnéj Polsce Balińskiego, szczegółów tych nie

postanowiła uczynić fundusz, którghy jéj imie i pamięć w ojczyźnie uwiecznił i uświęcił; a z któregoby wspomagani biedni, w modłach za nią do Boga jéj się wypłacali.

Przeznaczyła więc ona ze swéj bogatéj oprawy, i na dobrach męża swojego oparła kapitał, od którego procentem wyposażać się miały corocznie dwanaście dziewic szlachetnych, po złotych tysiąc każdéj, i dwanaście mieszczek po złotych pięćset, losem wybranych; programmat ku spełnieniu tego wsparcia był ten, że w wigilję uroczystości Nawiedzenia Panny Marji, to jest 2-go lipca, zbierać się były powinne, i zbierały się rzeczywiście ze stron blizkich i dalekich, ze swemi rodzicami lub opiekunami z klass obu kandydatki, to jest dziewice mające prawo z ubóstwa swego do tego wyposażenia, i po solennych nieszporach, zapisywały się u księdza infułata na osóbne, stosowne do urodzenia swego listy; nazajutrz zaś po uroczystém, nabożeństwie, przystępowano w kościele do losowania, co już wejdzie w treść naszéj powieści.

W dniu więc tym, kościół Ołycki napełniał się tłumami pobożnéj i ciekawéj wszelkiego stanu ludności. Przed kratkami klęczało kilkadziesiąt dziewic oczekujących po odbytéj spowiedzi, mszy pon-

---

znajduję, mniemam, że wolno mi tu szerzéj je opisać, choćby tylko z godłem: *„Meminisse juvabit.“*

Epoka sławniejsza i pewniejsza kościoła Ołyckiego, rozpoczyna się od Stanisława Albrychta Radziwiłła, drugiego ordynata Ołyckiego. On w r. 1635, położył kamień węgielny, i następnie wzniósł wspaniały kościół ten. Jest podanie miejscowe, że sam książę z żoną i z całym dworem zaprzęgał się do kolumn marmurowych i ciągnął je od bramy do miejsca, gdzie stać miały na ołtarzach w kościele. Gmach ten dzieli się wewnątrz na główną i dwie boczne nawy filarami, na których wspiera się sklepienie, wejście czyli drzwi główne ozdobione rzeźbą z czarnego marmuru, nad niemi pobożny metalowemi literami napis: *„Deus! de tuis donis, tibi offerrimus,“* cały zaś front i kapitele koryntskich pilastrów są z szarego marmuru; wszedłszy wewnątrz, wzrok się zatrzymuje najprzód na wielkim ołtarzu, różniącym się formą nowożytną od stylu innych ołtarzy i całego gmachu. Ołtarza bowiem tego z razu nie było. Powiadają, że fundator zamyślał wznieść go wspanialszym nad inne, lecz zamysły i przygotowania jego śmierć przecięła. Na ścianie tylko głównéj był ogromnych rozmiarów obraz św. Trójcy, pod której wezwaniem i opieką i sam kościół jest poświęcony, a na którym prócz zwyczajnego wyobrażenia Bożego, malarz chciał wyrazić rozmaite rodzaje i godła chwały Boskiej, i takiemi oddzielnemi obrazkami nie zalecającemi się ani pomysłem ani wykonaniem cały obraz okolił. W roku zatém 1818, ksiądz Jakób Dederko, infułat natenczas Ołycki, następca po Laskarysie, wzniósł dziś istniejący ołtarz wielki, na model Wileńskiego katedralnego, a odjąwszy od owego

tyfikalnéj, przez samego księdza infułata celebrować się mającéj, i przyjęcia z rąk jego św. kommunji. W zakrystji zaś infułat czekał na przybycie do kościoła ówczesnego ordynata *Michała Kazimierza Radziwiłła*, hetmana polnego Litewskiego, który znajdując się natenczas w Ołyce, obrzędowi temu obecnym być pragnął. Znanym on jest w popularnych dziejach tego kraju z przysłowia *Rybeńku*, jak syn jego z *Panie Kochanku*. Piérwszy on raz po otrzymaniu hetmańskiéj buławy przybywał do Ołyki, z żoną swą Wiszniowiecką ich córką.

---

obrazu nieprzydatne obramowanie, umieścił go w ołtarzu tak, jak w Wileńskim umieszczone męczeństwo św. Stanisława.

Ołtarze boczne z czarnego marmuru i alabastru, i z obrazami znakomitego malowidła; w jednym z nich wizerunek Chrystusa Pana, w drugim naprzeciw obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj w szacie szczero-złotéj; świadectwo cudu jéj obok na tablicy zapisane: że gdy w roku 1648, kozacy Chmielnickiego wpadłszy do kościoła chcieli uwieść ten obraz, sześć wołów pociągnąć nie mogło wozu, na którym go złożyli; a kilku sprawców tego świętokradztwa wnet trupem padło. Bogactwa apparatów i naczyń kościelnych, po zabraniu nawet żtąd owych sławnych apostołów złotych i ogromnych relikwialnych srebrnych lichtarzy, są jeszcze tak znakomite, że je na krocie wartości obliczaćby można.

Fundusze na infułację, duchowieństwo, seminarjum, szkoły, szpitale, z monarszą, powiedzieć można, hojności ąwydzielone. Piérwszemu infułatowi Jezierskiemu herbu Junosza, nadał książę kanclerz dwie wsie z chat 30, i sowitą annuatę z dóbr swoich wołyńskich, tak, że infułat więcéj tysiąca dukatów miał dochodu rocznego, przy nim fundował kapitułę złożoną z sześciu kanoników, to jest *scholastyka, kustosza, kantora, kaznodzieję, kanclerza* i *prowizora;* zajmującego się zarządem dóbr kollegialnych, osóbno czterech *wikarjuszów* dla odbywania posług parafialnych, nadto sześciu *seminarzystów* i sześciu *akkolitów,* to jest chłopców do służenia do mszy, którzy byli razem konwiktorami w szkołach i na wspólném utrzymaniu się Radziwiłłowskiém z seminarzystami i studentami uczącemi się w Ołyce na koszcie książęcym, a których zawsze było kilkudziesięciu, synów sług Radziwiłłowskich, i biedniejszéj okolicznéj szlachty. Osóbny dom akademicki dawał pomieszczenie i stół tym wszystkim stypendiom, i osóbne wyznaczone coroczne summy pod zarządem kapituły na ich utrzymanie. Osóbne fundusze na sześciu dzwonników, dwóch zakrystjanów, dwóch organistych, i dwóch kotów w kościele.

Przy kościele kollegjalnym były dwa szpitale, jeden św. Krzyża na 12 ubogich mężczyzn, i 12 kobiet stanu szlacheckiego; drugi św. Ducha, na taką liczbę ubogich ze stanu włościańskiego, obadwa najdostatniéj we wszelkie potrzeby życia opatrywane ze skarbu Ołyckiego.

Szkoła Ołycka przybierała sobie tytuł: „Córki akademji Zamojskiéj,“ w niéj professorowie duchowni czy świeccy, płatni byli przez kapitułę, z osobnych summ na to przeznaczonych; główny rząd akademji (bo tak się szkoła nazywała), należał do prałata Scholastyka, jakby rektora, który i mieszkać był obowiązany w domu akademickim. Patronem tój szkoły obrano św. Jana Kantego, i uroczystość jego święta uroczyście w Ołyce obchodzono.

Piérwszy raz także, tu towarzyszącéj mężowi, słabość lekka, długą podróżą spowodowana, nie dozwoliła być razem w kościele, więc w kaplicy zamkowéj dewocję dnia tego pobożnie spełniała. Wkrótce ruch u wejścia i rozstępujące się gromady, obwieściły przybycie księcia: liczna go otaczała assystencja, wojskowych jako około wodza, i dworskich jako około wielkiego pana; siadł on na przygotowaném dlań a bogato przybraném krześle w prezbiterjum, a ksiądz infułat w assystencji całego kleru, wyszedł ze mszą.

Po skończoném nabożeństwie i uroczystém odśpiewaniu hymnu wezwania Ducha św., odniesiono *sanctissimum* do zakrystji, i zaczęto robić przygotowania do dzisiejszego obrzędu. Lecz nim się to uporządkowało, infułat stawiąc Załuskiego przed księciem, rzekł:—„rekomenduję waszéj książęcéj mości mojego kolligata Jana Załuskiego, przybyłego tu z Litwy, z postanowieniem i ślubem rodzicielskim, a z własną pobożną wokacją do stanu duchownego, i zalecam go w łaskę twą *serenissime Princeps!*

— *Formosus adolescens* *) rybeńku! rzekł książę zmierzając poważnym wzrokiem prezentowanego: *formosus adolescens!* ale wolałbym ks. infułacie, abyś go mnie jako hetmanowi zalecał, bo zdaje mi się, że mu składniéj do ręki przypadłaby szabla, niżeli kropidło.

— W rękach Załuskich, ozwał się żywo i śmiało młodzieniec, bywały nieraz pastorały, pieczęcie i pióra mądre, równego zda mi się waloru w ojczyznie jako i hetmańskie buławy.

Infułat się zaczerwienił; dworscy i wojskowi otaczający księcia spójrzeli surowo, i przykręcali wąsów, czekając może skinienia hetmańskiego do zaczepki, ale się omylili wszyscy. Wprawdzie książę pokręcił także wąsa, ale uśmiechając się łagodnie, rzekł: podoba mi się twój animusz, panie Załuski, szlachecka to krew i młoda, nie gniewaj się jednak rybeńku, nie myśliłem *derogare generoso nomini tuo* **), znam wysokie *merita* w ojczyznie Załuskich, i życzę ci abyś *exemplo* znakomitego Jędrzeja Chryzostoma ***), trzymał kie-

---

*) Przystojny młodzieniec.

**) Ubliżać szlachetnemu imieniowi twemu.

***) Jędrzéj Chryzostom Załuski, biskup Kijowski—z tego postąpił na Płockiego w r. 1691, z tego zaś na Warmińskiego 1696, przy którym za konsensem stanów rzeczypospolitéj dano mu pieczęć wielką koronną, którą aż do śmierci swojéj wraz z tém biskupstwem trzymał; ta przypadła na rok 1711. Autor wielu pism uczonych, człek wielkiéj w ojczyznie zasługi i mądrości. (Niesiecki tom 10.)

dyś w swoim ręku i pastorał biskupi i pieczęć kanclerską i pióro mądre; znałem go w młodości mojéj, to mówiąc podał rękę Załuskiemu.

Młodzieniec oczekując ostréj odpowiedzi, tém żywiéj ujęty został dobrocią i łagodnością tak wysokiego i potężnego dostojnika, skwapliwie więc ujął podaną sobie rękę i z uszanowaniem ją ucałował. Ta duma rodowa i razem ta pokora młodzieńca, podobała się księciu, podobała się wszystkim. Książę uścisnął go. *Rybeńku* niech cię Bóg błogosławi! rzekł. Za ńim infułat takież błogosławieństwo powtórzył, a dwór cały hetmana otoczył go gronem, i witając uprzejmie jakby dawno znajomego, radami go choć nieproszonemi ale serdecznemi traktował.

Porzuć *rewerendę*, odzywali się wojskowi, bądź z nami: obaczysz jak cię nasz hetman pokieruje.

Trzymaj się infułata, mówili przeciwnie dworacy; będzie z ciebie całą gębą *sacerdos* *), a może kiedyś i prymas naszéj korony.

Tymczasem wyniesiono długi stół na środek kościoła i sukném go ponsowém okryto: postawiono na nim urnę, do któréj wsypano kartki białe w ilości równéj liczbie kandydatek ze stanu szlacheckiego, (toż samo się potém i dla mieszczek powtórzyło), dwanaście z nich było szczęśliwych, reszta pustych; za stołem zasiadł książę, obok infułat, daléj kapituła, to jest sześciu kanoników. Z tych jeden wstąpił na ambonę i po stosownem przemówieniu, wołał z listy imiona wczoraj wpisanych dziewic....

Każda zbliżała się bojaźliwie do stołu: za każdą szła albo matka, szepcąc cichy paciorek na intencję szczęśliwego losu dla dziecka, albo stara ciotka i krewne opiekujące się temi, które matek nie miały, sierotami!!! albo nakoniec wlókł się za córką stary zgarbiony szlachetka, w wytartym kontuszu z szabelką u boku... przystępował on drżącym krokiem do hetmana swego... do wodza szlachty... przychodząc doń jakby po ostatni ordynans maszerunku... na tamtent świat.

Dopiero postaw się miły czytelniku myślą cofnąwszy się w przeszłość obecnym natenczas w kościele Ołyckim, przeprowadź okiem po tém całém zgromadzeniu, patrz na wszystkie oblicza, i utworz przed

*) Sacerdos—ksiądz.

sobą obraz téj chwili wspaniałéj, uroczystéj i rzewnéj razem, a obraz ten podług własnego twego serca utworzony trafniejszym i milszym ci będzie, nad wszelkie moje opisy, a mnie od nich uwolni.

Już kilkanaście imion przewołano; *Hanna Nagurska!* ozwał się znowu kaznodzieja.

Ilekroć zawołana dziewica przechodziła kościół i zbliżała się do stołu, tłumy ciekawe zwracały na nią oczy: a szczególniéj dworscy księcia, przed któremi kraśniały jagody, a spadały ku ziemi źrenice tych biednych, a niektórych ładnych dziewcząt, i nie obeszłoby się bez żywszych wyrazów i komplementów, gdyby obecność księcia i respekt miejsca nie wiązał humoru dworskiego takim widokiem łatwo podbudzić się mogącego. Gdy się ukazała Hanna, nie przelotne wrażenie, ale powszechna admiracja powitała ją. Piękna ona była i bardzo piękna!!! Postawa składna, wdzięk jakiś skromny i miły, a razem dający domniemywać wyższe jéj nad ubóstwo, które ją tu przywodziło, ukształcenie: spójrzenie swobodne, nielękliwe i niesromające się tego ubóstwa, ale łzawe i miękkie, jakby uczuciem chwili obecnéj natchnięte; ubiór nakoniec i suknia prosta ale schludna i bez przesady, pod którą dzisiejsze jéj towarzyszki niedostatek swój upstrzyć starały się; wszystko to złączone w Hannie, uderzyło i zajęło każdego.

Stary mężczyzna opierający się jedną ręką na kiju, prowadził ją drugą, a raczéj ona go wspierała w trudnych jego krokach, był to jéj ojciec. Szczególne jak dziś znamiona i znaki wojskowego zawodu, nie odznaczały natenczas widocznie tych, którzy ten zawód już przeszli, to jest byłych wojskowych, wszakże zostawała im, wyrażając się po prostu, mina żołnierska, a ojcowi Hanny zostało jeszcze i kalectwo; pierwszéj więc i po drugiém, nikt się nie omylił, poznając w nim starego wojaka.

Hanna wyciągnęła los... szczęśliwy, wszystkim po sercu, bo wszystkich serca od razu sobie zjednała, jedno wszakże gwałtowniéj biło od wszystkich, za krzesłem infułata stał Załuski. Młody ten człowiek nie pojmował co się z nim w téj chwili stało? widok Hanny jakby iskra elektryczna wstrząsł go, a to nagłe wstrząśnienie przewróciło w mgnieniu oka kartę w księdze przeznaczeń jego... Krew w nim żywiéj krążyć poczęła i falami napływała do serca, stan ten jego wewnętrzny objawiał się na jego twarzy: drżał, bledniał, czerwieniał; lecz nikt na to nie zwracał uwagi, on sam tylko czuł w sobie rewolucję, do pierwszych symptomatów niebez-

piecznéj jakiéj choroby podobną, i odszedłby z kościoła, lecz gdy ojciec i córka oddalali się od stołu, książę rzekł: „Mości panie Nagurski, proszę waszmości po téj całéj ceremonji zostać w kościele, mam z waszmością do pomówienia.“ Nagurski zatém ukłonił się nizko księciu i odszedł do ławek, a Załuski jakby siłą niewidomą pchnięty, przecisnął się przez tłumy, i oka nie spuszczając z Hanny, stanął naprzeciw niéj za filarem, nieporuszony jak filar.

II.

Przeciągnięto wszystkie losy i dla szlachcianek i dla mieszczek, zapisano w księgę imiona szczęśliwych dziewic, osięgających przeznaczone posagi i kazano im przybywać na dzień 11 listopada, to jest na fest św. Marcina, patrona ubogich, dla odebrania znowu z rąk infułata pieniędzy, które administracja Ołycka, z dochodów zwykle już w téj porze do kassy ordynackiéj wpływających, wcześnie mu wypłacała. Zawiedzionych pocieszano nadzieją, i wzywano na przyszłą rocznicę, a wspaniały książę hetman chcąc ulżyć zmartwieniu tych, którym próba nie dopisała, powodem swéj osobistéj prezydencji w obrzędzie, rozkazał za koszta podróży, każdéj rodzinie po parę dukatów z własnéj szkatuły wyliczyć *).

Zatém ks. infułat odszedł do zakrystji, i tam w żałobną kapę obleczony wyniósł najprzód *Sanctissimum* na ołtarz, a potém z całém duchowieństwem i zgromadzonym ludem, prowadzony przez księcia hetmana, zstąpił processionalnie do kościoła podziemnego, to jest do sklepu gdzie spoczywały zwłoki tych dobroczyńców ludzkości.

Stoją tam trzy trumny, po środku samego księcia *Stanisława Albrychta Radziwiłła*, a po obu stronach—dwóch żon jego: naprzeciw jest ołtarz, przy którym codziennie msza relikwialna się odprawia. Ołtarz gorzał rzęsistém światłem świec i lamp, które i po całym tym obszernym a przyćmionym lochu rozrzucone po ścianach, grobowym płomieniem pełgały. Na górze w kościele ozwał się organ . . . Uro-

*) W naszych czasach ksiądz Jakób Dederko, infułat Ołycki, tęż samą dobroczynną ceremonję dopełniał.

czyste a żałobne *de profundis* runęło zeń do sklepu, i drżącém brzmieniem napełniając podziemie, wzbudzało i tłumiło tam razem głębokie westchnienia wzruszonego ludu. Infułat ukląkł na stopniach ołtarza, przed figurą ukrzyżowanego Chrystusa, i głośno litanję za dusze zmarłe odmawiać począł.

Natenczas uposażone dziewice, ich matki, babki, ciotki, opiekunki, ojcowie i krewni, gwałtem się przecisnęli do trumn swych dobroczyńców, oblegli je, padali na nie, obejmowali je, płaczem rzewnym i łkaniem przerywając święte litanialne wezwania infułata i własne *„módl się za nami.“* Nagle parte ściskiem osuwają się wieka trumny, a *Stanisław Albrycht Radziwiłł* i córa *Lubomirskich*, Krystyna żona jego, stają się świadkami najczulszéj wdzięczności ludzkiéj za ich dobrodziejstwa, i jakby osobiście odbierają za nie modłami i łzami zapłatę.

To niespodziane odkrycie zwłok, zachowujących całym wiekiem nie starte jeszcze, a zeschłe oblicza, a zatém uświęcone domniemaniem szczególnego błogosławieństwa i łaski Boskiéj nad niemi, nie przeraziło nikogo, owszém oddzierano szmatki litéj a zbutwiałéj materji okrywającéj trupy, na relikwie i pamiątki w szkaplerze potém zaszywane.

Klęczący książę hetman podczas litanji, i pobożnie ją z całym ludem odprawujący, po jéj ukończeniu, stanął nad odkrytym grobem swego o sto lat w przeszłość oddalonego antenata, milczał, a potém rzekł wzruszony: *„Utinam! utinam vias tuas sequere possim!“* *). Infułat pożegnał zwłoki, i trumny zakryć kazał **).

Gdy wszyscy wyszli ze sklepów i z kościoła, infułat rzekł do księcia: *Serenissime Princeps!* Pierwszy raz mieliśmy szczęście widzieć Radziwiłła, rozdzielającego dary Radziwiłłowskie; dotąd bywa tu zawsze którykolwiek ze sług ich pańskiego domu, zasiadający z nami *ad hoc officium;* dziś wasza ks. mość zastępujesz swojego zastępcę, więc musisz aż do końca spełnić reguły na ten dzień przepisane, to jest zjeść obiad w infułacji, ze wszystkiemi przybyłemi tu gośćmi *cujusvis status et sexus*, a szczególniéj z uposażonemi dziewicami i rodzinami ich; zresztą obiad to nie mój, ale Ra-

---

*) Abym mógł iść drogami twemi.

**) Scena taka co rok się w Ołyce powtarzała.

dziwiłłowski, można powiedzieć, własny twój *Serenissime Princeps*, bo fundusz na to przeznaczony jest w zapisie księcia kanclerza.

— Ja *rybeńku*, odpowiedział książę, chciałem właśnie ciebie *Illustrissime* z całą prześwietną kapitułą, *et cum caeteris aliis* *) do zamku na żołnierski traktament *solenniter invitare* **), ale gdy taka jest reguła funduszowa, chętnie jéj ulegam.

— Za dozwoleniem zatém waszéj ks. mości, proszę pokornie szanownego skarbnika, rzekł infułat obracając się do pana Faszcza, marszałka dworu książęcego, aby przyjął na siebie dyrekcję dziś u mnie téj festyny, i księdzowski tam ład po swojemu naprawiał i dysponował.

Książę uchylił głowę, na znak zgody, a pan skarbnik odszedł do infułacji. Gdzież jest pan Nagurski? zapytał książę oglądając się w około.

— Jestem na rozkaz jaśnie oświeconego szafarza krwi naszéj, odezwał się Nagurski wychodząc z tłumu, i stając przed księciem; starzec czerstwy i rzezwy jeszcze, o ile mu kalectwo dozwalało.

— Waszmość widzę traktowałeś wojskowo, rzekł hetman.

— Tak mości książę, od lat młodych, aż póki szwedzka kula łamiąc nogę, nie dała mnie abszytu.

— Gdzież to cię ona spotkała?

— Pod Zelborgiem, miłościwy książę, w Inflantach, gdziem służył z księciem Wiszniowieckim hetmanem W. Litewskim, który nam w téj bitwie kredensował.

— Podobno się wam natenczas nie powiodło: pole zostało tam przy Szwedach, rzekł Radziwiłł.

— A tak mości książę, z początku wzięliśmy górę, ale potém Pan Bóg nam nie poszczęścił.

— Gdzież to wasza córka? przerwał *Laskaris*.

— Poszła wraz z kościoła ze swemi towarzyszkami do infułacji za księdzem kanonikiem, którego nazwiska nie świadom jestem, a który im wszystkim kazał iść za sobą na obiad.

— To i my pójdziemy tamże, rzekł książę, ale *rybeńku*, dodał zwracając się do Nagurskiego, a powiesz nam z łaski swojéj, wszystkie cyrkumstancje téj potrzeby, jeżeli pamiętasz.

— O! pamiętam mości książę, i dobrze pamiętam; byłem na-

---

*) I ze wszystkiemi innemi.

**) Solennie zaprosić.

miestnikiem w chorągwi husarskiéj księcia hetmana, któréj porucznikował pan Zaranek chorąży Żmudzki, a plejzerowany zostałem pod koniec sprawy, w któréj przeciem nie próżnował.

To mówiąc doszli z przed kościoła do ganku infułackiego gmachu i tam siadając na ławce książę,—usiądź, mości panie towarzyszu, rzekł do Nagurskiego.

Nagurski stał.

— Usiądź waszmość, powtórzył książę.

— Jaśnie oświecony hetmanie, odpowiedział z nizkim pokłonem Nagurski, znam respekt od żołnierza wodzowi powinny.

— Mości panie Nagurski, rzekł z powagą książę, żołnierz kaleki za ojczyznę, *ante regem* nawet usiąść może, siadaj więc, ordynuję waszmości, jeżeli tego potrzeba; a powtarzam prośbę, abyś nam potrzebę kryzborską opowiedział.

— Posłuszny więc jestem, rzekł siadając Nagurski, i tak opowiadać zaczął.

III.

Bitwa pod Kryzborgiem *).

„W roku 1704, Julji 29, jak dziś pamiętam, bo mnie noga moja codzień tę datę przypomina, książę hetman Michał Wiszniowiecki, w pięć tysięcy wojska litewskiego, a w półtora tysiąca Rossyjskiéj piechoty, półków *Nieczaja* i *Protapopa* attakował *Zelborg*, mały zameczek w Inflanciech polskich, w którym było Szwedów ze dwieście, a wprzód jeszcze kilką dniami, w szańcu o milę od Rygi wycięli nasi Szwedów półtorasta; komendował polakami *Nowosielski*, a dragonją jenerał *Siesicki*. Szturmowaliśmy tedy do Zelborga przez dni sześć, w którym czasie, to jest 31 Julji, w dzień czwartkowy, pokazał się straszny kometa na niebie, przed samym zachodem słońca, nakształt kuli ognistéj, a leciał od wschodu na zachód, i przeleciawszy środkiem majdan wojska Litewskiego, za Dźwiną we Szwecji zniknął, że ten dzień był trochę pochmurny, i obłoki przyciemne były, tedy zostawił za sobą szlak tak szeroki jako najszer-

*) Z rękopisu współczesnego.

szy gościniec kędy leciał, a jasny tak, jako miesiąc czysty. Z któréj drogi potém rozszerzonéj (bo się coraz szerzyła), uczynił się potém smok wielki jasny, a od ogona stanął człowiek wielki uzbrojony; tego widoku było na godzinę, i lubo już słońce było zaszło, światło jednak takie było, jako bywa w południe; potém w kwadrans uczynił się grzmot taki, jakby z armat dwóch burzących ognia dano. Od którego huku ziemia na kwadrans drżała, tak jakoby ją mina rwać miała, i ten huk szedł na zachód. Różni różne prognostyki i konjektury z tego wyciągali, ale nie było czasu o tém długo rozmyślać, bo nieprzyjaciel następował, i zaraz książę hetman odstąpił przededniem od Zelborgu, pod słobodę kryzborską, bo szwedzki generał *Levenhaupt* z Jmci panami *Sapiehami* i Jmć panem *Zawiszą* w siedm tysięcy na odsiecz swoim przyszedł.

„Die 5 Augusti we wtorek, tenże generał *Levenhaupt* szedł zaraz awansując aż pod Kryzborg z temiż ichmościami, a do nas też sukurs Jmć pan Hrehory *Ogiński* przyprowadził, Moskwy dwanaście kornetów dragonji z *Suchotynem* półkownikiem; a ośm kornetów szlachty smoleńskiéj z generałem *Korsakiem*.

„I dał nam batalję Szwed na samym zachodzie słońca, gdzie nas właśnie pod słońce uszykowano, iżeśmy za blaskiem słonecznym i dójrzeć nie mogli nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel zaś upatrzywszy, iż nasze prawe skrzydło potężnie było uszykowane, bo było więcéj pięciu tysięcy wojska w nim, wszystkie dragonje i rajtarje. petyhorja, pancerni i husarje, a w lewém ledwie ze dwadzieścia chorągwi naszych, i to w bajrakach było uszykowanych; bo pola całe nie było, jeno lasy drobne; zaczém Szwedzi wszystką potencję swéj kawalerji obrócili na lewe skrzydło, bo też znać im dał pewny zbiegły husarz *Parko nomini*, że tam bardzo szyk słaby był. JWPan *Zaranek* chorąży żmudzki, a porucznik husarski pana hetmana, przybiegł prosząc o sekundę lewemu skrzydłu.

„Książę tedy jegomość, wziąwszy swoją usarską chorągiew, także księcia kanclerza usarską, swoją petyhorską poruczeństwa W. Szyrwińskiego i dwie pancerne, i sam z temi chorągwiami szedł w sukurs lewemu skrzydłu, pomiędzy piechotę, w szyku stojącą; cośmy jeno wymknęli po koniu idąc, abyśmy szyków piechoty nie zmieszali, zaraześmy się spotkali ze szwedzką rajtarją; skoro tedy Szwedzi dali ognia, ussarja księcia hetmana poszła z placu niewytrzymawszy ognia, a byliśmy tak uszykowani, pachołcy

z przodu a w tyle towarzystwo. To porucznik lub namiestnik szeregi zajeżdżał, a pierwszy towarzysz pachołkom przywodził, w któréj to chorągwi usarskiéj księcia był namiestnikiem *Franciszek Szujski*, pochołkom zaś przywodził JWPan *Adam Sakowicz*, za którą chorągwią i inne pierzchnęły. Porucznik zaś usarski księcia jego mości Radziwiłła kanclerza JWPan *Aleksander Unichowski* sędzia ziemski miński, ten sam stanąwszy przed chorągwią, towarzystwo w pierwszym szeregu postawił, a pochołkom pocztowym w tył kazał; których to pachołków szeregi zajeżdżał pierwszy towarzysz JWPan *Józef Swida* stolnik owrucki; tak tedy trzy ognie szwedzkie wytrzymał, nie strzelając, a po wydanym ogniu szwedzkim obses skoczył z chorągwią; tamże półkownika szwedzkiego przywodzącego z pistoletu zabił, gdzie i pod Jmcią klacz postrzelono w nogę, na któréj do okazji siedział; i tak serdecznie się potykając dwie hufy Szwedów wygolili, tak że i jednego nie zostało, bo Szwedzi kornetów nie mieli, gdyż był to lud komenderowany jedni z Polski od króla swego w sukurs *Levenhauptowi* przysyłani, a drudzy własnéj Levenhaupta komendy; i pewnieby byli nas ogarnęli i znieśli, bo ich było więcéj trzech tysięcy saméj kawalerji, gdyby nam zaraz w sekundę nie przyszedł JWPan *Szyrwiński* porucznik Petyhorski pana hetmana wielkiego z prawéj strony, a z lewéj znowu strony, sekundował nas JWPan *Ważyński* starosta Tyrszlewski porucznik Petyhorski pana hetmana polnego, i takeśmy spędzili dużą partję z pola. Przytém Jmć pan *Zaranek* chorąży żmudzki z ussarją któréj porucznikował, a w któréj i ja byłem namiestnikiem, uderzył na Szwedów; pancerne chorągwie, których było 23 obses w ogień skoczyły tłumem, i takeśmy, byli znieśli wszystką kawalerję szwedzkę i przerzynali, aż za pół mili jak bydło pędząc przed sobą i lubego rąbiąc i strzelając, ażeśmy mieli w ręku wygranę; tak naszemu skrzydłu Pan Bóg poszczęścił.

„Jednak w téj tam okazji, porucznika chorągwi petyhorskiéj pana *Wołowicza*, marszałka W. X. Litewskiego, Jmć pana *Horodeńskiego* postrzelono, ten do godziny umarł z postrzału. Jmci pana *Matawskiego* porucznika pancernego księcia jego mości kanclerza, postrzelono także, ten żyje. Jmci pana *Sorokę*, porucznika chorągwi *Grużewskiego* stolnika W. X. L. zabito. Pod ussarją księcia jego mości kanclerza towarzystwa, trzech zabito: Jmć pana Stanisława *Kmitę*, pana Jakóba *Kamińskiego*, i Jmć pana Kazimierza *Ptaka;* tamże postrzelono w nogę Jmć pana Józefa *Swidę*, po-

rucznika szeregowego pachołków, i konia pod nim dziewięć razy postrzelono, a dziesiąty raz cięto szpadą w łeb, a przecież wyżył i wyleczony był. Pachołków wielu postrzelono i zabito, koni też naginęło gwałt.

„I takeśmy pędzili Szwedów aż na sam odwod ich, który do nich ognia dał, chcąc ich utrzymać, ale nie mógł, bo i ich zmieszali samiż Szwedy uciekający, za któremi lewe skrzydło nasze już *sine ordine* z ochoty pędzili się. Na prawe skrzydło zaś tylko sześć kornetów uderzyło Szwedów, gdzie ani rajtarja nasza, ani dragonja, która była bardzo moderowana i liczna, nie tylko aby miała wytrzymać ogień, jako lud ognisty, ale nie wydawszy ognia poszła z placu, oto dla złéj komendy nad niemi p. S . . . bo też to był szkolny żołnierz, a ordynansów hetmańskich nie spełniał; gdy tedy tak sromotnie uciekła dragonja i rajtarja, zaraz za nimi poszli panowie K . . . kieliszkowi żołnierze, którzy komendowali polskiemi chorągwiami: a także za nimi zaraz powędrował pan B . . . pułkownik piechoty. Natenczs na prawém skrzydle wojska naszego było saméj rajtarji ośmset, dragonji dwanaście set, pancernych i petyhorskich chorągwi bardzo moderowanych i okrytych trzydzieście. Dla czego przegrana z takiém wojskiem okazja, łacno każdy konjekturować może: azaliż nie dla złego orderu i niezgody w komendzie? a tak przegrawszy, bo i uciekający Szwedzi wrócili, i nasze lewe skrzydło już *sine ordine* będące rozpłoszyli; lubo ich jazda już była o milę uciekła, a Polacy przy nich będący aż za mil kilka i daléj ustąpili.

„Otoż w tém zamieszaniu i rejteradzie, nasza chorągiew lepszą jakąś kupką się trzymała i kilka razy salwowaliśmy się, wiercąc sobie kopją drogę między Szwedami: strzelano ze wszystkich boków, i zdało mi się, że mnie ktoś kijem po nodze uderzył. Szwed nie gonił nas natarczywie, bo się miał z czego sam wylizywać a wkrótce i noc zapadła; ja dla srogiego bolu nie mogąc już na koniu dosiedzieć, prosiłem kolegów aby mię nie opuszczali, i w ręku tych bezbożnych lutrów nie zostawili: jakoż chowaj Boże, strzegli mię oni jak oka we łbie, i z obozem dostałem się do Birż, gdzie żydek cyrulik wziął mię w swoją opiekę, i choć mi nogę na ćwierć łokcia pokrócił, ale przecież życiem darował *).

---

*) Bitwa ta pod *Kryzborgiem*, niewielkiego znaczenia sama z siebie, tém jest znakomitą w dziejach tamtoczesnych, że po niéj zwątpiwszy o sobie przeciwnicy Szweda, uroczyście już i w imieniu Rzeczypospolitej zaprosili pomocy Piotra

— Dziękuję waszmości, rzekł hetman, za tę narrację, bo z niéj widzę, że przecież jeden orzeł Radziwiłłowski nie pierzchnął przed Szwedem: i gdyby wszyscy również dzielnie stawali, nieprzyjaciel wziąłby słuszny wstręt na pierwszym wstępie do ziemi naszéj.

— Prawda mości książę; i w tym właśnie postrzeżono różnicę moderunku Radziwiłłowskiego, że gdy w innych chorągwiach pacholikowie stawali w pierwszych szeregach, a panowie towarzystwo z tyłu, w czém był kontempt honorowi szlacheckiemu, to pan *Unichowski* porucznik husarji księcia Radziwiłła, jako mężny kawaler, sam stanąwszy na czele swego hufcu, towarzystwo na przodzie postawił, a pacholików w tył ordynował; bo to zwyczajnie mości książę, pacholik salwuje zycie; a towarzysz jako szlachcic, salwuje honor: ztąd pacholik w okazji patrzy za siebie, a towarzysz przed siebie.

— Słusznie mówisz *rybeńku*, rzekł książę hetman, a w tym dano znać na obiad.

IV.

Budowniczy Infułatskiego domu w Ołyce, musiał wiedzieć przeznaczenie onego, i dobroczynne myśli fundatora; bo w obszernym tym gmachu pomieścił nie tylko wygodne pomieszczenie dla infułata i jego duchownego dworu, ale też jeszcze i przestronnych sal kilka, na sessje kapitulne i na wszelkie liczniejsze zgromadzenia, jakiém właśnie było i dzisiejsze: w nich zastawiono stoły: osobny nakryto na kilka osób, do którego *Laskaris* księcia tylko i kilku z dostojniejszych gości zaprosił, sam wśród nich miejsce gospodarza zastępując. Ale hetman wziął Nagurskiego za rękę i rzekł: „mości namiestniku, proszę trzymać się ze mną, bo mam jeszcze z wasz-

---

wielkiego, mowi tenże rękopis: „Nie mając tedy żadnego salwowania się sposobu posłali nasi panowie *primates*, pana Hrehorego Ogińskiego starostę Żmudzkiego i hetmana natenczas Polnego, z panem Zarankiem strażnikiem W. X. L. *nomine Reipublice* do Cara Jegomości moskiewskiego, natenczas dobywającego *Narwi*, prosząc o czternaście tysięcy wojska w sukkurs wojsku litewskiemu. Gdy tedy w dniu przyjazdu posłów naszych, Car Jegomość dobył *Narwi*, (miasta i fortecy mocnéj w Inflanciech) to zaraz we trzynaście tysięcy, ze wszelką potencją wszedł do Litwy, i ztąd widocznie *emolumenturę* ma państwo nasze, to jest dwóch gościów i t. d.

mością *ad conferendum:*“ jakoż posadził go przy sobie. Nagurski opierał się nieco, ale usiadł nakoniec bez wielkich ceremonij, bo wojskowość ozwyczaja żołnierza z wodzem, i wlewa weń niejakąś szlachetną śmiałość w postępowaniu z wyższemi, godną a przyzwoitą. Inne stoły obsiadł dwór książęcy, i cały korowod szlachty przybyłéj; nakoniec stół oddzielny i w oddzielnéj sali, otoczyły dziewice wyposażone i niewiasty matki ich i opiekunki, a w każdym jeden z kanoników był gospodarzem. Załuski nie siadł do żadnego stołu, bo w rozmarzeniu jakie po pierwszym paroksyzmie objęło go, czuł on że na miejscu usiedzieć długo nie będzie mógł, tak przynajmniéj siebie przed samym sobą tłómaczył, bo prawdziwéj przyczyny zawracającéj go ciągle do stołu za którym siedziała Hanna, sam się lękał, chociaż ją poznał i czuł w sobie, jakby świeżą ranę zadaną w serce.

Wśród tłumu i ścisku gości i służby nikt nie uważał i nie postrzegł go snującego się po salach; ale nic nie mogło ujść oka pana skarbnika marszałkującego około stołów.

Człek sprawujący tę funkcję u wielkich panów, obowiązany czuwać codzień nad porządkiem licznego dworu z rozmaitych figur, wszelkiego stanu, obyczaju i kondycji złożonego, musiał być koniecznie roztropnym, bacznym i wielce przenikliwym szczególniéj z młodzieżą, dla któréj dwory były natenczas szkołą przedwstępną do życia publicznego; a w szkole téj pan marszałek bywał zwykle professorem nauki moralnéj. Takim był i pan *Piotr Faszcz* marszałek dworu księcia hetmana, skarbnik Rzeczycki, szlachcic dobrego imienia, ale podupadłéj substancyi, z pod jezuickiéj feruły wyszły; człek przystojnéj postaci, a poważnéj dworskiéj fantazji i maniery pełny; lubił go zatém książę, a szanował dwór cały; my go lepiéj w dalszém opowiadaniu poznamy. Ten postrzegłszy Załuskiego przechodzącego często około stołów, zadziwił się i chciał się dowiedzieć przyczyny, dla czego on nie siedział przy żadnym stole, zwłaszcza, że kilka miejsc nie zajętych zostało; zbliżył się więc doń i zapytał:

— A czemuż mości panie nie usiadłeś do obiadu? Nagle zagadniony Załuski zmieszał się i zaledwo wyjąknął bo... bo... głowa mi boli.

— A to dobrze czynisz, rzekł pan skarbnik pokręcając wąsa, ale spokojnie i jakby wierząc wymowie, któréj widoczna mitręga młodzieńca fałsz zadawała, dobrze czynisz, dyeta najlepsze lekar-

stwo, i odszedł. Ale żaden jeszcze młodzik nie mógł się pochwalić, że oszukał pana Faszcza, nie spuszczał już on z oka kłamcę niepodejrzewającego najmniéj, że jest śledzonym. Gdy więc Załuski wszedł do sali kobiécéj Faszcz po kilku chwilach wszedł tamże za służbą wnoszącą misy i półmiski; stanął on we drzwiach, do których tyłem stał Załuski, a naprzeciw których siedziała Hanna. Po rumieńcu żywym na twarzy dziewicy, po wzroku jéj to spuszczonym, to błyskającym nagle, poznał on choć nie widział, jakim wzrokiem patrzy na nią Załuski . . . Oho! pomyślił zatém, oho ptaszku, głowa ci boli . . . przyszły *sacerdos* bodaj do innego nowicjatu trafia . . . zaszedł potém na drugą stronę stołu; ujrzawszy go Załuski chciał odejść, ale skarbnik rzekł: Poczekaj mości panie, musisz mnie tu zastąpić, ksiądz kanonik dobrodziéj gospodaruje tu u stołu dla *przynuki*, bo skromne i nieśmiałe zwłaszcza dzieweczki choćby głodne, półgębkiem zwykle dotykają się łyżek, potrzeba ich przymuszać i ośmielać; ale służba infułacka nieskładna, nie będzie tu porządku ani w daniach, ani w podaniach; racz więc tu przyjąć na siebie moje marszałkowskie *officium*, bo mnie dosyć roboty około książęcego i braci szlachty stołów: przecież waszmość kolligat księdza infułata, a zatém *famulus* jego domowy, więc i *circa honestatem* *) domu jego dbać powinieneś. Nie prawdaż księże kanoniku dobrodzieju?

— A prawda, prawda, odpowiedział ks. kanonik Jaworski, pracujący właśnie najgorliwiéj, nad potężnym zrazem sarniny. Za moim przykładem babulki, za moim przykładem panieneczki, gołąbeczki, suplikuję, suplikuję. Trójniaczku tylko infułackiego dostarcz nam panie skarbniku dobrodzieju; na potuszenie! na potuszenie!

— Oto jest mój *locum tenens* **), ks. kanoniku dobrodzieju, rzekł Faszcz wskazując na Załuskiego, jemu proszę rozkazywać, a do samego Załuskiego głośno: Waszmość tu więc mości panie odpowiadasz za wszelki ład i nieład, wychodząc zaś i mijając go, cicho i ze znaczącym uśmiechem. A co? głowa ci boli . . . Oj, starego wróbla na plewy nie złapiesz, nie!

Załuski poznał, że ma nieproszonego konfidenta.

---

*) Około przystojności.

**) Zastępca.

U stołu książęcego toczyła się najprzód potoczna rozmowa, lecz wkrótce zapytał książę: gdzie teraz mieszkasz panie Nagurski?

— W Łucku, jaśnie oświecony panie.

— Czy tam się i urodziłeś?

— Nie, urodziłem się w Sandomirskiém, tam jest gniazdo naszego imienia, odpowiadał zapytywany, a gniazdo to mości książę dobrodzieju nie było niegdyś ciasne...i *Ostoja* *) jaśniał tam nie na pustym kominie...ale potém...potém...i kiwnął głową Nagurski.

— Na Litwie są także Nagurscy, ozwał się któryś z gości, i dostatnich fortun obywatele.

— Tak, odrzekł namiestnik, wiem o tém rozdzieleniu się niegdyś domu naszego.

— Cóż cię *rybeńku*, zatrzymuje w Łucku? zapytał znowu hetman.

— Grób żony mojéj, mości książę dobrodzieju, i mały dworek z ogródkiem, który po niéj i od niéj nam został: dziedzictwo kochanéj niańki mojéj w starości i kalectwie, to jest córki mojéj Hanny, jedynéj na tym świecie pociechy mojéj, a która dziś z łaski i munificencji Radziwiłłowskiéj podwoiła swój posag, bo i dworek nasz wart przecież złotych z tysiąc.

— Książę zamyślił się nieco, a potém położywszy rękę na ramieniu Nagurskiego, rzekł: Rybeńku, *homo proponit*, *Deus disponit* **).

Biesiada przedłużała się aż ku wieczorowi, po któréj odchodzący książę, infułata z całą kapitułą na obiad do zamku na dzień jutrzejszy zaprosił. I z waszym rezolutnym krewnym, dodał, którego tu nie widać, a ty stary żołnierzu, rzekł do Nagurskiego, musisz być posłuszny hetmanowi; przeto ordynuję cię na załogę do zamku Ołyckiego, i to *sine mora* zaraz; kwaterę przeznaczam ci u marszałka mojego dworu, a córka twoja znajdzie miejsce między respektowemi księżnéj żony mojéj. Proszę nie odmawiać téj gospody.

---

*) Ostoja, herb Nagurskich.

**) Człek układa, a Bóg rozrządza.

V.

Co to jest powieścio-pisarz? kłamca. Pod jakimże więc warunkiem nie pisząc rzeczywistości, lub ją tylko między dowcipne zmyślenia mieszając, kłamstwa jednakże uniknąć może? Bo i cóż jest rzeczywistość w codziennem życiu ludzkiém? czy tylko to co nam pod oko podpada? oh! błahe to i nader jałowe wypadki . . . gdzie niegdzie łza je opromieni, gdzie niegdzie śmieszność wykrzywi, a zwykle płyną one jednostajnem i odwiecznem korytem, którego nie zgłębiają ludzie pospolici; a przecież tu właśnie *prawda na dnie*, i tam jéj szukać musi autor, jeżeli nie chce być kłamcą w obec ludzkości, któréj nauczycielem i lekarzem się obrał. Szczęśliwa wyobraźnia da mu świetny koloryt malowidła; umiejętność mowy da mu powab i piękność stylu, ale jedynie prawda z serca i z duszy wyjęta da prawdziwą wartość jego dziełu, i potomności imie jego zaleci.

Objawy uczuć wewnętrznych na zewnątrz są rozmaite, stosownie do powierzchownych szat, w które się wiek każdy obleka; ale Bóg dwa razy człowieka nie tworzył, i gdyby był autor współczesny *Adamowi* i *Ewie*, którybу ich romans, ich rajskie rozkosze, ich potém wygnanie i biedy, w sztuczną dzisiejszego pokroju powieść układał, też sameby w ich sercach, w ich naturze człowieczéj znalazł materjały, co i terazniejszy pisarz w salonach; z tą tylko różnicą, że tam szatan w postaci węża zarażał i psuł błogie przymioty i dary w duszę ich od Boga wlane; a tu węże w postaci ludzkiéj, tęż samą w towarzystwie podejmują robotę.

Myśl poprzedza się uczuciem, *czyn* poprzedza się myślą, *słowo* zaś objawia lub tai jedno i drugie, wyrazy więc autora powieściopisarza, leją się z pióra jego po uczuciach i myślach postaci, w praktykę i w rozmaite kombinacje życia przezeń popchniętych; a tak on, całe duchowe jestestwo i naturę ludzką mieć w sobie, że tak powiem, umieć ją, i znać głęboko musi *„rerum coqnoscere causas,“* talent zaś zależy tylko na umiejętnem użyciu materjałów z téj znajomości nagromadzonych; bez nich na nic się on nie przyda, łudzić tylko będzie brzmieniem słów bez treści, bez celu, a zatém i bez pożytku. Uczucie, które najczęściéj służy główną osnową po-

wieściom, jest *miłość*, i bardzo naturalnie. Ona bowiem rozpoczyna historję życia prawie każdego człowieka, ona piérwsza wita młodzieńca wchodzącego w świat, i drogę mu kwiatami ściele; ona mu rozjaśnia jak piękna jutrzeńka, cały szeroki horyzont przed nim otwarty i ideałami ony napełnia.... *piérwsza miłość,* to piérwsze szczęście, *druga*, to piérwsze cierpienie, *trzecia*... *trzecia* niestety, to najczęściéj piérwszy rachunek!

Te rozmaite fazy, wrażenia, stopniowania, i żądze miłości, stawiąc człowieka w rozmaitych także położeniach i przygodach, wpływając częstokroć potężnie na cały los jego, obudzając nakoniec w nim inne znowu namiętnoście i wiążąc się z niemi, dać mogą i dają treść obfitą dziejopisom życia i serca ludzkiego; ale piérwsza tylko miłość prawdziwie czystym goreje płomieniem; dorzucane doń potém obce paliwa kopcą go, lub rozżarzają w ogień piekielny, w których się topi i niszczy częstokroć cała istność męczennika téj wewnętrznéj i namiętnéj pożogi.

To więc uczucie w pierwotnéj czystości weszło nagle, jakeśmy to widzieli, w serce Załuskiego na widok Hanny. Żart dworski pana skarbnika Faszcza, umieszczający go marszałkiem przy stole niewieścim, zaambarassował go wprawdzie, ale dogodził gorącemu pragnieniu jego, wpatrywania się w anielską twarz dziewicy, do któréj przystąpić nie śmiał i przemówić nie umiał, a która także wzroku nań podnieść nie mogła, bo za każdem spotkaniem się ich oczu, czuła mimowolne a gwałtowniejsze uderzenie swego serca, i jakąś sympatyczną przepowiednię, plątającą się po trwożliwych myślach....

Hanna rok dwudziesty życia zaczęła. Przed laty dwóma straciła matkę, wziętą niegdyś przez Nagurskiego z grona panien respektowych świetnego na Wołyniu domu Olizarów; niewiasta pełna pobożności i cnót chrześcijańskich, która wszystko cokolwiek dobrego, świętego i szlachetnego miała w sobie, w serce córki przelać i wrazić starała się, razem z polorem obyczajów u Olizarów nabytym, wyższym nad swą szlachecką chudobę, a jednakowoż godzącym się z tą chudobą roztropnie.

Za życia jeszcze matki, piękność dziewicy, zjednała kilku pretendentów do jéj ręki, ale żaden nie trafił do serca Hanny, drżącego na samą myśl opuszczenia téj matki i rodzinnego domku, w którym każdy kątek pieszczotą zda się i rozkoszą na nią powiewał... Rekuzę w takiém zdarzeniu brał zwykle na siebie sam pan namiestnik husarskiéj chorągwi, i pokręcając siwego wąsa wręcz bez

ogródki, odpowiadał konkurentowi: „Córka moja nie ma inklinacji do waszmość pana, a zatém *vade in pace.*“

Śmierć matki uderzyła dziewicę najdotkliwszym i najsroższym ciosem; nie mogła ona podołać boleści.... upadła na łóżko, i byłaby zeń nie powstała, gdyby ojciec widząc drugą przepaść otwierającą się przed sobą, i ostatnią toń, w którąby śmierć jedynego dziecka pogrążyła go, nie rzekł nad osłupiałą: „Córko! daj mi umrzeć przed sobą, bez ciebie, któż mię kalekiego starca przytuli, kto mię nakarmi? i kto na mogile rodziców twoich modlić się będzie?“

Na te słowa Hanna powstała z łóżka i rzuciła się w objęcia ojca, zmieszali oboje łzy rzewne, i Hanna na grobie matki czerpała codzień siły do usługi ojcu. Tak więdniejący ten kwiatek polny, piękny a skromny, odchodzić i ożywiać się zaczął powoli, a właśnie w owym czasie Nagurski myślący jedynie o tém, co się stanie z córką po śmierci jego własnéj i o jéj losie, postanowił aby poprobowała ona szczęścia w Ołyce; niechcąca i wzbraniająca się długo, uległa ona nakoniec woli ojcowskiéj, i oto ją tam widzimy.

Całe zebranie obcych gości rozeszło się z infułacji na gospody i noclegi do miasteczka; domowe duchowne towarzystwo uraczone i syte, gwarzyło jeszcze czas niejaki na ganku, lecz i temu nakoniec infułat rzekł: dobranoc, a tak każdy oddalił się na spoczynek. Ale Załuski użyć go nie mógł. Potrzebował on chwili samotnéj... potrzebował wejść w siebie.... pomówić i rozsądzić się z sobą.... słowem, potrzebował ochłonąć z pomieszania, w którém serce jego i głowa tonęły.

Nie zachodząc więc do swéj kwatery u ks. kapelana, wszedł do ogrodu za domem infułackim rozlegającego się, i tam po szerokich lipowych szpalerach, blaskiem księżyca oświeconych, przechadzać się zaczął.

Nie był to już dzieciak młody, który goni za pięknym motylem bez względu i rozwagi gdzie go ta gonka zaprowadzi, w dwudziestym trzecim roku życia, umysł sam przez się dojrzewa. Wychowanie jego, w którém uspasabiano go do przyszłego przeznaczonego dlań stanu, nazwalibyśmy dziś duchowno-racjonalném; połączenie na pozór trudne, a przecież jednoczące się w tém, że zwracając myśli i ducha jego na religijną i kontemplacyjną jedynie drogę, ostróżno-

ści razem względem świata i jego sideł, racjonalnie mu dowieść usiłowano: trudne to było zagadnienie, nad którém suszył codziennie i sobie i uczniowi głowę nauczyciel jego, wybrany z wielu przez Załuskich ksiądz, mądry teolog, pod dyrekcją którego szła edukacja tego ich poślubieńca; natura jednak, jakby na przekor tym ślubom rodzicielskim, obdarzyła młodziana tém wszystkiém, co mu na świecie i wśród ludzi, powodzenie i powszechną skłonność zjednać mogło. Postać piękna a mężna, pojęcie żywe, umysł szlachetny i wzniosły, którego w obec Radziwiłły na piérwszym wstępie dał dowody, a razem serce czułe i gorące, które także i w tejże samęj chwili, w pokornem uczczeniu starszego widocznie się objawiło, wszystkie te zacne przymioty, jeżeli tłumionemi w nim nie były, to wszakże rozwijać się w nim nie mogły, pod wpływem nauk i przestrog, zbawiennych zapewne, ale ku osamotnieniu ducha, ku hamowaniu wszelkich wewnętrznych porywów, ku tajeniu wszelkich światowych wrażeń, ku zastanawianiu się nad każdym krokiem życia, a nawet ku zewnętrznéj codziennéj kapłańskiéj powadze, wiodły.

VI.

Onego czasu niektóry rolnik, nie zważając, że ziemia jego na zimę pszenicą zasianą była, postanowił koniecznie mieć na niéj jęczmień, na wiosnę więc zorał ją na nowo, zawrócił głęboko w ziemię pszenicę, a posiał po wierzchu jęczmień. Zeszedł więc jęczmień, ale słabo i niedołężnie, bo pszenica, choć głębiéj leżąca w ziemi, odciągała z niéj w siebie pożywne soki; już jednak powoli jęczmień podnosił się... gdy nadeszła burza i ulewa, mdłe źdźbła jęczmienia wyłamała i zniszczyła zupełnie, a przemaczając głęboko ziemię, ożywiła pszenicę, która wyszła wnet na jaw, i gęsto a bujnie pokryła ziemię.

Krótki ten apolog, wyrozumie łatwo czytelnik i łatwo go do stanu i walk wewnętrznych Załuskiego zastosuje. Burzą tą była miłość, która gwałtownie nań padła, i mdły zasiew ascetycznych nauk, na jego sercu obeszłych, zniweczyła mgnieniem oka pięknéj dziewicy. W domu rodzicielskim strzeżony on był od wszelkich zrę-

czności niebezpiecznych spokojowi serca, strzeżono siarkę od iskry. Ks. teolog powtarzał mu codzień sentencję: „*Mulier est viri naufragium, quietis impedimentum, vitae captivitas, quotidianum damnum, voluntaria et sumptuosa pugna.*“ Czém znudzony uczeń, a pełen sentencyj pisma św., na którém go tenże nauczyciel pilnie zasadzał, odpowiedział mu raz „*Mulier fortis oblectat virum suum, et annos vitae illius in pace implebit.*“ Jegomościa sentencja świecka, dodał jeszcze uczeń; a moją wypowiedział mędrzec pański,—gdzież prawda?

Zarwany tak nagle i niespodzianie teolog, skrobał się w głowę, zażywał tabakę, a Załuski patrzał mu w oczy i uśmiechał się z ambarasu swego mądrego nauczyciela.

No, no, odpowiedział ten nakoniec: „*Nulla regula sine exceptione.*“ Tak, odrzekł znowu młodzik, któremu z wiekiem żywości, energji i intelligencji przybywało; ale naprzeciw powagi pisma, sentencja chyba jegomościa dobrodzieja jest ekscepcją; moja zaś powszechną regułą.

Nie dysputował daléj ksiądz, ale tegoż dnia wieczorem na consilium domowém ostrzeżeni przezeń rodzice, postanowili wraz wysłać poślubionego syna do Ołyki, aby tam w seminarium i pod okiem infułata wszedł już na przeznaczoną mu drogę.

Tak skoro tylko młodzieniec uwolnił się z pod takiéj klauzury i feruły, a odetchnął całą piersią wolném powietrzem, zdało mu się, że się odrodził, że świat inny, piękniejszy otworzył mu się przed oczyma, że więcéj pojął i dojrzał w dni kilka, niżeli w całém dotychczasowém życiu... zszedł mu z myśli cel, do którego dążył; wrócił on mu wprawdzie na myśl, gdy ujrzał Ołykę, i zachmurzyło się natenczas czoło jego, ale myśl i serce nie dały się jeszcze ściągnąć z krainy młodzieńczych uniesień i omamień w których tonęły, i w których przygotowywały się mimowolnie do przyjęcia nowych wrażeń jakby czekających nań właśnie tam, gdzie się ich miał zarzec na zawsze.

I dla tego też iskra z oczu Hanny tak gwałtowny i nagły wzbudziła w nim płomień; i dla tego w nocnéj po ogrodzie wędrówce, nie walczył on już z uczuciem, którego pokonaćby nie mógł, i pokonywać nie chciał; ale w pomieszanych myślach swych układał raz krnąbrne, to pokorne sposoby; to złamania, to przejednania przeciwności i przeszkód przedzielających go od Hanny, na gromadę

których jak na widma nocne jawiące się przed nim, z bojaźnią poglądał. Wśród nich najstraszniejszém jednak stawiło się *votum* rodzicielskie, bo obudzało w nim jeżeli nie zgryzoty, to przynajmniéj skrupuły sumienia, czcią i miłością jego dla rodziców zwiększone. Infułat rozwiąże śluby, myślał on, a rodzice przebaczą.... przebaczą rozwiązanie slubów pierwszych... ale czy zezwolą na drugie?... Czy szeroko i znamienicie spokrewnieni po całéj Polsce *Załuscy*, pobłogosławią związek z ubogą szlachcianką?..... a taż szlachcianka, czy podzieli co natchnęła?.... i jakże się do niéj dostać, i to odkryć jéj.... a tenże stary żołnierz, czujący nieuniżoną ubóstwem godność swojego rodu i własną osobistą, czyliż zniesie choć myśl nawet upokorzenia, jakieby go w córce spotkać mogło?.... gdzież znaleźć radę i pomoc? Takie walki miotające biednym młodzieńcem do jednego tylko czystego doprowadzały go wniosku, to jest: *że księdzem być nie chce i nie może*, a reszta wszystko mieszało się przed nim jak we mgle, z po za któréj obraz uroczy Hanny przeświecał.

Wschód już goreć zaczynał, gdy Załuski wrócił do celi ks. kapelana, którego wejściem swém obudził.—Kara boska, rzekł ten, mieć lokatorem lunatyka! Ale mospanie, ostrzegam, z seminarjum tak absentować się nie będziesz mógł, ani wychodzić nawet bez pozwolenia księdza regensa.—Kto wie czy tam wejdę? pomruknął Załuski.—Jak to? zapytał ks. Idzy, ale odpowiedzi jużby nie słyszał, gdyby i była jaka, bo chrapał na nowo. Załuski także rzucił się na łóżko i wnet zasnął, bo sen nigdy nie odmówi ulgi młodym w cierpieniach duszy; starym nigdy jéj nie da.

VII.

Nazajutrz dzień piękny zaświtał. Książę hetman w którymkolwiek ze swych wspaniałych zamków przebywał *), każdy ranek, zwłaszcza latem, wojskowym swym funkcjom poświęcał; to jest, po wysłuchaniu mszy rannéj w kaplicy, wychodził na obszerny zamkowy dziedziniec: bito natenczas werble w kotły i bębny na przywi-

*) Nieśwież, Ołyka, Biała, Mir.

tanie jego, on usiadał na krześle i przypatrywał się zmianie warty na hauptwachcie także w każdym zamku urządzonéj, która niemieckim manierem musztrę odbywała. Był to bowiem czas przejścia z dawnéj naszéj komendy „*Nabij! Zabij!* na tempowy pruski moderunek. Z kilku dziesiątków żołnierzy odbywających tę paradę, widz obcy i nieświadomy, niewielkiegoby mógł nabrać wyobrażenia o stopniu i znaczeniu ich wodza, ale to lekceważenie wnetby się w cześć i przeciwne przekonanie o wielkości i potędze jego zmieniło, gdyby razem ujrzał świetność rycerskiego dworu, który go otaczał. Więcéj około hetmana było jakby generałów złotem i stalą jaśniejących, niżeli żołnierzy na hauptwachcie, a wszyscy w téj obrzędowéj reprezentacji wojskowego trybu i wojskowéj subordynacji, zdawali się być gotowymi na skinienie wodza i w milczeniu oczekiwać jego ordynansów. Ale po przejściu téj żołnierskiéj ceremonji, hetman stawał się obywatelem popularnym, a dostatkami i bogactwem o tyle tylko zjednywał dla siebie cześć, miłość i powolne służby braci, o ile ich dobrodziejstwami swemi, dobrocią i wspaniałością zniewalał; i w tém był cały sekret arystokratycznéj przewagi i przewodnictwa naszych dawnych panów nad szlachtą; jak ta przewaga użytą bywała, inna materja, do dziejów należąca.

Po ukończonym więc obluzie, korzystając z pięknéj pogody, Radziwiłł nie wracał jeszcze na pokoje, a zabawiał się rozhoworem z dworskiemi i gośćmi swemi, tłumem go otaczającemi. Była to chwila dobrego humoru dla samego pana i dla wszystkich; z takich chwil, wiele zapewne już zapomniano, ale wiele jeszcze i zostało anegdot, zdarzeń i przymówisk, dowcipnych a charakterystycznych, które w naszych nawet czasach, gdy dowcip i wesołość umarły, budzą ją jednak, a szczerą, i przy niéj miłe wspomnienia.

— A zatém zgoda *rybeńku*, rzekł książę, obracając się do blizko stojącego *Nagurskiego*, wchodzisz znowu w komplet wojsk rzeczypospolitéj, jakem to wczora ci proponował? Postanowię cię komendantem tutejszego zamku, abyś lafę z mojego skarbu pobierał, bo nasz skarb publiczny częstokroć *vacat*, i assygnacje hetmańskie idą *per non sunt*, dam ci tam na załogę zamkową dwudziestu gimejnów. . .—Bylem nie musiał, mości książe dobrodzieju, uczyć tych sztuk niemieckich, na które tylko co się patrzałem: stary i kulawy nie zdam się do nowych moderunków, przerwał *Nagurski*.

— Nie, nie *rybeńku*, mówił uśmiechając się książe, wybiorę ci inwalidów, z któremi zamiast exercycji wojskowych, różaniec będziesz mógł odprawiać, bo chwała Bogu, tańców tatarskich już nie będzie, bramy zamku Ołyckiego mogą stać otworem. Córkę zaś waszmości księżna żona moja z ukontentowaniem przyjmuje w swoje respekta, a zatém może ona swój wczorajszy los szczęśliwy darować jakiéj biednéj dziewczynie, któréj *spes fefellit*, bo wiano respektowéj Radziwiłłowskiéj, zaręczam cię *rybeńku*, warte przecież będzie i dwudziestu twoich dworków Łuckich.

— Każże W. X. mość gotować to wiano, odezwał się z uśmiechem Faszcz, bo podług moich obserwacji *ausus sum* twierdzić, że ten gładki ptaszek niedługo na respektach księżnéj hodować się będzie.

— A to dla czego? zapytał książe.

— Albo co? zapytał skwapliwie Nagurski, zkąd to i jakie obserwacje, panie skarbniku dobrodzieju?

W tém pokojowiec stanął przed księciem i rzekł, księżna Imość na sali.

Faszcz na te słowa pomknął najpierwszy, bo i tak chybił swemu marszałkowskiemu obowiązkowi, zabawiając się między kompanją, gdy w pokojach ład prowadzić był powinien i nie dał odpowiedzi ani księciu, ani zainteresowanemu tém bardziéj ojcu Hanny.

Wszyscy zatém za hetmanem ruszyli do środka zamku.

Zamek ten dziś w ruinie, zewnętrzną potęgą swoją, twierdzę feudalnego możnowładcy przedstawiał; wewnątrz zaś wspaniałością i dostatkiem dowodził nadzwyczajnego bogactwa Radziwiłłowskiego domu; a lubo *Ołyka* nie była zwykłą rezydencją książęcą, wszakże komnaty pańskie nie ogołocone z żadnych starożytnych a nader kosztownych sprzętów, za każdém przybyciem ordynatów, w świąteczne, że tak powiem, stroiły się suknie; tém bardziéj teraz, gdy księżna pierwszy raz nawiedzała *Ołykę*, a książę pierwszy raz także po otrzymaniu niedawno hetmańskiéj buławy,, przybywał.

Kilką więc tygodniami pierwiéj, zajechał na dziedziniec zamkowy, cały obóz naładowany wszelkiemi ornamentami, ku ozdobie i wygodzie służyć mogącemi; a za obozem pan *Faszcz* marszałek dworu, pod dyrekcją którego wszystko się tam porządkować i układać miało. Rozściełano zatém sajety na podłogach, zawieszano makaty i bogate zapony po ścianach, oczyszczano ogromne weneckie zwierciadła; okrywano stoły wschodniemi kobiercami, i zastawiano

je srebrném i złotém naczyniem, wytwornością sztuki złotniczéj lub wagą metalu znakomitém i kosztownem; słowem, monarszy przepych jaśniał w gmachu, oczekującym na przybycie dostojnych gospodarzy.

Wszedłszy teraz książę do pokojów, ucieszył się widząc żonę, na któréj twarzy ślady wczorajszéj słabości znikły zupełnie; otaczało ją niemniéj liczne, jak rycerska męża jéj kalwakata, grono kobiece; wśród którego Nagurski ledwo poznać mógł córkę swą, tak ją odmienił strój piękny, w który nową swę respektową pannę, księżna ubrała. Rzuciła się ona ku ojcu, i bez względu na tę gromadę widzów, z tkliwym płaczem całowała mu ręce; rozrzewniony starzec, przytulił ją do serca, i ocierając także zwilżone oczy, chodź, rzekł, Hanno chodź, upadnijmy do nóg dobroczyńcom naszym; ale księstwo nie dozwoliło téj pokornéj manifestacji, do któréj wiódł córkę Nagurski.

— *Rybeńku*, mówił książę, pod fortunną widać konstellacją, zaczyna się moje hetmaństwo, gdy *favento Deo* *), na pierwszym kroku zdarza mi się zręczność dania opieki cnotliwemu żołnierzowi, a księżna dając rękę do ucałowania Hannie:—dziękuję, rzekła dobrotliwie do jéj ojca, dziękuję waszmości, za tę piękną ozdobę mojego *fraucymeru*, i proszę być o los córki swéj spokojnym.

Głośny dank téj wspaniałéj dobroczynności książęcéj brzmiał jeszcze po sali, gdy niespodziany odgłos trąb dał się słyszeć na dziedzińcu zamkowym.

VIII.

— Co to za trąby? zdziwieni zapytali wszyscy, i rzucili się do okien. Patrzcie, patrzcie! wołano, co za parada? Oho! i odwacht stanął do broni.

— Jak to? przed kim? pytał również zdziwiony hetman, któremu powaga nie dozwalała cisnąć się do okien.

— A przed księdzem infułatem, odpowiedział ktoś, postępującym tu processjonalnie na czele całéj kapituły.

*) Za łaską Bożą.

— Cóż to u licha, odezwał się Nagurski, czy oni papiezcy żołnierze?

Książę się zmarszczył.

— Będzie kuso z panem oficerem, rzekł z cicha Faszcz.

W rzeczy saméj, ksiądz infułat i kapituła Ołycka pragnąc z jak największą uroczystością powitać księcia, który jakeśmy niedawno powiedzieli pierwszy raz po otrzymaniu hetmańskiego dostojeństwa tu przybył, i księżnę pierwszy kroć goście w Ołyce, przygotowywali się do tego pilnie, i ze stosowną podług swych wyobrażeń ostentacją, weszli na dziedziniec zamkowy.

Jakoż postępowali na przodzie dwaj trębacze, którzy przy kollegjacie Ołyckiéj funduszem postanowieni spełniali funkcję owego w monachomachji wspomnianego trębacza «*co w post i wielkanoc*

Z kościelnéj wieży trąbił na dobranoc».

Za niemi szedł sam w swojéj osobie ks. infułat Ołycki i patryarcha Jerozolimski Laskarys z pastorałem w ręku. Nie wiem czy przy świeckiéj téj ceremonji właściwie użył on godła pasterskiéj swéj godności; ale nikt mu tego zaprzeczyć nie mógł, a szło mu o jak największą wytworność obrzędu tego i własnego dostojeństwa.

Tuż za nim szło sześciu kanoników, a jeden z nich JX. Jaworski, wiekiem i samą peryferją poważniejszy od kollegów, niósł na aksamitnéj poduszce roztwarty pargaminowy foliał, potém assystujących kilku kapłanów i kilkunastu seminarzystów, a za niemi nakoniec cechy miasta Ołyki, z rozwiniętemi chorągwiami.

Ostrzeżony o takiéj kalwakacie przez widzów z okna przypatrujących się, książe: Panie marszałku, rzekł do Faszcza, spotkaj waszmość z dworskiemi ks. infułata i prześwietną kapitułę u wschodów; przynoszą oni zapewne wota swéj dla nas słynnéj rekognicji.

— Czy mam ich powitać perorą *ex abrupto* w imieniu JO. księcia pana? zapytał Faszcz: gotów jestem.

— Nie, nie, odpowiedział książe, *respectuose* tylko wprowadź ich tutaj, i śpiesz się. Pan skarbnik wyszedł wnet z kilką dworskiemi, nie bez żalu jednak, że nie mógł dać woli potokowi swéj elokwencji przed tak świetnym orszakiem, i przekonać ks. infułata, że posiada niepospolitą *gratiam oris*. A wszakże mimo zakaz księcia nie mógł dotrzymać, bo pomyślił w sobie, toć Laskarys i kanonicy rozumieć będą, że ja tylko liżę pańskie półmiski, a *pro honore* domu pańskiego i dwóch słów skleić nie potrafię. Piękny mi

marszałek! piękny *lumen* dworu hetmańskiego!!! A więc zszedłszy ze wschodów na ganek, uszykował za sobą dworskich i liczną służbę, pokręcił wąsa i stanął w kroku jak do perory.

Tymczasem zbliżał się infułat, może umyślnie powolnym krokiem dla tego, aby na głos trąb jego obudziło się dlań spotkanie; na pozór opóźniony w marszu nieustanném błogosławieństwem i żegnaniem licznych sług zamkowych, wybiegających z rozmaitych kątów i klękających przed pastorałem.

Z boku i nie łącząc się ściśle do orszaku, ale i nie odłączając się odeń zupełnie szedł Załuski, raźny, młody, przystojny, i pięknie, a nawet z pańska przyodziany młodzieniec.

Przed wyjściem kalwakaty z infułacji rzekł doń Laskarys: Waszmość panie Janie, ponieważ proszonym jesteś razem z nami dziś na obiad do zamku, więc pójdziesz w kupie z akolitami kapituły to jest z klerem, jako wkrótce ich sociusz.

— Darujesz ojcze, odpowiedział Załuski, że rozkazu waszego nie spełnię, książę hetman zaprosić raczył nie kleryka Załuskiego ale świeckiego szlachcica, syna znajoméj mu dobrze familji; więc stanę przed nim takim, jakim dotąd jestem.

Infułat spójrzał nań przenikliwie, a Załuski ukłonił się i odszedł.

Zabrał z domu swą strojną garderobę, którą po obleczeniu się w duchowną sukienkę, miał biednym rozdać, ale tymczasem posłużyła mu do wystąpienia galowo.

Gdy ujrzał Laskarys Faszcza z assystencją na ganku, skinął na trębaczy, aby brzmieć przestali, i śpieszniéj idąc stanął przed nim:

— „*Salvi reverendissime, ac excellentissime pater!* zawołał natenczas głosem oratorskim Faszcz. *Salve et ingrede ad domum clementissimi ducis nostri! cui porta et cor*, stoją zawsze otworem dla waszéj przewielebności!“ *).

— *Gratulor et benedico te* **), rzekł infułat żegnając Faszcza, który wziął go pod ramię, i w górę po szerokich wschodach prowadził.

*) Witaj najszanowniesz ojcze! witaj i wejdź w progi najłaskawszego księcia naszego, którego dom i serce stoją zawsze otworem dla waszéj przewielebności.

**) Dziękuję i błogosławię cię.

Na sali wszystko uroczystą przybrało powagę; grono damskie stanęło za księżną, męzka kompanja za księciem, a oboje państwo na czele, uniżonym pokłonem przywitali wchodzących.

Infułat znowu krzyżem świętym pobłogosławiwszy zgromadzenie, i uchylając czoło, rzekł: „*Serenissime princeps!* Pobożną hojnością na chwałę Boską, wielkich przodków twoich zafundowana, daj Boże *in aeternum*, kapituła Ołycka, stawa tu dziś, składając powinne *homagium* przed tobą, *et ante suavissimam florem lithuanicam, uxorem tuam!* *). Kwiat ten śliczny oplata twoją hetmańską buławę, i w takiém połączeniu jedno z drugiém piérwszy raz jaśnieją tu dziś tak okazale na basztach starożytnego domu waszego. Dozwolcie więc JO. księstwo dobrodzieje, aby *in memoriam* szczęśliwego dnia tego, odgłos chwały i wspaniałości waszéj, przez usta i pisma *in typis* bogomodlców waszych, rozległ się po sarmackim świecie: *et manet in posteritate!*“ **)

Tu wskazał ręką na ks. kanonika Jaworskiego, który oddając poduszkę jednemu z akkolitów, wziął z niéj pargaminową księgę, i odchrząknąwszy a włożywszy okulary, z pierwszéj karty, na któréj złoconemi farbami połączone herby Radziwiłłów i Wiszniowieckich, *Orzeł i Księżyc*, wymalowanemi były, z kaznodziejskim ferworem czytał:

„Na skolligowane obojgu jaśnie oświeconych domów herbowne ozdoby.

„W paragon wiecznéj sławy księżyc z orłem leci,
„Czy skrzydła ma planeta? czy ptak w biegu świeci?
„W równym honoru punkcie, choć innéj figury,
„Książęcy z orłem księżyc, jednéj są natury;
„Kres téj lotnéj gonitwy, cel złotego runa,
„W skolligowanym niebie, publiczna fortuna.“ ***).

Tu deklamator zebrawszy huczne oklaski, i ukłonami przedzieliwszy ten wstępny dystyk od saméj książki, czytał znowu jéj tytuł:

„Pospolite ruszenie
Hołdujących książęcemu honorowi
A P P L A U Z Ó W

---

*) I przed najwonniejszym litewskim kwiatem, żoną twoją.
**) Trwał w potomności.
***) Z oryginału drukowanego 1736.

Pod królewskie Korybutów berło:
Na pierwszy odgłos
Korferowanéj buławy
Tryumfalnym dziełom

Jaśnie oświeconego księcia jego mości na *Nieświżu i Ołyce*, Hrabi na *Mirze, Szydłowcu*, *Krożach i Białéj.*

MICHAŁA KAZIMIERZA RADZIWIŁŁA,
kasztelana Trockiego hetmana polnego
W. X. L.
Przemyskiego, Człuchowskiego etc. Starosty
wielkiéj zaś tego hektora Heroinie,
JW. na Zbarażu i Wiszniowcu księżnie:

FRANCISZCE RADZIWIŁŁOWEJ,
kasztelanowéj Trockiéj, hetmanowéj polnéj W. X. L.
Człuchowskiéj, Przemyskiéj etc.
starościnie.

Z żołdem gratulacyjnych okrzyków
Pod znakiem
Zniewolonéj fundatorskiemu imieniowi wdzięczności
stawione
A w szczupłych wiersza polskiego linjach
Na publiczny ojczystemu światu widok
wyprowadzone.
Od wiecznie obligowanéj pańskim łaskom
kapituły Ołyckiéj.

Ponieważ za jednym prawie tchem cały ten tytuł zacny ks. kanonik odczytał, musiał więc odpocząć. Faszcz tymczasem podniósł krzesła obójgu księstwu i księdzu infułatowi, a orator otarłszy pot z czoła, zaczął na nowo:

Dewizja pierwsza

SARMACKIEGO ORŁA!
Wysokim, a najwyższych godnym honorów
przymiotom
Jaśnie oświeconéj księżnie Imości
applaudującego.

Daléj następuje poezja, w porównaniu któréj Sfinxy i Fenixy Krasickiego straciłyby zaletę niezrozumianéj głębokości i erudycji, na którą cała mądrość ówczesnych uczonych wysilała się; ale my nie będziemy tu przeprowadzać przed czytelnikiem pięciu dywizjów tego pospolitego ruszenia, które poeta i deklamator wywołał i przeprowadził na przegląd przed hetmanem i jego żoną; pozwoliliśmy zaś tylko sobie tego małego epizodu, gwoli obrazu dnia tego, wchodzącego w treść naszego opowiadania.

Załuski zdziwił się, postrzegłszy Hannę w orszaku księżnéj, Hanna nie zapomniała wczorajszych jego ognistych wejrzeń, które dziś ponawiane, tém bardziéj ją przenikały, że i wczorajszéj skromnéj postaci, i skromnego ubioru młodzieniec, dziś był przystojnym, i bogato strojnym paniczem; wzajemnie wzrok Załuskiego padłszy na Hannę, oślepił się blaskiem nowych wdzięków, któremi jaśniała wczorajsza uboga szlachcianeczka, dziś wytwornie odziana dziewica!... Niebezpiecznym jest dla młodego serca mężczyzny, widok niewinnéj, prostéj i nieszczęśliwéj piękności, ale jakże się zwiększa to niebezpieczeństwo, gdy ta niewinność i piękność opromieni się nagle jasném obliczem wewnętrznego szczęścia i zewnętrznéj ozdoby, a wzniesiona w wyższą towarzystwa sferę, zamiast pokornego wzroku sieroty, tkliwém a uroczém okiem *madonny* nań pogląda.

Długiego i więcéj godziny trwającego panegiryku słuchano w milczeniu, ale nie jeden z tylnych szeregów assystencji, nie mogąc ani zrozumieć wysokiéj ks. Jaworskiego poezji, ani dotrwać na nogach, zmykał cicho do drugich pokojów. Nagurski idąc za tym przykładem pociągnął za wylot od kontusza Faszcza, oba odeszli, a gdy byli sami spytał Nagurski:

Powiedz mi panie Skarbniku dobrodzieju, zkąd masz tę suspicję którą przed księciem objawiłeś, że moja Hanna niedługo u księżnéj pogości, i hetmanowi zapowiedziałeś, aby jéj posag gotował. Faszcz uśmiechnął się, pokręcił wąsa i rzekł: Ot tak panie namiestniku, obserwacje moje wczorajsze przy obiedzie infułackim ten mi pressentyment natchnęły; a te obserwacje zdaje mi się, że będziesz mógł sam dziś powtórzyć i sprawdzić; uważaj tylko pilnie na tego tak pięknie wymoderowanego młodzika Załuskiego, i na swoją Hannę; przybył on tu na księdza, ale ja wczoraj poznałem, że bliżéj mu do kobierca, niżeli do ołtarza; bo strzeliścież patrzał na córkę waszmości, a ona jak róża płonęła. Czemużby i nie? chłopiec jak mali-

na, zacnego imienia, i bodaj bogatych rodziców na Litwie, krewny naszego infułata.

— Cóż się waszmości uroiło, panie skarbniku dobrodzieju? odpowiedział kiwając głową Nagurski, że młody chłopiec patrzy na gładką dziewczynę, to zaraz już i swaćba, i mają się żenić! on jakiś panicz, a moja Hanna.... A twoja Hanna, przerwał Faszcz, bogatsza od całego fraucymeru księżnéj, bo między niemi wszystkiemi ona *„jak lilja między cierniem.“* Obaczym co Bóg da? ja mam szczęśliwą rękę na swata, i experjencja moja, w takich konnubialnych cyrkumstancjach doświadczona. Gdybym miał tyle aniołów przy śmierci, ile już małżeństw poswatałem, toby mię oni żywcem do nieba unieśli; a tymczasem obiecuję się waszmości marszałkiem na weselu: będzie huczne, bo je księżna wyprawi.

Tymczasem ostatnią dywizję *pospolitego ruszenia* przeprowadziwszy ks. Orator, złożył napowrót swą księgę na aksamitnéj poduszce, i oddał infułatowi, a ten z pokorną rewerencją ofiarował ją księstwu od całéj kapituły.

Dziękujemy, rzekł książe, tobie illustrissime i całéj kapitule, za ten dowód affektu waszego dla nas, a przyjmując tę od was pamiątkę, postaramy się z księżną żoną moją, abyście wzajemną od nas mieli i zachowali. Rozpoczęły się więc huczne pochwały sypane poecie opływającemu w upojeniu uwieńczonego talentu, i cała kompanja wychodząc z przymusowego nastroju, pomieszała się razem.

Natenczas Załuski przystąpił do księcia i powitał go uniżenie. Książę, przyjmując go uprzejmie, zarekomendował żonie, dodając: Przybył tu kawaler ten z Litwy do kolligata swego ks. infułata, ze ślubem wstąpienia w stan duchowny, lecz spójrzawszy nań wczoraj, a tém bardziéj dziś, nie chce mi się wierzyć aby się ten ślub miał spełnić. Ej młodzieńcze nie gniewaj się, ale *rybeńku*, nie chciałbym cię widzieć w rewerendzie, gdy ci tak pięknie i przystojnie w kontuszu i przy szabli... namyśl się.

— Właśnie namyślam się mości książę dobrodzieju, odrzekł Załuski, a rady i łaska W. K. Mości nie schodzą mi z pamięci.

— Czy słyszysz waszmość, rzekł z cicha Faszcz do Nagurskiego, czy słyszysz? patrzajże teraz na jego oczy, a zrozumiesz gdzie on tych namysłów szuka.

Nagurski zbliżył się do Załuskiego.

Infułat stojący tuż i rozmawiający z księżną słyszał to, ale zaledwo nieznacznym przestankiem, jakby komą w swéj konwersacji, zdradził i ukrył swe podziwienie.

Wkrótce nadchodził czas obiadu, Faszcz nieustający w swych swatowskich zamiarach, bo widać miał jakiś namiętny i nałogowy do tego pociąg, półgłosem rzekł, przystąpiwszy do Załuskiego:

— Jakże mości panie mam cię umieścić u stołu: naprzeciw? czy obok?...

Załuski zmięszał się po wczorajszemu, spójrzał w oczy Faszczowi, zarumienił się i milczał.

— Biedny, biedny z ciebie chłopak.... rzekł ten, ale chodź za mną, rozmówimy się na czysto.

Machinalnie Załuski spełniał rozkaz Faszcza, i wyszedł za nim do odległego, samotnego pokoju.

Tam posadziwszy go pan skarbnik przy sobie, rzekł poważniéj:

— Czy nie jesteś mości panie synem Jana Prospera Załuskiego?

— Tak jest, to imie mojego ojca.

— Miłyż Boże! zawołał Faszcz, więc twój ojciec był mój kondyscypuł w konwikcie jezuickim Wileńskim, nie dziwię się teraz téj sympatji, jaką od razu do ciebie poczułem, on wprawdzie był panicz, a ja chudy pachołek, ale jednakże razem alwar gryźć musieliśmy, i jakoś on mnie polubił, a ja jego; ale potém świat nas rozłączył; wszakże przypomnij mu waszmość Michała Faszcza, a pewny jestem, że miłém mu będzie to przypomnienie, tak jak i mnie miło na sercu, gdy na jego syna patrzę. To mówiąc, ujął rękę Załuskiego, i wstrząsając nią, dodał: No! młodzieńcze, masz we mnie teraz affidowanego przyjaciela. Polegaj na mnie jak na Zawiszy!

— Dziękuję, mówił do łez prawie rozrzewniony Załuski, dziękuję za tę serdeczność i łaskę pańską; obcy tu jestem, nie mam komubym otwarcie mógł wyznać co się ze mną dzieje, i od kogobym mógł się spodziewać szczeréj rady i opieki.

— A co to mości panie? przerwał serjo Faszcz, czyś się między Tatary dostał? wszyscyśmy dzieci jednéj matki.... co się z tobą dzieje, ja wiem i bez twojéj odpowiedzi, przybyłeś tu jak zostać księdzem, podobno tam *ex voto* twoich rodziców, a tymczasem panna Hanna Nagurska wpadła ci do serca... nie prawdaż?

— A gdy i tak jest, cóż mi poradzisz? rzekł smutno Załuski.

— Tak prędko i *ex promptu* nic, bo co nagle to djabła warto.

Nemo sapiens, nisi patiens, mości panie *), a tymczamsem miéj nadzieję w Bogu, którego w każdym stanie chwalić można, nie koniecznie być na to księdzem; ja mniemam, że i twój pan ojciec nie chciałby cię gwałtem oblekać w rewerendę, któréj tak ci nie życzy nasz książę hetman.

— Ale! rzekł nakoniec, jakby przypominając rzecz ważną, jaką publiczną funkcję sprawuje pan ojciec waszmości? w konwikcie zwano go, pamiętam, panem starościcem, ale dotąd musiał już wyrość na starostę całego.

— Mój ojciec.... mój ojciec.... a na cóż ta wiadomość potrzebna panu?

— Jak-to na co potrzebna? obruszył się Faszcz, właśnie *hic et nunc* potrzebna, przecież książę powinien wiedzieć kogo ma u swojego stołu, a ja powinienem wiedzieć *praeminencją* każdego, abym *podstolego* wyżéj od *stolnika* nie posadził.

— Widzisz bo panie skarbniku dobrodzieju, że cel, za którym tu przybyłem, pokorę i zaprzanie się wszelkich zaszczytów światowych załeca, więc. . .

— Stój młodzieńcze, stój, przerwał Faszcz, chcesz znowu mnie starego w pole puścić, a to w nagrodę mego dla cię życzliwego affektu, to niewdzięczność, to hipokryzja! Co mi prawisz o celu, dla którego tu przybyłeś, gdyś go zmienił zupełnie; prawda, że w twojéj głowie i teraz ślub, ale bodaj małżeński nie duchowny; więc to *falsa causa* **) twéj tajemnicy; masz inną za nadrą, i tę mi wyznaj szczerze, jeżeli chcesz, abym ci w twoich imprezach wiernie sekundował.

— Ha! rzekł znowu Załuski, gdy mię tak swoją dobrocią i łaską do otwartości ośmielasz i zniewalasz, panie Skarbniku dobrodzieju, to wyznam, że zdaje mi się, iż objawienie dostojności ojca mojego może mi utrudnić drogę do celu innego . . . który odgadłeś.

— Faszcz zamyślił się chwilę, a potém: Rozumiem, rzekł, rozumiem; o teraz to *vera veritas* ***), z ust twoich wyszła, tak, Nagurski i Hanna przelękną się wielkiego pana, ale gorzéj przelękliby się jakiegoś samozwańca . . . znajdą się może, da Bóg, spo-

---

*) Nikt nie jest rozumny, kto nie jest cierpliwy.

**) Fałszywa przyczyna.

***) Prawdziwa prawda.

soby skonwinkowania ich... mówił zawsze z namysłem i przestankami skarbnik, wszakże to rzeczy późniejsze... *et caetera alia*... tymczasem proszę o tytuł ojca waćpana.

— *Kuchmistrz Litewski i starosta Zawichostski*, odpowiedział skromnie i z cicha Załuski.

— Oho ho! zawołał Faszcz, dygnitarski syn! a jakże cię obok pana namiestnika posadzić?... no, ależ ten namiestnik jest bardzo konsyderowany od hetmana, i wczoraj obok z nim siedział u stołu infułackiego... więc ujdzie... Teraz pójdźmy do kompanji i *cyt!*

IX.

Gdy weszli na salę, Faszcz upatrzył chwilę przyzwoitą i zbliżył się do księcia, z miną okazującą potrzebę rozmówienia się. Książę postrzegłszy życzenie jego, odosobnił się z tłumu.

— Mości książę, rzekł natenczas Faszcz, młody Załuski jest synem Jana Prospera Załuskiego *kuchmistrza Litewskiego i starosty Zawichostskiego.*

— Jak to? dla czegoż mi infułat tego nie powiedział, gdy mi go rekomendował, ja znam starostę.

— Nie powiedział dla tego zapewna, że wysokie tytuły nie dobrze by się może zgadzały z zamiarem, dla którego przybył tu młodzieniec, lecz gdy te zamiary spełznąć mogą na niczém, jak to uważać można było z responsu jego księciu panu, i jak ja wiem *ab inde*... *).

— Zkądże waszmości te *ab inde* przyszło? zapytał książę.

— *Propria oris confessio* **) *JO. panie*, ale o tém *et de caeteris aliis* ***) pozwolisz W. X. Mość pomówić z sobą *semotis arbitris* ****), a tymczasem niech książę pan obserwuje u obiadu Załuskiego, nową respektową pannę księżnéj, i jéj ojca pana namiestnika.

---

*) Zkądinąd.

**) Własnych ust wyznanie.

***) O innych rozmaitościach.

****) Na osóbności.

— Czy tak? to tu jest widzę jakaś konjunkcja okoliczności, czy dla tego kazałeś mi posag dla panny Nagurskiéj mieć na pogotowiu? Faszcz kiwnął głową.

— No to dobrze, skończył książę, jutro więc *summo mane* *), przyjdziesz waszmość do mego gabinetu.

Najgłówniejsza heraldyczna, że tak powiem, nauka i zręczność w owych czasach marszałka dworu wielkiego pana, zależała na tém, aby nie ubliżając broń Boże nikomu, a szykując około biesiadniczych stołów gości, umiał oddać *suum cuique* **), i zachować cieniowanie że tak powiem stopni, urodzenia, urzędów i godności każdego.

Faszcz mógłby zajmować katedrę téj nauki, i dla tego zaordynowawszy akuratnie duchowne, wojskowe i cywilne *stalla*, zastanowił się nad tém, jak umieścić Załuskiego i Nagurskiego razem, gdy jeden do wojskowéj, drugi do cywilnéj partji należał? a przypuściwszy ich nawet obok, którego pierwszym, a którego za nim posadzić?

Po krótkim jednak namyśle, zdeterminował się nie uważać Nagurskiego wojskowym, patent na komendanta zamku Ołyckiego nie podpisany jeszcze, szeptał on sam w sobie, jak student powtarzający lekcje, które wkrótce recytować mu przyjdzie, więc jest gościem cywilnym.... a siądzie po Załuskim, bo toż przecież dygnitarski syn, kuchmistrzewicz Litewski.... tam do licha! kuchmistrzewicz! nazywać go tak nie wypada; mógłby kto powiedzieć, że *kuchmistrzewicz* to *kuchcik* Litewski.... i uśmiechnął się Faszcz z własnego konceptu; ale *starościc Zawichostski*,... jednakże pan starościc najmłódszy wiekiem, i osobistego prawa do preferencji przed starszemi nie ma, a zatém będzie przedostatnim w ordynku, a pan *futurus* komendant nasz, ostatnim z gości... i wypaść może dobrze; bo z drugiéj strony obsiądą stoł damy respektowe, a panna Hanna jako najmłódsza i najpóźniejsza na dworze, będzie również ostatnią w parragonie, i znajdzie się znowu naprzeciw swego adoratora...

Nie wszystko jednak poszło po myśli i planach pana marszałka, układanych w sali jadalnéj, w przechadzkach około długiego stołu, uginającego się pod ciężarem srébrnych waz, mis i półmisków; bo gdy tam zaproszona przezeń cała kompanja weszła i szykować za-

*) Bardzo rano.
**) Każdemu co należy.

częła, po zajęciu piérwszych miejsc przez oboje księstwo, a przy nich infułata i kapituły, i gdy na dalsze to giestem, to wzywaniem rozprowadzał gości marszałek, zaczęły się osobiste między nimi przy każdem prawie krześle ceremonje i układy, modyfikujące jego porządek, a którym jako dobrowolnym, nikt nie miał prawa położyć *veto.*

— Waszmość tu, a waszmość tu, rzekł Faszcz do Załuskiego i Nagurskiego, sadowiąc ich obok. Ale Załuski usuwając się tam od wyznaczonego mu taburetu, posunął przed się starego żołnierza.

— Proszę, mości staroście, akkomodować się tu moim układom, rzekł Faszcz.

— Nie, nie, żywo odpowiedział Załuski, nie zasłużyłem jeszcze w ojczyznie na to, abym mógł uchybić staremu żołnierzowi. który krwią swoją jéj się wypłacił.

— *Centum laudes* mości panie! *centum laudes!* zawołał Faszcz, zapomniawszy się w uniesieniu tak głośno, że wszyscy zwrócili ku nim oczy; a książę zapytał: Co to jest *rybeńku?* za co i komu sypiesz takie *laudesy?*

— Panu staroście Zawichostskiemu, odpowiedział skarbnik, który uszanował wiek i waleczną zasługę pana namiestnika, *alias* komendanta zamku Ołyckiego.

— Co krok spotykamy się, rzekł książę, z dowodami szlachetnych sentymentów, i pięknéj edukacji pana staroście, dajże Boże jemu sukcess szczęśliwy, we wszelkich jego zamiarach, czy duchownych czy świeckich, i uśmiechnął się.

Księżna hetmanowa, pomieszała także szyki pana skarbnika, rzekła bowiem usiadając do stołu:—Panna Nagurska jest dziś jeszcze gością u nas, więc proszę aby tu przy mnie usiadła, poznamy się bliżéj.

Księżna nie wiedziała jeszcze o tajemnicy nurtującéj się powoli po jéj dworze, inaczéj możeby nie odwołała Hanny i nie zmusiła Załuskiego, zwracać bezustannie oczu ku niéj, co nie mogło ujść uwagi Nagurskiego, uprzedzonego już, jakeśmy to widzieli przez Faszcza.

Wśród wspaniałego obiadu tęgo i tłumnego gwaru, który podbudzany kielichami coraz się powiększał, dwie tylko ciszéj prowadzone rozmowy wchodzą w treść naszéj powieści. Księżna wypytywała się Hanny o całą jéj przeszłość, i dowiedziała się z zadziwieniem i ukontentowaniem, że szkoła w któréj się jéj nowa *respektowa* wycho-

wała, to jest szkoła bogobojnéj i roztropnéj matki, lepszą była od wszelkiéj dworskiéj i światowéj, *coby i dziś nieraz sprawdzić się dało*. . . Nie mogła jednak księżna domyślić się przyczyny, dla któréj wśród spokojnéj rozmowy nagły rumieniec oblewał często twarz dziewicy, i niejakieś roztargnienie w mgnieniu oka naprawiane dawało się postrzegać w jéj słowach: był to zaś skutek spójrzeń to płomienistych kochanka, to śledczych ojca, ciskanych na nią z drugiego końca stołu. Między temi zaś dwóma druga toczyła się rozmowa, ale trudniéjsza, ostróżniéjsza, a podsłuchiwana zlekka przez Faszcza, i gdy rwać się zdawała, wiązana przezeń i podbudzana interesowańszą treścią.

— Dziękuję pokornie panu starościcowi dobrodziejowi, rzekł Nagurski, za respekt który mi wyświadczyłeś, dowiadując się teraz o godności pańskiéj, nie inaczéj to uważać mogę, jak za wczesne usposobienie się przez pokorę do stanu duchownego, do którego jak słyszałem zabierasz się mości starościcu.

— Powód mojego uszanowania dla pana wymówiłem szczerze, odpowiedział Załuski, a przyszłość moja nierozwiązana jeszcze, i lubo posłuszny woli i ślubowi rodziców moich, przybyłem tu w zamiarze wstąpienia do seminarjum, pod opieką krewnego mego ks. infułata, wszakże. . . wszakże . . nie umiał skończyć.

— Wszakże przybywszy tu, kończył z cicha Faszcz, głowę swą między nich przychyliwszy, przybywszy tu, ujrzałem pannę Hannę Nagurskę, i straciłem wokację do stanu duchownego, a nabyłem wokacji do stanu małżeńskiego.

Jakby z pistoletu między uszami im palnął, tak się oba wzruszyli. Szczęście, że toczyła się żwawa powszechna rozmowa, *circa majestatem* króla, *et potestatem* hetmana, więc nie zważano ani słyszano téj obszernéj szeptaniny.— Ależ *insperate* panie Skarbniku, *insperate!* mruknął Nagurski kręcąc głową.

— Niechże zaprzeczy pan starościc, rzekł Faszcz odchodząc, i mówiąc podług zwyczaju sam do siebie, no! pierwsze lody złamane.

Lecz i Załuski poczuł stanowczą chwilę. . . .

— Zaprzeczyć temu. . . nie mogę, rzekł więc podnosząc nieśmiało oczy na Nagurskiego. Stary spotkał to wejrzenie własném przenikliwém, opuścił głowę, podumał i rzekł po niejakiéj chwili, zawsze z cicha ale wyraziście: Panie starościcu, podług mego starego rozumu nie tu miéjsce rozbierać kwestję tę, którą nam

skarbnik tak niewcześnie i niespodzianie wrzucił, a jeżeli to nie jest żart...

— Żart? jak to żart? przerwał żywo Załuski, niech mię Bóg skarze, jeżeli to żart.

— Uspokój się panie starościcu, mówił Nagurski, znajdziemy porę stosowniéjszą... W rzeczy samój uspokoił się Załuski i wolniéj mu się zrobiło na sercu, bo cały ciężar tajemnicy spadł zeń niespodzianie. *Wyznanie i przysięga!*... O gdyby jeszcze, myślał on, i ten ślub duchowny tak łatwo odpadł mi z serca...

Tymczasem szumne rozprawy statystów skonkludowały się na zwyczajnym wówczas i znajomym komunale, że władza hetmańska jako środkująca i równoważąca *intra majestatem et libertatem*, jest koniecznie potrzebną w narodzie... A więc zdrowie naszego hetmana! zawołano chorem, i zaczęły się gęste kielichy, na cześć księcia i saméj księżnéj hetmanowéj, i rycerstwa, i duchowieństwa, i tam daléj, i tam daléj.

Książę traktował gości po Radziwiłłowsku, sercem i słowem uprzejmém a braterskiém, ale nie przykładem: dla miłości braci nigdy się sam nie upił, jak zawsze więc tak i teraz traktament prowadził sam skarbnik i ściśle pilnował kolei, dolewał szczerze panu namiestnikowi, a nie przymuszał Załuskiego, ale rzekł znowu między nich: *Non licet* panie starościcu tak nieustannie kosić oczy i patrzeć na księżnę hetmanowę; ostrzegam, że książę zazdrośny, i bardzo cóś pogląda na waćpana.

— A mój panie skarbniku, rzekł uśmiechając się Załuski, cóż się to panu roi?

— Może i pomyliłem się, mówił Faszcz spokojnie, może to obok.... któż tam zgadnie dyrekcję skoszonych oczu?

Uczta się ukończyła aż pod wieczór. Wszyscy potrzebowali wypoczynku, a szczególniéj ci, których ochota do kielicha większą była niż ich siły; cała więc kompanja rozwlekła się po komnatach gościnnych obszernego Ołyckiego zamku.

Ksiądz infułat z kapitułą swoją pożegnał także księstwo. Kanonikowi poecie ks. Jaworskiemu nogi wprawdzie nie rymowały jakoś, ale duch zmuszał ciało do posłuszeństwa...

Załuskiemu, wybierającemu się za infułatem i żegnającemu księstwo, rzekł uprzejmie hetman: Mości starościcu, nim tam cokolwiek o sobie postanowisz, miej dom mój za własny, a mnie za życzliwego przyjaciela.

— Dziękuję najczuléj księciu, rzekł młodzieniec, łasce się i opiece W. X. M. polecam.

— Bądź dobréj myśli *rybeńku*, i ciszéj dodał, wiem *praeter propter* *), co się święci... i u stołu zważałem na was wszystkich.

Szukał potém Załuski Faszcza, i znalazł go w żywéj rozmowie z Nagurskim.

— O wilku mowa, a wilk tuż, rzekł skarbnik.

— Na miłość Boga, przerwał Nagurski, dość na dziś.

— Niechże sobie będzie i dość na dziś, kiedy tak mię zaklinasz, rzekł Faszcz, ale nie na jutro...

Jakoby na treść całonocnych dumań i wniosków, te tylko słowa dosłyszał Załuski wchodzący natenczas do pokoju, gdzie się oni certowali.

Uścisnął ręce obu, a we wzajemném serdeczniejszém uściśnieniu własnéj przez Nagurskiego, zdało mu się widzieć dobrą dla się nadzieję i wróżbę; dopędził potém infułata.

X.

Nazajutrz dwie sceny, mające stanowczo wpłynąć na los bohatera naszéj powieści, odbyły się w jednym prawie czasie w dwóch osóbnych miejscach: w infułacji i w zamku. Opiszemy je po kolei, bo dwóch chwil jednoczesnych a oddzielnych, ani autor ani czytelnik razem w myślach i wyobrażeniu, pomieścić nie mogą.

Cały wieczór i wielką cześć nocy, Załuski przebył znowu na samotném dumaniu w ogrodzie.

Umysł każdego człowieka, a tém bardziéj młodego i niezahartowanego wypadkami życia, im bliższym jest rozwiązania jakiegoś ważnego dlań faktu, tém się go bardziéj lęka, a jeżeli jeszcze na to rozwiązanie sam swemi siłami i swą determinacją ma wpłynąć, drżączka natenczas opanowywa myśli, zwątpienie wolę... i jeżeli przemożniejsza władza charakteru, uczucia lub okoliczności nie poprze nas gwałtem naprzód, często uwięźli w trwodze i niepewności, dajemy przejść stanowczéj minucie, i tracimy cel całego życia, lub owoc długich usiłowań, prac i zabiegów.

*) Mniej więcéj.

Na wszelkich stopniach społeczeństwa stojący ludzie, potężni czy mali, publiczni czy prywatni, żelaznego uporu czy umiarkowanéj roztropności, nie wyprą się tego hołdu, wypłaconego słabości rozumu ludzkiego. Czuł i Załuski, że zbliża się chwila otwartéj rozmowy z infułatem: radby ją odwlekł, i radby ją przyśpieszył; właśnie był to paroksyzm drżenia myśli i zwątpienia woli. . . ale skrócił ten paroksyzm sam infułat, bo rano wezwał do siebie Załuskiego.

Bladość młodzieńca uderzyła Laskarysa, przenikliwy kapłan odgadł od piérwszego wejrzenia walkę jego wewnętrzną; zgłębić więc duszę jego do dna i osądzić go po ojcowsku i po chrześcijańsku, nieubliżając jednak prawom duchownym, postanowił.

— A cóż panie Janie, rzekł on, czas pomyśleć o seminarjum.

Załuski milczał ze spuszczonemi ku ziemi oczyma.

Po niejakim oczekiwaniu odpowiedzi, infułat rzekł znowu, jakże mam tłumaczyć to milczenie? a raczéj jak mam tłumaczyć słowa waćpana wczoraj księciu powiedziane, które ja zanotowałem dobrze w pamięci, choć zdałem się nieuważać; powiedziałeś, że się namyślasz między kuntuszem i sukienką duchowną. . . cóż to miało znaczyć? Trzeba się było namyślić nim tu przybyłeś; sądzić inaczéj nie mogę, jak że tu jakaś na miejscu wynikła przyczyna. . .

— Ojcze! przerwał mu Załuski, masz władzę nade mną: i rodzicielską zlaną na ciebie przez rodziców moich, i pasterską, któréj ulegać powinienem; ależ ojcze sam mi powiedziałeś, że przymuszonéj ofiary Bóg nie wymaga. . .

— Tak, rzekł poważnie kapłan, ale raz uczynionéj i sponiewieranéj potém nie przepuszcza.

— A wiec. . . a więc. . . zawołał głosem rozpaczy i żalu Załuski, niech się spełnia ślub ten! niech się spełnia, choćby mię życie miał kosztować. . .wnet się przeniosę do *seminarjum!*

— Stój! stój! ja na to nie pozwolę, rzekł znowu infułat uroczyście. Brniesz ze złego w gorsze. *Rozpacz i ofiara* na świecie możeby się zgodziły, ale *rozpacz i religja* nigdy! bo religja to uspokojenie, to pocieszenie, to łaska; a więc religja ani obudzi rozpaczy, ani ofiary z rozpaczy nie przyjmie ani uświęci.

— Na miłość Boga, cóż mam robic? rzekł Załuski, rzewnym wyrazem, składając ręce przed infułatem, jak do modlitwy. Cóż mam robić ojcze? rządź mną, hamuj i ratuj mnie!

Wzruszony i zalękniony o stan młodzieńca Laskarys, ujął go dobrotliwie za głowę, ucałował w czoło:—Uspokój się Janie, rzekł,

wszystko się za pomocą Bożą da ułożyć, wymagam tylko, abyś mi najszczerzéj i najotwarciéj wyznał przyczynę, która cię do tak nagłéj zmiany skłoniła: ślub za ciebie rodziców twoich, może być wprawdzie władzą moją duchowną rozwiązany, podjęty lub zamieniony, ale potrzeba na to ważnych powodów.

— Ojcze, rzekł Załuski, wychowany samotnie prawie, strzeżony od świata i ludzi. . .

— Nie, przerwał infułat, nie, inną myśl Bóg mi podaje, gdzie idzie o sumienie, tam z sumieniem rozmawiać należy. Jutro rano będziesz u mnie w spowiedzi, a to z całego twojego życia, z całego twego wychowania, ze wszystkich twych myśli i uczuć przeszłych i teraźniejszych; dzisiejszy więc dzień poświęć pobożnym medytacjom i modlitwom, wezwij Ducha Świętego, i jutro z czystém sercem, stań przed trybunałem Boga, który błogosławi człowieka równie za spełnienie dobra, jak i za usiłowanie ku dobru.

W zamku, podług zalecenia księcia, Faszcz wszedł rano do jego gabinetu, a niespodzianie znajdując tam księżnę, nalewającą właśnie kawę dla siebie i dla męża:

— I jaśnie oświecona pani tu! zawołał zdziwiony, *Deus me adjuvat*, w samą porę.

— Czy tak? to chwała Bogu, odezwała się księżna z miłym uśmiechem, bo rozumiałam mój skarbnisiu, że będziesz mię gdyrał za moją ciekawość kobiecą, która mię dziś tak rano pobudziła; wczoraj mąż mi powiedział, że masz z nim mówić o mojéj nowéj respektowéj pannie; otoż przyszłam posłuchać, wszakże to mnie szczególniéj interesować może, bo polubiłam tę dziewczynę.

— A przecież JO. pani, to dziewczyna nic dobrego.

— Jak to? żywo zapytała księżna.

— Nastaje na duchowieństwo, przybierając minę serio odpowiedział Faszcz, ot i teraz pozbawiła nasze Ołyckie *seminarjum* jednego kleryka.

Rozśmieli się oboje księstwo, a pani podając Faszczowi filiżankę kawy, za którą on najuniżeńszym ukłonem podziękował: Opowiedz nam skarbnisiu wszystko, rzekła, prawdaż to, że ten wcale przystojny i wcale grzeczny chłopiec, ten pan Załuski, tak się zakochał w Hannie, że sie dla niéj odrzeka stanu duchownego, do którego przeznaczonym i poślubionym jest przez rodziców?

— Prawda mościa księżno, prawda.

— A Hanna czyliż wie o tém?

— Wie, jeżeli rozumie elokwencją oczu, bo ta elokwencja ma to do siebie, że *excitat virginalem pudorem* do rumieńca, to jest podbudza skromność dziewiczą. . .

— Niepotrzebnie, mój skarbnisiu, przerwała księżna, łamiesz sobie głowę nad tém tłumaczeniem; wszak wiesz, że ja umiem po łacinie daleko lepiéj od ciebie *).

— *Mea culpa*, mościa księżno pani dobrodziko. *Mea culpa!* zapomniałem, otoż z tych rumieńców panienki wnoszę. . .

— A gdzież i kiedy te rumieńce tak pilnie obserwowałeś skarbniku? zapytała znowu księżna.

Tu już Faszcz musiał opowiedzieć wszystkie szczegóły, począwszy od obiadu infułackiego, aż do dziejów całego dnia wczorajszego, a które już opisaliśmy; gdy skończył opowiadanie, rzekła księżna: No, teraz się domyślam, przyczyny roztargnień i rumieńców Hanny, gdy obok mnie siedziała u stołu.

— Jakaż z tego wszystkiego konkluzja? zapytał hetman.

— A jakaż inna mości książe być może, jak że trzeba ich pożenić, a to głównie zależeć będzie od łaski i względów W. X. Mości, którym się starościc po kilkakrotnie a szczerze polecał.

---

*) Księżna Teofila Urszula z Wiszniowieckich Radziwiłłowa, była jedyną córką Janusza Wiszniowieckiego i Teofili Leszczyńskiéj. Ojciec jéj kasztelan Krakowski, był ostatnim swojego rodu. Urodziła się na początku XVIII wieku, i otrzymała najstaranniejsze wychowanie, klassyczne nawet pod względem starożytnych języków i głębszych historycznych pojęć i wiadomości. Mając lat 18, wydana za księcia Michała Kazimierza Radziwiłła obdarzyła go liczném potomstwem. Kilku synów umarło w małoletności. Janusz i Karol urodzeni w r. 1730, byli bliźniętami; Janusza uważano za starszego, lecz i ten w 19 roku życia zszedł ze świata. Z córek, których dwie czy trzy w dzieciństwie umarło, wychowały się dwie tylko: Katarzyna, wydana późniéj za Stanisława Rzewuskiego chorążego W. X. L., i Teofila która dobrze już po śmierci matki wyszła za Morawskiego. Księżna Urszula była troskliwą i oświeconą matką, a w czułém zajęciu się około wychowania swych dzieci, miała najzdrowsze pojęcia o tém, na czém prawdziwa instrukcja zależy; zostawiła ona w téj mierze swoje wyznanie wiary, napisane wierszem (które w archiwum Nieświżskiém znajdować się musi), pełne rozumu i prawdziwéj macierzyńskiéj miłości. Z teatru, drukiem po jéj śmierci ogłoszonego, nie należy brać miary ani o zdolnościach, ani o smaku literackim téj pani, były to na prędce rzucane na papier raczéj obrazy niż dramata, które młodzież dworska na improwizowanym teatrze reprezentowała. Ale w listach, których ogrom w archiwum dotąd się przechował, w wyżéj wspomnianéj instrukcji wychowania, wszędzie daje się poznać umysł szlachetny, rozum dojrzały, i nalepsze serce.

Uśmiechnął się książe i rzekł: Dobryś waszmość na swata, o tém wiem dawno, ale wybaczaj *rybeńku*, nie na dyplomata. Czy pomyśliłeś jakby mi podziękował pan kuchmistrz Litewski, gdybym syna jego, którego on tu wysłał na księdza, ożenił.

— Żenić jego, mości książe dobrodzieju, nie potrzeba, on sam ożeni się, a na dowód żem liznął nieco i dyplomacji dworskiéj, bez któréj nie tylko na marszałka dworu W. X. Mości, ale i na prostego swata bym się nie zdał, powiem jaśnie oświeconemu państwu, że żenić cudzego syna, bez woli i jakby na przekor jego rodzicom, księciu nie wypada; ale księżnéj pani naszéj i dobrodzice, wydać swą respektowę sierotę za mąż, gdy się pomyślnie i szczęśliwie zdarza, to nie tylko wypada, ale to sława przed ludźmi a zasługa przed Bogiem.

— Nie mam co powiedzieć, rzekł książę śmiejąc się, submittuję się, dowiodłeś, żeś liznął dworskiéj dyplomacji, rozróżniłeś subtelnie ożenienie od wydania za mąż.

— Ale co tam pomogą te subtelnoście i swaćby, odezwała się księżna, gdy niewiadome sentymenta panny; bo to że niewinna i skromna dziewczyna rumieni się przed wzrokiem pałającym młodzieńca, nie dowodzi jeszcze że go kocha.

— Właśnież dla tego, rzekł Faszcz, ujrzawszy tu księżnę panię, powiedziałem, że w samą porę przychodzę, bo do stóp waszéj książęcéj mości przypadając, prosimy abyś raczyła wyinkwirować pannę Nagurskę...

— Ale mój skarbnisiu, przerwała księżna, co znaczy taka gorąca swaćba twoja?

— A już to JO. pani, kto w moje ręce wpadł, to nie wykręci się, musi bez ceremonji ożenić się, a księcia pana dobrodzieja błagamy, abyś *in casu necessitatis* dał admonicję infułatowi jeżeliby chciał za to votum duchowne mocno się trzymać, bo tu znowu *distinguo* mości książę: ożenienie się Załuskiego to rzecz późniejsza, i do tego W. X. Mość nie mieszasz się wcale, lecz wyzwolenie jego od stanu, do którego on nie ma najmniejszego powołania, to jest wyzwolenie go jakby z niewoli, przystojném jest dla W. X. Mości, który *custodias libertatem civicam in reipublice* *); a zatém gwałtów i przymusów zwłaszcza pod własném pańskiém okiem ścierpieć nie możesz.

---

*) Strzeżesz wolności obywateli w Rzeczypospolitej.

Rozśmiał się książę z całego serca. Wybornie, wyśmienicie, mój kochany skarbniku, rzekł: będę cię promowował posłem na piérwszy sejm; boś jak widzę i orator tęgi i potrafisz *in casu necessitatis*, jak sam powiadasz bicz z piasku ukręcić; do infułata wszakże przemówię, bo jakém to nieraz oświadczył, niechętniebym widział tak udatnego i z ciała i z duszy młodzieńca ujętego światu; jednakże potrzeba, aby mi on sam wyznał swą niezwyciężoną niechęć do stanu duchownego.

— Nic sprawiedliwszego książę panie, rzekł Faszcz, i nic łatwiejszego.

— A mnie, odezwała się księżna, aby wyznał swoje uczucia dla Hanny i swe zamiary.

— Nic sprawiedliwszego księżna pani, i nic łatwiejszego, powtarzał Faszcz, ale...

— Jakież ale? zapytała księżna, patrząc mu w oczy, jakież ale?

— Ale gdy, vota starościca... nie trafią do serca panny Nagurskiéj?...

— To weźmiecie po staremu kosz na grzyby, rzekła śmiejąc się księżna.

— Otoż wolelibyśmy z łaski księżnéj pani wiedzieć pierwiéj...

— To jest mieć odpowiedź przed zapytaniem, rzekła księżna.

— Nie, mościa księżno, czyż wszystko to co mówię nie jest zapytaniem?

— A jeżeli swatany wyprze się swata? rzekła znowu księżna.

— Jak to JO. pani, jak to być może? O, natenczas na prawdę musiałby zostać księdzem, i to kapucynem; bo ze świata wypędziłbym go gdzie pieprz rośnie. Ale nie, mościa księżno nie! To szlachetne dziecię, szlachetnego ojca... taka krew nie zmyli honorowi!... Przed ojcem Hanny wyznał ku niéj swą miłość i zaklął się, jakém to opowiedział księstwu: przedemną jak przed przyjacielem otworzył swe serce. O nie, mościa księżno dobrodziko, nie, on się ożeni z Hanną, albo...

— Cóż albo? przerwała niespokojnie księżna, albo pójdzie w świat gdzie go oczy poniosą, na Zaporoże naprzykład,.. i rodzice jego zamiast księdza, mogą mieć syna kozaka.

— A niechże Bóg ich broni od takiego smutku! rzekła hetmanowa.

— Nie dójdzie do téj fatalnéj katastrofy, jeżeli księstwo dobrodzieje będziecie nań łaskawi, rzekł Faszcz.

— No, no, mowił nakoniec książę, upewnij go o mojéj szczeréj dlań życzliwości.

— A odemnie powiedz mu, dodała księżna, że starać się będę, aby od Hanny wziął koszyk z różą, a nie z grzybami. Faszcz odszedł zatém w najlepszym humorze, i w ten moment rozmowę tę z księstwem, powtórzył Nagurskiemu.

XI.

Infułat przez cały dzień rozmyślał i zastanawiał się głęboko, jakby miał sobie w tém nadzwyczajném zdarzeniu postąpić? a lubo prawdziwéj przyczyny odstręczającéj Załuskiego od stanu duchownego nie wiedział, ani się domyślał; wszelako uznał, że zmuszać go do spełnienia rodzicielskiego ślubu nie może, ani powinien, nie przyjmował on w sumieniu swojém jezuickiéj maksymy *compelle intrare* *), i dowolne tylko a ochotne *votum* uznawał godném ołtarza pańskiego. Mając on w infułackiéj swéj i patryarchalnéj dostojności pełną władzę „*rozwiązania na ziemi, co rozwiązaném miało być w niebie*,“ łatwo wprawdzie mógł użyć teraz téj władzy, i otworzyć młodzieńcowi przywarte przed nim wrota na świat; pewnym był także, że perswazja jego listowna, a w potrzebie osobista nawet, potrafi ułagodzić rodziców w gniewie na syna, jeżeliby gniew ten był nadto surowym i upartym; ale mądry kapłan znał dobrze serca ludzkie, wiedział zatém, że niespokojność z jakiejbykolwiek przyczyny, skoro raz wejdzie w nie, i w niém się zagnieździ, staje się chorobą chroniczną, udręczającą bez ustanku, czepiającą się do wszelkich myśli człowieka, wątlącą wszelkie jego zamiary; a cóż dopiero gdy niespokojność ta i trwoga, łączy się z religijném uczuciem, i grozi nam palcem gniewu Bożego!!!

Od takiéj więc niespokojności i trwogi, chciał infułat uwolnić i ślubujących i poślubionego, i rodziców i syna; konkludując podług zasad ówczesnéj pobożności, że tego prostém słowém dokazać nie zdoła, że bez ofiary za ofiarę, zostanie zawsze dług nie wypłacony, i bojaźń aby się oń srogo nie dopomniano, tém większa w sercu

*) Zmuś do wejścia.

poślubionego, że każdéj niepomyślności, a broń Boże śmierci w rodzeństwie, on siebie winnym sądząc, zgryzocie i rozpaczy mógłby na końcu uledz, osobistego tu więc trzeba było okupu nie łatwego i pozornego tylko, i nie tylko zadość czyniącego kościołowi, ale uspakajającego własne okupującego się sumienie. Nakoniec ostateczną determinację niepewnych myśli swych i projektów, zawiesił infułat do jutrzejszéj spowiedzi Załuskiego.

Nazajutrz była niedziela, i Laskarys zasiadł z rana do konfessjonału. Zwróciło to szczególniéjszą uwagę duchowieństwa, bo infułat *penitencjarjusz* rzymski, wtenczas tylko siadał do spowiadania, gdy ktoś szczególniejszych potrzebował indulgencji; a jeszcze bardziéj się zadziwiono, gdy przystąpił do konfessjonału sam jeden tylko Załuski. Zkądżeby w młodzieńcu tak ciężkie grzechy? zdziwienie to się zdwoiło, gdy postrzeżono, że po dość długiéj spowiedzi infułat wstał, i kilka słów przemówiwszy do penitenta, odszedł z konfessjonału;—nie dał absolucji, szeptano po kościele, nie dał absolucji. W rzeczy zaś saméj, infułat posłyszawszy z ust Załuskiego niespodziane dla się wyznanie miłości jego dla Nagurskiéj, i osądziwszy, że to główna przyczyna niepodobieństwa spełnienia przezeń rodzicielskiego ślubu, uczuł wnet potrzebę i nowego dla się namysłu względem warunków, pod któremi mógłby ten ślub rozwiązać, i świeckiego rozmówienia się z nim; dla tego zawieszając spowiedź rzekł mu: „dokończysz spowiedzi na nieszporach.“ Zadziwił się Załuski, i wysłuchawszy w samotnéj ławce mszy rannéj, odszedł do swéj celi.

Troska dzienna, noc bezsenna *), jedna idzie za drugą! i zawsze prawie są razem, gdy los prześladujący człowieka wezmie ich obie ku pomocy; sen, litościwy przyjaciel biednych, błąka się natenczas około nich, i rzuca im od czasu do czasu ukradkiem garstkę maku na oczy, te się kleją na chwilę, to chwila ulgi... to kropla ze źródła zapomnienia... jeżeli i w tę chwilę nie wcieli się rozpacz i nie zapełni jéj fantastycznemi marami, przedstawującemi dręczącą rzeczywistość w karykaturze. Daruj czytelniku, jest to jęk boleści samego autora, nie stosowny wcale do stanu opisywanego przezeń młodzień-

*) Barkarola Korsaka.

ca. Wprawdzie kilka nocy przeszło mu bezsennie, troski i walki wewnętrzne zmordowały go, więc potrzebował on odpoczynku, i gdy na twardéj kanapce ks. Idzego przyległ, wnet mimowolnie usnął głęboko.

Przebudziło go wykrzyknienie: „Ty śpisz a twoja dola rośnie!“ Zbudzony ujrzał przed sobą Faszcza.—Rozumiałem, że cię znajdę w kościele, mówił on daléj, a ty panie bracie przespałeś tu całe nabożeństwo; ks. Jaworski powiedział mnie, gdym się o ciebie zapytał, żeś ty był w spowiedzi u infułata, i że on tobie nie dał rozgrzeszenia, co to się znaczy.

Załuski powitawszy skarbnika, uśmiechnął się.—Infułat, rzekł on, kazał mnie być u siebie dziś rano w spowiedzi, a wśród spowiedzi sam ją nie wiem dla czego przerwał, ukończenie i absolucję odkładając na nieszpory.

— Gdym tu wszedł, rzekł Faszcz, poznałem po snie twoim głębokim, że to fałsz; grzesznik bez absolucji nie zasypiałby tak spokojnie. No, jeżeliby wszakże infułat bałamucił, mamy na niego hetmana. Interessa twoje idą wyśmienicie, Hanna będzie twoją.

— Zkąd ta pewność panie skarbniku dobrodzieju? żywo zapytał Załuski, zkąd ta pewność, gdy ona nie wie dotąd zapewne, że ją tak serdecznie pokochałem.

— Otoż to, że już wie, bo prócz twoich strzelistych spójrzeń na nią, postarałem się ja, żeby jeszcze ktoś inny jéj o tbbie mówił.

— Któż, panie skarbniku, kto?

— Ej mój kochany starościcu, długoby o tém gadać; a ja nie mam czasu, i zabiegłem tylko do ciebie, abym ci dobre nowiny *summatim* zwiastował. Księżna ubłagana wczoraj przezemnie, przyrzekła, że wyinkwiruje sentymenta swojéj respektowéj względem waszmości...

— Ach! ach! zawołał Załuski.

— A co? mówił daléj Faszcz, musiałbyś nieboże przebyć wiele manowców, nimbyś się dobił do téj cnoty, do któréj ja jednym susem doskoczyłem, i ciebie doniosłem. Dziś najłaskawsza nasza księżna pani, przechodząc około mnie, rzekła z uśmiechem: „No skarbnisiu, zbieramy kwiatki nie grzyby do kosza, który nam przynieść macie,“ i spójrzała na idącą w jéj niewieścim orszaku Hannę; alluzję tę tylko ja jeden zrozumiałem, a więc najuniżeniéj kłaniając się, zapytałem: Możemyż JO. pani po te kwiatki śmiało sięgnąć?

księżna uchyliła głowę, a więc dziś wieczorem staw się waszmość u mnie. Nagurski ze mną mieszka, więc...

— Ale zapominasz kochany skarbniku, a prawdziwy mój dobrodzieju, przerwał Załuski, o najważniejszéj okoliczności...

— Chcesz mówić, przerwał wzajemnie Faszcz, o twoim ślubie duchownym.

— A tak, rzekł Załuski, rozmawiałem już o tém z infułatem; wie on, że ślubu tego spełnić nie mogę, a zatém że go rozwiązać musi, ale pod jakiemi warunkami? to przewidzieć trudno; domyślić się jednak łatwo, że spowiedź wczoraj mi przezeń nakazana, i dzisiejsze jéj przerwanie, należy jakoś do jego determinacji i myśli.

— Nie zapomniałem i o tém, rzekł Faszcz, i mamy słowo hetmańskie, że *in casu necessitatis*, on się wda w tę sprawę, ale jedynie tylko co do twoich ślubów, i na infułata wpłynie *per viam persuasionis.*

— Cóż na to wszystko, mości panie? zapytał nakoniec skarbnik, patrząc przenikliwie w oczy milczącemu Załuskiemu, możesz się jeszcze cofnąć; wstąp do seminarjum. Nagurski ujrzawszy Załuskiego kleryka, zapomni co zaprzysięgał Załuski staroscic Zawichostski; tylko ostrzegam, nie waż się natenczas patrzeć na jego Hannę okiem bazyliszka; bo stary żołnierz...

— Co to znaczy panie skarbniku, przerwał żywo Załuski, probujesz mię? przez com dał panu prawo wątpienia o moim honorze, sumieniu i sercu?

— Brawo! zawołał ukontentowany Faszcz, ściskając rękę Załuskiego, brawo! Swatany nie wyprze się swata!

— Dla Boga skarbniku, rzekł Załuski, nie rozumiem pana, mówisz pod figurą; w jakichś alluzjach to do kwiatów, to do swatów.

— Zrozumiesz, zrozumiesz wszystko, i o wszystkiém się dowiesz, tymczasem bądź zdrów, a czekam wieczorem, czekam, i śpiesznie odszedł.

Nie miał jeszcze czasu Załuski rozważyć dokładnie, co mu Faszcz powiedział, gdy infułat wezwał go na powtórną rozmowę. Zadumany, z opartą głową na ręku, siedział Laskarys za tym samym stołem, za którym przy pierwszym wstępie przyjmował Załuskiego; gdy ten wszedł, wskazał mu krzesło i gdy z przemówieniem zdawał się czekać, aż Załuski usiądzie, przeto on usiadł.

Po niejakiém jeszcze milczeniu, jakby namyśle, rzekł infułat: Nie przyłożyłem jeszcze, panie Janie, sakramentowéj pieczęci do twéj spowiedzi, bo po tém coś mi wyznał, po objawieniu nagłych twych zapałów do panny Nagurskiéj, uczułem wnet, że mi wprzód koniecznie potrzeba świeckiéj z tobą rozmowy, nim duchowną jakąś weźmiemy da Bóg determinację; zresztą, rozmowę tę naszą samotną, za dalszy ciąg spowiedzi uważać możemy, dla tego jednostajnéj od ciebie szczerości jak przy konfessjonale wymagam. Załuski uchylił pokornie głowę.

— Powiedz mi zatém, mówił daléj infułat, czy to miłość dla Hanny, jest jedynym powodem odrazy twéj od duchownego stanu? czy bez niéj ochotniebyś spełnił ślub twych rodziców?

— Ojcze, odpowiedział młodzieniec, gdym był w domu, codzień mając przed oczami przeznaczony mi stan mój przyszły, i codzień doń usposobiany, nie pomyslałem o innym; nie pomyślałem, że może być dla mnie inny, a zatém nie miałem przyczyny badać siebie, czy mam rzeczywistą wokację i ochotę do tego stanu? jam natenczas już był księdzem, tylko bez święceń. Ale gdym za bramę rodzicielską wyjechał, świat mię objął nowy, potonąłem w nim ojcze myślą, sercem i duszą, dojrzałem od razu, iż z trudnością przyszłoby mi wracać do celu, dla którego tu dążyłem; a uczułem, że zostanie mi w duszy tęsknota za światem, którego nie poznałem wprawdzie, ale który mi choć krótko, ale tak jasno i mile zaświecił.

— Czemużeś mnie tego wnet po przybyciu tu nie objawił, owszem powiedziałeś mi. . .

— Powiedziałem, mówił Załuski, że mam postanowienie spełnić ślub rodziców moich, i rzeczywiście miałem to postanowienie, bo chwilowe wrażenie nie mogło przeważyć we mnie obowiązku od dzieciństwa wpajanego. Ale ojcze! inne uczucie, inne wrażenie oczekiwało na mnie widać z przeznaczenia Bożego, widać z woli Bożéj, bo oczekiwało mnie w domie Bożym. . .

Zamilkł.

— Cóż więc? rzekł infułat.

— Cóż! oto przedtém oblekłbym suknię duchowną bez powołania wprawdzie, bez ochoty, z żalem może, ale bez wstrętu i z wewnętrzną nadzieją, że z czasem pozbywszy się marnych pochopów do świata . . . będę mógł bliźnich moich nauką i przykładem, a z własnego doświadczenia, naprzeciw tym pochopom ubezpieczać; ale ojcze, jakże tego kiedykolwiek dokazać potrafię, gdy czuję, że

jest szczęście na świecie, do którego nigdy już nie przestanie tęsknić dusza moja, jeżeli go posiadać nie będzie?

— A przecież osiągnienie tego mniemanego szczęścia nie łatwém ci będzie, bo naprzód czy jesteś gotów na wszelkie ofiary, któremi okupić musiałbyś ślub rodziców twoich tak, aby zadosyć uczynienie kościołowi, pokój wewnętrzny i tobie samemu i im przyniosło.

— Jestem gotów, odpowiedział Załuski, byleby te ofiary...

— Nie pozbawiły cię, przerwał Laskarys, nadziei, którą teraz w duszy twéj pieścisz, rozumiem.

Przeszedłszy potém kilka razy swój pokój w zamyśleniu, obrócił się nagle do Załuskiego ocierającego łzy, bujnemi kroplami spadające mu po twarzy; położył mu rękę na ramieniu i uroczyście rzekł: Czekam cię u konfessjonału...

Wieczorem tegoż dnia zaproszony przez księcia hetmana infułat, udał się do zamku, niezgadując przyczyny tak późnego wezwania i ledwo po północy wrócił do siebie. Tuż za nim wszedł Załuski.

Młodzieniec był blady i znękany, chwil kilka milczenia, potém ukląkł on przed infułatem i pokornie uchylając głowę, błogosław ojcze! rzekł.

— Tak, odpowiedział infułat, tak, podnosząc obie ręce w górę, błogosławię cię! boś uległy głosowi wiary, wracasz na świat przez pokorę i ofiarę, wstań!... A jeżeli jest w przeznaczeniu twojém, aby się ziściły zamiary twoje, tak uroczyście dziś przez ciebie objawione, tak szczęśliwie do serca poczciwéj i skromnéj dziewicy przyjęte, i tak wysoką opieką obójga księstwa usankcjonowane, jeżeli Bóg skłoni ku temu wolę i rodziców twoich, natenczas ja, który ci ślub duchowny rozwiązałem, zwiążę cię ślubem, który śmiercią tylko się rozwiązuje.

— Moi rodzice ojcze! moi rodzice wiedzieć o mnie nie będą, rzekł Załuski żałośliwie.

Bądź o nich spokojny, a oni przezemnie o ciebie spokojnemi będą.

Załuski rzucił się zatém jeszcze raz w objęcia kapłana, i jeszcze raz przezeń przeżegnany, wyszedł.

XII.

Świt ranny zaledwo się na wschodzie czerwienił, gdy bryka tak nazwana *Brodzka*, czterema końmi zaprzężona, z woźnicą tatarem ordynackim, wyszła z zamku i stanęła na drodze z Ołyki do Litwy wiodącéj; wnet zbliżyły się do niéj trzy osoby, byli to: Faszcz, Nagurski i Załuski, trzymający w ręku małe zawiniątko.

— No, niechże cię Bóg szczęśliwie prowadzi, kochany nasz starościcu, rzekł Faszcz, bądź dobréj myśli! co się przewlecze, to nie uciecze. Książę rozkazał, abym cię zapytał, czy masz zapas na drogę; oto jest sto dukatów, które on ci pożycza. Tatar zaś ma rozkaz wieść cię dokąd każesz i póki każesz.

— Oh! stokroć i najczuléj dziękuję księciu panu za wszelkie jego a raczéj ich obójga dobrodziéjstwa dla mnie, pieniędzy nie potrzebuję, mam ich dosyć, a nawet nadto w mojém dzisiejszém położeniu. Ty zaś panie skarbniku, który mi tu najpierwszym stałeś się przyjacielem, który najpierwszy zgadłeś co się w mém sercu stało, który wczoraj wieczorem gdym upadający pod ciężarem naznaczonego mnie odkupienia przywlokł się do zamku, podźwignąłeś mię i zjednałeś chwilę najszczęśliwszą w mém życiu, w któréj wszelkie me nadzieje złożyłem w opiekę opiekunów ukochanéj Hanny, w któréj ty ojcze miłość mą czystą i prawdziwą ku niéj swém rodzicielskiém przyzwoleniem pobłogosławiłeś . . .

— Tak, przerwał Nagurski, pobłogosławiłem, a serca córki méj nie przyniewalałem, ono się samo ku waszmości skłoniło; jeżeli więc dotrwasz w swoim ku niéj affekcie przez ten czas próby, a mnie da Bóg tego dożyć, oddam ci Hannę! a jeżeli nie dożyję, to i sam ją wezmiesz z rąk jaśnie oświeconych naszych benefaktorów.

— Daj pokój stary żołnierzu, rzekł Faszcz, żyć będziesz *matuzalowe* lata, i obaczysz jak honeste udysponuję ich wesele.

— Ubierz się natenczas, panie skarbniku dobrodzieju, rzekł Załuski rozwijając zawiniątko, w ten pas, który racz przyjąć ode mnie na pamiątkę dobra, któreś mi tu sprawił.

— Oho! *pańskoje dziecia!* wykrzyknął Faszcz, lito i bogato! akceptuję i dar i warunek: to zwyczajne dworskie akcydensa, a ten podwójnie mnie miły, i z ojca i z syna. A zatém *Deus te benedicat*, *ducat*, *et reducat!*

Załuski uścisnął z rozrzewnieniem przyszłego swego teścia i poczciwego dworaka przyjaciela swego, siadł do bryki, a w tém promienie wchodzącego słońca oblały szlak drogi blaskiem, w który się ponurzył powóz . . . i myśl jadącego tą światłością ożywiona, ponurzyła się w słodkich wróżbach i marzeniach nadziei . . .

Powieść nasza rozpoczęła się listem Załuskich do infułata, kończy się odpowiedzią nań infułata, którą Załuskim oczekującym na wiadomość od syna, przywiózł umyślny goniec z Ołyki, była zaś ona w takich wyrazach:

„Jaśnie wielmożny a kochany kuzynie i osobliwy dobrodzieju!

Syn wasz Jan przybył w zdrowiu i szczęśliwie do Ołyki, z postanowieniem spełnienia pobożnego *votum* waszego, lecz serca ludzkie są w sercu Boskiém, i podług Jego woli idą przeznaczenia nasze; więc ulegać téj woli z pokorą powinniśmy. Jan uznał tu siebie niezdolnym do stanu duchownego, a zmuszonéj ofiary kościół przyjąć nie może; śluby więc wasze i Jego są przezemnie rozwiązane duchownie; „*Quidquid ligaveritis in terra*, *ligatum erit et in coelo*; *quidquid vere solveritis in terra*, *solutum erit in coelo*.“ *). Ale niżeli świat ujrzy go na nowo, musi on spełnić ofiarę odkupienia, przez kościół mu naznaczoną, która razem będzie i ofiarą waszą, bo przez lat trzy, on życie pustelnicze, wy nieobecność jego zupełną, a nawet niewiadomość miejsca pokuty jego przenieść musicie. Wszakże uspokojenie rodzicielskiéj troskliwości waszéj o nim ja biorę na siebie, i serc waszych *in oppressione* **), nie zostawię. Zatém Bogu was polecam, Ks. Jerzy Laskarys, patryarcha Jerozolimski, Infułat Ołycki.“

---

*) Cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związano i w niebie; cokolwiek zaś rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie.

**) W zmartwieniu.

Wkrótce potém zjawił się w *Proniunach* nowy młody pustelnik, i zajął chatkę pustelniczą po Wołkanowskim opustoszałą *). Zgaduje czytelnik, że to był Załuski.

*) Pustelnik w proniunach. Podania Litewskie, serja druga.

KONIEC.

DWIE KONWERSACYE
Z PRZESZŁOŚCI.

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.
Kochanowski.

KONWERSACYA SZLACHECKA.

PRZEDKILKODZIESIĘCIOLETNIA.

I.

Przebywszy Wilię za Smorgoniami, na trakcie z Wilna, w głębszą północną Litwę wiodącym, wjeżdża się w bór gęsty, i przez dwie mile drogę tylko przed sobą widzieć może podróżny; lecz nagle otwiera się las i miła a gęsto zamieszkana rozwija się okolica. Gdziekolwiek rzuci się okiem, wśród pól urodzajem okrytych, wśród zieleniejących się łąk i gajów, ujrzysz to długie i szykowne sioła, to dwory i sady, to świecące się zdaleka na kościołach i kaplicach krzyże, jakby godła Opatrzności i błogosławieństwa nad tą krainą. I tak z okiem i sercem rozweselonėm, przebywasz jeszcze mil parę i zbliżasz się do drugiéj rzeki *Naroczy*, mniejszéj od Wilji, jednakże znakomitszéj między strumieniami litewskiemi, i pięknością brzegów swych słynącéj, za którą droga znowu w ciemny bór się wciska,

Wśród téj powabnéj okolicy, w blizkim od drogi i wspanialszym nad inne, a do dziś dnia stojącym i zamieszkanym dworze, żył przed kilkudziesięcią laty *Joachim Chomiński*, stolnik oszmiański, pan dostatniéj fortuny i szumnéj szlacheckiéj fantazyi, przedłużający w domowém życiu owe swobodne, nieoględne na jutro, lecz zacne,

szczere i poczciwe obyczaje, jakie natenczas już staroświeckiemi zwać zaczynano.

Rzadko się wydalający z domu, bo we własnym używał dobrych czasów, i zamiast jeżdżenia w gościnę, do siebie zapraszał gości, a racząc wszystkich suto i sowito, na samotność uskarżać się nie mógł. W funkcye publiczne nie wdawał się także, a chociaż wodził na Oszmiańskie sejmiki liczne partye dla pomocy przyjaciołom, i nieraz z bracią szlachtą łba nadstawiał, ale go nigdy porąbać sobie nie dał, bo był znakomity i powszechnie znany gracz do szabli.

Zresztą, zawsze wesoły i dobrego humoru, sypał jak z rękawa staroświeckie dykteryjki, zagadki, sentencye, po łacinie szczególniéj, i wierszem i prozą, i cudze i własne, bo i sam często *koncypował* wiersze; a wszystkie dawnym obyczajem, w jednę wielką spisywał księgę, mieszcząc w niéj razem i wszelkie inne notaty publiczne, lub domowe i prywatne. Księga ta nie odstępowała go nigdy, zabierał ją nawet z sobą w gościnę; był to bowiem arsenał dostarczający mu wszelkiéj broni, i żartobliwéj dla utrzymania dobrego humoru w kompanii, i poważniejszéj do przekonywania w dysputach. Żył więc sobie pan stolnik jak pan, i jak żyć każdemu życzę, żył też długo, bo go i ja pamiętam jeszcze, jakbym nań teraz patrzał.

Rodzina Chomińskich, bardzo starożytna i dostatnia w Litwie, licznie natenczas rozrodzoną była. Pan stolnik miał kilku braci młodszych od siebie; był on najstarszym w familji i mógł mieć lat ze sześćdziesiąt, w czasie i chwili, którą za treść do opowiadania biorę. Po nim następował brat jego, biskup Zenopolitański i dwóch jeszcze z kolei; a z tych najmłodszym był Ksawery Chomiński, naprzód pułkownik Pińskiéj brygady, potém starosta piński, marszałek trybunalski, i nakoniec wojewoda bracławski. Dwadzieścia lat przedzielało go od najstarszego.

Ten był człowiek publiczny, i na takiego za młodu wykształcony, a zatém wchodził w skład nowego pokolenia ludzi gromadzących się około tronu króla, tak nazwanego *wskrzesiciela nauk*, do którego względów i szacunku francuzką tylko mową, strojem i obyczajem trafić można było. Pan wojewoda więc nietylko dobrze mówił tym językiem, ale go doskonale posiadał; a idąc za rozpowszechniającém się już upodobaniem w literaturze francuzkiéj, wspomagany wrodzonym zapewne do poezyi popędem i darem, tłómaczył

na język ojczysty kilka celniejszych dzieł poetycznych téj literatury *). A tak łącząc w sobie i publiczne obywatelskie znaczenie, i oszacowywane natenczas bardzo, zwłaszcza w wyższych sferach towarzyskich, literackie zalety, miał przed sobą otwarte wszystkie drogi ku zasługom i dostojeństwom; lubo młodszy w rodzeństwie, lecz senatorską swą godnością dodając nowego lustru znakomitemu zkąd inąd imieniowi, był *de facto* głową rodziny. Jeden tylko pan stolnik, lubo w duchu kochał i szacował brata, ulegać wszalako preponderacyi jego, zwłaszcza widocznie, nie chciał, i w potocznych sprzeczkach stawał mu zawsze w opozycyi, niekiedy z przekonania, wiążącego się w nim z umykającą się przed nowemi ideami przeszłością; niekiedy zaś z przekory tylko, i byle konceptem spylić mądrego pana wojewodę.

Lecz żeglując tak po burzliwém życia publicznego morzu, nie zawsze szczęśliwie zawijał do portu wojewoda; znaczenie powszechne rosło, ale fortuna zmniejszała.. . . Człowiek, który na facyacie jednego ze swych rezydencyonalnych pałaców napisał godłem czterowiersz:

„Rozumnym radom,
Skromnym biesiadom,
Cnocie z honorem,
Staję otworem!

nie był zapewne przyjacielem skrzętnéj oszczędności, która zbiera i rozpraszać nie daje, a uczy dziś umknąć się z wydatkiem, choćby kosztem osobistéj konsyderacyi, tak naówczas drogiéj ludziom stojącym na wyższych stopniach społeczeństwa. Rozmaitéj więc doświadczał w swéj fortunie alternaty; to pańskie *dostatki*, to pańskie *ostatki*, co wszakże nie ujmowało mu najmniéj ani powszechnego znaczenia i powagi, ani wysokich wstępów, do których z urodzenia i osobistych przymiotów i rozumu miał prawo.

Pułkownik Petyhorskiéj brygady, jakem to powiedział, starosta piński, z kolei marszałek trybunalski i nakoniec wojewoda bracławski, a wysoki dostojnik w narodzie, często jednak, gdy okoliczności nie dopisały, dochody się wyczerpały i ścisnęły a kredyt chybił, brat pan Ksawery przybywał na czas pokuty i oczekiwania do bra-

---

*) W roku 1817, w drukarni Missyonarskiéj w Wilnie, nakładem P. Antoniego Chomińskiego, synowca Ksawerego, wyszły z druku tłómaczone i oryginalne poetyczne dzieła jego.

ta pana Joachima. Zajmował on natenczas oddzielny, na jego przybycie zachowywany zawsze pokój, i teraz jeszcze przez nowego dziedzica domu tego nie naruszony i z całém swém staroświeckiém przybraniem zostawiony; a tam, unikając, ile przyzwoitość wymagała, zgiełku, jaki każdodziennie prawie panował u gościnnego pana stolnika, poświęcał *muzom* godziny swego ze świata wygnania. Czytał, pisał, tłómaczył, nim znowu jakaś sukcessya, która nieraz w szerokich téj familji związkach się wydarzyła, lub jaki inny pomyślny obrót rzeczy, a nawet raz i bogate z Tyzenhauzówną ożenienie, nie wywowało go z zielonego pokoju i pustelnika nie wywiodło na świat.

W najbliższém od pana stolnika sąsiedztwie, o miedzę, jak to powiadano, mieszkał natenczas w swoim dziedzicznym folwarku pan Michał Ch....... wojski oszmiański. Może niejeden z moich czytelników zna go, jeżeli mu się zdarzyło czytać pismo *Jana ze Świsłoczy* *), gdzie on w piérwszéj powieści, pod tytułem własnegoż jego urzędu, najprawdziwiéj jest odmalowanym; albo któż nie czytał Pana Podstolego, do którego pan wojski z wielu względów był podobnym? Życie jego, w domu spokojne i bogobojne, za domem, w publicznéj posłudze i urzędowaniu prawie nieprzerwaném, uczciwe, rzetelne i sprawiedliwe, jednało mu powszechny szacunek.

Nie tak jednakże wysoko jak pan wojewoda sięgał pan wojski. Był to urzędnik powiatowy, a lubo po dwakroć trybunalską zasiadał ławę, lecz urząd sędziego trybunału był czasowym, półrocznym zwykle, inne zaś *officya* wojewódzkie czy powiatowe były dożywotniemi i przez recess tylko dobrowolny, lub postąpienie na wyższy stopień, pod sejmiki nowe podchodzić mogły. Deputatami zatém na trybunał obierani bywali i urzędnicy ziemscy, a po ukończeniu kadencyi, wracali znowu do swych powiatowych *officyów*. Wojski, za przywilejem króla, był nadto pisarzem ziemskim oszmiańskim; urząd ten, skromnego na pozór tytułu, był wszakże jednym z najwięcéj znaczących w powiecie. Pisarz bowiem, mając w swém zawiadywaniu akta powiatowe, mianując regentów, vice-regentów i całą kancellaryę sądownictwa, a przeto mając zręczność promowania uboższéj szlachty, zjednywał sobie wielowładny wpływ na nią, tak, że nieraz i wysocy dygnitarze submitować się jemu musieli, gdy sej-

---

*) Pisma rozmaite *Pana Jana ze Świsłoczy*. Wilno, w drukarni A. Marcinowskiego, 1841 r. Powieść piérwsza—*Pan Wojski*.

mikowe zamiary skłaniały ich do szukania podpory w prawicy potężnéj między szlachtą; a gdy on jeszcze nie potrzebował regenta dla pisania dekretów, i gdy do znajomości prawa łączył w sobie przymioty sprawiedliwego sędziego i gotowego na posługę powszechną obywatela, natenczas powaga jego między powietnikami bywała wielką i prawdziwą.

Takim właśnie pisarzem był pan wojski, sąsiad pana stolnika. Dom jego, w którym wnuk dziś jego przemieszkiwa, niewielki lecz wygodny i schludny, a którego wnętrze w dalszém opowiadaniu w części poznamy, zajmuje środek nader miłéj wiejskiéj pozycyi. Przed nim obszerny staw, czystą a rozległą szybą źwierciadlaną przedłuża daleko dziedziniec; za nim ogród, w który dom wrosłym być się zdaje, osłania go z tyłu i z boków, a rzeczka wypływająca ze stawu i biegnąca przez ogród, jest jakby ramieniem, łączącém w jedność dwie ozdoby mieszkania poczciwego człowieka. W ogrodzie altana z lip, natenczas już starych, była i jest główném tam miejscem, obejmującém i przypominającém rozmaite domowe dzieje, do których i opisująca się konwersacya policzyć się może.

Pan wojski i pan stolnik, przyjaciele serdeczni, odwiedzali się często; lecz gdy *fallax fortuna* dotknęła pana wojewodę i przywiodła go do brata, natenczas daleko częściéj ten wygnaniec, gdy pora letnia była po temu, przesiadywał w altanie pana wojskiego. Ten, że był natenczas wdowcem, przeto żadnéj w domu jego nie znajdując subjekcyi, tém ochotniéj od natrętnego zgiełku wykradał się poeta, i piechotą lub prostą kałamaszką przybywszy do ogrodu, zajmował swój lipowy gabinet, pewny, że gdy go ujrzy gospodarz, na chwilę tylko serdecznem powitaniem przerwie mu ulubioną samotność i pracę.

Ta umiejętność stosowania się do położenia własnego, ta chęć uciekania się w przeciwnościach na łono nauk i uspokajania niemi myśli, światowemi burzami rozbitych, były dowodem i cechą niepospolitego męża; w wieku tamtym, wysoki dygnitarz kraju, tłómaczący Rassyna lub Delilla w wiejskim szlacheckim ogródku, był także niepospolitém zjawiskiem. Przecież to nie jest moim wymysłem; piszę z opowiadania pana wojskiego, który mi nieraz w tejże samej altanie powtarzał: „Tu niegdyś pan wojewoda Chomiński, swoje tam jakieś *Tragedye i fabuły* koncypował.“

II.

Siedział raz tedy pan wojewoda nad stolikiem, gotowym dlań zawsze w altanie; na kanapach darniowych porozkładane były książki, sam on z piórem w ręku to pisał, to się zamyślał i tarł czoło, to kassował, rzucał pióro a brał książkę w rękę i przechadzał się po długim szpalerze przedłużającym altanę, to nakoniec chłodził się piwkiem, właśnie na ten cel mu postawionem.

Że już długo bawił samotny pan wojewoda, przyzwoitem zdało się panu wojskiemu odwiedzić go. Wspomożemy się tu od *Pana Jana ze Świsłoczy* opisaniem figury pana wojskiego.

„Poważny mężczyzna, około sześćdziesięciu lat mający, wzrostu wysokiego, dosyć otyły lecz krzepki; twarz marszczkami jeszcze nie pokrytą, śniadą, rumianą i mocnych namiętności nie wyrażającą, zdobił wąs siwy miernéj wielkości; głowę miał wysoko podgoloną, a ubranym był w żupanie białym letnim, po którym szeroki pas z jedwabiu utkany, zapięty był na przodzie wielką, złocistą, misternéj roboty sprzączką; nakoniec kołnierz biały, okrywający szyję, spajała piękna rubinowa spinka.“

Tak w codziennym i niegalowym ubiorze, wojski zdawał się przyjmować bardziéj skromnego poetę, niż senatora; chociaż o poecie naówczas nie myślał wcale, i nie wyobrażał, że pamięć poety daléj zajdzie w potomności niż senatora. Rzeczywiście nie przymuszał się dla przyjaciela i częstego gościa.

— A cóż panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju, czy nie dość już téj pracy? rzekł wojski, i jezuici nad Alwarem nie męczyli tak swoich dyscypułów, jak pan siebie dobrowolnie nad tą francuzczyzną mordujesz.

— Nic to, nic, kochany panie wojski; ale w czas przychodzisz, bo właśnie skończyłem mą pracę, rzekł wesoło powstając Chomiński, i udało się nieźle.

— Chwała Bogu; czy to znowu jakie gospodarskie przestrogi i nauki, nad któremi, panie wojewodo dobrodzieju, mozoliłeś tu głowę, a zdaniem mojém napróżno, bo ich żaden nasz ekonom czytać nie będzie, a choćby i czytał, to nie zrozumie; gospodarstwo z książki, panuleńku! Boże odpuść! Ale kiedy to pana zabawia, to i owszem.

— Nie, panie wojski, odrzekł uśmiechając się wojewoda, wytłómaczyłem teraz i po większéj części w twojéj altanie, tragedyę jednego z najsławniejszych poetów francuzkich, posłuchaj końca.

— A to panuleńku zaczynasz od końca?

— Nie, ale dzisiejszą właśnie mą pracę chcę ci przeczytać, a jest to opowiadanie kończące tę tragedyę, i najpiękniéjszy z niéj ustęp.

Poeta chciał widać, jak zazwyczaj bywa, przedeklamować swoje wiersze, i sam się niemi nacieszyć; wiedział bowiem z niejednokrotnego doświadczenia, że wojski przez grzeczność tylko słuchał jego tłómaczenia *Delilla*, i nie pojmował jeszcze téj zasługi i chwały, jaką jednał już sobie natenczas każdy, dający dowód swych literackich zdolności.

— Słucham, rzekł wojski siadając z rezygnacyą. Zaczął więc wojewoda podwyższonym głosem:

„Ledwośmy za Trzeńskie wystąpili mury.“

— A gdzie to te Trzeńskie mury, panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju? przerwał wojski.

— W Grecyi, w Grecyi, kochany panie wojski.

„On na wozie otoczon strażą nieodstępną...“

— A któż to on? przerwał znowu, a z tych przerywań poznał wojowoda, że chcąc aby słuchacz jego do końca był cierpliwym, potrzeba mu było choć jak najkróciéj i najzrozumialéj rzecz sztuki opowiedzieć.

On, rzekł więc, on, to główna osoba tragedyi, Hippolit syn Tezeusza, bo widzisz panie wojski, treść taka tragedyi. Pewny król Grecki, Tezeusz zwany, miał żonę Fedrę; a miał także z piérwszego swego małżeństwa, dorodnego syna, Hippolita.

Gdy Tezeusz byl daleko od swego królestwa na wojnie....

— To pewnie panuleńku na Trojańskiéj, bo ja o innych wojnach greckich wcale mało niegdyś w szkołach się nauczyłem; ale co o téj Trojańskiéj, to nam Jezuici uszy prześwidrowali, a na tym sławnym koniu, ledwo sami nie jeździliśmy, przeklinając Judasza, który go do miasta wprowadzić poradził; bo ztąd panuleńku wynikło, że teraz *nec locus ubi Troja fuit* *).

---

*) Ani miejsca gdzie Troja była.

— Nie, panie dobrodzieju; król Tezeusz panował jeszcze przed wojną Trojańską; otoż gdy on był oddalony, żona jego zakochała się w swym pasierbie, Hippolicie; a gdy ten nie był jéj wzajemnym, owszem ze wzgardą i zgrozą odrzucił jéj zapały, ta niegodziwa macocha przed powracającym niespodzianie mężem oskarżyła i spotwarzyła syna, że on właśnie godził na honor ojcowskiego łoża.

— A to panuleńku, coś jak owa Putyfarowa.

— Prawda panie wojski, prawda, a dalibóg, że trafna uwaga twoja. Tezeusz zatém w zapalczywym gniewie na syna, przeklął go.

— Trzebaż było piérwéj zrobić regularną inkwizycyę, rzekł wojski, toby prawda wyszła na wierzch jak oliwa, i zamiast cnotliwego syna, przekląłby i wypędził precz do kata taką niegodną babę.

— I to znowu prawda; ale natenczas, mówił uśmiechając się Chomiński, nie byłoby tragedyi.

— Mniéjsza o to panuleńku, sens w niéj moralny, jak uważam, nie nowy; dawno to już i w przysłowie weszło: *Mulier sive amat, sive odit, nunquam nimis* *). Ale słucham daléj.

— Neptun zatém....

— Ale! Neptun,... przypominam go; w wojnie Trojańskiéj bardzo on wichrzył; był to bożek morza i wszelkich wód; widzisz panie wojewodo, żem Iliadę kiedyś wertował, rzekł wojski i pokręcił wąsa.

— I nie zapomniałeś jéj dotąd; otoż Neptun przyrzekł był kiedyś Tezeuszowi, że piérwszą jego prośbę wysłucha i ziści. Tezeusz zatém odezwał się teraz doń i prosił aby ukarał wyrodnego syna. Bożek dotrzymując przyrzeczenia, gdy Hippolit opuszczający zagniewanego ojca, oddalał się z Trezeny, stolicy Tezeusza, i jechał brzegiem morza, pobudził nań okropną morską poczwarę, która przestraszywszy konie o śmierć go przyprawiła.

— Sprawiedliwy Neptun! niema co powiedzieć, mówił wojski pokręcając głową, przecież jako Bożek powinien był znać, że gniew ojca był niesłusznym.

— No, stało się, panie wojski! i oto właśnie przetłómaczyłem opisanie téj śmierci nieszczęśliwego syna, który kończy tragedyę, napisaną z téj starożytnéj treści przez sławnego poetę francuzkiego *Rassyna*.

---

*) Kobieta czy kocha, czy nienawidzi, nigdy w miarę.

— Słucham więc, słucham, panie wojewodo dobrodzieju, i tem chętniej teraz, gdy wiem o co rzecz idzie.

Znowu więc poeta przybrał postawę dramatyczną i przed siedzącym wojskim nanowo zaczął:

„Ledwośmy za Trezeńskie wystąpili mury,
On na wozie, otoczon strażą nieodstępną,
Równie jak on milczącą i jak on posępną,
Biorąc drogę w Miceńskie która wiedzie strony,
Wolny puszczał lejc koniom w myślach zanurzony.
Te przepyszne rumaki, które dawniéj znały
Pana i głosem jego pęd swój kierowały,
Teraz z okiem ponurém i z głową schyloną,
Zdawały się przejmować myśl jego strapioną.
Wtém nagle ryk z przepaściów morskich się wypiera,
I gromem przeraźliwym powietrze rozdziera,
A ziemia z swych czeluści odpowiednim krzykiem
Na postrach świata z morskim zgadzała się rykiem.
Nam w głąb' serca krew zbiegła, skrzepły chłodem żyły,
Grzywy się osrożonym koniom najeżyły,
Aż w téj chwili przez grzbiety wzdętych morza fali,
Straszliwa ku nam góra z bałwanem się wali;
Dobiega, rozprasza się, a przez szum i parę,
Tuż przed nami okropną wytacza poczwarę!!!“

— Jezus! Marya! Józef! krzyknął wojski i aż się cofnął ze stołkiem, na którym siedział, bo deklamator stosownym oburęcznym giestem, jakby mu pod nogi tę poczwarę wypchnął.

Zadowolony poeta wrażeniem, które sprawił, uśmiechnął się i deklamował daléj:

„Łeb straszny, rogi groźne, spód zbrojny w pazury,
Cały w łusce jaskrawéj dziwotwór natury;
Czy żubrem nieprzepartym, czy go nazwę smokiem,
W grube kłęby wężowym tył przewijał tokiem;
Pod wyciem jego straszném nadbrzeże trętwiało,
I słońce nań z ohydą przez chmurę spójrzało....
Ziemię pod sobą wzruszył, tchem powietrze mroczył,
A wał, co go wyzionął, wzdrygnął i odskoczył!!!“

Tu się poeta zatrzymał, jakby dla nabrania tchu w piersi; wojski nie usiadł już po piérwszém przerażéniu, lecz z natężonem okiem stał omamiony zupełnie, a gdy Chomiński zamilkł:

— Panuleńku! zawołał, to okropnie! to okropnie! Dla Boga, cóż daléj się stało?

Tém bardziéj zachęcony wojewoda, kontynuował:

„Wszyscy w rozsypce, nie śmie nikt nadstawić czoła,
Hurmem się do blizkiego wszyscy prą kościoła;
Sam Hippolit, dostojne plemie bohatera!
Wstrzymuje konie, porywa pocisk, naciera,
A rzutu swego pewny, ręką niezachwianą
Bok straszydła otwiera wskróś szeroką raną;
Bolem, gniewem, wściekłością miotana szkarada,
Pod same nogi koniom ulęknionym pada;
Tarza się, złość ją wspina, ze smoczego pyska,
Pianą, posoką, gniewem na chrapy im pryska!
Już tu górę nad niemi bierze bojaźń głucha,
Nie masz dla ust wędzidła, nie masz na głos ucha;
Darmo pan na nie siły zażywa i sztuki,
Skrwawioną tylko pianą rumienią musztuki.“

Kilkakrotny trzask z bicza przerwał tu deklamacyę.

— Ktoś nadjeżdża, rzekł wojski.

— To zapewne mój brat, pan stolnik, znam jego stangreta po biczu, a oprócz tego miał on po mnie przyjechać i razem z osobnym jeszcze naszym interesem do pana; nie róbmy sobie subjekcyi, znajdzie on nas i tutaj....

— Słucham więc daléj, rzekł wojski.

Wojewoda znowu:

„W tym zgiełku mówią nawet, że był postrzeżony
Jeden z bogów, bodzący koniom bok spieniony;
Przez skały strach je pędzi, uniesione z drogi;
Oś gnie się, trzaska; pęka....“

— Oho, ho! odezwał się tu głos mocny, oho, ho! mój brat pan wojewoda tragedye tu widzę wyprawia dla pana wojskiego dobrodzieja, któremu solennie submituję się, mówił stolnik wchodzący do altany.

— Nogi pańskie weneruję, panuleńku! odpowiedział wojski, a wojewoda rzucił rękopis na stolik, bo już wiedział, że przy bracie nie będzie rady z deklamacyą.

III.

Pan stolnik, równego prawie wieku z wojskim, niższym był od niego wzrostem, a pękatszy tuszą; nigdy on inaczéj jak strojno do poufałego nawet sąsiada nie wyjeżdżał i wzajemnie, ktoby z równych jemu inaczéj się doń pokazał, miałby to sobie za ubliżenie i nieukontentowanie swe dałby mu uczuć bez ogródki. Pas lity, jedwab, i sajeta na szatach, spinka brylantowa na szyi, pierścień brylantowy na ręku i trzcina w srébro okuta w prawicy. Oko żywe, oblicze czerstwe, na którém wesoły uśmiech zawsze goszcząc, oznaczał niewątpliwie wewnętrzną swobodę i zadowolnienie, żadną niezachwiane troską.

Trzy te figury w altanie, przedstawiać się mogły jako troje wyobrażeń, spierających się w kraju o piérwszeństwo. Wiele już o tém napisano, wiele obrazów, wiele powieści na tém tle osnowano, wiele postaci dawnych i narodowych, mówiąc słowami poety:

„Wstają z martwych, przechodzą na prawdy źwierciadła,
Od twarzy ich Plutona przyłbica odpadła.“

Uczymy się ich obyczajów publicznych i domowych, uczymy się szacować to, cośmy niedawno mieli w poniewierce, znajdujemy dobre w tém nawet, cośmy śmiesznością nazywali i przekonywamy się, że to cośmy za postęp rozumu uważali, było rzeczywiście odstępem od cnót nam wrodzonych, a zatém prosto do zguby nas wiodło. Lecz bodaj dosyć już téj nauki, aby przesyt uczniom się nie naprzykrzył, nauczycieli nie spowszednił... Już nawet ostrzegające w tym względzie symptomata czas od czasu objawiają się i w czytającéj i w piszącéj publiczności... ten raz wszakże kontynujmy.

Pan stolnik więc, jakby z dawnych portretów zdjęta figura, był jakeśmy to powiedzieli, mąż przeszłości, pan wojewoda zwolennik nowych, cywilizowanych idei, pan wojski zaś, jakby na gwichcie ważącéj się szali, mógł środkować między jedną a drugą ostatecznością, bo wiek i nawyknienie przywiązywały go nałogiem, a nawet przekonaniem wewnętrznem do tego co było a znikało, lecz częste ocieranie się jego ze światem, rozmaite z nowém towarzystwem

stosunki, które w publicznem urzędowaniu nader często mu się nastręczały, oznajomiły go i ozwyczaiły z tą obecną przemianą głów i sentymentów ludzkich. Nigdy wprawdzie w duszy jego nie było bezwarunkowéj zgody, ale nigdy też nierozważnego *niepozwalam:* a gdy przyszło mu niekiedy o téj nowéj oświacie w kraju poważną toczyć rozmowę, z niechętną miną i niedbale i pokręcając wąsa kończył sentencyą: *Sunt bona mixta malis*, *sunt mala mixta bonis* *) i tak w rzeczy saméj było, tylko że *mala* przeważyły...

— Toćto to, mówił daléj stolnik, pan brat dobrodziéj ucieka odemnie, aby tu *tanquam in eremitario vacare Musis* **). Ale gdybyż to *Musis!* Muzy, to mopanie, boginie greckie i łacińskie, więc kiedy się z niemi bawić, to w ich rodowitych językach, i kiedy panie bracie dobrodzieju chcesz ich realne inspiracye dać nam poznać po polsku, to tłómaczże ich z tych języków, któremi one do poetów przemawiały, a nie z francuzczyzny.

— Ale bo widzisz brat, odpowiedział wojewoda, że i francuzcy poeci natchnienia Muz wzywają.

— A zkądże ich proszę uniżenie wzywać teraz mogą, kiedy ich krzyż święty i z ziemi i z nieba wypędził! nieprawdaż mopanie wojski? cha, cha, cha!

— Prawda panuleńku ***), prawda, odpowiedział wojski uśmiechając się.

— Ale nic dziwnego, mówił daléj stolnik, nic dziwnego; Francuzi to poganie! nie darmo mają między sobą antychrysta, niedowiarka i wcielonego djabła *Voltera*, którego książki znalazłszy onegdaj u wapana, panie bracie wojewodo, brat ksiądz biskup piękną dał jegomości admonicyę; ależ cóż potém? mopanie, wapan trzymasz się swojéj francuzczyzny, jak pijany płotu.

— Naprzód, kochany stolniku, rzekł wojewoda, ten antychryst Volter dawno umarł.

— Wiem o tém; wszakże ksiądz biskup opowiadał wszeteczną śmierć tego ateusza i tentatora: *Exitus acta probat* ****); wziął djabeł co swego mopanie.

---

*) Jest dobro między złém, jest złe między dobrém.

**) Jakby na pustyni bawić się z Muzami.

***) *Mopanie*, *panuleńku*, przysłowia prawdziwe stolnika i wojskiego.

****) Śmierć dowodem czynów życia.

— Potém znowu, rzekł daléj wojewoda, nie wszystko co Volter pisał jest bezbożném.

— Daj pokój mopanie wojewodo, daj pokój! *Abominatio Domini est omnis illusor* *). Tak zdaje się, że tam jest cokolwiek dobrego, ale to zdrada mopanie; musi być wszystko złe, kiedy Kościół święty i autora i dzieła jego potępił; a że pisał wiele, to jeszcze gorzéj. *Qui utilia monet, non qui multa novit, sapiens est!* **) a nawet lepiéj byłoby żeby nic nie pisał. *Melius est honeste otiari, quam male agere* ***). Nie prawdaż, mopanie wojski?

— Nic dobrego i ja o Volterze nie słyszałem, odrzekł na to ponowione do siebie zapytanie wojski. Pan wojewoda zna to lepiéj; jednak trudno dysputować przeciw tylu i tak mądrym sentencyom, któremi jak mieczem obosiecznym na wszystkie strony plażysz panuleńku, panie stolniku dobrodzieju.

— Ja też nie dysputuję ze starszym bratém, którego rozum i elokwencya znaną mi jest dobrze; mówił wojewoda, z ironicznym uśmiechem uchylając głowę.

— Oho, ho! znamy się na farbowanych lisach, zawołał stolnik, znamy się; oni nas wszystkich mopanie wojski mają za . . .

— Przerywam panie bracie, rzekł żwawo wojewoda, bo powiesz słowo . . . niesłuszne. Naszego pana wojskiego, i wszystkich jemu podobnych obywateli i urzędników szacuję wielce, i mam za najzacniejszych ludzi; i ciebie, mój kochany stolniku do ich rzędu policzając, kocham jak mego rodzonego a szanuję jako starszego brata, chociaż dziwaczysz się czasami.

— A widzisz mopanie, jaki subtelny rozum naszego pana senatora! Spenetrował od razu co miałem powiedzieć, i lisim konceptem zamydlił nam oczy. Wapan z Galilei mopanie! z Galilei! to jest z nowéj dworskiéj szlifierni i szkoły . . .

— Któréj dla tego najbardziéj nie lubisz, kończył wojewoda, że twą ulubioną łacinę z mowy polskiéj ruguje.

— A choćby i dla tego, mopanie, *intra plures alias;* a zamiast

---

*) W obrzydzeniu u Boga jest każdy kusiciel.
**) Nie kto wiele, lecz kto pożytecznie czyni, mądrym jest.
***) Lepiéj jest poczciwie próżnować, niżeli na złe pracować.

poważnéj łaciny, francuzczyznę naznacza za *summum arcanum* *) rozumów ludzkich; a cóż to za komparacya? Daj mi wapan choć jednę sentencyę fracuzką, któraby i *ad rem* przypadała, i jakąś piękną a męzką sonancyą napełniała gębę. Ot naprzykład: *Totus si illabitur orbis, impavidum faerient ruinae* **), Każde *r* wymawiał stolnik z brzmiącym przyciskiem, jakby w harmonii naśladowniczéj rujnującego się świata. Cóż wapan na to? Wszak zdanie takie godne być w ustach i senatora i hetmana: *impavidum ferient ruinae!*... Wytłómaczże mi to panie wojewodo.

— A czemu nie? trzebaby tylko pomyśleć; wszakże wiesz bracie, że umiem po łacinie.

— Ot tak nie bardzo, między nami mówiąc, bo wapan *Scholarum Pijarum;* ale wytłómacz tak, aby przecie i po polsku było co powiedzieć i posłyszeć, i aby każdy zanotował to zaraz sobie i w głowie i w domowym raptularzu, jeżeli go pisze.

— Pewnie już to sam wytłómaczyłeś i do swéj książki wpisałeś, a mnie wyzywasz *de plagis;* lepiéj powiédz i damy bravo.

— Zgadłeś, mopanie, wytłómaczyłem i do księgi *ad perpetuam rei memoriam* ***) wpisałem; brava zaś szczerego mi nie dasz, bo wszystkiemi memi wierszami spernujesz; a jednakże mopanie wojski, gdy jaką zagadkę mojéj kompozycyi zadam jegomości i raptularz schowam, to idzie cicho do mojéj pani i wypytuje się o słowo. Kobiéta, zwyczajnie kobiéta, nie dotrzyma molestacyom i wymknie się z sekretem, a wtenczas wojewoda tryumfuje, jakby doprawdy zgadł.

— A na cóż kobiécie powierzać tajemnicę, panuleńku?

— Ot widzisz, mopanie, jakże dotrzymać i nie pochwalić się przynajmniéj przed żoną, gdy się co dobrego uda?

— Przyznaję, przyznaję, kochany bracie, mówił wojewoda, żeś gracz do zagadek; ale mów nam swoje tłómaczenie.

— No, to tak, rzekł stolnik odchrząknąwszy i pokręcając wąsa

„Choćby świat pękł, od czego uchowaj nas Panie!
Mężny, ufając w Bogu, dostoi mopanie.“

— Bravo! zawołał śmiejąc się wojewoda. Bravo! zawołał wojski śmiejąc się także, i stolnik nakoniec sam się rozśmiał.

---

*) Najwyższa treść.
**) Choćby cały świat się rozpadł, mężnego nie zachwieją ruiny.
***) Na wieczną pamiątkę.

— A teraz jeszcze jednę zagadeczkę, mopanie wojewodo, i musisz sam swoję głowę pomęczyć, bo pani stolnikowéj tu niéma, a wapan, panie wojski dobrodzieju, nie mów, choćbyś się domyślił.

— Ale, bracie kochany, zapominasz o interesie, który cię tu sprowadza, a o którym wspólnie mieliśmy z panem wojskim pogadać.

— Nie zapominam, nie zapominam; będzie czas na wszystko.

— *Mosiur de Gumbi!* zawołał.

— Co to jest, panuleńku? cudzoziemiec jakiś?

— *Mosiur de Gumbi!* głośniéj krzyknął stolnik, nie odpowiadając zdziwionemu gospodarzowi, a wojewoda się uśmiechnął.

Na to zawołanie wszedł do ogrodu i kroczył do altany stary pajuk stolnika.

— A toż poczciwy Jerzy! rzekł wojski zdziwiony.

— A tak, mopanie, Jerzy Gumbia po naszemu, bo od wieków w mojéj wiosce ojciec, dziad, pradziad i cała jego familia tak się nazywa; ale przez wzgląd na jego animusz zawsze hardy i figurę czupurną, a nawet wiedząc *ab inde ex antiquo*, że Gumbowie niegdyś z Palemonem do Litwy przypłynęli, nominowałem go był Rzymianinem Gumbiuszem; lecz teraz reformuję mój dwór po modnemu, *ad exemplum* mojego kochanego brata dobrodzieja pana wojewody, i tu ręką pokorny giest uczynił do kolan brata, który ponieważ przywiózł z sobą kamerdynera Francuza, to czémże gorszy mój Jerzy? Zatém fortragowałem go z Rzymianina także na Francuza i zwie się teraz *Mosiur de Gumbi!* Otoż, *Mosiur de Gumbi*, przynieś mi waszeć moją księgę z karety.

Śmieli się wszyscy, a Jerzy tymczasem przyniósł wielki foliał, w czarną skórę oprawny.

— No, słuchaj, mopanie wojewodo! i otworzywszy księgę, czytał:

Zagadka.

„Ulepiono mnie z gliny, jak ojca Adama;
Palono mię w piecu, jak troje pacholąt;
Jeździłem na wozie jak Elijasz;
Zaprzedano mię jak Józefa;
Z wnętrzności moich cały dom żywiłem;
Po śmierci kości moich nie pogrzebiono“ *).

---

*) Z dawnego rękopismu.

— Oho! odezwał się wojski, to coś bardzo mądrego, panuleńku.

A stolnik podparł się w boki i patrzał w oczy wojewodzie.

Ten pokręcił głową i rzekł;

— Bravo, panie bracie! choć nie wierszem, ale bodaj że ta lepsza od wszystkich twoich dawniejszych; erudycya biblijna bardzo dowcipnie użyta; to *garnek*.

— Zgadłeś, mopanie, zgadłeś; ależ bo to jak łopatą do głowy; no, teraz posłuchajcie wapanowie jeszcze rzeczy bardzo ciekawéj.

— Ależ interes, kochany bracie, interes?. . .

— Co tam, interes nie uciecze; wapan gdybyś zaczął czytać swoje, toby końca nie było; a to nawet nie moje, ale że wielkie *Mirabilia*, więc z podobnegoż raptularza pana Sulistrowskiego wpisałem we własny.

— Słuchamy, panuleńku, słuchamy, rzekł wojski.

Stolnik więc czytał:

Antiquitates et Raritates,

zabrane w Oczakowie, w skarbcu Cesarza Tureckiego *).

1. Sznur perłowy od kapelusza Adamowego, który miał na głowie, gdy szedł po owoc do raju z drzewa zakazanego.

2. Kotara, pod którą Ewa syna swego pierworodnego powiła.

Wojewoda i wojski śmiać się zaczęli; stolnik utrzymywał minę poważną.

3. Szmat Korabia, żagle i kordel z kotwicą, w którym Noe od potopu generalnego zachowany.

4. Koń, na stajni Cesarskiéj w Oczakowie stojący, na którym Noe w tydzień po potopie Hajdamaków pędzał.

5. Płaszcz aksamitny Noego, nowy, którego zawsze w niedzielę na nabożeństwo używał.

6. Koło od taczek, któremi przy fabryce babilońskiéj wożono cegły i wapno do wieży.

7. Peruka z włosów Matuzelowych, w siedmsetnym roku jego życia, z łysiny wypełzłych, osobliwszą francuzką fryzurą zrobiona.

8. Dudy cyprysowe, na których żydzi po wyjściu z Egiptu na puszczę, pod górą Synai, około złotego cielca skacząc, grali.

---

*) Z rękopismu tamtoczesnego: *Rzadkie pamiątki.*

9. Krzesiwko stałowe, którém Jonasz prorok w brzuchu wielorybim, na ugotowanie i ogrzanie jedzenia, ogień sobie krzesał.

10. Trzy wiązki siana zostawione od Nabuchodonozora, których nie dojadł będąc wołem. . . *et caetera similia*. . .

— Wyśmienicie! zawołał wojewoda, śmiejąc się serdecznie razem z wojskim, pojechałbym o sto mil, aby choć jednę z tych osobliwości obaczyć, a bardziéj jeszcze poznać wesołego człowieka, który to regestrował, bo mu humor taki nie łatwo się dziś natrafi.

— A rychło i zupełnie zniknie nasz poczciwy humor szlachecki, mopanie, rzekł stolnik patetycznie i poważnie, rychło zniknie pod influencyą téj obłudnéj i szlifowanéj grzeczności teraźniejszéj, która z modnym koperczakiem bierze za wyloty naszą wesołość, i jako niedelikatną i barbarzyńską jakby, za drzwi wypycha.

— Ale bo kochany bracie, ta wesołość bywa u nas najczęściéj z dzbanem w ręku i chwiejąca się na nogach.

— Panie wojewodo dobrodzieju, odezwał się wojski, pijemy teraz, bośmy weseli; ale kiedyby przyszło na to, że będziemy pić aby być wesołymi, ot wtenczas będzie źle.

— Mopanie wojski! zawołał z uczuciem stolnik, nas już wtenczas nie będzie na świecie! *Dulce mihi tecum vivere, tecum mori!* *) i uścisnęli się starzy sąsiedzi i przyjaciele. Wojewoda stał zadumany.

— Proszę panuleńku; panów dobrodziejów do pokoju, rzekł nakoniec wojski, tam słuchać będę co mi w interesie rozkażecie.

IV.

Wyszli z altany, a wojski otworzył drzwi z ogrodu do budynku, i obadwa goście stanęli przed niemi.

Wojewoda wskazał ręką do stolnika aby wszedł piérwszy.

— A mopanie, senatorska godność!. . . i także rękę wyciągnął, a mówił to seryo; bo tu pokorą osobistą uznawał i podnosił zaszczyt domu i rodziny swojéj.

---

*) Słodko mi żyć z tobą i z tobą umrzeć.

— Bracie kochany, tyś najstarszy między nami... tyś głowa familji... porzuć ceremonie!...

— To nie ceremonie mopanie; *quod jure juste!*

— Niechże nas gospodarz rozsądzi, rzekł wojewoda.

Wojski, szukając trudnego między bracią wyroku, nic nie mówiąc, otworzył drugą połowę podwoi; więc wojewoda uśmiechając się wziął brata pod rękę i weszli razem obadwa.

Komnaty pana wojskiego stosownemi właśnie były do jego stanu i położenia w towarzystwie, a w swém wewnętrzném urządzeniu, nie występując daleko ze staroświeckiéj prostoty, rzuconym jednak gdzieniegdzie wygodniejszym lub ozdobniejszym sprzętem, zdawały się zwiastować, że i do głowy gospodarza wciskały się również nowsze a wybrane *bona ex malis* pojęcia, i przyswajały się do codziennéj praktyki, nie rugując wszakże starych, wrosłych w duszę jego i serce. Nie przewidywał on zapewne, że to fałszywe przymierze sprawdzi nakoniec bajkę Ezopa.

Si me et turbae mea par esse potueris, cedam loco! *).

Pokój do którego weszli, obszerny i światły, od podłogi do okien szerokiemi, biało pokostowanemi filungami był obity, od nich aż do sufitu ściany pokryte obiciem w różne essy i floresy malowaném; a na głównéj między oknami zawieszono wielkie źwierciadło, w szklannych kryształowych naśladujących weneckie ramach, w fabryce Urzeckiéj Radziwiłłowskiéj odlane, która pięknych luster i pięknych kielichów dostarczała wtenczas na całą Litwę; pod niém, jakby na *memento* temu zbytkowi, umieszczony krzyżyk z figurą Chrystusa i przy nim dzwoneczek loretański. Pod tém wszystkiém stół pięknym kobiercem okryty. W kącie na półce zegar w złocistéj filgranowéj oprawie, pod nim na kruczku różaniec z kości słoniowéj; resztę nakoniec kąta zajmowała trzcina, podobniuteńka do téj na któréj stolnik się opierał; posadzka nawet dowodziła tego rozważnego wyboru wojskiego w postępowych modach; z gładkich tafel ułożona, czystością utrzymania zdobiła pokój, lecz nie lskniła się woskiem. Wosk panuleńku, powiadał on, pracowite pszczołki robią na ofiarę Bogu, na światło do ołtarzów Pańskich, a nie pod nogi ludzkie, i na starość nie chcę tłuc nosa, jak mi to często za młodu ślizgając się po pokojach książęcych zdarzało się w Nieświéżu. Na ścianach innych wisiały rozmaite dawne i poczerniałe obrazy święte,

*) Jeżeli mnie i gromadzie méj zrównasz, ustąpię miejsca.

lecz między temi, z dwóch przeciwległych miejsc, dwaj hetmani w wydatniejszych kolorach i większych rozmiarach patrzali sobie w oczy: Jan Sobieski na jednéj ścianie, Michał Radziwiłł na drugiéj, u obu buławy w rękach.

Nieraz nagabano pana wojskiego, za co portreta dwóch ludzi tak różnéj zasługi i chwały, w jednym pokoju umieścił? Dla kompanji, panuleńku, dla kompanji! odpowiedział natenczas zbywając pytanie trudne do usprawiedliwienia; w rzeczy zaś saméj Sobieski był tam od antenatów, a Radziwiłła przywiózł wojski z Nieświeża, jako swego pana i dobroczyńcę.

Dalszych szczegółów w mieszkaniu pana wojskiego opisywać nie będę. Opisy takie, których już nadużyto, i które nieraz czytelników znudziły, wtenczas tylko właściwemi być mniemam, gdy się przykładają i uzupełniają obraz malujących się obyczajów, lub wiążą z treścią powieści; tu z obu względów, com napisał wystarcza.

Wchodząc za gośćmi swymi pan wojski skinął na służącego, i szepnął mu słów kilka na ucho, a potém uprzejmie ich jakby nowo przybyłych w pokoju powitał.

— Siadajmyż rzekł wojewoda, i produkuj panie stolniku naszę prośbę do szanownego gospodarza.

V.

—Umyśliliśmy, mopanie wojski dobrodzieju, prosić wapana na arbitra do kompromissu, przez który mamy ukończyć długi nasz proces z Brzostowskiemi. . . .

Wtém wszedł służący, i tacę z butelką skorupą piasku powleczoną i trzema lampeczkami na stole postawił.

— Oho! znam! znam te butelki z kaczkowatym korpusem i żórawią szyją, zawołał stolnik, przerywając mowę o interesie i uśmiechając się wesoło; bo lubił czasami pociągnąć, zwłaszcza dobrego trunku—Mopanie, kapitalne to wino! warte senatorskiéj gęby, brabie, panie wojewodo. Żółta pieczątka, oho ho!

— Odkorkuj, rzekł wojski podając butelkę służącemu.

— Odkorkuj, mopanie, odkorkuj!

Non nisi pressa, dabit vitis generosa falernum *).

Wytłómaczże to panie bracie!

— A na co mam darmo głowę sobie suszyć, gdyś pewnie sam wytłómaczył, i równie dowcipnie jak piérwsze. No powiédz.

— Dobrze, rzekł stolnik coraz weselszy, tak naprzykład:

Smacznego winka od czasów Zygmunta
Nie pokosztujesz....

I wskazując wyraziście palcem na butelkę, właśnie w téj operacyi będącą:

nie dobywszy szpunta.

Znowu się śmieli słuchacze.

— Nie bardzo wierny przekład z tekstem łacińskim, jak mi się zdaje, rzekł wojewoda.

— Tak, mopanie, jest to *licentia poetica*, ale widzicie *ad casum!*

— I jeżeli nie *falernum*, mówił wojski, to stary francuz, ręczę za to; nalawszy lampki, dodał z grzecznym ukłonem: Zdrowie wojewody dobrodzieja!

— Łączę się mopanie z panem wojskim i submituję się bratu dobrodziejowi, wojewodzie bracławskiemu!

— Owszem, bracie kochany, wypijemy za zdrowie pana wojskiego, zacnego gospodarza.

— Nie, nie, zaprzeczył stolnik, to będzie potém, osobne na powinną gratulacyę, gdy się zgodzi być naszym sędzią: widzi brat, że i *inter pocula* **) nie zapominam o interesie, o którym opowiedz wapan sam panu wojskiemu, ciągnąc to wyborne winko. *Deus me adjuvat!* ***), dodał smakując z widoczną rozkoszą, *Deus me adjuvat!* ale to prawdziwie *laetificat cor!* ****).

Usiedli zatém wszyscy trzéj około stołu z lampkami przed sobą, a pan wojewoda mówił:

— Proces to dawny, panie wojski dobrodzieju, w którym jesteśmy stroną odwodową; trwa od nieszczęśliwéj w kraju naszym wojny domowéj za Augusta II-go, rozpoczętéj klęską Sapiehów i śmiercią jednego z nich pod Olkienikami, a potém długiém roz-

*) Nie inaczéj jak zgnieciona, da szlachetne wino jagoda.
**) Między szklankami.
***) Boże mię wspomagaj.
****) Rozwesela serce.

dwojeniem narodu i plądrowaniem Szweda, do dziś dnia zapomnieć się niedającém zakończoną.

W owych to czasach, dziad nasz, Jakób Ludwik na Baksztach Chomiński, starosta hubski i chorąży oszmiański, stanął jako chorąży na czele kilkuset szlachty swojego powiatu, łączącéj się naprzeciw Sapiehów z Ogińskiemi; a ponieważ Brzostowscy przeciwnie, z Sapiehami się połączyli, więc on piérwszym obozem z całą swą drużyną w dobrach Brzostowskich *) się położył i póty tam przebywał, aż wszystko zjadł do szczętu. Gdy zaś już ani na polach, ani w śpichrzach, ani w chlewach nic niezostało, wyruszył natenczas na Żmudź, dla połączenia się ze starostą Kociełłem i innymi sprzymierzeńcami Ogińskich, z którymi potém wspólnie i czynnie w batalji Olkienickiéj stawał **).

— To mopanie był mąż dzielny, *tam in toga quam in sago*, a fortunat i dygnitarz!...

— Wiem, panulenku, wiem, odezwał się wojski, z akt powiatowych, które mi nieraz drabować przychodzi, że Ludwik Chomiński po uspokojeniu kraju był starostą sądowym oszmiańskim i potém pisarzem wielkim W. ks. Lit.

— Tak, to on, dziad nasz rodzoniuteńki, mopanie; pisał się on tylko na Baksztach, bo to była główna jego rezydencya; ale posiadał wiele dóbr innych i miał z czego réj wodzić.

Po ukończenin wojny, mówił daléj wojewoda, Brzostowscy o szkody swoje i straty w Michaliszkach przyszli ze skargą na Chomińskiego do sejmu; lecz nie było natenczas w porę stanom rozbierać i sądzić sporów prywatnych, gdy rzecz publiczna po tylu biédach troskliwości ich wymagała; odesłano więc Brzostowskich *ad forum competens* ***). I tego to *forum competens* szukając już od lat ośmdziesięciu i przeszedłszy nieraz grody, ziemstwa i trybunały, dotąd znaleść nie mogliśmy. Na akta zaś inkwizycyów i weryfikacyów całą szlachtę oszmiańską, jak na pospolite ruszenie do Michaliszek sprowadzamy, aby wyznawała, wiele dziadowie i ojcowie ich zjedli tam i wypili.

Brzostowscy naliczyli sobie kilkakroć, dodając do *summa sum-*

---

*) Michaliszki, w powiecie wileńskim, jeszcze do ostatnich czasów w imieniu Brzostowskich były.

**) Z pamiętników domowych rodziny Chomińskich; i w Niesieckim także.

***) Do sądu właściwego.

marum coraz nowe cyfry, za ekspensa prawne, my kosztów wojny domowéj płacić nie czujemy się w obowiązku, zwłaszcza, że odpowiadając im i workiem i korkiem, dobrześmy tę kampanię szlachty oszmiańskiéj opłacili. Wreszcie, pierwsi motorowie téj sprawy dawno pomarli; zaszły nadto między nami i domem Brzostowskich niejakie koneksye po Szczytach, ztąd ostygła zawziętość, a ochota do pieni w ogólności w kraju naszym, chwała Bogu, powoli zmniejsza się. Za pośrednictwem więc brata naszego, ks. biskupa, obraliśmy najlepsze i najwłaściwsze *forum*, sąd przyjacielski polubowny, którego wyrok raz na zawsze wszystko ukończy.

Idzie teraz o wybór osób, my z naszéj strony podaliśmy pana wojskiego dobrodzieja, w nadziei, że nam téj obywatelskiéj posługi nie odmówisz.

— A właśnie po wydaleniu się dziś brata na tutejszy parnas, rzekł stolnik, przybył posłaniec z Mosarza *) z listem w którym pan Brzostowski zgadza się chętnie na naszego arbitra, to jest wapana, panie wojski dobrodzieju, a za swego obiera pana Jerzego Sorokę, podczaszego oszmiańskiego, i razem proponuje, aby obrani arbitrowie sami sobie super-arbitra **) obrali. Uważam w tém delikatność pana Brzostowskiego, i zdaje mi się, że wypada nam, mopanie, akceptować obie jego propozycye.

— Pana Sorokę? i owszem; znamy go dobrze, rzekł wojewoda.

— A ja szczególniéj go weneruję i kocham za to, że kiedyś niemca ściął, dodał stolnik.

— Co to ma znaczyć, bracie kochany, niemca ściął? zapytał zdziwiony wojewoda, rozumiejąc, że stolnikowi wino już w głowie zamieszało.

— Jakto, wapan tego nie wiész, o czém cała Litwa wié i rozpowiada?

— Nie wiém, dalibóg nie wiem, odpowiedział wojewoda i patrzał na wojskiego, który uśmiechał się i wąsa pokręcał.

Było to na dworze S***, na którym Soroka młodość swą przepędził. Był tam jakiś niemiec, Bóg go tam wié, rezydent, konsyliarz, słowem do wszystkiego i do niczego, a nos w górę zadzierał

---

*) Majątek Brzostowskich, i dziś w ich imieniu, w powiecie dziśnieńskim.

**) Prezydującego.

jakby co dobrego, poniewierając dworskiemi uczciwą szlachtą. Mienił się być jakimś kolligatem saskich Brüllów, być może że go dla tego książe na swym dworze cierpiał; zresztą księciu pochlebiał, a wszystkim dokuczał. Kilka razy zabierali się dworscy wyłatać mu skórę, ale mieli wzgląd na *decorum* dworu i tak dyssymulowali do czasu; lecz raz przebrał niemiec miarkę, bo publicznie na pokojach wdał się w żarty z panem Sroką, mówiąc mu: *Waspańska nazwala się sroka, no to jedno so wrona.*

Soroka nie odpowiadając odwrócił się do księcia, i rzekł: Żart tego cudzoziemca, mopanie. . .

— Czyż i Soroka ma przysłowie mopanie? przerwał uśmiechając się wojewoda.

No, mniejsza o to mopanie: ale Soroka rzekł do księcia, żart tego cudzoziemca jakiegoś, jest obelgą mojego szlacheckiego imienia, nie podlejszego od wszelkich innych; i darujesz wasza książęca mość, że tego mu płazem nie puszczę, bo w rzeczy saméj byłbym wroną. Szanuję prezencyą w. ks. m., bobym mu wraz zamknął gębę po naszemu, a przez wzgląd na to, że on tu razem z nami je chleb i doznaje względów w. ks. m., musi mi dać honorową satysfakcyę, choć nie wiem kto on jest, i czy wart ręki i szabli szlacheckiéj? Jeżeli zaś książe na to nie zezwolisz, to najpokorniéj dziękuję za łaski w. ks. m. pańskie dla mnie, i za chleb na który poczciwie i wiernie zasłużyć starałem się, i opuszczę z żalem dwór w. ks. m.; ale temu chłystkowi dam sto bizunów, tak mi Jezu dopomóż? Wszyscy dworscy uścisnęli kolegę i wszyscy assystować mu postanowili.

Niemiec patrzał jak kozioł na wodę na perorującego Sorokę; nie mógł wszystkiego zrozumieć, choć szwargotał niby po polsku; a gdy mu książe wytłómaczył o co idzie, uśmiechnął się i odpowiedział, że gotów jest służyć panu Soroce, ale że się bije na tę broń tylko którą przy boku nosi, to jest na szpady. Rozumiał on, że tém odstraszy Sorokę, bo już dawniéj często rozprawiał o swych pojedynkach, o swem męztwie i swéj zręczności.

Ale nie na swojego trafił mopanie. Soroka odpowiedział, że każdy na swoją broń bić się będzie, to jest, że on stanie z pałaszem i że pod tym warunkiem zgadza się na jego szpadę.

Książe tegoż dnia wieczorem wyjechał gdzieś w sąsiedztwo. Nie mógł on zaprzeczyć pojedynkowi, bo i szacował bardzo Sorokę, i po manifestacyi oczywistéj swych dworskich, poznał, że wszyscy

mu podziękują za służbę, jeżeli niemca protegować będzie; kazał więc tylko doktorowi nadwornemu, aby był obecnym pojedynkowi, dla ratunku w potrzebie, i aby cudzoziemcowi służył *per modum* za sekundanta, jeżeliby on sobie innego nie znalazł.

Nazajutrz więc rano, na wyznaczony plac wyjechał Soroka, a z nim cały dwór księcia, i przybył niemiec z doktorem.

Znacie wapanowie pana Sorokę. Mąż co się nazywa; całą głową wyższym być może od pana wojskiego; dziś w poważnym wieku, nie jednegoby jeszcze fryca za płot przerzucił, a wtenczas gdy był młodym, toć był ozdobą dworu na którym przebywał. Niemiec zwątpił o sobie spostrzegłszy go i zbladł; ale sztuczka subtelna, nie stracił rozumu i w niebezpieczeństwie, tylko że chybił na planie przestraszenia adwersarza, a nakoniec mniemał, że nim Soroka się złoży, i jak tylko podejmie rękę, on go pchnie swoim rożnem i przeszyje na wskróś.

Rozmierzono zatém mety, do których każdemu rejterować się można było, a tymczasem niemiec dobył swojéj szpady, dłuższéj dobrze od krzywego pałasza Soroki. Opatrywał ją sam i pokazywał wszystkim jéj koniec ostry jak igła; potém zrzucił z siebie frak, więc Soroka zrzucił pas i kontusz, on odwiązał chustkę z szyi, toż samo uczynił Soroka; a nareszcie dobył krédkę z kieszeni, przystąpił do Soroki, i kłaniając się grzecznie, niżeli ten mógł pojąć co on myśli, na gredutorowym czarnym jego żupanie krédą na piersiach serce namalował, mówiąc: *Pan Soroka, ja tu bęzie pchal jak z pistoleta... i wasan trup!*

— To ty mnie doprawdy chcesz zabić? rzekł Soroka.

— *A tak, tak, doprawdy zabil będzie, od raza jak z pistoleta.*

Soroka obróciwszy się do kolegów rzekł: Pamiętajcie panowie te jego słowa, abyście i tu przed ludźmi i tam przed Bogiem byli mi świadkami!... A tymczasem niemcze strzeż swojéj gałki... bo zleci!

— *So to galka?* zapytał niemiec doktora.

— To głowa, odpowiedział ten, i pan Soroka ostrzega waszmości, abyś strzegł swojéj od jego pałasza; a razem dodał, że ma zlecenie od księcia, i sam, jako chrześcijanin, prosi wszystkich obecnych aby tę sprawę pogodzić raczyli.

Niektórzy z dworskich protestowali, że szpada niemca dłuższa od pałasza Soroki; niektórzy uważając rezolucyę jego i pewność z jaką cel nawet na piersiach Soroki wymalował, a licho go wie?

mówili, niemiec a djabeł prawie wszystko jedno; pomiarkuj się panie Jerzy, może cię naszpikować.

Niemiec natenczas jakby od niechcenia rzekł: *a może i pogozilem się jest.*

Soroka poskoczył do koni, wyrwał od jednego masztalerza kańczuk, a wróciwszy trzęsąc nim pod nosem niemcowi. Mopanie! zawołał, dobrze, zgoda! ale wprzód *centum bizunos accipies* na tym placu, a potém wyliżesz językiem tę białą plamę, coś ją na moim żupanie namazał, bo plama ta niezemszczona zostałaby na moim honorze i świadczyłaby żem się uląkł. Czy zgoda?

Więc już nie było rady. Soroka porzucił bizun a dobył pałasza i stanął w kroku. Niemiec rozciągnął ręce jak krzyż na rozstajnych drogach, i szpada mopanie poszła *de loco* z pałaszem, to jest, które z nich godniejsze być przy boku u ludzi. Nie łatwo jednak szło Soroce; odbijał on wprawdzie i skręcał zawsze sztychy tego djabła, ale jego dosięgnąć nie mógł, bo on szpadę i rękę trzymając wyciągniętą, był zawsze na dwa łokcie od pałasza Soroki; a stukał nogą, a hukał, a skakał, i śmieliby się spektatorowie, gdyby nie widzieli oczywiście, że koniec jego szpady bardzo często koło malowanego celu uwija się. Nakoniec niemiec raptem krzyknął i przypadł na jedno kolano, zbliżył się więc tak, że szpada jego dotknęła piersi Soroki i byłaby go przeszyła, ale tak silnie z góry po niéj uderzył on, że aż ku ziemi spadła, a wtenczas w mgnieniu oka tak płytko i zręcznie pałasz po szyi niemca puścił, że temu zdało się pewnie, jakoby go ktoś biczem po szyi świstnął. . . nie podjął się jednak na nogi i tak trwał przyklękniony. . . a wtém skoczy Soroka, pęc go w pysk! i głowa na ziemi. *Ocknął się Holofernes, aż bez głowy!*

Wojewoda polegał ze śmiechu, wojski także.

— Co to za śmiech, mopanie? nie było tam śmiechu! *Obstupuerunt omnes intentique ora tenebant* *).

— Nie byłoby śmiechu, kochany bracie, gdyby to było prawda; czyliż sam pan Soroka to ci opowiadał?

— Nie mopanie, *relata refero;* ależ przecie wszyscy toż samo i tak mówią.

— Nieraz, odezwał się wojski, i na długich *kondescencyach* **)

---

*) Osłupieli wszyscy i z otwartemi usty stali.

**) *Kondescencyą,* w prawniczym języku dawnym znaczy sąd zjazdowy.

kolegując z panem Soroką, opowiadaliśmy sobie wzajemnie rozmaite kazusa, jemu na dworze księcia jenerała, mnie na dworze księcia hetmana w Nieświeżu wydarzone; naturalnie nie zapomniało się i o tym pojedynku z niemcem, zwłaszcza, że chciałem dowiedzieć się prawdy, nasłuchawszy się wprzód takich jakie nam pan stolnik uczynił, relacyj. Mogę tedy zaręczyć, panuleńku, bo pan podczaszy jest człowiek uczciwy a werydyk z natury, że on niemca nie ściął; był wprawdzie pojedynek *praeter propter* cyrkumstancye są takie lub podobne, ale Soroka ranił tylko szeroko po gębie Holca, tak się on nazywał, i chowając szablę, gdy ten zęby swe liczył po ziemi, rzekł: „Za gębę, masz w gębę, i pamiętaj z twoim rożnem na poczciwy pałasz nie porywaj się, szołdro ty jakiś!“

Dworscy cieszyli się z upokorzenia prezumpcyi cudzoziemca i z tryumfu kolegi, a Holc, przeleżawszy ruski miesiąc, ze skrzywionym pyskiem opuścił dwór księcia.

— Zacóżby, mopanie, pan Soroka po téj akcyi musiał się rejterować do Tureczyzny i czekać tam żelaznego listu? a pono aż w Konstantynopolu się oparł, i to konno! mopanie, konno!

— Pomieszano jedno z drugiém, panuleńku. Soroka w lat kilka późniéj miał drugi pojedynek, na tymże samym dworze, o którym jeżeli kiedy zdarzy mu się wspomnieć, to zawsze z ciężkim żalem, a nawet ze łzami w oczach. Wyzwany przez Szwykowskiego, młodego człowieka rezydującego na dworze księcia, musiał strzelać się z nim tuż na miejscu, gdzie się pokłócili, to jest w stajni, przy koniach. Napróżno zaklinał go Soroka, aby się upamiętał, napróżno błagał o zwłokę, przekładał potrzebę świadków; Szwykowski stanął ode drzwi z pistoletem w ręku, i najobelżywiéj go traktując, odgrażał się strzelić doń, jeżeliby odmawiał pojedynku. Soroka dotąd zgadnąć nie może przyczyny takiéj nienawiści, dość, że musiał wziąść pistolet w rękę. Wtenczas Szwykowski kazał jednemu z kuczerów komenderować; raz, dwa, trzy! co gdy ten drżąc ze strachu wymówił, strzelili razem i Szwykowski padł ugodzony w piersi, lubo podczaszy Bogiem się świadczy, że nie mierzył nawet. Takie już to były sądy Boskie! Otoż wtenczas Soroka musiał uciekać z kraju, bo familia Szwykowskich możną jest na Litwie. Książe, przekonany o niewinności jego, dla zapewnienia swobodnego szlaku dał mu pisma do Konstantynopola, i prawda, zaje-

chał on aż na miejsce konno; ale to nie wielki dziw, bo tam inaczéj podróży nie odbywają. Potém, panowie Szwykowscy, ludzie zacni i sprawiedliwi, przekonawszy się że kolligat ich zmusił niejako Sorokę aby go zabił, zaprzestali kroków prawnych, a książe wyrobił u króla i przysłał mu list żelazny, za którym wrócił on do kraju; lecz już porzucił dworszczyznę, która mu się tak nie powiodła i osiadł we własnym domu. Odtąd służy braciom jako godny obywatel i sprawiedliwy a mądry urzędnik; więc winszuję tego wyboru panom Brzostowskim, i moim dobrodziejom życzę, panuleńku, abyście go śmiało za arbitra akceptowali.

— To i akceptujemy, rzekł wojewoda, ale też, wojski dobrodzieju, racz nam także nie odmawiać swéj łaski i fatygi, a zasiąść w tym kompromisie ze strony naszéj.

— A, panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju, taka usługa nie odmawia się nikomu, choćby obcemu nawet, a témbardziéj łaskawym sąsiadom i przyjaciołom. Bodajby mi tyle aniołów przy śmierci, ile razy sądem polubownym udało mi się położyć koniec długim processom, a nawet po dekrecie, od którego nie było apellacyi, zawziętych nieprzyjaciół do zgody świętéj nawrócić.

— To zasługa przed Panem Bogiem, mopanie: Błogosławieni pokój czyniący, rzekł Stolnik, wszyscy to znamy; chociaż prawdę mówiąc, prawujem się częstokroć byle prawować się. Ja sam mam z pięć aktoratów dla *rekracyi*, ale mamy i przysłowie, że *lepsza zgoda łyczana, jak procces rzemienny;* dla tego konsyderujemy zwłaszcza takich, którzy jak wapan, panie wojski, są biczem na pieniaczów, chociaż skrzynka wapana pisarska na tém cierpi.

— Więc kochany bracie, rzekł wojewoda, odpisz panu Brzostowskiemu, że się zgadzamy na wszystkie jego propozycye, i zostawujemy jemu samemu oznaczenie terminu.

— Ale panuleńku, odezwał się wojski, jest jednak trudne *impedimentum* dla nas obu z panem podczaszym, wybrania sobie superarbitra prezydującego; materya delikatna; weźcie to państwo *ad deliberandum.*

— Zapewne, rzekł wojewoda, lecz zdaniem mojém, nie wypada nam zaprzeczać temu, przez co Brzostowscy chcą widocznie dać poznać swoje umiarkowanie i swoje zaufanie w arbitrach. Ułoży się to jakoś panie wojski dobrodzieju, a tymczasem dziękujemy ci serdecznie i . . .

— Wypijemy twoje zdrowie, mopanie! kończył stolnik, jako naszego już sędziego, niosąc ci razem gratulacyę, żeś na ten sejmik nasz dał *afirmative.* Prócz tego mam niektóre *dubia* względem tego wina, mówił daléj podejmując próżną butelkę, a jednak jest to *res magnae importantiae* co do wieku, a zatém waloru i cnoty jego. Bo jeżeli pieczętowane Kościeszą, to jest herbem twoim, mopanie, to sam i wiesz metrykę jego; ale jeżeli go nabyłeś z cudzym sygnetem, to znowu co innego.

— Nie pamiętam dobrze, panuleńku, odpowiedział wojski, śmiejąc się razem ze swemi gośćmi, nie pamiętam dobrze, ale przyznaję, że tę ważną kwestyę dojrzale rozważyć należy. I rozkazał przynieść drugą butelkę.

— A może to mopanie potrzeba będzie dołączyć do rejestru tych *raritates* i *antiquitates* Oczakowskich; może to wino którém się Lot upił, gdy go te błaźnice, jego córki, potraktowały!

— Do czegokolwiek doprowadzi nas ten mądry twój egzamin, proszę cię jednak bracie, aby się na téj drugiéj butelce skończyło, rzekł wojewoda; i gdybyś podług swego gościnnego we własnym domu zwyczaju, i tu nie wyjechał z ulubioną swą sentencyą: *Omne trinum perfectum.*

Uśmiechnął się stolnik i pomyśliwszy chwilkę, rzekł: No, daję słowo mopanie, że jéj dziś nie użyję.

— Chwała Bogu! przynajmniéj na wpół tylko pijani wyjedziemy.

Przyniesiono butelkę, Pan stolnik zapomniał rozpatrywać herbu na korku. Ale gdy z nalaną lampką powstał wojewoda i rzekł:

A więc zdrowie twoje, kochany nasz wojski dobrodzieju!

Stolnik własną do ust podnosząc i wskazując na pełną także w ręku wojskiego, zawołał:

Protinus ex illa, vita tua renata sit! *).

— Bravo kochany bracie! bravo! zawołał także i wojewoda, zgodne z sercem naszém twe życzenia.

Wojski dziękował czule: szczerość i serdeczność obudzona winem, a zwykle u nas w takim razie na jaw wypływająca, zwilżyła już ich źrenice.

— *In prosperis et adversis* **) sługa wasz panuleńku na zawsze!

---

*) Bodajby z téj (szklanki) życie twe odnowiło się.

**) W szczęściu czy przeciwnościach.

mówił on ściskając ręce obu; lecz gdy ze stolnikiem złączył prawicę, ten wstrząsając ją mocno:

— *Quae male juncta perit, quae bene juncta ferit!* *) rzekł: a że nasze dłonie, mopanie wojski, *testis est Deus, sunt bene juncta*, więc trwać będą *teterrimo cultu, in saecula saeculorum* . . . **).

— Amen! dodał wojewoda, przykładając swą rękę do dwóch złączonych; i śmiało powiedzieć można, że trzy prawdziwie sobie życzliwe złączyły się dłonie.

VI.

Szklanki za zdrowie wychylono duszkiem, i nalano drugie, które powoli wśród miłéj konwersacyi ciągnąć się miały.

— Zkąd u licha, kochany bracie panie stolniku nauczyłeś się tylu i tak stosownych do każdego zdania sentencyj? zapytał wojewoda.

— A już to pewno, nie na waszém *Abreże*, nad którém mię męczyć niegdyś chciano, a z którego mi nic chwała Bogu do głowy nie wlazło. Sentencye mopanie, każdy statysta, każdy orator, każdy moralista w głowie mieć powinien; bo jedną dobrze użytą, dowodniéj przekonasz, niżeli długą legendą słów próżnych. W każdéj jest nauka, jest mądrość przez najtęższe głowy wyprobowana. To jak dryakiew, mopanie; kiedy ją zadasz uczciwie a regularnie, wraz się cyrkulacya myśli regularnie i w głowie rozwidnia. A u wapanów teraz co? *vox, vox, preterea nihil.* Wapan sam, panie wojewodo, kiedyś króla jadącego do Kaniowa witał w Pińsku, napisałeś mowę po swojemu wyborną, ale że odemnie żadnéj do niéj nie pożyczyłeś sentencyi, lubom ich kilka natenczas po bratersku i *gratis* wapanu nastręczał i dawał, to i nikt téj pięknéj oracyi nie pamięta. Król jegomość, wielki orator, w odpowiedzi wapanu, rzucił kilka słów i po łacinie, ale my poznaliśmy

---

*) Złe złączone ginie, dobre złączone zwycięża.

**) W najszczerszéj czci na wieki wieków.

że to była jałmużna z łaski pańskiéj, *moribus antiquis*, i nam kontuszowym ich zwolennikom rzucona.

Przerwał ten dyskurs pana stolnika tentent konnego na dziedzińcu, wojski spójrzawszy przez okno: to daleki posłaniec, rzekł; po czujce i kapiszonie poznaję, że ze szlachty Wybranieckiéj *Nieświeżskiéj*, bo ich zawsze kilkunastu miałem pod swoją komendą na zamku, na posyłki *).

Jakoż wszedł posłaniec i oddając wojskiemu list:

— Od księcia pana, rzekł.

Odpieczętowane pismo było w tych słowach:

„*Mnie Wielce Mości panie Wojski oszmiański, mnie wielce Mości panie i kochany bracie! Pełniąc ostatnią posługę zeszłym z tego świata ś. p. Jaśnie ośw. Księżnie Jéjmości hetmanowéj wielkiéj W. Ks. Lit., matce mojéj, i Jaś. Ośw. Księciu Jegomości podkomorzemu, bratu mojemu, postanowiłem ciała onych z przyzwoitą okazałością złożyć w grobie przodków moich, przy kościele farnym tutéjszym, a razem odnowić pamiątkę i żałobne nabożeństwo po ojcu moim, JO. Księciu hetmanie w. W. Ks. Litewskiego* **) *i wojewodzie Wileńskim, na którą smutną uroczystość, dnia 20-go następującego miesiąca czerwca zaczynającą się, gdy wszystkich domowi mojemu sprzyjających zapraszam, nie mogę pozostać bez zaniesienia usilnéj prośby, w szczególności do W. pana, jako zdawna ku mnie przychylnego, ażebyś ku ozdobie tego aktu i zaszczytowi spodziewanego zgromadzenia, na przerzeczony termin, do Nieświeża zjechać raczył. Czekać będę z otwartém sercem, z gruntu onego wyznający się etc. Z Nieświeża, 15-go maja 1787 roku*“ ***).

Przeczytawszy, wojski wzniósł oczy na portret i długo nie zwodząc zeń oka patrzał, otarł łzę, potém usiadł w milczeniu przy stole.

— Obchód to będzie wielki i wspaniały, rzekł wojewoda. Jadąc tu, wstąpiłem do księcia Karola; widziałem listę zapraszać się

---

*) Szlachta Wybraniecka; tak zwana, składała wielkie osady w dobrach ordynackich Radziwiłłowskich: z niéj formowała się milicya nadworna książęca, a potém pełniła służbę w zamku, na posyłki i t. p.

**) Michał Radziwiłł, hetman wielki W. Ks. Lit. i wojewoda wileński, umarł w r. 1763. Wspaniały obchód pogrzebowy odbył się tegoż roku 6-go maja, a przy złożeniu w grobach familijnych zwłok matki i brata, książe Karol odnowił nabożeństwo i po ojcu.

***) Z oryginału.

mających gości; ledwo nie tyle będzie, co przed dwóma laty na przyjęcie króla; na téj liście jesteś i ty, bracie; mnie ustnie zaprosił książe i obowiązał nawet, abym odezwał się ze wspomnieniem cnót ojca jego, w imieniu trybunału Litewskiego, którego on był w swoim czasie ramieniem i tarczą. Od stanu rycerskiego przemówi pan Mikołaj Łopaciński, wojewoda mścisławski.

— O! wart szczerego wspomnienia ten poczciwy, bogobojny a wspaniały pan, mówił wojski, wart; nie wojował on wprawdzie, choć hetman, bo nie było z kim; święty pokój panował w naszym kraju za jego hetmaństwa; ale pewny jestem, że w potrzebie nie żałowałby krwi swòjéj.

Posłaniec, na którego nie uważano, stał jeszcze przy drzwiach.

— Idź waść, wypocznij, rzekł więc doń wojski, jutro dam rezolucyę.

— Powiadano mi, odezwał się ten, wyprawiając z Nieświeża, że tu gdzieś blizko mieszka i pan stolnik Chomiński, do którego mam list także.

— A tom ci jest, mopanie; oddaj więc list.

Szlachcic podał list, który w treści był taki sam, jak i do wojskiego.

— Gotujże mowę, mopanie wojewodo, rzekł stolnik, termin niedaleki, ledwo dwa tygodnie.

— Zacząłem już pisać, odpowiedział wojewoda.

— A ja wapanu mogę skutecznie dopomódz; mam w mojéj księdze kilka gotowych takich a wyśmienitych oracyów; wybierz którąkolwiek, przerobisz tylko trochę *ad casum*.... ot, zaraz i przeczytać możemy. Gumbiuszu! przepraszam, *Mosiur de Gumbi!* przynieś mi z altany mój raptularz.

— Zabierz i moje razem książki i papiery, dodał wojewoda.

Już to po trzeciéj lampeczcze starego winka spełniali goście z gospodarzem; pot występował na czoło każdego, gdy *de Gumbi* przyniósł i na stole położył papiery wojewody i księgę stolnika.

— No, otoż masz, mopanie; wybieraj *ad libitum.*

— Cóż mi po tém, kochany bracie, powiedzą, żem *ex libro doctus*... i tam daléj.

— Oho, ho! po łacinie przecie; ale bądź wapan spokojny, o wapanu tego nie powiedzą, bo przecież *fama publica* głosi, żeś mądry i że nie potrzebujesz cudzéj głowy; więc tém tęższy przyznają wapanu rozum, że obosieczny i po modnemu i po staroświecku; a książe *panie kochanku* pewnie bardziéj rad będzie, że o jego ojcu takim samym sensem mówić będziesz, jakim on za życia przemawiał.

— Panuleńku! odezwał się wojski, ile znamy księcia Karola, stolnik trafił na prawdę.

— A przecież, rzekł wojewoda, w obu do was listach, ani jednego łacińskiego słowa niema.

— To ten kanalia Mikuć *), sekretarz księcia; niedawno wyszlachcił się, mopanie, i już pańskim stylem pisze, a książe nie czytając podpisuje; dam ja jemu, jak przyjadę do Nieświeża... Tymczasem przerzucał karty swéj księgi i rzekł: Oto masz, mopanie, naprzykład: *oratio funeralis*, i czytał deklamując:

— „Ma to nad inne wszelkie nieszczęścia *fati acerbitas* **), że się żadnemi ukoić nie da remedyami. Nie szczerze ten żałował, kto żałować przestał i łzy tylko na popis bystrym płynęły pędem, które na smutnych osychając jagodach, nie oparły się na sercu, aby jeno nowym odwilżały się żalem. Są *adversa*, które uleczyć się dadzą i z czasem niszczeją, albo *medicamentis* sekundowane być mogą; lecz *fatorum cicatrix* nieuleczona, i komu raz *venenata* zaszkodzi *mortalitas*, by się na to wszystkie wydystylowały aforyzmy, skutecznego nie wymyślą *remedium!* i dla tego wielką stratę rzadko równy żal opłakać potrafi, choćby się w obfitą łez przemieniał krynicę! choćby się każda źrenica we łzę, a każda łza w źrenicę przemieniła!“ No, tu dalibóg wszyscy płakać powinni.... a wapan śpisz, mopanie wojewodo! zawołał stolnik i rozśmiał się.

— To nic bracie! to nic; skutek to gościnności kochanego wojskiego i twojéj ochoty; wino mocne....

— Ale zdrowe, zaręczam panuleńku.

— Oto mopanie nowomodne głowy, od kilku kropel już śpią!... Mopanie wojski! *omne*....

— Bracie, a słowo? przerwał wojewoda.

---

*) Mikuć, włościanin Radziwiłłowski, którego król w czasie swéj bytności w Nieświeżu nobilitował, sekretarz księcia Karola.

**) Z dawnego rękopisu.

— Prawda mopanie, prawda! nie powiem tego, nie powiem.... mopanie wojski: *Boh trojcu lubit!* A widzisz bracie, dotrzymuję słowa.

— Wybornie, nie przewidziałem tego, odpowiedział śmiejąc się wojewoda. Ale ja nie dotrzymam wam placu, bo gwałtem oczy się kleją, i nie będę mógł użyć pięknego wieczoru, powracając piechotą, jakem to sobie obiecywał.

Mamy karetę mopanie, więc niema niebezpieczeństwa, bo któryż wojewoda piechotą chodził o pół mili? W żadnych kronikach takiéj pokory czy postpozycyi senatorskiéj godności nie znajdziesz. Że zaś widocznie nie aprendujesz mojéj oracyi, przeczytajże nam własną; mówiłeś, żeś ją zaczął już pisać; pewnie masz ją tu w swoich papierach, bo *omnia tecum portas* *); będziemy komparować obie.

— Cóż mam czytać? początek tylko? rzekł wojewoda, a jednak przerzucał papiery.

— *Exordium*, mopanie, *exordium* wiele znaczy; wprawdzie *finis coronat opus* **); ale też *dimidium facti habet qui incipit* ***). A nakoniec mopanie, ja wapana mojém *exordium* uśpiłem, więc mam prawo wzajemnéj braterskiéj żądać usługi. Pan wojski będzie czuwać za nas obu, i rozsądzi *merita* naszych oracyj; znowu go za arbitra obieram.

Wojewoda wynalazł swoje *exordium*, nie dla komparacyi wszakże, na którą go brat wyzywał, lecz z téjże saméj żądzy deklamacyi własnego pisma, (którą niech Bóg wszystkim autorom odpuścić raczy), z jaką i sławny monolog Teramena deklamował; biorąc się więc do czytania, ja tak zaczynam, rzekł: „Gdy mi przychodzi w imieniu najwyższéj w kraju tym magistatury, przemówić na tym smutnym obchodzie pamiątki zmarłego przed dwudziestu kilku laty wielkiego w narodzie męża, znając nieudolność moję, pojmuję jednak razem, że jeżeli czułość żalu z doskonałego utraty poniesionéj rozważenia wzrost biorąca, szerzyć się i jątrzyć w tych umysłach zwykła najboleśniéj, które jak przytomnego dobra wielkość szacować najprzyzwoiciéj, tak z pozbytego szkodę najsłuszniéj zmiarkować mogą, to zaiste, wyćwiczona w rozeznaniu krzywd sprawiedliwość, w zejściu JO. księcia wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego W.

*) Wszystko masz z sobą.
**) Koniec wieńczy dzieło.
***) Połowę zrobił, kto zaczął.

ks. L. nieodżałowanym i po dziś dzień najżywiéj dotkniona być się nalazła żalem. Taż sama albowiem sprawiedliwość, która dostojności powagi i praw swoich, gruntownie utrzymaną całość, jego przeważnym staraniom znając się winną, która świątynię swoją z jego nieustannéj troskliwości i z jego wyboru ludźmi zdolnymi osadzoną być widziała, wiekowi jego przeciąg najdłuższy przysądzając, lata jego mnóstwem dzieł dla dobra pospolitego najzbawienniéjszych liczyć miała nadzieję. Ale to wszystko z powszechną żałobą zawodny zniszczywszy wyrok, najsprawiedliwsze chęci najdotkliwszą zasmucił niewzględnością. Wszakże, próżna już dalsza skarga, daremne narzekanie! I twoje, JO. książe wojewodo, synu, wnuku i prawnuku wojewodów wileńskich, łzy rzewne a obfite, tak świeżym z przezacnego domu twego wydartym ofiarom, jako i pamiątce ojca twego poświęcające się, nieodwołalnéj nie wrócą straty; i jeden nam tylko, ale publicznego oświadczenia godny, do leczenia smutku pozostał dług i sposób, wyznać, że sprawiedliwość nasza miała za co być mu wdzięczną, i że wdzięczność nasza ma w czém być jemu sprawiedliwą!

Pod ogólném sprawiedliwości imieniem, dwa jéj rodzaje być rozumiem; szczególną jednę, która w samém sercu ludzkiém zamkniona, chęci wszystkie, a z nich postępki wszystkie doskonale rozrządza, drugą, powszechną, która dla wszystkich otwartą będąc, a do rządu krajów i uszczęśliwienia ich należąc, pomocne sobie sprawy między najmilsze ojczyznie policza zasługi. Nierozdzielnie te obie w zeszłym księciu złączone były; na piérwszém ich strzeżeniu polegały cnoty, wielkiemu mężowi najprzyzwoitsze; na drugiéj utrzymywaniu zasadzała się gorliwa kraju miłość, piérwszemu w kraju urzędnikowi najwłaściwsza“ *).

— Oto mój wstęp, rzekł wojewoda.

— A widzisz wapan, że ja nie śpię. Sądźże teraz, panie wojski, coś tu u pana wojewody *est, est, sed non vult exire* **).

— Owszem, panuleńku, panie stolniku dobrodzieju; widać wraz z początku, że orator ma zamiar dowieść, że zeszły książe posiadał i domowe i publiczne cnoty, których zasadą była sprawiedliwość, i znaczno, że szczerze jest przekonany o tém co mówi, że nie myśli, aby się pochwalić tylko własną retoryką, pochwytaną ze-

*) W rękopisie ówczesnym ten tylko wstęp znajduje się.
**) Jest, jest, ale wyjść nie chce.

wsząd, ale chce przekonać *publicum* o prawdziwéj zasłudze zmarłego. Taka mowa, panuleńku, może nie wzbudzi wielkiego płaczu, ale treść takiéj mowy zostanie w pamięci ludzkiéj, a razem cnoty zeszłego i chwała mówcy.

— To taki twój wyrok, mopanie wojski? oracya moja poszła pod ławę! ale wybaczaj, ńiéma na to zgody, rzekł stolnik, bo pamięć ludzka tak jak rzeka, *sicut fluvium*, tam się tylko zatrzymuje, gdzie ją palami spoprzeczysz. Otoż łacińskie słowa jędrne, mopanie, są to pale, na których zaczepia się i zatrzymuje myśl nasza, a bez których unosząc wszystko, co kto na nią rzuci, płynie i płynie *ad mare aeternitatis* *).

— Prawdziwie, bracie kochany, coraz wymówniejszym jesteś; czy to nie winko pana wojskiego takie wyborne robi skutki?

— A naturalnie, mopanie, naturalnie! ot tak jakoś rażno i wesoło, że aż miło drugiemu . . stolnik pokręcał wąsa,—choć do tańca, mopanie, i wapan, panie wojewodo, gdy tę jeszcze lampeczkę, która stoi przed wapanem nie zaczęta, spełnisz.. . .

— Jakto nie zaczęta? zawołał zdziwiony wojewoda i ujrzawszy w rzeczy samèj pełną swą lampkę, którą wojski nieznacznie w czasie czytanego *exordium* dolał, to będzie nadto. . . lecz mu nie dał dokończyć stolnik, wykrzykując:

— Ej! niech żyje nasza staroświecka poczciwość i cnota, mopanie wojski, wypijemy jak prawdziwi przyjaciele!

Amicitia benigna,
Deoram digna! **)

A kto nie wypije, ten.. . .

— Nie kończ, panie bracie, nie kończ! przerwał wojewoda i wypił.

— Bravo! zawołał stolnik, bravo! *Vivat* wojewoda bracławski! *Vivat!* krzyczał zacierając z radością ręce, *vivat tutamen et decus* ***) domu naszego! Obaczysz, mopanie, obaczysz, jak ci i śpiączka ta przejdzie i wena zaraz popłynie, jak wnet mógłbyć *currente cala-*

---

*) Do morza wieczności.

**) Przyjaźń miła,
Bogów godna.

***) Tarcza i ozdoba.

mo, za jednym zamachem napisać naprzykład panegiryk sprawiedliwości hetmana, a waleczności.... sędziego trybunalskiego.

— Rozumiem, odpowiedział wojewoda uśmiechając się, ale przypomnij sobie, że ja mam mówić w imieniu trybunału, to jest w imieniu juryzdykcyi sądowniczéj; a tém trudniéj będzie zapewne mówić o męztwie, gdy żadnéj zeszły hetman nie miał zręczności dania swego męztwa próby. Ot, gdyby mi przyszło mówić o tym hetmanie, rzekł wskazując ręką na Sobieskiego, obaczyłbyś bracie, czy umiałbym godnie sławić bohatera! Tu wstali wszyscy trzéj i wpatrywali się w portret. . .

— A wiécież wapanowie, jakie jemu *Elogium* po zwycięztwie wiedeńskiém na kolosie tryumfalnym w Rzymie napisano? zapytał stolnik.

— Piérwszy raz o tém słyszę, rzekł wojewoda, bo ubior cały hiszpański z litéj materyi, perłami bogato naszywanéj, i kapelusz także hiszpański, sznurem wielkich pereł obramowany, a przy nim kokarda z brylantów, przysłano naówczas przez papieża Janowi III-mu, widziałem w skarbcu Nieświeżskim.

— I każdy z nas to widział panuleńku; ale o tym kolosie i o *Elogium*, nie słyszałem, i nie wiem.

— A ja wiem, mopanie, i napis ten wapanom przeczytam.

— Więc masz go w księdze twojéj? A to nieoszacowana ta twoja księga, kochany bracie, czegoż w niéj niéma?

— Jest, jest w niéj wiele rzeczy, o których nie wiecie, a sukcessorowie moi znajdą w niéj kiedyś i naukę i zabawę, *utile dulci*, mopanie! Otoż słuchajcie. *Grandibus* i *Aureis litteris* tak było, czytał:

„Joanni tertio! Electione Polonico et Lithuanico: Libertatione Austriaco, Pannonico, Profligatione Othomanico, Thracico, Scythyco. Religione Christianissimo, Pietate Catolico: Zelo Apostolico. Inter Duces bellicosissimo, inter Reges sapientissimo, inter Imperatores Augustissimo—Cui gloria militaris regnum peperit, Clementia stabili, meritum perennavit. Qui raro pietatis et constantiae exemplo propria deserens, docuit quo pacto federis jura ineantur, custodiantur, compleantur. Othomanicam lunam fulgentissimo Crucis vexillo aeternam Ecclipsim minitantem, adeo prospere feliciterque Christianorum finibus eliminavit, ut unum idemque illi fuerit: venisse, vidisse, vicisseque. Inter in numeros igitur Christiani orbis plausus: inter vindicatae religionis et Imperii laetitiam: inter cruente lunae extrema deliquia,

agnoscant praesentes, credant posteri! Non tantum enascenti Evangelio quo promulgaretur; sed et adulto ne profligaretur, utrobique a Deo, missum fuisse, hominem, cui nomen erat Joannes *).

— Czy uważacie wapanowie, mówił stolnik przeczytawszy, jak to na końcu mądrze i głęboko wzięto: że dwóch Janów Bóg zesłał na świat. Piérwszego aby Ewangielię ogłaszał, a drugiego by ją obronił. *Utrobique*, to znaczy z obu końców Ewangielii, i kiedy myśliłem nad wytłómaczeniem tego po polsku, to te *utrobique* najtwardsze mi było.

— Piękna historyczna pamiątka, dobrze żeś ją wpisał, rzekł wojewoda.

— Jest tu wiele takich mopanie, mówił on przewracając karty swéj książki.

— Ot może chcecie to wam przeczytam o *cudach świętego Cypryana*. Albo bardzo ciekawą historyę o pewnym żydzie, który żył za czasów pobożnego cesarza *Justyniana*, i odkrył wszelkie tajemnice zatwardziałéj niewierności żydowskiéj. Albo może co weselszego wierszem, naprzykład: Respons damy piętnastu kawalerom....

— O panuleńku, to już pewnie fikcya poetycka! rzekł wojski. Jak świat światem nigdy zdaje mi się piętnastu razem konkurentów do jednéj nie bywało.

— No, to może opisanie pielgrzyma, który przeszedł wszystek świat...

---

*) Janowi trzeciemu, wybraniem polskiemu i litewskiemu a), oswobodzeniem austryackiemu, panońskiemu, zwycięztwem ottomańskiemu, trackiemu, scytyjskiemu, religią arcychrześcijańskiemu, pobożnością katolickiemu, gorliwością apostolskiemu, między wodzami najwaleczniejszemu, między królami najmędrszemu, między monarchami najwyższemu, który chwałą wojenną królestwo odrodził, łaskawością i zasługą utwierdził, który rzadkim cnoty i słabości przykładem własny kraj opuszczając, nauczył jak się przymierza wiążą, zachowują i spełniają. Księżyc ottomański wiecznem zaćmieniem jaśniejącéj krzyża chorągwi grożący, tak szczęśliwie z granic chrześcijańskich wygnał, że jedno i toż samo mu było przyjść, widzieć i zwyciężyć; wśród niezliczonych, więc świata chrześcijańskiego oklasków, wśród radości dźwignionéj religii i cesarstwa, wśród ostatecznego krwawego księżyca upadku. Niech znają współcześni, niech znają potomni! że nietylko dla rodzącéj się Ewangelii ogłoszenia, lecz i dla obrony dojrzałéj, w obu czasach (utrobique) posłany był od Boga człowiek, któremu było imie Jan.

---

a) Układający ten napis, daje Sobieskiemu przydomki na wzór Rzymskich, Scipio Africanus i t. p.

— A na miłość Boga! kochany bracie, przerwał wojewoda, nim tę wędrówkę odbędziemy, to dnia i nocy nie stanie; przejdźmy woléj, za pozwoleniem pana wojskiego dobrodzieja, na ganek, ochłodzimy się nieco, a potém go pożegnamy.

VII.

Ganek pana wojskiego wklęsły wewnątrz domu, kratką zagrodzony, z wygodnemi ławkami do siedzenia, umyślnie zdawał się być urządzonym na to, aby gospodarz po pracy mógł wieczorem oglądać zeń całe swe mienie, i dziękczynnemi paciorkami dzień kończyć: taki właśnie był zwyczaj pana wojskiego.

Gdy usiedli na ławkach, milczenie trwało przez czas niejaki... Wojewoda nieco winem rozmarzony, poglądając na piękny zachód słońca, którego ostatnie promienie padając na staw, szeroko ozłacały wodę, to na gaje za stawem rozlegające się, w *poetycznêm* czy w *politycznêm* zdawał się być zadumaniu...

Stolnik wychodząc na ganek popuścił pasa, pokręcił wąsa i poważnie rozparłszy się:

— *Mosiur de Gumbi*, podaj mi fajkę! zawołał. Miał ją zawsze na pogotowiu *de Gumbi*, podał więc nałożoną knastrem i na długim cybuchu osadzoną. Wziąwszy ją w usta, stolnik czekał patrząc na Gumbiusza; ten dobył z kaletki krzesiwko, hubkę na skałce położył, podniósł rękę... i spójrzał na pana...

— *Czynk!* zawołał stolnik, skry się sypnęły!...

— *Na zdrowie waszeci!* rzekł Gumbi, kładąc zapaloną hubkę na knastrze.

Wnet gęste kłęby dymu rozwinęły się około oblicza stolnika i coraz daléj falowały się w spokojném powietrzu... i myśl jego w roskoszném jakiemś upojeniu na falach dymu swobodnie i mile kołysać się zdawała...

Wojski milczał także, sam nie wiedząc dla czego; chciał on koniecznie, jako gospodarz, rozpocząć jakikolwiek dyskurs, ale nic mu się nie wiązało.

Nakoniec stolnik, oglądając się około siebie, jakby czego zapomniał:

— A lampeczki? rzekł. Ot milczym, jakbyśmy oniemieli, bo humor i elokwencya nasza przy nich w pokoju zostały się... i wapan, panie wojewodo, coś często zadumanym bywasz, gdyś senatorskie zajął krzesło; przedtem tego nie bywało! nawet moja pani toż samo onegdaj postrzegła.

— *O tituli, scopuli, titulo meliori vocandi!* *).

— Oj tak, tak! *tytuły* to *szkopuły*... Tu podano lampeczki rozpoczęte. Lecz by nam zdrowia nie psuły, mówił daléj stolnik, dokończmy na waletę, mopanie wojewodo, bo *tempus tempi*, czas się skępi...

Wtem, krówki, wracając całém stadem z pola, weszły na dziedziniec i ryczące, biegły skwapliwie do stawu, by się napić i ochłodzić. Cichy dziedziniec pana wojskiego ożywił się niejako i w ruchliwy wiejski zmienił obrazek; daleki gwar wracającego z pola robotnika dochodząc aż tutaj, oznaczał porę dnia, w któréj jak pszczoły do ulów, lud pracowity z plonami lub nadzieją plonów wraca pod strzechy...

Wojewoda powstał, a przypatrując się jeszcze czas niejaki temu, co przed sobą widział, z widoczném wzruszeniem ujął rękę wojskiego i:

— Zazdroszczę ci, rzekł, zazdroszczę ci tych wiejskich, pożytecznych razem i miłych prac rolniczych... Ja na to nie mam czasu!

„Szczęśliwy, kto na łonie domowéj ustroni,
Przed krajowych się niezgód nawałnością chroni,
A lubéj zażywając w zaciszu ochrony,
Własnemi woły orze ojczyste zagony!

— Mopanie! zawołał stolnik, *paterna rura bobus exercet suis*, to toż samo wapan wytłómaczyłeś.

— A tak, toż samo wytłómaczyłem, i widzisz bracie, że w każdym języku, i tak dobrze w naszym jak w łacińskim, można wyrazić to, co głęboko za serca chwyta.

— A w to mi graj, mopanie! z łacińskiego! i jak wybornie się udało! Ale ta zazdrość wapana nam gospodarzom dowodzi prawdy mojéj sentencyi *o tituli, scopuli*. Wszakże, mopanie wojewodo:

Qui nihil videntur agere, majora agunt **).

---

*) Tytuły, szkopuły, lepszym tylko tytułem nazwane.

**) Którzy nic czynić nie zdają się, więcéj czynią.

I wapan, *majora agis pro bono publico*, a wysokie wapana dostojeństwo, którém się wszyscy w familii cieszym, kompensuje kłopoty urzędu; gdy zaś senatorstwo bardzo wapanu dokuczy, przyjeżdżaj do nas! Nadzieja w Bogu, że przy tém *antidotum* wszelkich biéd ludzkich, którego naznaczonéj dozy dokończ wapan z lampeczki, i przy nas, twych kordyalnych mopanie wojewodo przyjaciołach, nie umrzesz z nudy. Héj! Rozmachajło! zajeżdżaj! bo widzicie wapanowie, ponieważ on tęgo biczem macha, więc się zowie Rozmachajło i zfrancuzić go żadnym sposobem nie mogę.

Stangret, jakby dla usprawiedliwienia swego przezwiska, palnął huczno i kilkakrotnie z bicza, a kareta stanęła przed gankiem.

— Panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju, odezwał się wojski, konsylia pana stolnika są wyśmienite i zbawienne, spełniać je należy; o altanie mojéj, w któréj jako on mówi, raczysz *vacare Musis*, z chlubą sukcessorom moim rozpowiadać będę. Przybywaj więc do niéj jak najczęściéj; domek mój szlachecki i serce otwarte zawsze dla cię! . . . a tymczasem i dozę *antidotum* tego dokończyć należy panie wojewodo.

— Koniecznie, mopanie, koniecznie!

Res infinita, tanquam non incepta, *) i musiałaby się chyba *a capite* zacząć.

— Niechże tego Bóg broni! zawołał wojewoda.

— A tak, mopanie, tak!

Incidit in Scyllam, qui vulte vitare Charibdim **); wybieraj, panie bracie!

— Więc na *valetę* kończę, rzekł wojewoda, wychylając do dna lampeczkę, niechże twój *Mosiur de Gumbi* wspiera nasze kroki.

— Wara, Gumbiuszu! ani tu, ani w domu!. . . wara! moja pani pomyśliłaby, że kto wié co!. . .

— Mopanie wojski dobrodzieju, jutro piątek, szczupak na szaro czekać będzie wapana na obiadku; suplikuję, nie przyjmując żadnéj exkuzy; a na potuszenie stanie mój węgrzyn, który jako pański stary francuz Kościeszę, tak on Poraja na łbie nosi. Będzie i ksiądz proboszcz, dla dopilnowania i postu i zdrowia naszego. Zatém *ad coram* mopanie!

---

*) Rzecz nieskończona, tak jak nie zaczęta.

**) Wpada w Scyllę, kto chce uniknąć Charybdy.

Oba bracia uścisnąwszy się z gospodarzem, siedli do karety, do któréj *de Gumbi* wyniesione wprzód z pokoju książki i papiery wrzucił.

Pan wojski usiadł znowu na ganku...

Wieczór cichy, miły, spokojny obiął dwór i całą okolicę... Słowik ozwał się w ogrodzie, kończąc swe wiosenne piosenki; strumień wyrywając się ze stawu, mruczał po kamieniach... i na ganku to głośniejsze, to cichsze odzywało się mruczenie... wśród którego dosłyszéć można było słowa: *Omni Die*, *Dic Mariae*, *mea laudes anima!*...

[illegible]

[illegible]

[illegible]

KONWERSACYA MŁODZIEŃCZA.

PRZEDTRZYDZIESTOKILKOLETNIA.

Cieniom i Pamięci

JULJANA KORSAKA

poświęca

autor.

Lat trzydzieści kilka jednostajnego i zawsze stałego stosunku, to nie fraszka! Czém jest próba ognia dla złota, tém jest czas dla serca ludzkiego i jego uczuć. Nasz stosunek samotrzeci, zawiązała przyjaźń młodzieńcza, podtrzymywało jedno dążenie, i jeden cel życia: naukowa praca i kształcenie się religijno-moralne—nakoniec utwierdziło powinowactwo familijne po naszych żonach. Sam przyznasz, że to jest jedno z arcyrzadkich zdarzeń, które troje ludzi oplata tylu rzeczywistemi węzłami. Szczęść ci Boże w twéj pracy! a usiadłszy w cieniu chłodzących i szumiących lip twojéj altany, marząc w **reminiscencyach** *młodości naszéj o projektowanéj* **konwersacyi,** *wspomnij przyjaznego ci Juljana serdecznie i szczerze, jak ja cię zawsze wspominam i kocham.*“

(Wypis z ostatniego listu Juljana Korsaka do Ignacego Chodźki).

„Tuż za domkiem mały sadek,
Krążony biegiem wód czystych;
Mych dziecinnych pieszczot świadek,
Potém zapałów ognistych!...
Powiernik myśli samotnych,
Roskosz tkliwych, łez ronionych,
Moich nadziei stokrotnych,
Niestety! stokroć zmylonych!!!
W nim lipa stoletnim cieniem,
Przed spiekłym słońca promieniem,
Ukrywa zefirek chłodny:
Między jéj gęste konary,
Wije się motylek szary,
Jak myśl—żywy i swobodny!...

J. Ch....

I.

Ludzie mają swe przeznaczenie, zda się że i miejsca niektóre na ziemi mają także swoje. *Ludzie* wybrani mają przeznaczenie wielkie, szerokie, potężne: *miejsca* niektóre przeznaczonemi być się zdają na wypadki także wielkie i długo pamiętne. *Ludzie* obdarzeni talentem przeznaczeni są, aby rozlewali pokój, miłość i naukę po świecie: *miejsca* niektóre przeznaczonemi być się zdają, aby uspakajały, rzewniły i miłością powszechną upajały serca ludzkie. *Ludzie* szukają miejsc stosownych do swych pojęć, uczuć i zamiarów: *miejsca* zdają się same nastręczać i przywabiać ludzi. *Geniusz* i *potęga* na szczytnych i dogodnych wielkim zamysłom, wznoszą grody, twierdze i wspaniałe Bogu świątynie, lub pamiętnemi czynami, *miejsca z czasem*, to jest z dziejami wiążą. *Talent* i *serce* obiera sobie

ciche ustronia, pięknéj natury wdzięczne przybytki, zdobi je i uwieńcza kwiatami, ocienia drzewami, upowabnia owocem, i wśród nich podobając sobie, z lutnią w ręku, śpiéwa hymn Bogu, lub pieśń dla ludzi. . . która brzmiąc w późnych pokoleniach, imie mędrca lub poety, i *miejsce* mu ulubione, urokiem czci i wiekuistego wspomnienia okrywa. Któż z nas niechciałby uderzyć czołem w *Czarnolesiu?* lub podumać pod lipą, pod którą nieśmiertelny wieszcz nasz „*piérwszy Muzom polskim pozaplatał kosy*“ *).

W skromniejszym zakresie, ogród który z piérwszéj *konwersacyi* poznaliśmy, zdaje się jednak mieć swe poetyczne przeznaczenie. Zbiegiem rozmaitych okoliczności, i powabem miejsca przyciągani tu od czasu do czasu, i w rozmaitych epokach literatury naszéj uczeni goście, nieraz w lipowéj altanie, to układali i przedłużali swoje prace, to próby talentów swych głosząc, zawieszali w niéj niejako obrazy swego natchnienia, jak błędni niegdyś minstrele swe pielgrzymie wota.

Tu, jak wiadomość domowa i z kolei pamięć zasięga, X. Ignacy Chodźko *Societatis Jesu*, przebywając w domu rodzonego brata swego pana *wojskiego*, przetłómaczył na język polski wierszem miarowym bajki Fedra **), które późniéj po skassowaniu zakonu z tekstem łacińskim i francuzkim wydrukował, i Komissyi Edukacyjnéj przypisał.

Tu, jak widzieliśmy, *Ksawery Chomiński* wojewoda mścisławski, *Delila* i *Rassyna* tłómaczył; a to już był u nas zachód łaciny, a wschód francuzkiéj gwiazdy. Gdy zaś ona w całéj swéj świetności jaśniała, tu *Jan ze Świsłoczy* (Jan Chodźko) synowiec pana wojskiego; kształcąc swe na jéj wzorach zdolności, pisał i deklamował swoją tragedyę *Bolesław Krzywousty* ***), któréj z większém ukontentowaniem i znajomością treści, jako z dziejów ojczystych, słuchał ośmdziesięcioletni już natenczas *wojski*, i rodzina chlubiąca się familijnym talentem.

---

*) Słowa Jana Kochanowskiego.

**) Drukowano w Wilnie 1774 w drukarni Akademickiéj, z pracowitym kommentarzem łacińskim.

***) Tragedya *Bolesław Krzywousty* nie drukowana, lecz po wszystkich teatrach narodowych nieraz reprezentowana; ostatni raz w Wilnie 1821 r.

Tu natenczas igrało około niego siedmioletnie chłopię, syn jego i dziedzic jego zdolności, który potém w czasach już téj *konwersacyi*, jako głęboki oryentalista, tłómacz pieśni nowo-greckich i perskich kassydów zasłynął *), a natenczas wpatrując się w twarz ojca poetycznym zapałem promieniejącą, dziecinném zdumieniem i pojętnym wzrokiem, zwiastował literaturze naszéj znakomitego wieszcza. Obok stał mu brat jego starszy, który godło wiary naszéj *Krzyż święty* na szczycie *Araratu* miał utkwić!!!

Upłynęły potém lata, zmieniły się wyobrażenia: altana ze swém przeznaczeniem nie zmieniła się wszakże...Wnuk nastąpił po dziadu, i pochopy do poezyi jakby z altany natchnione, objęły go także: bo któż za młodu czując żywo, unosząc się polotnie, kochając się płomiennie, tych pochopów nie uczuł? I znowu altana zabrzmiała rymami, lecz nie słyszanéj w niéj dotąd treści. Tkliwe skargi, pochwały wdzięków, zaklęcia i przysięgi, w rozmaitych formach i tytułach, tworzyły się w niéj, a rozlewały się po *sztambuchach*, lub się wkradały w piękne rączki, rumieniących się na te czułe wyznania dziewic... a że i sama altana miała w poezyach dziedzica swój udział, dowodem godło nad tém pismem umieszczone, z tamtoczesnych jego poezyj przypomniane.

Był to czas u nas poezyi, że tak się wyrażę, *sztambuchowej:* zalotnéj, miękkiéj, dziecinnéj, zakołychanéj w błogie *far-niente*, wśród którego pieszczona, jednotonna, mniéj więcéj czuła i szczera, mniéj więcéj żywa lub tęskna, odzywała się melodya. Żadnéj nigdzie całości ani dążenia, żadnych uczuć prawdziwych serca, żadnego podniesienia ducha; a przytém wszystko cudze, wszystko jeszcze francuzkie, wszystko mniéj więcéj naśladowane, i wszyscy czytelnicy i poeci, pięknemi wierszykami, jak dzieci cackami się bawili **).

Pojawiały się wprawdzie gdzieniegdzie pojedyńcze talenta: *apparent rari nantes in gurgite vasto;* bo kiedyż u nas nie było talentów? Lecz i te znacząc się tylko to wyborniejszą treścią, najczęściéj z walk rycerskich wojennéj natenczas Europy natchnione, to milszém i dowcipniejszém jéj oddaniem, błyskały jak świetniejsze gwiazdy, na tle zasypaném migocącemi się iskierkami.

Epoka Stanisławowska zasłynęła poetami oryginalnymi, którzy

---

*) Poezye Alaksandra Chodźki, drukowane w Petersburgu 1829.

**) Nie mówimy tu o prozie, bo téj, prócz naukowéj elementarnéj, u nas natenczas rzeczywiście nie było.

narodowe treście w klassyczne formy, francuzkim szychem ozłocone, wciskali. Ta, któréj pobieżny rys kreślę, jakby jeszcze słabszego usposobienia i ducha, już się na oryginały zdobyć nie mogąc, tłómaczeniami się zajęła, wszakże, w niedostatku innych głównych zasług, tłómacze ci, wyborem celniejszych poematów starożytnych i nowéj zwłaszcza francuzkiéj literatury, oraz pracowitemi, gładkiemi i ile można sumiennemi przekładami, zasłużyli się prawdziwie literaturze naszéj *).

Lecz wzrastało i dojrzewało nowo pokolenie, szczególniéj w Wilnie, którego duch młodzieńczy miał rozsadzić krępujące go dotąd formy; przebić i rozświetlić, jak iskrą elektryczną, tę mgłę nieruchomą a ciążącą dotąd nad każdym talentem, stare jéj pierwiastki zobojętnić, rozbudzić uczucia, rozszerzyć wyobrażenia, i nowym popędem ducha ożywić prawdziwą poezyę, „*Miéj serce i patrzaj w serce!*“ zawołał jeden, „*Zewnątrz serca, niéma życia!*“ a zatém niéma i poezyi, zawołał inny . . . Młodzież ówczesna czysta, niepokalana, pełna miłości dla nauki i dla wszystkiego co było piękne, serdeczne i własne, przyjęła z oklaskiem i miłością przykład, który natchnieniom ich, marzeniom ich nawet młodzieńczym, własne, rzewne, uczuciem i prawdą tchnące podawał nóty.

Wielu jednak, ba! i bardzo wielu, nie myśląc głębiéj, i powierzchownie znowu do naśladowania nowéj obczyzny, (bo już po Europie, tak nazwany romantyzm nad klassycyzmem brał górę) do imienia, do form nowych i do tytułów się przywiązując, we wskrzeszeniu średniowiecznéj *minstrelów* i *trubadurów* poezji, doskonałość widzieli, i nowe *Donkiszoty*, starego *Pegaza* na *Rossynanta* jakby przehandlowawszy, we własne go tylko i swojskie, mniéj więcéj zręcznie podrobione, stroili rzędziki. Średniowieczny mistycyzm, świat duchów, ich widomy wpływ na sprawy ludzkie, wszedł natenczas w poezyę powszechną; u nas znalazł się pod ręką w podaniach ludowych, w mnóstwie zabytków i przesądów bałwochwalczéj Litwy, w cudownych objawieniach, będących jakby własnością każdego prawie domu, każdéj rodziny, zapas obfitych treści, z którego poczer-

*) Mógłbym tu pod każdym ogólnikiem podłożyć imiona i określać czasy, ale ten rzut oka nie ma historycznego celu; służyć on tylko może do dziejów nowszéj literatury naszéj każdemu, ktoby je pisać miał, jak lekki ślad wśród gęstéj puszczy, który rozpatrującemu ją wędrownikowi zbłądzić nie daje.

pnięte sypnęły się na nas hurmem ballady, czary, upiory, i cała czereda piekielna ze swemi fantastycznemi marami . . . Jakby przelękniony takiém zjawiskiem, pierzchnął bez powrótu liczny zastęp bogów mitologicznych, niedozwalający dotąd, niby hufiec granicznéj straży, przestąpienia kardynalnych okręgów wyobraźni, i układający machiny do bohaterskich poematów; a nowa nazwa poezyi *romantycznéj* i poetów *romantyków*, weszła i u nas w świat literacki.

Ale wyższe talenta pojęły wnet siebie samych, i przy nowym a rozległym horyzoncie, który się przed wzrokiem ich duszy rozwinął, bez żadnych kolejnych przejść i postępów, jednym dzielnym rzutem gienialnego polotu, od piérwszego poczucia do szczytu się wzniosły, a literatura nasza wzbogaciła się w arcy-dzieła poetyczne i w imiona nieśmiertelnych wieszczów! . . .

Stłumiona i zdziwiona rzesza naczelnych wyznawców starych prawideł, mentorów literatury, z pod których władzy i przewodnictwa swobodna wybijała się młodzież, rozwinęła swój klassyczny sztandar, około którego, jak około chorągwi Mahometa, gromadzili się wierni . . . i zaczęła się walka na śmierć i życie! Wśród takiéj to wojny domowéj, jedna z podjazdowych utarczek, odbyła się w altanie.

II.

Młodość, wiosna i *miłość!* trzy pokusy życia ludzkiego, trzy nadobne siostry, same uwieńczone kwiatami i wieńczące młode czoło człowieka . . . Gdziekolwiek one są razem, wnet tam jest czwartą *poezya*, i gdybyśmy trzy pierwsze w materyalnych postaciach wyobrażali, *poezya* byłaby duchem płomiennym *Pigmaliona* ożywiającym je. A czyli się ona natenczas na jaw, z przepełnionego serca wylewa, czy w duszy tylko gore i ją unosi, zachwyca, rozmarza, zawsze w tém połączeniu, ona z piękności natury tworzy rajskie ideały, i najulubieńsze chwile życia naszego urokiem natchnienia i najczulszych roskoszy napawa.

Te trzy czarodziejki z towarzyszką swą czwartą, panowały teraz nad domem, nad ogrodem, nad sercem pana *Ignacego* młodego dziedzica po panu *wojskim* wnuka jego: a altana w któréj przed

laty widzieliśmy poważną starców *konwersacyę*, zaprzeczającą francuzkiéj *klassycznéj* i *dramatycznéj* Muzie praw do greckiego *Koturna*, była ich teraz głównym przybytkiem. Konwersacya zatém, która, jak *kameleon* kolory, zmienia się z czasem i z wyobrażeniami ludzkiemi, i do nich stosuje, i tu się zmieniła zupełnie: a w téj jednéj zmianie, ileż to zmian razem!!!

Dom pana stolnika w starożytnym swym kształcie stał nietknięty, jako i teraz trwa jeszcze; wnętrze nawet jego też same, wejdź weń, a znajdziesz się w przedstowiecznéj rezydencyi naddziadów naszych. Obszerne sale i pokoje, wielkie kominy, zestarzałe na drewnianych ścianach i sufitach *freski*, przypominające jeszcze dzisiaj w godłach i sentencyach ulubioną pana stolnika łacinę. Nad jednemi naprzykład drzwiami *pelikan*, rozpościera skrzydła, i zasłania swą dziatwę przed orłem unoszącym się nad gniazdem, dzióbem zaś wydziera pierś swą na ich pokarm; napis u spodu: „*Suos amat atque tuetur*“ *); piękne zapewne godło ojca rodziny. Na głównym kominie, wielkie namalowane ognisko i napis: *Sine lignis, non fiat ignis*“ **), i kilka tym podobnych. W sieniach powita cię *Mosiur de Gumbi*, którego wierny konterfekt, w naturalnéj postaci, u drzwi głównych pan stolnik wymalować kazał. Są więc tam i dziś pamiątki, wśród których gdy się znajdę, zda mi się, że z-za którychkolwiek podwoi wysunie się poważny stolnik, i rad z gościa, zawoła wesoło: „*Hospes venit*, mopanie, *Chrystus venit*“ koniki do stajni.

Ale dom tem z czasem inna objęła rodzina, a w starożytne ściany jego, los pełną dłonią, jakby kwiaty wiosenne, rzucił wdzięki dziewic litewskich. Przebiegały one lekkiemi stopy i uweselały te posępne sale i komnaty, budząc wyobrażenia tylekroć opiewanych niegdyś piękności po starych zamkach zamieszkałych. Tu więc były *młodość* i *wiosna*, a o pół mili w altanie *miłość* i *poezya*.

Głową téj rodziny był brat jéj najstarszy, pan Krzysztof M. kapitan. Przybył on przed kilką laty do domu z wojen, które się upadkiem mocarza francuzkiego zakończyły. Po bitwie Lipskiéj, ozdobiony krzyżem legii honorowéj, walczył potém na ziemi fran-

---

*) Kocha swoich i opiekuje się niemi.

**) Bez drewek nie będzie ognia.

cuzkiéj; wrócił nakoniec z ostatkami ojczystych szeregów do kraju, a wywołała go z nich śmierć ojca i nowemi obowiązkami gospodarza, opiekuna młodszego rodzeństwa, a z kolei męża (bo się wkrótce ożenił) obarczyła.

Wnuk pana wojskiego był to młody człowiek, który skończywszy nauki w Uniwersytecie wileńskim, po świéżéj stracie rodziców osiadł także w domu, wolny, swobodny, niezależny, i zaczął wieść gospodarkę z konieczności, z przymysu nawet, lecz wcale nie z upodobania, które go raczéj do literatury, do poezyi, niżeli do pługa nakłaniało. A żywioł do poezyi miał tuż, w pięknych swych sąsiadkach, więc imionami ich zabrzmiała altana, a cyframi zdobiły się jéj drzewa. Talent, czy tylko pretensyę do talentu, wyniósł on z lekcyj literatury polskiéj, wykładanych w Uniwersytecie przez *Euzebiusza Słowackiego* *), najściślejszym wówczas klasycyzmem i fracuzczyzną tchnących. Więc naśladując wielkich ówczesnych mistrzów narodowych, lub bez ceremonii tłómacząc i przywłaszczając sobie francuzkich, gdy nawet do téj chwały doścignął, że Dziennik Wileński jego rymy drukował, przez czas niejaki za najgorszego gospodarza, ale za wielkiego poetę uchodził.

Częstokroć serca i uczucia młode, podały mu jakąś myśl żywszą, jakiś wyskok w bok lub w górę od przyjętych reguł, natenczas mimo instynktowe przekonanie, że tak nieźle byłoby, odrzucał to śmielsze uniesienie, pomysł lub wyraz tylko, jak herezyę, gładząc nawet pracowicie jéj ślady.

Pisał więc pan Ignacy szumne *Ody*, milutkie *Anakreontyki*, słodziutkie *Tryolety* i *czterowiersze;* niekiedy złośliwym *Epigrammatem* dopiekł rywalowi, a niekiedy zdobył się na wiersz *quasi modo* bohaterski, równo od początku do końca trzynastomiarowy, na chwałę kolegi *Poety* który mu wzajemną odpłacił monetą. Ktoby dziś dojrzałym a bezstronnym sądem roztrząsał te poezye, i wszelkie inne z tamtego czasu, bo wszystkie podobnego sobie są kroju, znalazłby w nich wielką umiejętność rymowania, polityrowaną gładkość wiersza, niekiedy dowcip, w niektórych wyraz przypominający Trembeckiego rzymską polszczyznę; lecz nigdzie poezyi ducha, nigdzie samoistotności. . .

*) Tłómacz Henryady i autor tragedyi Mendog.

Jeden tylko ówczesny poeta, kochanek *Emmy*, jak niegdyś czuły kochanek *Justyny*, jest tu wyjątkiem, i jak stoi w literaturze naszéj osobny z tłumu Stanisławowskich rymopisów, tak i ten własny i nienaśladowniczy, lutnię swą podług serca strojąc, roni z niéj tkliwe poezye, wchodzące w duszę i pamięć wszystkich. Nie szuka on chluby ze swego talentu, nie pragnie wieńców ani oklasków, ale z uczuciem głębokiego przywiązania do ojczystéj ziemi, wszelkie swe nadzieje i żądze w rzewnéj do Boga wznosi modlitwie.

„Tu ja (mówi on) w krótkiéj modlitwie naprzykrzę się Bogu.

„Daj zdrowie, póki życie dajesz Władzco nieba,
I kęs dziękowanego Tobie tylko chleba!
A gdy grób mój śmiertelne nacisną kamienie,
Niech jeszcze w ustach ziomków żyje moje pienie!“

Lecz nowe gwiazdy, jakem to powiedział, zjawiać się poczęły na firmamencie literackim i gasić dawniejszych luminarzy. Pan Ignacy niewiele odbiegły wiekiem od akademickiéj młodzieży, wśród któréj się te fenomena reformy objawiały, znał ich prawie wszystkich, a kochał i był kochany od tych szczególniéj, z któremi go wzajemna poetyczna zbliżała sympatya. Pan *Edward* i pan *Juljan* najbliżéj złączeni z sobą, chętnie i ochoczo zawiązali miłe wzajem z panem Ignacym stosunki; bo on w ich towarzystwie przedłużał swą młodość i wszystkie jéj ułudy; oni w jego większém ze światem otarciu się, jako starszego, niewyczerpane mieli źródło dowcipnych postrzeżeń, podniecających młodzieńczą ich wesołość; a wszyscy trzéj w poetycznych projektach, poufnych zwierzaniach się i zachętach, coraz to nowe rozkosze serca, coraz to większe powody wzajemnéj przyjaźni, znajdowali.

Byli to właśnie nowi renegaci *klassycyzmu*. Nowi, bo pan Juljan niedawniutki i wyborny tłómacz liryków Horacyusza, uczynił teraz wyznanie nowéj wiary szczytną swą poezyą *Czas i Geniusz*, i brnął daléj i daléj nie rozstając się z *Göetem*, z *Szyllerem*, z *Bajronem*, z których coraz to świeże, i jak na złość panu Ignacemu, coraz to piękniejsze tłómaczył ustępy; a pan Edward załamawszy pióro na połowie przekładu *Ifigenii* Rassyna, całemi dwóma tomikami ślicznych poezyj i ballad własnych oryginalnych i tłómaczonych, dał jawny dowód swéj apostazyi, a co gorsza apostolstwa.

Oburzony i przerażony pan Ignacy tak nagłą reformą, taką konfederacyą buntowniczą, wołał głosem wielkim na zaprzańców dawnéj poetycznéj wiary:

„Czyś ty z głazu wycięty, czy wytopion z miedzi?

Pisał on do Edwarda:

Czy zły duch, Panie odpuść, w sercu twojém siedzi *)?
Że cię ni żadne prośby, ni żadne przestrogi,
Z tak zwanéj romantycznéj nie sprowadzą drogi.
Ściśle z Appolinowym spokrewniony ludem,
Jak mołna za koranem, rabin za talmudem,
Tak ty młodych dowcipów wspierany gromadą,
Za twoją czarnoksiężką obstajesz balladą:
Co w waszych rymach piękna, lecz w zmyśleniach gruba,
W miejscu Feba, na scenę wiedzie Belzebuba.
....

Nie na to cię niebieskie natchnęły dziewice,
Byś je dręczył w balladach, jakby czarownice.
Godniejszym twych talentów językiem przemawiaj.
Porzuć straszyć, a raczéj nauczaj, zabawiaj!
Ozdób mowę w tłómaczów zwięzłych niebogatą,
Jakeś zaczął, Rassyna polską odziéj szatą:
Lub w własnych dziejach czerpiąc pracy twéj osnowę,
Dla Barbary, Ludgardy, utwórz siostry nowe.
Znam cię, do wszelkich treści twe talenta nagniesz,
I wszystkiego dokonasz, gdy szczerze zapragniesz“ i t. d.

Ale gdzież tam! Edward po długiéj zwłóce, ot co odpowiedział:

„Piętnasty już to *Dziennik* na pociechę Litwy
Błękitny lot rozwinął, jako mię do bitwy
Wyzwałeś w nim Ignacy, a jeśli nie skoro
Stanąłem ku odsieczy, wyznaję z pokorą,
Żem znagła napadniony, nie mógł się ośmielić,
Wzajemnym argumentem napaści odstrzelić.
Lecz dziś kres twym tryumfom. Nie na trudność względny,
A chwałę tylko ważąc, jako rycerz błędny,
Pójdę kędy mnie słuszna będzie zemsta wiodła,
Zadrżyj więc! już mi muza hipogryfa siodła,
Wskoczę nań, zamiast dzidy pióro w rękę chwycę,
I ot broń się, bo zginiesz, rzucam rękawicę!
....

*) Drukowano w Dzienniku Wileńskim.

Wiem ja, co cię tak długo utrzymując w błędzie,
Raz pierwszy na mylnego wystrychnęło sędzię;
Mniéj świadom pieśni Renu, a wcześnie zaznany
Ze słodkością poetów Tybru i Sekwany,
Gdzie rym wiecznie pod berłem zimnego rozsądku,
Raz prawem wskazanego pilnuje porządku,
Gdzie gieniusz jak starzec co w pustych szpalerach,
Uroczystym się krokiem błąka w Tuilerach,
Ubitych strzegąc szlaków; dla śmiechu bojaźni
Nie śmie szukać dróg nowych w kraju wyobraźni.
Na tych młodzieńcze pióro zaprawiwszy wzorach,
Po ich tylko na Parnas dostępując torach,
Nie łatwo możesz wierzyć w piękność muzy, która
Niecierpiąca przymusu, wolnych ludów córa,
Często rada ku bocznym ozdobom krok niesie,
By niemi bardziéj strojna, stanęła przy kresie;
Posłuszna tylko sercu, uczuciom i wierze,
Przez nie wskazane kwiaty, do swych wieńców bierze;
Nie dziw więc, żeś nie umknął zwyczajnego losu
Uprzedzonych przed sądem, sądzących z odgłosu,
Gdy przeciwnym jéj tylko obmowom wierzący,
Skłonić ucha na chwilę nie chciałeś obrońcy... *) i t. d.

Z panem *Juljanem* szło jakoś łatwiéj. On w pięknym rymowanym liście, przypominając gościnę swą u pana Ignacego, i zachęcając go do autorskiéj pracy, rzekł:

„Pomnisz, jakeśmy nieraz łajali cię za to, **)
Że bezczynnie upływa piękne dni twych lato:
Kiedyś ziarno talentu zasiał w wieku wiośnie,
Czemuż ich dojrzałości owoc nie dorośnie?
Masz-li więc jak ów skąpiec co z laty długiemi
Uzbierany skarb kryje we wnętrznościach ziemi,
Nie korzystać sam z darów zesłanych od nieba?
Że odtąd będziesz pisał, przysiąż mi na *Feba!*
Mówisz: źle na wsi pisać, wszak śpiewak *blanduzy* ***)
Żył na wsi i przecież śpiewał za przyjaźnią muzy;
Pisz więc, jeszcze do sławy otwarte ci wrota;
Nie chcesz wierszem, idź prozą w ślady *Walterskota!*“ i t. d.

No, pomyślił sobie pan Ignacy, to jeszcze nie stracona nadzieja jeszcze on zaklina się na *Feba*, jeszcze cytuje Horacyusza, jeszcze

*) Poezye E. O. drukowane w Wilnie 1824.
**) Poezye Juljana K. drukowane 1830 w Petersburgu.
***) O Fons blandusiae splendidior vitro!... *Horacyusz.*

więc pamięta, jak będąc studentem i siedząc na ławie uniwersyteckiéj, słuchał ze drżeniem, gdy professor literatury polskiéj, Leon Borowski (po Słowackim), czytając z katedry i krytykując jego przekład *Od* Horacyusza i ułamków z poetyki o harmonii naśladowniczéj, wywieszczał w nim znakomitego poetę i tłómacza, pod warunkiem studyowania starożytnych mistrzów.

Nie uznał się więc zwyciężonym pan Ignacy, ale uczuł potrzebę osobistéj rozprawy; i dla tego obu swoich młodych przyjaciół na Zielone świątki do siebie zaprosił, kończąc list swój wyznaniem X. Gaudentego z Monachomachii, zastosowaném *ad casum:*

„Naszym na chwałę, a wam na pokutę,
Płac tu w altanie, czekam na dysputę.

W *postscriptum* zaś dodał: „Jeżelibyście stchórzyli lub zalenili, spójrzyjcie w kalendarz, w ciągu tygodnia znajdziecie *imie*, które wiejskim podwieczórkiem obchodzić będę, *sat sapienti!*“

Imie to było *Zofia.*

III.

„Jednak, cały szczęścia wątek,
Składa jakaś cudów chwilka,
Jakiś obraz, uczuć kilka,
Kilka z młodszych lat pamiątek“ *).

Kilka pamiątek!... prawda, nie masz zdaje się życia, któreby kilku przynajmniéj takich nie miało pamiątek; a nawet wiele ich mieć nie można, boby serce niedotrzymało wrażeniom, i pękłoby przepełnione rozkoszą, nie mieć zaś ich zupełnie, jest to żyć bez przeszłości.

Myśli moje i pisma nigdy, jak mniemam, nie wprowadziły czytelników moich w świat fantastycznych urojeń, fałszywych uczuć, marzeń niebezpiecznych, wiodących za sobą niesmak życia i jego zwyczajnych warunków, a żądzę i pragnienie niedoścignionego szczę-

*) Zaleski.

ścia, które zaklęte, w pałacach gdzieś hiszpańskich mieszka. Jeżeli rozbudzam często czulsze wspomnienia, jeżeli wzywam czytelnika aby poszukał w przeszłości swojéj, tych *kilku z młodszych lat pamiątek*, to dla tego, że je mam we własnéj, że ich nie wymyślam pracowicie, nie układam sztucznie a fałszywie, istnieją one ukryte w duszy każdego kto ich doznał, a wywołane pamięcią, przesuwają się jak za mgłą lekką fantasmagoryczne urocze obrazy, na które poglądając, widzi człek jakim był niegdyś, rozmyśla jakim jest, i wznosząc z rozrzewnieniem oko w niebiosa, duma czém będzie!!!...

Powodując więc do takich zadumań czytelników moich, mniemam, że ich nie nudzę.

Święta nasze uroczyste, nie tylko w domach Bożych zgromadzają nas i jednoczą, nie tylko wspaniałością i powagą obrzędów, wzbudzają cześć dla Stwórcy i gorące tam doń modły, ale wszędzie, w pałacach panów, jak i pod strzechą wieśniaka, rozpowszechniają niejakieś rozweselenie, swobodę, i zostawują nigdy niespowszedniałe, choć corocznie powtarzane wspomnienia.

Jeszcze echa od *Alleluja* nie ustają, jeszcze

„Z gór obfite płyną wody,
Z oczu łzy dla dusz ochłody,
Kwitną serca i ogrody,
Alleluja!“ *)

a już nowém weselem obdarza nas religia. Pamiątkę zstąpienia Ducha Bożego na świat, obchodzi Kościół nasz w porze, gdy cała natura duchem Bożym ożywiona, odradza się na wiosnę, i stroi się w niewymówne ozdoby. Zdaje się, że duch Boży unoszący się nad ziemią, jak niegdyś nad wodami gdy ziemi nie było, zapładnia ją teraz na przyszłe plony ziemskie, na wszystkie dobrodziejstwa Boskie dla ludzi! Umajamy więc wejście do domów naszych, na oznakę radośnych dni tych; woń balsamiczna młodych brzozek pozatykanych przed każdym chrześcijańskim progiem, ogarnia zmysły i rzeźwi je, a ruch powszechny zwiastuje święto witane i obchodzone całą duszą, całém sercem....

Zaproszeni, pan *Edward* i pan *Juljan*, przybyli do pana *Ignacego* w wigilię Zielonych świątek w nocy, i znużeni kilkunasto-milo-

---

*) Autorka *w Imie-Boże.*

wą podróżą, rozbudziwszy gospodarza, ledwo się z nim wzajem uścisnęli, wnet zapragnęli łóżek. Nazajutrz słońce wysoko już w górę się wzbiło, gdy gospodarz niepewny czy goście do południa się ockną, postanowił ich przebudzić i nie dać im stracić pięknego poranku, i uroczystego w blizkim parafialnym kościele nabożeństwa. Wchodząc zatém do pokoju gdzie ich umieścił,— no śpiochy! zawołał.

„Rannym ogniem wschód się pali,
Daléj z łoża! daléj, daléj!“

— Czy na polowanie masz nas prowadzić? rzekł *Edward* przecierając oczy, że budzisz moją myśliwską pieśnią?

Pan Ignacy deklamował nieodpowiadając:

„Wschód się pali, gore, płonie:
A czeka kawa na Helikonie!“

— Na *Helikonie?* odezwał się poziewający *Juljan*, wiesz co? każ ją woléj tu przynieść, albo dać w twojéj altanie; bo do Helikonu daleko, nim dojdziemy tam, ostygnie; a ja lubię gorącą, *notabene* z kożuszkiem i sucharkami, rozumiesz panie gospodarzu?

— Rozumiem, i wiem twoje gusta smakoszu; wszystko gotowe, wstawajcie: a na Helikon nie tak bardzo daleko, kilkanaście kroków za altaną, odpowiedział pan Ignacy.

— To coś nowego, jakaś niespodzianka?

— A jużciż oczekując poetów, przygotowałem *Helikon;* nic naturalniéjszego.

Pan Ignacy powiększył ogród dziadowski i poangielszczył go trochę, zajął weń część pięknego brzozowego gaju, który go od północy zasłaniał; powyprowadzał rozmaite ścieszki, na potoku porzucał mostki, pozasadzał klomby, i tym sposobem rozweselił jego staroświecką powagę.

W téj nowéj części ogrodu, znalazły się cztéry ogromne brzozy z jednego pnia rozrosłe: wśród nich zatém wysoko nad ziemią, osnowano z brzozowych także balek bezpieczną galeryę, ogrodzoną i wymoszczoną, a przypartą do brzoz tak, że się razem z niemi od wiatru kołysała, i razem z niemi wzrosłą być się zdawała. Wschodki podobnież brzozowe, ślimakiem skręcone, bezpiecznie na nią wiodły, a tam stolik i ławeczki dla kilku osób wygodnie służyły. Na frontowéj zaś baryerze, z białych brzozowych prątków splecionéj, wiel-

kie litery ze mchu zielonego ułożone, wyrażały szyld poetycki: **Helikon.**

Apetytem i ciekawością pobudzeni *Edward* i *Juljan*, wrzucili na się szlafroki i szli skwapliwie za gospodarzem.

Przeprowadziwszy ich przez altanę, pan Ignacy wywiódł na punkt, z którego Helikon się ukazał, i zielony napis wyraźnie czytać się dawał.

— A-a-a! okrzyk zadziwienia gości, wybornie! wybornie! wołali oni: wyśmienity koncept, wyśmienity! jaka piękna i niepospolita ogrodu twego ozdoba! i w mgnieniu oka wszyscy trzéj byli na helikonie.

Na stoliku tam przygotowano kawę, (bo natenczas herbatę chorzy tylko pijali), do niéj faworytne pana Juljana sucharki, przemieszane sąsiedzkiemi smórgońskiemi obwarzankami; płaskie garnuszeczki ze śmietanką smakowitemi zaciągnięte kożuszkami, i nakoniec kilka fajek, puszka wybornego turczyna, i koszyk z krzesiwkami i hubkami.

— No Juljanie, rzekł Ignacy, nalewaj nam kawę podług swego gustu, to nam dogodzisz, a ja ci za to fajkę przygotuję.

— Co za rozkosz tu! wykrzyknął Edward, jaki chłód miły! a też zielone warkocze brzozowe, które nam czoła pieszczą: to dalibóg wachlarze umyślnie tu nawisłe, aby komary opędzały. Ach! jak się kołyszemy w najczystszym eterze!...

Juljan uśmiechał się, a to był nieomylny i jedyny znak jego zupełnego zadowolnienia; rzadko się uśmiech taki jawił na jego zadumaném zwykle obliczu; lecz gdy się okazał, ogarniał je całe, a łagodne i wyraziste oko jego, niezwykłym natenczas promieniło się blaskiem.

— A cóż to będzie, moi panowie? a cóż to będzie? rzekł pan Ignacy, gdy na tym helikonie ujrzycie *Muzy?* piękne jak anioły dziewice! padniecie wtenczas na kolana wy romantycy, przed takiem czarującém godłem klassycyzmu: widzialne śmiertelnemu oku *Muzy* na *Helikonie!* Po jutrze wam ten cud wywołam.

— A będą, zapytał z niedowierzaniem Edward.

— Niezawodnie.

Wszyscy trzéj zatém poili się kawą, dymem sułtańskiego tytuniu, którego kłęby z długich cybuchów i złotych bursztynów ciągnione, pomiędzy gałęziami drzew się rozwijały, i rozkoszą wewnętrzną.... słodszą nad wszelkie nektary.

Po chwili milczenia Edward powstał, powiódł szeroko wzrokiem, i obracając się do Ignacego, słuchaj rzekł:

„Choćbym się wdarł, gdzie najwyższy
Szczyt Monblanu w chmurach tonie;
Nie czułbym się Nieba bliższy,
Jako na twym Helikonie!

Nie szczędź pracy, mój Ignacy,
Wieszczę lutnię ujmij w dłonie,
A uwieńczą cię rodacy
Laurem, na twym Helikonie.

Obym kiedy świat zwiedziwszy,
Spoczął tutaj w muz twych gronie!
Nigdzie nie byłbym szczęśliwszy,
Jako na twym Helikonie" *).

— Helikon poświęcony! zawołał Ignacy ściskając rękę Edwarda, i odtąd ma swoją wartość i pamiątkę.

Tak spędziwszy ranek, wszyscy trzej pojechali do kościoła.

IV.

Od samego wschodu słońca na dniu trzecim po Zielonych świątkach, wielki był ruch w domie, a szczególniéj w ogrodzie pana Ignacego, w którym on miał wystąpić z podwieczórkiem dla swych pięknych sąsiadek, i na solenizacyę imienin jednéj z nich. Gracowano ścieżki, okładano świeżym darnem kanapki, koszono murawy i trawniki; ogrodnik dobrawszy sobie kilku zręczniéjszych chłopaków, plotł długie girlandy z kwiatów, które w nadobnych festonach, pod dyrekcyą samego pana Ignacego, w altanie po lipach rozwieszał, zdobiąc, jakby na ucztach rzymskich, sędziwych starców w młodzieńcze wieńce.

Do strojącéj się tak altany, weszli *Juljan z Edwardem.*

---

*) W roku 1824.

— Dzień dobry, rzekli, a oglądając się w około, ślicznie! zawołali, występujesz kochany panie Ignacy, niema co powiedzieć. A helikon?

— Helikon, moi panowie, symbolicznie ubrany: stoją tam wazony róż, ofiara moja damom, które tam wstąpić raczą, a które.... jakżeby to powiedzieć?...

— Rozumiem, rzekł Edward, nie łam sobie głowy; śmiało klassycznym kommunałem powiedz im:

„Wdziękiem i świeżością razem
Te róże waszym obrazem!“

Rozśmieli się wszyscy.

— Ale jest tam jeszcze, mówił pan Ignacy, tak sobie jakby od niechcenia, jakby z przypadku porzucony wazonik mirtu; bo wierzcie mi, ile razy zdarzyło mi się widzieć dziewczynę przy kwiatach, a znalazł się *mirt* obok *róży*, to ona pieszcząc niby różę, ciągle ukradkiem na mirt rzuca oczkiem, wyraźnie czuje doń sympatyę, i tęskni do chwili, gdy zeń wianeczek na główkę jéj uplotą.... tęskni może do tego, kogoby rada mirtową gałązką obdarzyć, uszczęśliwić. Zrywa różę.... marzy.... czasami źrenica łezką zajdzie.... Uważajmyż i tu, jak *symbolum* to małżeństwa działać będzie? A kto wie Edwardzie? może Zosia uszczknie gałązkę i....

Edward się wzruszył.— A kto wie Ignacy, odpowiedział wzajemnie, może Ludwika uszczknie gałązkę?...

— Daj Boże, odezwał się Juljan, aby obie uszczknęły dla was po gałązce, i abyście się oba pożenili; serdecznegobym uciął mazura na waszém weselu.

— A potém śpiewać będziesz, rzekł Edward, piosneczkę Brodzińskiego napisaną przezeń dla jakiegoś starego kawalera:

„Chłopcy się żenią,
A ja nie;
Lata się mienią,
Nudno mnie!
Każdy ze swoją żoneczką,
Ja tylko z moją laseczką!“

— *Ja tylko z moją fajeczką*, rzekł Juljan, do którėj i teraz biorę się, i do kawy ostygłéj do licha! czemużeś jéj znowu nie kazał zanieść na helikon?

— Bo tam ciasno jak róże stanęły, a zwłaszcza na większy stolik, na którym tu przygotowałem wam pracę. Przyjęliście z ochotą ofiarowane wam *sztambuchy*, oto są; dziś je oddać potrzeba, więc do dzieła moi panowie!

— Aj aj aj, prawda, przyjęliśmy sztambuchy! wojska affektów zarekrutowanych... bo taki tytuł przydałby się najwłaściwiéj tym pięknie oprawnym książeczkom, napełnionym najczęściéj duserami, jak ozłocone puszeczki z cukierkami, mówił Juljan, obaczmyż w jakiém tu towarzystwie będziemy? Już to panie Ignacy jesteś tu dawno.

— A naturalnie, sąsiad tak blizki i wierszokleta.

Edward wziął do ręki sztambuch Zofii.

— A! zawołał, otoż i pan Ignacy.

„Zofio! może nie czujesz,
Jak ufność wzbudzasz i zdradzasz;
Imieniem mądrość zwiastujesz.
Okiem z rozumu sprowadzasz!“

— Brawo! jest koncept, jest! zawsze to nie ckliwy madrygał.

— O! dawna znajomość, zawołał Juljan.

Szczęśliwy! powiem otwarcie,
Kto się na téj wpisze karcie;
Ale szczęśliwszy daleko,
Kto pod Kupida opieką,
Tą się nadzieją kołysze,
Że się w twém sercu zapisze!“

— Dalibóg! przynajmniéj w dziesięciu sztambuchach czytałem te wierszyki; tu podpisał się jakiś K... P...

— Dodaj środkowe litery, dodał śmiejąc się Ignacy, niech cudzego nie kradnie.

— No, a to już na seryo! czytał daléj Juljan.

„Jam jest twój sługa stateczny:
O bodajbym został wieczny!“

— Niejakiś *Tadeusz M....* A co wasan na to panie Ignacy? toż oczywiście rywal.

— Wiém o tém, i znam go; ale mam nadzieję w Bogu, że zaśpiewa on piosenkę swego patrona.

— A jakież litery dodać panie Ignacy do tych *J. Ch...* za okradzenie Trembeckiego?

— Jakto? pokaż! zawołał Edward, i odebrał sztambuch z rąk Juljana.

„Podobniéjszaś niebiankom, niż córkom Adama,
I póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć?“

— Przebóg! panie Ignacy, mówił Edward, czyż już ani w głowie, ani w sercu nie znalazłeś treści do wyrażenia swych uczuć dla téj którą kochasz, że aż cudzego, oklepanego użyłeś pochlebstwa?

— Ha! mój kochany, trudno bo cóś równie pięknego wymyślić; a widzisz, żem cudzego nie przyswajał, bom podpisał „*z Zofijówki*,“ a potém własną cyfrę.

— Trudno coś równie pięknego wymyślić? poczekaj, rzekł Edward chwytając pióro, i zaczął pisać na téj saméj karcie.

— Na miłość Boga! krzyknął przelękniony Ignacy, co tam piszesz? czy zwaryowałeś?

— A tak, rzekł Edward, waryuję tę samą temę, ale na milszą nótę; i oto masz pod *Trembeckim* waryantę *Czeczota*, któréjby i Trembecki się nie powstydził.

„I póki między ludźmi świat cię więzić zdoła,
Nie doliczą się w niebie jednego anioła.“

— No, a co?

— Nie można tak naprędce osądzić co lepszego, odpowiedział Ignacy.

— Nie idzie o mądre estetyczne komparacye i sądy, nad dwóma wierszami, mówił Edward; ale chciałem ci tylko odpowiedzieć i przekonać, że nie trudno coś równie pięknego, a bodaj i piękniéjszezo napisać.

— Kto tam u licha gwiżdże od rana po gaju i uszy nam świdruje przeraźliwym piskiem? zapytał niecierpliwie pan Ignacy.

— A to ekonom poszedł w grzyby, odpowiedział ogrodnik.

— Jakto ekonom w grzyby? wszak dziś niema święta.

— Nie, niema święta, i on mówił, że miał dziś wiele koło pola roboty, ale jak pan zabrał robotnika to do ogrodu, to rozesłał po

kwiaty, tak on sobie świszcze po gaju; a za to, on mówił, że pan będziesz świstać po pustych stodołach i odrynach.

— Głupi i on, i ty z nim razem.

— Da to prawda, ale niechaj sobie; mruknął ogrodnik kiwnąwszy głową, i daléj girlandy rozwieszał.

— Ależ tu jak w sklepie Norymbergskim, mówił Juljan, nieuważając na tę maleńką gospodarską dygressyę; pełno wszystkiego; i wierszów, i prozy, i kwiatów, i rysunków i wypisów moralnych.

— *Varietas delectat* *), rzekł Edward, i to bodaj jest najlepszą zaletą takich książeczek, w których jednakże między dziecinnemi fraszkami często znaleźć zdarza się i coś ważniejszego, coś prawdziwie zajmującego; zwłaszcza gdy piękna kwestarka niekoniecznie tylko słodyczami, jak łakome dziecko się opycha, ale i zdrowsze zapasy na dalszą drogę życia, zbiera.

— Wmówże to ośmnastoletniéj a ładnéj dziewczynie! rzekł pan Ignacy.

— A przecież i te sztambuchy, jak uważam, odezwał się przerzucając kartki Juljan, bardziéj w takie piękne pamiątki, niżeli w dusery bogate; więc to dobrze zaleca ich właścicielki. Ot, ktoś wpisał śliczną strofkę Brodzińskiego:

Kobiéta.

„Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona.
Przy piersiach matki jak dziecię,
Szczęśliwa, nie wiesz o świecie!
Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie;
A tuląc własne twe dziecię,
Świat cały tulisz do łona!“

— A tu lepiéj, bo autograf naszego miłego poety; bajeczka wyborna, jakich on wiele napisał, czytał Edward:

*) Rozmaitość bawi.

Pszczoły i Człowiek.

„Wychwalał siebie człowiek opatrując ule,
—Jak to ja z wami pszczołki obchodzę się czule!
—Prawda, rzekły, lecz dobroć z jakiego powodu?
Alboż dla nas to robisz? dla naszego miodu.“

— Sens moralny oczywisty, mówił Edward; bo naprzykład pszczółką niech będzie bogata panna na wydaniu, pszczolarzem aspirant do jéj ręki, a miód posagiem:

„Jak to on do niéj będzie zalecać się czule!
Jak błagać wzajemności, myśląc o szkatule.“

— Dopisz tę waryantę improwizowaną, rzekł śmiejąc się Ignacy.

— Oto coś prawdziwie pięknego, ozwał się z kolei Juljan, nie komplement, ręka kobieca, strofki francuzkie; posłuchajcie:

„Seigneur! on dit que le poëte,
Comprend le doux chant des oiseaux;
Et tont le bruit de la tempête,
Et le murmure des ruisseaux.

La poësie est pour l'enfance,
Une goutte d'eau dans la mer;
Mais dans l'âge de la souffrance,
C'est un ruisseau dans les déserts...

Elle charme la solitude,
Elle rend le nom immortel;
Et n'est peut-être qu'un prélude
De chants dont retentit le ciel!...“

— Pięknie! wykrzyknął Edward, dalibóg pięknie! kto podpisany?

— *H. T.* odpowiedział Juljan.

— Czy nie wiesz panie Ignacy, kto to?

— Wiem, ale ponieważ się nie podpisała, więc nie chce widać aby jéj imie wiedziano; upewniam was tylko, że młoda i piękna jak anioł! sercem i talentem, jak widzicie, poeta; a skromna, bo nie drukuje swych poezyj, piękniejszych od wielu drukowanych.

— Więc to jéj własne?

— Właśniuteńkie.

— Litwinka?

— Najprawdziwsza.

— Czytałżeś więcéj jéj poezyj?

— Czytałem, i wszystkie piękne.

— Czy wszystkie francuzkie?

— Wszystkie dotąd, i naturalnie, że szkoda.

— Przeczytaj jeszcze raz Juljanie.

Juljan przedeklamował znowu.

— Powiedziałbym, rzekł Edward, że to najlepsze *Lamartina.*

— A dodam wam jeszcze, rzekł pan Ignacy, że ani podejrzewać jéj o naśladowanie nowszych poezyj francuzkich nie można, bo ich nie czyta. *Delile*, *Rassyn*, *Kornel*, to jéj wzory wierszowania; a myśli i uczucia znajduje we własnéj głowie, a najbardziéj we własném sercu . . . i wiész co Edwardzie? wyborna myśl mi przychodzi. Co masz głowę łamać i nastrajać gwałtem twoją lutnię na niezwykłe ci sentymentalne melodye, zwłaszcza, że to jest sztambuch Ludwiki a nie Zosi, i Kupido po twych strunach brząkać nie będzie, lepiéj przetłómacz te piękne sztrofki, ot tak wraz jak stoisz, i wpisz je tu; będzie to prawdziwa literacka pamiątka, i podwójna ozdoba pamiętnika. No, co na to mówisz?

— Prawda, myśl wyborna! dodał Juljan.

— Wyborna? to ją sam spełnij, odpowiedział mu Edward, ty sławny tłómaczu *Horacyusza* i *Bajrona.* Co za extrema w czasie i treści!

— Na ciebie los padł panie Edwardzie, rzekł Ignacy, a sam biorąc pióro w rękę, dodał: ja będę stenografem improwizacyi, Juljanie, czytaj po jednéj strofie.

— Juljan zaczął z zapałem:

„Seigneur! on dit que le poëte . . .

— Dość! zawołał powstając Edward, pamiętam wszystkie . . .

Tu oczy trzech młodzieńców nadzwyczajném zajaśniały życiem . . . poezya ogarnęła ich . . . wszyscy trzéj czuli ją w sobie . . . Edward miał być tłómaczem nie tylko francuzkich strofek, ale i stanu ich duszy . . . on powstał, i z całą siłą natchnienia, mówił jakby wiersz własny:

„Panie mówią, że wieszcz umie
Pojąć cały świat widomy,
Że przenika, że rozumie
Głosy ptasząt, niebios gromy!

W pełni życia, w dniach zapału,
Pieśń, to puhar godowniczy!
Wzmaga rozkosz, lecz w goryczy,
Ach! to strumień wśród upału!

Duszę w niebo zwie za sobą,
Lub moc uczy czerpać z siebie,
I jest może tylko probą
Harmonii, co brzmi w niebie;"

Pan Ignacy zapomniał stenografować, Juljan upuścił fajkę, obaj wzrok pałający utkwili na Edwarda; i oba rzucili mu się na szyję gdy skończył, klaszcząc w dłonie, śmiejąc się radośnie, i razem zwilżone ocierając źrenice. . .Czytelnik przypomni sobie może, co to jest rzewna młodzieńcza wesołość !!!

V.

Przerwała to poetyczne uniesienie wchodząca do altany figura, staruszek łysy, czerstwy i szlachetnéj twarzy, w chędogiéj kapocie, a biały fartuch i nóż za nim, wydawał jego professyę.

Poczciwy to *Michał*, Kaleb dworu pana Ignacego, kucharz dziadowski. Traktował on niegdyś z panem wojskim trybunalskie publiki, a dziś wymyślniejszym gustom wnuka, często dogodzić nie mógł; ale w takim razie młody pan ustępował z pobłażaniem, i ledwo nie z pokorą remonstracyom i upominkom staruszka, nagradzającego ojcowską prawie życzliwością i wiernością, zrzędę i upartą przewagę sługi.

— Moszczi dobrodzieju, rzekł on wyszczerbioną mową, a dworsko i politycznie prostując się, obiad?

— Ach! tak Michale, obiad. Dobrze byłoby abyś dziś sam o tém pomyślił, widzisz żem bardzo zajęty, odpowiedział pan Ignacy.

— Dziękujemy panie Michale, za smaczne sucharki do kawy, odezwał się Juljan chcąc udobruchać staruszka, bo oba z Edwardem znali go dobrze, jego cnoty i humory.

— Na zdrowie paniczom, odpowiedział kłaniając się z respektem.

— Otoż Michale, mówił pan Ignacy, obiadu dziś nie będzie...

— A to co znowu? zawołał Juljan, chcesz nam dać *„Bajkę* na obiad, *Odę* na wieczerzę!“ na to niéma zgody; wszak wiesz com gdzieś napisał:

„Że jako prawy uczeń Epikura trzody,
Lubię i kuchnię smaczną i miękkie swobody;
Lubię, bom w niczém nigdy nie był stoik ścisły,
I co duszę zachwyca, i co łechce zmysły *).

— Mieć będziesz i jedno i drugie, ale na podwieczórek, rzekł gospodarz.

— Ale przegłodnieję, i nie będę miał apetytu, a co zatém idzie i dobrego humoru, mówił Juljan. Pozwól tylko, ja sam pogadam z poczciwym Michałem. Ot tak bracie, rzekł doń obracając się, już to dzisiejszy podwieczórek narobi ci biedy; obiadek więc dasz nam krótki. Na piérwsze naprzykład: *chłodnik z rakami.*

— Raków nie łapano, moszczi dobrodzieju.

— A niechże Bóg broni panie Ignacy, zawołał Juljan, jaki u ciebie nieład! raków nie łapano, a rzeczka pod nosem. Wołajcie mi tu zaraz tego świstuna ekonoma, ja mu pokażę gdzie raki zimują, a tém bardziéj gdzie ich latém łapać.

Edward z Ignacym śmieli się serdecznie z gniewu Juljana,

— No, ja raki biorę na siebie, mówił on daléj, choćby mi przyszło samemu brodzić po uszy: chłodniczek tedy będzie, tylko nie żałujcie śmietany i jaj świeżych, po *ekonomsku! Probatum*, że najsmaczniejszy chłodnik ekonomski, zwłaszcza gdy *Imość* dla *Jegomościa* przyprawia.

— Ale zdaje mi się, mówił pan Ignacy, że blat raków przydałby się i na podwieczórek, a nawet i stółby ozdobił.

— Co tobie w głowie? opryskliwie odpowiedział Juljan, co tobie w głowie? dziewczęta ani się dotkną raków. Chceszże aby piękne, różowe ich paluszki, łamały i kaleczyły się łamiąc twarde skorupy? Nie wdawaj się, proszę cię. Na drugie, mój panie Michale, *kurczęta;* troje tylko, po jedném na osobę. Ale zrób tak: jak się tylko dobrze na rożnie podrumienią, zdjąć je, a tymczasem utrzeć na tarce chleba, zarobić go w massę z zimném świéżém masłem,

*) List drukowany do M. K.

dla zapachu dodać trochę kopru; pokrajać piersi kurczętom, nakłaść tam massy téj, i po wierzchu nią każde kurcze nałożyć grubo; potém na patelnię, drugą przycisnąć, i na kwadrans do gorącego pieca. Dajże to potém prosto z pieca na stół, broń boże nie rozbierając, a ręczę wam, że i sułtan *Wampun* obżartéj pamięci, nic nigdy tak smacznego nie jadł.

Na *trzecie*, coś lekkiego mój Michale; naprzykład *omlecik*, to jest jęczniczkę na świéżéj słonince, zielonym szczypiorkiem cébulki i pietruszki potrząśniętą. Bo to widzicie, jęcznica u nas prosta potrawa, a gdym raz w Warszawie u *Chovota* pod kolumnami, *dans le grand salon de gastronomie*, bo taki szumny był jego szyld, kazał sobie z arkuszowéj karty dać „*omelette aux fines herbes*“ rozumiejąc że to coś osobliwszego, to mi podano naszą poczciwą litewską jęcznicę, taką zupełnie jaką informuję, z różnicą, że prawdziwie po francuzku, bo djabelnie mało na talerzu. No, więc obiadek będzie, mój kochany panie Michale, kończył słodziutko Juljan, gładząc starego pod brodę.

Michał stał ze spuszczonemi oczyma i milczał. Nie dobrze to wróżyło. Podjął nareszcie głowę i obracając się do swojego pana: Czy jegomość dobrodziéj nie pofatygujesz się ze mną? rzekł.

— Mój poczciwy Michale, wiem co mi będziesz gadał, odpowiedział pan Ignacy, wiem że mnie będziesz gdérał, żem gości pozapraszał, nieporadziwszy się z tobą o zapasach naszéj śpiżarni; ale to już nic nie pomoże, goście będą. A że tych paniczów, jako moich przyjaciół nie uważam za gości, więc lepiéj wszyscy razem radzić będziemy o podwieczórku dzisiejszym. Widzisz, że pan Juljan zna się na kuchni, on nam bardzo pomoże: mów więc otwarcie czego nam brakuje?

— Wszystkiego moszczi dobrodzieju.

— Jak to być może panie Michale? rzekł Juljan, przecież nas karmiłeś chwała Bogu dobrze, i jedliśmy wyśmienicie.

— I zjedliśmy wszystko, to rzecz naturalna, odezwał się Edward z uśmiechem, przerywając wpisywanie do sztambucha swego przekładu, które w czasie tych gastronomicznych konsyliów zaczął; a ztąd łatwa, mówił daléj, dyspozycya podwieczórku: *Nic*. Pamiętaj wszakże panie Michale, że jedna z mających tu przybyć panienek, bodaj będzie twoją panią.

Argument trafił widać do celu; bo stary jakby się ocknął i bystro spójrzał w oczy panu, niby zapytując, czy prawda?

Pan Ignacy się uśmiechnął:—Jakże mój Michale? odpowiedziałeś mi ni w pięć ni w dziewięć: wstyd mi za ciebie: przecież nie jesteśmy pustodomki. To chcesz, abym się wstydził, martwił i zachorował ze zmartwienia? Te ostatnie słowa tak sentymentalnie wymówił pan Ignacy, że w mgnieniu oka z mrukliwego dziada zrobił się najpowolniejszy sługa.

— A niech Pan Bóg broni moszczi dobrodzieju, gdybyś pan zachorował! nie dbaj pan, znajdzie się wszystko co potrzeba. Mamy mięso, mamy i kurczęta, mamy cytryny, mamy oliwki, kapary i limonie, (były to najosobliwsze i jedyne w owym czasie zaprawy kuchenne), a z kanału, moszczi dobrodzieju, można wziąść czy szczupaka, czy karpia, a jest i kilka pęczków téj trawy, którą teraz podobno panowie lubią, ogrodnik mnie dziś przyniósł piérwszy raz, ale ja jéj gotować nie umiem.

— Jaka trawa? zapytał Juljan.

— On to mówi o szparagach, rzekł Ignacy.

— A ja cię nauczę panie Michale, jak tę trawę gotować i dawać. Łaska Boga! jest jak widzę dostatek wszystkiego, więc będzie i obiadek i podwieczórek kochany Michale, mówił Juljan, zacierając ręce.

— Będzie moszczi dobrodzieju, będzie; tylko nie według dyspozycyi jegomości, bo kurcząt . . . nie można expensować, ale będzie chłodnik i zrazy.

— No, mój Juljanie, rzekł Ignacy, musisz dziś zmodyfikować twój apetyt, i część jego na podwieczórek zachować.

— Cóż robić? Bóg świadkiem, dobra ze mnie dusza, odpowiedział wzdychając Juljan. Cygan dla przyjaźni dał się powiesić, więc ja dam się wygłodzić. Mówmyż o podwieczórku panie Michale.

— A na wiele sztuk? moszczi dobrodzieju?

— Jakto na wiele sztuk? czy osoby na sztuki rachujesz?

— Nie, moszci dobrodzieju, wiele sztuk stołu zastawić półmiskami?

— A! dawny obyczaj, znać starego kuchmistrza. Nie, mój Michale, mówił Juljan, policzymy piérwéj wiele będziemy mieli półmisków, i co na nich damy? a potém łatwiéj stoły zastawiać i rozsuwać.

Niechaj sobie i tak moszczi dobrodzieju. Na środku staną na wielkim blacie biszkokty...

— Ej, to znowu po dawnemu, przerwał Juljan.

— Jakto moszczi dobrodzieju, bal bez biszkoktów? Da fe!

— Ale bo to nie bal mój Michale, ale podwieczórek tylko, powinien być krótki a smaczny.

— To moszczi dobrodzieju, jak dawniéj *per modum podkurek?*

— Co to jest *podkurek?*

— Ehe! już i zapomnieli o podkurkach, rzekł Michał trzęsąc głową, to moszczi dobrodzieju bywało u pana starosty Burzyńskiego, ot tu blizko w Wojstomiu, jak zbierze się kompania, a całą noc piją i tańcują, o piérwszych kurach przededniem, trzeba było zastawić stół, ale na cztéry sztuki tylko; to znaczy jak jegomość dobrodziéj powiadasz: *krótko a smaczno.* Mnie nieboszczyk pan mój oddał tam na naukę do kuchmistrza niemca. Aj, pamiętam ja tego szołdrę! cały dzień napracowawszy się bywało, zaleziesz gdzieś w kąt na noc, a tu niemiec ciągnie za uszy i wrzeszczy, *„Michalka kanalja szpi! a podkurka?“* bo i niemcowi nie było żartów z marszałkiem naszego dworu panem rotmistrzem Ławrynowiczem; raz go trzciną swoją marszałkowską wyłatał za to tylko, że jednostajnym sosem dwa półmiski podlał. Aj, był to moszczi dobrodzieju, całą gębą marszałek! *personat!* kiedy bywało w gredyturowym kontuszu, z pasem litym i z szablą, wyjdzie na ganek, a pokręci wąsa... to cały dwór *czuj-duch!* To kiedy ustawi podkurek na stole w sali, krzyknie bywało: *wołać kogutów!* więc nas chłopców prą z kuchni do pałacu, i my jak wrzaśniem pod oknami: *kukuryku! kukuryku!* to cała kompania w pokojach, choćby w tańcu, zastanowi się, a pan marszałek nasz wchodzi pięknie, i stuknąwszy laską powiada: *„kur na podkurek prosi,“* drzwi do sali otwierają się, a on idzie naprzód i prowadzi całą processyę. Potém pan Ławrynowicz po śmierci pana starosty Burzyńskiego, przeszedł na marszałka do P. wojewody Żaby; a potém, co jemu stało się! Zajeżdża tu raz do nas na dziedziniec bernardyn kwestarz, patrzym, w imie Ojca i Syna! aż to nasz pan marszałek, pan rotmistrz Ławrynowicz. Jegomość nieboszczyk nie mógł się oddziwować; musi być taka była wola Pana Boga; zatrzymał go dni z pięć, i za każdy dzień dał mu po baranie. Bywał potém co rok u nas, i bywało...

Juljan widząc, że stary gaduła nie rychło skończy, przerwał jego legendę, i zwrócił się do głównego przedmiotu.

— Ale mój Michale, wiemy już o podkurkach, idzie o podwieczórek. Biszkoktów nie trzeba; cztéry półmiski mój bracie, to i dość. Ot tak: kurczęta, karp'na zimno, szparagi, i coś lekkiego czwartego wymyślim.

Edward, który dotąd pisał w obu sztambuchach, rzekł powstając i kładąc pióro, zapominacie o główněj rzeczy. A wino? przecież wypić trzeba będzie zdrowie, *primo:* solenizantki, *secundo:* wszystkich dam, *tertio:* pana kapitana, wojaka z nad Elby i Renu, i nakoniec *quarto:* kochajmy się! A do tego toastu trzeba będzie zmusić, aby piękne usteczka choć po kropelce zakosztowały; będzie to *philtrum* na ziszczenie się hasła toastu.

— O! po cztérech toastach, i po takiém haśle, dojdziemy może aż do tego, że z trzewiczków pić będziemy, rzekł Juljan.

— Ale zapytajmy wprzód Michała, czy będzie co?

Pan Ignacy spójrzał niespokojnie na starego, i nieśmiało go zapytał:—Wieleż mamy wina?

— Butelka jedna cała, moszczi dobrodzieju, i w drugiéj troszeczka. . .

— Lury ze *Smorgoń*, rzekł Edward śmiejąc się.

— A wino stare dziada mojego, z żółtą pieczątką?

— Oho! kiedy już jego niéma! Wszak pan wiész, że Francuzi wszystko wypili. To mówiąc stary, mrugał na pana, aby zaklętego skarbu nie wydawał.

— Co bredzisz? rzekł obruszony pan Ignacy, kiedy to już byli Francuzi, a ja niedawno jeszcze widziałem w sklepie kilkanaście butelek tego wina.

— Jak na lekarstwo, moszczi dobrodzieju, jak na lekarstwo.

— No, to będziemy się leczyć, rzekł Juljan, a nie żałuj dając panie Michale, bo lekarstwo nie pójdzie na zdrowie. Wszystko się wyśmienicie układa! Idź teraz bracie i zawiń się koło kuchni. Do kurcząt i szparagów, ja sam przypaszę fartuch; a podziękujemy ci wszyscy.

Stary odszedł gładząc łysinę.

— Proszę cię Juljanie, rzekł Ignacy, nie ustawaj w dobréj chęci, pilnuj starego mruka; wszystko zdaję na ciebie.

— Bądź spokojny, odpowiedział Juljan, pójdzie wszystko jak z programmy.

VI.

Po tém walném i z dobrą nadzieją odbytém *concilium*, zwrócono się znowu do przerwanéj pracy.

— Ja moje skończyłem, rzekł Edward. Ludwice wpisałem obok textu francuzkiego, improwizowany wolny przekład tych pięknych strofek. A Zosi powinszowanie imienin. Teraz na ciebie koléj Juljanie.

Juljan wziął pióro w rękę, podsunął sobie sztambuchy, i namyślając się:—Cóżby tu wpisać? mówił.

— No, dla Ludwiki; rzekł potém, która śpiewa jak słowiczek, wpiszę moją *Barkarollę* *), piosenka, któréj nie znacie jeszcze. Wpisał więc i potém czytał:

„Po dolinie
Brenta płynie,
Po niéj płynie cień gondoli;
Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęskną nótę *Barkarolli.*

Moja luba,
Dziewic chluba!
Gdzieś mnie czeka na krużganku;
Łamie dłonie,
We łzach tonie;
Myśli, marzy o kochanku.

Troska dzienna,
Noc bezsenna,
Z nas jak upior krew wysysa,
Aż nim skroni
Nie osłoni
Grobowego cień cyprysa.

*) Barkarolla—Pieśni w języku gminnym weneckim.

Każdą nocą,
Z chmur migocą,
Wciąż na ziemię patrzą gwiazdy;
Jak świat światem,
Zimą, latem,
Nieskończone kończą jazdy.

Rosy leją,
Lecz nie mdleją,
Jak płaczący w smutku człowiek;
Nie kochają,
Łez nie znają,
Nie wypłaczą złotych powiek.

Serce chore
W nocną porę,
Jak kwiat nocny się otwiera;
Bo rozpacza
Bez słuchacza,
Miłość czuła, przyjaźń szczera,

Płyń, płyń łodzi,
Księżyc wschodzi,
Ot, i luba na krużganku!
Łamie dłonie,
We łzach tonie,
Myśli, marzy o kochanku.

Blask księżyca,
Pięknej lica,
Kołem światła opromienia:
Gdy ją zoczył,
Na brzeg skoczył,
I zmięszali łzy, westchnienia.

Po dolinie,
Brenta płynie,
Po niéj pływa cień gondoli,
Lecz omdlała
I skonała,
Tęskna nóta Barkarolli."

Piękna jest, rzewna i śpiewna twoja *Barkarolla*, rzekł Ignacy, „*Po dolinie Brenta płynie*, ale wybaczaj, ja wolę:

„Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory“ i t. d.

naszego poczciwego a tkliwego kochanka Justyny; to nasze! to prawdziwie nasze!

„Raz się chmurka zebrała,
Piorun skruszył dębinę:
Tyś mię drżąca ściskała,
Mówiąc: z tobą nie zginę!

Jaki miły obrazek!. . .lękliwe dziéwcze tuli się do łona swego ulubionego . . . drży ona z bojaźni . . . młodzieniec drży z rozkoszy i szczęścia, czując jéj serce tak blizko własnego bijące! . . . Mój Boże, mam tu potok, mam dolinę, stoi blizko dąb stary . . . oby mi choć raz taka się chmurka zebrała! . . .

Uśmiechali się słuchacze, a pan Ignacy z zapałem powtarzał: To nasze! to prawdziwie nasze! to matki nasze śpiewały . . .

— A żony i córki śpiéwać nię będą, odpowiedział Juljan.

— Niestety! tak jest, rzekł wstrząsając głową Ignacy. A czyjaż w tém wina?

— Czyjaż, jeżeli nie wasza? odezwał się seryo Edward, wy Koryfeusze i niepoprawieni naśladowniki francuzczyzny! wy kanarki na turlecikach paryzkich wyuczone płochych nótek, w których ani uczucie prawdziwe, ani serce nigdy się nie odezwało! . . .

— A wy! wy nowe stado szpaków niemieckich! zawołał również seryo Ignacy, *insperate* na nas naleciało, i gwiżdżące nam przeraźliwie nad uszami: „*Mein liebster Augustyn!*“

Śmiech głośny Juljana, i potém wszystkich trzech razem, przerwał te wzajem rzucane sobie inwektywy. Ale, deklamował daléj pan Ignacy, ale.

„Jak Araby skwarem spiekłe,
Miotają bluźnierstwa wściekłe
Przeciw słońcu co je pali;
  Próżne wycia, marne wrzaski!
  Wrą pod ich nogami piaski,
Słońce posuwa się daléj! *)

---

*) *Koźmian*. Oda na zawarty pokój w Tylży.

— *Sta sol! ne movearis!* wykrzyknął Edward wyciągając rękę! a nawet to twoje wspaniałe porównanie, bardziéj na naszą jest stronę; bo to wy *klassycy*, wy *Araby spiekłe*, miotacie *bluźnierstwa wściekłe*, na wschodzące jasne słońce naszego młodzieńczego ducha, i deklamował z zapałem:

„Niechaj kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca! ...
Tam sięgaj, gdzie myśl nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramie! ...
Hej ramie do ramienia! zgodnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko,
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!
Dalej z posad bryło świata,
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż spleśniałéj zbywszy kory,
Edeńskie przypomnisz lata! *)

— Co to jest? zapytał skwapliwie Ignacy, co to jest? to dalibóg pięknie!

— A co? rzekł Edward, *Oda* naprzeciw *Ody*, porównaj!... Ale powiedz mi, zkąd ci te niemcy wleźli w głowę? zkąd myśl, że idziemy w ich tropy?

— A jakże inaczéj sądzić? odrzekł pan Ignacy, słysząc jak u was bezustannie *Bürger*, *Göte*, *Szyller* z ust nie wychodzą. Ty sam czyż nie wytłómaczeniem ballady *Myśliwca Bergiera*, zacząłeś swą romantyczną karyerę, i dowiodłeś, żeś *relapsem* od naszéj świętéj klassycznéj wiary.

— Tłómaczenie, mój panie, nie jest naśladownictwem, mówił znowu Edward; *piérwsze*, zawsze pięknie wzbogaca wszelką literaturę, gdy obce, nie fraszki ulotne, ale arcydzieła, daje poznać swym ziomkom; *drugie* wszelką literaturę najczęściéj kazi i szpeci, bo jest

*) Oda do Młodości.

małpiarstwem szkodliwém nawet duchowi narodowemu, gdyż go wykrzywia, i dając cudze za własne, uwodzi nieoględnych, lub niedojrzałych czytelników. Tym właśnie sposobem zepsuła nas i zdemoralizowała literatura francuzka, filtrując się w naszą rodowitą, jak subtelna trucizna do codziennego zdrowego napoju.... i rzecz dziwna, ty, co się tak unosisz nad piosenką Karpińskiego, dla tego, że jest naszą i prawdziwie naszą, trzymasz się jednak oburącz szkoły, w któréj wszystko nie nasze, wszystko, mówiąc twoim wyrazem, jest na cudzym tropie. Prawdzi się mój kochany na tobie przysłowie: „*Nałóg drugą naturą.*“

— A co? rzekł Juljan uśmiechając się, przyparł cię Edward i wierszem i prozą, jak podwójnemi widłami do płotu.

Pan Ignacy pokręcił głową. No, rzekł potém, ponieważ zapieracie się niemieckiego pochodzenia, choć mówiąc *intra parentesim*, mógłbym, sięgnąwszy wieków średnich, dowieść wam tego historycznie, ale toby nas daleko zaprowadziło, to przynajmniéj względem Litwy, względem Wilna, dam wam pytanie z Grammatyki na klassę piérwszą, stosując je do *romantyzmu*: „*Unde venis? quo tendis* *)? bo mnie się dotąd zdawało, że idziecie z Niemiec, a dążycie prosto do piekła, i to bardzo naturalnie. Bo naprzód w naszém popularném wyobrażeniu, djabeł i niemiec w bardzo blizkiéj konneksyi, a powtóre, w waszych balladach macie najwięcéj do czynienia z marami piekielnemi, więc „*kto z kim przestaje, takim się sam staje.*“

— A widzisz; rzekł Edward, obracając się do Juljana, przyparłem go jak widłami do płotu, a on *hec* konceptem za płot.... ale to nic nie pomoże mój panie, i tam cię dosięgnę. Abym ci więc dowiódł, że w naszym litewskim romantyzmie ani krzty niema niemieckiego piérwiastku, i razem odpowiadając na piérwszą część twego grammatycznego zapytania *unde veniemus?* opowiem ci po krótce historyę romantyzmu między nami, i historyę piérwszéj ballady na Litwie.

„Nie z niemczyzny, nie ze szkoły, nie z książek, nowa nasza powstała poezya: wypłynęła ona z tych samych źródeł, co i wszystko dobre pomiędzy nami, to jest między naszą obecną młodzieżą. Źródłami temi są: zamiłowanie rzeczy własnych, zastanowienie się

*) Zkąd przychodzisz? dokąd dążysz?

nad samemi sobą, prawda uczuć i myśli, a nadewszystko miłość, i z niéj natchnienie. Ten sam, który dziś między nami jest jakby głową i sercem, bo nas wszystkich w jednem uczuciu prawdy zjednoczył, autor *Grażyny*, jest i pierwszym wskrzesicielem nowéj idei w poezyi. Wszyscy przybywający na uniwersytet, którzy w szkołach już pisali wiersze, ani słyszeli nawet o poetach niemieckich, a szli na oślep za przykładem współczesnych starszych współbraci; to jest, tłómaczyli lub naśladowali z francuzkiego, a już najwięcéj kiedy z łaciny. *Adam* w szkołach Nowogródzkich wierszował z polskiéj prozy Kamińskiego; *Numę Pompiliusza*, Floryana; ja także i tymże samym sposobem, zrymowałem w Borunach całe dwie księgi *Gonzalwa z Korduby*, tegoż samego autora, i tegoż samego tłómacza. W Wilnie, dawny twój professór *Słowacki*, i nasz czcigodny pan *Leon* (Borowski) wiesz, że tylko w klassycyzm wierzyli, choć już dziś ten ostatni, sam obeznawszy się gruntowniéj z nowszą literaturą Europy, i pokonawszy w sobie dawne uprzedzenia, skarby jéj przed nami otwiera; i tylko pod względem zdrowéj logiki, smaku i poprawności stylu i języka, co naturalnie i w każdéj poezyi głównie na celu mieć należy, surowo zasad klassycyzmu przestrzega. Ale przed kilką jeszcze laty, tolerancyi téj zgoła nie było; *Horacyusz*, *Boileau*, *Laharpe*, to byli jedyni prawodawcy w poezyi i krytyce, których jak sam professor, tak i uczniowie ze ślepą wiarą słuchali.

„Dopiéro piérwszy pan *Tomasz* *) innemi naukami na *serio* zajęty, a miłujący tylko poezyę jako rozrywkę, który z niéj ani o chwale dla siebie, ani o niéj jako o sztuce nie myślił, uprawiał ją po swojemu i podług natchnień swojego serca, nie troszcząc się o przepisy książkowe, kochając wszystko i wszystkich. Każde miłe wrażenie które zewsząd wyciągać umiał, pragnął wnet z kolegami podzielić; za środek zaś ku temu obrał poezyę. Opisywał zatém wierszem swoje własne uczucia i myśli, swoje rekracye i przechadzki, swoje wakacyjne zabawy, różne drobne rzeczywiste zdarzenia, i czytaniem ich przed przyjaciołami, ożywiał ich wieczorne zebrania. W wierszach tych na pozór lekkich, tyle było powabu, tyle wdzięku i uczucia, tyle niekiedy rzewności szczeréj i tkliwéj, że jednę z jego Elegij na odjazd panny *F*. . . pensyonerki, z którą przez cały rok w domu wspólnych przyjaciół, zwykle dnie niedzielne przepędzał, i szczegóły właśnie tych niewin-

---

*) Tomasz Zan.

nych zabaw opisał, Adam nosił zawsze aż do zupełnego zszarzania się przy sobie i czytając powtarzał: „nie sądziłem, aby w potocznych szczegółach rzeczywistości, mogło być tyle skarbów poezyi.“ Myśl ta utkwiła w jego duszy, i pojęcie o *prawdzie w poezyi*, albo raczéj o *poezyi w prawdzie*, z potocznego w duchowe życie przeniosła. Zasada więc ta wyrodziła się wprzód w myślach i sercach naszych, niżeli oznajamiać się i zgłębiać zaczęliśmy poezyę niemiecką i angielską, w których właśnie tenże sam piérwiastek znajdował się; a wyrodziła się, jak widzisz, nie ze szkoły, nie z książek, nie z prostego naśladowania niemców lub anglików, ale z życia, z prawdy, z miłości, czyli jedném słowem z natchnienia, które przez jednego, za łaską Bożą, na nas wszystkich spłynęło.“

Umilkł Edward. Ignacy słuchał go z uwagą, siedząc przy stoliku z głową opartą na dłoni.— Tak!... rzekł potém przeciągle i z zastanowieniem, tak.... a ballady?

— „Ballada, mój kochany, zaczął znowu Edward, jest tylko jedną z form, którą od obcych przyjęliśmy dla tego, że się być zdała stosowną do wydania w niéj własnych naszych religijnych pojęć i podań ludowych, wspólnych o tyle wszystkim narodom chrześcijańskim, o ile jest wspólny niekiedy ton pieśni i baśni gminnych, z których właśnie powstały ballady. Zresztą, samą tę formę i nawet nazwanie ballady nie bezpośrednio naprzód wzięliśmy od niemców. Chcesz? to ci powiem jak to się stało?

„Na tym samym korytarzu w murach Śto-Jańskich, gdzie mieszkali pan *Adam*, pan *Tomasz* i najbliżsi wówczas ich przyjaciele, *Czeczot*, *Jeżowski* i Franciszek *Malewski*, mieszkał też syn professora literatury Rossyjskiéj *Czerniawski*, chłopiec młody, żywy, wesoły i lubiony przez wszystkich. Ten więc razu jednego, gdy wszyscy byli razem zebrani, wpadł do nich z uniesieniem, i z nowo wyszłą natenczas balladą *Żukowskiego* „*L u d m i ł ł a*“ mistrzowskiém tłómaczeniem, a raczéj przetworzeniem ballady *Bürgiera* „*L e n o r a*“ napisanéj, jak widać, przez niego z pieśni gminnéj, wspólnéj i naszemu ludowi, tak dalece, że też same główniejsze zwrótki znajdują się w niemieckiéj i w naszéj *). Okoliczność ta równie jak

*) Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukieneczka szach, szach,
Panieneczko, czy nie strach?

urok saméj poezyi, uczyniły na wszystkich jak największe wrażenie, i pan Tomasz zaraz nazajutrz napisał swoją *Nerynę*, piérwszą balladę w języku polskim, za którą wkrótce nastąpiły jegoż *Cyganka*, *Pan Twardowski*, a dopiéro po nich *Świtezianka*, *Lilje* i t. d. napisane piérwiéj, niżeli niemieckie ballady w oryginale tu poznane zostały. Widzisz więc panie bracie *unde veniemus;* a co do saméj ballady, widzisz, że ona nie jest ani martwém naśladowaniem książkowéj litery, ani prostém naśladowaniem cudzoziemców; że źródło nawet piérwszego do niéj natchnienia naszego, na sławiańskiéj wytrysnęło ziemi *)."

Pan Ignacy, który i w najpoważniéjszéj rozmowie nie mógł zatrzymać konceptu, gdy ten mu się na myśl nawinął, powstał z miéjsca i zawołał z przesadą:

„C'est du nord à present, que nous vient la lumière!"

Edward machnął niecierpliwie ręką:

— Wolter! czysty Wolter! i rzekł daléj: witam w altanie duch nieboszczyka arcy-mistrza kłamstw i konceptów, którego ty naśladujesz wiernie, bo i on gdzie nie mógł przekonać, to cię wydrwił.

— Posłuchajcie, odezwał się nakoniec Juljan, który dotąd palił fajkę w milczeniu, posłuchajcie mnie.

Der mond der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle,
Graut Liebchen auch dir nicht?

Wpadliśmy, jak widzę, niespodzianie w dysputę, na którą nas wyzwałeś panie Ignacy. Edward ją historycznie rozpoczął, kontynujmy więc nie żartem. Jesteśmy młodzi, widać „*sic fata tulerunt*," że wszyscy trzéj tak lub owak, mniéj lub więcéj, należeć mamy do nowéj ery literatury i poezyi, która oto teraz po całéj Europie, i u nas bodaj szczególniéj w litewskich talentach się objawiła. Dla czegożbyśmy więc nie zwrócili poważniéjszéj rozwagi na to, co się około nas i z nami dzieje? dla czegożbyśmy nie rzucili okiem na punkt z którego wychodzimy, i na horyzont, który się przed nami otwiera.

---

*) Ustęp cudzysłowem oznaczony, jest dosłownie P. Edwarda.

— Oho Juljanie! *ex cathedra* kontynujesz lekcye Edwarda.

— Czyliż mię słuchać nie chcesz?— zapytał Juljan.

— Jak to słuchać nie chcę? owszem słuchać będę z uwagą i rozkoszą. Maszże mnie za upartego pedanta, który wierzy tylko sam w siebie, i mniema że wszystkie rozumy pojadł? *Mów abym cię poznał*, powiedział jakiś filozof.

— A potém konceptem odbił przekonanie, dodał Edward uśmiechając się.

— Otoż, pytanie twe panie Ignacy, rzekł Juljan, na żart rzucone, jest, zdaniem mojém, najwłaściwszém przy objawieniu się każdéj nowéj idei w towarzystwie: *unde venis? quo tendis?* Tém bardziéj teraz, gdy w ważnéj kwestyi naukowego interesu wszędzie już nastąpiło przesilenie, a u nas trwa jeszcze jakaś walka form starych, naprzeciw nowym fantazyom, a raczéj zarozumiałéj pedanteryi, naprzeciw porywczéj młodości; bo w tych dysputach dzisiejszych, dotąd jeszcze, zda mi się, treści nie dotknięto. Walka ta wszakże wkrótce ustać musi, zwłaszcza u nas w Wilnie, bo jeden jeszcze tylko pan *Gulbi* *) z butną poniewierką rzuca na młodzież szubrawskie sarkazmy; a tymczasem młodzież ta pełna nauki i zapału, przeszła już cała na szlak nowych idei, opanowała uwagę publiczności, osypującéj ją oklaskami, zachęcającéj współczuciem. Walka więc ustanie u nas „*faute des combattans*“ jak mówią Francuzi. Nie idzie jednak zatém, ażebyśmy lecieli na oślep nie wiedząc sami zkąd i dokąd? dla tego że nam nikt nie zawadza.

Klassyczność, Romantyczność— Ballady, Legendy! I cóż to wszystko znaczy?. . . Nazwy, imiona, tytuły i nic więcéj, bo jużciż nic bez nazwania być nie może; ale superficyalne tylko i niedojrzałe pojęcia biorą je za godła prac swoich, i do nich się przywiązują. Duch, nie forma stanowi poezyę i *Ludmiłła* Żukowskiego dla tego tylko wspominaną być może w dziejach tu naszéj poezyi, że jak ci to Edward powiedział, ona piérwsza jak iskra dotknąwszy nagromadzonych już i przygotowanych uczuć wewnętrznych w młodych sercach, rozpłomieniła je. Duch ten gotowy do wybuchu objawiał się już śmielszym polotem, śmielszym językiem i głębszym interesem, w utworach tychże samych młodych a prawdziwych talentów, pod wpływem

*) Szydłowski, w Towarzystwie Szubrawców wydającém Brukowe Wiadomości, nazywający się *Gulbi*.

jeszcze dawnych idei piszących *). A zkąd on do nas niewidomie przyszedł, *unde venit?* zapytaj całéj Europy: zkąd upadek racyonalizmu XVIII-go wieku, który wszelkiéj literatury i sztuki był dotąd treścią, a nawet dla poezyi formy i granice określał?

— A tak mój panie, przerwał Ignacy, „*est modus in rebus, sunt certi denique fines*“ **), jeżeliś nie zapomniał jeszcze Horacego, i mniemam że w téj sentencyi jest prawda.

— Prawda, że jest prawda, mówił znowu Juljan *sunt fines*, są granice, ale nie jednakie dla wszystkich. Różnica zasady, determinuje różnicę drogi, i różnicę jéj granic. *Klassycyzm* na wzorach Greków i Rzymian się ukształcił, z ich *Teogonii* zrobił swą wiarę poetyczną, ich prawideł ściśle się trzyma, i we wszystkich swych wyższych utworach wzywając natchnienia cudzych bogów, w których naturalnie nie wierzy, niéma rzeczywiście natchnienia, ale jest prostém tylko naśladownictwem, i prostą robotą rozmysłu i stylu.... Natchnienie, mój panie, prawdziwe natchnienie, przychodzi jedynie z tego, w co się prawdziwie wierzy i ufa! z czém duszą naszą zjednoczeni jesteśmy! co nas w głębie nieskończoności unosi! lub w sercach naszych tkliwym głosem głębokiego także wzruszenia się odzywa!...

— Te wszystkie źródła prawdziwéj poezyi, rzekł znowu Edward, objawia nam i ofiaruje religia. Gdzie niéma religii, tam niéma i poezyi, która jest razem i darem i najszczytniejszym wyrazem religii... Wiek XVIII-ty zatém wyzuty z jednéj, nie mógł mieć i drugiéj. Poezya jego, to jest klassycyzm, nie miała duszy, a zatém nie miała i prawdy!... Będzie ona obrazem wieku, nigdy obrazem ludzkości!!! Dziś poezya we wszystkich ludach chrześcijańskich, musi stać się religijną, a zatém będzie narodową, bo Religia jest narodowością powszechną! będzie popularną, bo się złączy ze wszelkiemi uczuciami i podaniami ludów; a piérwiastek religijny wszędzie i zawsze w tych podaniach ukryty, z wdziękiem i słodyczą rozwinie! Dziś...

— Stój! stój!—przerwał Ignacy—nie postrzegłeś się, że mi proroczą deklamacyą odpowiadasz już na drugą połowę mego grammatycznego zapytania *quo tendis?* dokąd dążysz? Wypowiedzieliście mi

---

*) Poemat *Warcaby*, wiersz do professora Historyi powszechnéj. *A. M.*— Poemat *Góra*, *A. E. O.* — Poemat *Zgon tabakiery*, *T. Z.*

**) Jest pewny sposób w rzeczach, są nakoniec pewne granice.

wszelako rzeczy niepowszednie, nad któremi nie zastanawiałem się dotąd; pojęliście dobrze swoją zasadę. Zaczynam nie wierzyć w definicyą Golańskiego *) — mówił uśmiechając się: „*Co jest poezya? jest naśladowanie natury.*“ Ale mój kochany Edwardzie, rzucasz wnioski wielkiego znaczenia, nie dość, zda mi się, złączone z samą zasadą, rzucasz jakby tytuły rozdziałów wielkiéj treści, któréj dowodzić jeszcze potrzeba.

„Związek religii z poezyą. Brak religii a zatém i poezyi w XVIII. wieku. Klassycyzm nie miał duszy, a zatém i prawdy. Będzie on obrazem wieku, nigdy obrazem ludzkości.... “ Oto są twoje rozdziały.

— Rozdziały te, ozwał się znowu Edward, napisze czas w dziełach gieniuszu i talentu, w dziełach mistrzów sztuki.... Po wzorach, pójdzie potém jak zwykle rozwaga i nauka; ona rozwiąże kwestye, które my dziś uczuciem bardziéj niż rozumowaniem pojmujemy. Ona zapełni pozorne przerwy, któreś między wnioskami naszemi upatrzył, treścią z dziejów społeczeństwa, i z dziejów serc i umysłów ludzkich. Uderzające nas dziś nowością zdania i pojęcia o poezyi i sztuce w ogólności, staną się wtedy kommunałami, dla tego, że oczewistość ich uznaną i upowszechnioną będzie, a powtarzający je natenczas nie zjedna najmniejszéj uwagi, tak jakby kartę dawnéj gazety czytał.

My dziś stajemy na piérwszéj mecie wielkiego szlaku, po którym swobodnie bujać i unosić się będą talenta narodowe. Wielkie przykłady już dane, bo i my, że zastosuję tu parę wierszy ze znanego powszechnie a wybornego rymu, bo i my już

„Przeszliśmy z klassycznego lskniącego się czystu,
Do *Geadów* zamkniętych na klucz z ametystu.“

Tą *Geadą* jest serce ludzkie; klucz z twardego a szlifowanego ametystu, to klassycyzm, który je zamykał.... Otwarte nakoniec, okazało nam tajone w niém dotąd nieznane, a raczéj zapomniane bogactwa i skarby, których, sami w sobie nosząc, użyć nie umieliśmy.

— Przepraszam pana, przerwał Ignacy — dawnożeś pan dobrodziéj złapał to piękne porównanie? tę figurę retoryczną?

---

*) Dzieło X. Golańskiego *o wymowie i poezyi*, z którego dawniéj uczono po szkołach.

— Oto teraz do usług pańskich, odrzekł Edward z ukłonem.— Zapewne nie dość klassyczna, nie wymierzona cérklem, nadto śmiała?

— Ha! śmiałość jest dziś waszém godłem, odpowiedział Ignacy; ale powiem wam, że w tém co tak pięknie pojmujecie i wyrażacie, jest więcéj wróżby niż dowodu, niż gruntownego rozważenia. Zapał młodzieńczy i poetyczny unosząc was, góruje w rozumowaniach waszych.

— Bo ci nie *prelekcye* mówimy, rzekł Juljan, bo może dziś w całéj Litwie nie znajdziesz jeszcze ani jednego literata, któryby w téj materyi na kurs porządny mógł się zdobyć. My mówimy co czujem, oznaczamy punkt, piérwszą metę, jakem ci to powiedział, dzisiejszych myśli i przekonania naszego, we względzie wielkiéj i ważnéj przemiany ducha, dopełniającéj się w krainie literatury i sztuki. Jak zaś ta przemiana daléj pójdzie? w jaką główną ideę się skupi? jak wpłynie na społeczeństwo? i wzajem społeczeństwo na nią? jak wpłynie na nas samych? czém się sami dojrzewając staniemy? co wyczerpniemy z ogólnego dążenia, i czém się doń przyłożymy? słowem czém służyć będziemy „*poczciwéj sławie*“ i ziomkom, jeżeli nam Bóg życia i zdolności udzieli — tego dziś ani wywróżyć, ani zgadnąć nam niepodobna. Dziś poglądamy naprzód, doczekajmy chwili gdy się w tył obzierać będziemy; wtenczas zdamy sobie sprawę z prac i usiłowań naszych, jak dzisiaj zdajemy z nadziei.

Umilkli tu wszyscy trzéj. Juljan „gęste dymy“ ciągnąc z cybucha, modrym się okrył obłokiem, a Ignacy chodził zadumany po altanie.... Nakoniec obrócił się i zawołał:

Cudo przemiennego wieku:
Stary rozum w młodym człeku!“

Powinienbym powiedzieć: w młodych ludziach, ale nie byłoby kadencyi, i to nie mój koncept, wyjątek to z dłuższego wiersza białoruskiego a dowcipnego poety *Rysińskiego*, którego widać jakiś młodzik, jak wy mnie, w kozi róg zapędził. Powiedzcie mi jednak, czy w poezyi tak nazwanéj klassycznéj, w utworach tylu znakomitych ludzi Stanisławowskiego wieku, nic niéma dobrego i pięknego? a przeciwnie, co *ballada* to arcy-dzieło? to nasz *Krasicki*, *Trembecki*, *Naruszewicz*, *Feliński*, *Koźmian* i inni, darmo bazgrali papier?

— A wiesz co?—rzekł żywo Edward, że gniewasz nas takiém pytaniem. Tylko co nam przyznajesz rozum nad lata, a występujesz z kwestyą jak studentom z trzeciéj klassy.

— Dajże mu cięgi i za mnie rzekł Juljan, za to podstępnie rzucone pytanie. Oho! chce on nas wyprowadzić na bezdroże szczegółowych rozpraw i kommentarzy, a potém pojedyńczo nas pobić, jak *Horacyusz Kuracyuszów;* dajże mu za to! a ja idę przygotować mu argumenta w jego własnéj kuchni. Damy dziś z Michałem obiad *klassyczny*, a podwieczórek *romantyczny*, suto, zawiesisto i *smaczno* w piérwszym; pięknie, słodko i *smaczno* w drugim. Uważaj panie Ignacy, że ten wyraz *smaczno* do obu wchodzi. *Sat sapienti!* i poszedł.

— Rozumiesz go? zapytał Edward.

— Rozumiem, ale on mię niesłusznie posądził, bom ja w dobréj wierze zapytał.

— Skutek jednak byłby tenże sam, gdybyśmy ogólne pojęcia piękna do szczegółów zastosowywać chcieli. W pięknem, mój panie, trudna różnica i trudna granica...rozbiory więc nasze i sprzeczki byłyby nieskończone i niepewne. Rozważaliśmy zresztą zasadę nie talenta; a daj Boże aby na niwie ojczystéj poezyi naszéj, własnéj, obczyzną nieskażonéj, takie zawsze objawiali się pracowniki, jak ci których chwałą uwieńczone wspomniałeś imiona. Gdziekolwiek oni zapomnieli fracuzczyzny, (niestety, bardzo to się im rzadko zdarzało) i narodowemi być chcieli, tam piętno prawdy na ich dziełach wybitne, tam metal czysty, a nie pozłota. Wiele z ich poezyj na pamięć umiemy, wiele w przysłowia poszły, a cokolwiek w pamięć głęboko wchodzi, w tém z jakiegokolwiek względu musi być prawda.

Dla braci zaś romantyków, którzy prócz tytułów nic więcéj nie pojmując, każdą balladę. zwłaszcza przez siebie napisaną, mają, jak ty powiadasz, za arcy-dzieło, ułożyłem wzorową balladę, wzorową nie dla nich, lecz z nich, bo wzory z ich poezyj i intelligencyj czerpałem. Słuchaj:

Ballada — Romantyczność.

„Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:
Czy to pies?
Czy to bies?

Rzecze jeden do drugiego:
Czy ty widzisz psa czarnego?
Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział,
Czy to pies?
Czy to bies?

Lecz obadwa tak się zlękli,
Że weszli w row i przyklękli.
Drżą, potnieją, włos się jeży,
A pies bieży, a pies bieży...
Bieży, bieży, już ich mija,
Podniósł ogon i wywija,
Czy to pies?
Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalęj,
Oni wstali i patrzali;
Czy to pies?
Czy to bies?

Wtêm, o dziwy! w oddaleniu,
Na zakręcie, znikł im w cieniu,
Czy to pies?
Czy to bies?

Długo stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli
Czy to pies?
Czy to bies?

Śmieli się oba i autor i słuchacz, a wtêm ozwał się dzwonek. To na obiad! rzekł Ignacy; i szybkim krokiem wszedł Juljan.

— No, panowie! zawołał on, dzieło na stole, basta teorya! pójdźmy rozebrać je w treści. Twój Michał P. Ignacy, to *klassyk* prawdziwy! jego obiad, to dramat klassyczny. *Chłodnik*, to zimna expozycya sztuki, to akt piérwszy. *Zrazy* bite, gorące, duszone, że aż piszczą w rądlu, to akcya dalsza wrząca, zapalczywa, ognista. Ingredyencye rozmaite, to podniecające interes namiętności.

Pieprz, to gorzka rozpacz i nienawiść. *Cébula*, to miłość nieszczęśliwa co łzy wyciska. *Bobkowy liść*, to laur bohatéra . . . Ale imaginujcie sobie co to za głęboki poeta ten Michał! Trzebaż było koniecznie rozwiązania sztuki, piątego aktu, on daje *Pezy!* . . . a to jest napuszysta *narracya* kończąca zwykle klassyczne tragedye, i kortyna zapada.

— Brawo! zawołali wszyscy, brawo!

— Idźmy jéj klaskać . . . zębami! dodał gospodarz.

VII.

Siedzący od godziny chłopiec na kominie krzyknął nakoniec, *jedzie!*

Na to hasło kawalerowie, którzy po obiedzie zatrudniali się każdy po swojemu przygotowaniem do przyjęcia gości, to jest, Edward z Ignacym w ogrodzie, a Juljan na konferencyach z Michałem, przerywanych wpisywaniem do sztambuchów poetycznych pamiątek; na to hasło z komina, wszyscy trzéj dosiedli koni, i galopem ruszyli na spotkanie.

Naprzeciw nich zbliżał się biegący koszyk z kwiatami; bo śmiało porównaniem tém ozdobić można było, piękny, płaski naówczas a wysoki, złotem i lakierem lsknący się koczyk, napełniony młodziutkiemi i ładnemi dziewczętami, których świéżość i wdzięki, jak roskoszna woń róż rozwijających się otaczała. Jechała w nim razem, młoda ich bratowa, żona pana Krzysztofa kapitana, o którym już wspomnieliśmy, i nakoniec między niemi, malutka Józia, córeczka ich kilkoletnia, do obrazku Amorka z czarnemi figlarnemi oczkami służyćby mogąca.

Kapitan jechał także konno. Gdy ujrzał trzech kawalerzystów naprzeciw siebie, zakomenderował: *baczność! stój! równaj się!* Koń jego zarżał wesoło, zestrzygł uszami, i wyskoczył rzeźwo, przypomniał komendę.

Nastąpiły powitania. Oczy tu bardziéj niż osoby się witały. Jezdce nie mogli z koni dotknąć pięknych rączek, we wzroku więc ich tylko pałała radość i uczucie, przed którém spadały powieki Ludwiki i Zofii, a żywy rumieniec oblewał dziewicze ich jagody.

— No, panowie! zawołał kapitan znowu: *Trójkami naprzód! marsz!* a nieźle jeździcie, jak na literatów.

Ale komenda ta nie dała się wykonać, bo pan Ignacy jechał z jednéj strony kocza, gdzie siedziała Ludwika, a pan Edward z drugiéj, gdzie się doń uśmiechała Zofia; pan Juljan więc tylko towarzyszył panu Krzysztofowi.

— Dzielny koń pański rzekł Juljan, patrząc na jego piękny tok, i zręczne wyskoki.

— Stary on już, mówił kapitan, ma lat z piętnaście, ale go kocham i pieszczę; bierze on podwójną racyę obroku, i dla tego rzeźwy jeszcze; bo to, mój panie, towarzysz mego wojskowego życia, i nieraz to życie ratował. „Nosił mię, nosił daleko po świecie“—mówił z niejakim rozrzewnieniem, głaszcząc konia po szyi. Uważałeś pan jak się rozpalił na głos mój? poczciwy! pamięta jeszcze komendę, i gdybym krzyknął: *z miejsca nacieraj!* toby jak strzała ruszył do szarży. *Drezno*, *Lipsk*, *Hanau*, *St. Dizier*, wszędzie byliśmy razem: i gdy nań teraz wsiądę niekiedy, wnet mi się te dni przypominają, w których, opiece jedynie Bogu winienem, żem wyszedł zdrowo i cały, gdy tysiące obok mnie ginęły.

— Piękne wspomnienia zachowasz pan dla dzieci swoich.

Kapitan się zadumał. Tak, rzekł potém, dzieci, a może i wnuki nasze, nie ujrzą zapewne takich walk olbrzymich, takiego starcia się narodów, jakiego my byliśmy świadkami, a niektórzy uczestnikami. Ale to chwała Bogu przeszło. . .

— Tęgi to był koń, mówił on daléj, zwracając się z poważnéj na potoczną rozmowę, a sadził panie przez rowy i płoty jak sarna. Imainuj pan sobie, w bitwie Lipskiéj *) szarżowaliśmy na węgierskich huzarów: szwadron jeden na cały pułk, bo już cesarz nie miał dość kawaleryi, musieliśmy zatém nadstarczać jak można było. Nie dotrzymaliśmy jednak tak potężnéj sile, i *rejterada w tył. . .* Dowodził nami natenczas waleczny pułkownik *Sucharzewski;* w awansie on zawsze na czele, w rejteradzie on zawsze ostatni; a trzeba było przebyć fossę, którąśmy w szarży ominęli, a na którą nas teraz Węgry nagnali. Ścisnąłem ostrogami gniadosza, przesadził. . . ale obejrzę się za siebie, aż pułkownika naszego rąbią huzary, koń

*) Prawdziwe.

mu się zwinął nad fossą i upadł. *Wiara!* krzyknąłem przerażony, *wiara za mną!* pułkownik nasz ginie!... W mgnieniu oka gniadosz był znowu za fossą, i tuż za mną kilkunastu tęgich wiarusów. Rzuciliśmy się na kupę Węgrów niespodziewających się nowego attaku; pierzchli więc szpikowani lancami, a my podjęliśmy kochanego naszego dowódzcę z głową porąbaną okrutnie. Tymczasem drugi szwadron przybywający nam w sukurs, uderzył Węgrom z boku, mieliśmy zatém czas przenieść pułkownika do ambulansu, a gdy sławny chirurg cesarski *Larey* obandażował mu głowę, odwiozłem go do Lipska, i zalokowałem, ile można było, najwygodniéj.

Droga się tu zwęziła i Edward musiał opuścić kocz, a zbliżyć się ku jadącym konno, i dosłyszawszy ostatnich wyrazów kapitana. A sam wróciłeś pan, rzekł, na plac boju, lubo mogłeś zostać przy swoim pułkowniku i uniknąć niebezpieczeństwa, nie uchybiając swéj powinności, ani wojskowemu honorowi, boś był jego adjutantem, czy adjutantem pułkowym, co na jedno wychodzi.

— A zkąd to pan wiesz? zapytał ciekawie kapitan.

— Przed rokiem będąc w Warszawie, poznałem jenerała *Kurnatowskiego* *), z którym pan kampanię francuzką za Renem robiłeś. On mię jako Litwina wypytywał o litewskich oficerach z którymi służył a szczególniéj o panu, i przypomniał sobie przytém, ten dowód sumiennego poświęcenia się pańskiego obowiązkom służby. Rozkazał mi serdecznie odeń pana pozdrowić, co aż teraz spełniam, bom dotąd nie miał zręczności przypomnienia sobie tego.

— Dziękuję, oh! bardzo dziękuję! To mię nie zapomniał jeszcze mój jenerał! rzekł wzruszony kapitan. W nowéj organizacyi wojska naszego we Francyi, czynionéj 1-go stycznia 1814 roku przez jenerała *Fląhaut*, adjutanta Napoleona, on naznaczony będąc dowódzcą brygady kawaleryi, wezwał mię do swego boku. Był to dowód łaski i przyjaźni dla mnie, bo w zmniejszonych bardzo i zredukowanych numerach pułków naszych, wielu oficerów wyszło nad komplet i zostało bezczynnymi.

— I mniemam, przerwał Juljan, że się nie rozgniewali za to, bo ta ostatnia walka we Francyi, obcą już dla nich była.

— Mylisz się pan, rzekł kapitan, póki pałasz przy boku i szlifa na ramieniu...

---

*) Prawdziwe.

— A krzyż na piersiach, przerwał znowu Juljan, przenikając myśl kapitana i wskazując na pierś jego.

— Naturalnie, odpowiedział on skłaniając głową, w takiém położeniu tém bardziéj te rzeczy inaczéj się pojmują.

— Ostatnią tedy kampanię, mówił daléj pan Krzysztof, i ostatnią bitwę pod *St-Dizier* naprzeciw korpusu jenerała *Witzengerode*, odbyłem pod wodzą jenerała Kurnatowskiego. Bóg mię i tu ratował od szwanku, lubo kilkakrotnie w gorących byliśmy opałach, tak, że jenerałowi kartacz zbił kaszkiet z głowy; musi on go chować na pamiątkę. A jakby na dobre zakończenie mego wojskowego zawodu, podała mi się tam zręczność ratowania znowu od śmierci pułkownika, choć nieprzyjacielskiego natenczas wojska.

— Jakto? zapytał Edward.

— A tak. Po bitwie, kazano mi objechać plac boju, dla zebrania rannych; gdy więc pomiędzy trupami i jęczącemi rannemi w różne strony przebiegam pole, odzywa się mi z boku głos słaby i zaledwie zrozumiały: „*Au nom de Dieu! qui que vous êtes, sauvez moi*"... *). Rozumiałem że to francuz jaki: ale zbliżywszy się poznałem po ostatkach munduru, że to oficer Rossyjskich lejbhuzarów. Znaliśmy ich dobrze, bo nam często zazierali w oczy. Dałem mu połknąć kilka kropel tęgiego wina, które go orzeźwiły nieco, i wtenczas mi opowiedział, że był dowódzcą tego pułku, a zostawiony na placu za zabitego, przyszedł do przytomności, gdy rany się zapiekły i resztę krwi od upłynienia zatrzymały. Że zaś żyć nie spodziewał się, chciał aby przynajmniéj żona, którą w kraju zostawił, i krewni wiedzieć mogli, że zginął jak wierny swojéj broni żołnierz... Serce mi się ścisnęło na te jego słowa, bom pomyślił, że i ja może dachu rodzinnego i sędziwego ojca mego nie ujrzę; tém czuléj więc zająłem się ratunkiem dłań i pómocą. Miałem obok siebie kilku chirurgów, ci wnet się nim zajęli. Rany były liczne i ciężkie, pomoc gwałtownie potrzebna, za kilka godzin jużby była próżna; alem się pocieszył, gdy mi oni opatrzywszy go pilnie, powiedzieli, że rozpaczać nie należało, bo czerstwy skład ciała i wiek nieprzejrzały rannego, a mógł mieć lat trzydzieści, dozwalały wróżyć, że natura wspomoże lekarskie staranie. Promień nadziei, który natenczas mimo srogich boleści rozpogodził jego

*) Prawdziwe.

oblicze, ściśnienie méj ręki, i łzy w oczach, najsłodszą mi były nagrodą, i dziś jeszcze najmilszém mi jest wspomnieniem.

— A nazwisko jego?

Kapitan skinął ręką. Wiem że żyje, rzekł, a przynajmniéj żył przed laty kilką; wiem, że opowiadał nieraz to swoje zdarzenie, z wdzięcznością wspominając oficera, który go ratował; to dla mnie dosyć!. . .

Zbliżano się tymczasem do dworu i pan Ignacy galopem wyprzedził wszystkich, pragnąc spotkać gości.

Dom niegdyś pana wojskiego, zmienił zewnętrzną formę. Zamiast ganku za kratkami, na którym widzieliśmy pana wojewodę mścisławskiego Chomińskiego, stolnika, i sędziwego gospodarza, przy lampkach starego wina, poważną prowadzących konwersacyę; stanął na murowanych słupach podjezdny ganek, w którym usiąść nie było na czém, i pod który nie zajeżdżali stare kuczery, mniemając, że w dom otwartyby wjechali; lecz śmielszy furman kapitana zatoczył zręcznie koczyk pod kolumny, a damy oparte lekko na rękach kawalerów, wysiadły zeń i weszły do pokojów.

Wnętrze domu niewiele się zmieniło od czasów pana wojskiego, bo jeszcze nie nadeszła moda dzisiejszego tak nazwanego *komfortu* zależącego na ustrojeniu gabinetu kawalerskiego, symetrycznie na kilku stolikach rozłożonemi rozmaitemi gracikami, mniéj więcéj kosztownemi, a najmniéj użytecznemi; na zawieszeniu na ścianach kilku obrazów nadto swobodnego pędzla, na sprężystym szezlongu, i kilku książkach illustrowanych w złoconéj oprawie, na wiszącéj konsoli wydatnie umieszczonych.

Pan Ignacy obchodził się dziadowskiemi jeszcze sprzętami; a tylko niestety! zniknął z pod lustra wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, i dzwoneczek loterański z koronką; może się przeniósł do sypialnéj komnaty, gdzie modny niedowiarek XVIII-go wieku, przypominając w samotności matczyny pacierz, bił się w piérsi, ze skruchą powtarzając: „*odpuść nam nasze winy.*“ Wszyscy nasi tamcześni mędrkowie, takiemi podobno byli. . . u dzisiejszéj młodzieży, między pięknemi gracikami, nie rzadko ujrzysz śliczny krucyfix, jawne wyznanie religijnych sentymentów młodzieńca; ależ *vice-versa*, czy bywa matczyna modlitewka w sypialnéj komnacie?. . .

Drugi pokój stosowniéj nieco reprezentował dzisiejszego właściciela tego domu. Tam stanęła naszklona szeroka szafa z książkami, i stół do pisania, także książkami nałożony, a w kącie jednym liczny zbiór cybuchów, wielkiemi i osobliwemi nasadzonych bursztynami.

Piérwszy raz na swém gospodarstwie przyjmował pan Ignacy piękne swe sąsiadki, i tę, którą radby był uwięzić w swych ścianach. Piérwszy raz dorodne dziewice znalazły się w domu młodego człowieka, i przewidywać, a raczéj instynktem serca przeczuwać mogły, że tu właśnie zdarzą się chwile tkliwszego znaczenia, od których wywinąć się będzie trudno. Z obu stron więc swobodna wesołość, która jadących przeprowadzała, znikła jakoś na wstępie między młodzieżą. Damy usiadły w milczeniu, i ciekawém okiem rzucały w około, jakby się zlękły dwóch hetmanów, surowo na nich ze ścian patrzących. Nie wiedziały one, że oba za życia wielbicielami byli płci pięknéj: że *Sobieski* ubóstwiał *ślicznośći swojéj Marysieńki*, a *Radziwiłł* w podeszłym już wieku, bez względu na swe dostojeństwa, mitry i bogactwa, po śmierci swéj piérwszéj żony *Wiszniowieckiéj*, zakochał się w jéj respektowéj pannie, Mycielskiéj, i z nią się ożenił *). Pan Ignacy jednak wnet z tego wzruszenia, które mu było mowy ujęło, ochłonąwszy,—Kapitanie, rzekł, dozwolisz odejść koniom do stajni. Panie, które nas dziś tu uszczęśliwiają, darować nam raczą cały wieczór.... Noce jasne i piękne, powrót będzie przyjemny.

— A pod wodzą kapitana, dodał Juljan, będziemy eskortowali damy, jeżeli pozwolą.

Kapitan spójrzał na żonę, a ta z wdzięcznym uśmiechem odpowiedziała:—Zgoda, i tém bardziéj, że muszę przejrzeć cały ogród sąsiada, i przekonać się czy tak piękny, jak powszechnie zachwalony; a nawet wejrzeć i osądzić, czy dobry z pana Ignacego gospodarz?

— We wszystkiém proszę o pobłażanie pani, rzekł on, a co do gospodarstwa, zawczasu nawet przepraszam, za przyjęcie tak miłych gości, bo przecież bezżenni surowo na tym punkcie sądzonymi być nie mogą.

---

*) Z niéj się urodził Heronim Radziwiłł, ojciec księcia Dominika, ostatniego potomka książąt Ordynatów Nieświżskich.

— Obaczymy; rzekła wesoło kapitanowa, a tymczasem na skinienie przez okno jéj męża, konie odeszły.

— Ach! otóż i nasze sztambuchy! zawołały dziewczęta, bo książki przygotowane leżały na stole. Rzuciły się więc na nie, jak dzieci na łakocie, ale w mgnieniu oka umiarkowała się ta skwapliwość poczuciem, że za łakomstwo na dusery wziętą być mogła. Sztambuch więc Zofii dostał się w ręce jéj bratowéj. Podziękuj Zosiu, rzekła ona, oto wiersz pana Edwarda na dzisiéjsze twe imieniny. Przeczytaj pan sam, to razem i powinszujesz solenizantce.

Edward właśnie tego żądał, więc wziął książeczkę i czytał z zapałem, życzliwością zapewne dla solenizantki podniesionym:

„Dwa lata już stanęło przed ołtarz wieczności,
Od chwili gdym raz piérwszy życzenia ci złożył.
Powtarzam je, zwierzając losu opatrzności,
Bym ci szczęścia nie próżno i życzył i wróżył.

Czas leci, z lotem czasu wszystko się odmienia,
I moje serce zmianę nie jedną pamięta;
Lecz uczucie me dla cię, lecz moje życzenia
Zawsze tak jednostajne, jak dzień twego święta!

Może już to ostatni przepędzamy społem,
Lecz gdy ci nowe błysną z latami przyszłemi,
Bądź pewna, że je twojém wspomnieniem zacząłem,
Lub iżbym zaczął, gdybym żył jeszcze na ziemi.“

Zapłonęły lica i winszującego i winszowanéj. Nastąpiło jąkające się podziękowanie. . . potém niemniéj zajękliwy komplement Edwarda, który on przecież nareszcie pocałowaniem ręki solenizantki zakończył. Wszyscy się uśmiechnęli, łącząc swe dla niéj powinszowania i życzenia.

Wtém kawa wniesiona, rozpoczęła traktamenta programmatem Juljana ułożone; zastawiono ją na stole.

— Pozwoli pani prosić siebie o fatygę, rzekł pan Ignacy do kapitanowéj, wskazując ręką na stół.

— Czy pan koniecznie mnie wybierasz dziś na gospodynię? zapytała ona, rzucając lekki uśmiech na Ludwikę, na którą teraz przyszła koléj ambarassu.

— Tak pani, rzekł Ignacy, i nie możesz pani odrzec się tego obowiązku, gdyś sama postanowiła osądzić moje gospodarstwo; a na to, trzeba koniecznie mieć w domu władzę gospodyni, którą ja z pokorą w ręce pani składam.

— Prawda, odpowiedziała kapitanowa, sama się uwikłałam w cudzą może rolę; ale spełnię ją ochotnie. Śmietanka wyborna; to już raz wygrywasz pan na opinii, mówiła rozlewając kawę po filiżankach, i sucharki nieźle wyglądają.

Wtém, otwierają się drzwi na ścieżaj. Wchodzi stary Michał, niosąc przed sobą wielki blat biszkoktów, w wysoką piramidę ułożonych, i stawi na stole. Spójrzeli na siebie z zadziwieniem gospodarze festyny, a szczególniéj na Juljana, który ją urządzał; bo tych biszkoktów, ani tego solennego wejścia Michała nie było w programmacie. Ale on nie mógł znieść balu bez biszkoktów; upiekł je więc na folwarku skrycie od Juljana, a wniósł sam dla tego, że mając w głowie proroctwo Edwarda, iż jedna z panienek mających przybyć, a które wszystkie w kościele nieraz widywał, będzie jego panią, chciał dociec która? spuszczając się w tém na szczęście i na swój stary rozum.

— Jak się masz stary poczciwcze? zawołał kapitan, czyś zdrów?

— Do usług jaśnie wielmożnego pana.

— Dawna to moja znajomość, mówił daléj pan Krzysztof, obracając się do pana Ignacego; wierny to sługa nieboszczyka pana wojskiego, dziada pańskiego.

Tymczasem Michał rzucał okiem po kompanii. W téj chwili pan jego znalazł się obok Ludwiki; zdało się staremu, że ktoś mu szepnął na ucho: „oto twoja pani;“ postąpił więc kilka kroków ku niéj i ukłonił się nizko, potém grzecznie całéj kompanii, i wyszedł.

Wszyscy zdziwieni umilkli.... potém wszyscy wielkim śmiechem parsknęli. Ludwika tylko stała zarumieniona, uśmiechająca się z przymusem, i pan Ignacy obok niéj zaambarasowany. Spójrzał on na Juljana, rozumiejąc, że on mu tego figla spłatał, i tę deklaracyę Michałowi naraił; ale Juljan zrozumiawszy po wzroku to podejrzenie, ścisnął ramionami i głową pokręcił; a trzeba było przecież coś powiedzieć, przerwać ten śmiech, i jakkolwiek wywinąć się z kłopotu. Ani utwierdzić téj manifestacyi Michała, ani jéj zaprzeczyć: utwierdzenie byłoby oświadczeniem się niewczesném i niezręczném; zaprzeczenie, obrażającém zaparciem się uczuć niewywołanych dotąd żadną nadzieją; a zaparcie się to, z trudnością potém

rewokowaćby przyszło. Myśli te, z dodatkiém przekleństw na starego ciemięgę, przelatując jak błyskawica w głowie pana Ignacego, nie dawały się zawiązać konceptowi nagle tu potrzebnemu. Juljan zatém pojmując tę jego krytyczną pozycyę, przyszedł mu na ratunek.—Stary Michał, rzekł on, zrobił nam dziś siurpryzę ze swemi biszkoktami, nic o jego planach nie wiedzieliśmy.

A ponieważ na widok suto ocukrowanych biszkoktów, mała Józia zaczęła skakać około stołu, Juljan więc wziął ją na ręce i rzekł: No, mała ty moja pokusko, chcesz pirożków?

— Chcę, wyszczebiotała Józia.

— A pójdziesz za mnie za mąż? to dam.

— Pójdę, odpowiedziała rzezwo.

— Brawo! ot mam i narzeczonę, zawołał Juljan, dając jéj biszkokta.

— Jakto? rzekł ojciec szczypiąc ją za buzię; to i bez pozwolenia papy i mamy?

Józia się zachmurzyła.

— Ależ nie martw pan mojéj bogdanki, rzekł Juljan, termin ślubu jeszcze daleki; a tymczasem dziewczynka wyrwała się z rąk jego i uciekła do mamy.

Bywają w życiu ludzkiém jakieś niewytłómaczone chwile; ale jednakże muszą one padać z przeznaczenia, w których rzucone na wiatr zda się i bez namysłu słowo, staje się.... wróżbą!

Pan Ignacy korzystając z nowego obrotu rozmowy i uwagi powszechnéj, zakończył tak swój ambaras, jak Edward powinszowanie i pocałował rękę trochę wzbraniającéj się Ludwiki, a pocałunek ten był razem i czułym i dyplomatycznym, bo przepraszał za Michała, utwierdzał pokłon jego, a zamilczał wyznanie.

Wszedł lokaj i rzekł:—Sieć do kanału zapuszczają.

— Ach! ach! krzyknęły damy, rybołowstwo! pójdziemy, pójdziemy patrzeć.

— I owszem, odezwał się pan Ignacy, bo to i na szczęście i na rozrywkę dla pań sieć zarzucona; a że jutro środa, gospodyni moja dzisiejsza parę karpi raczy przyjąć na obiad.

— Zgoda, dziękuję, odpowiedziała kapitanowa, pod warunkiem wszakże, że ten obiad razem u nas jeść będziemy.

— I na to zgoda, odpowiedzieli wszyscy.

— Ależ przed niewodem rybę łowicie, rzekł kapitan, a jeżeli karpi nie będzie?

— Oho! rzekł Edward, nie skompromituje szczęścia dam pan Ignacy; wie on, że kanał pełny ryb, i my wiemy, bo dziś już probowaliśmy tego szczęścia.

Więc wyszli wszyscy z pokoju, z téj sentymentalnéj niejako atmosfery, na swobodniéjsze odetchnienie, razem orzeźwiające i rozwalniające więzy przymusu, które w ciaśniéjszym pokojowym obrębie hamowały ich wesołość, i w pewném oddaleniu jednych od drugich trzymały.

Gdy wychodzili, gospodarz podawał rękę kapitanowéj, ale ta rzekła uśmiechając się.

— Daj pan pokój, ja nie lubię tych etykietalnych processyj, zwłaszcza na wsi, gdzie każdy najswobodniéj chodzić i bawić się chciałby, a musi iść gdzie go prowadzą. Zresztą, pan idąc ze mną w piérwszéj parze, możebyś chciał pójść *odbijanego*. . . .

— Oh pani! to dowcipnie, ale. . . .

— No, prowadź pan kogo chcesz, przerwała ona, ja pana uwalniam, a lepiéj nie prowadź nikogo, sami pójdziemy.

Jakoż cała gromada szła nad kanał, z którego kilku ludzi wyciągało niewód. Mała Józia wyprzedzała wszystkich. Wolny sercem Juljan, wybierał więc sobie towarzystwo, i dzieląc się między wszystkich gości, wyręczał gospodarza w obowiązku bawienia wszystkich, a dawał czas obu kolegom rzucania w ucho dziewcząt owych tysiącznych synonimów jednego zawsze wyrazu *kocham*, który co chwila z ust się wymykając, na nich zamiera. Synonimy te i omówienia improwizują się natenczas u wszystkich, mniéj więcéj zwięźle, mniéj więcéj tkliwie, jakoby w muzyce serdecznéj *waryacye* na jedną *temę;* ale w ogólności tworzą się one w odwrotnym stosunku uczucia, i tém się mniéj wiodą i kleją, im gorętsze jest i szczersze to uczucie; bo ten wyraz *kocham*, który jest treścią rzeczy, wścibiając się między inne słowa i peryody, a nie dając się wymówić, miesza ich szyk i porządek. Żywsza i obfitsza z natury i z codziennego rozwijania się wyobraźnia młodych poetów, zdolniejszemi i bieglejszemi ich czyni w tych sentymentalnych manowcach. Myśl ich natenczas pracuje tak, jak niekiedy nad pogodzeniem i zastosowaniem rymu do treści, lub treści do rymu; a jak z tego przymusu i udręczenia się wynika częstokroć piękna poezya tak i z téj zalotnéj gmatwaniny słów i wyrażeń, wyniknie im często miła i

tkliwa, jakby strofka poetycznéj prozy, w którą owinięty ten zaklęty wyraz, wpłynie do serca dziewicy, i tam się rozgości. Ludzie dojrzalsi mają na to zwyczajne formuły; uczą się ich z romansów pisanych, lub po prostu używają swatów, to jest formuł chodzących; ale młodzi, żywi, zakochani, a tém bardziéj poeci, snują sami około lubéj istoty tę *sieć pajęczą*, którą częstokroć

„Wiatry wioną i rozdmuchną.“

Ale niezmordowany

„Snuje znowu sieć cieniuchną,
By ją znowu wiatry zwiały“ *).

a w któréj wszakże więźnie niekiedy serce niewinnéj a czułéj dziewicy. Opisywać jednak z domysłu lub z przypomnienia takie zalotne konwersacye, albo jak to jednym wyrazem dobrze nazwano takie *zalecanki*, rzecz trudna i niebezpieczna; zostawiać to raczéj należy domysłom lub przypomnieniom samychże czytelników, niżeli dorzucać kilka ognistych a na zimno namyślanych kartek, które zwykle nieczytane się przerzucają.

I tu więc powiemy tylko, że pan Ignacy wziąwszy *assumpt* od ukłonu starego Michała, nim doszli do kanału tak gładko od słówka do słówka wyprowadził w pole piękną gościę, któréj rękę podawał, że mu ona rumieniąc się powiedziała: „ja się na pańskiego staruszka nie gniewam.“

— Ale czy pani wierzysz w to, com powiedział, że on ten pokłon oddał pani z przeczucia?

Pytanie to bardzo zręczne, jak mu się zdawało, jakby sidełko na ptaszka rzucone było; i cieszył się w duchu pan Ignacy, że mu się ono tak składnie z uprzedniéj rozmowy wywinęło, a serce mu biło z niespokojności oczekując odpowiedzi.

Przez chwilę milczy ona ze spuszczonemi ku ziemi oczyma. Dobry znak! myśli Ignacy, ale wnet je podnosi śmieléj i zapytuje wzajemnie:

— A pan sam czy wierzy w to przeczucie swojego Michała?

— Ha! ladaco! pomyślał on znowu, jaki dowcipek! pomieszała mi szyki i obłudne mowy! bo rzeczywiście pytanie jego było obłudném. Z kolei teraz dziewczyna z figlarnym uśmiechem nań poglą---

*) Zaleski.

dała oczekując odpowiedzi. Pan Ignacy znowu się znalazł w podwójnéj pozycyi. Przyznać się do wiary w przeczucie Michała, kłamstwo; zaprzeć się téj wiary, a pocóż to pytanie? ale wnet się opamiętał i rzekł: Ja wierzę wszystkiemu, co mi jakąkolwiek wróży nadzieję; gdybym ją miał... gdyby ona przez usta twoje droga pani, mówił ujmując jéj rękę, do mnie się uśmiechnęła ... doszli do kanału, rozmowa się przerwała. Ludwika drżąca swą odeń odjęła rękę.

O kilka kroków za niemi szedł Edward obok młodszéj siostry; on także:

„Miłość, piękność, czucie wiarę,
Na ogniwa spajał złote“ *).

I w te subtelne ogniwa uplątać ją usiłując, chciał wybadać tajemnicę jéj serca, i czego się mógł spodziewać w swych zamiarach, tém bardziéj wątpliwych, że z przyczyny podróży jego za granicę, gdzie się na lat kilka wybierał, uczucia choćby szczere młodéj dziewczyny, na długą próbę cierpliwości narażonemi być miały.

Przez kilka dni świątecznych przed dzisiejszym, bawiąc razem w ich domu, Edward nie wiele więcéj nad życzenie szczęśliwéj drogi i pomyślnego powrotu, wyjednał. To był już dzień ostatni lub przynajmniéj przedostatni bytności razem, przed rozłączeniem się na długo; pod wpływem więc téj smutnéj myśli, Edward był wzruszonym, a zatém czulszym, mówił goręcéj, śmieléj. Toż samo może wrażenie sprawiło, że go słuchano cierpliwiéj i skłonniéj.

— Dozwól pani jeszcze, mówił on, gdy się już zbliżali do kanału, powtórzyć sobie ostatnią strofkę mego dzisiejszego dla niéj powinszowania:

„Może już dzień ostatni przepędzamy społem,
Lecz gdy ci inne błysną z latami przyszłemi,
Bądź pewna, że je twojém wspomnieniem zacząłem,
Lub iżbym zaczął, gdybym żył jeszcze na ziemi.“

— Dla czego, rzekła Zofia wzruszonym także głosem, tak smutnie chcesz nas pan żegnać!

— Bo wątpię, czy nieobecny będę wspominany?

— O tém pan nie wątp, odpowiedziała czuléj, a wzrok jéj potwierdził jéj słowa.

---

*) Zaleski.

Edward chciał odpowiedzieć . . . wtém doszli do kanału. Cała więc kompania się połączyła, i wyciągniono sieć. Matnia pełną była ryb rozmaitych:

„I szczupak wód monarcha, co się braćmi pasie,
I złotouste karpie, i słodkie karasie.“ *)

Zawołał Edward.

Niechże pani wybiera, rzekł pan Ignacy do kapitanowéj.

— A więc wybieram parę karpi, i kilka tych pięknych karasi, a jutro na nie panów czekać będę.

Mała Józia aż skakała z radości, patrząc na pluskające się ryby; chwyciła jedną maleńkę.

— Co ty z nią będziesz robić? zapytała mama.

— Zgotuję, odpowiedziała.

— Zgotujesz? a dla kogo?

— Dla męzia, rzekła patrząc na Juljana.

— Ach, nic dobrego dziewczyna! mówiła śmiejąc się matka, ja rozumiałam że dla papy i mamy.

— Wilcza natura do lasu ciągnie, rzekł kapitan i śmieli się wszyscy.

VIII.

Od kanału przez grobelki i mostki, szła kręta drożka do ogrodu. Pan Ignacy spójrzał na Juljana, bo ten jako układający całą festynę, wiedzieć był powinien, czy już czas prowadzić damy na podwieczórek. Juljan obejrzał się ku ogrodowi, i dostrzegłszy tam zdaleka stojącego przed altaną lokaja, co było umówionym znakiem, skinął na pana Ignacego.

— Oto pani, rzekł ten do kapitanowéj, dróżka, która nas do ogrodu zaprowadzi. Juljanie, proszę cię, bądź przewodnikiem. Juljan więc podał rękę kapitanowéj, lecz obie dziewice nie odłączyły się już od towarzystwa całego, i tak szli wszyscy blizko siebie.

Juljan tak prowadził kompanię, aby weszła do altany nie widząc Helikonu. Gdy się damy w téj jakby świątyni Flory, w kwiaty

*) List A. E. O. do W. J.

dla nich ustrojonéj, obaczyły, wdzięczne zadowolnienie zajaśniało na ich twarzach... woń bzów, róż, jaźminów pomieszana razem, tworzyła jakąś aromatyczną atmosferę, któréj odetchnieniem z rozkoszą napawały się piersi. Ach! jakże tu pięknie! jakąż nam miłą przygotowałeś pan niespodziankę! zawołała kapitanowa obracając się do pana Ignacego.

Ten przejęty i uniesiony urokiem téj szczęśliwéj dlań chwili, kładąc rękę na sercu, głosem pełnym szczerości zawołał:

„Te lipy stare i ciemne,
I wszystko co tu widzicie,
Niech wam tak będzie przyjemne.
Jak nam tu wasze przybycie.“

Strofka ta Karpińskiego, która pod wrażeniem tkliwego usposobienia wpadła na myśl panu Ignacemu, przeniknęła wszystkich. Kapitan ujął go za rękę i wstrząsł serdecznie. Dzięki panom, dzięki! odezwała się czule jego żona; a dziewczęta milutkiém wejrzeniem, i słodziutkiemi uśmiechy łącząc się do jéj słów, radość swą wewnętrzną zdradzały.

Kwieciste to ustrojenie, zajmowało nie tylko altanę, lecz i przedsionek do niéj, to jest szeroki szpaler lipowy ją przedłużający; tam przygotowany i ustawiony już czekał podwieczórek. Wyrozumiali i zręczni jak zwykle kawalerscy lokaje, spełnili wszystko podług instrukcyi Juljana. Stół zdawał się kłombem kwiatów, a między wazonamy kryły się blaty. Zaproszone damy zbliżyły się doń, kawalerowie podsunęli im krzesła, sami przyjmując obowiązki krajczych i podczaszych, a właściwie uprzejmych gospodarzy.

— Zalecam kurczęta, rzekł pan Ignacy, są one upieczone podług gastronomicznéj metody Juljana.

Zasmakowano w nich bardzo, a Juljan zacierał ręce z ukontentowania.

Kurczęta więc, szparagi, szczupak i jeszcze parę lekkich potrawek z podkurkowych przysmaków przez Michała przypomnianych, któremi to młodzi słudzy swe goście, to piękne goście sług swoich traktowali, ubywały powoli z półmisków. A tymczasem w altanie nakryto znowu stolik mały okrągły, na którym kilka karafek limonady i kilka lampeczek i kieliszków postawiono; ale na czele téj całéj kryształowéj parady stanął w towarzystwie dwóch omszałych z żółtą pieczątką butelek, wielki kielich rznięty w her-

by i armatury, jakby dziad stary z dwiema babulkami, mający błogosławić młodemu pokoleniu.

Odkorkowano.

— No kapitanie wypijemy zdrowie dzisiejszéj naszéj solenizantki, rzekł pan Ignacy, wyjmując kielich.

— Co to pan chcesz robić? zawołała kapitanowa, męża mi spoić, i samym się upić? pięknie! tego ja nie dozwolę.

— Wypijemy zdrowie solenizantki, rzekł kapitan, zgoda! i zdrowie gospodarza koniecznie, ale . . .

— Kapitanie! przerwał Ignacy, nas tu trzech dziś gospodarzy, i żaden swych praw nie ustąpi, ale piérwszeństwo należy się gospodyni.

— Któréj? zapytała z uśmiechem kapitanowa, czy przyszłéj, czy dzisiejszéj?

Ludwika instynktowie spuściła oczy.

— Nie, rzekł Ignacy kłaniając się jéj grzecznie, téj właśnie, która dziś ten tytuł w mym domu przyjąć raczyła.

— Potém ułożymy kolejkę, rzekł kapitan, ale nie tym kielichem kochany gospodarzu, to widać z czasów jeszcze dziada twojego, pana wojskiego.

— I wino z jego czasów, odpowiedział Ignacy, lecz cóż ztąd kapitanie? czyż my tak odrodni? a ja, ja wnuk jego rodzoniuteńki, miałbym ubliżać jego pamięci lub własną wyznawać niedołężność, w obec jego kielicha, a zatém jakby w obec niego samego? Nakoniec kapitanie.

„Cóż znowu u licha?
Kto się nie uląkł korda, nie zlęknie kielicha!“

Kapitan pokręcał wąsa; żona zatém poznała, że może się nie oprzeć rycerskim przypominkom.

— Śliczne widzę na tym kielichu rznięcie, rzekła ona, pozwól pan, i wziąwszy go z rąk pana Ignacego, jakby dla przypatrzenia się, po chwili zawołała: Wyborny mi przychodzi projekt. Ludka i Zosia z tylu pięknych tu kwiatów niech zwiążą bukiet, nalejmy wody do kielicha, i na pamiątkę naszéj tu dziś tak miłéj nam bytności, zostawimy panom ten bukiet, czy zgoda? bo jeżeli panowie nie chcą, to ja oddaję . . .

Ignacy nie śmiał sięgnąć ręką po kielich.

— A widzicie panowie, rzekł uśmiechając się kapitan, dowcipną mam żoneczkę.

— Brawo! zawołali Edward i Juljan. Zgoda i dzięki pani, dodał ten ostatni. Zawsze kielich nasz upajać nas będzie wonią i wspomnieniem, a nawet zmieniony w swojém przeznaczeniu i zamiast wina napełniony kwiatami, da nam powód do rozmyślania nad zmiennością obyczajów ludzkich, a bardzo może być godłem naszych dzisiejszych; więc jeszcze raz zgoda!

Wnet dziewczęta obrywać zaczęły wazony, a pan Ignacy rzekł:

— No kapitanie, gdy nam kielich z rąk odjęto, i jeszcze dziękować zniewolono, toć z domowego podania wiem, że te lampki ledwo część trzecią kielicha biorące, bywały w rękach dziada mojego i napełniane tém samém winem, a więc zdrowie solenizantki! zawołał całując jéj rękę, i rozdając potém każdemu pełną lampeczkę. Toż samo powtórzyli koledzy.

Solenizantka ucałowała brata i pięknie podziękowała pijącym.

— Kapitalne wino! rzekł pan Krzysztof, znam się przecie na tém, bo gościłem w kraju gdzie się ono rodzi.

Nastąpiła potém sprzeczka między kapitanem wnoszącym zdrowie gospodarza, a gospodarzem wnoszącym zdrowie gospodyni. Lecz i tu kapitanowa chcąca ile można zmniejszyć liczbę toastów, rzekła: Ja panów pogodzę; jako gospodyni używam tu dziś praw wspólnych z panem Ignacym: więc mam nadzieję, że się téj wspólności nie odrzecze, i na wspólny nam toast się zgodzi.

I znowu pan Ignacy musiał dziękować za przekorę nagrodzoną wspólnictwem, którego jakże się było odrzec?

Dwukrotna ta kolejka podpróżniła butelki; zręcznie zmienione stanęły drugie, ale nowe zaprzeczenie z ust troskliwéj żony. Mój kochany, rzekła ona do męża, pamiętaj, że konno powracać musisz.

— Ach! służyć będziemy pojazdem, przerwał Ignacy.

— A to na co? odrzekł żwawo kapitan pokręcając wąsa. Bądź pewna moja duszko, że gdybym się nawet spił jak bela, to na gniadoszu moim dojadę bezpieczniuteńko. Oho, zna on jak w takim razie stąpać, i jak podtrzymać równo wagę, którąby jeździec tracił. Nieoceniony koń! pamiętam jak dziś, po potyczce pod *Sztolpen* w Saxonii, gdzieśmy Litwini piérwszy chrzest krwawy odbyli, to jest piérwszy raz z nieprzyjacielem się starli, posłał mię dowódzca pułku z obozu, do głównéj kwatery tamże w *Sztolpen* będącéj, po rozkazy do naszego naczelnego wodza księcia Józefa. Ode-

brawszy je, jużem miał wracać, aż spotykam na ulicy kochanych kolegów, braci litwinów, *Jankowskiego*, *Koziełła*, *Oskierki* i kilku z niemi koroniaszów; uścisnęliśmy się serdecznie i radośnie, jak się zwykle uściska po przebytéj szczęśliwie bitwie; nuż pić! Krótko mówiąc, tak się stało, że ledwom mógł dosiąść gniadego; a jednak on mię po wąwozach i górach Saskich tak szczęśliwie i lekko doniósł, żem nawet przedrzemał się jadąc, i mógł pułkownikowi zdać raport regularnie. A wieleż to razy potém we Francyi toż samo było! naprzykład w *Eperné* gdzieśmy w samém gnieździe, w lochu właściciela winnicy, pili szampańskie.

— Wspomnieniom twego rycerskiego zawodu kapitanie! rzekł Edward nalewając sobie i kolegom lampki, i pamięci mężnych braci i towarzyszy twoich! toast szczery kapitanie, dodał ściskając mu rękę.

— Dziękuję wam! dziękuję! zawołał wzruszony kapitan ściskając ich wszystkich czule. „Zdrowie wasze! zdrowie wasze! trącili wzajem, i wypili duszkiem.“

— Dośćże już tego, rzekła kapitanowa. Oto i bukiet gotowy. Jakoż oddały go dziewczęta w kielichu napełnionym wodą.

— Piękny! piękny! wołali Edward z Ignacym, a śmielsi kilką lampeczkami wina, goręcéj całowali piękne rączki które go wiązały.

— Piękny, powtórzył Juljan; ale dodał po małym namyśle, braknie mu wszakże głównéj ozdoby, głównéj zalety. Same kwiaty... to wdzięki! ale mało zieleni... mało koloru nadziei. Cóż po wdziękach bez nadziei? Zaradzim temu... i wybiegł z altany.

Nie odgadnięto ani symbolicznych słów jego, ani po co wybiegł; lecz go wkrótce ujrzano wracającego i niosącego wazon mirtu, po który aż na Helikon wskoczył.

— No, śliczne panie! po jednéj gałązce, a bukiet będzie pełnym; i... uszczęśliwi nas, rzekł on podnosząc wazon.

Tym konceptem, Juljan gorzéj jak stary Michał swym ukłonem, zaambarasował dziewice. Serca im biły i lica pokraśniały. Kapitanowa nawet pragnąca przyjść im w pomoc, nie mogła się ten raz zdobyć na prędce na jakiś zręczny obrót. Dać mirt, myślała ona, to dać nadzieję, ledwo że nie słowo; nie dać? to rekuza! wszystko to przeklęte lampeczki te zrobiły; bez nich nie śmiałby tak wystąpić; i można się było domyślać, że podobne uwagi przebiegały i w główkach dziewiczych.

A Juljan brnął coraz dalej i dalej. Postawił on wazon przy kielichu, wziął małą Józię na ręce: No, moja bogdanko, rzekł, czy dasz mi gałązeczkę mirtu? urwijże duszko.

Dziecko nie myśląc długo, oderwało gałązkę i dało mu. Wtém. . . słowik się ozwał w klombach . . . Niespodzianka! . . . Wszyscy zdziwieni! . . . Coś podobnego do przeczucia przemknęło po altanie. Wszyscy spójrzeli na Juljana, trzymającego na jedném ręku Józię w drugiéj gałązkę mirtu.

— Słowik ci Juljanie hymn weselny pieje, rzekł Edward.

Uśmiechnęli się wszyscy prócz Juljana, który mimowolnie wzruszony, spójrzał mile na Józię, i przy mamie ją postawił, a mirt schował za nadrę.

— Pójdźmy przejść się po ogrodzie, rzekła kapitanowa, posłuchajmy bliżéj tego weselnego śpiewaka, oto już ich kilku się odzywa. Wyszli więc wszyscy z altany, bukiet i wazon mirtu zostały na stole.

IX.

Gdy z ciemnego lipowego szpaleru wyszła kompania, ujrzała *Helikon*. Nowe zdziwienie i nowe kobiece *Ach!* się odezwało.

— *Helikon!* przeczytał kapitan, stosowna bardzo kwatera dla poetów, rzekł.

— Możnaż tam wejść? zapytały damy.

— Najbezpieczniéj, rzekł P. Ignacy, i prosimy uszczęśliwić nasz Helikon. Przyrzekłem moim kolegom, że się na nim okażą *Gracye* czy *Muzy*, jak panie chcecie.

Uśmiechając się, ale i drżąc z bojaźni, kapitanowa z Ludwiką i Zofią, a ośmielając je za każdym krokiem, przy nich Edward i Ignacy wstąpili na galeryę, i damy wśród róż usiadły. Kapitan z Juljanem zostali na dole, aby nie obciążać i nie zacieśniać Helikonu.

Słońce już zapadało i rozkoszny majowy wieczór, z całym urokiem balsamicznego tchnienia, z całą czarownie przyćmioną i tajemniczą barwą młodzieńczéj natury, rozwinął się nad ogrodem. Niewymówna jakaś i mimowolna rzewność objęła zmysły. Słowiki jak zamówione na tę chwilę, rozgłośném pieniem witać i pozdra-

wiać zdawały się piękne goście ku ich powietrznemu królestwu podniesione.

— Jaki piękny obraz! odezwał się Juljan, Patrz pan: na tle bladego wieczornego światła, ocienione i uwieńczone majem i różami, wdzięczne, młode i ładne jak ideały.. . .

— Oho! poeta z ciebie panie Juljanie, poeta prawdziwy! przerwał kapitan malarzowi w samym głównym kolorycie obrazu.

Na balkonie milczano.... Gorączkowe rozmarzenie, razem głębokiém uczuciem i winem podniecone, pałało we krwi i w źrenicach młodych ludzi zakochanych. Panowali oni jednak nad sobą; bo gdyby się na chwilę zapomnieli, sceny gorących wyznań i oświadczeń objawiłyby się tam nagle jak na teatrze, na które kapitan z Juljanem patrzaliby z parteru.

Ale w milczeniu tém nawet, kapitanowa dostrzegła krytyczną chwilę; więc ją skracając, zejdźmy rzekła, bo już mi głowa kręcić się zaczyna.

— Za bukiet, przemówił wtenczas Ignacy niepewnym głosem, raczcie panie przyjąć te trzy wazony centyfolij z naszego Helikonu.

Dziewczęta same niepojmując swego nadzwyczajnego wzruszenia, skłoniły głową; kapitanowa dziękując i za nich i za siebie, pójdźmy, rzekła, przejść się po tym pięknym ogródku, wieczór prześliczny.

A więc gdy na dole znowu się kompania złączyła, rozpoczęto spacer. Wrażenie toż samo wprawdzie jeszcze trwało w młodych głowach i sercach, ale zmianą miejsca i ruchem rozrywane, swobodniéjszém i przezroczystszém, że tak powiem stawało się; marzenia rozwiewały się powoli, i myśli błędne w słowa się wiązać poczynały....

Po ogrodzie rozpierzchnione ścieżki, w rozmaite wiły się strony: to spływały w jedną szeroką ulicę, jak strumienie do głównéj rzeki, to się znów rozchodziły skupiając się potém do altany, to się od niéj rozwijając między kląby krzewów i kwiatów. A towarzystwo tak się rozpierzchało po nich, rozdzielając się swobodnie, i kroki swe to za nowym kwiatem, to za nowym widokiem, to za głośniéjszém echem słowików obracając, że mimowolnym zapewne losem, który wszakże skłonnościom trudno tajonym ulegać zdawał się, i żądane nastręczał spotkania, tak nieraz zdarzyło się, iż pan Ignacy przeszedł obok Ludwiki przez altanę, że nieraz Edward spotkał się tam z Zofią...

Lecz wkrótce zarżał gniadosz na dziedzińcu.

— Słyszycie panie! rzekł kapitan, gniadosz mój daje hasło. Czas panów kochanych pożegnać.

Więc wszyscy znowu zebrali się do altany. Przybor kryształowy, i niedokończone butelki stały tam jeszcze.

— Ej kapitanie! zawołał pan Ignacy, a nasz poczciwy toast szlachecki *kochajmy się!* czyż go nie wypijem? *Strzemiennego* kapitanie!

— Wypijem, kochany gospodarzu, wypijem!

— Ach! czy jeszcze? odezwała się kapitanowa.

— Ani słowa, moja duszko! ani słowa, rzekł kapitan pokręcając wąsa. Pan Ignacy ma racyę, taki toast nie odmawia się nigdy.

Juljan tymczasem rzucił okiem na wazon mirtu, i poznał, że on oberwany z gałązek; uśmiechając się więc i tém śmielszy, rzekł: Panie nawet musicie choć dotknąć ustami naszych, a przynajmniéj kapitana lampeczki, bo odmawiając dowiodłybyście, że nas nie kochacie.

— Brawo Juljanie! wykrzyknęli koledzy, brawo propozycya!

— Ale wśród śmiechu wzbudzonego tą pretensyą tak w *klar* oświadczoną, kapitanowa mająca zawsze jakby gotowy koncepcik dla wygmatwania się z biedy: Zgoda! rzekła, zgoda; nie możemy odmówić panom dowodu naszych dobrych życzeń, i wdzięczności za tak miłą gościnność, spełniamy więc to zdrowie limonadą.

— Słodko to pani, ale wodnisto, odpowiedział Juljan; wszakże lepszy rydz niżeli nic; więc i za to dziękujemy. Mężczyzni trącili znowu w szklanki, i uściskając się wzajem, spełnili je.

Wkrótce koczyk z kwiatami, do którego Juljan wniósł swą narzeczonę, otoczony czterma kawalerzystami, potoczył się za bramę.

Noc majowa krótka. *„Już na górach świtał dzionek“ *)* gdy trzéj jezdzcy wolnym krokiem postępujący, wjeżdżali w długą brzozową ulicę, prowadzącą do dworu pana Ignacego. Łatwo zgadnąć, że to byli kawalerzyści powracający z eskorty.

— A cóż Ignacy? zapytał Juljan, przerywając długie milczenie, wazon mirtu oberwany z gałązek? coś to jakby po oświadczeniach i po przyrzeczeniach?.... Cóż?....

---

*) Zaleski.

— To jest.... tak.... niby.... odpowiedział jąkając się Ignacy.

— A ty Edwardzie? cóż?

— Cóś.... nakształt tego.... odpowiedział również na ten raz zająkliwy Edward.

EPILOG.

LAT TRZYDZIEŚCI PÓŹNIEJ.

Wprowadzając czytelnika do téj saméj altany po latach trzydziestu, wzywam go znowu, aby we własném życiu pamięcią o taki lat przeciąg się cofnął, jeżeli mu ich dosyć do takiéj rachuby, i tym sposobem podwójną z siebie samego utworzywszy postać, obu jak w źwierciedle czarodziéjskiém się przypatrzył... Uśmiechnie się zapewne i zasępi, lecz się i zaduma razem; bo ta różnica powierzchowna zwróci naturalnie myśl jego i na wewnątrz, a tam różnica nie jedném może objawi się westchnieniem.

Wezwanie to moje nie jest bez interesu. Przebiegłszy bowiem czytelnik wspomnienie swéj żywéj, bezładnéj, zalotnéj, często płochéj, a zawsze szczęśliwéj i wesołéj młodości, pobłażliwszym będzie na to, co wyżéj przeczytał. A jeżeli przebiegać będzie ciąg wypadków i przemian około niego zaszłych, przemian ducha towarzystw we wszelkich względach, we wszelkich odcieniach pojęć i nauk ludzkich, trafić może na rozwagi przedmiotu tak blizko z sercem i uczuciem naszém połączonego, a którego peryody przejścia, lekko tu rozwijam, i tym sposobem dopomoże mi do osiągnienia celu najważniejszego w piśmiennictwie: *połączenia się autora z czytelnikami.*

Około okrągłego stołu w altanie, siedzieli więc teraz znowu pan *Ignacy*, pan *Juljan* i pan *Edward.* Czas posrebrzył lekko włosy *piérwszego*, *drugiemu* przerzedził je na głowie, *trzeciemu* wyrył na czole i wyraził w oku nałóg głębszych zadumań i wewnę-

trznéj pracy ducha . . . a wszystkim trzem starł z oblicza ów jasny blask młodzieńczéj brawy, jak się ściera lsknąca powłoka kamiennych popiersi, z pod któréj blady objawia się marmur.

Ignacy i Edward siedzieli oparłszy głowy na dłoniach, wpatrując się i słuchając pilnie czytającego Juljana. Chwila uroczysta! Duch *Dantego* był pomiędzy niemi!

BOSKIÉJ KOMEDYI,

— rzekł tłómacz—

Pieśń Ostatnia.

„Dziewico matko, córko twego Syna,
Najpokorniejsza i najwyższa w Niebie,
Przedwiecznéj woli granico jedyna!
Ludzka natura w tobie i przez ciebie
Tak się podniosła, że z jéj uszlachceniem,
Nie wzgardził stać się jéj Stwórca stworzeniem.
W żywocie twoim, o Matko-dziewico!
Zatliłaś miłość, pod któréj gorącem,
Kwiat ten kielichem świécąc gęstolistym
Bujnie w pokoju rośnie wiekuistym.
Tu jesteś łaski południowém słońcém,
Na ziemi żywą nadziei krynicą.
Niewiasto! twoja tak wielka potęga,
Kto cię nie błaga, a po łaskę sięga,
Bezskrzydłą żądzą ten w górę się wznosi.
Dobroć twa wśpiera nietylko kto prosi,
Często przygiętych boleści ciężarem
Uprzedza prośbę dobrowolnym darem.
W tobie się łączy, miłosierdzia Pani,
Pobożność, miłość, dobroć, szczodrobliwość.
Oto ze świata najgłębszéj otchłani
On, który wchodząc na te niebios szczyty,
Widział koleją wszystkie duchów byty,
Błaga cię, wzmocnij łaską jego oko,
Aby widzeniem wzniósł się tak wysoko,
Gdzie ostateczna jest jego szczęśliwość.
Ja, com goręcéj takiéj wzroku siły
Nie życzył sobie, jak jemu tu w niebie,
Wszystkie modlitwy moje się do ciebie,
Błagając, oby daremne nie były!
Niech śmiertelności swéj skazy i błędy
Za twą przyczyną jako mgły rozproszy,
Aby mógł utkwić wzrok w arcy-rozkoszy.

Ty, która możesz co chcesz o Królowo!
W nim twą opieką zwalcz krewkie popędy,
Błagam cię jeszcze, po widzeniu takiém
Chciéj w nim zachować chęć i wolę zdrową.
Patrz, Beatryce z Błogosławionémi
Składają dłonie, i całym orszakiem
Modlą się łącząc swe prośby z mojemi.
W mówcę przez Boga ukochane oczy
Utkwione, dały nam znać jako posły,
Jak głos modlitwy dla niéj jest uroczy:
Potém na wieczne światło się podniosły.
Trndno uwierzyć, że twór w takie słońce
Zatapiał oczy tak przenikające!

Do kresu wszystkich mych życzeń z zapałem
Gdym się przybliżał, czułem niepomału
Jak stygł méj żądzy cały żar zapału.
Bernard *) z uśmiechem wskazywał mi giestem,
Ażebym w górę patrzał, i patrzałem
Czując, że takim jak być życzył, jestem.
Bo wzrok mój według ducha przemienienia
Był więcéj czystym, i wrażał spójrzenia
Coraz to głębiéj w Arcy-światło żywe,
Które jest jedno przez siebie prawdziwe.
Wzrok mój był odtąd wyższy nad moc słowa:
Słowo i pamięć zbytniém wysileniem
Mdleją, przed takiém korząc się widzeniem.
Jako widzący we śnie, po minionem
Marzeniu czucie swych wrażeń przechowa,
Choć rys obrazu tonie w tle zamgloném,
Takim ja jestem; bo moje widzenie
Wionęło z duszy jak senne marzenie;
A jeśli słodycz z niego urodzona
Czuję jak spada kroplami w to serce,
Tak śnieg od słońca topnieje niezwłócznie,
Tak się rozlecą, kiedy wiatr zadmucha
Na wiotkich liściach spisane wyrocznie **).
Śmiertelną myślą o niedościgniona!
Wieczna Światłości! skrześ z mojego ducha
Cząstkę płomienia na twe podobieństwo,
Zapal mój język, aby choć w iskierce
Przekazał przyszłym pokoleniom gwoli,
Chwałę płomiennéj twojéj aureoli.

---

*) Święty Bernard.
**) Sybilli wyrocznie.

Aby przez trochę wrażeń z mych uniesień,
Przez trochę dźwięków odbitych z mych piesień
Świat łatwiéj pojąć mógł twoje zwycięztwo!
Wierzę na ranę palącą jak płomień,
Jaką mym oczom zadał żywy promień,
Że mógłbym nagle olsnąć, gdyby były
Oczy się moje odeń odwróciły.
Pomnę jak wolą przezeń ośmieloną
Dopótym wzroku wytężał potęgę,
Aż go stopiłem z siłą nieskończoną.

Obfita łasko! o przez którą śmiałem
Tak oczy w wiecznéj zagłębić Światłości,
Że czułem jak w niéj wzrok mój przetrawiałem,
W jéj głębokościach treść rzeczy widziałem
Z miłością w jedną oprawionych księgę,
Porozrzucanych kartami po świecie.
Rzeczy, wypadki, ich różne własności,
W księdze téj łączy taka jedność zwięzła,
Jak w pączku kwiatu zieloność i kwiecie.
Nawet w powszechną formę tego węzła,
Najmocniéj wierzę, żem widział na oko,
Bo gdy to mówię, radość niepowszedna,
Czuję, jak pierś mi wypełnia szeroko.
W letarg mię większy wtrąca chwila jedna,
Niż świat dwódzieste i więcéj stólecie,
Odtąd na wielkie Neptuna zdziwienie
Po morzach Argów pławiły się cienie.
Duch mój tém światłem zachwycony żywém
Coraz się większym zapalał podziwem;
A téj Światłości skutek tak uroczy,
Że niepodobna od niéj zwrócić oczy,
I patrzeć w inną rzecz z uwagą nową,
Jeżeli dobro, jako przedmiot woli,
Z nią się bezwzględnie i całe zespoli:
Bo w niém jest tylko doskonałość, dzielność,
Za krańcem jego błąd i skazitelność.

Odtąd już słabszém stanie się me słowo,
Aby rozwinąć moich wspomnień zwoje,
Od głosu dziecka w piérwszym jego roku
Gdy jeszcze piersią wilży usta swoje.
Nie żeby wieczne to światło w mém oku
Łamało promień z potężniejszą siłą,
Które jest zawsze też same jak było;
Cała przyczyna leży w moim wzroku,

Który, gdym patrzał, wzmacniał się tajemnie,
Gdy się zmieniłem, sam się skaził we mnie.
Widziałem w kształcie troistych obręczy
W głębi najwyższéj Światłości trzy kręgi,
Troistéj barwy, jednego rozmiaru,
Odblask dwóch piérwszych był równéj potęgi,
Jak gdy się tęcza odbija od tęczy,
Trzeci wiał z obu jakby ogniem żaru.
Myśl chcąc wyrazić czuję chrypkę w głosie,
Od moich widzeń skrzydło myśli śmiałe
Odległe więcéj jak o niebo całe,
A słowa moje tak karle i małe!
Światłości wieczna, co w sobie zamknięta
Jedna pojmujesz siebie i pojęta
Kochasz się w sobie, uśmiechasz się do się,
Krąg, który zda się poczętym był w Tobie,
Jak promień światła w źrenicy złamany,
Gdy po nim oczy moje przebiegały,
Zdało się, patrząc, pośrodku miał w sobie
Nasz obraz własną barwą malowany;
Dla tego wzrok mój w nim utonął cały.
Jak jeometra co niespaniem blady
Ślęczy nad kołem do zawrotu głowy,
I nie znajduje szukanéj zasady,
Stałem się takim na ten widok nowy!
I chciałem widzieć, jak ten obraz społem
Przystał do koła i złączył się z kołem,

Lecz tam nie mógłbym wzlecieć skrzydłem własném,
Gdyby nie duch mój rażon światłem jasném,
W którém już jego żądzy nic nie drażni.
Tu mdleje siła mojéj wyobraźni;
Lecz chęć i wola, jako potoczone
Koła zarazem w koléj swojéj jazdy,
Przez miłość w inną zwróciły się stronę,
Miłość co wprawia w ruch słońce i gwiazdy.

Koniec.

Juljan złożył rękopis, i otarł czoło.

— *Exegisti monumentum!* Juljanie, który imie twe w literaturze ojczystéj nieśmiertelném uczyni, rzekł Edward, i razem z Ignacym czule go uścisnęli.

Oto praca moja ostatnia, mówił Juljan, kładąc uroczyście i z niejakiém wzruszeniem rękę na rękopisie. Zacząłem od tłómaczenia liryków *Horacyusza,* kończę na tłumaczeniu *Danta;* zawód

to trzydziesto-letni! od rzymskiego arcy-klassyka, do średniowiecznego arcy-mistrza „który jest rzeczywiście symbolem *) przymierza między klassycyzmem i romantyzmem. Cały zarys téj jego wielkiéj kreacyi *Boskiéj Komedyi* ma porządek architektoniczny najklassyczniejszego stylu; linie, że tak powiem, geometryczne; a jednak cykl tego poematu, obejmujący przejście upadłego w grzech człowieczeństwa, przez życie doczesne w życie wieczne, poza-światowe, z wynagrodzeniem wedle zasługi ziemskiéj, wiecznêm potępieniem, doczesną czyscową pokutą, i tryumfem w niebiosach dusz zjednoczonych z Bogiem, rozpostrzenił olbrzymie ramy swoje w nieskończoność, zostawując za sobą wszystkich najśmielszych romantyków. Wszystko co jest pięknego w klassycyzmie starożytnym, i w romantyzmie nowożytnym, *Dante* piérwszy zlał i zjednoczył w jedną tęczową barwę; a ideje wieczne *piękna, dobra* i *prawdy*, jak trójkran, jak *tyara* wieńczą jego poezyę.

„Ot wiecie co?“ mówił ón daléj z niejaką rzewną smętnością: „zdrowie moje od niejakiego czasu, nie zupełnie dobre; wszystko na świecie przemija: a chciałbym za życia mego jeszcze wydrukować ten przekład, i zostawić po sobie tę pamiątkę ziomkom.“

Ledwo to wymówił, nagły i niespodziany, bo powietrze spokojnêm było, silny jakiś prąd wiatru przecisnął się przez drzewa, zaszumiał w gałęziach, zafurczał po stole w papierach, a karty rękopisu Juljana zwichrzył i przewracał gwałtownie.“

Wszyscy trzéj jakby tym wichrem razem z miejsc ruszeni, porwali się raptem, i z zadziwieniem spójrzeli po sobie.

— Co to jest?—wszyscy razem zapytali, i milczeli....

— Altana twoja, panie Ignacy, cudowna, rzekł nakoniec ze smutnym uśmiechem Juljan:—duch proroczy w niéj się niekiedy objawia. Odezwał się on tu niegdyś w głosie słowika, w chwili gdy przypomnicie sobie, Józia natenczas kilkoletnie dziecko, dziś moja żona, gałązkę mirtu mi dała; tyś Edwardzie piosnkę tę jego natenczas nazwał hymnem dla mnie weselnym, i mnie to przemknęło po myśli, bo pamiętam wszystkie me z tamtéj chwili wrażenia, że pieśń ta jego, jest wróżbą mojego szczęścia, które się po latach kilkunastu i ziściło. Teraz duch ten przeleciał uraganem po mym rękopisie... po mych nadziejach.... a uragan niszczy!... patrzajcie, znowu cicho i spokojnie... słowa moje wywołały go.

---

*) Słowa własne Korsaka.

Ludzie skupiający życie w duchu, wznoszący się nieustannie wyobraźnią i myślą w świat tajemniczy, z upartą żądzą odgadnienia jego cudów, wrażliwsi są zwykle na wszelką nadzwyczajność, bo ją wnet odnoszą w tę krainę, w któréj tak często goszczą i marzą, i we wpływ któréj na losy ludzkie dowierzać zwykli; a tak się najczęściéj składa, że traf czy nie traf zadając trudny orzech do zgryzienia rozumowi, pozór i prawdę na ich stronie objawia. Takimi mniéj więcéj byli wszyscy trzéj przyjaciele. Więc ani Edward, ani Ignacy, zdumieni równie jak Juljan, nie mogli w téj chwili zdobyć się na potoczne nawet słowa, któreby to przesądne uczucie jeżeli nie zniweczyły, to zagadały przynajmniéj. Milczeli więc, aż nakoniec sam Juljan składając swój rozwiany rękopis, do którego dotąd dotknąć się nie śmiał, z weselszą twarzą odezwał się:

— A czy pamiętacie nasz sławny tu podwieczórek dla dziewic, które są dziś naszemi żonami, a na którym moja Józia została mą narzeczoną? Czy pamiętacie jakeśmy wystąpili ślicznie, a poetycznie? A twój Helikon, panie Ignacy, dla czegoś dał mu upaść? szkoda! była to najpiękniejsza ozdóbka twego ogrodu! Czy pamiętacie jak tu wszystko było natenczas kwiecisto, wonno, różowo? Zaloty nawet wasze były różowe, piękne, udatne, wytworne i tchnące poezyą, dwornym wdziękiem czasów i szkoły, że tak powiem, Ludwika XIV-go.

— Dziś zaloty takie byłyby może śmiesznemi w oczach teraźniejszéj młodzieży, przerwał Ignacy, bo jéj sentymenta miłośne tchną raczéj wonią cygarów.

— Powiedz przynajmniéj wonią papierosów, które i dziewicze ustka smoktać już nawykają, rzekł Juljan.

— A jakżebyśmy mieli zapomnieć tego wszystkiego, odezwał się Edward, gdy od tego podwieczórku, datuje najwyraźniejszy akt naszego życia, to jest ożenienie, nawet i twoje Juljanie, bo i dla ciebie, jak to sam dobrze pamiętasz, i jak gdzieś dobrze powiedział Ignacy w swoich obrazach *), mignął wtenczas błysk wieszczy przewracającéj się karty w księdze przeznaczeń naszych.

— A więc i teraz uragan przewrócił kartę w téj mojéj księdze, rzekł Juljan.

---

*) Śmierć mojego dziadka.

— E dajże pokój! przerwał Edward, poprzewracał tylko karty w twym rękopisie i nic więcéj. Posiedźmy tu dłużéj, to pewny jestem, że kilku takich Eolów dmuchnie nam w oczy; dzień gorący, burza się zapewna zbierze, a to są zwykłe jéj kurjery, które naprzód wysyła.

— A jeżeli brać to za wróżbę, dodał Ignacy, toć bliżéj za wróżbę sławy, która twą pracę i imie rozniesie po świecie.

Juljan kiwał głową i milczał, a Edward i Ignacy czuli, że ani jemu, ani sobie, w smutném têm nawianém wrażeniu nie ulżyli swoją perswazyą.

— A czy pamiętacie, ozwał się znowu Edward, naszą natenczas literacką dysputę *o klassycyzmie* i *romantyczności* w poezyi? wszakże to trzydzieści lat upłynęło odtąd; i rzecz dziwna, nigdy nam się nie złożyło być tak razem we trzech w téj altanie, jako wtenczas i dzisiaj. Możemy sobie wyobrazić, że nasze literackie towarzystwo, co lat trzydzieści miewa swoje posiedzenie. Protokół piérwszego mamy w pamięci, i tak naprzykład:

„Towarzystwo zebrane w pełnéj liczbie swych członków, (niekoniecznież kłaść wyraźnie wiele tych członków było) otworzywszy swoje posiedzenie na *Helikonie*, przeniosło się do lokalu na wzór szkoły Platońskiéj, w ogrodzie w lipowéj starożytnéj altanie obranego, i tam zajęło się ścisłym rozbiorem toczącéj się powszechnie kwestyi w literaturze i poezyi, między szkołą dotąd zasadniczą *klassyczną* i nowo powstałą *romantyczną;* a po zgłębieniu i rozpatrzeniu *pro et contra* wziętéj pod rozwagę materyi, uznawszy że to jest *materia gravis*, skonkludowano większością głosów, (bo pamiętasz panie Ignacy żeś uparcie trwał przy swojém) zostawić czasowi.. . .

— A to pięknie! przerwał Ignacy,—zwykła decyzya niedołężnych.

— No, no, czekaj, mówił Edward, zostawić czasowi rozwinienie się na drodze nowych wyobrażeń sił, nie tamowanych przymusem dawnych klassycznych instytucyj, i oznaczając dzisiejszy perjod, jako rozpoczynający nową erę w literaturze i poezyi, ostateczne rozwiązanie jéj wpływu na powszechność w ogólności, a w szczególności na autorów, i na samychże szanownych członków towarzystwa, odłożyć do drugiego posiedzenia.“

Wszyscy trzéj się uśmieli.

„Po czém, mówił znowu Edward, zaproszona publiczność obojéj płci, uprzejmie przyjętą i traktowaną była, a nakoniec spełniano toasty stosowne do okoliczności. Ot i macie według wszelkiéj rutyny i formy protokół.

— I wyśmienity! żaden uczony sekretarz czczéj treści mądrych konferencyj, w zwięźlejszy kommunał nie zebrał, rzekł pan Ignacy— znać redaktora Gazety, i dla tego mianujemy cię dożywotnim sekretarzem naszego towarzystwa. Wiesz, że w sławnéj akademii francuzkiéj, *sekretarz* dożywotni oznacza *prezydenta;* i tu więc tęż samą prerogatywę rozciągamy, zwłaszcza z uwagi, że i w wielu instytucyach dzisiejszych, prerogatywa ta *de facto* istnieje.

— Zgoda! rzekł Juljan.

— Przyjmuję urząd, i dziękuję szanownym kolegom za wysokie zaufanie, którém mię zaszczycać raczą, rzekł Edward z udaną powagą i kłaniając się urzędowie; a nim we wstępnéj perorze, jak to zwyczajnie bywa, wypłacę się im pochwałami ich nieporównanych zasług i talentów, tymczasem wstępując w nowy obowiązek, rozpoczynam *protokół* drugiego posiedzenia:

„Otwartém ono zostało w tejże saméj altanie uroczystém odczytaniem tłómaczenia ostatniéj pieśni nieśmiertelnego poematu Danta *Boskiéj komedyi*, przez samegoż tłómacza. Przyznany mu dank prawdziwy, za tak piękną i wielką pracę, ku pożytkowi literatury ojczystéj i ku sławie własnéj podjętą i szczęśliwie dokonaną.

„Następnie wezwany został (i wzywa się) szanowny członek towarzystwa pan Ignacy, do odczytania wyjątku z piszącéj się przezeń powieści, a to celem zebrania rozwagi nad duchem dzisiejszego powieścio-pisarstwa. No, słuchamy.

— A jużciż szanowny sekretarzu, z jednego małego wyjątku nie zdołamy sformować wniosków o całém powieścio-pisarstwie naszém, rzekł pan Ignacy.

— No, wszelakoż ma racyę Edward, ozwał się Juljan; supponuje się bowiem że je znamy w ogólności, a tylko wprowadzić nas możesz na trop główny.

— Dobrze zresztą, gdy tak chcecie, mówił Ignacy biorąc rękopis.—Tytuł mającéj być powieści: *Jesień w klasztorze;* przeczytam wam rozdział jeden, i zaczął:

PRZYJAZD DO KLASZTORU.

Godło rozdziału:

Słyszycie? jako głosząc cześć Panu nad Pany
Ozwały się poważne i święte organy!
O jak brzmią pełne tony w tryumfalnéj pysze!
Jak się gwar przerywany ze drżeniem kołysze...
Jak słodkie i miękkie głosy,
Ucho nasze łechcą mile;
Jak rosną, rosną w swéj sile,
I w same biją niebiosy!

Pope. *Oda do Muzyki na cześć Św. Cecylii.*

„Wrzesień nazywamy jesienią, lecz miesiąc ten stalszą i czerstwą pogodą przyjemniejszym u nas bywa, niżeli spiekłe upałem, i owadami osypujące lato. W zwyczajnych porównaniach por roku do por życia ludzkiego, jesień wypadła na wiek dojrzały, męzki, i słusznie: używać w niéj bowiem zaczynamy owoców z zasiewów wiosennych i ze zbiorów letnich, przygotowywając z nich razem i zapasy na zimę. Słowa te tak do prac rocznych żywiących ciało człowieka, jako i do prac duchowych, żywiących umysł jego, równie zastosować się mogące i zastosowywane niejednokrotnie, usprawiedliwiają to nader upowszechnione porównanie. Szczęście! gdy jesień roku i jesień życia są pogodne i czyste.... gdy jedna w głąb zimy, druga w głąb starości przedłuża się, i wchodzi. Cieszy się własną *rolnik*, cieszy się własną *mędrzec*, a oba dziękują w duchu, sobie za wytrwanie w pracach i znojach letnich, Bogu za ich pobłogosławienie!

„W początkach takiéj pięknéj jesieni, stosuję tu do pory roku, w niedzielę i ku schyłkowi dnia zbliżałem się do *Zaświrza* *).

— Znacież Zaświrz? zapytał przerywając czytanie Ignacy.

— Znamy, odpowiedzieli, i jego piękną nad jeziorem Świrskiém pozycyę.

— A więc: „W niedzielę i ku schyłkowi dnia, zbliżałem się ja do Zaświrza. Już był przeminął lud wracający z nabożeństwa; kiedyniekiedy tylko pojedyńczy opóźniony chłopek, wlokąc się pieszo, lub skrzypiąc na kałamaszce, spotykał mię chrześcijańskiém pozdrowieniem. Lecz wkrótce z zapadającym zmrokiem, droga się

---

*) Zaświrz. Wieś i klasztor XX. Karmelitów, w powiecie Święciańskim.

osamotniła zupełnie, i ja wlokłem się także powoli po-nad jeziorem, zmęczonemi długą podróżą końmi.

Nakoniec księżyc w pełni wzniósł się nad wodą, i przywiódł mi na pamięć złudzenie w podobnéj okolicy poety:

„Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.“

Nareszcie rozlegające się po suchém i pogodném powietrzu echa dzwonów kościelnych, uroczystym mię swym spotykały dźwiękiem; zdaleka zaś zajaśniały okna kościelne gorejącemi w świątyni ogniami, ćmione to mniéj to więcéj gałęziami drzew ją otaczających, w miarę odmiany mego względem nich położenia na drodze. Natenczas okolica ta niewymówny przybrała urok! niewymówny! nieopisany! unoszący duszę ku niebu w modlitwie, lub w myślach z niéj wypływających, i znowu wracających ku niéj. . .

Dzwony, których odgłos mię przejął, na zwykłe niedzielne wzywały nieszpory, a oświetlenie kościoła dawało mi znać o trwaniu nabożeństwa. Lecz gdym się zbliżał na miejsce, okna kościelne świecić przestały, a zatém nieszpory już się skończyły. Że jednak przed bramą kościelną stał jakiś pojazd, a w kościele brzmiały organy, przeto można jeszcze było odmówić przed ołtarzem wieczorną litanię. Wszedłem więc do kościoła.

Jedna tam lampa gorejąca na środku, słabym ognikiem migała w około, a przez długie okna świątyni promienie księżyca wpływając wewnątrz, rzucały po ścianach i ołtarzach pasma światła powszechnym objętego pociemkiem. Jeden z nich padł na obraz fundatora w całéj postaci wiszący na filarze, i oświecił poważne oblicze rycerskiego męża, jakby strzegącego gmachu przez się na chwałę Bożą wzniesionego.

Organ brzmiał bez przerwy, ale tak umiejętna i pełna uczucia ręka grała na nim, że mimowolnie zwróciłem głowę ku chorowi, aby ujrzeć grającego. Księżyc mu także przyświécał, i w niepewnym jego a oddalonym ode mnie blasku, zaledwo dostrzedz i rozróżnić mogłem dwie tam osoby: jedną grającą na organie, drugą obok, zdawała się być kobietą, a raczéj jakimś cieniem fantastycznym, w białéj i powiewnéj szacie, powietrzém przez szpary i okna wciskającym się kołysanym.

Mistrz to był, a nie prosty organista, który taką harmonię tworzył w duszy swojej, i oną po głuchym i samotnym gmachu

rozlewał. Łatwo mi było poznać, że improwizował swoją muzykę, że *modlitwa* głęboka, serdeczna, czuła, była tematem myśli jego waryowanych rzewnemi i pięknemi tony. Niekiedy prosta nótka pobożnych naszych kościelnych pieśni podpadła mu pod rękę, jakoby *motivum* tonące wnet w rozmaitych pełnych wdzięku i słodyczy głosach... niekiedy szczytniejsza myśl wielkich mistrzów sztuki, ozwała się w rozpierzchnionych akordach, i nikła potém w główněj idei grającego.

Oparty o ławkę, stałem z upokorzoném czołem, duszą jednocząc się z jego harmonią wznoszącą się coraz i coraz szczytniéj w niebiosa... Nagle, jakby on tam doścignął, jakby ujrzał twarz w twarz Wszechmogącego!... i niewymówną światłością oblicza Jego, i niewymówną wielmożnością chwały Jego przejęty... wszystkiemi tonami i wszystkiemi uczuciami serca swojego, uderza w organ! a całą siłą męzkiego głosu swych piersi wtórzy mu, łączy się doń zgodnie głos dziewiczy, miły, dźwięczny, jakby jednego z aniołów do wspólnego choru zjednanych... i zabrzmiała pieśń! pieśń *wezwania* całéj ziemi, całego *świata*, całego *nieba*, całéj *natury*, do oddania czci i hołdu Stworzycielowi!!!

„Niebo, ziemia, świat i morze!
Niebo, ziemia, świat i morze!
I co tylko w was być może,
Jak najgłębiéj upadajcie,
Pokłon Panu z nami dajcie!
Z chór niebieskich Aniołowie!
Z chór niebieskich Aniołowie!
Wszyscy niebiescy Duchowie!
Zstąpcie do tego padołu,
Śpiewajcie z nami pospołu!
Święty! Święty! niezmierzony i t. d.

Upadłem na kolana ... łzy mi z oczu popłynęły potokiem. Pieśń ta święta, tak dobrze od dzieciństwa i mnie i wszystkim znana, coniedzielna, a tak mało rozważana, w któréj nócie nawet taka się prostota i uroczystość łączy, piérwszy mię raz teraz tak głęboko uderzyła w serce.

O! czemuż natenczas nie był obok mnie niedowiarek jaki, ogmatwany fałszywą mądrością wypierającą się Boga i religii ojców swoich! lub w gnuśnéj wątpliwości zastygły tak zowiący się filozof, lub młodzieniec stojący na rozdrożu światowego zepsucia. Czyżby każdy

z nich nie upadł tak jak ja na kolana? i czyby zdołał dotrwać w zimnéj obojętności przed potęgą takiego wrażenia?

Pieśń cała z równém i jednostajném uczuciem prześpiewana, a przesłuchana przezemnie, zakończyła się pokorną i czułą prośbą do Boga:

Sprawuj pokój w naszych krajach!
Sprawuj pokój w naszych krajach!
Pobłogosław w urodzajach,
A zaś w ostatniéj potrzebie,
Nie daj nam skonać bez Ciebie!

Organ i głosy umilkły... głucha cichość objęła kościół.

Ciekawy byłem ktoby był, co mi tak miły wstęp do téj gościny sprawił? kto była wtórująca mu anielskim głosem dziewica? bo w takie czyste i niepokalane formy ubierała ją wyobraźnia moja; lecz nim wyszedłem z kościoła, uprzedzili mię oni, i ujrzałem tylko odjeżdżający pojazd, w którym zapewne była *ona:* a mężczyznę wchodzącego do klasztoru.

— A widzisz, rzekł Juljan, kładąc niedopalone cygaro, a widzisz, że z tego jednego twego rozdziałku, myśl jednak objawia się wyraźna, że nie są to jak w dawniéjszych powieściach rozrzucone morałki, wciskane między foliały mierności. Dziś każdy prawdziwy talent, w prozie, czy w poezyi, swobodnym a rozmaitym szlakiem wznosi się do jednego celu, do źródła *prawdy* i *miłości* powszechnéj, to jest, do Boga i ztamtąd przyjmuje natchnienia.

Edward wstał na te słowa, i mówił z przejęciem się: „Posłuchajcie słów mistrza.“

Rozum i Wiara.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem;
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
Gdy cała ludzkość zlęknie się potopu,
Spójrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Panie! mą pychę duch pokory wzniecił,
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask, jest słabe twych ogniów odbicie!

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary,
Z różnych jéj mniemań i barwą i szumem,
Wielkie i mętne gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne, przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście mali, obejrzeć krąg świata.

Konieczność, rzekli, wedle ślepéj woli
Panuje światu, jako księżyc morzu.
A drudzy rzekli: przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu.

Jest Pan, co objął Oceanu fale,
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemskiego pogrzebu,
Ruchomy wiecznie, ruchem swym niewładnie;
Im wyżéj buchnął, têm głębiéj upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła który słońce rzuci,
Na szumnéj morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, zkąd wyszedł powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącéj dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie Oceanem,
I chce ku niebu na twéj wzlecić toni.

Zdajesz się tykać brzegu widnokręga,
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga,
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz, i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem, tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy,
I twe pogodne źwierciadła oświeca,
Ach! ty bez wiary, byłbyś niewidomy.

Oto jest podoby drugi ustęp, rzekł Ignacy, i deklamował z równémże czuciem:

„Panie! głos twój woła,
I rozumiem twe skinienie.
Mam odkupić dar mnie dany,
Twój najdroższy dar, natchnienie!
Pychą moją pokalany,
Poniżony do narzędzia
Chluby swéj

Nieprawdaż że w onczas kiedyś dla chluby tylko własnéj pisaliśmy?

I nim jak sędzia
Liczbę każesz dać z użycia
Stróń i pieśni, jak z sił życia,
Czuję Panie, żeś dał porę
Grzech naprawić przez pokorę,
Dar twój we mnie zmienić Panie!

W mą zasługę, przez uznanie
W nim twéj łaski, przez uczczenie,
Przez, choć późne, poswięcenie.
Ku czci twojéj Panie! Panie!
Jako każesz niech się stanie.

Błogosławiony, czyj duch w natchnieniu
Tak może lecieć, tak leci w zwyż,
Że świat znikomy znika w spójrzeniu,
Że widzi tylko w jasném widzeniu
Życie w wieczności, Stwórcę w stworzeniu.

Dwa ich ogniwa, w wieczném zetknieniu,
Duch na niebiosach, na ziemi krzyż!

O i na ziemi błogosławiony!
Kto z wzniesionemi w niebo ramiony,

Łzą skruchy tylko zabłyśnie!
Z duszy i z ciała jest on już razem,
Ducha naczyniem, krzyża obrazem,
I Chrystus na nim zawiśnie.
I jak z ołtarza z nad serca jego
Ofiarę z siebie wzniesie za niego,
I krwią go swoją obmyje;
I zstąpi za nim w śmierci otchłanie,
Aż człowiek z Bogiem z martwych powstanie
I przez krzyż w duchu ożyje.

— Dziękuję za cytacyę, rzekł Edward, pisałem com czuł i czuję.

— I nie ty jeden, albo tam nas kilku piszemy podług swych uczuć i serca, mówił daléj Juljan. Ktokolwiek dziś bierze pióro w rękę, na publiczne ogłaszanie myśli swych, inaczéj pisać nie może, ani powinien. Od czasu, gdyśmy tu naszą dysputę mieli, to jest od czasu, gdy spór między *romantyzmem* i *klassycyzmem* się ważył, i gdy w przesileniu duch wyzwalając się od krępujących go więzów, wejrzał w krainę światła i prawdy, a w niéj nowe ideały piękności odkrywając, starł razem, jak Archanioł szatanowi, głowę niedowiarstwu, którém i proza i poezya napełnione były, jakże wielkie, ważne i szerokie postępy stały się w wyobrażeniach naszych i w tém wszystkiém co na moralne udoskonalenie nasze wpływać może...

— A czy wpływa? przerwał Ignacy.

— Wpływa i wpłynęło, kończył Juljan. Tomy całe napełnićby można dowodami tego oczywistego wpływu. Lecz zwróćmy się szczególniéj na tych, których powołaniem jest nauka i rozpowszechnienie jéj słowem natchnioném, czy to wiązaném w miłe poezyi formy, czy w malowniczéj prozie objawiona, to jest na poetów i powieścio-pisarzy, rozmaitemi treściami zajmujących dziś powszechność wszelkich cywilizowanych narodów i naszą, a zatém wydających najwięcéj owoców, któremi się karmi w danym czasie myśl ludzka. Cóż ich piórem? co ich uczuciem kieruje? co ich zapala? unosi? co nakoniec jest najgłówniejszą dzieł ich i utworów osnową?

Gdybyś do każdego z nich zwrócił twoje pytanie, które tak dobrze pamiętam: „*unde venis? quo tendis?*“ odpowiedziałby ci każdy: przychodzę z talentem natchnionym mi łaską Bożą, a idę z miłością w sercu, ogłaszać i nauczać ludzi téj miłości wzajemnéj między sobą, a wszystkich ku Bogu“ Jak się im udaje spełnić ten cel piękny? to kwestya talentu lub obranéj drogi; lecz ta główna idea, to wewnętrzne przekonanie o swém przeznaczeniu, o swém powołaniu, a co nawet wyższém nazwaniem ochrzczono, o swém posłannictwie, udostojnia w oczach ich własnych, i sumieniu ich autorskiemu, (o którém mówiąc *intra parentesim* Kraszewski, wyborny artykuł w swych *Studyach* napisał), nie dozwala się kalać cudzém zepsuciem, lub płocho rozrzucać skarby z góry im dane.

— Dodaj do tego, rzekł Edward, że aby ta idea poświęcenia w umysłach niedojrzałych nie przerodziła się w pychę i zarozumiałość, i jak szatanów z nieba, do piekieł ich nie strąciła, czuwa religia, która dziś, niech będzie cześć Panu! przenika w rdzeń życia i napawa serce ludzkie *miłością*, *wiarą*, i *pokorą*, z którą i najpotężniejsze talenta uginają przed nią swe czoła, głosząc te główne jéj przymioty przed ludem. Przychodzi mi na myśl w takim duchu, jeszcze kilka wierszy moich własnych:

... „O szczęście moje, żem wcześniéj
Pojął cel wyższy i wieszcza i pieśni,
By czuć, że kto go osiągnie, wypłaci
Wszystko co winien, dla ojca i braci.
Bo nie osiągnie aż wprzód sam usłucha,
Aż znajdzie w sobie głos prawdy i ducha.
Wtenczas tym głosem gdy powie do ludzi,
Ileż dusz ze snu na światło obudzi?
Cóż ty innego chcesz po ludziach Boże!
Cóż człowiek nad to bliźnim zrobić może?

— Ot do czego doszliśmy, mówił daléj Edward, gdyśmy sami przez siebie myśleć i pracować zaczęli; a czego dowody na każdéj prawie szlachetniéjszéj karcie piśmiennictwa naszego znajdziesz. U nas nawet więcéj może niż gdzie indziéj, bo my w niewygasłém jeszcze zarzewiu pobożności i wiary praojców naszych zapalamy pochodnie, któremi teraźniejszym i przyszłym pokoleniom przyświecać mamy.

Tak bogate zasoby prawdy i piękna, któreśmy w sobie samych i w swojéj przeszłości, jakby szybę złota rodzimego w swéj ziemi

odkryli, bronią nas teraz od cudzych pożyczek, to jest, od tego nieszczęśliwego naśladownictwa, które nas tak długo w niewolnictwie trzymało. Niedawno nawet jeszcze, gdy i u nas, jak w całéj Europie, w skargach bez przyczyny i w jękach bez bolu rozlegał się *Bayronizm*, rozpacz ta zarażając młodych, nie przeniknęła jednak w głąb serc i umysłów dojrzałych, napełnionych ufnością bez granic w Bogu, i rzewnemi doń w cierpieniach modły; a cień jéj mały, który aż w duszę przesiąknął, zostawił tam tylko urok niejakiéj smętności, która się niekiedy w poezyi objawia, a tak łatwo z modlitwą zlewa się i jednoczy. Utwory zaś, a raczéj potwory bluźnierczéj i szalonéj, niedawnéj francuzkiéj szkoły, mimo powabu języka i niezaprzeczonego talentu zmyślenia, odepchnęliśmy jak zarazę morową.

Więc kochany panie, epoka teraźniejsza pismiennictwa naszego, jest czysta, prawdziwa, własna i duchowa, a co najważniejsza, chrześcijańska!!! Odznacza się tak wybitnemi cechy, tak wyrazistém obliczem, że ją najodleglejsza potomność rozróżni łatwo i oceni; uzacni ona wiek nasz i imiona pracowników, których natchnęła, i przez których jak promieniami od słońca rozstrzelanemi swe rozlewa nauki... A wnosić można, że daleko w przyszłość panowanie jéj! bo to jest wcielenie się ducha, nietylko w naszą rodzinność, ale w ludzkość całą, a zatém i podzielać będzie losy ludzkości, które Bóg ma w swéj pieczy!

...„ I oby, jak za dawnych wieków,
Ród nasz, w obronie krzyża przed dziczą pogańską,
Uchrześcijanił cnoty Rzymianów i Greków;
Tak dziś w dziedzinie myśli wsparty łaską Pańską,
Duch nasz, przejrzawszy ze mgły Germańskich zacieków
Z miłości, począł w Prawdzie sztukę chrześcijańską,
Coby myśli rozpierzchłe po marzeń przestworze,
Sprzęgła w jedno, ku pracy na królestwo Boże!

— *Amen!* odpowiedzieli z uczuciem oba słuchacze.

— *Amen!* po krótkiéj chwili uroczystego milczenia odezwał się P. Ignacy. Dawno już jestem renegatem ciasnych form klassycyzmu, i razem nauk XVIII-go wieku; zgadzam się więc na oczewiste dowody wpływu nowego światła na piszących. Ale niestety, trudniéj uwierzyć we wpływ piszących, to jest, dzieł ich na czytelników; i do tego właśnie stosowało się zapytanie moje, które spowodowało waszą rozprawę.

— Trudno wierzyć, odpowiedział Juljan, gdy szczegółowo po jednemu, ludzi z ich postępków badać i obliczać zechcesz: ale gdy wyrozumiałym sądem zajmiesz w rozwagę całe massy towarzystwa, przekonanie to nie może dziś być wątpliwém; a dowody wpływu tego tak widoczne, tak nieraz już wypowiadane, że przeszły w kommunały, których ci powtarzać nie chcę.. Zresztą, jest to interes partykularny w obec wielkiéj sprawy całéj ludzkości; niech tylko płomień ten święty gore bezustannie w sercach i słowach nauczycieli, a przejść musi i do uczniów. Kwestya to czasu tylko. *Diderot* powiedział, że „jedna myśl fałszywa może zburzyć świat cały“ *). Filozofy, autory i poeci XVIII-go wieku dowiedli tego, i nauczyli świat *niedowiarstwa* i wątpliwości. Filozofy, autory i poeci XIX-go wieku, dowiodą, ze jedna myśl prawdziwa i wielka, może świat cały naprawić, i niszcząc fatalne dzieło piérwszych, nauczą ludzi *wierzyć* i *kochać*. Miarą widomą postępu ich usiłowań będzie zawsze szacunek powszechny dzieł ich i ich samych: no toć i u nas prawdziwe talenta pracujące na téj drodze, nie mogą się uskarżać na brak téj najdroższéj im nagrody.

— Jeszczeż wam jedno dam pytanie, rzekł P. Ignacy, wynikające, jeżeli dobrze przypominam, z treści piérwszego posiedzenia naszego, bośmy natenczas własnéj literackiéj przyszłości wywróżyć sobie nie mogli. A zatém, my sami w tym wielkim rozwoju literatury naszéj, jakież zajęliśmy, i na jakie zasłużyliśmy stanowisko?

Zdumieni tą kwestyą *Juljan* i *Edward* z uśmiechem spójrzeli na pytającego.

— No *Edwardzie*, rzekł ten znowu, stosownie do dystychu *Brodzińskiego*.

> Nie zważaj że cię zarzut samolubstwa czeka:
> Mów o sobie, gdy w sobie zbadałeś człowieka ...

Autor *Felicyty* i *Barbary*, tłómacz *Dantego* i autor *Obrazów Litewskich*, czekają wyroku . . .

— Nie, mój Ignacy, po krótkiém milczeniu odezwał się z godnością Juljan, sąd o nas do ziomków należy!!! My tymczasem *służmy poczciwéj sławie!*“ a sumienia tylko własnego o świadectwo pytajmy.

---

*) O ileż ich sam napisał!

— Szanowny sekretarzu, rzekł zatém z udaną powagą Ignacy, zapisz to jednomyślne *conclusum* w protokule dzisiejszego naszego posiedzenia.

— Dobrze, odpowiedział Edward, ale kiedyż i gdzie posiedzenie trzecie? czy znowu za lat trzydzieści!

— Lat trzydzieści! lat trzydzieści! powtórzyli wszyscy smętnie kiwając głowami. Lipy te chyba terminu się tego doczekają, mówił pan Ignacy, i po krótkiem milczeniu, wznosząc wzrok i rękę w górę, rzekł:

Tam trzecie posiedzenie, gdzie wszystkim pójść trzeba,
I gdzie Bóg ściśle pyta mędrców tego świata:
Jak użyli talentów danych im od nieba?
I gdzie najsprawiedliwsze, i sąd i zapłata!

K O N I E C.

1856 roku Lutego 26.
w Dziewiętniach.

PRÓBY NOWEGO DYKCYONARZA.

WYDAJE

PAN WIRSZAJTOS,

niegdyś Szubrawiec Rustykanin.

Umieszczone w tym zbiorku artykuły, są po większéj części pisane wkrótce po ustaniu słynnego niegdyś w Wilnie *Towarzystwa Szubrawców*, które przez lat kilka wydawało pismo pełne humoru i dowcipu na owe czasy, pod tytułem: WIADOMOŚCI BRUKOWE. Autorem tych próbek jest P. **Wirszajtos**, członek owego prześwietnego grona, znany późniéj zaszczytnie jako Autor O b r a z ó w L i t e w s k i c h, **Ignacy Chodźko.**

Jakkolwiek praca ta ulotnego pióra, nie dorównywa ani poglądem, ani donośnością talentu utworom późniejszym tego autora, tylko co wspomnianym pod tytułem: **Obrazów Litewskich**, wszelako sądziliśmy, że publiczność nie bez interesu przyjmie i przeczytać zechce, zamieszczone w téj broszurze ustępy swego ulubionego autora.

Mamy wszakże sobie za obowiązek, objawić czytelnikom, że ostatni artykuł, pod tytułem: *Postęp*, znacznie późniéj napisanym został.

(Uwaga Wydawcy).

PRÓBY NOWEGO DYKCYONARZA *).

Magnificis Redaktoribus Gazetarum Varsoviensium, Dominus Virszajtos, quondam Szubrawiec Rustykanin **).

Salutem dicit!

Gdybyście Waćpaństwo dobrodzieje żyli i prosperowali w szczęśliwych czasach naszego Szubrawstwa: uważając po wysokich *merytach* ichmościów, mniemam, że zostalibyście zaszczyceni patentami na członków naszego towarzystwa, tak jak sławnéj muzułmańskiéj pamięci, goszczący dziś zapewna w siódmym niebie między huryskami sułtan *Mahmud*, któremu posłaliśmy taki patent, uznawszy w nim szubrawskie sentymenta; a szczególniéj przekonawszy się dokładnie i na miéjscu w Stambule przez delegowanego tam i na ten cel współbrata naszego Pana Ś.... że *Jego Sułtańska Mość* nie pijał

*) Tytuł z wyrażeniem obszerniéjszéj treści, poniżéj we środzinie prospektu.

**) Mało zapewna znajdzie się czytelników którzyby nie wiedzieli lub nie słyszeli o towarzystwie Szubrawskiém wydającém niegdyś w Wilnie *Brukowe wiadomości*. Członkowie tego towarzystwa przybierali sobie imiona dawnych Bogów Pogańskiéj Litwy. *Virszajtos* Bożek opiekujący się wszelką własnością (Narbutt. Dzieje Narodu Litewskiego. Tom 1-szy).

wina, ale wodą tylko gasząc pragnienie, spełniał razem i Alkoranu i nasze szubrawskie statuta. A lubo wątpię abyście ichmość dobrodzieje mieszkańce stolicy, gdzie jak słyszałem dobre są wina, téj szubrawskiéj wstrzemięźliwości dotrzymywali; wszakże oczewiście nie obce są Ichmościom nasze obyczaje. Podejrzywam nawet, że wysoki *dostojnik* i ozdoba niegdyś naszego bractwa, mistrz Madrygałów a z urzędu *Strażnik Łopaty* [1]) pan *Auszlawis* [2]) dotąd chwała Bogu *in vivis* zostający i wzbogacający literaturę naszą przeważnemi historycznemi pracami, a który lat kilkanaście przemieszkiwał w Warszawie, musiał kiedyś rozgawędzić się i wydać ichmościom nasze tajemnice. Gdybym był temu obecny, zawołałbym nań słowami i rymem pana *Pergrubiusa* [3]) wówczas sławnego Professora literatury „*Ach! Auszlawis*, co ty *prawisz?*" bo zkądby ichmościom przyszło do głowy porozsadzać *per modum* naszych *Rustykanów* [4]), po różnych grodach swoich korrespondentów, którzy bardzo często szubrawskim krojem i z szubrawską weną nowinki ichmościom dobrodziejom podsyłają, a nam starym dawnego autoramentu wyznawcom prawdy, a pogromcom niegdyś w brukowych wiadomościach fałszu, błędów i śmieszności, przypominają nasze rzemiosło i doń kuszą.

Niestety! nie wielu już nas zostało na tym świecie!

„*Apparent rari nantes!*"

Szlachcic na łopacie, dawno umarł i pochowany w Wilnie na Zamkowéj górze ze swoją czarodziejską łopatą, na któréj już tém samém nikt latać nie będzie, ale z którą w ręku zmartwychwstanie on w dzień Sądu, i lecąc na czele całego *in corpore* szubrawstwa, prowadzić nas będzie na Józefatową dolinę.

Sotworos [5]) sławny, nieśmiertelny *Sotworos!* mistrz nasz i prezydent, do którego w zapale pindarycznym zawołał niegdyś pan *Gurcho* [6]).

---

[1]) *Strażnik Łopaty.* Na schadzkach szubrawskich był niejako Mistrzem Obrzędów: trzymał on w ręku *Łopatę*, na któréj był napis: „*Facere qui nescit, nescit loqui*" i miał prawo łopatą swą zamknąć usta każdemu, ktoby bez dozwolenia prezydenta cokolwiek mówić chciał.

[2]) *Auszlawis.* Bożek chorych do zdrowia przychodzących.

[3]) *Pergrubius.* Bożek wiosny.

[4]) Członkowie towarzystwa mieszkający ciągle w mieście zwali się *Urbani;* mieszkający zaś na wsi zwali się *Rustykanami* i byli korespondentami towarzystwa.

[5]) *Sotworos.* Bóg światłości dziennéj.

[6]) *Gurcho.* Bożek urodzajów.

„Ty uczony Sotworosie
Ty Palladą jesteś naszą!
Mów, stanów o naszym losie;
Niech nas manią, niech nas straszą,
Gdy ciebie za mistrza mamy;
Wszystkim dzielny odpór damy!“

Oh! bo on był *Palladą*, nie tylko szubrawstwa, ale Palladą Wilna i całéj Litwy, bezpieczniéjszéj o swe życie i zdrowie, gdy w niéj żył *Sotworos*. Umarł on 1838 roku Kwietnia 29 dnia, a boleśną tę dla całego naszego kraju stratę uczuliśmy wszyscy głęboko. Śmiało powiedzieć można, że całe Wilno wyszło wówczas z siebie, dla przeprowadzenia i pożegnania zwłok jego; a obok tego miéjsca przy drodze, gdzie przywiązani doń uczniowie jego zwłoki zdjęte ze swych bark na wóz pogrzebowy oddali, usypali oni w téjże chwili własnemi rękami na wzgórzu kopiec, na który każdy wjeżdżający oszmiańskim gościńcem do miasta Szubrawiec, bez westchnienia nie spójrzy.

Pan *Gulbi* *), Witajnik piérwszego rzędu, mówca towarzystwa; poszedł także *ad patres*. A któż go w Wilnie nie znał? któż w owym czasie, gdy jeszcze romantyzm głów nie pozawracał, nie uwielbiał i nie umiał na pamięć sławnych oracyj jego, któremi witał każdego wchodzącego do towarzystwa?

Pozwólcie ichmość dobrodzieje, że tu w *astryczku* przepiszę, jedną z takich oracyj, nie drukowaną dotąd nigdzie, jako *pure* klassyczną reminiscencyę, którą mnie i pana *Talwasa* **) wstępującego razem do szubrawskiego grona powitał ***). Trwał on stale aż do

---

*) *Gulbi.* Bożek poufały, familiaris, strzegący każdego mężczyznę z osobna.
**) Sprawca zdolności do uciech doczesnych *(Narbutt Tom 1-szy)*.

***) **Mowa Pana Gulbi.**

Na powitanie Panów *Wirszajtosa* i *Talwasa* wchodzących do Towarzystwa Szubrawców.

I.

Z przybytku głowa nie boli,
Lepiéj im większa czereda!
Przyznam się jednak atoli
Że was witać, dla mnie bieda!
Niech każdy osądzi szczerze,
Wszak się wszystkiego przebierze,

śmierci w swym klassycznym uporze, a najście nowéj hordy romantyków na wiekuisty *Parnas*, odpierał już to tomikami *Wizerunków naukowych* których był redaktorem; już to ostrą bronią dowcipu, którego a prawdziwego miał pełną głowę, i w naukę razem zamożną.

Tém bardziéj konceptów w głowie:
Mów a mów w jednym przedmiocie
Choć nie zbywa na ochocie,
Rzadko jéj skutek odpowie.

II.

Więc całą moją gawędę,
Krótkiém ograniczę słowem;
Ustaw was uczyć nie będę,
Bo to przestało być nowém.
Wreście *Kodex* je zamyka *)
Tam odsyłam czytelnika,
Niech kupi prawo i czyta:
A gdy je zachować zdoła,
Będzie godnym tego koła,
Będzie szubrawcem, i kwita!

III.

Kwita! jednak między nami
Jeszcze rachuneczek będzie:
Co winniście, wiecie sami,
Siedzącemu na urzędzie.
Cześć, wdzięczność, a naostatek
Jak dziś maleńki podatek;
Ten będzie nie ze szkatuły
W szubrawstwie golizna święta,
Lecz za remanenta
Piszcie czasem artykuły **).

IV.

Tak się toczą rzeczy świata,
Starszy młodszym się wyręcza
Szlachcic pracą dla magnata,
Magnata łaskę zawdzięcza:

---

*) *Kodex.* Szubrawski oddzielnie w tamtym czasie był drukowanym.

**) Każdy Szubrawiec winien był z kolei przynosić artykuły do brukowych wiadomości: inaczéj był na remanencie.

Wayzgantos *) znajomy w świecie uczonym pod imieniem *Jana ze Swisłoczy*.

Poklus **). Podwalinik towarzystwa naszego: wydawca pięknego zbioru *Dziejów dobroczynności*. *Pergrubius*, Professor jakem to wyżéj namienił literatury, tłumacz z oryginału *Cervantesa* etc. głęboko uczony filolog ***).

Jak kruki nad piórem zgięci,
Pracują biedni skrybenci,
Wtenczas gdy spasła starszyzna,
Próżna starania i trwogi,
Musi jeść, spać, pić, zkąd błogi
Wiedzie byt cała ojczyzna.

V.

Niższym należą się trudy,
Wyższych są inne ciężary:
Niestrawność, zły humor, nudy,
Tłum dzikich marzeń bez miary.
Gmin co tego niepojmuje,
Wrzeszczy, dąsa się, szkaluje,
Miota przekleństwa w obłoki!
Niechże panem sam zostanie,
Natychmiast odmieni zdanie,
Świadkiem cały świat szeroki!

VI.

Wy! którzy tu pracę zdolną,
Poświęcać macie w zamiarze,
Wiedźcie, iż tu nie jest wolno
Znosić plotki i potwarze.
Precz od nas błahe sposoby,
Co czerniąc znane osoby,
Bawią chwilę gmin nikczemny:
Takim środkiem gardzi cnota,
Rdza się nie uczepi złota,
Złotem jest dowcip przyjemny.

*) *Wayzgantos*. Bożek opiekujący się uprawą lnu.

**) Bożek piekieł, Pluton litewski.

***) To tłómaczenie wyborne *Donkwiszota*, wyrwane w rękopiśmie z pożaru przez samego tłómacza, gdy dom jego przypadkowym ogniem spłonął, i dopełnione w miejscach które się przypaliły, w czyjemkolwiek ręku się znajduje, wyjść powinno na widok publiczny, bo ze wszech miar warte tego.

Pradziu warpu *) nie dawno jeszcze jedyny może na Litwie miłośnik Francuzkiéj Rassynowskiéj szkoły, i razem tamtoczesnéj francuzkiéj maniery, i tylu innych. . .

Sit eis terra levis! a więc nam pozostałym, jak tylko gdziekolwiek zjawi się jakaś iskra niby szubrawska, zda się wnet, że nas pan *Sejmi* **), nie dawno jeszcze zmarły wydawca, i autor wielu pism agronomicznych, wraz na niedzielną schadzkę zwoła, bo to jego było obowiązkiém, jako głównego redaktora *Brukowych Wiadomości* i z remanentu czytać każe.

W takiém omamieniu wzbudzaném niektóremi korrespondencyami ichmościów dobrodziejów, porwałem ja onegdaj zapyloną i dotąd nietkniętą, ani otwieraną, a na dnie mojéj literackiéj szafy odpoczywającą tekę, napełnioną właśnie artykułami mniéj więcéj przygotowanemi niegdyś do *Brukowych wiadomości:* a lubo omamienie to moje wnet się rozchwiało, lecz się wzbudziła ciekawość zajrzenia przecież co też tam się znajduje? Było to cóś nakształt chętki obaczenia się z dawnym towarzyszem młodości: myślemy natenczas: „był on młodym, wesołym, dowcipnym, bawił mię, śmieszył; jakimże się mi wyda teraz gdyśmy oba postarzeli?“ Ach mości dobrodzieje, jakaż różnica? ale nie tak w samém piśmie, jak w zastosowaniu jego do nas dzisiejszych. Co było *śmieszne*, to dziś *nudne:* co było i jest w gruncie *dowcipne*, dziś *obojętne* lub *niezrozumiane:* bo widzicie ichmość dobrodzieje *„Dowcip się czasu nie*

VII.

Ten niech w pismach waszych żyje,
Skromną przyodziany szatą
Gdy go w nich rozum odkryje
To będzie waszą zapłatą.
A tak choć wieki przeminą
Pisma wasze nie zaginą,
Dowcip się czasu nie boi!...
Lecz cóż to znowu dla Boga!
Przybrałem ton pedagoga?
Dosyć już panowie moi!...

*) *Pradziu Warchu czy Warpu.* Bóstwo rolnictwa, zbóż: nie rozwiązano czy to był bożek, czy bogini?

**) *Sejmi* czy *Siemi.* Bożek czeladzi domowéj.

boi" jak sprawiedliwie powiedział pan *Gulbi*, ale czas pojęcia nasze tak odmienił i stępił, że to co nas dawniéj do szczeréj wesołości pobudzało, dziś ledwo ironiczny uśmiech wymusi... tak promień słońca czysty kryształ przenika, a na okopconém szkle sam ginie...

...a to co u biesa?
„Co wyraz to figura? co myśl to frazesa *)?

Przepraszam ichmościów dobrodziejów: tylko co się nie zbiłem z szubrawskiéj drogi, na filozoficzne manowce. W mojéj więc tece znalazłem początkowe materyały do dzieła ważnego i potężnego, a które ja niegdyś przy kollaboracyi braci szubrawców wydawać zamyślając, *Prospektus* w brukowych wiadomościach umieścić miałem, *Tytuł:*

„Dykcyonarz: Encyklopedyczno-Filozoficzno-Praktyczno-Filantropiczno-Agronomiczno-Historyczno-Śliczno..."

Ostatniego wyrazu dobijającego końcowym ogólnikiem, jak młotem w łeb czytelnikowi, summaryjną treść całéj książki, nie kładę: bo najprzód z ciągu dzieła może wyniknąć potrzeba dodania jeszcze jakiegokolwiek *iczno*, powtóre, po ukończeniu onego ogłoszę *konkurs* dla czytelników, aby raczyli stosownie do wyroku sformułowanego o niém, przysłać mi te ostatnie wyrazy; a przyrzekam zawczasu i najuroczyściéj, że wybiorę taki, który najdobitniéj i zaletom książki, i moim autorskim odpowie.

Dzieło takie, jako każde *Encyklopedyczne*, przedłużać się i dopełniać może z biegiem czasu i coraz nowych wyobrażeń, odkryć, wynalazków i nauk na świecie. Sławna nawet *Encyklopedya* Akademików francuzkich, już dziś dostateczną nie jest, szczególniéj w swych filozoficznych artykułach, i musiałaby uledz przemianie; gdzie bo tam wiek 18-ty powiedział *„Gaście ogień*" wiek 19-ty dumny ze swych nowych idei poprawi pewnie *Ogień gaście.* Myślę zatém, że moja *Encyklopedya* i dzisiaj jak przedtém ku publicznemu pożytkowi przydać się może, a przedłużać się *ad infinitum*, nadzieja w Bogu i w mądrych głowach ludzkich, sadzących się codzień na coraz nowe dla dobra powszechnego koncepta.

Jeżeli tedy publiczność zechce to pośmiertne dzieło przyjąć w swą łaskawą *animadwersyę*, to próby onego od czasu do czasu

*) Zabłocki, w komedyi Amfitryon.

ogłaszać będę, aby wiedziała, że dla jéj pożytku pracować nie przestajemy, i że póki choć jeden poczciwy szubrawiec jest jeszcze na świecie, zawsze przy zdarzonéj okoliczności powiedzieć może: „*Cave! adsum* *)!“

Próby z pod litery A.

Ach!

Ach! jakżem szczęśliwy, że panią znajduję.
Ach! jakżem wdzięczna żeś pan przyszedł.
Ach! comme vous êtes charmante.
Ach! możnaż być piękniéjszą?
Ach! vous êtes galant!
Ach! madame, je ne suis que sincère.
Ach! jakże wczorajsza tragedya była piękną.
Ach! to wyznanie tak nieszczęśliwie przerwane...
Ach! cóż to za stuk na wschodach?
Ach! c'est mon mari qui revient.
Ach! jakżem się upił haniebnie. Ach! wyborny węgrzyn u *Auera.*
Ach! qu'il est drole!
Ach! tyś chory mój kochanku.
Ach! daj mi pokój wyspać się muszę.
Ach! que vous êtes malheureuse avec cet ivrogne.
Ach! ty nic dobrego, co tam po francuzku szwargoczesz?
Ach! moje życie nie gniewaj się, to ci na zdrowiu zaszkodzi.
Ach! ty jeszcze bronisz tego trzpiota, który tu do ciebie cholewy smali.
Ach! gdzie mój kij!
Ach! retirez-vous!
Ach! jakże w wielu względach i przygodach ludzkich ten wykrzyknik z ust się wyrywa.

Amant.

Wyraz cudzoziemski, jak to każdy z czytelników rozumie; i prawie każdy powie, że mamy na to nasz własny *Kochanek:* a

*) Strzeż się, jestem obecny.

wszakże w użyciu jest między niemi różnica, i jedno nie jest zupełnie tłómaczeniem drugiego; owszem jest pewne względne zastosowanie, w którém się zastąpić nie mogą; a zatém że przyswojanego *Amanta* odrzucać nie należy, chociaż jest obok *Kochanek*.— Wytłómaczmy to zrozumialéj, jeżeli się uda, i wyklarygujmy dokładniéj i stanowisko właściwe wyrazów w mowie, i uczczonych tą denominacyą figur w towarzystwie: jedno objaśniać się będzie drugiém i wzajemnie.

Naprzykład pan *Antoni* jest *Amantem* pani sędzinéj: znaczy się to tylko, że pan *Antoni* kocha się w pani sędzinéj ale wcale nie znaczy, że jest kochanym wzajemnie. Lecz gdy powiem, pan *Benedykt* jest kochankiem panny *Tekli:* a to już wyraźnie że panna *Tekla* kocha pana *Benedykta*. Ztąd wnosićby można że *Amant* jako jest cudzoziemską *kontrabandą*, która się wkradła do naszéj mowy, tak też jest *kontrabandą* wkradającą się ze swém znaczeniem do małżeńskiéj *instytucyi;* ale że wyraża miłość bez wzajemności, więc i nie jest nadto niebezpiecznym. Zresztą, jest to wyraz radykalnie łaciński, a damy nasze po łacinie nie umieją.

W potoczném nawet użyciu nie powiemy „Mój *Amancie* otwórz wrota. Mój *Amancie* podaj piwa“ ale „mój kochanku otwórz wrota etc. i temu podobnie. Wszystko więc zda się przemawiać za wygnaniem *Amanta* z naszéj mowy i obyczajów; a jednak powtarzam być to nie może, bo jest i u nas w towarzystwie: *klassa*, *kongregacya*, czy *konfraternija*, rozsypana po całym świecie, a liczniejsza w krajach cywilizowańszych od naszego, jak naprzykład we Francyi, gdzie skutkiem téj cywilizacyi, (i niedawno dowodzonéj tam konieczności *kommunizmu)* *) dwa te wyrazy i funkcye, u nas bliskoznaczne lecz różne, jeden *Amant* w mowie, w użyciu, i w celach zastępuje.

Stosownie do natury osoby poświęcającéj się temu miłemu zawodowi, możnaby każdemu przydawać charakterystyczne przymiotniki, naprzykład.

Amant klassyczny — Pan *professor* kocha się od lat kilkunastu w pani *prefektowéj*. Codzień idąc on do klassy, zachodzi dowiedzieć się o jéj zdrowiu, i jeżeli to latem, dowiaduje się razem gdzie ona wieczorem pójdzie na szpacer, o czém pani Prefektowa, uprzejmie mu podając na dobrydzień rączkę do pocałowania, uwiadamiać go

*) Nawias ten do dawnego rękopisu dodano teraz *(przyp. aut.)*.

raczy; a czasem na domiar szczęścia zapyta go z wdzięcznym uśmiechem: *„gdzież dziś pójdziemy?“* Godziną więc piérwiéj idzie on w tamtą stronę, i powraca tak miarkując, aby nibyto przypadkiem, spotkał panię *Prefektowę* z dziatkami; zawraca się z nią więc, podnosi młodsze dziatki, dla mamy kupuje dwie pomarańcze, lub inne jakie łokocie na takąż samą cenę, odprowadza ją do domu, pije razem herbatę, i daje dobranoc. Zimą taż sama koléj; z tą tylko różnicą że gdy to *itinerarium* dla mrozów nie nadarza się, pan *Professor* zamiast z panią *Prefektową*, musi godzinę przed herbatnią strawić marnie, grając w szachy z panem *Prefektem.*

Zdarzają się niekiedy dodatki rozkoszy, jako to: pieczenie pirogów przed wielkanocą, bo wtenczas pan *Professor* czyta głośno przepisy na babki, placki i mazurki, pilnuje czy *podchodzą* i kupuje za swój grosz zwierzynę na święcone. Ale za to, idzie razem z panią *Prefektową* na rezurekcyę, i całe trzy dni pozwala sobie bawić u państwa Prefektów; a z ukontentowaniem zacierając ręce, szepce pani *Prefektowéj* na ucho: „Nasze święcone udało się. „Toć samo powtarza się na kucyę, z odmianą tylko artykułów stołowych; bo jak tam zwierzyny, tak tu ryb pan *Professor* dostarcza.

Ożenił się jednak pan *Professor*, ze swoją kucharką, a to dla tego, że ona umiała sekret pieczenia wybornych *biszkoktów*, które bardzo smakowały pani *Prefektowéj*, a żadnym sposobem niechciała wydać swéj tajemnicy; więc najszczęśliwszy był, gdy nazajutrz po ślubie zaniósł pani *Prefektowéj* dokładną *preskrypcyę* pieczenia *biszkoktów*, i odtąd szły rzeczy jednostajnym zawsze trybem, aż do terminu, gdy pani *Prefektowa* w stanie małżeńskim, a pan *Professor* w stanie nauczycielskim, *emeryturę* wysłużyli.

Amant Romantyczny. Pospolicie jest to młody chłopiec zakochany w starszéj od siebie mężatce; i gdy *Amant klassyczny* spokojnie nałogowi ulegając, nie myśli a czasem i sam niewie że się kocha; ten zna to, czuje, i powtarza to sobie prozą, a swojemu bóstwu wierszami. Platonizm pierwszego pochodzi z *mazgajstwa*, platonizm drugiego z owéj czci czystéj i niepokalanéj dla ukochanéj istoty, która jest zwyczajną oznaką prawdziwéj miłości. Na pierwszego, kobieta nie uważa wcale, bo żadnego z nim nie ma niebezpieczeństwa: idzie tylko naprzykład pani *Prefektowéj* aby pan Professor trwał w swojém; bo zwierzyna na *święcone*, ryby na *kucyę*, pomarańcze i rozmaite inne smaczne przysmaki, rada była spożywać, gdy nic jéj nie kosztowały. Z drugim kobieta rozumna ma

się na baczności, aby się w chwili uniesienia nie zapomniał... lub aby się sama nie zapomniała... a idzie jéj także aby on trwał w adoracyach: bo jéj miłém jest uczucie piękne, które natchnęła, choćby go nie dzieliła, i miłą jest myśl, że je natchnąć jeszcze jest zdolną.

Amant Arystokratyczny. (Patrz *Protektor).*

Amant całego świata. Inaczéj, amator płci pięknéj. Jest to rycerz błędny w krainie miłości: przebiega on ją, jak sławny *Donkwiszot*, w szerz, w zdłuż, w poprzek i na ukos, walcząc o serce z każdą na drodze spotkaną gładką niewiastą. Taką kampanię zaczyna czasami młody i płochy chłopiec, i przedłuża ją nieprzerwanie aż do ostatniéj granicy wieku *marcowego kawalera;* za tą granicą starość już go osadza w łożu, w którém jeszcze usiłuje pięknie się moderować, gdy doń przypadkiem zbliża się kobieta.

Młodość rzezwa, zalotna, grzeczna, dowcipna, każdemu do twarzy; i dla tego opinia i nazwa *bałamuta* jaką się młodzik obleka, rzucając tak swém sercem jak piłką, najmniéj mu nie uwłacza ani szkodzi: ba owszem! nie jedna piękność radaby tę piłkę złapać w locie, i dla codziennéj zabawki przyswoić ją sobie na zawsze.

Mimo kobiet użalenia,
I gniewu przez trzy minuty;
Wiemy jednak z doświadczenia,
Najszczęśliwsze bałamuty.

Powiedział czy zaśpiewał *Dmuszewski* w jakiejś swojéj operetce.

Młody więc *Amant całego świata*, (możnaby mądrym wyrazem nazwać go *Philofaemin)* w tém tylko sobie niebezpiecznie radzi, że w nieustannym ruchu, nie zastanawia się i nie oblicza swobodnych i miłych latek, które mu w rozkosznem omamieniu *płyną wszakże;* a nałog wietrznictwa, jak każdy inny, wkorzenia się weń, i staje się drugą naturą.

Przydaje mi się tu bardzo trafnie, dawna piosnka, ułożona może niegdyś przez jakiegoś *praktykanta* takich miłośnych korowodów, który się sam z sobą na końcu obliczał; a oznaczająca dobrze peryody i przemiany ludzkich w tym względzie kolei.

Młodzik co ma lat dwadzieścia,
Raj dla niego płeć niewieścia;
Przez figlarne swe kawałki,
Podobnym jest do piszczałki,

W którą byle dmuchnąć nieco,
Natychmiast z niéj tony lecą,
I tym darem on się pieści,
Aż naliczy lat trzydzieści.

Otoż to jest prawdziwy młody amant całego świata: byle z pięknych ustek dmuchnęło mu się miłe słówko, wnet lecą zeń, jak tony z łatwéj piszczałki, oświadczenia miłośne, i już się kocha... już roi sobie wzajemność, już szaleje!... lecz...

Od trzydziestu idąc daléj
Cyna robi się ze stali;
Nasz chłopczyna nader pałki,
Zmienia się w skrzypce z piszczałki,
Na któréj by sztuczkę skroić,
Trzeba skrzypeczkę podstroić:
Ta go odmiana spotyka,
Blisko czwartego krzyżyka.

Podstroić skrzypeczkę: to się znaczy że już potrzeba nieco przymusu w nogach do tańców, nieco forsy w toalecie, nieco tajemnicy o sobie, aby w roli amanta, jeżeli niebrać prymu, to przynajmniéj biedz na równi z młodszemi:

Lat pięćdziesiąt gdy dosięga,
Wielka w muzyce mitręga!
Głuchy na kupida strzałki,
Rzuca skrzypce i piszczałki,
A sprawą jakby szatana,
Bierze postać teorbana;
Który strojąc aż do znoju,
Moment gry, a pół dnia stroju,

I otóż amant całego świata *marcowy;* w tym niefortunnym peryodzie, na nic albo na bardzo mało, przydają się wszelkie środki i sztuczki ku odmłodnieniu; (Patrz *Peruka*, *Czernidło Angielskie*, *Dentysta*, *Gorset)* przenikliwe oko kobiety, a przenikliwsze jeszcze rywala, dostrzeże to i wydrwi. Zna to stary *Adonis*, bo sam taką bronią gdy był młody zwycięzko wojował; a jednak do tych sztuk uciekać się musi koniecznie; bo jakżeby siwemu, łysemu, szczerbatemu, puszczać się w zaloty? a puszczać się musi koniecznie, bo cóżby robił na świecie? bo to była praca jedyna całéj jego przeszłości; a więc potrzebna rozmiłowanéj jego duszy, jako chleb po-

wszedni ciału. Kochał się całe życie, jakże przestać? Ale w téj nieustannie wabiącéj go pokusie, zdradliwie wygładza mu drogę, ta zręczna pochlebnica *Miłość własna*, wmawiająca *Marcowikowi* zalety, z lichwą jakby zastąpić mogące udatną młodość i jéj ponęty. «Cóż to za rozum delikatny? mówi mu ona; jaka maniera? *choć do królowéj!* Jakie sentymenta razem górne i tkliwe? jaki zbiór dowcipnych anegdot, zdolnych od razu rozpędzić najupartsze kobiece spazmy i wapory? Niechże mi tu jaki młodzik, pusta lalka sprosta!... Niechże wysypie tyle razem skarbów u nóg pięknéj a rozsądnéj kobiety! Czyliż jéj wybor choć na chwilę wątpliwym być może?...» A jednak najdotkliwsze trybulacye, tych wszystkich i młodych i starych adonisów, pochodzą właśnie z rozczarowania się, gdy wybor ten (co się niestety najczęściéj zdarza) źle dla nich padnie; gdy raptem pałace ich hiszpańskie na pochlebnie urojonéj o sobie wartości budowane, nagłym a widocznym faktem, jak obuchem uderzone, rozsypią się w proch i rozwieją się z pyłem.—*Teofil* naprzykład kocha się od pół roku w pięknéj *Brygisi*, tyle jedwabnych i ślicznych zamienili oni między sobą słówek! tyle wierszyków do jéj *album* wpisał! tyle funtów karmelków zmarnował! tyle loż kupił!.. aż tu nie siadło ni padło; *Brygisia* poszła za mąż za pana Sędziego, czterdziestoletniego jegomościa, wieśniaka, hreczkosieja, ale dziedzica dobrego folwarku; a co gorsza i dziwniejsza że owa skromniutka wiewióreczka, powiada śmiało i otwarcie (bo to jest w programmacie każdéj młodéj mężatki) że bardzo kocha męża.— Cóż na to «*Teofil? stetit ille tremens*» stanął i zadrżał!

Pan *Grzegorz* od półtora roku (co już jest widocznym dowodem jego ustatkowania się) składa swe serdeczne *homagia* pani Podkomorzynéj, wdówce, mającéj na piérwsze wejrzenia lat dwadzieścia pięć, a na drugie wejrzenie lat trzydzieście pięć, ale świeżéj jeszcze, ładnéj, grzecznéj, rozsądnéj i umiejącéj, jak o tem codzień i nie sto razy przekonał się Pan *Grzegorz* oszacować jego przymioty, i widocznie skłaniającéj się dlań do wzajemności.—Raptem pani *Podkomorzyna* poszła za mąż za swego kommisarza, młodego i zdrowego chłopaka, a na dopełnienie tak niegodziwéj *effronteryi*, zaprasza ślicznym biletem pana *Grzegorza*, jako doświadczonego przyjaciela, na piérwszy obiad po ślubie.—Cóż na to pan *Grzegorz?* stanął—ścisnął ramionami: wzniósł oczy w górę—O kobiéty! kobiéty! zawołał: i... poszedł na obiad do państwa młodych.

Agronomia.

Kto nie jest Agronomem,
Może być Ekonomem.

Jaka zaś między temi dwóma funkcyami i przymiotami zachodzi różnica to następna *konwersacya* objaśni.

Pewny Pan wielkiego majątku, sam nieobecny, przysłał *Agronoma* do dóbr swoich, aby mu gospodarkę zreformował, i nowe w rolnictwie pozaprowadzał *metody*.

Przybył więc tam pan Agronom późnym wieczorem; zajechał do pałacu, posłał wnet ekonomowi pismo pańskie zalecające posłuszeństwo nowemu kommisarzowi, i kazał mu nazajutrz rano stawić się przed sobą.

Nazajutrz zatém rano przyszedł pan *Bartłomiéj Jemiołka* do pałacu o godzinie szóstéj. Wstawszy sam o czwartéj i o wschodzie słońca rozporządziwszy robotę na polu, myślał sobie „niech się wyśpi jegomość po drodze“ *Pan śpi* rzekł mu lokaj — przyszedł znowu o siódméj, *Pan śpi*, — o ósméj, *Pan śpi*. Za każdym razem odchodząc pan Bartłomiéj kręcił głową i mruczał pod nosem: „piękny mi gospodarz; nakoniec o dziesiątéj, tenże sam lokaj powiedział: „pan herbatę pije i kazał waćpanu poczekać.“ Jeszcze więc z półgodziny, kręcąc siwy wąs swój, siedział w przedpokoju pan Bartłomiéj, nakoniec wezwany wszedł. Ale postrzegłszy figurę z ogromną czarną brodą, z sutemi bokambardami mało od pejsów żydowskich różniącemi się, z mycką czarną aksamitną na głowie, wcale do jarmułki podobną, w kubraczku jakimś ciemnym na haftki śpinanym i w pantoflach na nogach (a był to ranny ubior pana *Agronoma)* pomyślił sobie „a to widać że nowy pan Kommisarz i faktora z sobą przywiózł: „upadnie grzanka naszemu Judelowi“, dawszy więc lekki ukłon jak żydowi, mijał go pan Bartłomiéj i szedł do drzwi drugich, za któremi mniemał że już znajdzie samego pana *Kommisarza*.

— A dokąd mospanie? rzekł ten.

— Do naszego nowego pana Kommisarza odpowiedział ekonom.

— A toć ja nim jestem.

— Czy tak? mówił znowu pan Bartłomiéj, zdziwioném okiem mierząc tę figurę, przepraszam, omyliłem się szpetnie. — Ale bo widzi jegomość dobrodziéj... uważając... i miarkując... tu pokazał giestem na brodę i palcem okręcił po głowie: rozumiałem...

— Rozumiałeś żem żyd: przerwał z uśmiechem *Kommisarz*, zapalając cygaro.

— Tak... względem tego jakoby....

— No, no, jestem chrześcijanin mospanie.

— Chwała Bogu mości dobrodzieju.

Tu wzajemnie pan Agronom przejrzał figurę pana ekonoma: był to człek sześćdziesięcioletni, o czém włos na głowie posiwiały i wąs świadczył; ale twarz czerstwa aż się lskniła z pod rumieńca, tak on ją szczelnie na przyjęcie gościa, i jakby na przekor zarosłemu jego licu, wygolił i wypucował. Został wąs tylko, lecz i ten podstrzyżony regularnie, nie ćmił brody błyszczącéj pod nim jak różowe jabłko; z oczu zaś i całego oblicza rubaszna jakaś poczciwość i swoboda mu wyglądały.

Nie przypadła do gustu panu Kommisarzowi ta staroświecka fizyognomia; zmarszczył się więc trochę, i gęsty dym z ust puszczając, rzekł z górna:

— Jakże tu gospodarzycie mój mospanie?

— Poczciwie — mości dobrodzieju.

— Poczciwie: no poczciwie dajmy to, ale tego mało.

— A mnie się zdaje mości dobrodzieju, że na tém grunt; bo przy poczciwości i pracy, Pan Bóg błogosławi.

— No, dobrze to wszystko; ale powiedz mi wasan, wdzięcznaż tu *gleba?*

— Chleba? a mamy chleba dzięki Bogu, mamy, odpowiedział pan Bartłomiéj; ot i teraz mamy ze sto beczek żyta w śpichrzu przeszłorocznego, a z połowę tego, pszeniczki czystéj jak złoto. Chłopki nasze nie cierpią głodu, choć to wiosna mości dobrodzieju; więc i wdzięczni, wdzięczni jesteśmy Panu Bogu w Trójcy Świętéj jedynemu. Wczora mości dobrodzieju posłałem na mszę, aby Bóg dał pogodę, bo cóś strach z sianem, onegdaj było siedmiu braci śpiących i deszcz, a to prognostyk na siedm tygodni deszczu.

— Nie zrozumiałeś mię mospanie, rzekł niecierpliwie Kommisarz, ale mniejsza o to, ja sam poznam ile tu w ziemi *humusu.*

Pan Bartłomiéj widać niedosłyszał, łatwo się aspirującéj piérwszéj sylaby *hu*musu; (w szóstym krzyżyku słuch tępieje), bo odpowiedział żywo — Co *musu?* nie Mości dobrodzieju tu nie ma *musu*, poznasz to sam jegomość dobrodziéj. — Co bez czego; hultaja trzeba czasem i podochocić, ale każdy wie tu swoją powinność inwentarzową, i wypełniwszy ją, *musu* nie cierpi, upewniam jegomościa.

— Waspan Mospanie musisz być przygłuchy: rzekł znowu Agronom.

— Tak, po staremu Mości dobrodzieju; kiedy kto mówi *daj*, tom przygłuchy, a kiedy mówi *na*, *masz* — to słyszę akuratnie.

Stary facecista, pomyślił Kommisarz, ale ja mu te koncepta wypędzę z głowy, albo jego samego ztąd.

— Przeszedłszy znowu kilka razy pokój, zapytał znowu. Jakież tu prowadzisz waćpan gospodarstwo; tzrzypolne czy płodozmienne?

— Pan Bartłomiéj zastanowił się nieco, jakby chcąc pojąć myśl tego pytania,— a jużcić płodozmienne, odpowiedział potém, bo zmieniamy Mości dobrodzieju płody ziemi naszéj.— Owies co lat trzy koniecznie zmienić potrzeba, bo przeradza się, doświadczyłem, a żyto co rok z folwarków do folwarków handlujemy, z gliny na szarą ziemię i *vice versa*.

— Nie to znaczy płodozmian: stosuje się to nie do ziarna, lecz do ziemi, waćpan widzę i tego nie znasz. — Czyż tu nigdzie w tych stronach nie znają *rotacyi?*

— *Rotacyi? rotacyi?*.. Mości dobrodzieju? nie, nigdzie w tych stronach jéj nie ma. Jest *Prudencya* córka pana sędziego naszego sąsiada; ale o żadnéj Pannie *Rotacyi* nie słyszałem nawet, dalibóg i w kalendarzu zdaje się że jéj nie ma. Ale na cóż jegomościu dobrodziejowi ta wiadomość potrzebna?

— Kommisarz bystro spójrzał w oczy ekonomowi, i postrzegłszy że on usta przykąsa, rzekł seryo i bez ceremonii.— A waćpan Mospanie jak widzę, jesteś z *durna frant*.

— Oj co nie, to nie, odpowiedział pan *Bartłomiéj;* aby z *durnia* postąpić na *franta*, potrzeba wielkiéj nauki— a tu rękę do nóg pana *Agronoma* wyciągnął.

— Mój mospanie *Jemiołko*, (bo wiedział z adresu listu pańskiego jego nazwisko) rzekł z gniewem pan Kommisarz,—ja nie na żarty tu przybyłem, jeżeli się zgodzić nie będziemy mogli; to komu z nas ciasno będzie, ten ustąpi. . .

W tém otworzyły się na wpół drzwi od przedpokoju, i śliczna młodziutka główka brunetki, lekką półfigurką z za nich się wychyliła. Rzuciła ona czarném i ciekawém oczkiem na pana agronoma (podobno ta ciekawość i sprowadziła ją tu), uśmiéchnęła się figlarnie, i „Tatuniu,“ rzekła, kilku wojtów czeka na folwarku i obiad gotowy; znowu oczko czarne padło na Agronoma, znowu uśmiech, i widmo ładne znikło.

— Upadam do nóg jegomościa dobrodzieja, odezwał się zatém po krótkiém milczeniu pan Bartłomiéj do odwróconego ku oknu pana Kommisarza, i liczącego bodaj kroki rzeźwo biegącéj przez dziedziniec ku folwarkowi dziewczyny.

— A dokądże tak rychło panie dyspozytorze? ozwał się ten, obracając się doń grzecznie, na obiad tak rano; przecież to jeszcze jedénasta, dodał patrząc na zegarek.

— My mości dobrodzieju obiadujemy razem gdy i robotnik na polu do obiadu siada, aby czasu nie tracić; a do tego mości dobrodzieju, trzeba jak widzę po dwódziestoletniéj służbie wybierać się w drogę, bo to już widać że mnie, a nie jegomości będzie tu ciasno.

— No mój Panie, nie trzeba tak wszystko brać zaraz do serca.

— Da to prawda Mości dobrodzieju, nie trzeba tak zaraz byle się co obaczyło, brać zaraz do serca... ale nim się co skonkluduje, tymczasem... i brał się za czapkę.

— No, no, poczekaj poczciwy staruszku, pogadamy jeszcze. Czy to córka wasana?

— A tak Mości dobrodzieju, najstarsza; a mam ich jeszcze trzy, do usług... rodziców swoich.

— A czy nie pozwolisz na cygarko panie dyspozytorze?

— Uniżenie dziękuję jegomości dobrodziejowi, ja fajeczkę ciągnę i własny tytunik multan, którego jeszcze pudów z dziesiątek przedajemy rok w rok. Ja pasynki palę, a skarb ma dochód.

— A to bardzo pięknie. Szło teraz panu Agronomowi, aby udobruchać pana ekonoma, sam udobruchany oczkiem jego córki. Siadaj, rzekł zatém panie Jemiołko, siadaj proszę i sam usiadł.

— Jakże tu sterkoryzujecie waszą ziemię? mówił on, rozpoczynając poufalszą konwersacyę.

— Ha mości dobrodzieju po staremu, wywoziemy nawóz pod oziminę, i mamy zawsze żytko piękne, i pszeniczkę chwała Bogu.

— Otóż to że po staremu, teraz inaczéj gospodarzą Mospanie. Patrz waćpan na te kilka cegiełek leżących na stole; i podał mu jedną do ręki.— Cóż to jest? jak myślisz?

— A nie mogę zgadnąć Mości dobrodzieju, cóś nakształt cegły, ale lżejsza i z napisem.

— Przeczytajże.

— *Po-u-drette— Pa-ris*— przeslabizował pan Bartłomiéj, nie rozumiem panie dobrodzieju.

— Otóż ja waćpanu wytłómaczę. Tu Agronom zaczął rozpowiadać całą teoryę sztucznéj sterkoryzacyi; przerywał mu Pan Bartłomiéj kilkakrotnie:

— Tfu! tfu!

— Tfu, tfu, tfu!

..... temi więc kilką cegiełkami, kończył daléj Kommisarz cały morg *obmierzwić* można.

— A tam do licha panie dobrodzieju, ozwał się żywo stary: prawda! nie tylko cały morg, ale i całe pole *obmierzić* można, i nogą potém tam nie powstać.

Trudno więc było, jak to widziemy tym dwóm mistrzom staréj i nowéj szkoły pogodzić się, a nawet się zrozumieć, i naturalnie stary nowemu ustąpićby musiał.—Ale w starym ogródku kwitła róża tak piękna, i tak powabna, że jéj młody ogrodnik wyrzucić nie miał serca, lubo stała na przeszkodzie jego klombom i parterom: a mówiąc otwarcie i bez przenośni, pan Agronom zakochał się w pięknéj pannie ekonomównie; i wkrótce, ogoliwszy sobie brodę i pejsy, bo Rózia tego cierpieć nie mogła, ożenił się z nią. Odtąd nastąpiła zgoda obu teoryi.—Agronom dawał na piśmie mądre instrukcye ekonomowi; a ekonom spełniał je o tyle, o ile mógł pojąć, i o ile swoim prostym, zdrowym a poczciwym rozsądkiem zgodnemi je z dobrem gospodarstwa uznał. Ztąd sens moralny, że:

„By sprzeczne teorye zgodzić jedném cięciem,
Agronom winien zostać *Ekonoma* zięciem;
Z rassy tak skrzyżowanéj wyrodzą się wnuki,
Dawnych cnót ekonomskich *) i nowéj nauki,
A te plemie miarkując zbytnią zysków chciwość,
Do *Gleby* i *humusu*, dołoży poczciwość.

Arytmetyka.

I któż się w szkołach nie uczył arytmetyki? i cóżby było gdyby jéj się nie nauczył? życie bez rachunku a zatém bez głównéj zasady; bo w jakimkolwiek względzie i zastosowaniu wyraz ten weźmiemy, czy materyalnie czy duchowie, czy to rachunek fortuny,

*) Mówię, dawnych.

czy to rachunek sumienia, zawsze bez niego ani zacząć, ani skończyć życia nie można. W nauce więc téj idzie najprzód *Numeracya*, potém cztery działania proste, *Dodowanie*, *odejmowanie mnożenie* i *dzielenie*, potém reguła *trzech prostych*, potém reguła trzech *odwrótnych*, potém reguła *procentów*, i t. d. Obaczmyż jak teorye te zastosowywają się częstokroć w praktyce życia ludzkiego.

Młodemu człowiekowi, który uczynił już łatwą *Numeracyę*, w swojéj pustéj kieszeni, najczęściéj zawadza ten fatalny wyraz: *Niemam*, a za nim tuż idzie *więc*, nie miłe *więc*, *nie mogę* . . . i naturalna rzecz, *pożyczam*; otóż razem dwa działania zbiegają się: *Dodawanie* do swojéj kieszeni a *Odejmowanie* z cudzéj. Mało jednostek, pożyczam *dziesiątków* i znowu *niemogę;* pożyczam *sta* i tak daléj, a następuje wnet *Mnożenie;* tak biorę *dziesięć*, mnożę przez *dziesięć;* daję *niżéj podpisanego* na *sto*, to jest mnożenie się długów, i nakoniec *dzielenie* fortuny między kredytorów. (Patrz *licytacya).*

Tak śpiesznym krokiem przeszedłszy panicz cztery działania proste, i wyliniawszy tym sposobem z ojcowizny i gotowizny, występuje goły jak święty Turecki (Patrz *Mahomet)*, na szerokie *teatrum* wielkiego świata. Tu własnemi siłami i własnym przemysłem zmuszony kierować się, praktykuje stosownie do okoliczności regułą *Trzech prostych*, lub *Trzech odwrótnych*, to jest, albo dobrawszy kochanego i zacnego towarzysza, oszukują *trzeciego* fryca takiego jakim sam był nie dawno; albo wydoskonalony doświadczeniem, i co dzień bieglejszy rachmistrz, sam jeden oszukuje *dwóch* (Patrz *facyenda*, *spekulacya*, *stos.).* Reguła tylko *procentów* na nic mu się nie przydaje, bo ich nigdy nie płacił; a raczéj płacił z góry i ryczałtem, jak to przy regule mnożenia okazaliśmy. Odnosi się ona w swych najgłębszych zadaniach do innego gatunku rachmistrzów, (patrz *Lichwa).* Nakoniec by definicye te zakończyć pożytecznym wnioskiem i nauką; radzę wszystkim praktykantom takiéj arytmetyki, gdy już dójdą do reguł składanych, zanaśladować jednego ze sławnych w tym zawodzie professyonistów. On dla wiernego obliczania się takie sobie założył regestra:

Percepta.

Dochody przez przygody,

Expens.

Wydatki przez przypadki.

Z pod litery. B.

Baba.

Kilka jest znaczeń na ten wyraz. Głównie, oznacza on starą kobietę; przenośnie, *pirog* wielkanocny właściwego okrągłego kształtu, w nieskończonych co do rodzaju ciasta i zapraw odmianach, także *babą* zowią. Bieglejszym od nas etymologom zostawujemy odszukanie związku i podobieństwa między temi znaczeniami jednego wyrazu, i źródła zkąd ta przenośna wyjść mogła; my definiować tu raczéj mamy przymiotniki wiążące się w potoczném pojęciu do tego wyrazu, stosownie do zalet jakiemi się odznaczają *baby* z ciała, nie z ciasta.

Przymiotników tych jest także wielba liczba; oznaczemy tylko główniejsze i powszechniejsze, i tak:

Baba Skrobotucha. Pracować nad dokładném opisaniem tego przymiotnika rodzaju żeńskiego nie będziemy sami, bo uwalnia od téj mitręgi najmędrszy z ludzi *Salomon*. On opisawszy, w księgach przypowieści *niewiastę mężną* *) aby znać niewyrozumiali czytelnicy nie wzięli przymiotów jéj w niestosowném i dwuznaczném pojęciu, opisał z kolei niewiastę przeciwnéj natury, odpowiadającą zupełnie wyobrażeniom, jakie *baba Skrobotucha* nasuwa, i często w doświadczeniu poznawać się daje. Przepiszmy więc te mądre *versetki*.

„Wyschłém jest od cholery ciało jéj, a oblicze jéj jakoby ze starego pargaminu.

„Zęby jéj są jako piła tępa, a język jako miecz zardzawiały; przeszywa nim wnętrzności męża swego, a zębami piłuje mu głowę,

„Od wschodu słońca do zachodu; i od zachodu do północka, nie ma pokoju w domu jéj, i po północku wstanie a da cięgi domownikom swoim.

„A jako wilczyca szukająca żéru, tak szukać będzie grosza srebrnego po wszystkich kątach domu swojego, i po wszystkich kieszeniach męża swojego; a znalazłszy zakopie go w ziemi, i zaklnie na wieki; albowiem ręka jéj nie otwiera się nigdy żebrakowi, lecz ściśniętą pieścią odżenia go od wrót swoich.

„Nie patrzy okiem łaskawości na dziatki swe, i nie miłuje je wedle przykazania bożego, a siecze je niemiłosierną prawicą.

---

*) Rozdział 31.

„Opasze biodra swe fartuchem zgrzebnym, i ciskać będzie séry nie posypując ich solą.

„Głos jéj jako tuba morska, lub jako skrzyp wozu niesmarowanego, a pełne jadu słowa jéj jakoby gadziny, i wzrok jéj jakoby bazyliszka. I wyzwie szatanów z piekła na harc z sobą, a zwycięży ich, i uciekną od niéj jako nietoperze nocni, skrzecząc między sobą *„Skrobotucha! Skrobotucha!“*

„A po śmierci stanie się ona upiorem, i krążyć będzie około zaklętych skarbów swoich, a biada każdemu ktoby ją spotkał... wytrzeszczy nań ślepie z pod pachy, i jak za życia zrzędzić będzie.“

Gdy jak wiadomo siedmdziesięciu wybranych przez Ptolomeusza króla Egiptskiego rabinów, zasiadło do tłómaczenia z hebrajskiego na język grecki biblji; przełożywszy oni artykuł o niewieście *mężnéj*, gdy następowały *wersetki o niewieście złéj*, żaden z rabinów tłómaczyć ich nie chciał, i pracę tę, jeden na drugiego zrzucali; a gdy się wzajemnie badali o przyczynę, jeden z nich zniecierpliwiony, odpowiedział nakoniec: „nie mogę tłómaczyć tego, bo jak moja *Siora* przeczyta, to mnie i kugielu nie da i w Szabas z domu wypędzi.“ Na te słowa wszyscy siedmdziesięciu mężów spójrzeli po sobie; przyczyna ta bowiem wszystkim wspólną była, i wszyscy zawołali wielkim głosem.

„Mądry i najmędrszy był król nasz *Salomon!* a mądrość jego nie ziemską była! bo jéj nie stracił, chociaż między tysiącem żon swoich, nie jedną widać miał *Skrobotuchę*, gdy je tak dokładnie opisał; a nasza mądrość, choć bardzo rozumna ale... w takich okolicznościach ... *to niechaj sobie* ... “

Baba Koczerbicha. Jest to modyfikacya *Skrobotuchy*, na lepsze wszakże i stosownie do klassy towarzystwa, w którém się znachodzą: naprzykład, gdy *Skrobotuchy* ujrzysz częstokroć i w murowanym dworze, *Koczerbichy* w okolicach zagrodowych najczęściéj się rodzą; a różnica w tym: *Koczerbicha* gdy się podchmieli, co się nie rzadko jéj zdarza, skacze wesoły taniec jak wiedźma na ożogu, zowiący się nawet pospolicie Koczerbichą, a podobny nieco do *Kaczuczy*.

Szwed Baba—Baba Kuta. Są to także przymiotniki blizko znaczne między sobą i z powyższemi, zawsze jednak w niejakiém odcieniowaniem i różnicą miejsca i attrybucyi. Miał zapewna na celu

Babę kutą, poeta z czasów Stanisławowskich gdy opisując jąkąś *chudą farę*, tak się wyraził *).

Pośród rynku stała fara
Budowa niezbyt wspaniała,
Bardzo szczupła, bardzo stara
Dobrego dachu nie miała:
Dzwonki małe potłuczone,
I tych jeszcze niezbyt wiele,
Echo dawały stłumione
Dele ... dele ... dele ... dele ...
Puzytywek nie organy,
Piszczałeczki jak wrzeciona,
Parkan w koło rozebrany,
Nawet trumna ukradziona.
Przy drzwiach na lichym trójnożku
Święcona woda w garnuszku;
Zakrystyjka bardzo mała,
U drzwi zniżony skobelek,
Z trzema nogami zydelek,
W ciemnéj kruchcie jedna *baba*.
Ale *baba* do wszystkiego,
Do dzwonka, choru lub stągwi.
Trzeba chować umarłego?
Daléj *baba* do chorągwi!
Czy wesele w okolicy?
Czy kto umarł mniéj bogaty:
Daléj *baba* do gromnicy!
Daléj *baba* do łopaty!
Słowem, w jakim bądź obrzędzie,
Baba zawsze, *baba* wszędzie.

Bab więc *kutych* siedliskiem są kruchty kościelne, czyli prostszem a charakterystyczném nazwaniem się wyrażając *Babińce*.

Ale Baba Wesołucha; oto mi baba wyborna! oto mi kontrast wszystkich tych powyższych exemplarzów. To jak wielkanocna petynetowa, pulchna i lekka; śmiejąca się, wesoła jak młoda wdowa po starym mężu, i budząca około siebie wesołość. Dom gdzie ona gosposią, nie zaleci się może ładem i zapasem, bo wszystko wytraktuje, ale nigdy bieda i troska w nim nie pogości długo; poradzi

*) Poemat Jasińskiego *„Sprzeczki,“* z którego małe tylko wyjątki wydrukowano niegdyś w Tygodniku Wileńskim w roku 1819-m; żartobliwe, w duchu i rodzaju Organów Węgierskiego, ale dowcipniejsze i bez naśladownictwa francuzczyzny jak Organy.

ona wszystkiemu i wszystkich udobrucha. Sługa tam czasami niedoje, ale nigdy zrzędy nie posłyszy; mąż któremu częste baliki i goście dopieką, przykąsi usta na skargę otwarte, bo mu swobodę, pokój domowy, i dobry humor żoneczka codzień zapewnia. Szczęśliwe sąsiedztwo gdzie się taka wesołucha nadarzy, błogosławi jéj młodzież płci obojéj, bo to swacha i powiernica ich serdecznych tajemnic; bo to orędowniczka ich poczciwych małżeńskich zamiarów; bo za jéj ukazaniem się w najkwaśniejszych nawet domach i towarzystwach, wszystko się uśmiechać zaczyna, wszystko się rozwesela, jakby tam nagle słońce z za chmury wyszło, i w okopcone szyby zajrzało. *Skrobatuchy* uciekają przed nią do ciemnych bokówek, mrucząc jak niedźwiedzice. To też *wesołuchy* są zwykle *babki* czerstwe, rumiane, dobréj tuszy, zdrowe i żyją wiek długi. Niechże żyją na wieki wieków!

Lecz z małą odmianą nazwania, jakże się i wyobrażenia zmieniają! zamieńmy *babę* na *babunię*, jakże miły wnet obrazek zjawi się przed oczyma? Oto piękna (bo i starość ma swoją piękność) srebrno-włosa staruszka, siedzi otoczona gronem wnucząt, i świętego naucza ich paciorka; matrona to nasza dawna! Na jéj licu poważném, w oku i w czułém wejrzeniu, wyraża się miłość, którą całe to grono aniołków ogarnia... Przed nią obraz Zbawiciela, i matki jego od których błaga błogosławieństwa potomstwu swemu, na którego łonie pędzi szczęśliwie wiek swój sędziwy, i nakoniec zasypia w Bogu!!!

Z pod litery I.

Interess. Makaronizm łaciński, nie mający w naszym języku dosłównego zastępstwa, ale rozbiór jego na sylaby najdokładniéj tłómaczy jego znaczenie: *In-te-res—w tobie rzecz:* widocznie tworząc to słowo chciano wyrazić, że wewnętrznie w każdym człowieku jest *rzecz* i myśl o niéj główna, determinująca jego zewnętrzne czynności.

Tak trafnie złożony wyraz, nie dziw że się upowszechnił i przyswoił do codziennego użycia we wszystkich językach, wszystkim ludziom w szczególności i całym narodom w ogólności. Z *interessu* bowiem dobrze lub źle zrozumianego wypływa, a raczéj rozpływa się na społeczność ludzką *Duch czasu*, jak szeroka rzeka z małego

źródła, i mniejszą lub większą przezroczystością i słodyczą wód swoich przypomina naturę źródła; a dziejopis ludzkości, może podług widocznych śladów dzielić historyę swoję na okresy, oznaczając każdy okres jak szyldem, napisem lub znakiem każdego wieku...

Gdym ja siedząc na mym staroświeckim ganku, zatapiał się w tych filozoficznych dumaniach i rozmyślał właśnie, jakiby nadać *szyld* naszemu mądremu wiekowi; gdym z chlubą rozważał jego cudowne wynalazki; jego *Telegrafy Elektryczne*, jego *Zapałki fosforyczne*, jego *malowidła Fotograficzne*, jego pomysły *Filantropiczne*, jego nakoniec *wystawy wspaniałe i śliczne;* ujrzałem zbliżającego się do mnie od bramy mojego starego faworyta i arendarza, *poczciwego Dawida.* Idzie on poważnym krokiem „*a pod płaszczem wielkiego cóś chowa;*" *) staje przedemną, nizko się kłania, i wyborną ćwierć cielęciny z pod płaszcza na oczy mi wysuwa.

— Cóż to znaczy ta cielęcina? zapytałem.

— Niech Pan zdrów zje, odpowiedział Dawid, kłaniając się powtórnie.

— Wieleż mam zapłacić? zapytałem znowu, bo „*mam słabość do dobréj cielęcéj pieczeni*" **).

— Nie, to gościniec Jasnemu Panu:

— A za co?

— Mam ja *interess;* rzekł znowu Dawid.

— *Interess!* interess!.. . pomyślałem sobie, ot mi w porę! złowię naturę na uczynku; on mi da popularną a zatém najprawdziwszą definicyę, co jest *interess?* i jaki teraz panuje?

— Słuchaj panie Dawidzie, rzekłem zatém, ty stary i wcale mądry żyd, *Dawid* się znowu pokłonił. Całe życie chodziłeś około różnych interessów, *Dawid* kiwnął głową, powiedz mi więc co to jest *interess?* i jaki teraz panuje na świecie?

— Ja jasnemu Panu mój, a bardzo sprawiedliwy wraz opowiem.

— Nie, nie, nie zrozumiałeś mię, mówiłem znowu; potém załatwiemy twój własny interes; ale pierwéj namyśl się dobrze i wytłómacz mi krótko i jasno, jak cię zapytałem: Co to jest *interess?* inaczéj twego słuchać nie będę, i cielęciny nie przyjmę.

— Żyd spójrzał na mnie przenikliwie, poprawił jarmułkę, podjął czoło w górę, a ręką ujął za brodę, podtrzymując jakoby głowę

---

*) Trzech Budrysów.

**) Fredro, Komedya *Przyjaciele.*

aby nadto się nie unosiła, i po kilku minutach takiego zadumania rzekł nakoniec:

— *Interess*, jasny panie, *Interess* to jest... to jest... *Sześć złotych i groszy dwadzieście!*

Pokręciłem głową, — no Panie Dawidzie, rzekłem, to po żydowsku mówisz i myślisz, ale pomyśl inaczéj. Na cały świat u wszystkich ludzi, wiesz jaki to teraz rozum wszędzie panuje, nie raz ci opowiadałem, jakie to wielkie teraz wynalazki, a wszystko dla dobra ludzi.

— Wiem jasny panie, wiem i pamiętam co mnie nieraz jasny pan opowiadałeś (bo ja lubię często z moim starym Dawidem, prowadzić sobie gawędkę, i zadziwiać jego mojemi wieściami); ale ja to wszystko, mówił on daléj, dawno zmiarkowałem, i... z przeproszeniem jasnego pana, wszystko to, *sześć złotych i groszy dwadzieście!*

Jasny pan sam tylko rozmyśl, do czego to wszystko *ischodzi?*

Jakoż podług tego Dawidowego wezwania, pomyślawszy dobrze, mniemam, że gdybym był wezwany na ułożenie olbrzymiego szyldu nad portykiem gmachu wystawy przemysłowéj i postępowéj całego świata w naszym czasie; bodaj czybym nie napisał *Grandibus literis: „Wiek Dziewiętnasty,* czyli *sześć złotych i groszy dwadzieście!* (Patrz *przyjaźń).*

Ż pod litery L.

Licytacya. Trzy są sposoby skwitowania swoich długów, oddać *wszystko*, co się pożyczyło, oddać *trochę*, a skwitować *wszystko*, i oddać *nic*, czyli nie oddać, a zawsze skwitować.

Oddać *wszystko*, nie ma sztuki; lada poczciwiec to zrobi, oddać *nic*, także nie ma sztuki; dość jest nie mieć *nic*, a potém stanąć z przysłowiem, że „*z próżnego* i *Salamon nie wypije*“ Ale oddać *troche*, i ukontentować wszystkich, oto sztuka!

Sztuka ta praktykowała się dawniéj przez exdywizye; które dziś wyszły z użycia, jak towar zbutwiały; a zastąpiony podobnym, ale jakoby w lepszym gatunku; to jest *Licytacyą*. Wszakże żyją jeszcze podstarzali już dziś panowie exdywizorowie, regenci, adwo-

kaci, komornicy, składający niegdyś exdywizorskie kohorty; od nich więc ciekawy czytelnik, mógłby jeszcze wziąść wiadomość o tym processie oddawania mało z pokwitowaniem wszystkiego. A ktoby jeszcze zajrzał w tamtoczasowe dodatki Kuryera Wileńskiego, zapełnione oświadczeniami oddających pod konkurs swoje fortuny, jak dziś napełnione są ogłoszeniami licytacyów; a nadto jeszcze ktoby przedrabował zbiór Brukowych Wiadomości, owego *monumentum* szubrawskich zacieków w towarzystwo tamtoczesne; jużby się oznajomił ze wszelkiemi tajemnicami téj niegdyś sztucznéj machiny mierniczéj, sypiącéj kopce po ziemi, a *salarya* do kieszeni urzędników.

Licytacya złączona bardzo często bywała z Exdywizyą: gdzie nie stało ziemi, przychodziło do przedaży ruchomości; była więc ona ostatnim gradusem kieszeniowych suchot; po niéj chory zamierał moralnie, i kanonizowany był na świętego. . . Tureckiego.

Wszakże byli ludzie którzy dobrowolnym układem z wierzycielami swemi, usiłowali zabopólną dogodnością kończyć swe z niemi obrachunki. Pozostało u mnie na pamiątkę wezwania jednego z takich, właśnie mające być natenczas umieszczone w Brukowych Wiadomościach; a to następnie:

Oświadczenie.

— Niżéj podpisany, zbiegiem niepomyślnych okoliczności i zawiedzionych nadziei gdy nie zdołam na nadchodzących kontraktach uiścić się moim szanownym wierzycielom, ani w kapitałach, ani w procentach, i gdy razem w nagrodę położonéj we mnie ufności, i powierzenia mi swoich funduszów, pragnę ile możności w ich zaspokojeniu iść drogą otwartą, i oszczędzić im kosztów i kłopotów zwykle Exdywizyom towarzyszących, postanowiłem wezwać ich do przyjacielskiego układu, i następny przez niniejsze oświadczenie im zaproponować.

Niejednokrotnie szanowni kredytorowie moi, odwiedzając dom mój, jeżeli nie odbierali swych kapitałów, to przynajmniéj kapitalnie się zabawili; z niemi samemi używałem ich pieniędzy, za to więc przynajmniéj mam prawo do ich powolności; tém bardziéj gdy wymyśliłem sposób, który nie tylko da im niejaką indemnizacyę, w ważnych *precyozach* im ofiarujących się, ale wskaże razem każdemu, pozycyę w towarzystwie, stosowną do stanu i zamiarów każdego, lub te zamiary wspomoże.

Tłómaczę się jaśniéj; wiadomo szanownym wierzycielom, że mam u siebie teatr amatorski, na którym sami częstokroć, zwłaszcza młodsi figurowali, a na którym córki starszych znajdowały sposobność rozwinienia umysłu, serca i wdzięków, a niekiedy i sposobność dostania mężów; a żony, naukę heroicznéj małżeńskiéj miłości; (wszystko to ja dla ich dobra pracowałem). Razem znajduje się zamożna biblioteka dzieł drammatycznych, bogata garderoba i ozdobne dekoracye teatralne: tu więc i szczęśliwy mój pomysł, i źródło satysfakcyi dla nich.

Jednym z najważniejszych wierzycieli moich, jest JW. *Podkomorzyc* który odziedziczywszy po ś. p. ojcu swoim wielkie dobra, stał się oraz właścicielem znacznéj odemnie ojcu jego należności. Panicz ten chciał już raz jak mi powiadano, oblig mój oddać swemu komissarzowi za psa legawca, lecz gdy kommissarz wolał mieć własny pański, więc mój pozostał w dawnym ręku. Pan Podkomorzyc wyciąwszy ze szczętem ojcowski ogród pełny drzew pożytecznych i wspaniałych cienników, postanowił założyć na têm miejscu *Chinsko-Angielską* promenadę; nie małą mu więc zrobię przysługę, proponując, aby za należność swoję, przyjął kilka skał bardzo naturalnych z kory brzozowéj z wielką industryą zrobionych, i las mający wiele drzew palmowych i pomarańczowych . . . z tektury. Aby zaś najpiekniejszym widokiem wzbogacić ogród pana Pokomorzyca, ofiaruję mu nadto morze, wcale szerokie i długie, z dobrego płótna, z wałami pod dnem sosnowemi, które może być albo spokojne, albo okropną miotane burzą, podług woli i humoru właściciela. A nakoniec w układzie, mógłbym dodać jeszcze i okręt, na którym w wielu sztukach rozbojnicy morscy podpływali do brzegów moich; odstępując na rzecz właściciela, wszelkich z téj nawigacyi przyjemności lub pożytków.

Stara Panna *Rotmistrzówna* dobrodzika, któréj posag zdaje się że już potrzebnym nie będzie; a lubiąca passyami ptaszęta, kanarki, szczygły, czyżyki, gile, i tuzinami ich hodująca, niech przyjmie sukienkę piórkową *Papagenki* z *Cauber-fletu*, *a* któż wie? w tym pięknym kostiumku, może odmłodnieje, i na jakiego *papagenę* natrafi. W tym celu na *wabik*, piszczałkę *papageny* w dodatku ofiaruję, aby już na mnie najmniejszéj nie miała skargi.

Pan *Atanazy* jest poetą, niedba on o mamonę światową, dla niego *sława* grunt. Sukcessya jego po jakimś wujaszku, która w moim ręku została, na nic mu nie potrzebna; w zamian więc

onéj, niech ma czego żąda. Oto daję mu świątynię *sławy;* może ją postawić gdzie zechce; luminować rzęsisto, i w niéj przesiadywać z rozkoszą. Excypuję tylko skałę na któréj ona się wznosi; bo wszystkie skały ofiarowałem wyżéj panu podkomorzycowi. Może też pan Podkomorzyc zechce mieć w swojéj chińskiéj promenadzie *świątynię sławy*, i w niéj poetę, to się i pogodzą.

Jespanu *Gotlibowi Pulweriasowi*, Aptekarzowi, winienem za lekarstwa; ale toż regestra aptekarskie! a więc zda mi się, że gdy mu ofiaruję całą pisaną bibliotekę teatralną na zawijanie proszków i dekoktów, to nadto sumiennie postępuje; bo w exdywizyi postarałbym się żeby mu dano kawał jaki ziemi, na któréj tylko *uvae ursae* do swéj apteki mógłby zbierać.

Excypuję tylko sobie rolę „*Antreprenera w kłopotach*,“ którą odegram, mam nadzieję z powszechnym applauzem, w dzisiejszych mych krytycznych okolicznościach.

Pan *Sędzia*, który chce umieścić swego starszego syna w wojsku, znajdzie tu zaspokojenie swych chęci z upewnieniem wraz już i stopnia z lichwą nagradzającego, utratę cząstki funduszu przez moje bankróctwo; bo ofiaruję mu stopień i ubior bogaty wodza gwardyi króla *Axura*, potrzeba tylko będzie aby nauczył się śpiewać:

Ja nie tracąc ni momentu,
Czarną krepą ją okrywam etc. *).

Pan *Łowczy*, zawołany myśliwy, w zamian swego kapitaliku śmiało kontentować się może *budą Suflera*, która mu do polowania na cietrzewie wcale przydatną będzie.

Pani *Prezydentowéj* dobrodzice, łaskawéj méj kredytorce, któréj wysoka godność, urodzenie i pańskie przymioty, wydają się tak dumnie na czole, nigdy przed nikim nie uchylającém się, przystanie bardzo do tego czoła: *Dyadema* krolowéj *Semiramidy*, z tragedyi tegoż tytułu, błyszcząca jak gwiazdami, brylantami. . .szklannemi, i złotem pozłacaném. A samemu godnemu jéj małżonkowi, z wielu względów przydać się może pożytecznie, *Płaszcz szkarłatny Gawła na Księżycu*, gdzie jak wiadomo on był królem.

Zresztą, nie miło mi jest przypominać i wypisywać regestr mych szanownych kredytorów; kto ich tam wszystkich zliczy! a tak-

---

*) Opera. Axur król Ormus.

że nie mogę pamiętać wszystkich rekwizytów teatralnych znajdujących się tutaj. Kilka propozycyj wyżéj napisanych, objawiają szczęśliwy plan mój, który pod dojrzałą uwagę ich przedstawiam, dodając jeszcze *nakoniec:* a to we wspólnym naszym interessie. Oto zgodzić się raczą, zacni Panowie, abym główną *kurtynę* z napisem jak zwykle „*Ridendo dicere verum*“ ofiarował Ichmość panom Szubrawcom. Niech ją zawieszą nad domem w którym miewają swe schadzki jako szyld i godło, które zdaje się, że sobie przyswajają. Tak skorrumpowani może dadzą pokój i przestaną cenzorować ludzi poczciwych, w których gronie ma honor policzać siebie i oświadczający się.

Z pod litery P.

Pantofel. Wyraz prawdziwie sławiański, chociaż się takim być nie wydaje: skład jego najwyraźniéj tego dowodzi. *Pan-to-fe*, ostatnie *l* dodali cudzoziemcy, bodaj francuzi, którzy swoje trzy grosze wszędzie wścibiają. *Pan* jak to wszystkim wiadomo, znaczy u nas i znaczył oddawna zwierzchnika rodziny, ćzy pewnego jakiego stowarzyszenia jemu podległego; *to*, sylaba wskazująca go. Ale gdy *Pan* zrzekając się swych męzkich attrybucyi, poddał się władzy cudzéj, a co gorsza władzy niewieściéj, ponieważ natenczas rzadkie to jeszcze było zdarzenie, więc go wytykano palcami: *Pan-to*, i z oburzeniem dodawano naganę *fe!* A gdy tacy słabeusze coraz się mnożyli, zatém i wyraz się złożył na ich *definicyę*, i wszedł w powszechne użycie.

Pan-to-fe, złapawszy więc gdzieś, i przyswoiwszy sobie końcówkę *l*, nie zmienił wszelako swego radykalnego znaczenia; przeszedł tylko z *definicyi* na *godło*, *signum*, *pro re signata* i stał się szyldem, który niewidomie oku, ale widomie całemu światu noszą na czapkach szanowni małżonkowie dziewiętnastego stulecia. Niektórzy z nich, zwłaszcza starsi, nasuwają głęboko tę czapkę na uszy, aby ukryć pod nią Mojżeszowe attrybucye, gorsze jescze od pantoflowego *szyldu*, (Patrz Rogi). *Procedencya* zaś stopniowanego zejścia męża, do téj względem swéj Imości dobrodziki pozycyi, w któréj mu się ów *szyld* należy, i do czapki przypina, zwykle bywa taką: Jest on najprzód *Najdroższym małżonkiem*, potém, *Kochanym Przyjacielem*, potém, *Uniżonym sługą*, potém, *najpokorniejszym sługą*,

potém, *Najniższym podnożkiem*, potém nakoniec, *Rozdeptanym Pantoflem.*

Ponieważ. *Ponieważ* i *więc.* Są to dwaj bracia rodzeni, *Ponieważ* starszy, *więc*, młodszy. Oba wędrują po świecie, i mienią się być professorami *Logiki* z jakiegoś niemieckiego Uniwersytetu; zkąd gdy *Ponieważa* wypędzano, jako kłótliwego zrzędę i pijaka, to niechcąc brata odstąpić, powlokł się za nim i *więc* jak prośby za Jowiszem. Gdziekolwiek oni zawitają wnet uczyć chcą wszystkich Logiki. *Ponieważ* łysy, niski, pękaty, w długim niemieckim wyszarzanym fraku, cuchnący z daleka *Szwarcbirem*; zaczyna z zarozumiałą miną i tubalnym głosem swoje prelekcye. Gada, gada, potnieje, zażywa tabakę a gada . . . nakoniec się zmorduje, wtenczas obraca się raptem do brata i woła z przyciskiem: *„Redukuj na wnioski!“* zaczyna zatém *więc.* Chromy on jest i zająkliwy nieboraczek, przekrzywia więc najprzód twarz okropnie, jak zwykle zająkliwi, nim zacznie mówić; a potém powoli i z cicha nim mu się język rozwiąże, wywodzi i klei jakokolwiek wnioski, z tego co mógł złapać w zawziętém kazaniu starszego brata. Nareszcie odstępując od zadanéj mu temy bezładnéj, rozwodzi własną *erudycyę*, i grassuje po wszystkich naukach jak koń błędny i spętany po łanach rozmaitego zboża. Łączy wszystkie razem ludzkie umiejętności tym niezbitym *argumentem*, że żadna bez *ponieważ* i bez *więc* obejść nie może, i nakoniec od takiéj powszechnéj Filozofii, kończąc jak zwykle wielcy mędrcowie kończą naukę każdą na morałce, przechodzi do *Filantropii;* a od *Filantropii* łatwą już i powszechnie znajomą drogą, jak bitym gościńcem zjeżdża do generalnego wniosku *dajcie.* Na tym wniosku urywa nagle lekcyę i z czapeczką w ręku obchodzi całe koło słuchaczy, zbierając prenumeratę na wielkie dzieło mające zawierać wszystkie rzeczy i nauki od stworzenia aż do końca świata; bo stworzenie świata, jest to wielkie *ponieważ*, a koniec świata jeszcze większe *więc.*

Gdy się czapeczka napełni, ruszają daléj w świat zacni professorowie logiki z niemieckiego uniwersytetu.

Z pod litery K.

Krytyka. Pan *Zoil*, szlachcic rodowity herbu *Jeż*, ożenił się pod starość w końcu zeszłego wieku, z również rodowitą i również podstarzałą szlachcianką herbu *Panna na niedzwiedziu-Satyrą*: w posagu wziął podług świadectwa Momusa *) Muchę w nosie, Szal tyftykowy, i kontramarkę z reduty. Z tak dobranego małżeństwa urodziła się im godna konsolacya *Krytyka*, oboje zacni rodzice wkrótce świat ten pożegnali: a córunia odziedziczywszy i jednocząc w sobie, talenta i skłonności ojca i matki, postanowiła przebiegać świat szeroki, i jak mamunia oczyszczać go ze złych obyczajów, a jak papunia ze złych książek.

Piękne zaiste postanowienie! któremu aby zadość uczynić, gromadzi ona około siebie liczny zastęp prozelitów i uczniów, którzy jéj prelekcye ogłaszają światu. Bractwo to jednak z widoków jakichciś osobistych, działa wpółtajemnie, i członkowie onego nie objawiają głośno kto zacz są? i albo wymyślają sobie imiona, o jakich w żadnéj Europie, ani w żadnym herbarzu niesłychać, albo hieroglificznemi znakami, lub upodobanemi literami z alfabetu, podpisują swe lukubracye:

„W swych pantoflach i szlafmycy,
Chodzę sobie po ulicy,
Daję szczutki i kułaki
Nawet nie wie, kto to taki? **)

Nie ma co powiedzieć, wygodnie i wesoło.

Mistrzyni sama téj szkoły, jest temperamentu żółciowego; najczęściéj więc skrzywiona zrzędzi, gniewa się, dąsa: nic się jéj niepodoba, wszędzie znajdzie powód do kwaśnego humoru, do uszczypliwych żartów i konceptów; słowem, we wszystkiém dowiedzie *zła*, a gorsze wywróży.

Lecz nie zawsze jednak tak jest: nie jest to jéj stan normalny i Krytyka bywa zdrową; a natenczas i nauki jéj są zdrowe, bo tchną lepszém usposobieniem nauczycielki, natenczas pojęcie jéj nie zachmurzone, jasno widzi i pojmuje, rozważa pilnie i gruntownie,

---

*) *Momus*, Pismo peryodyczne, wydawane niegdyś przez Żołkowskiego w Warszawie.

**) Komedya Zabłockiego, *Żółta szlafmyca.*

tłómaczy się trzezwo, roztropnie i umiarkowanie; a tym sposobem przyniesie w każdym względzie prawdziwy pożytek towarzystwu.

Mówią, że ta marcowa już pannica, trybem zwykłym rowieśnic swoich, uderzyła w dewocyę i sentymentalność. . . to pewna jednak, że zmęczona swoim chorobliwym stanem, leczy się pilnie, i coraz lepiéj się ma chwała Bogu; że dawne hipokondryczne symptomata coraz rzadziéj ją napadają; że skutkiem tego polepszenia się moralnego, postanowiła zmienić zupełnie programmat swych prelekcyj, i ze wstępem do téj reformy jest dane przez nią zalecenie uczniom, aby w swoich procesach wypowiadanych książkom i ludziom, tajemnicą się nie okrywali. Sama nawet w swojéj osobie *„jawnie i oczewiście, wcale bez wątpienia* *) ma się okazać na publiczném posiedzeniu pewnego literackiego towarzystwa, i dostojnie zająć kurulskie krzesło.

Z pod litery F.

Filozofia, Wyborna to, a piękna i pożyteczna rzecz bydź *filozofem:* i pomyśli nie jeden, że to wielka osobliwość; jako żywo, ot proszę tylko przeczytać co następuje, a mam nadzieję, że nie jeden z czytelników obaczy się z filozofem, o czém mu dotąd ani się śniło.

W naszéj Akademii wileńskiéj **) w każdo-rocznym prospekcie kursów akademickich, są rozmaite oddziały. Piérwszym jest oddział *Fizyczny* i *matematyczny:* lecz stopnie uczone w tym oddziale otrzymywane są *piérwszy, Kandydat Filozofii, drugi* wyższy, *Magister Filozofii,* i nakoniec *trzeci* najwyższy, więczący laurem doskonałości czoło młodego mędrca, *Doktor Filozofii.* W takim podziale, dla czegoby *Fizyka i matematyka,* były zasadą filozoficznéj nauki, gdy filozofia w powszechném rozumieniu, za naukę ukształcającą moralne władze duszy jest uznawaną; nie rozumiem teraz, i nie rozumiałem natenczas, gdym się tam na filozofa wysługiwał.

Musi bydź tak potrzeba! mówiłem w owym czasie, i teraz powtarzam, radząc tę formę rozwiązującą gładko i bez sprzeczki

---

*) Krysztalewicz.

**) Pismo, gdy Akademia exystowała.

wszelkie niedocieczone fakta ludzkie, lub fenomeną nadludzkie, na które patrzymy jak kozły na wodę: a wieleż to takich faktów bije nam codziennie w oczy na tym bożym świecie!!! Machnąć więc ręką na to czego dójść niepodobna, i powiedzieć *musi być tak potrzeba.*

Gdy się jednak napoiłem za młodu takim systematycznym podziałem *filozofii* na trzy tempa, więc podział ten i w teraźniejszych mych o niéj uwagach zachowam.

Philo-Zofiia, *Miłość mądrości*, ani słowa przeciw temu. No, do czegoż mądrość swoich kochanków prowadzi? i czego ich naucza?

A jużciż sztuki szczęśliwego życia. A cóż to jest szczęśliwe życie?

— No, wolno sobie jak chcąc rozumować, rafinować i tłómaczyć, zda mi się, że ten żyje najszczęśliwiéj, kto z małym trudem, a lepiéj jeszcze z żadnym, używa w obfitości darów bożych, i pędzi błogi żywot bez troski i naprzykrzenia się sobie i drugim.

A jakimże to sposobem prowadzić życie bez troski i trudu: czyli jakimże to sposobem, zostać takim kochankiem mądrości, czyli takim *filozofem?* Ot tak z pytania na pytanie, idąc, zda mi się, bardzo logiczną drogą, dopytaliśmy się nakoniec do samego *succum rei*, to jest do głównego celu całéj nauki, na którą aby odpowiedzieć również jasno, pójdziemy jak tam przez pytania, tak tu przez przykłady.

Stanowiemy się naprzykład uczonym Trybunałem, mającym konferować stopnie akademickie: rozpatrzmy się zatém w towarzystwie, i wybierajmy kwalifikujących się z gromady; i tak wielcy *panowie*, którym fortuna przyszła niezapracowanym spadkiem i którzy nie umiejąc czy nie chcąc jéj użyć na dobro powszechne, plączą się na tym padole bez celu, a nie dbając o świat i ludzi, próżnują sobie roskosznie, *sunt nati Doctores philosophiae.*

Wieszający się przy nich, tak nazwani w dawnym dworskim języku *Ziewacze*, to jest posługujący panom do zabawy i humoru wyprawnym językiem; a za to bez pracy żyjący pańskm chlebem, są podług zdolności wrodzonych i praktyki *Magistrami Filozofii.*

Starzy mężowie młodych żon, strzegący pilnie swéj spokojności, ale nie swych imości, są *Doktory Filozofii*, i *vice versa* młodzi mężowie starych żon, którzy się za majątek zaprzedali, i żyją jak pączki w maśle w objęciach swoich babulek, są także *Doktory filozofii.*

Utraciusze goniący ostatkami, którzy uważają życie jak przegraną *pulę* są to *Kandydaty filozofii.*

Szulery znoszący jednostajnym umysłem, złe i dobre kazusy kapryśnéj fortuny, *inpavidum ferient ruinae*, są *doktory filozofii.*

Panicze niechcący się uczyć i pracować są to *kandydaty* do *filozofii*, zostający zwykle na starość *doktorami filozofii.*

I tym podobnie, a nawet w białogłowach poszukawszy dobrze znalazłyby się niewiasty, dla których biret doktorski, lepiéj jak czepek byłby do twarzy. Ale nakoniec, wy woły robocze w towarzystwie ludzkiém! wy którzy pracując w jakimkolwiek względzie i zawodzie, zarabiacie sobie poczciwie na kawałek powszedniego chleba, wy którzy ślęcząc nad niewdzięczną nauką, chcecie potém pożytek z niéj uczynić powszechny; wy wszyscy dzwigający bez sarkania trudne obowiązki życia, wy niedoczekacie być *Doktorami Filozofii!*

Z pod litery P. *).

Postęp. Wiadomo, że kiedy jaka nowa idea i za nią dążność wyroi się na świecie w głowach ludzkich, wnet *Lucyper* w piekle składa wielki *Sanchedryn*, to jest piekielny *parlament*, i wzywa do zasiadania w nim wszystkich emissaryuszów swoich ze wszystkich kątów naszéj ziemi. Zdają oni sprawę ze swych czynności i obrótów na świecie; wyjmują nawet na tę chwilę ze smoły naszych sławnych filozofów, i przypuszczają ich do swego grona; wszakże *cum voce consultativa* tylko. Debatują potém bardzo głęboko i wymównie, wszelkie wpływy i skutki nowéj idei na ród ludzki, i wynajdują środki wspomagania jéj, lub niweczenia, stosownie do interesu państwa piekielnego. Sessye te są wielce interesujące i pełne nauki razem, bo debatują na nich nie prawa, ale zasady praw, to jest ideje i pomysły, z których potém ludzie na swoich parlamentach tworzą prawa.

Djabli nie są właściwie ani *konserwatyści* ani *progressiści:* propaganda ich bywa ujemną lub dodatnią, stosownie do okoliczności, dobrego kuszą progressem, obiecując lepsze: złego utrzymują w kar-

*) Artykuł poźniéj nadesłany.

bach konserwatyzmu, strasząc niepewną przyszłością; ztąd w ich parlamentach nie ma ani prawéj ani lewéj strony; wszyscy z chwalebną jednością do jednostajnego zmierzają celu, najtrafniejsze tylko doradzając środki. Cóż to za wymowa! jaka głęboka znajomość natury całych narodów, i serca ludzkiego w szczególności! Nie jeden z naszych najsławniejszych oratorów, zawstydziłby się słuchając mówców piekielnych: a co muby dziwniejszém jeszcze było, że poznałby, że owe najświetniejsze wyskoki dowcipu i mądrości, któremi nieraz przekonał i uwiodł swoje *auditorium*, za które mu huczne sypały się oklaski, nie jego własne były, ale mu je szatan, stróż mównicy, podszepnął, a teraz w piekle z chlubą swój figiel wyznawał. Najcelniejszym jednak mówcą jest sam *Lucyper*, i gdy on peroruje, djabli rozdziawiwszy gęby, słuchają go; siedzi on jako prezydujący na beczce smoły, jak Angielski kanclerz na worze bawełny, i z wielką mądrością i umiarkowaniem prowadzi obrady.

Niedawno nadzwyczajny zwołano *Mittyng* wszystkich djabłów, a to z przyczyny, że wszelkie raporta emissaryuszów z naszych stron donosiły jego Lucyperskiéj Mości, o nadzwyczajnym ruchu na świecie i w naszym kraju, wywołanym, tém jedném słowem *postęp*. „Wszyscy, pisał Emissaryusz Północnéj Europy, grają tu jak w żmur„ki, łapiąc po omacku ten *postęp*, i niewiedząc gdzie go złapać? „Narody zachodnie znalazły go na giełdach, na bursach, gdzieśmy „je tryumfalnie zaprowadzili; znajdują go w rewolwerach, sztucerach, „harmatach gwintowanych, i coraz doskonalszych narzędziach do „zabijania siebie samych; w moralnym względzie, widzą go w su„chym i rachunkowym racyonalizmie, na co my także chętnie zgo„dzimy się: słowem pracujemy tam jak możem, i praca nasza nie „jest jałową: ale tu na północy nie możemy sobie dać rady: wpra„wdzie nie traciemy nadziei, że i tu uderzą w naśladownictwo; „wszakże i w tém objawiają się niepomyślne prognostyki. Autoro„wie, poeci, niech ich tam kaci porwą, w których największe mieli„śmy zaufanie, zawodzą nas haniebnie; uwzięli się od niejakiego „czasu dowodzić, że *postęp* może się zgodzić z religią, z cnotą, „z narodowością własną, bez naśladownictwa obczyzny: jeden z nich „bijący szczególniéj w taki ton, natchniony widać od któregoś z ar„chaniołów z nieba, rzekł niedawno: *Bóg szczęście daje, a szatan „przyrzeka!*“ „Wolałbym żeby mnie w ucho palnął: bo od razu i „słuchaczy i czytelników odepchnął od nas tak, że teraz każdy nasz „projekcik choćby najpiękniéj w humanitarność, w filantropię, w fi-

„lozofię utylitarną uwinięty, rozwijają aż do jądra, i naturalnie „w konsekwencyi znajdują, że ta piękna obiecanka od nas pochodzi; „więc tém bardziéj po prawdziwe szczęście garną się do Boga. Gdy „więc *postęp* na tak fatalną dla nas i antipiekielną drogę ich za- „prowadzi, cała północ Europy zbuntowaną i straconą będzie dla „naszego panowania. Żądamy zatém nowych instrukcyj od waszéj „Lucyperskiéj Mości.“

Otóż dla ułożenia téj instrukcyi, zebrał się właśnie ten *Sanchedrym*, i gdy się Izba ukonstytuowała, a Lucyper poważnie i dostojnie sessyę zagaił, rozpoczęły się *debata*. Mógłbym dać czytelnikom obszerne próby szatańskiéj elokwencyi, bo mam przed sobą nie tylko protokół, ale i odpisy odbywanych głosów: że jednak skoropisy piekielni zamiast pióra i papieru pazurami grzebią na byczych skórach, a tak po djabelsku, że trudno bardzo wyczytywać, więc praca ta zajęłaby kilka lat czasu, a tu *periculum in mora*, bo co najrychléj ostrzedz trzeba publiczność o niebezpieczeństwie.

Trafiłem ja tylko i wydecyfrowałem allokucyę *Woltera*, wyjętego z kotła, i siedzącego na ostrym końcu tego zgromadzenia i odpowiedź jednego z dostojników piekielnych *Mefistofelesa*, na jednéj skórze spisane. „Ja (mówił Wolter) mam honor przypo- „mnieć Waszéj Lucyperskiéj Mości, i całemu prześwietnemu gronu „duchów ciemności... Światłości! światłości! przerwał z gniewem „Lucyper, *Lucemferens*, tak mnie nazywano, wiesz to i bredzisz! „*Wolter* uchylił głowę, i mówił, daléj: Wiadomo zatém że ja by- „łem piérwszym nauczycielem *postępu*: i szlachetny mój przyjaciel *) „*Mefistofil*, którego radom i natchnieniom zawsze powolny byłem, „przyświadczy, żem ze wszelkich sił pracował nad wywróceniem „w towarzystwie ludzkiém wszystkiego tego, co do moich czasów „za święte i nietykalne uważaném było; zaczynając od głównéj „nauki Chrystusa, aż do najdrobniejszych obyczajów z niej wypły- „wających; żem najuroczyściéj obiecywał szczęście rodzajowi ludz- „kiemu, w filozofii odnawiającéj wszelkie instytucye... Ad rem! przerwał mu Lucyper, *ad rem* oratorze! precz z *kommunałami!* precz! odezwało się kilka głosów, do *konkluzyi!* do *konkluzyi!* wołało kilka innych. *Wolter* tym czasem zakaszlał się bardzo od dymu smolanych kandelabrów, któremi całe *Pandemonium* oświeconém było: mówił potém:

*) Mon noble ami.

„Stosując więc słowa moje do rozkazu naszego Najjaśniejszego „pana, konkluduję: że gdy nauki moje i dzieła, objawiały ludziom „takie drogi, po których oni prościuteńko szli do piekła, to aby i „teraźniejszy postęp, na tenże sam szlak zwrócić, radzę przedru„kować, moje wszystkie filozoficzne pisma, i czytelnictwo ich, jak „najszczerzéj upowszechnić! *dixi.*

Wtenczas powstał i zabrał głos Mefistofil, czart to *Executivus i tęgi do planów*, z jednym mu tylko Twardowskim w onczas się nie udało; ale że całe piekło przyznało, że Twardowski wymagał odeń niepodobieństwa, więc *Mefistofeles* nic nie stracił przez to na swéj powadze u Lucypera, i preponderencyi u towarzyszów. Powstał on więc i mówił:

„Szanowny *preopinant*, dawno tu siedzi w piekle, i nie wie co „się dzieje na świecie. Prawda, że był czas, gdy nam on tyle „swych uczniów napędzał, że smoły nastarczyć się nie można było: „ale *szlachetny mój przyjaciel*, choć za wielkiego i uniwersalnego „mędrca uchodził między ludźmi, głupim był wszakże w swoich za„miarach i w swoich reformach, a częstokroć dumą i zarozumiałym „uporem zaślepiony, odrzucał moje umiarkowane rady i natchnienia: „reformatorów było wielu i przed nim, których z ukontentowaniem „witamy w naszym gronie, lecz ich zasady i prawa, które swym „wyznawcom zostawili, dla tego nieustanny kontyngens nam dostar„czają, dla tego trwają aż dotąd, że reformatorowie nie godzili na „wywrócenie z fundamentu Piotrowego gmachu, którego jak wiemy „niestety! i bramy piekielne nie wzruszą (tu zgrzytnął zębami *Lu„cyper) słuchajcie! słuchajcie!*“ „Niektóre części tego gmachu zdały „się im niewygodne i ciasne, dla tego zmienić je chcieli. Mój zaś „szlachetny przyjaciel, łgał, tumanił, błaznował i pochlebiał mo„żnym, a wydrwiwał swoich przeciwników i wpośród zepsutego „już i przygotowanego przez nas towarzystwa, jednał sobie zwo„lenników uwiedzionych samem zuchwalstwem przedsięwzięcia. Ale „mój szlachetny przyjaciel zapominał przysłowia: *Respice finem!* „a finis ten, czyli skutek jego nauki, tak się dał we znaki ludziom, „tak ich okrwawił i obezcześcił, że się nakoniec postrzegli, prze„lękli i opamiętali; a w rozbiorach i głębszych nad nią rozwagach, „obdarli mego szlachetnego przyjaciela z jego lisiéj skóry, i na„giego jak Bartłomieja oddali na poniewierkę powszechną. Nie „przybywają dziś Wolterzyści do piekła, bo ich i na ziemi niema; „a nawet odraza od bezbożności pokonanéj i obrzydzonéj, wię-

„céj nam bodaj ujmuje dziś ofiar, niżeli sama bezbożność niegdyś „przysparzała. Zajmuję się właśnie teraz układem statystycznych „tabelli do tego rachunku. Przedrukowanie więc dzieł mego szla- „chetnego przyjaciela, najgorszym byłoby środkiem w dzisiej- „szych okolicznościach i w dzisiejszych pojęciach świata; ucie- „kaliby od nich ludzie jak od zmory, a tém samém trafialiby na „przeciwną drogę antipiekielnego *postępu:* wydawca nakoniec zban- „krutowałby niezawodnie (oklaski). — A moja Henryada? a moje „tragedye?—zawołał zrywając się, i ze złością gryząc palce *Wolter.* „*Mefistofil* machnął tylko ręką, i mówił daléj;—„W takich rozmy- „słach i rozwagach, przyszedł mi projekt, z samego tego wyrazu „*postęp*, i ze znajomości dokładnéj języków sławiańskich, których „wszystkie narzecza, nie chlubiąc się, posiadam radykalnie, wypły- „wający: wszakże nieufając dość sobie samemu, plan mój poddałem „pod rozsądek i rozbior sławnych dyplomatów tu obecnych a szla- „chetnych przyjaciół moich; *Renegata biskupa* z nad Sekwany i „niedawno przybyłego do nas starego *Księcia* z nad Renu. Oba „zgodą i pochwałami ośmielili mnie, do rozwinięcia go i przedsta- „wienia przed wami. Uderzając otwarcie na wroga, lub nie zręcz- „nie biorąc się do dzieła, straciemy na interesie i na reputacyi. Na „przymierzu naszém z tym *sofistą*, rozumem ludzkim, niewiele po- „legać możemy, bo panowanie jego chwieje się: ludzie sami w swój „rozum wierzyć bezwarunkowo przestali, i twierdzą, zwłaszcza „w krajach o których mowa, że w materyi zbawienia, poddawać go „trzeba pod władzę religii. Słowem delikatnie i nieznacznie, krok „za krokiem stawiajmy, a tak starajmy się naprzód zmienić lub „nadwątlić przynajmniéj sam ten wyraz *postęp*, nim i jego znacze- „nie w inną zawrócimy stronę, (*słuchajcie! słuchajcie!*) Ku temu „posłuży nam składnie litera *d*, którą wścibić potrzeba we środek „*postępu*, i zrobi się *podstęp*; amalgamujmy jedno z drugiem w dru- „kach, podrzucajmy pod rękę zecerom *d:* wyjdzie to za pomyłkę w druku: „w mowie niech to się stawa jakby *lapsus linguae*, a zawsze słuch „i oko oswajać się będą z tą małą na pozór różnicą, i tracić zau- „fanie *w postęp;* tak pożeniony z *podstępem*, skoro raz, albo *postęp* „zawiedzie, albo *podstęp* w interesach ludzkich uda się, uznaném „będzie, że *postęp* i *podstęp*, są to jednoznaczne *synonimy:* a naten- „czas przy naszéj własnéj zręczności, cała ta sprawa pomyślny dla „nas obrót wziąść musi. *Litera nocet, litera docet! dixi.* (Oklaski „długie i huczne).

Powstał zatem Lucyper, i poważnie rzekł: „Po tych brzmiących „oklaskach, widzę jednomyślność zgromadzenia, zjednoczoną na zda-„nie i projekt naszego mądrego Radcy *Mefistofelesa*, i sam ja tak-„że trafność planowi jego przyznaję. Dla ułożenia więc stosownych „instrukcyj emissaryuszom naszym w północnéj Europie mianuję „komitet; składać go mają: sam autor projektu *Mefistofel*, prezydu-„jący; członkami: dozorca potępionych *Astarot*, *Renegat* biskup, i „stary *Książę*. Sekretarzem zaś będzie *Wolter*, lub którykolwiek „z jego uczniów, *Encyklopedystów*. Solwuję sessyę."

Spieszymy więc ostrzedz publiczność, że jeżeli komukolwiek bądź zdarzy się słyszeć lub czytać to słowo *postęp*, niech że się wczytywa i wsłuchuje, a szuka w niém pilnie djabelskiéj kontrabandy, to jest litery *d*: a jeżeliby ją znalazł, niechże przypomni natychmiast, i powtórzy sobie cztero-wiersz Poety:

„Zbawco Świata, Boży synu!
„Pogromco piekieł zastępu!
„Broń nas od takiego czynu,
„I od takiego *postępu* *)

*) A. E. O.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Serya I. Wyklęty. — Kamień w Olgienianach.

Serya II. Żegota z Milanowa Milanowski:

Serya III. Pustelnik w Proniunach:

Serya IV. Drugi Pustelnik w Proniunach:

Dwie konwersacye z przeszłości: